XXII SERIA II KRAKÓW Nr 1 1966

PRZEGLĄD LEKARSKI

ORGAN KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

BIBLIOTHECA UNIV. IAGELL. CRACOVIENSIS

Szósty zeszyt
poświęcony zagadnieniom lekarskim
okresu hitlerowskiej okupacji

wydany staraniem

Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego,
Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację
i Krakowskiego Klubu Oświęcimskiego ZBoWiD,
przy współpracy Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego

Zredagowali:

Prof. dr Józef Bogusz
Doc. dr Antoni Kępiński
Dr Stanisław Kłodziński
Mgr Jan Masłowski

100596
III 22(1966)

Biblioteka Jagiellońska
1001243600

TREŚĆ

Bogusz J.: Słowo wstępne 3

DZIAŁ NAUKOWY

Bilikiewicz T.: Z rozważań nad psychologią ludobójstwa 14

Półtawska W., Jakubik A., Gątarski J., Sarnecki J.: Wyniki badań psychiatrycznych osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych 21

Gątarski J.: Badania elektroencefalograficzne osób urodzonych lub przebywających w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych 37

Sarnecki J.: Konflikty emocjonalne osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych . . 39

Kłodziński S., Kutyba J.: Wstępne wyniki badań stanu zdrowia 100 byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych (z dzielnicy Stare Miasto w Krakowie) 47

Zielina J.: Wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych 49

Kłodziński S.: Konieczność kontynuowania badań naukowych nad zagadnieniem „Oświęcimia" 52

Kępiński A.: Koszmar 54

Schweitzer A.: Zagadnienie etyki w rozwoju myśli ludzkiej 58

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

Ciećkiewicz M.: Lecznictwo ubezpieczeń społecznych w Polsce w czasie okupacji . . . 65

Kłodziński S.: Pomoc wysiedlanym przez hitlerowców w świetle relacji sióstr PCK, Stefanii Rzącowej i Marii Osińskiej 87

Pankiewicz T.: Apteka „Pod Orłem" w getcie krakowskim 89

Skulimowski M.: Zagłada szpitala żydowskiego w Wieliczce w roku 1942 101

Lorska D.: Wspomnienia z bloku nr 10. Dr Hans Münch 105

Niedojadło E.: Podobóz Brno. Ucieczka przed Bogerem 108

Lingens E.: Problemy narodowościowe w szpitalu kobiecym w Brzezince 111

Wolken O.: Oswobodzenie obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka 113

Jekiełek W. („Żmija"): Akcja pomocy Batalionów Chłopskich więźniom obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka 120

Rzeźnik S.: Wykradzenie więźnia obozu w Oświęcimiu Tadeusza Orzelskiego ze Szpitala św. Łazarza w Krakowie (11. VI. 1941 r.) 132

Zielina J.: Dzieci z Lidic 138

Włoczewski J.: Ursus a powstanie warszawskie. (Wspomnienia lekarza) 140

Rawska H.: Ze wspomnień okupacyjnych pielęgniarki z Ursusa 142

Kłodziński S.: Esesmani z oświęcimskiej „służby zdrowia". Wykaz wstępny . . . 146

Wyrok frankfurcki 150

WSPOMNIENIA

Pigoń S.: Wspominki z obozu w Sachsenhausen (1939—1940) 156

Głowa S.: Ewakuacja obozu w Sachsenhausen 171

Gawalewicz A.: Reszta będzie milczeniem 174

Woycicki A.: Dwa oblicza „Służby Rozpoznawczej" 182

Kret J.: Lekarze znaleźli wyjście 184

Głogowski L.: Kwarantanna obozu Oświęcim-Brzezinka 190

Jezierska M. E.: Chorować nie wolno. Wspomnienie z Oświęcimia 194

Wolny J.: Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen . . 198

Perzanowska S.: Gdy wracam myślami do Majdanka. I: Wspomnienia lekarki . . . 202

Perzanowska S.: O niektórych hitlerowskich lekarzach w Majdanku 209

RÓŻNE

Seweryn T.: Polskie sądownictwo podziemne 212

Kopyciński A.: Skład orkiestry obozowej w Oświęcimiu 217

SPRAWOZDANIA

Oddział krakowski Polskiego Towarzystwa Lekarskiego czci dwudziestą rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka 220

SYLWETKI ZASŁUŻONYCH LEKARZY

Sienicki W.: Dr Stanisław Kelles-Krauz . . 227

Kłodziński S.: Dr Ludwik Fischer, więzień obozu w Gross-Rosen nr 7851 229

Przerwa-Tetmajer A.: Lekarki z organizacji młodzieżowej „Życie": Helena Wolf („Anka") i Janina Zachariasz-Krajewska 234

Jasińska W.: Kilka wspomnień o dr Wandzie Starkowskiej 237

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE

Kieta M.: Prof. dr Jan Sehn 239

OCENY

Kępiński A., Masłowski J.: Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z lat 1964—1965 241

JÓZEF BOGUSZ
Przewodniczący Krakowskiego Oddziału
Polskiego Towarzystwa Lekarskiego

Kraków

Słowo wstępne

Szósty zeszyt „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", poświęcony zagadnieniom lekarskim okresu hitlerowskiej okupacji, oddajemy w ręce Czytelników — jak poprzednie zeszyty — w kolejną XXI rocznicę oswobodzenia oświęcimskiego obozu zagłady. Zeszyt stanowi kontynuację linii przyjętej w poprzednich pięciu zeszytach, tj. przynosi referaty naukowe dotyczące przede wszystkim następstw pobytu w obozach koncentracyjnych, opracowania historyczno-dokumentarne, wspomnienia, sylwetki zasłużonych lekarzy itd.

Jak co roku, tak i tym razem nasuwa się pytanie: czy dzisiaj, prawie w 21 lat po zakończeniu drugiej wojny światowej potrzebne jest dalsze zajmowanie się tymi zagadnieniami, czy nie lepiej byłoby poświęcić uwagę raczej sprawom teraźniejszym i przyszłym, a całą okropną przeszłość włożyć już do lamusa i pozostawić tylko historykom?

Odpowiedź może być tylko jedna. Za koniecznością dalszego prowadzenia tych badań przemawiają względy naukowolekarskie i historyczne, a także względy natury moralno-etycznej.

Polskie lekarskie badania naukowe, zwłaszcza psychiatryczne, rzuciły wiele światła na zmiany, jakie zaszły u byłych więźniów obozów hitlerowskich. Możemy dzisiaj — porównując nasze badania z badaniami ogłoszonymi za granicą — stwierdzić z satysfakcją, że badania polskich psychiatrów są w pełni obiektywne. Badania grupy krakowskich psychiatrów wykazały, że wprawdzie bardzo wysoki jest odsetek byłych więźniów obozów wykazujących zmiany, jednak pozostaje mały odsetek (9%) więźniów nie wykazujących żadnych zmian, przeciwnie, wykazujących najpełniejszą sprawność oraz energię psychiczną i fizyczną. Badania polskich psychiatrów nie były wykonywane pod kątem widzenia roszczeń odszkodowawczych. Chodziło o obiektywne wykazanie zmian psychicznych u byłych więźniów obozów, a które to zmiany można powiązać więzią przyczynową z przeżyciami obozowymi, niezależnie od roszczeń o odszkodowania. Co się tyczy roszczeń odszkodowawczych, to nie byłoby przesadą twierdzenie, iż wszyscy byli więźniowie i wszyscy mieszkańcy okupowanej Polski zasługują na przyznanie im odszkodowania. Wszak cały nasz kraj pozostający pod rządami hitlerowskiego bezprawia, pod rządami ustawicznej grozy był jakoby jednym wielkim obozem koncentracyjnym. Nie znaczy to jednak bynajmniej, by sztucznie stwarzać zespoły psychopatologiczne i łączyć je przyczynowo z przeżyciami obozowymi. Tym — sądzimy — górują badania polskich, a zwłaszcza krakowskich psychiatrów nad badaniami lekarzy niektórych krajów zachodnich. Wyniki tych polskich badań psychiatrycznych zostały opublikowane głównie w czwartym i piątym zeszycie oświęcimskim „Przeglądu Lekarskiego" (1964 i 1965).

Nie ma potrzeby uzasadniać wagi i znaczenia publikowania materiałów historyczno-dokumentarnych i wspomnieniowych. Żyjący jeszcze lekarze — byli więźniowie obozów, ale także lekarze, którzy byli w okresie hitlerowskiej okupacji na wolności, spisują swe przeżycia i wspomnienia, co stanowi ważny przyczynek do badań historii służby zdrowia z tego okresu, a może nie tylko służby zdrowia. Ważną rolę spełniają także szkice biograficzne dotyczące lekarzy i innych pracowników służby zdrowia różnych narodowości, którzy mają piękną kartę z okresu niewoli hitlerowskiej.

Nie zdawaliśmy sobie przed 6 laty, kiedy podjęliśmy wydawanie tych zeszytów, dokładnie sprawy z tego, że publikacje nasze będą miały coraz większe znaczenie moralne i że to znaczenie w przyszłości będzie coraz bardziej narastać.

W Niemieckiej Republice Federalnej nie dokonano rozrachunku z przeszłością narodowo-socjalistyczną. Nie została przezwyciężona przeszłość hitlerowska. Wskazują na to dowodnie tendencje, jakie uwidaczniają się w sprawie przedawnienia zbrodni hitlerowskich, dalej — głosy obrońców i oskarżonych w długim frankfurckim procesie oświęcimskich zbrodniarzy, nierzadko pojawiające się w różnych miastach NRF znaki swastyki i hasła hitlerowskie, dalej fakt, iż liczne rzesze prawników i innych działaczy hitlerowskich zajmują dziś wysokie stanowiska w państwowej służbie NRF. Wskazują na to wciąż odzywające się tam głosy rewizjonistyczne, natarczywe domaganie się broni atomowo-wodorowej, rozbudowywanie *Bundeswehry*.

Nie chcemy umniejszać wagi głosów rozsądku, jakie odzywają się w NRF. Podkreślaliśmy już w poprzednich zeszytach, iż z uznaniem notujemy te głosy w NRF, które domagają się pełnego rozliczenia z hańbiącą przeszłością hitlerowską. W Niemieckiej Republice Federalnej istnieje jednak walka zapatrywań. Przytoczę tutaj słowa wyjęte z książki jednego z oficerów, który był uczestnikiem spisku i zamachu na *Hitlera* z 20 lipca 1944 roku [1]:

„W Niemczech szaleje wciąż jeszcze walka zapatrywań, choć wydarzenia dawno zostały zakończone (...)

[1] *Fabian von Schlabrendorff: Offiziere gegen Hitler.* Fischer Bücherei 1962.

Podczas gdy świat poza Niemcami jest zgodny w potępieniu narodowego socjalizmu, to w samych Niemczech zdania są podzielone. Na pewno niewielu jest Niemców, którzy by narodowy socjalizm dziś jeszcze w całości afirmowali. Ale poszczególne cechy narodowego socjalizmu jeszcze tu i ówdzie uważa się za dobre. Szczególnie rozbieżne są zapatrywania na wartość niemieckiego ruchu oporu przeciw narodowemu socjalizmowi (...) Gdy Niemcy mówią o narodowym socjalizmie, to na pierwszy plan wysuwa się dążność do uchylenia nieprzyjemnej przeszłości. Gdy Niemcy rozmawiają o historii swego ruchu oporu, powstaje gorąca walka zapatrywań (...) Narodowy socjalizm doprowadził państwo niemieckie do ruiny. Ruch oporu nie zdołał zapobiec, aby nie nastąpił *finis Germaniae*. Powstaną nowe małe twory niemieckiej państwowości, ale państwo niemieckie znikło na zawsze..."

Przytoczony wyżej wyjątek pochodzi z książki człowieka, który od wielu lat zaangażowany był czynnie w niemieckim przeciwhitlerowskim ruchu oporu i który po nieudałym zamachu z 20 lipca 1944 roku był więziony, torturowany przez gestapo i tylko przypadkiem uniknął śmierci. Ale wiadomo także, że głównym powodem zamachu na *Hitlera* były jego błędy militarne, podczas gdy sama „ideologia" *führera* nie była całkiem obca inscenizatorom zamachu.

W jakim kierunku idą inne książki w Niemieckiej Republice Federalnej, daje doskonałe świadectwo książka lekarza, dra *Röhrsa*, będąca swoistą rozprawą o chorobie *Hitlera*[2]. Autor opierając się na niektórych oświadczeniach lekarskich i na obserwowanych faktach stara się udowodnić, że *Hitler* nie był histerycznym psychopatą i że zatem naród niemiecki nie był prowadzony przez przeszło 12 lat przez psychopatę. Natomiast wielki, utalentowany *Hitler*, który odsunął od siebie światłych lekarzy, a wierzył tylko doktorowi *Morellowi*, karmiony był przez tego niecnego szarlatana coraz większymi dawkami różnych pobudzających preparatów, jak glukoza, perwityna i inne. Nadużywanie leków miało sprawić, że *Hitler* przez długi czas biczowany pobudzającymi środkami mógł rozwijać niezwykłą energię, później jednak zaczęło się to niekorzystnie odbijać na jego sprawności umysłowej i fizycznej. To miało być źródłem późniejszych jego błędów militarnych.

Zdumiony czytelnik przeciera oczy. Jakże to, ani słowa potępienia obłędnej teorii rasizmu, ani słowa potępienia szaleńczej „ideologii" narodowo-socjalistycznej, teorii narodu panów i innych podludzi, ani słowa potępienia bezprawia, ludobójstwa, okrucieństw itd., itd.? Za chwilę jednak wszystko staje się jasne. *Hitler* był geniuszem, który szedł od zwycięstwa do zwycięstwa i tylko źli lekarze, a zwłaszcza *Leibarzt Morell* sprawili, że po roku 1941 zaczął on robić błędy i wreszcie przegrał wojnę. To „studium lekarskie" ma zatem na celu jedynie wykazać, jakie to czynniki miały odegrać rolę w tym, iż od 1942 roku odwróciła się szczęśliwa gwiazda *Hitlera*. Rozentuzjazmowany wydawca, jak podaje w swojej przedmowie, czekał na taką książkę 15 lat. Ozdobiona ona jest zdjęciami *Hitlera* z jego młodszych lat, wykazujących twarz pełną siły i energii i zdjęciami z lat późniejszych, wykazujących ruinę człowieka.

Nie jest nieprawdopodobne, jest nawet wysoce prawdopodobne, że *Hitler* miał pozostawać długi czas pod działaniem środków pobudzających. Zdumiewające jest jedynie to, że dzisiaj znajdują się w NRF autorzy, a wśród nich lekarze, których trud pisarski zmierza jedynie w kierunku wyjaśnienia przyczyn klęski III Rzeszy, w tym wypadku w kierunku wyjaśnienia tych przyczyn niedomaganiami *Hitlera*. Tu tkwi przecież pośrednia, choć nie wypowiedziana wyraźnie afirmacja całej „ideologii" narodowo-socjalistycznej i gloryfikacja osobowości *Hitlera*.

Warto tu wspomnieć o tym, że wedle innej książki[3] *Hitler* miał w młodości zarazić się kiłą. Wyraźniejsze objawy miały wystąpić w roku 1937, a w 1942 roku miały pojawić się objawy kiłowego porażenia postępującego. W tym czasie miał go leczyć *Morell*. Dokument lekarski omawiający ten przebieg choroby *Hitlera*, stanowiący *„Deutschlands grösstes Staatsgeheimnis"*, miał pokazać *Himmler* swemu przybocznemu lekarzowi-masażyście *Kerstenowi*, chcąc go zachęcić do leczenia *Hitlera*.

19 sierpnia 1965 roku zapadł wyrok w ciągnącym się przez 20 miesięcy i trzymającym w napięciu ogromne rzesze ludzi w różnych krajach procesie oprawców hitlerowskich, którzy stanowili część załogi obozu oświęcimskiego. Ani sąd we Frankfurcie nad Menem, ani też rząd boński nie zdobył się na potępienie nazistowskiej ideologii ludobójstwa. Badano i oceniano udział każdego z 20 oskarżonych w popełnianiu zbrodni, co na pewno było słuszne. Wyroki jednak, jakie zostały wydane, nie mogły wobec ogromu zbrodni zadowolić szerokiego ogółu ani zatrzeć wrażenia, że i tym razem poczuciu sprawiedliwości nie stało się zadość. Mimo to proces ten odegrał niewątpliwie doniosłą rolę. Albowiem jakkolwiek na zasadzie bońskiej jurysdykcji nie uznającej pojęcia ludobójstwa był on tylko zwykłym procesem kryminalnym „przeciwko *Mulce* i innym", stał się on jednak procesem „oświęcimskim" w szerokim tego słowa znaczeniu.

Wadliwe i przestarzałe jest ustawodawstwo karne w Niemieckiej Republice Federalnej, sięgające czasów *Bismarcka*, nie uznające pojęcia zbrodni ludobójstwa czy zbrodni przeciw ludzkości, przy czym NRF nie czuje się nawet związana normami i postanowieniami prawa międzynarodowego. A więc ten kraj, mieniący się dzisiaj tak bardzo nowoczesnym w najróżnorodniejszych dziedzinach techniki, nauki itd., wykazuje tutaj zaiste zadziwiającą skłonność do trwania w przestarzałych, nie odpowiadających współczesnemu odczuciu nor-

[2] *Hans Dietrich Röhrs: Hitler — Die Zerstörung einer Persönlichkeit. Grundlegende Feststellungen zum Krankheitsbild.* K. Vowinckel Verlag, Neckargemünd 1965.

[3] *Joseph Kessel: Medizinalrat Kersten. Der Mann mit den magischen Händen.* Nymphenburger Verlagshandlung, München 1961, str. 176.

mach prawnych, *eo ipso* normach moralno-etycznych. Zachodzi chyba pilna i nagląca potrzeba zmiany niektórych przepisów prawnych obowiązujących w NRF, które pozwoliłyby sądzić zbrodniarzy hitlerowskich wedle właściwych i słusznych norm prawno-etycznych.

Wyrok frankfurcki i wyjątki z jego uzasadnienia znajdzie czytelnik w niniejszym zeszycie.

* * *

Przechodząc z kolei do krótkiego omówienia treści szóstego zeszytu, wypada podkreślić ponownie, iż czerwony nadruk na okładce „Oświecim", przecięty drutem kolczastym, symbolizuje wszystkie obozy koncentracyjne i cały okres hitlerowskiej okupacji.

Wobec konieczności pomieszczenia materiałów dotyczących zagadnień lekarskich okresu okupacji hitlerowskiej w ograniczonych objętościowo ramach powiększonego zeszytu czasopisma redakcja zmuszona jest do ich selekcji. Nadchodzi wiele tekstów, toteż istotne są kryteria tej selekcji. Ponieważ wiadomo, co dotychczas opublikowano w Polsce w kręgu tych problemów, jako podstawowe kryterium zespół redakcyjny przyjął kwestie, czy nadesłany materiał poszerza sprawy już poruszone bądź ujmuje je w sposób głębszy i bardziej istotny, czy też — co najważniejsze — wnosi do dotychczasowej wiedzy o lekarskich aspektach okresu hitlerowskiej okupacji nowe treści, dotąd nie poruszone.

Wszystkie teksty, pisane przecież głównie nie przez zawodowych literatów, ale szczerze i surowo malujące to, co właściwie do głębi nie da się wypowiedzieć, zostały w pracy redakcyjnej potraktowane ze szczególnym pietyzmem. Dążąc w adiustacji tych dokumentów do formy, która musi spełniać wymagania tekstów opracowanych merytorycznie i stylistycznie do druku, wystrzegano się jakiegokolwiek zniekształcenia myśli autorów, ich intencji, swoistego stylu, indywidualnego podejścia do opisywanych przeżyć. Zachowano więc cały autentyzm, toteż wypowiedzi poszczególnych autorów są w pełni autonomiczne, niezależne od poglądu redakcji na całokształt zagadnień. W ten sposób — nie naruszając podstawowych wymagań edytorskich — starano się uczynić zadość trudnym zadaniom wydawniczym w stosunku do swoistego, dokumentarnego materiału.

Wobec skrępowania szczupłością miejsca nie można było w pełni skorzystać z materiału ilustracyjnego, tzn. zamieścić całego zapasu zdjęć wiążących się z poruszoną problematyką, nieraz zupełnie nowych i do tej pory nie publikowanych. Z tego samego względu została również zredukowana liczba tabel i wykresów. Uzyskana w ten sposób oszczędność miejsca pozwoliła na zamieszczenie większej liczby prac, których selekcja jest związana z dużym wewnętrznym oporem, ponieważ niemal każdy nadesłany artykuł wnosi nową, istotną wartość do literatury obozowej. Ci więc autorzy, którzy z poświęceniem zechcieli wrócić wspomnieniami do tak tragicznego dla nich okresu prześladowań przez okupanta hitlerowskiego, a nie znajdują swych prac w zeszycie niniejszym, liczyć mogą na to, że edycja „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" nabrała charakteru ciągłego, regularnego wydawnictwa.

Dotychczasowe doświadczenie redakcyjne poucza, że wydane dotąd zeszyty specjalne „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" zdołały uchwycić i zanotować zaledwie cząstkę tego, co można i powinno się opisać w zakresie zagadnień lekarskich okresu okupacji hitlerowskiej. W niejednym miejscu tego zeszytu uważny czytelnik może napotkać na różne sugestie o tym, co jeszcze w kręgu tych tematów najpilniej trzeba by opracować. Z drugiej strony przez cały rok napływają do redakcji materiały, nie zawsze ściśle odpowiadające redakcyjnemu, z natury rzeczy sztucznemu planowi. Zespół redakcyjny „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" otwiera więc szeroko swoje łamy, nie chcąc zaproszeniom swoim nadawać charakteru definitywnych wskazówek co do zakresu treści szczegółowej, a do tego stanowiska upoważnia fakt, że na gromadzenie i uzupełnianie podjętej dokumentacji istnieje żywe, autentyczne zamówienie społeczne.

W zeszytach naszych wśród mnóstwa nazwisk autorów niektóre powtarzają się. Bezskuteczne byłyby poszukiwania słów uznania za ten ich trud wracania do najtragiczniejszych chwil swego życia, aby dać świadectwo prawdzie. Tym bardziej więc redakcja ośmiela się liczyć na prace tych byłych więźniów, którzy jeszcze nie piszą o tamtym strasznym okresie i nie dołączają swego świadectwa do tego skromnego zasobu dokumentów, który gromadzi „Przegląd Lekarski — Oświęcim". Ponieważ wszystkich autorów — byłych więźniów charakteryzuje to, że w swych wspomnieniach preferują okoliczności i wydarzenia otaczające kosztem opisu własnych przeżyć i jakichż niejednokrotnie swoich istotnych zasług, oczywiste jest, że w ten sposób gromadzi się materiał dotyczący nie jednostkowych losów, ale rzucający światło na cierpienia, ofiarę i śmierć tych milionów współwięźniów, którym nie dane było przetrwać obozu i relacją swą uzupełnić karty o największym męczeństwie współczesnej epoki.

Prace zamieszczone w niniejszym zeszycie podzielono, podobnie jak w zeszycie piątym, na kilka działów: 1. dział naukowy, 2. dział historyczno-dokumentarny, 3. wspomnienia, 4. różne, 5. sprawozdania, 6. sylwetki zasłużonych lekarzy, 7. oceny.

Dział naukowy otwiera praca *Tadeusza Bilikiewicza* „Z rozważań nad psychologią ludobójstwa". Znakomity psychiatra, profesor Akademii Medycznej w Gdańsku, daje tu niezwykle interesującą analizę psychologiczno-psychiatryczną zagadnienia ludobójstwa. Od zabijania pojedynczych ludzi, poprzez terror i propagandę doprowadzające do „zmowy mil-

czenia" uczciwych ludzi, poprzez wychowywanie w stosowaniu przemocy i kult bestialstwa próbuje autor przeprowadzić czytelnika do wyjaśnienia zagadki istnienia w jednym narodzie jednocześnie przedstawicieli wysokich poglądów etycznych (*Goethe, Schiller, Kant* i inni) i przedstawicieli najniższych zbrodniczych inklinacji, które doprowadziły wreszcie do ludobójstwa. W artykule tym znajdzie czytelnik również ciekawe omówienie dwóch książek, jakie ukazały się w 1964 roku na temat hitlerowskiego ludobójstwa.

Następne trzy prace dotyczą badań psychologiczno-psychiatrycznych osób urodzonych lub więzionych przed 14. rokiem życia w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, czyli tzw. „dzieci oświęcimskich". Przeprowadzono badania 50 osób, w tym 30 kobiet i 20 mężczyzn. W poprzednim, piątym zeszycie („Przegląd Lekarski — Oświęcim" 1965, nr 1, str. 21) *Wanda Półtawska* w artykule „Z badań nad dziećmi oświęcimskimi. (Uwagi ogólne)" podaje wstępne wyniki badań. W obszernej pracy autorzy *Wanda Półtawska, Andrzej Jakubik, Józef Sarnecki* i *Julian Gątarski* podają wyniki swych badań psychiatrycznych, psychologicznych i elektroencefalograficznych. Są to wyniki szeroko zakrojonych badań „dzieci obozowych"; wydaje się, że tego rodzaju badań na taką skalę dotąd nie przeprowadzano.

Doktorzy *Stanisław Kłodziński* i *Janusz Kutyba* z Krakowa a dalej dr *Jan Zielina* z Cieszyna przedstawiają wyniki badań stanu zdrowia byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych.

Dr *Stanisław Kłodziński* motywuje „Konieczność kontynuowania badań naukowych nad zagadnieniem Oświęcimia" mnogością tematów, jakie pozostały jeszcze do opracowania.

Doc. dr *Antoni Kępiński* w swej ciekawej pracy pt. „Koszmar" snuje swe refleksje na temat przeżyć obozowych, przyrównując je do koszmarnego snu. „Nie wiemy, w jakim stopniu życie nasze na jawie jest realizacją naszych marzeń sennych, nie wiadomo też, czy koszmar obozów koncentracyjnych przed swym urzeczywistnieniem nie był koszmarem sennym u wielu może ludzi. W każdym razie jego realizacja pozostawiła trwały ślad w historii gatunku ludzkiego. Znaczenie tego śladu może być korzystne, jeżeli pamięć obozów koncentracyjnych zohydzi na zawsze wojnę i jej fałszywych proroków" — kończy swój piękny artykuł doc. *Kępiński*.

Na końcu działu naukowego drukujemy przekład świetnego eseju filozoficznego niedawno zmarłego wielkiego lekarza, dra *Alberta Schweitzera*, pt. „Zagadnienie etyki w rozwoju myśli ludzkiej". Rozprawa to dyskusyjna, bo wychodząca z niematerialistycznych założeń, ale szlachetna w swej tezie głębokiej afirmacji i poszanowania życia. A więc broniąca tego, co z całą premedytacją i pasją niszczył hitleryzm.

Dr *Albert Schweitzer* urodził się 14. I. 1875 r. w Kayserbergu w Alzacji. Ojciec jego był luterańskim pastorem. Niezwykle uzdolniony *Schweitzer* był filozofem, teologiem i muzykiem. Uzyskał doktorat filozofii i teologii w uniwersytecie w Strasburgu. Jako muzyk szczególnie umiłował *Jana Sebastiana Bacha*, o którym napisał piękne studium. Od 1906 roku do 1913 roku odbył studia lekarskie i uzyskał doktorat medycyny. Ożenił się z *Heleną Bresslau*, która później jako pielęgniarka pomagała mężowi w Afryce. Zmarła w 1957 roku. W roku 1913 *Schweitzer* udał się do Afryki. Tu w oparciu o stację Paryskiego Towarzystwa Misjonarzy założył szpital w Lambaréné.

Lambaréné leży w dżungli równikowej Gabonu, tj. dawnej Francuskiej Afryki Równikowej (Ekwatorialnej). Tu jest najgorszy klimat. U tubylców występują oprócz zwykłych chorób trąd, czerwonka, słoniowacizna, śpiączka, malaria itd. W 1917 roku *Schweitzer* powrócił z żoną do Francji, a później kilka lat pracował w szpitalu w Strasburgu, wykładał, dawał recitale organowe, pisał. W 1923 roku opublikował dwutomowe dzieło pt. „Filozofia cywilizacji". Do Afryki powrócił w 1925 roku. Tu zmarł 5. IX. 1965 r., przeżywszy lat 90, z których 52 z przerwą spędził w Afryce. Pochowany został w Lambaréné.

Wielki humanitaryzm pozwolił mu odnaleźć życiową drogę. Pisze o *Schweitzerze* prof. *Konstanty Grzybowski*: „Jak będąc Niemcem, czuł się bliskim Francji i kulturze francuskiej, tak będąc chrześcijaninem szukał w innych religiach nie przeciwstawności, ale podobieństw w ujmowaniu sprawy współżycia ludzi" (w artykule *„Bismarck* o złotym sercu", „Życie Literackie" 1965, nr 40, str. 5).

Otrzymał liczne odznaczenia, ordery, członkostwo wielu towarzystw naukowych, wśród nich także w roku 1951 członkostwo Francuskiej Akademii. W 1952 roku przyznano mu pokojową nagrodę Nobla.

Szpital *Schweitzera* w Afryce rozrósł się. Posiadał później 70 budynków, 350 łóżek, także leprosorium dla 200 chorych. Pracowało 5 lekarzy, 7 pielęgniarek i 13 dobrowolnych pomocników.

Był jednym z pierwszych uczonych Zachodu, który żądał zakazu broni atomowej i energicznie przyłączył się do radzieckich propozycji całkowitego rozbrojenia; w swych przemówieniach podkreślał wagę tych propozycji.

Schweitzer postawił sobie sam dwa wspaniałe pomniki: jeden — to jego system filozoficzno-etyczny z zasadami nieskończonego szacunku dla życia; drugi — to wspomniany już szpital, założony i prowadzony przez niego w dżungli Gabonu. *Schweitzer* podjął w 1913 roku wielkie, heroiczne postanowienie: przenieść do dżungli współczesną medycynę. Jako pionier leczył czarnych mieszkańców Gabonu wtedy, kiedy prawie nikt inny z białych tego nie czynił.

Nie umniejsza w niczym wielkiej wartości jego idei to, że w późniejszych latach swego życia nie unowocześniał on swego szpitala i że nie szedł z postępami medycyny, tak że szpital pozostał archaiczny.

W zestawieniu z upadkiem zasad człowieczeństwa u hitlerowców przykład *Schweitzera* jest szczególnie krzepiący.

Obszerny dział drugi, historyczno-dokumentarny, zawiera szereg ważnych prac.

Dr *Marian Ciećkiewicz* już w latach ubiegłych ogłosił swe prace na temat działalności ubezpieczalni społecznej podczas okupacji. Jedna z nich dotyczyła krakowskiej ubezpieczalni społecznej („Przegląd Lekarski" 1945, nr 2, str. 11—15), druga zaś była krótkim sprawozdaniem dotyczącym lecznictwa ubezpieczeń społecznych na terenie tzw. Generalnej Guberni („Przegląd Lekarski — Oświęcim" 1963, nr 1a, str. 124—129). Obecnie publikujemy jego obszerną pracę, dotyczącą całości lecznictwa ubezpieczeń społecznych w Polsce pod okupacją hitlerowską. W ten sposób udostępnia się syntezę spraw ubezpieczalnianych, zawierającą bogactwo okupacyjnej faktografii, gromadzonej przez autora i opracowywanej już w pierwszych latach powojennych. Wydaje się, że chodzi tu o bardzo ważną pracę dotyczącą historii służby zdrowia w okupowanej Polsce. Uwypuklone zostały tu wielkie niewątpliwie zasługi lecznictwa ubezpieczeń społecznych w tym okresie. Z drugiej strony uderza czytelnika cynizm oraz wyzbycie się najelementarniejszych zasad etyki lekarskiej przez hitlerowskich lekarzy, których „rząd Generalnej Guberni" postawił na czele instytucji mających za zadanie leczenie ludzi chorych. Jest wielką zasługą autora dokładne i skrupulatne opisanie działalności ubezpieczeń społecznych w okupowanej Polsce. Sądzimy, że przez opublikowanie tej obszernej pracy utrwali się ważny materiał, który będą mogli wykorzystać w przyszłości historycy tego okresu.

W artykule „Pomoc wysiedlanym przez hitlerowców w świetle relacji sióstr PCK *Zofii Rzacowej* i *Marii Osińskiej*" porusza dr *Stanisław Kłodziński* zagadnienie transportów polskiej ludności wysiedlonej z Poznańskiego, Pomorskiego, Łódzkiego itd. W przytoczonej relacji dwóch sióstr PCK znajdzie czytelnik autentyczny opis najbardziej nieludzkich i okrutnych metod stosowanych przez hitlerowców.

Mgr farmacji *Tadeusz Pankiewicz* skreślił w swym artykule „Apteka Pod Orłem w getcie krakowskim" wstrząsające dzieje zagłady żydowskiego getta w Krakowie. Niezwykła jest historia „apteki w getcie krakowskim" i niezwykłe są zasługi mgra *Tadeusza Pankiewicza* w niesieniu pomocy dręczonej, katowanej i mordowanej ludności żydowskiej w krakowskim getcie w dzielnicy Podgórze.

Naprzód kilka słów o autorze. *Tadeusz Pankiewicz* urodził się w 1908 roku w Samborze (województwo lwowskie). Rodzice przenieśli się do Krakowa w 1909 roku, a ojciec jego założył aptekę w dzielnicy Podgórze przy Małym Rynku, później zwanym Placem Zgody, a obecnie Placem Bohaterów Getta. W latach 1909—1941, do chwili utworzenia dzielnicy żydowskiej, mieszkał nad apteką. Wydział farmacji ukończył w UJ w Krakowie w 1930 roku i rozpoczął pracę w aptece ojca.

Wybucha wojna w 1939 roku. Wraz z wieloma uciekinierami znalazł się we Lwowie. W pierwszych dniach listopada 1939 r. powrócił do Krakowa i na drugi dzień po przyjeździe został aresztowany przez gestapo i uwięziony przy ul. Montelupich. Po kilku tygodniach w niezwykłych okolicznościach opuścił więzienie.

W 1941 roku Niemcy utworzyli dzielnicę żydowską w Podgórzu. W obrębie murów getta znalazła się jedyna apteka jego ojca na cztery istniejące w Podgórzu apteki. Z chwilą utworzenia dzielnicy żydowskiej rodzina *Pankiewiczów* utraciła mieszkanie nad apteką i przeniosła się poza obręb murów getta. Ze względu na to, że apteka miała być czynna dzień i noc, wprowadził się na stałe do pokoju dyżurnego przy aptece i stał się jedynym Polakiem, który przez cały czas istnienia getta krakowskiego tam mieszkał i pracował. Rozkaz prowadzenia apteki w getcie przez Polaków uzasadniały władze niemieckie zarządzeniem, że w aptece nie może pracować Żyd, nawet w tym wypadku, jeśli apteka znajduje się w dzielnicy żydowskiej. Mgr *Pankiewicz*, a także dojeżdżające do pracy pracownice mgr *Irena Drożdzikowska* i mgr *Helena Krywaniuk*, starali się nieść pomoc nieszczęśliwym ludziom.

Po likwidacji getta pracują nadal we trójkę aż do uwolnienia Krakowa i później do 1950 roku, kiedy nastąpiło przejęcie przez państwo wszystkich aptek. Obie współpracownice zostały przeniesione poza obręb Krakowa do innych aptek, a autor pełnił czynności kierownika uspołecznionej już apteki do 1954 roku, kiedy na własną prośbę został przeniesiony do apteki nr 28 przy al. 29 Listopada 17 na stanowisko kierownika tej apteki. Tu pracuje do chwili obecnej.

W 1947 roku wydał swe wspomnienia z okresu pobytu w getcie pt. „Apteka w getcie krakowskim" (nakładem wydawnictwa „Świat i Wiedza", 1947, stron 151). Książka ta wzbudziła wielkie zainteresowanie i zyskała bardzo pochlebne oceny w prasie polskiej oraz zagranicznej. Niestety jest ona dawno wyczerpana.

Uratowani od zagłady dzięki pomocy mgra *Tadeusza Pankiewicza* lub też rodziny pomordowanych, którym pomagał on w ostatnich okresach ich życia, opowiadali o jego działalności w okresie okupacji w krakowskim getcie. Ta działalność uczyniła go sławnym i uwielbianym przez szerokie rzesze ludności żydowskiej w różnych krajach Europy i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Toteż posypały się zaproszenia z zagranicy i nastąpiły jego wyjazdy i — chyba bez przesady rzec można — triumfalne powitania. I tak w 1957 roku wyjeżdża na zaproszenie Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie, zajmującego się zbieraniem i publikowaniem materiałów historycznych, związanych z dziejami życia,

oporu i zagłady Żydostwa europejskiego, i zwracającego szczególną uwagę na udzielanie pomocy Żydom przez nie-Żydów. „W tym rozdziale zajmuje Szan. Pan wybitne miejsce i książka jego «Apteka w getcie krakowskim» należy do czołowych dzieł w tej dziedzinie" — pisze w zaproszeniu generalny sekretarz Wydziału Naukowego Instytutu Yad Vashem.

Mgr *Pankiewicz* był gorąco witany przez bliskich znajomych, którym dane było przeżyć getto, jak również przez prasę izraelską. W Tel-Awiwie brał udział w dorocznej uroczystości poświęconej uczczeniu pamięci getta krakowskiego. Siedział przy stole prezydialnym obok wysokich władz rządowych i miejskich i wygłosił wspomnienie z okresu pobytu w getcie. Po raz pierwszy wtedy uroczystość odbyła się w języku polskim ze względu na jego udział.

W 1960 roku wyjechał do Danii na zaproszenie człowieka, który nigdy nie był w getcie i od 45 lat mieszka za granicą. W 1961 roku wyjechał do Belgii i Holandii, zaproszony przez Żydów, którzy go osobiście nie znali, a jedynie słyszeli o roli apteki w getcie. W 1965 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, zaproszony przez Instytut „Yivo", który zajmuje się zbieraniem i wydawaniem dokumentów dotyczących martyrologii Żydów w krajach okupowanych przez Niemcy hitlerowskie.

Jest wysoko ceniony przez Wojewódzką Żydowską Komisję Historyczną w Krakowie.

Mgr *Pankiewicz* przeżył dwa i pół roku jako jedyny Polak z własnej woli, częstokroć z narażeniem życia w krakowskim getcie. W tej aptece, której zwykła rola zaopatrywania ludności w leki zeszła na dalszy plan, odbywały się spotkania, tu często chronili się mieszkańcy getta, tu rozgrywały się różne tragedie. W aptece deklamował swe wiersze żydowski poeta *Gebirtig*, malował często swe obrazy malarz *Neumann*, tu przeprowadził pewne ważne rozwiązanie matematyczne prawnik i matematyk *Rapaport*. Autor prowadzi czytelnika, który czyta jego wspomnienia, ze ściśniętym sercem, przez poszczególne etapy zagłady getta. Pisze autor: „Żydzi krakowscy ginęli wprawdzie bez zrywów wolnościowych takich, jakim była obrona getta w Warszawie, ale ginęli z powagą, godnie, bez poniżania się przed okupantem. Z wyjątkiem małej grupy zaprzedańców uprawiali prawie wszyscy, pracując na różnych placówkach, świadomy, konsekwentny sabotaż". A kiedy 13 i 14 marca 1943 r. nastąpiła „likwidacja getta" i gdy zapanowała cisza cmentarna, tak pisze *Pankiewicz:*

„Z chwilą zniszczenia getta istnienie apteki straciło właściwie sens. Zdawało mi się, że po dwóch latach życia w getcie ja sam zostałem też jak gdyby wysiedlony w kraj umarłych, w miasteczko opróżnione z ludzi, gdzie odgłos kroków zabłąkanego człowieka budzi lęk, gdzie widok spotkanego człowieka przejmuje dreszczem. Po dwu dniach przymusowego siedzenia w aptece szedłem po tym wymarłym miasteczku wsłuchany w odgłos mych własnych kroków.

Ciemno już było, kiedy wracałem do apteki. Niesamowitość otoczenia, puste i ciemne ulice i place napawały dziwnym niepokojem. Każda uchylona brama, każde otwarte okno w wymarłych całkowicie domach potęgowały ten niepokój. W pewnych momentach zdawało mi się, że halucynuję: ktoś szybko przebiegł przez sień, ktoś zapalił w oknie zapałkę, ktoś znów otworzył okno; usłyszałem gwizd, spadła do mych stóp karteczka rzucona tajemną ręką. Nie, to nie halucynacja, to rzeczywistość. Ktoś żyje jeszcze w kamienicy, ktoś skrył się w obawie przed innym człowiekiem. Podniosłem kartkę i przyspieszyłem kroku. Zbyt świeże były jeszcze w mojej pamięci i moich myślach widziane i przeżyte obrazy, by móc spokojnie się zastanowić nad treścią i znaczeniem karteczki, by zapamiętać miejsce, skąd dochodziły tajemne sygnały.

Przed wejściem do apteki znów usłyszałem szmer czyichś kroków i stuknięcie w szybę. Wpadłem do bramy. Cisza panowała zupełna. W korytarzu potknąłem się jeszcze o zwłoki nagiego człowieka. Odetchnąłem, gdy znalazłem się w aptece. Podszedłem do okna, by popatrzeć na znajomy mi plac, by uwierzyć w rzeczywistość tego, co przeżyłem.

Trudno było usnąć tej nocy. Wrażenie pustki i ciszy działało denerwująco. Ciągle mi się zdawało, że słyszę stuk czyichś kroków, skrzypienie drzwi, stukanie w szybę. Przez wiele następnych dni, kiedy chodziłem po getcie, słyszałem podobne odgłosy. Wówczas już wiedziałem na pewno, że nie były to omamy. Ludzie dawali znaki, że żyją, że potrzebują pomocy".

Na te pojedyncze, ukryte osoby wyruszały całe wyprawy siepaczy hitlerowskich, tropiąc je w kryjówkach i mordując. Ostatni akt zagłady getta rozegrał się w nocy z 14 na 15 grudnia 1943 r., kiedy nastąpiła likwidacja policji żydowskiej.

W słowie wstępnym poświęcono nieco więcej uwagi artykułowi *Tadeusza Pankiewicza.* Z jednej strony jest ten artykuł ważnym przyczynkiem historycznym do dziejów zagłady krakowskiego getta. Z drugiej strony — co pragniemy szczególnie mocno podkreślić — jako niezwykle piękny przykład najszlachetniej pojętej humanitarności zadaje kłam poglądom o wrogiej postawie ludności polskiej wobec ludności żydowskiej w okresie hitlerowskiej okupacji. Przykładów niesienia pomocy Żydom przez Polaków było niepomiernie więcej. Przykład „apteki w getcie krakowskim" jest przykładem tej humanitarności w szczególnie wysublimowanej postaci.

Doc. dr *Mieczysław Skulimowski,* historyk medycyny, w swej pracy „Zagłada szpitala żydowskiego w Wieliczce w roku 1942" przedstawia jedną z najciemniejszych, a mało lub prawie w ogóle nieznanych kart okresu hitlerowskiej okupacji w Polsce. Autor oparł się na fragmencie dziennika działaczki socjalistycznej, *Marii Bill-Bajorkowej,* na opisie zbrodni niemieckich wobec ludności żydowskiej w Wieliczce w okresie od 6. IX. 1939 do końca 1942 roku, sporządzonym po wojnie 6. VIII. 1946 r. przez *Michała Zellnera* oraz na relacjach mieszkańców Wieliczki. Artykuł jest tymczasowym i niepełnym jeszcze opisem owych czasów. Można oczekiwać, że autor, skrupulatny badacz dziejów polskiej medycyny, badania te w przyszłości uzupełni i rozszerzy.

Bardzo interesujący i ważny pod względem historycznym jest artykuł lek. *Doroty Lor-*

skiej[4] pt. „Wspomnienia z bloku nr 10. Dr *Hans Münch*". Jest to drugi z kolei artykuł autorki. W zeszycie piątym autorka w artykule „Blok X w Oświęcimiu" („Przegląd Lekarski — Oświęcim" 1965, nr 1, str. 99) podaje relację z osławionego bloku dziesiątego, w którym dokonywano „doświadczeń" na kobietach i przedstawia tam zbrodniczą działalność lekarzy *Clauberga, Schumanna*, a także *Wirthsa* i *Webera*. W niniejszym artykule *Dorota Lorska* omawia krótko działalność lekarza *SS*, dra *Hansa Müncha*. Dr *Münch* sądzony był przez Najwyższy Trybunał Narodowy na sesji w Krakowie w tzw. „procesie oświęcimskim", toczącym się w czasie od 21. XI do 16. XII. 1947 r. przeciwko 40 członkom załogi obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Drogą ekstradycji wydany władzom polskim znalazł się na terenie RP od 18. XII. 1946 r. Dr *Münch* pełnił od końca 1943 do stycznia 1945 r. w Rajsku obowiązki lekarza *SS* w *„Higiene Institut der Waffen SS"*. W wyniku tego procesu 23 oskarżonych skazano na karę śmierci, 16 na karę więzienia w granicach od więzienia dożywotniego do 3 lat. Jednego oskarżonego uniewinniono z zarzutów oskarżenia. Tym jedynym uniewinnionym był właśnie dr *Hans Münch*. Przydzielony został z końcem 1943 roku przymusowo do *SS*. W stosunku do więźniów obozu — jak wykazano w toku przewodu sądowego — zachowywał się jak najpoprawniej i jak najżyczliwiej. Trybunał polski umiał nie tylko odpowiednio osądzić hitlerowskich zbrodniarzy, lecz także tych, którzy wyróżnili się człowieczeństwem, chociaż byli w mundurach *SS*.

O autorce, dr *Lorskiej*, byłej więźniarce bloku nr 10 w Oświęcimiu, znajdzie czytelnik wiele uwag w słowie wstępnym do poprzedniego, piątego zeszytu „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (1965, nr 1, str. 7).

Mgr *Eugeniusz Niedojadło* z Tarnowa niejako nawiązuje do procesu frankfurckiego, podkreślając, że istotny wpływ na jego epizodyczny wyjazd do oświęcimskiego podobozu w Bernie morawskim wywarła chęć wydostania się ze strefy działania osławionego kata *Bogera*, co uwidocznia podtytuł: „Ucieczka przed Bogerem". W swej pracy mgr *Niedojadło* wymienia dra *Czesława Wincentego Jaworskiego*, którego wspomnienia ukazały się w 1952 roku pod tytułem „Wspomnienia z Oświęcimia (Oświęcim, Brno, Monowice)".

Dr *Ella Lingens* z Wiednia (o autorce patrz: słowo wstępne do czwartego zeszytu „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" 1964, nr 1, str. 6) w artykule „Problemy narodowościowe w szpitalu kobiecym w Brzezince" porusza drażliwe zagadnienie zaufania chorych do lekarzy, opartego na przynależności do tej samej lub innej narodowości. Autorka pisze:

„Rozpoczęłam swoją funkcję w rewirze jako przekonana internacjonalistka, musiałam jednak przyznać, że naprawdę rozsądniej było poddać więźniarki leczeniu ich rodaczkom-lekarkom po prostu dlatego, że w tych warunkach łatwiej było przywrócić niezbędny wzajemny stosunek zaufania między chorym a lekarzem, gdy wspomnienia i wspólne rozmowy wzajemnie ich zbliżały. Chore należały do różnych narodów, wszystko było trudniejsze niż na wolności, a także między rozsądnymi ludźmi może powstać niedowierzanie i brak zaufania tylko dlatego, że sama wiedza lekarska ma pewne swoiste cechy narodowe, ponieważ określone metody leczenia w jednym kraju są w praktyce częściej stosowane, w innym zaś rzadziej".

Dr *Otto Wolken* z Wiednia, którego trzy artykuły zostały już uprzednio opublikowane w naszych zeszytach (zob. „Przegląd Lekarski — Oświęcim" 1964, nr 1, str. 84—90 oraz tamże 1965, nr 1, str. 106—107) i o którego losach czytelnik przeczytać może w słowie wstępnym do czwartego zeszytu specjalnego „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (1964, nr 1, str. 5), opisuje swoje przeżycia w ostatnich dniach obozu oświęcimskiego w artykule pt. „Oswobodzenie obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka". Jest to opis mocny, pełen dramatycznego napięcia.

Walorem bezpośredniego autentyzmu wyróżnia się też wspomnienie *Wojciecha Jekiełka* z Krakowa, zatytułowane „Akcja pomocy Batalionów Chłopskich więźniom obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka". Autor był aktywnym działaczem konspiracyjnym w Batalionach Chłopskich. W swej pracy daje relację z przebiegu pomocy dla więźniów tego obozu, realizowanej przez specjalnie wydzieloną grupę BCh. Uwagę zwraca m. in. umiejętność, z jaką autor uchwycił przekształcanie się i doskonalenie form tej pomocy, od pracy poszczególnych osób, poprzez spontaniczne łączenie się w grupy, aż do powstania pomocy zorganizowanej. W swym tekście *Jekiełek* skupia się na pomocy w dostarczaniu leków do obozu, a ponadto kreśli sylwetki bohaterskich działaczy pochodzących z proletariatu wiejskiego, którzy akcje tę przypłacili życiem. Warto nadmienić, że *Jekiełek* otrzymał w 1964 roku nagrodę „Polityki" za swą książkę „W pobliżu Oświęcimia".

Stefan Rzeźnik, wielce zasłużony krakowski działacz socjalistyczny, przynosi niezwykle ciekawą relację o „Wykradzeniu więźnia obozu w Oświęcimiu inż. *Tadeusza Orzełskiego* ze Szpitala św. Łazarza w Krakowie". *Tadeusz Orzelski*, związany bardzo czynną działalnością podziemną przeciw okupantowi hitlerowskiemu z ośrodkami ruchu oporu PPS w Krakowie, został wywieziony do obozu w Oświęcimiu. Wymęczony, w ciężkim stanie fizycznym przywieziony został przez gestapo do Krakowa i umieszczony chwilowo dla leczenia w szpitalu. Miało to ułatwić rozszyfrowanie i aresztowanie całej siatki podziemnej organizacji. Jak w sensacyjnej i pełnej dramatycznego napięcia powieści przedstawia autor cały tok trudnej, niebezpiecznej i pięknej akcji uwolnienia w dniu 11 czerwca 1941 roku zasłużonego działacza walczącej Polski podziem-

[4] Już w czasie składania tego zeszytu redakcja z największym żalem przyjęła do wiadomości wieść o przedwczesnym zgonie tej szlachetnej, bardzo zasłużonej lekarki i uczestniczki ruchu oporu. W następnym zeszycie zostanie poświęcone jej specjalne wspomnienie, które godnie uczci jej świetlaną pamięć.

nej. Artykuł ten odsłania też piękną kartę działania krakowskich lekarzy.

Do słynnej tragedii Lidic czeskich nawiązuje dr *Jan Zielina* w pracy pt. „Dzieci z Lidic". Zniszczenie Lidic przez hitlerowców nastąpiło po zamachu czeskiego ruchu oporu na *Heydricha*. Związek między tymi wydarzeniami wyjaśnia przypis redakcyjny przy artykule dra *Zieliny*. Losy Lidic wiążą się z losami Polaków podczas okupacji. Warto bowiem przypomnieć, że Lidice, zamieszkałe przez około 500 osób przeważnie z rodzin górniczych, padły niemal w całości ofiarą bestialstwa hitlerowskiego. Na miejscu zamordowano około 192 mężczyzn i 7 kobiet, resztę kobiet wysłano do Ravensbrück, a dzieci do 15. roku życia w liczbie około 100 wywieziono do obozu w Łodzi, skąd zaledwie kilkoro zabrano na zniemczenie, a resztę skierowano na zagładę do komory gazowej w Chełmnie. Lidice, jak również drugą pobliską wioskę, Leżaki, Niemcy zrównali z ziemią.

Dr *Jan Zielina* przebywał w owym *Durchgangslager* w Łodzi od grudnia 1940 do listopada 1942 roku, wysiedlony tam z żoną ze Śląska cieszyńskiego jako Polak. W tym czasie miał sposobność zetknąć się ze sprawą dzieci czeskich, o czym informuje naszych czytelników. Oprócz dra *Zieliny* w obozie tym przebywali m. in.: dr *Alfred Nowak* z Wisły, dr *Helena Czarnecka* z Katowic, dr *Jerzy Walicki* z Żywca. Siostra *Makowska*, o której wspomina dr *Zielina* w „Dzieciach z Lidic", pracuje obecnie w przychodni przeciwgruźliczej w Łodzi. W obozie łódzkim przebywała ona od początku jego istnienia aż do chwili wyzwolenia. Obóz ten podlegał *Eichmannowi*. Bezpośrednim przełożonym był oficer *SS, Püschel*, mieszkaniec Łodzi, który prawdopodobnie żyje jeszcze w NRF. Podając te informacje, otrzymane od dra *Zieliny*, należy jeszcze dodać, że zdjęcia reprodukowane w jego artykule pochodzą z książki „Lidice", wydanej w Pradze w 1946 roku (przez Ministerstwo Vnitra). Autor ten opublikował już swe wspomnienia w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" (1964, nr 1, str. 82—84).

Dalsze prace, mianowicie wspomnienia dra *Jerzego Włoczewskiego* pt. „Ursus a powstanie warszawskie" i *Heleny Rawskiej* „Ze wspomnień okupacyjnych pielęgniarki z Ursusa" dotyczą wojennych przeżyć i ówczesnej działalności tych pracowników służby zdrowia, którzy wtedy przebywali w pobliskich okolicach Warszawy. Obie pozycje mają walor dokumentu historycznego, gdyż oboje autorzy podówczas w Ursusie zetknęli się z ludźmi wysiedlanymi z Warszawy i uczestniczyli w niesieniu im pomocy: dr *Jerzy Włoczewski* jako kierownik służby zdrowia w Ursusie, *Helena Rawska* jako pielęgniarka w tym samym podwarszawskim miasteczku. Na prośbę naszej redakcji zgodzili się oni nadesłać te cenne wspomnienia, dzięki czemu wkracza na łamy „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" mniej znana problematyka, związana z wojennymi dziejami Warszawy i okolic stolicy, mianowicie informacje o pracy podwarszawskich szpitalików, które powstały jak grzyby po deszczu w okresie powstania warszawskiego. W owych tragicznych czasach tak się szczęśliwie złożyło, że niektóre z tych często improwizowanych placówek mogły pod bokiem Niemców i opodal ogromnej tragedii Warszawy wytworzyć swoisty mikroklimat, sprzyjający niesieniu pomocy ofiarom bestialstwa hitlerowskiego, nacechowany wyjątkowym na owe czasy spokojem, atmosferą altruizmu i humanizmu; w takiej aurze można było spełniać wzmożone zadania i pracę lekarską, jak np. w takim właśnie szpitaliku, jaki opisują autorzy z Ursusa. W warunkach ursuskich wysiedleni z Warszawy mogli leczyć swe choroby i rany, a co ważne, rany również psychiczne.

Dr *Włoczewski* daje relację krótką, dobrze wprowadzającą w zagadnienie, natomiast *Helena Rawska* szczegółowo rozwija swoje wspomnienie. Na podkreślenie zasługuje jej serdeczne przejęcie się często nie docenianą funkcją pielęgniarską i przebijająca z tekstu żywym autentyzmem troska o chorych w tak trudnych warunkach wojennych, widoczna choćby w charakterystyce niektórych pacjentów. Trudno byłoby autorce po przeszło 20 latach przywrócić w pamięci tak dokładne obrazy, gdyby nie zapadły jej głęboko w serce.

Piszący te słowa miał szczęście zetknąć się z tymi ludźmi. W czasie powstania warszawskiego został wraz ze swym zespołem lekarsko-pielęgniarskim wyrzucony przez własowców ze szpitala powstańczego, mieszczącego się w lokalu II Ośrodka Zdrowia przy ulicy Opaczewskiej 1, którym kierował, po czym poprzez sławetny „Zieleniak" dostał się do Ursusa i tu współpracował z drem *Włoczewskim* i dr *Włoczewską*. Ci wspaniali ludzie nie tylko oddali do dyspozycji przybyszów pomieszczenia lekarskie, ale także swe mieszkanie. Zapał i poświęcenie zespołu ursuskiego nie znały granic. Okres ten pozostał w pamięci piszącego te słowa jako okres otoczony specjalnymi ramkami ze szczerego złota.

Oczywiście opublikowane w tym zeszycie wspomnienia z Ursusa są tylko cząstką tego, co można i co powinno się napisać na temat działalności służby zdrowia i wydarzeń dziejących się wokół Warszawy, ogarniętej płomieniem powstania. Pełniejsze opracowanie zagadnienia pomocy dla uchodźców z Warszawy, a w szczególności tak ważnej opieki lekarskiej nad rannymi i chorymi warszawiakami, najbrutalniej przez Niemców wyrzuconymi z miasta, uwydatniłoby te fakty, które kryją się jeszcze w półmroku i o których dotąd głucho w naszym piśmiennictwie. Każdy z tych małych szpitalików — to mała cząsteczka; one razem wzięte jednak pełniły niewątpliwie niezmiernie ważne zadanie niesienia pomocy ludności polskiej w jej najcięższym i najtragiczniejszym okresie. Sądzimy, że te dwie pierwsze małe publikacje pobudzą innych kolegów, którzy mieli sposobność pracować w analogicznych warunkach, do spisa-

nia swych wspomnień z okresu powstania warszawskiego.

Dwa ważne dokumenty kończą dział dokumentarno-historyczny, mianowicie wykaz esesmanów z oświęcimskiej „służby zdrowia", zestawiony przez dra *St. Kłodzińskiego*, oraz sentencja wyroku w procesie frankfurckim wraz z częściowym uzasadnieniem tego wyroku, dotyczącym oskarżonych lekarzy i innych członków „służby zdrowia".

Dalszy dział obejmuje „W s p o m n i e n i a". *Stanisław Pigoń*, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, znakomity znawca literatury polskiej, były więzień obozu w Sachsenhausen, snuje w swych „Wspominkach z obozu w Sachsenhausen" w kilku rozdziałach niezwykle interesujące wspomnienia. Znajdzie tam czytelnik i głębokie psychologiczne rozważania, i zadziwiające trafnością u nielekarza spostrzeżenia przewidywania zgonu. „Z jakości czyjegoś spojrzenia rozeznawaliśmy odległość cicho zbliżającej się śmierci". Znajdzie tam dalej czytelnik — co dla nas jest szczególnie cenne i ważne — opisy kontaktów autora z uwięzionymi profesorami medycyny. Wszędzie przebija poczucie godności, nie opuszczające uwięzionych uczonych nawet w najcięższych chwilach. Całość jest napisana przepięknym, jak gdyby nieco archaizującym językiem. Zarówno treść artykułu, jak i jego forma sprawiają, że artykuł znakomitego i czcigodnego nestora nauki polskiej stanowi prawdziwą ozdobę zeszytu.

Czytelnikom pragniemy przypomnieć, że już w poprzednich zeszytach zostało opublikowanych wiele materiałów dotyczących całej, nie spotykanej w dziejach sprawy uwięzienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (zob. zeszyt trzeci z r. 1963, nr 1a: artykuły profesorów *Miodońskiego, Brzezickiego, Skowrona*, lista osób aresztowanych 6. XI. 1939 r. w gmachu Uniwersytetu Jagiellońskiego, Słowo wstępne str. 36—38; zob. też zeszyt. czwarty z r. 1964, nr 1: „O staraniach czynionych dla uwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego", str. 53—57).

Stanisław Głowa w opisie „Ewakuacji obozu w Sachsenhausen" przedstawia wiele ciekawych z punktu widzenia lekarskiego spostrzeżeń dotyczących głodu.

Z kolei publikujemy artykuł dra praw *Adolfa Gawalewicza* pt. „Reszta będzie milczeniem". W trzech poprzednich zeszytach (r. 1963, 1964 i 1965) opublikowane zostały kolejno artykuły tego autora: „Poczekalnia do gazu. Fragmenty wspomnień muzułmana", „Numer wraca do nazwiska. I: Finał epopei lagrowej", „Numer wraca do nazwiska. II: Prolog ludzkiego życia". W niniejszym, czwartym artykule znakomity autor podaje w pierwszej części uogólniające uwagi, jak gdyby spojrzenie na całość przeżyć z dystansu czasowego. Podkreśla wagę wspomnień pojedynczych ludzi, choć we wstrząsającym wierszu pewien poeta powiedział m.in.: „Pomińcie nas milczeniem. Wy chcecie, żeby mówić. Cóż słowa odtworzą? My chcemy z tym, co było, być na zawsze sami..." W części drugiej artykułu podaje autor swoje początkowe dzieje w okresie okupacji, tj. uwięzienie na ul. Montelupich, poprzedzające odtransportowanie go do obozu w Oświęcimiu.

Już w poprzednich artykułach ujawnił się w osobie dra *Gawalewicza* niezwykły talent pisarski. Powstała tu całość złożona z czterech części, która wzbogaca literaturę obozową o niezwykle cenną pozycję. Poczynione zostaną starania, by wszystkie cztery części wydać w postaci książkowej jako jedną całość.

O swoich kontaktach lekarskich w Oświęcimiu opowiada ciekawie *Alfred Woycicki* w artykule pt. „Dwa oblicza «Służby Rozpoznawczej»".

Następny fragment — to wspomnienia profesora gimnazjalnego z Krakowa, *Józefa Kreta*, zatytułowane: „Lekarze znaleźli wyjście". Tak się złożyło, że autora w czasie jego pobytu w Oświęcimiu-Brzezince z największych opresji ratowali lekarze. Drukujemy to wspomnienie, ponieważ *Kret* oprócz zwięzłego opisu swych przeżyć daje ciekawe uogólniające spostrzeżenia o psychicznych przeżyciach więźnia.

Inny autor, którego już gościliśmy w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim", dr *Leon Głogowski* z Katowic-Wełnowca dorzuca w tym zeszycie dalszy odcinek swych wspomnień z obozu oświęcimskiego. Autor zajął się relacją o kwarantannie tego obozu.

Maria Elżbieta Jezierska z Warszawy, która z warszawskiego Pawiaka dostała się do Oświęcimia, kreśli swe wspomnienia z obozu dotyczące swych chorób i kontaktów z lekarzami.

Interesujące wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen snuje *Jan Wolny* z Jarocina, którego inny artykuł został opublikowany w piątym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (1965, nr 1, str. 118—120).

Dr *Stefania Perzanowska* z Radomia w swych cennych artykułach przypomina dzieje obozu koncentracyjnego w Majdanku. Szczególne wrażenie robi charakterystyka niektórych hitlerowskich lekarzy w Majdanku, jak *Bodmana* i *Blankego*. Niezwykłym wyjątkiem w sensie dodatnim miał być, zgodnie z relacjami dr *Perzanowskiej*, młody dr *Rindfleisch*.

W poprzednim zeszycie (1965, nr 1, str. 140—144) opublikowany został inny, piękny artykuł tej autorki. Tamże w słowie wstępnym (str. 10—11) znaleźć może czytelnik dane dotyczące jej samej.

Następuje z kolei dział „R ó ż n e". W cennym artykule prof. dra *Tadeusza Seweryna* pt. „Polskie sądownictwo podziemne" redakcja udostępnia czytelnikom źródłowy materiał dotyczący tego bliżej nie znanego odcinka podziemnej walki z okupantem. W słowie wstępnym do piątego zeszytu (r. 1965, nr 1, str. 11) pisaliśmy o tym, że prof. *Seweryn* był od roku 1941 okręgowym kierownikiem Walki Cywilnej, a w r. 1943 członkiem Kierownictwa Walki Podziemnej. Polskie sądy podziemne

i wykonywanie wyroków przez nie wydawanych na mocy prawodawstwa konspiracyjnych władz wymiaru sprawiedliwości na zdrajcach i konfidentach wpływały na utrzymanie poziomu moralnego społeczeństwa, a pośrednio dzięki temu w pewnym stopniu powstrzymywały działalność sprzedawczyków. Funkcjonowanie sądów podziemnych wywierało więc korzystny wpływ na psychikę ujarzmionego narodu. Działalność tych sądów była ostrzeżeniem dla — na szczęście nielicznych — zdrajców, których przestępna współpraca z okupantem wtrącała do Oświęcimia i do innych obozów i więzień hitlerowskich polskich patriotów, a dla społeczeństwa świadomość istnienia tych organów polskiego wymiaru sprawiedliwości dawała prawdziwą otuchę do przetrwania ciężkiego okresu okupacji. W drodze wyjątku, z uwagi na dokumentarną wartość artykułu prof. *Seweryna*, podającego „z pierwszej ręki" swe historyczne informacje, ubiegamy w tym lekarskim czasopiśmie prawników, którzy zapewne w przyszłości kontynuować będą badania nad działalnością polskiego sądownictwa podziemnego.

„Możemy z dowodami w ręku stwierdzić — pisze prof. *Seweryn* — że procesy przeciwko konfidentom, którzy byli dostawcami więźniów do obozu w Oświęcimiu, mamy już za sobą, nie musimy ich dopiero wszczynać, jak by tego sobie życzyli przeciwnicy kontynuowania procesów przeciw esesmańskim oprawcom oświęcimskim. Polska podziemna postarała się o to, aby polskie sądy podziemne nie przypominały sądów kapturowych w niemieckich korpusach ochotniczych, w których triumfowała nie ograniczona żadnym prawem samowola w określaniu czynu przestępnego".

Przytoczenie struktury, regulaminów i statutów trzech pionów tajnych sądów, a mianowicie komisji sądzących, wojskowych sądów specjalnych i cywilnych sądów specjalnych wraz z placówkami ekspertyzy śledczej, przykłady niektórych wyroków cywilnych sądów specjalnych czynią lekturę tego artykułu szczególnie interesującą.

W zeszycie czwartym „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (1944, nr 1, str. 112—116) profesor Wyższej Szkoły Muzycznej i dyrektor Opery we Wrocławiu, *Adam Kopyciński*, były więzień Oświęcimia, w artykule „Orkiestra w obozie oświęcimskim" opisał, czym była dla więźnia możność muzykowania mimo piekła obozowego. Zgodnie z zapowiedzią zamykającą tamtą publikację następuje teraz uzupełnienie wspomnianego artykułu przez podanie bardziej szczegółowego składu orkiestry obozowej w Oświęcimiu.

W dziale „Sprawozdania" podane jest dość szczegółowe sprawozdanie z uroczystej akademii, jaka została zorganizowana w dniu 27 stycznia 1965 roku w sali Państwowej Filharmonii w Krakowie przez Krakowski Oddział Polskiego Towarzystwa Lekarskiego dla uczczenia XX rocznicy oswobodzenia obozu w Oświęcimiu.

Dział „Sylwetki zasłużonych lekarzy" przynosi, jak poprzednio, krótkie szkice biograficzne. Już po raz drugi wypada nam zamieścić wspomnienie pośmiertne o naszym autorze. Oto w trzecim zeszycie (r. 1963) opublikowany został przejmujący artykuł prof. dra *Jana Miodońskiego*, a już w czwartym zeszycie w 1964 roku wypadło niestety opublikować wspomnienie o przedwcześnie zmarłym znakomitym laryngologu i byłym więźniu obozu w Sachsenhausen.

Tym razem chodzi o dra *Stanisława Kelles-Krauza*. W trzecim zeszycie specjalnym („Przegląd Lekarski — Oświęcim" 1963, nr 1a, str. 88—90) opublikowaliśmy „Wspomnienia lekarza z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen" dra *Kelles-Krauza*, liczącego wtedy już 79 lat. Tamże (str. 38) w słowie wstępnym podano najważniejsze fakty z jego życia. W niniejszym zeszycie czytelnik znajdzie wspomnienie pośmiertne o zmarłym drze *Stanisławie Kelles-Krauzie*, pióra mgra *Witolda Sienickiego*, adwokata z Krakowa, również więzionego w Sachsenhausen, obecnie wiceprzewodniczącego klubu byłych więźniów tego obozu.

We wspomnieniu o drze *Ludwiku Fischerze* z Zakopanego przedstawia dr *Stanisław Kłodziński* tę piękną, śmiało rzec można — sztandarową postać polskiego lekarza.

Dr *Alina Przerwa-Tetmajer* z Warszawy kreśli sylwetki dr *Heleny Wolf* („Anka") oraz *Janiny Zachariasz-Krajewskiej*, a dr *Władysława Jasieńska* ze Szczecina kreśli sylwetkę dr *Wandy Starkowskiej*.

Te wspomnienia o zmarłych koleżankach i kolegach są szczególnie pięknym wyrazem spłacania długu przez tych, którym szczęśliwy los pozwolił przeżyć każdy obozu.

Zeszyt kończy dział „Oceny", zawierający cenną pracę doc. dr *Antoniego Kępińskiego* i mgra *Jana Masłowskiego* pt. „Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z lat 1964—1965". Praca ta jest w pewnej mierze kontynuacją pracy *J. Masłowskiego*, opublikowanej w piątym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (1965, nr 1, str. 175—189), w którym przedstawiono bibliografię polskich prac z zakresu zagadnień lekarskich doby hitlerowskiej okupacji za okres 1944—1964. Wydaje się, że niniejsza praca *Kępińskiego* i *Masłowskiego*, będąca krytyczną oceną publikacji z ostatnich dwóch lat, stanowi ważną pozycję, ułatwiającą orientację w tej ważnej problematyce. Wykazuje ona również dowodnie, iż piśmiennictwo polskie dotyczące lekarskiej tematyki okupacyjnej jest daleko bogatsze, niżby się na pozór mogło wydawać.

* * *

Na zakończenie słowa wstępnego pragnę w imieniu zespołu redakcyjnego jak najserdeczniej podziękować Autorom za ich bezinteresowny trud, włożony w napisanie swych prac i nadesłanie ich do redakcji. Dziękujemy serdecznie Panu Profesorowi Drowi *Bronisławowi Gędoszowi* za szczególną opiekę redaktora naczelnego nad tym specjalnym wydawnictwem i udzielenie cennych rad. Wyrazy szczególnej naszej wdzięczności należą się

Profesorowi Drowi *Janowi Sehnowi*, dyrektorowi Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie, który — jak zawsze dotąd — służył nam prawdziwą, wielkoduszną pomocą. Jego radom, opartym na erudycji i znajomości przedmiotu, zawdzięczamy to, iż mogliśmy w ostatecznym opracowaniu tekstów uniknąć wielu usterek. Jego kontaktom z *Albertem Schweitzerem* zawdzięczamy artykuł i fotografie tego wielkiego lekarza [5]. Wyrazy serdecznego podziękowania należą się Dyrekcji Państwowego Muzeum w Oświęcimiu za przekazanie nam, już nie po raz pierwszy, fotokopii wpisów wybitnych osobistości do tamtejszej księgi pamiątkowej. Są to niektóre zaledwie wpisy spośród tych, które corocznie wzbogacają tę wstrząsającą kronikę, będącą odzwierciedleniem uczuć osób zwiedzających tereny byłego obozu oświęcimskiego. Wreszcie najserdeczniej dziękujemy Państwowemu Zakładowi Wydawnictw Lekarskich, jego dyrekcji i pracownikom za całą życzliwość, z jaką odnoszą się do tych zeszytów i za wszystkie starania, jakie czynią, by zeszyt niniejszy ukazał się we właściwym czasie i w pięknej szacie graficznej, a także Krakowskim Zakładom Graficznym Nr 4 w Krakowie za terminowe ukończenie druku.

[5] W czasie druku zeszytu nadeszła żałobna wiadomość o nagłym, przedwczesnym zgonie prof. dr *Jana Sehna* w dniu 12 grudnia 1965 r. we Frankfurcie nad Menem, dokąd wyjechał jako pełnomocnik ministra sprawiedliwości PRL do spraw ścigania zbrodni hitlerowskich. Do niniejszego zeszytu zostało włączone wspomnienie pośmiertne o prof. dr *Janie Sehnie*, pióra *Mieczysława Kiety*, sekretarza generalnego Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego.

„Nie można zabić milionów ludzi, nie kalecząc całej ludzkości. Nie można mordować setek tysięcy kobiet i dzieci, by mroźne tchnienie przerażenia nie ogarnęło wszystkich domostw na całym świecie, w których kobiety i dzieci wierzą, że obroni je humanitaryzm istot do nich podobnych. Przypominanie o tych wydarzeniach, aczkolwiek bolesnych dla tych, którzy zostali zranieni w swych uczuciach oraz dla narodów, których tylu synów tu zginęło — jest obowiązkiem. Jest obowiązkiem, aby pozostała trwała pamięć o tym, co się wydarzyło, a co nie powinno się było wydarzyć; aby trwałym pozostało wezwanie, by okropności hitleryzmu nigdy więcej się nie powtórzyły.

Pierwsza nauka, jaka wypływa z Oświęcimia — to fakt, że ta otchłań zgrozy nie byłaby możliwa, gdyby wolność nie została zdławiona w sposób tak bezwzględny, gdyby ideałów wolności, godności i sprawiedliwości nie zastąpiono mitami o rasie i krwi, mitami, które są zaprzeczeniem człowieka, jego osobowości oraz owoców powolnego i żmudnego postępu, przez niego osiągniętego w ciągu tysiącleci istnienia na ziemi. Wolność — nigdy nie przestaniemy tego powtarzać — to jedno z najcenniejszych dóbr ludzkości. Bez niej świat cały popadłby ponownie w chaos, w którym wszystko jest niedorzeczne, wszystko jest irracjonalne, wszystko jest okrutne i skąd prowadzi droga do nieludzkości.

Druga nauka, jaka wynika z Oświęcimia — to nauka zaufania i odwagi. Ci, którzy chcieli zabić człowieka, osiągnęli skutek wręcz odwrotny: uczynili go silniejszym i szlachetniejszym. Ci, którzy usiłowali zniszczyć wartości ludzkie, bezwiednie zasiali ziarno wielkiego i podniosłego odrodzenia. Oświęcim dowiódł raz jeszcze, że żadna otchłań zgrozy nie może zniszczyć ludzkości i złamać woli człowieka, by żyć w wolności, godności i sprawiedliwości.

Trzecia nauka, która wynika z Oświęcimia, to nauka pokoju. Roztrwonilibyśmy prawdziwe i głębokie znaczenie, jakie miała ta otchłań zgrozy i bólu, gdybyśmy zapomnieli o tym, że hitleryzm był najbardziej nieludzką ze wszystkich plag i że świat nigdy więcej nie będzie tolerować jego istnienia".

Prezydent Włoch, Giuseppe Saragat. Fragment jego przemówienia w dniu 16 października 1965 r. na terenie byłego obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka przed mikrofonami Polskiego Radia oraz kamerami telewizji włoskiej i polskiej.

TADEUSZ BILIKIEWICZ Gdańsk

Z rozważań nad psychologią ludobójstwa

(Z Kliniki Chorób Psychicznych AM w Gdańsku
Kierownik: Prof. dr *T. Bilikiewicz*)

Słyszy się częstokroć nieprzemyślane zdanie, że wielcy ludobójcy, którzy z zimną krwią potrafią mordować tysiące i miliony ludzi, chyba nie są normalni; muszą być zapewne umysłowo chorzy. Przeciętny człowiek, a ludzkość składa się przeważnie z takich — nie może pojąć, jak zdrowy na umyśle może zabić człowieka. On sam nie potrafi zarżnąć kury, ani rozdeptać karalucha. Mimo to spożywa mięso i walczy ze szkodnikami. Nie zabija jednak krowy własnoręcznie. Czyni to rękoma rzeźnika. Są religie, które zabraniają zabijania zwierząt i spożywania mięsa. Wegetarianie trzymają się tych samych zasad albo z przyczyn etycznych, albo higienicznych, albo jednych i drugich. O zabijaniu ludzi z jakichkolwiek motywów nawet mowy być nie może. A ludożerstwo może tylko napełniać grozą i pogardą, chociaż sami ludożercy ani się nie uważają za zbrodniarzy, ani nie są umysłowo chorzy. Jest więc ogromna rozległość kryteriów etycznych, według których oceniamy przykazanie „nie zabijaj". Jedni rozciągają to przykazanie nawet na świat zwierząt niższych, drudzy są na nie głusi, nawet gdy chodzi o miliony ludzi. Warto dlatego temu zagadnieniu poświęcić garść refleksji.

Przebrzmiały już dawno spory na temat istnienia wrodzonych norm etycznych. Człowiek przychodzi na świat z wrodzoną uczuciowością wyższą w tym znaczeniu, że ma wrodzoną dyspozycję do tworzenia się w miarę osobniczego rozwoju poszczególnych uczuć wyższych. Dotyczy to również poczucia etycznego. W te wrodzone i zdolne do rozwoju formy wlewa środ wisko wychowawcze treść uczuciowości wyższej. Owe wrodzone zawiązki mogą z przyczyn patologicznych ulec niedorozwojowi, mogą też w dalszym przebiegu rozwoju osobniczego ulec zahamowaniu lub skrzywieniu. Ale mówimy tutaj o prawidłowym wytworzeniu się owych wrodzonych zawiązków i o prawidłowym rozwoju psychofizjologicznym. Nie zajmują nas w tej chwili charakteropatyczne zaburzenia uczuciowości wyższej.

Normalny człowiek, rozwijający się od dziecka w prawidłowych warunkach, tzn. nie poddany działaniu jakichkolwiek czynników chorobotwórczych, uważa za dobre lub złe to, co mu wpoili i wpajają wychowawcy, ci ostatni w najobszerniejszym tego pojęcia znaczeniu. Bezkrytycyzm jednostek i mas posuwa się pod tym względem bardzo daleko, czego dowodzą właśnie przykłady względności norm etycznych. W ciągu wielu stuleci wytworzyły się pewne normy etyczne, które obowiązują człowieka kulturalnego. Według tych norm wychowywano dzieci i młodzież. W poczuciu człowieka kulturalnego zabójstwo jest uważane za coś nieetycznego i karalnego, chociaż każde dziecko wie, że ustawodawcy i moraliści wielu narodów kulturalnych dopuszczają czynnie lub milcząco wiele wyjątków od tego kategorycznego nakazu „nie zabijaj". Dopuszcza się np. karę śmierci i wojnę. Ekstremiści żądają zniesienia kary śmierci i protestują przeciwko wojnie, nawet czasem przeciwko wojnie obronnej. Skrajne stawianie sprawy wypływa z obaw, aby zakres pojęcia kary śmierci i rozprawy orężnej nie uległ rozciągnięciu *ad infinitum*.

Z faktu, że państwa kulturalne dopuszczają wyjątki od zasady „nie zabijaj", można wysnuć pewne refleksje. Uczciwy obywatel powołany do wojska uważa się za zwolnionego od tego przykazania. Przeciwnie, jeżeli na wojnie trudni się zabijaniem ludzi, poczytuje mu się to za zasługę. Potępia się go i karze, jeżeli uchyla się od wykonywania obowiązku zabijania. Poczucie etyczne i sumienie milczą na wojnie. Sędzia ferujący wyrok śmierci zgodnie z kodeksem karnym i kat, który ten wyrok wykonuje, mają czyste sumienie. Czyste sumienie ma również żołnierz, dokonujący zabójstwa na rozkaz. Liczba zgładzonych skazańców lub nieprzyjaciół nie odgrywa żadnej roli, mogą ich być setki, tysiące i miliony. Masowość dokonywanych legalnie zabójstw nie zwiększa wyrzutów sumienia zabójców, działających na rozkaz prawowitej władzy, zgodnie z normami ustawodawczymi. Widocznie więc przykazanie „nie zabijaj" nie jest kategorycznym imperatywem, skoro w sytuacjach wyjątkowych sumienie milczy, a poczucie etyczne zdrowych i uczciwych obywateli raczej dyktuje odwrotną zasadę „zabijaj".

Od czegóż to i od kogóż to zależy, że jeden i ten sam czyn raz uznaje się za przestępstwo, a kiedy indziej za zasługę? W dziejach filo-

zofii prawa dyskutowano wielokrotnie nad zagadnieniem pochodzenia władzy. Byłoby dobrze, gdyby instancja rangi nadprzyrodzonej dyktowała ludzkości kategoryczne normy ustawodawcze i egzekwowała drogą bezpośredniej interwencji urzeczywistnianie się tych norm. Byłyby wtedy na świecie same doskonałe rządy, a życie byłoby rajem. Szkoda, że tak nie jest. W rzeczywistości porządek świata jest wypadkową zbiorowych egoizmów ludzkich. Opanowanie tych egoizmów ludzkich zależy od samych ludzi, którzy z upływem czasu na pewno stworzą porządek przybliżony do rajskiej utopii. Na razie świat jest odwrotnością raju i jego negacją. W najelementarniejszej społeczności ludzkiej w rodzinie instancją normatywną są, a przynajmniej powinni być, rodzice. Ale i oni z kolei muszą się trzymać norm, które im wpoiło wychowanie. Normy te służą opanowaniu egoizmów osobniczych, ale same z kolei podlegają prawom egoizmu zbiorowego, który musi być trzymany w karbach przez instancje społeczne coraz wyższe. W ramach silnej i świadomej celu władzy państwowej poskromienie egoizmu zbiorowego poszczególnych komórek społecznych jest kwestią sprawnej organizacji. Natomiast dotychczas nie udało się stworzyć, mimo wielu inicjatyw, takiej samej instancji dla egoizmów państwowych.

W stosunkach międzyosobniczych może rządzić prawo silniejszego, prawo pięści, prawo dżungli. W takich warunkach silny łamie prawa słabszych, zabija i rabuje, rządzi terrorem. Motywem takiego postępowania jest skrajny egoizm człowieka. Jeżeli tak myślący ludzie złączą się w szajkę, jej egoizm zbiorowy dyktuje wspólnikom i podwładnym normy etyczne. Jeżeli to jest banda rabusiów, to morderstwa rabunkowe i udział w nich staną się obowiązkiem członków bandy. Jeżeli banda wychowuje swoje dzieci w tym duchu, to ich normy etyczne staną się niepodobne do norm etycznych obowiązujących w społeczeństwie, z którego banda się wyłamała. Powstaje typ bohatera negatywnego, na którym wzorować się będzie młodociany członek „gangu". Jeżeli wyniósł on z domu rodzicielskiego inne, staroświeckie normy etyczne, to przykazanie „nie zabijaj" będzie go w jego sumieniu obowiązywało. Jeżeli od zarania swojego życia osobniczego wpajano mu inne uczucia wyższe, to raczej będzie się wstydził, że nie jest podobny do wzorca etycznego, jakim w jego oczach jest przywódca-bohater negatywny. W „gangu" obowiązują normy etyczne i to z określonego punktu widzenia wzniosłe: obowiązuje koleżeństwo, tajemnica służbowa, solidarność, w razie potrzeby poświęcenie się dla dobra kolegów, nawet złożenie życia w ofierze. Za przywary etyczne członkowie „gangu" uważają niesubordynację, tchórzostwo, działanie samolubne zagrażające egoizmowi zbiorowemu, zniewieściałość i miękkość, gdy chodzi o wykonanie rozkazów okrutnych, zdradę bandy, donosicielstwo itd. Najszlachetniejsze uczucia wyższe podporządkowane zostały interesom bandy. Na straży realizacji tych interesów i celów stoją swoiste normy etyczne egzekwowane z całą surowością w ramach dyscypliny. Działanie wychowawcze dyscypliny bywa zadziwiająco skuteczne, opiera się bowiem na prawach odruchowości warunkowej. Już po krótkim czasie służby w gangu milkną kategoryczne imperatywy wpojone członkom gangu w latach dziecięcych. Dla dobra bandy trzeba w razie potrzeby i zabić człowieka.

Najpotężniejszym środkiem wychowawczym jest propaganda. Jej potęgę znamy dobrze. Pod jej wpływem całe narody wierzą w kłamstwo lub nie wierzą w prawdę. Nasze pokolenie jest świadkiem nieprawdopodobnych, masowych faktów z tego zakresu. Już przed wojną kłamliwa propaganda hitlerowska wpajała w Niemców przekonanie, że w Polsce dokonuje się najdzikszych prześladowań mniejszości, a działo się to w czasie, gdy właśnie w Niemczech czynne już były obozy koncentracyjne i narastały metody eksterminacyjne. Aby w oczach ludności usprawiedliwić agresję wojenną, trzeba było za pomocą propagandy przedstawić wojnę zaborczą jako *Abwehr durch Angriff*. Ludność niemiecka nie była i nie jest bardziej łatwowierna niż wszelka inna ludność. Tajemnica powodzenia propagandy oszczerczej polegała na tym, że do władzy dorwali się ludzie nie przebierający w środkach, którzy sami byli tchórzami, rozkazodawcami i wykonawcami ludobójczych metod. Byli też równocześnie zainteresowani osobiście w tuszowaniu i ukryciu prawdy. Ustawy eutanazyjnej nigdy w Niemczech nie było, natomiast była rzeczywistość pseudoeutanazyjna, starannie zakamuflowana pod rozkazami, które mówiły tylko o wysiedleniu, ostatecznym rozwiązaniu, odosobnieniu, emigracji itd. W te pozory nikt z wtajemniczonych nie wierzył, choćby dlatego, że nie wolno było na ten temat mówić. Prasa, radio i wszelkie inne środki propagandy i wychowawczego oddziaływania na masy — wszystko to było w ręku rządzącej oligarchii. Inteligentni ludzie w kraju mogli się domyślać straszliwej prawdy, ale ponieważ wszelka krytyka była zabroniona i z góry uniemożliwiona w warunkach terroru, znikąd nie padły słowa protestu. Nie było tym bardziej śmiałków, którzy by czynnie przeciwstawiali się masowym zbrodniom. Myśl i próba dokonania przewrotu pojawiły się dopiero, gdy wszystko się już waliło i gdy dni tyranii były policzone.

Oczywiście, warunkami terroru można wiele usprawiedliwić. Ale nie wszystko. Oprócz zdemoralizowanej, sterroryzowanej i obezwładnionej części społeczeństwa niemieckiego była jeszcze duża część społeczeństwa, która pozostała uczciwa i myślowo niezależna. Były też miliony Niemców żyjących na emigracji, a więc nie dających się zastraszyć ani oszukać. Jak to było możliwe, że ta uczciwa część narodu niemieckiego nie podjęła akcji protestacyjno-propagandowej na większą skalę? Dlaczego uczciwi ludzie nabrali wody w usta i milczeli o prawdzie obozów zagłady, maso-

wej eksterminacji milionów Żydów, metodycznego łamania prawa międzynarodowego, konwencji haskiej, elementarnych praw ludzkich?

Tajemnica tej zmowy milczenia może leżeć w skuteczności sposobów propagandowych. Idee szowinistyczne zakorzenione były głęboko w społeczeństwie niemieckim od wieków. Od wieków wychowywano masy niemieckie w przeświadczeniu o posłannictwie kulturalnym Niemców. Niemiecki *Drang nach Osten* wyobrażał sobie przeciętny inteligent niemiecki jako urzeczywistnianie się świętej misji kulturalnej narodu niemieckiego. Ekspansja Krzyżaków na Wschód, która miała w rzeczywistości charakter kolonizatorsko-imperialistyczny, skryta była pod hasłami posłannictwa religijnego. Do tego celu trzeba było wpoić we własny naród przekonanie, że na Wschodzie żyją ludy pogrążone w ciemnocie i barbarzyństwie i że dobrodziejstwem dla nich będzie, zbawieniem i szczęściem, jeśli się je nawróci na chrześcijaństwo. Wzniosłe, święte hasła i krzyż na zewnątrz, a pod tą osłoną propagandową nawracanie ogniem i mieczem, przemoc i gwałt, rabunek i niewolnictwo. I już nawet do owych odległych czasów można by skierować pytanie, czy uczciwa i sprawiedliwa część narodu niemieckiego przeciwstawiała się w jakikolwiek sposób ekspansji zaborczej, okrucieństwu i zakłamaniu. Inne to były czasy i inne metody wychowywania mas, ale zawsze, w takiej czy innej formie, apel do najniższych instynktów władczych znajdował w masach niemieckich posłuch. Pełna okrucieństw ideologia Nibelungów i baśni Grimma urabiała umysłowość ludności niemieckiej od dziecka. Triumf brutalnej siły i pogarda dla słabości. *Hergott ist immer mit den stärksten Kanonen* — powiedział Fryderyk Wielki. Duch obiektywny *Hegla* jest identyczny z państwem niemieckim. Nad narodem i państwem niemieckim czuwa opatrzność. Masy niemieckie karmione były w czasach cesarstwa i hitleryzmu wizją Wielkich Niemiec, których boskim przeznaczeniem było władać nad narodami Wschodu i nad całym światem. Wszyscy wiedzieli, że tych przeogromnych zamysłów imperialistycznych nie da się urzeczywistnić inaczej, jak tylko drogą militarną. Inaczej się nie da podbić świata. Dla tych potężnych celów każdy Niemiec musi dać z siebie wszystkie siły. Od wieków prowadzona propaganda wychowawcza była skuteczna. W umysłach niemieckiego społeczeństwa zakorzeniona była od wieków i rozdęta do niebywałych rozmiarów patriotyczna duma narodowa i pyszna ambicja władania podbitymi narodami, których niższość rasowa wynikała z woli opatrzności sprzyjającej wybranemu narodowi.

Między umiarkowanym poszerzaniem granic własnego państwa a dążeniem do zawładnięcia całym światem jest tylko różnica ilościowa. Między rycerską rozprawą orężną a wojną totalną jest również różnica tylko ilościowa. Między napadem rabunkowym szajki zbójców a okupacją hitlerowską w kraju bez *Quislinga* również nie można się dopatrzeć różnicy innej, jak tylko ilościowej. Między indywidualnym morderstwem rabunkowym a masowym morderstwem rabunkowym w hitlerowskich obozach koncentracyjnych zachodzi również tylko różnica stopnia. Kto dopuszcza pojedynek jako rozstrzygnięcie sporu, ten musi dopuszczać i wojnę wszelkiego rodzaju i wszelkich rozmiarów aż do wojny termojądrowej włącznie. Kto wpaja dzieciom i młodzieży dopuszczalność prawa pięści w zatargach międzyludzkich, ten sieje jako wychowawca przyszłą wojnę. Wojny były zawsze od zarania dziejów człowieka na Ziemi. Ale historia ludzkości notuje również i wiele budujących przykładów dobrych stosunków sąsiedzkich między narodami i państwami. Żyłka wojenna i popędy władcze wynikają wprawdzie z wrodzonych dyspozycji psychicznych, ich rozwój jednak jest owocem wychowania. Można jednostki i narody wychowywać w umiłowaniu pokoju i sprawiedliwości, ale można je też wychowywać w kulcie rzemiosła wojennego i grabieży. Można wszczepiać dzieciom i młodzieży pogląd, że tylko silny ma prawo do życia, a słaby może się utrzymać przy życiu tylko pod warunkiem, że zgodzi się być niewolnikiem. Jeżeli się nie zgodzi, to musi umierać i zrobić miejsce dla silnych. Dla osiągnięcia swoich samolubnych celów silny ma prawo używać wszelkich środków i celów, nawet najbrutalniejszych i najokrutniejszych.

W wyborze środków prowadzących do osiągnięcia egoistycznych celów widać również stopniowanie, od najłagodniejszych aż do najbardziej bestialskich. Wyrzynanie w pień pokonanych wrogów, okaleczanie ich i torturowanie, trzebienie ich, aby ich zamienić na posłusznych niewolników, znane było od najdawniejszych czasów. Czasem w przystępie pychy chełpimy się osiągnięciami kultury XX wieku i zdaje się nam, że dawne wieki pełne były ciemnoty i barbarzyństwa. Pycha taka jest nieuzasadniona. Wprawdzie mamy prawo szczycić się postępem cywilizacji, ale równocześnie nie wolno nam zamykać oczu na fakt dziejowy, że równolegle z postępem nauki i techniki zwiększa się intensywność bestialstwa i sprawność metod niszczycielskich. *Dżengis-chan* wymordował zaledwie 5 milionów ludzi, *Himmler* znacznie więcej. Żadna z poprzednich wojen nie kosztowała tyle istnień ludzkich, co druga wojna światowa. Od maczugi człowieka jaskiniowego po bombę wodorową — oto droga rozwoju kultury ludzkiej. Może w przyszłości rekord świata zostanie pobity. W tej chwili rekordzistą świata jest wciąż jeszcze imperium spod znaku swastyki.

W każdym narodzie są, mogą i podobno nawet muszą być zbrodniarze. Pochodzi to nie tylko z demoralizacji środowiskowej, która może się wytworzyć w każdej społeczności, ale również z charakteropatycznych właściwości niektórych osobników, którzy wskutek organicznego uszkodzenia ośrodkowego układu nerwowego podlegają szczególnie łatwo wtórnej socjopatyzacji i sami stają się inicja-

torami przestępstw. Ale wszędzie, we wszystkich kulturalnych państwach opinia publiczna uczciwej większości stoi na straży etyki zbiorowej, nie dopuszcza do niepraworządności i zdecydowanie potępia łamanie praw ludzkich. I w naszych dziejach, nie tak dawnych, zdarzały się nadużycia, które — gdyby nie zdecydowana postawa uczciwego społeczeństwa — mogły były z czasem doprowadzić nawet do metod ludobójczych. Nie szczycimy się Berezą Kartuską w okresie międzywojennym, ale mamy prawo stwierdzić, że ten zaczątek obozu koncentracyjnego spotkał się z miejsca z odważnymi protestami uczciwej większości polskiego społeczeństwa. Także w okresie powojennym wystąpiły przejawy niepraworządności, którym jednak w „okresie października" w sposób zdecydowany i konsekwentny położono kres. Czy społeczeństwo niemieckie przed wojną, w czasie wojny i po wojnie umiało się zdobyć na taką stanowczą postawę protestu i potępienia wobec ludobójczych zamysłów, a następnie zbrodniczych faktów ludobójstwa?

Miałem niedawno sposobność omawiania na łamach „Biuletynu Głównej Biblioteki Lekarskiej" oraz „Neurologii, Neurochirurgii i Psychiatrii Polskiej" dwóch najważniejszych (moim zdaniem) książek, które się ukazały niemal równocześnie w 1964 r. na temat hitlerowskiego ludobójstwa. Jedną napisał ocalały z obozu koncentracyjnego Żyd [1], drugą napisali autorzy niemieccy [2].

Jakaż ogromna różnica w ujęciu tej samej tematyki! Jakżeż innymi oczyma patrzy na te same fakty ofiara prześladowań oraz przedstawiciele narodu, który powinien się był w sposób stanowczy ustami swoich nowych przywódców duchowych odżegnać od potworności ludobójstwa i dążyć ze wszystkich sił do naprawienia krzywd, zmazania hańby i zapobieżenia w przyszłości odrośnięciu głów hitlerowskiej hydry.

Pierwszy z autorów, *Eitinger*, rodem z Czechosłowacji, ukończył studia w Bernie w 1937 r. Druga wojna światowa zmusiła go do ucieczki do Norwegii, gdzie jako Żyd został pochwycony przez hitlerowców i osadzony w Oświęcimiu. Ocalał jako jeden z nielicznych. Jego książka opiera się nie tylko na własnych wspomnieniach z piekła lagrowego, ale przede wszystkim na badaniu niedobitków bestialstw hitlerowskich, którzy po wojnie zamieszkali w Norwegii i w Izraelu. W 1958 r. *Eitinger* doktoryzował się na podstawie rozprawy na temat uchodźców w Norwegii. Książka jest owocem dalszych badań w tym samym kierunku. Dla zebrania materiałów autor odbył wiele podróży do różnych krajów. Na zaproszenie rządu izraelskiego spędził na badaniach cały rok w tym kraju. Szefem jego był znany psychiatra norweski prof. dr *G. Langfeldt*. Obecnie *Eitinger* jest dyrektorem kliniki psychiatrycznej uniwersyteckiego szpitala w Oslo.

Książka *Eitingera* napisana jest doskonale. Na uznanie zasługuje przede wszystkim dzięki naukowej dokumentacji i obiektywizmowi, z jakim jest opracowana. Dzięki temu, że jest napisana po angielsku i rozprowadzana przez znaną firmę księgarską Allen & Unwin, czytelnicy całego świata czytający po angielsku mogą z bezpośredniego źródła dowiedzieć się, jak wyglądała prawda o hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Pewne sfery od dawna usiłują prawdę tę zatuszować, przemilczeć lub nawet przekręcić i obrócić twierdzenia o bestialskim wymordowaniu wielu milionów bezbronnych ludzi w wymysł wrogiej Niemcom propagandy. Nie tylko w Niemczech, ale i na całym świecie są wciąż jeszcze tacy, którzy nie chcą tej straszliwej prawdy znać.

Zebrana przez *Eitingera* bibliografia przedmiotu zajęła w książce 7 stron druku. Sam autor ogłosił na temat prześladowań hitlerowskich 7 prac naukowych. Cały materiał naukowy podzielono na następujące rozdziały: Po krótkim wstępie autor przedstawia ogólnie tło polityczne, które doprowadziło do eksterminacji grup ludności obcych rasowo, po czym kreśli metody eksterminacji i przejścia moralne i fizyczne niszczonych ludzi. Omawia dokładnie piśmiennictwo na ten temat i porównuje z wynikami własnych przejść i badań informacje innych autorów. Osobno rozpatruje grupę norweską, osobno izraelską, prowadząc dokładne badania anamnestyczne dotyczące stanu przed uwięzieniem, życia rodzinnego, okresu szkolnego, wieku badanych, ich stanu cywilnego, zawodu i cech osobowości — wszystko to w nienagannie podanych tabelach statystycznych i zestawieniach. Następuje odtworzenie stanu somatycznego i psychicznego w czasie prześladowań i pobytu w obozie i po odzyskaniu wolności. Dzięki tej metodzie autor może w osobnych rozdziałach określić istotę dokonanych przemian osobowości prześladowanych, ustalić, dzięki czemu udało się badanym osobnikom przetrwać, w jakim stanie znajdowali się w chwili ocalenia i jak przedstawiają się ci sami ludzie w chwili obecnej pod względem zdolności do pracy zawodowej, jaki jest ich obecny stan psychiczny i somatyczny i jakie zaburzenia wykazują. Na podstawie zebranych dowodów klinicznych autor dochodzi do syntetycznego określenia tzw. zespołu lagrowego *(the concentration camp syndrome)*, którego najczęstszą postacią bywa przewlekła depresja reaktywna. Nie wszyscy ci osobnicy wyszli z jednakowymi następstwami psychiatrycznymi. Można było — wciąż osobno dla Norwegów i osobno dla Żydów — stwierdzić inne zjawiska kliniczne w grupie badanych wykazujących objawy psychozy, inne w grupie nerwicowców i inne wśród pra-

[1] Leo *Eitinger:* Concentration camp survivors in Norway and Israel, Oslo, Universitetsforlaget, 1964, 8°. The Norwegian Research Council for Science and Humanities, Sektion: Medicine E. 305, 17. T., str. 199.

[2] Walter *Baeyer*, Heinz *Häfner*, Karl Peter *Kisker:* Psychiatrie der Verfolgten. Psychopathologische und gutachtliche Erfahrungen an Opfern der nationalsozialistischen Verfolgung und vergleichbarer Extrembelastungen, Berlin, Springer-Verlag, 1964, 8°, s. XII + 397, tab. 71.

cujących. Jak można było przewidzieć, najcięższe następstwa wynieśli z piekła obozowego Żydzi, którym hitlerowcy stworzyli najokrutniejsze, najbardziej bestialskie warunki wegetacji obozowej. Jeżeli chodzi o stopniowanie mąk, to niewiele lżejszy los czekał w obozie Polaków i jeńców radzieckich. Grupa norweska należała do „uprzywilejowanych", z czego oczywiście wcale nie wynika, aby również przedstawiciele tej grupy nie ginęli masowo i nie byli poniewierani fizycznie i moralnie. Praca pisana jest z przykładnym obiektywizmem i bez uniesień afektu, które byłyby zrozumiałe u ofiary najgorszych prześladowań. Po prostu nie wyczuwa się u autora mściwości. Cecha ta jest niewątpliwą ozdobą książki *Eitingera*.

Rzućmy teraz okiem na publikację autorów niemieckich, którą w pewnym sensie można by uznać za reprezentacyjną lub typową. Zresztą im bliżej 1965 r., tj. daty, kiedy ustawowo zbrodnie wojenne miały w Niemczech zachodnich ulec przedawnieniu, tym bardziej mnożą się w piśmiennictwie zachodnioniemieckim poważne publikacje na temat skutków prześladowań hitlerowskich. Obecnie można już mówić tylko o skutkach bardzo odległych. Już tylko niewiele ofiar, które ocalały z obozów i pogromów, pozostało przy życiu. Dzieło *Baeyera, Häfnera* i *Kiskera* nie dotyczy bynajmniej wszystkich ofiar narodowo-socjalistycznych. I ci autorzy niemieccy i inni interesują się wyłącznie jednostkami, które mają prawo do odszkodowania, są więc według ustawodawstwa Niemieckiej Republiki Federalnej *entschädingungsberechtigt*. Trzeba wiedzieć, że ustawa dotycząca odszkodowań wyszła dopiero w roku 1956, a więc dopiero w kilkanaście lat po zakończeniu działań wojennych. Dawne zasady orzecznictwa nie dały się zastosować do oceny patogenezy i rozległości szkód na zdrowiu, które wynikły z masowych piekielnych prześladowań. Trzeba było stworzyć nowe kryteria i nowe normy. Taki to cel przyświecał autorom, którzy zebrali w jedną syntetyczną całość materiały pochodzące z orzecznictwa sądowo-psychiatrycznego, dotyczącego poszkodowanych przez władze narodowo-socjalistyczne.

Praca powstała w Klinice Psychiatryczno-Neurologicznej Uniwersytetu w Heidelbergu, której pierwszy z autorów, prof. *Baeyer*, jest dyrektorem, dwaj inni, doc. *Häfner* i doc. *Kisker*, adiunktami. Autorzy opierają się na własnym materiale 700 orzeczeń, które wydali w przebiegu procesów o odszkodowanie. Badania przeprowadzano w ciągu ostatnich ośmiu lat. Z podanej więc liczby 700 poszkodowanych większość, gdyż 398 ludzi, nie dała się już uchwycić bezpośrednio z powodu śmierci lub nieosiągalności wnioskodawców. Ponadto analiza statystyczna mogła być dokonana tylko w stosunku do 535 osób. W rezultacie tylko 137 osób mogli autorzy osobiście zbadać i przeważnie obserwować klinicznie, nie opierając się tylko na aktach, na informacjach badanych i na poprzednio wydanych orzeczeniach w ich sprawach. To zacieśnienie liczby badanych ogranicza oczywiście w znacznym stopniu wartość badań. Autorzy sami szczerze przyznają, że opracowali tylko drobny ułamek nieprzeliczonej masy ofiar terroru hitlerowskiego, rozsianych po całym świecie. Rzecz znamienna, że autorzy uwzględnili piśmiennictwo i tym samym materiał ludzi z obszarów językowych niemieckiego, duńskiego, norweskiego, francuskiego, angielskiego i holenderskiego, tak jak gdyby ofiary terroru spoza wymienionych obszarów językowych wciąż jeszcze zaliczane były do *Untermenschen*, których losem nie warto się interesować. Tłumaczenie się trudnościami językowymi w korzystaniu z piśmiennictwa obcojęzycznego byłoby rozbrajające w obecnych czasach, gdy przekłady na języki obce mogą być dokonywane nawet jednocześnie, bez najmniejszych trudności technicznych. Możliwe zresztą, że my sami ponosimy winę za pominięcie w dochodzeniu odszkodowań krzywd naszych własnych rodaków.

W każdym razie stwierdzić można, że wartość retrospektywnych badań tego rodzaju byłaby nieskończenie większa, gdyby 1) badania te Niemcy zorganizowali bezpośrednio po wojnie, a więc w czasie, gdy żyło jeszcze mnóstwo ofiar i gdy pamięć przeżytego piekła była świeża, 2) gdyby uczciwie zdławiono w Niemczech znaną wszystkim dążność do zatuszowania, przemilczenia, pomniejszenia i przeinaczenia zbrodni hitlerowskich, 3) gdyby badania rozciągnięto na wszystkie obszary językowe, a więc na wszystkie ofiary terroru. Było wielkim błędem i jest błędem nadal, że między ludźmi poszkodowanymi poczyniono różnice. Jednym przyznano prawo do odszkodowań, drugim odmówiono, zależnie od ich miejsca zamieszkania, obywatelstwa, technicznej łatwości dopominania się o swoje prawa i innych warunków i motywów. Rząd boński, uważający się za spadkobiercę państwa hitlerowskiego, powinien był ogłosić uroczyście na cały świat, że potępia politykę eksterminacyjną *Hitlera*, odżegnuje się od haseł, celów i metod swego poprzednika, uznaje w pełni wyrządzoną ludom i ludziom krzywdę moralną, materialną i zdrowotną i pragnie ze wszystkich sił, nie szczędząc kosztów, skutki tych krzywd naprawić, złagodzić i materialnie skompensować. Na apel taki wszyscy poszkodowani całego świata byliby się zgłosili. Badacze klinicyści i teoretycy rozporządzaliby wielomilionowym materiałem ludzi bezpośrednio lub pośrednio poszkodowanych. Wartość naukowa badań psychiatrycznych, przeprowadzonych na tak wielką skalę, za świeżej pamięci i z naukowym obiektywizmem, byłaby olbrzymia. Ukazana w ten sposób przez Niemców dobra wola byłaby w wybitnym stopniu rozładowała napięcie rozgoryczenia i poczucia niesprawiedliwości, które stwierdza się wciąż jeszcze wśród ludności wielu krajów najbardziej pognębionych okupacją. Spadkobiercy III Rzeszy uniknęliby w ten sposób zarzutów solidaryzowania się ze zbrodniarzami wojennymi.

Nie byłoby również tych gorszących powojennych rewelacji o zbrodniarzach piastujących w Niemieckiej Republice Federalnej kierownicze i odpowiedzialne stanowiska. Zbrodniarze byliby wówczas napiętnowani i odtrąceni od współżycia z uczciwą częścią społeczeństwa niemieckiego.

Może teraz pora będzie porównać dzieło *Eitingera* z dziełem *Baeyera, Häfnera* i *Kiskera*. Jakże inaczej wygląda tu i tam metoda zbierania materiału ludzkiego do badań. Autorzy niemieccy ograniczyli się do badania ludzi, którzy wnieśli powództwo, a więc sami spowodowali przeprowadzenie badań w celu uzyskania odszkodowań. *Eitinger* nie czekał, aż poszkodowani sami się do niego zgłoszą, tylko pojechał do nich i szukał ich. Wśród wielu podróży, które odbył do wielu krajów, najwięcej czasu, gdyż pełny rok, spędził w Izraelu, poszukując usilnie przy pomocy władz izraelskich niedobitków terroru hitlerowskiego. Ponieważ szukał, więc znalazł. Ale można powiedzieć, że inne motywy nim kierowały. Nie był tylko badaczem, który chłodnym wzrokiem patrzy na nieszczęsne ofiary kilkuletnich najwymyślniejszych tortur, był zarazem i współtowarzyszem ich mąk i niedoli, który rozumie skutki, ponieważ osobiście przeżył przyczyny. Trzeba *Eitingera* podziwiać, że książkę swoją potrafił pisać z rzetelnym obiektywizmem uczonego, bez cienia mściwości i nienawiści. Obiektywizm autorów niemieckich wygląda inaczej: jest beznamiętny, rzeczowy, chłodny i mimo słów potępienia dla przeszłości hitlerowskiej — wyniosły. Gdyby autorzy niemieccy przyjechali np. do Polski i porozmawiali bezpośrednio z sierotami, które na całe życie zachowały wspomnienia katowania na ich oczach rodziców przez gestapo, może wówczas zeszliby z piedestału bezczuciowego orzecznictwa sądowo-psychiatrycznego i zrozumieli trwałe skutki w osobowości człowieka, który wprawdzie osobiście nie był fizycznie torturowany, lecz który mimo to poniósł niewątpliwą szkodę, nawet bez klinicznych objawów neurologiczno-psychiatrycznych. Może wstrząśnięci potwornymi rozmiarami człowieczej tragedii, rozciągnęliby zasięg swoich badań daleko poza granice wyselekcjonowanego materiału ludzi, którzy według ustawy z r. 1956 stali się w wiele lat po wojnie i po okupacji *entschädigungsberechtigt*.

Pod względem metodyczno-konstrukcyjnym dziełu *Baeyera, Häfnera* i *Kiskera* nic nie można zarzucić. Autorzy podzielili całość materiału na część ogólną i kliniczną. W części ogólnej podają opis i analizę terroru narodowo-socjalistycznego na tle uwag, dotyczących socjologii terroru w ogóle. W sposób bardzo plastyczny przedstawiono tu pojęcie dyskryminacji rasowej, opisano akcję przeciwżydowską w jesieni 1938 r., zanalizowano pojęcie „ostatecznego rozwiązania problemu żydowskiego" *(Endlösung)*, zapoznano czytelnika z typami obozów koncentracyjnych i ze sposobami adaptacji człowieka do warunków „lagrowego" życia, wreszcie zamieszczono opis przedśmiertnej wegetacji ludzi, zmuszonych żyć w wyniszczających warunkach getta i ukrywania się. W dalszym ciągu autorzy omawiają zagadnienia psychopatologii maksymalnych sytuacji stressowych, ich następstw bezpośrednich i późnych. Na zakończenie części ogólnej podano wyciąg dotyczący podstaw prawnych, na których opiera się dochodzenie odszkodowania za doznane prześladowania.

Część kliniczna dzieła *Baeyera, Häfnera* i *Kiskera* opracowana została wzorowo. Materiał podzielono skrupulatnie według różnych sprawdzianów, po czym autorzy opisują kolejno różne zespoły psychopatologiczne, osobno ogromną grupę stanów reaktywnych, osobno psychoz. O ile stany reaktywne nie nasuwały zasadniczych trudności, o tyle w grupie psychoz wyłoniły się rozmaite przeszkody. Powstały nieporozumienia na tle rozbieżnych terminów rozpoznawczych między psychiatrami niemieckimi i anglosaskimi. Dalszą trudność stanowiło zagadnienie psychoz endogennych, co do których trudno było w sposób kategoryczny rozstrzygnąć, czy byłyby się rozwinęły niezależnie od doznanych prześladowań. Trudności nastręczały nie wyjaśnione dotąd zagadnienia etiologii i patogenezy psychoz endogennych i psychoz z tychże kręgów, które niekiedy wybuchają na innym tle, niekoniecznie swoistym. Na ogół rozstrzygano kwestię należnego odszkodowania według kryteriów pragmatycznych, przy czym prawdopodobieństwo musiało w wielu wypadkach zastępować brak absolutnej pewności. W pewnym odsetku przypadków trudności pochodziły również z reakcji roszczeniowych niektórych badanych, tendencje te jednakże traktowano wyrozumiale. Na zakończenie podano zasady orzecznictwa odszkodowawczego. Zresztą czytelnik już w toku lektury może sobie wyrobić w tym kierunku opinię. Tekst ilustrowany jest wielokrotnie przykładami kazuistycznymi. Książkę czyta się z wielkim napięciem, jak gdyby jej treść wymyślił jakiś posępny powieściopisarz, lubujący się w makabrze. A tymczasem to nie fantazja, to rzeczywistość. Tragiczny wytwór kultury XX wieku. I to właśnie w ojczyźnie *Goethego* i *Schillera!* W ojczyźnie *Kanta*, którego etyka oparta na kategorycznych imperatywach musiałaby potępić przewinienia nieskończenie mniejsze niż zbrodnie ludobójstwa.

Jak wytłumaczyć fakt harmonijnego współistnienia tak sprzecznych poglądów etycznych w jednym i tym samym narodzie? Dlaczego w ćwierć wieku po dokonanych zbrodniach ludobójstwa wciąż jeszcze cały kulturalny świat musi walczyć o to, aby zbrodnie ludobójstwa nie uległy nigdy przedawnieniu? Dlaczego w Niemieckiej Republice Federalnej sądy uwalniają od winy i kary pielęgniarki, które zabijały bezbronne dzieci w szpitalach psychiatrycznych, albo dlaczego sądy wymierzają masowym mordercom kary tak śmiesznie niskie, że trudno nie widzieć w tym pobłażliwości? Jak wytłumaczyć fakt, że oburzenie wobec zbrodni ludobójstwa przejawia się burzliwie wszędzie, tylko nie w Niemczech Zachod-

nich? Dlaczego prokuratorzy i sędziowie nieniemieccy są bez porównania surowsi w ocenie tych przestępstw niż niemieccy? Jak wytłumaczyć fakt, że zbrodniarze wojenni od tylu lat przebywają wśród społeczeństwa niemieckiego w Niemieckiej Republice Federalnej, traktowani przez uczciwych Niemców tak, jak gdyby byli pełnowartościowymi współobywatelami, którym się podaje rękę i którym się nie okazuje pogardy? Dlaczego zanikła tam regulująca funkcja i rola opinii publicznej?

Na pytania te nasuwa się mimo woli jedno generalne wyjaśnienie: widocznie zbrodnie ludobójstwa nie są wśród ogółu zachodnioniemieckiej ludności poczytywane za przestępstwo. Widocznie idea wojny totalnej wsiąkła tak głęboko w psychikę ludności, że uważa się ją za coś w rodzaju obowiązku narodowego. Tak jak nie potępia się żołnierzy za to, że dokonywali masowych zabójstw w czasie wojny, tak samo nie potępia się ludobójców za to, że zabijali w wojnie totalnej na rozkaz z góry obce ludy, uznane urzędowo za wrogów narodu niemieckiego, a więc za niebezpiecznych szkodników, których należy w interesie narodu niemieckiego wytępić. Do morderczego rzemiosła władze hitlerowskie zaprzęgły nie tylko kryminalistów i psychopatów. Zaprzęgły również ludzi kulturalnych, których przekonano o słuszności i konieczności wojny totalnej. Bombardowanie z powietrza otwartych miast, zwrócone przecież przeciwko bezbronnej ludności, przeciwko kobietom i dzieciom, miało również charakter ludobójstwa. Lotnicy czynili to na rozkaz z góry.

Obrona ludobójców idzie w tym kierunku: siepacze *SS* w obozach koncentracyjnych byli żołnierzami, którzy działali na rozkaz. Zabijali, bo im kazano. Obowiązywało ich, jak w wojsku, ślepe posłuszeństwo. W wojnie totalnej zabija się nieprzyjaciół na froncie wewnętrznym. Wojnę wydano nie formacjom wojskowym przeciwnika, lecz całym ludom. Kto na froncie zewnętrznym zabija wrogów masowo nowoczesnymi środkami wojennymi, ten zasługuje na miano bohatera. Chociaż jest zabójcą, traktuje się go z czcią, wielbiąc jego zasługi dla narodu. Takie samo uwielbienie należy się zabójcom, którzy dla dobra narodu mordowali z rozkazu swoich przywódców całe narody, skazane przez władze hitlerowskie na zagładę. Rozumowanie takie zdejmuje ze zbrodniarzy wojennych wszelką winę. Właściwie całą winę wziął na siebie *Führer. Himmler, Göring, Goebbels* i inni wykonywali tylko rozkazy *Hitlera*. Ich podwładni wykonywali z kolei ich rozkazy i przekazywali je dalej coraz to niżej stojącym podwładnym. Ta olbrzymia machina, oparta na wojskowej dyscyplinie organizacyjnej, rozporządzająca fantastycznym aparatem propagandowym, sfanatyzowała i zaślepiła masy ludności niemieckiej, porywając za sobą nawet jej część uczciwą, działającą w patriotycznym przeświadczeniu, iż jest to święta wojna dla dobra i dla ratunku Wielkich Niemiec.

Wychowani według norm etyki antytotalitarnej, przykładamy wciąż zwykłą miarę do czynów zbrodniarzy hitlerowskich. Nasze normy zdają się być obce ludziom, których od dzieciństwa wychowuje się w duchu militaryzmu totalnego. Ludzie ci nie potępiają wojny w żadnej postaci. Krwawe ręce bohaterów swastyki nie przerażają ich. Dla nich są to normalni ludzie, kierujący się innymi niż nasze normami etycznymi. Normy te są w harmonijnej zgodzie z ich prawidłową uczuciowością wyższą. Pamiętam, jak spędzali czas esesmani w Kocborowie, zatrudnieni przy zabijaniu umysłowo chorych. Po bohaterskim wykonaniu rozkazów, gdy wrócili już po skończonej krwawej robocie, zbierali się wieczorem w kasynie na I piętrze budynku dyrekcji Szpitala. Jeden z nich był utalentowanym skrzypkiem, drugi grał na pianinie. Z okien kasyna słychać było muzykę i śpiew. Sterroryzowana ludność polska, dziesiątkowana systematycznie, drżała w bezsilnym przerażeniu. A oni wyżywali swoje artystyczne skłonności, wzniośle, szlachetnie, jak przystało na pięknoduchy. Skrwawiona ręka zbira wodziła z zamiłowaniem smyczkiem po strunach skrzypiec. A inni zasłuchani marzyli tęsknie o swojej wielkiej ojczyźnie, której służą wiernie i z oddaniem.

„Zagubilibyśmy wymowę Oświęcimia gdybyśmy utożsamiali hitleryzm z narodem niemieckim. Dalecy jesteśmy od takiego niedorzecznego utożsamiania. Odpowiedzialność moralna, polityczna i historyczna za to, co się stało, spada na te osoby, które wyparły się człowieczeństwa, które — opanowane demoniczną żądzą władzy — uczyniły z siebie monstrualne bożyszcze i które w imię absurdalnych mitów krwi i rasy oszukały i zdradziły swój własny naród, dokonując rzezi i spustoszeń wśród okupowanych narodów".

Prezydent Włoch, Giuseppe Saragat. Z przemówienia wygłoszonego w dniu 16 października 1965 r. na terenie byłego obozu w Oświęcimiu.

WANDA PÓŁTAWSKA, ANDRZEJ JAKUBIK, JÓZEF SARNECKI, JULIAN GĄTARSKI Kraków

Wyniki badań psychiatrycznych osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych

(Z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie
Kierownik: prof. dr *K. Spett*
Z Katedry Psychologii WSP w Krakowie
Kierownik: prof. dr *W. Szewczuk*)

Kontynuując badania lekarskie byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, zainicjowane przez ZBoWiD i oddział krakowski Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, zbadano grupę tzw. „dzieci oświęcimskich". Określenie to przyjęło się dla najmłodszych więźniów, którzy albo urodzili się w hitlerowskich obozach albo w okresie dzieciństwa zostali tam umieszczeni.

Z prac uprzednio publikowanych na temat byłych więźniów wynika, iż główne zaburzenia i skutki pobytu w obozie pozostały w psychice (badania przeprowadzone przez grupę lekarzy krakowskiej Kliniki Psychiatrycznej, *Romana Leśniaka, Adama Szymusika, Marię Orwid* i *Aleksandra Teutscha* [1]). Kierunek badań grupy nazwanej „dziećmi oświęcimskimi" był podobny, a zatem w założeniu pracy zdecydowano prześledzić skutki pobytu w obozach koncentracyjnych wywarte na ośrodkowym układzie nerwowym oraz postawiono pytanie, czy i jakie skutki ujemne powstały w psychice najmłodszych więźniów oraz czy i jakie zmiany można stwierdzić w osobowości tych osób. A zatem na plan pierwszy wysunięto zagadnienia psychiatryczne i psychologiczne.

Badania te napotkały na trudność spowodowaną brakiem wiadomości o nazwiskach tych osób oraz ich aktualnych adresach. Adresy te w przeważającej większości zdobył kustosz Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, mgr *Tadeusz Szymański*, który w te starania włożył dużo wysiłku i zapału.

Samo zbieranie materiału nastręczało następnie trudności nie tylko z uwagi na znaczny upływ czasu, niekiedy przecież chodziło o prześledzenie faktów odległych od kilku do kilkunastu lat, ale także z uwagi na rozrzucone miejsca zamieszkania. Poza sporą grupą osób zamieszkujących w Warszawie reszta mieszka w różnych odległych miejscowościach. Zasadniczą trudnością jednak było oporne nastawienie części badanych do samego faktu badania psychiatrycznego, a także niechęć do wracania do tematu obozu, wynikająca, jak się z dalszej analizy okaże, z pewnych cech osobowości tych ludzi. U pewnych osób trudno było przełamać opory psychiczne; niektórzy wręcz kategorycznie odmawiali wypowiedzi na ten temat, lub nawet, obiecując zgłosić się do badania, nie dotrzymywali wielokrotnie wyznaczonego terminu, niemniej jednak zbadano 50 osób, w tym 30 kobiet i 20 mężczyzn.

Jako górną granicę wieku przyjęto 14 lat nie przekroczonych w chwili aresztowania. Badania obejmowały: badanie psychiatryczne, ogólne somatyczne, neurologiczne, ogólne podstawowe badania dodatkowe, w niektórych wypadkach specjalistyczne, np. ginekologiczne czy neurochirurgiczne oraz badanie psychologiczne za pomocą testów [2]. Ponadto celem uzupełnienia materiału i prześledzenia pewnych reakcji ułożono arkusz ankietowy, który zawierał dziewięć części, a mianowicie:

1. Część ogólnostatystyczną, w której umieszczono pytania dotyczące danych personalnych badanego, jego rodziny rodzonej lub przybranej, jego pozycji socjalnej, zatem wykształcenia, pracy, zmian pracy; tu także zamieszczono pytanie dotyczące chorób przebytych i pobytów w szpitalach itp.

2. Część druga, nazwana biosocjalną, obejmowała pytania dotyczące sposobu spędzania codziennego czasu, a także dni wolnych od pracy, ulubionych zajęć i rozrywek, ulubionych książek, filmów itp. innych widowisk, wreszcie tzw. „hobby".

3. Część trzecia obejmowała wypowiedzi „o sobie samym", a zatem dotyczyła wyboru zawodu realnego, a także wymarzonego, nie realizowanego, zawierała pytania o swojej wizji siebie samego.

4. Część czwarta obejmowała wypowiedzi o innych ludziach np. pytanie, „jaki jest twój ideał kolegi, kobiety" itp.

5. Część piąta nosiła tytuł „Oceny" i zawie-

[1] *R. Leśniak:* Poobozowe zmiany osobowości byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1965, nr 1, str. 13—20. — *A. Szymusik:* Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1964, nr 1, str. 23—29. — *M. Orwid:* Socjopsychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Tamże, str. 17—23. — *A. Teutsch:* Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stressu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Tamże, str. 12—17.

[2] Test uzupełnienia zdań J. M. Sachsa i L. Sidneya, inwentarz osobowościowy H. Bernreutera i kwestionariusz Woodwortha-Mathewsa (zob. artykuł J. *Sarneckiego* na temat konfliktów emocjonalnych osób urodzonych lub więzionych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, zamieszczony w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim").

rała pytania w formie wymagającej wartościowania, np. „oceń siebie samego, swoją najbliższą koleżankę, szkołę, zabawę" itp. i zmierzała do wydobycia odpowiednich sądów.

6. Część szósta obejmowała pytania dotyczące sfery marzeń i życzeń warunkowanych, np. „jakie są twoje trzy największe życzenia", „jakbyś spędził wolny miesiąc", „co chciałbyś zmienić w swoim życiu" itp.

7. Część siódma została przewidziana dla ewentualnych uzupełnień i w przeważającej większości przypadków pozostała bez odpowiedzi.

7. Część ósma zawierała pytanie: „Co wiesz o Oświęcimiu, w jakim stopniu jest to dla ciebie historia, a w jakim rzeczywistość i czy ona oddziałuje na ciebie".

9. Część ostatnia, dziewiąta, dotyczyła tzw. poglądów, mianowicie były w tej części tylko dwa pytania: „Co sądzisz o swoich rówieśnikach czy całej dzisiejszej młodzieży, czy i czym się od nich różnisz".

Ponieważ już pierwsze przypadki badane psychiatrycznie nasuwały podejrzenie o zespoły encefalopatyczne, organiczne, przeto w każdym badanym przypadku usiłowano wykonać badanie elektroencefalograficzne; wykonano je u 44 osób bądź w prowadzącej badania Klinice Psychiatrycznej AM w Krakowie (dr *Julian Gątarski*), bądź dzięki uprzejmości i bezinteresownemu trudowi dr *Haliny Ekiert* w Pracowni EEG w Pruszkowie [3].

Badania psychiatryczne i psychologiczne przeprowadzono u 50 osób. Nawet gdy ktoś nie był skłonny poddać się badaniu, badający mógł pójść do niego i po pewnej wstępnej trudności zwykle nawiązywał kontakt.

Ostatecznie wszyscy, do których lekarzom udało się dotrzeć osobiście, poddali się badaniom. Mimo wysiłków nie zdołano wykonać u wszystkich 50 osób badania eeg, niekiedy z powodu odległości od pracowni, niekiedy pewnej niecierpliwości wykazywanej przez badanych, którzy nie chcieli zgłaszać się ponownie lub nie dotrzymali terminu. Spośród 50 osób, u których przeprowadzono badania psychiatryczne i psychologiczne i które wypełniły ankietę, 6 osób nie zgłosiło się do badania elektroencefalograficznego.

Ponadto z nazwisk podanych przez kustosza Muzeum w Oświęcimiu, mgr *Tadeusza Szymańskiego,* do kilku osób nie udało się dotrzeć, gdyż nie było aktualnych adresów lub jeśli nawet adres był, to nierealny (np. w wypadku marynarza pływającego przez większość dni w roku poza krajem). Znane są jeszcze nazwiska 18 osób, których nie zdołano zbadać, w tym 14 podanych przez kustosza Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, a 4 pochodzą z Potulic i są podane przez starsze z „dzieci", pamiętające współtowarzyszy. Trudno ocenić, czy przebadana grupa jest grupą statystycznie znamienną i reprezentatywną dla całej grupy byłych najmłodszych więźniów, gdyż zupełnie nie można ustalić ani liczby dzieci, które przebywały w obozach, ani też, ile z nich obecnie żyje, jednak wydawało się, że liczba 50 osób pozwoli już na wysnucie pewnych choćby wstępnych wniosków, co upoważniało do podjęcia próby zestawienia zebranego materiału.

Nazwa „dzieci Oświęcimia" jest umowna i symboliczna; określa ona też te dzieci, które przebywały w innych obozach (oprócz Oświęcimia: Ravensbrück, Potulice, Bergen-Belsen, Buchenwald, Majdanek, Płaszów). Niektóre osoby były w kilku obozach, troje pochodzi z niewiadomego obozu, bo w domach dziecka, gdzie znalazły się w 1945 roku, odnotowano tylko, że dziecko pochodzi z obozu z terenu Niemiec.

Jako kryterium zaliczenia do grupy badanej przyjęto wiek od urodzenia do górnej granicy 14 lat w chwili umieszczenia w obozie. Przyjęto następujący podział według grup wieku:

1. Grupa najmłodsza obejmuje osoby, o których wiadomo, że są urodzone na terenie obozu koncentracyjnego (grupa obejmuje 18 osób, w tym 11 dziewcząt i 7 chłopców, oznaczona jest symbolem „N" — niemowlęta).

2. Grupa obejmująca dzieci, o których urodzeniu brak danych, ale wiadomo, że przebywały w obozie, stamtąd zostały zabrane, a były zbyt małe, by podać swój wiek i nazwisko, lub dzieci rozpoznane przez starszych, ale które podczas umieszczenia w obozie nie przekroczyły 6 lat; grupa ta obejmuje 16 osób i oznaczona jest symbolem „M" — małe dziecko (w tym 10 dziewcząt i 6 chłopców).

3. Grupa dzieci starszych, które pamiętały swoje dane i w chwili aresztowania miały przeszło 6 lat. Grupę tę oznaczono symbolem „D", przy czym małą literą „d" wyróżniono dzieci między 6. i 10. rokiem życia; jest takich czworo, trzy dziewczynki i jeden chłopiec. Duże „D" oznacza dzieci powyżej lat 10; jest ich 12 (6 dziewcząt i 6 chłopców). Razem grupa najstarsza obejmuje 16 osób (9 dziewcząt i 7 chłopców).

Badania dostarczyły materiału, który można analizować w różnych aspektach. W pracy niniejszej chodziło przede wszystkim o analizę struktury osobowości; przeprowadzono analizę psychiatryczną pod kątem zaobserwowanych zespołów, analizę psychologiczną oraz analizę wyników badań elektroencefalograficznych.

* * *

Od razu należy podkreślić, że w żadnym wypadku nie rozpoznano choroby psychicznej i cała analiza diagnostyczna dotyczy cech osobowości oraz zespołów, które częściowo zakwalifikowano do nerwicowych, a częściowo do encefalopatycznych. Jakkolwiek wszystkie osoby badane uważały się za zdrowe, to jednak w każdym wypadku znaleziono szereg objawów, które pozwalały na klasyfikację psychiatryczną.

Nawet osoby, które w pierwszej chwili mówiły, że czują się dobrze, w dalszym toku wy-

[3] Zob. artykuł *J. Gątarskiego* pt. „Badania elektroencefalograficzne u osób urodzonych lub przebywających w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych", zamieszczony w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

powiedzi dodawały wyjaśnienia w rodzaju: „czuję się zdrowa, ale jestem bardzo nerwowa", „jestem zdrów, ale nerwus". W ten sposób nie została ani jedna osoba, która by do końca badań twierdziła, że jest zupełnie zdrowa i w rezultacie w każdym przypadku podawano skargi subiektywne. Ponieważ trudno przytaczać wszystkie przypadki, ograniczymy się do podsumowania, podając wyniki zestawień.

Subiektywne skargi badanych następująco uszeregowano według częstości występowania:
1) Nerwowość — dolegliwość tę podaje 46 osób, przy czym niektórzy rozróżniają wybuchowość lub impulsywność.
2) Bóle głowy, przy czym niektórzy dodają przymiotniki, jak: „strasznie silne", niektórzy określają lokalizując „w potylicy", „w czole", „na szczycie czaszki" itp., niektórzy wymieniają bóle ciągłe lub napadowe.
3) Zaburzenia rytmu snu; w tym niektórzy podają całkowitą bezsenność, inni makabryczne sny, inni trudność zasypiania i senność w dzień.

Te trzy dolegliwości występują równomiernie we wszystkich grupach dzieci, natomiast następna skarga:
4) Lęki — występują częściej w grupie dzieci starszych niż w grupie małych dzieci.
5) Poczucie osłabienia, znużenia, nagłego zmęczenia, występuje tylko w grupie osób oznaczonych „M" i „d" lub „D", natomiast nie występuje w grupie najmłodszych „N".
6) Dolegliwości typu nerwicowego, dotyczące bólów serca, wątroby, żołądka.
7) Bóle stawów, częściej występujące w grupie starszych i zjawia się określenie
8) złe samopoczucie.

Natężenie dolegliwości jest nie tyle zależne od aktualnego wieku dziecka, ile od wieku w chwili aresztowania i od długości pobytu w obozie. Stąd zaistniała potrzeba zestawienia przypadków według tych danych.

Okazało się, że w odniesieniu do niektórych osób nie ma bezspornych danych, dotyczących czasu trwania ich pobytu w obozie, a jedynie orientowano się prawdopodobieństwem wynikającym np. z numeru wytatuowanego (kolejność numeru dawała w przybliżeniu rok przybycia do obozu). Nie są to jednak dane ścisłe, gdyż niekiedy dzieci nie były tatuowane lub numer nie dał się odczytać.

Zasadniczo okazało się, że np. z Ravensbrück pochodzą tylko dzieci tam urodzone i to w ostatnich miesiącach 1944 r. lub w pierwszych miesiącach 1945 r., gdyż jak wiadomo, wszystkie dzieci urodzone przedtem w tym obozie były zabijane.

W Oświęcimiu początkowo dzieci były rozproszone, niekiedy celowo, przez dorosłe kobiety, ukrywane po różnych blokach, częściowo umieszczane w „rewirze", wreszcie staraniem dr *J. Kościuszkowej* w specjalnym bloku dziecięcym, założonym na przełomie lat 1943/44 [4]. Niewiele dzieci przeżyło Oświęcim dłużej niż rok, a jednak są wśród badanych osoby, których pobyt rozpoczął się około 1942 r. (a nawet 1941; są to dzieci, które uprzednio przeszły przez Płaszów); są także takie, które przewieziono z Oświęcimia do innych obozów.

Dlatego zanalizowano ponadto długość czasu pobytu w obozie, w wypadku dzieci urodzonych w obozie zaznaczano, czy matka przez całą ciążę przebywała w obozie, czy tylko podczas drugiej połowy ciąży.

Uwzględniając więc zarówno wiek, rok urodzenia, jak i długość pobytu w obozie przeprowadzono badania i ustalono diagnozę psychiatryczną. Należy jeszcze podkreślić, iż postawienie rozpoznania jest o tyle trudne, że nie dotyczy wyraźnych zespołów chorobowych, ale zmian niekiedy dyskretnych. Ponadto istniała zasadnicza trudność zdobycia wywiadu dotyczącego linii życiowej, co ma znaczenie dla struktury osobowości, mianowicie, jak już podkreślono, zbieranie danych o faktach odległych o kilka czy nawet kilkanaście lat z natury rzeczy nie zawsze było łatwe lub możliwe.

Zasadniczo starano się uzyskać jak najszerszy wywiad zarówno od rodzonych matek, jak i od rodzin przybranych lub wychowawców.

W toku zbierania wywiadu pojawiła się jeszcze jedna trudność natury psychologicznej. Niektóre matki odmawiały wywiadu, lub niektóre „dzieci" żądały, by „mamy o to nie pytać, mama ma dość tego obozu". Niektóre z tych osób sugerowały: „mama jest po obozie tak nerwowa, nie można jej tego przypominać", „jej system nerwowy jest taki, że nie wolno jej o obozie przypominać".

Jednakże udało się na tyle uzupełnić zbierany materiał, że postawiono rozpoznanie psychiatryczne, uwzględniając zarówno wyniki uzyskane w czasie bezpośredniego badania, jak i dane z wywiadu, z badania psychologicznego oraz ankiety.

Rozpoznanie psychiatryczne uniezależniono od wyników badania eeg; ograniczono się do obserwowanych zespołów nie sugerując, że mają one podłoże somatyczne, gdyż z odległości tak długiego czasu trudno ocenić, kiedy zmiany obecnie obserwowane powstały, a zatem diagnozę stawiano bez korelacji z eeg, dopiero następnie dołączono analizę elektroencefalograficzną celem podkreślenia ewentualnego podłoża organicznego. Jednak mimo zastrzeżenia, że lekarz badający nie uwzględnia wyników eeg, wyodrębniono grupę, w której rozpoznanie musiało brzmieć: *syndroma psychoorganicum*, gdyż na to wskazywały obserwowane objawy.

Poza tym znaleziono zmiany, które dałyby się zaszeregować do grupy zmian osobowości, przy czym z uwagi na trudność diagnostyczną zaliczono tu zarówno osoby, u których struktura osobowości wskazywała na pewne elementy psychopatyczne, jak i te, u których stwierdzono przewlekłe zespoły nerwicowe.

Trzecią grupę wyodrębniono według cech, które ogólnie nazwano: niedojrzałością.

[4] Zob. *J. Kościuszkowa:* Losy dzieci w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Przegl. Lek., R. 17: 1961, nr 1, str. 60—61.

W ten sposób podzielono zebrane przypadki na trzy grupy:

I. Zespół psychoorganiczny — *syndroma psychoorganicum* — grupa, w której wyraźnie dominują cechy organiczne, a skargi subiektywne obejmują: bóle i zawroty głowy, ataki z utratą przytomności lub chwilowe „zapomnienia" bez utraty przytomności, napadowe bóle głowy z nudnościami, obniżenie sprawności pamięci, drażliwość o typie dysforii, ataki drgawkowe i ekwiwalenty, obniżenie intelektu. Szczegółowe rozpoznanie wymaga podziału tej grupy na podgrupy:
a) obraz jak po zejściu po zapaleniu mózgu *(encephalitis)* z hipofrenią,
b) encefalopatia,
c) padaczka.

II. Zaburzenia w rozwoju osobowości w kierunku cech psychopatycznych, przy czym szczegółowo określono badanych jako:
a) impulsywnych z tendencjami aspołecznymi, konfliktami międzyludzkimi,
b) wyraźnie „znerwicowanych" lub dystymicznych,
c) depresyjnych, ze skłonnością do reakcji depresyjnych, a nawet myśli i tendencji samobójczych,
d) schizoidalnych.

Do tej grupy, a także następnej, zaliczono osoby nie tylko według podawanych przez nie subiektywnych skarg i dolegliwości, ale także w oparciu o wywiad. Oczywiście, podział — jak zawsze w psychiatrii — jest rzeczą umowną i w odniesieniu do cech psychicznych nie może być sztywny, uwzględnia zaś przeważające rysy osobowości. Może być obraz mieszany, a badanego „przydziela się" do grupy według dominanty.

III. Wyraźne cechy niedojrzałości, które podzielono na: a) osobowość infantylną z przewagą niedojrzałości uczuciowej,
b) osobowość infantylną z przewagą cech psychastenicznych,
c) osobowość infantylną z wyraźnymi reakcjami lękowymi.

Reakcje lękowe występują niezależnie od rozpoznania; są one związane z wiekiem badanych. W grupie III wyobrębniono szczególnie wyraźne reakcje, w mniejszym nasileniu spotykamy je w każdej grupie.

Do grupy pierwszej (I) zaliczono te przypadki, w których wyraźnie w obrazie klinicznym dominowały objawy uszkodzenia organicznego, a więc a) zespoły odpowiadające zejściu zapalenia mózgu czy opon mózgowych z wtórnym zespołem hipofrenii; b) zaliczono do tej grupy przypadki, w których nie znaleziono psychopatycznych cech osobowości, ale wyraźne napadowe okresy drażliwości bądź dysforii, występujące niezależnie od przyczyn zewnętrznych, mijające bez śladu, połączone z dolegliwościami somatycznymi takimi, jak bóle, zawroty głowy, napadowe bóle typu *hemicrania,* omdlenia podejrzane w kierunku ekwiwalentów, jednak (poza jednym przypadkiem) nie obserwowane przez badających lekarzy, wreszcie w grupie I c) jeden przypadek padaczki.

Do grupy I zaliczono 11 osób (w tym 7 kobiet i 4 mężczyzn).

Zestawienie według wieku oraz długości pobytu w obozie zawiera tabela I.

Spośród grupy ujętej w tabeli I w 10 przypadkach stwierdzono patologiczny zapis eeg o zmianach uogólnionych lub ogniskowych, w jednym wypadku zapis był prawidłowy mimo padaczki rozpoznanej klinicznie.

W grupie tej było pięcioro dzieci małych, oznaczonych symbolem „M" i jedno dziecko, urodzone w obozie, ale w r. 1943, oznaczone symbolem „N". Ich uwięzienie przypadło na pierwsze trzy lata życia, a długość pobytu w obozie wyniosła u wszystkich przeszło półtora roku, przy czym daje się zauważyć wyraźna zależność nasilenia zmian patologicznych od długości pobytu. Najbardziej zaawansowane objawy są u dzieci, które były przeszło dwa, a nawet trzy lata w Oświęcimiu.

Ponadto w grupie tej znalazły się dzieci starsze, między 8. a 14. rokiem życia (czworo), które były krócej w obozie, bo około 9 miesięcy, a jednak wystąpiły u nich zespoły encefalopatii.

Wreszcie w tej grupie znajduje się badany, o którym niewiele wiadomo; został zabrany z obozu w drugim lub trzecim roku życia; nie wiadomo o nim ani w jakim obozie był przed znalezieniem go w ostatnim obozie, ani jak długo tam przebywał. W przypadku tym przyjęto umowną datę urodzenia na rok 1939; dziecko to w chwili wyzwolenia nie umiało mówić i nie wiedziało, kim jest. Jest to ten

TABELA I

Dane dotyczące grupy I (7 kobiet, 4 mężczyzn)

Lp.	Nr	Rok urodzenia	Pobyt w obozie	Wiek w chwili uwięzienia	Płeć	Rozpoznanie
1	3—M	1938	ponad 3 lata	3 rok życia	m	I a
2	10—M	?	ponad 2 lata	około 2—3 lat	ż	I a
3	42—D	1930	9 miesięcy	14 rok życia	m	I a
4	45—D	1933	9 miesięcy	2 rok życia	ż	I a
5	50—N	1943	rok i 8 miesięcy	od urodzenia	m	I a
6	24—M	?	rok ?	około 3—4 miesięcy	m	I c
7	2—d	1935	rok i 3 miesiące	8 rok życia	ż	I b
8	23—D	1933	9 miesięcy	11 rok życia	ż	I b
9	21—M	1943	rok i 8 miesięcy	od urodzenia	ż	I b
10	7—d	1932	ponad 3 lata	10 rok życia	ż	I b
11	6—M	1941	rok i 9 miesięcy	2 rok życia	ż	

przypadek, w którym stwierdzono padaczkę klinicznie.

Z chorób somatycznych przebytych w okresie już po wyzwoleniu w pierwszych miesiącach po wyjściu — w 5 przypadkach zanotowano gruźlicę płuc, a w 6 bóle stawowe.

Oprócz opisanych głównych objawów, dla których tę grupę wyodrębniono, stwierdzono takie objawy, jak: a) reakcje depresyjne, skłonność do depresji u 5 osób, opisywaną przez nich w ten sposób: „sama nie wiem, czemu jestem stale smutna", „jakaś inna niż inne dzieci byłam zawsze, zawsze byłam smutna", „nieraz myślę, po co żyję i wtedy myślę, żeby sobie co zrobić", „nigdy się nie cieszyłam, to ciąży na mnie"; b) do reakcji lękowych w tej grupie przyznają się tylko trzy osoby, ale w wywiadzie dotyczącym przeszłości otoczenie podało wyraźne lęki, które u 3 osób utrzymywały się jeszcze parę lat po obozie. O jednej z nich, która do lęków się nie przyznaje i nie uważa siebie za lękową, stwierdził ojciec: „dotąd się boi", „boi się różnych sytuacji".

Przypadek 10, płeć żeńska. Urodzona nie wiadomo kiedy, sądząc z numeru tatuażu przybyła do Oświęcimia prawdopodobnie około połowy 1943 r.; w dwa lata później w chwili wyzwolenia lekarz badający ją ustalił rok urodzenia na 1939. Nie pamiętała z okresu obozu nic, ale podawała swoje imię. Pierwsze dane dotyczą okresu w domu dziecka, gdzie została przewieziona w kwietniu 1945 r. Przez pierwsze dwa tygodnie personel domu dziecka sądził, że dziewczynka jest niemową, widać było, że polecenia rozumie: „patrzyła mądrze, ale w ogóle nic nie mówiła". Podająca wywiad mówi: „to było tak dawno, a zachowanie tego dziecka było tak dziwne, że ja tego nigdy nie zapomnę", może po trzech tygodniach przemówiła. Potem miewała wybuchy gwałtownej złości, nagle w środku najlepszej zabawy rzucała się, biła inne dzieci, krzyczała, potem znowu była cicha i nieśmiała.

Szczególną trudność miały z nią wychowawczynie, gdy chciały ją przebrać, dziewczynka przywieziona była w szmatach podartych i przez przeszło miesiąc nie dała sobie ich zdjąć, spała w nich i urządzała przy próbie przebierania takie awantury i krzyki, że zostawiono jej to ubranie, dopiero po więcej niż miesiącu, jak mówi nauczycielka: „to mnie pozwoliła się wreszcie ubrać, ale długo trwało, zanim jej wytłumaczyłam i doskonale pamiętam, co dziecko powiedziało: „jak mi dasz nową sukienkę, to mnie spalisz". Wreszcie jej wytłumaczyłam, że nikt jej nie spali i pozwoliła się ubrać. Bardzo długo miewała lęki nocne, zrywała się z krzykiem, nie budząc się wykrzykiwała niemieckie wyrazy czy części wyrazów, trzęsła się przy tym cała, długo moczyła się do łóżka". Chorób przebytych podająca wywiad nie pamięta, ale mówi: „wiem na pewno, że miała gruźlicę, bo potem ją skierowano do sanatorium i pamiętam, że bardzo długo miała jakieś uporczywe zapalenie ropne spojówek, miała oczy ciągle zaropiałe". Gdy przyszła do domu dziecka, zaczęła się bardzo chętnie uczyć, pierwsze momenty wydawały się świadczyć o zdolnościach, ale bardzo prędko okazało się, że nie może się uczyć. Nauczycielka mówi: „wiem, bo sama ją uczyłam, była bardzo pilna i bardzo ambitna, ale widać było, że do tej głowiny nic nie dochodzi, zapamiętywała na parę minut, z trudem wielkim uczyła się pisać i czytać". Długo trwało, zanim znowu udało się ją czegoś więcej nauczyć, czasem była jakby lepsza i miała możność zapamiętania, a czasem siedziała jakby była nieobecna i nie dochodziło do niej nic z otoczenia.

Badanie somatyczne: Tatuaż numeru na lewym przedramieniu, szereg blizn na klatce piersiowej, źrenice bardzo szerokie, mało wydatna reakcja na światło, odruchy głębokie bardzo żywe, równe.

Badania dodatkowe: mocz: ślad białka, OB 7/20, morfologia bez zmian. Rtg: w dolnym polu płuca lewego duże ognisko zwapniałe, podobne widoczne we wnęce po tej samej stronie. W obrazie eeg bardzo znaczne uogólnione cechy rozlanej encefalopatii.

Badanie psychiatryczne: Mimika uboga, kontakt początkowo trudny, nieufna. Spontanicznie mówi dopiero pod koniec rozmowy, o tym, że „najgorzej to temu, kto nie ma rodziny", jej kilkakrotne wypowiedzi wracają do tematu rodziny. Nie uważa się za chorą, ale mówi o sobie: „takie mam straszne bóle głowy od dziecka i od tego jestem strasznie nerwowa". Wie, że miała gruźlicę, bo przez dwa lata była w prewentorium. Najwcześniejsze jej wspomnienie, to obraz matki; twierdzi, że pamięta jej twarz i dziecko na ręku, a potem wielki ogień, krzyk matki i jej łzy; pamięta nadto dużo dzieci, może sto. Z obozu wspomina tylko: „Ciągle mnie bili po plecach, jak nie mogłam stać, wszystkie dzieci były słabe i te, co nie mogły stać, to je bili po plecach i w głowę, mnie ciągle bili i ciągle byłam głodna, bo dawali taki dziwny gorzki szpinak".[5] Pamięta jeszcze, że boso stała na śniegu i nogi miała „aż takie czarne i strasznie ją bolały". Z późniejszego okresu pamięta, że przyjechali żołnierze, którzy dzieci ubrali w futrzane rękawiczki i w kożuszki i wreszcie było jej ciepło. Następne wspomnienie dopiero w domu dziecka. Nikt jej tam nie bił, ale pamięta, jak w nocy płakała, nie ma nikogo, dotąd w nocy płacze, gdy się zbudzi i uświadomi sobie, że jest sama na świecie. Zapytana, co chciałaby zmienić w swoim życiu, wzdycha i mówi, jak małe dziecko: „żeby mama i tata byli, ale to się nie da już, jestem taka zrezygnowana, mój los został w Oświęcimiu, ileż razy przychodzą mi takie myśli, żeby sobie odebrać życie, bo sama nie mogę sobie dać rady, żebym miała kogoś bliskiego, kogokolwiek, kto by mi mógł pomóc, a tak czuję się zawsze sama na świecie i pani nie wie, jakie to jest straszne".

O sobie mówi: „jestem najgłupsza na świecie, bo ja nie mam pamięci, nie miałam głowy do nauki i jak jeszcze nawet byłam mała i chciałam wierszyka się nauczyć, jak inne dzieci, to całą noc się uczyłam, a rano nic nie wiedziałam i teraz, co chcę zapamiętać, nitkę wiążę i tak nie wiem, żebym to ja miała pamięć". Mówi to wszystko spokojnie, bez śladu teatralności, z ogromną rezygnacją powtarza: „nie miałam nikogo, kto by mi pomógł do życia i do szczęścia". W dniu badania w nocy nagle zaczęła krzyczeć, nie obudziła się, siadła z szeroko otwartymi oczami, jakby odpychała coś od siebie, krzyczała bez słów. Położona łagodnie do łóżka, uspokoiła się szybko, ale jeszcze przez dłuższy czas przewracała się i mówiła pojedyncze słowa, w których najczęściej powtarzało się: „mamo, mamo" i płakała przez sen. Rano nie pamiętała nic z nocnego incydentu. Spontanicznie zaczyna rozmowę o Niemcach, że się ich dotąd boi i ma żal: „Potępiam ich i bardzo się boję, ciągle się ich boję, gdyby nie Niemcy, życie moje byłoby inne". Nastrój w czasie badania obniżony, z odcieniem smutku, zachowanie wyraźnie dziecinne, uderza olbrzymie poczucie krzywdy i osamotnienia. Myśl o rodzicach jest wyraźnie dominująca, mimo iż w chwili badania według umownie ustalonej metryki badana ma 27 lat.

Badanie psychologiczne: Badana żyje samotnie w kręgu nielicznych doświadczeń i nielicznych kontaktów społecznych. Czuje się bardzo samotna i opuszczona. Szczególnie silnie przeżywa brak rodziców, a już najbardziej odczuwa brak matki. Czuje się zapomniana, opuszczona i przez nikogo nie kochana. Samotna boryka się z ciężką pracą, na świat patrzy oczyma przerażonego dziecka, nie umie w tym świecie działać, nie rozumie go. Każde zbliżenie napawa ją przerażeniem. Boi się ludzi, chociaż bardzo potrzebuje ich serdecznego wsparcia, ale wie, że ludzie mogą ją tylko wyzyskać, takie są jej dotychczasowe doświadczenia. Ma silne poczucie mniejszej wartości, łatwo ustępuje i łatwo rezygnuje ze swoich planów z obawy przed niepowodzeniem: jej się nie może nic udać. Jest smutna i przygnębiona, bez radości życia, bez zapału i napędu. Przeżywa tragicznie swój los dziecka chowanego w zakładach opiekuńczych. Konflikty uczuciowe manifestują się cofnięciem się, obawą przed kontaktem ze światem.

Zapis eeg i dane z wywiadu: w szczególności napadowe zmiany nastroju, ucieczki, obniżenie sprawności pa-

[5] Chodzi o jarmuż (*brassica deracea, varietas sabellica*). Roślina tą karmiono więźniów w obozach koncentracyjnych.

mięci, objawy fizyczne takie, jak bóle i zawroty głowy nasilające się po wysiłku fizycznym (więc jakby w warunkach hiperwentylacji) upoważniają do rozpoznania stanu po organicznym uszkodzeniu ośrodkowego układu nerwowego, podobnego do takich, jakie się obserwuje po przebytych zapaleniach mózgu.

W odniesieniu do grupy pierwszej (I) zachodzi pytanie, którego nie da się obecnie rozstrzygnąć, czy osoby te w warunkach obozu przechodziły zakażenie ośrodkowego układu nerwowego, czy też zmiany powstały wskutek głodu. Niezależnie od przyczyn, które ten stan wywołały, jest to grupa osób wykazujących niewątpliwie zmiany organiczne.

Grupa druga (II) obejmuje przypadki zebrane razem z uwagi na zmiany w osobowości, przy czym wyodrębniono podgrupy według dominujących cech, zaznaczając, że jak zawsze w diagnostyce psychiatrycznej, nie są one zupełnie jednorodne i objawy wyglądają nieco inaczej w każdym indywidualnym przypadku. Podciągnięto tych badanych pod wspólną nazwę celem ułatwienia klasyfikacji i wliczono do tej grupy zarówno psychopatie, jak i przewlekłe zespoły nerwicowe, aby podkreślić, iż różnią się one od zwykłych objawów nerwicowych brakiem sytuacji nerwicorodnej w aktualnym życiu tych ludzi, a wydają się pochodzić z sytuacji stressowej, którą przeżyli oni przed 20 laty.

Do tej grupy zaliczono 13 osób (9 mężczyzn i 4 kobiety); wyodrębniono następujące zespoły:

II a — osobowość impulsywna z rysami i tendencjami aspołecznymi,
II b — osobowość dystymiczna z objawami nerwic i zmianami nastroju,
II c — osobowość z przewagą skłonności depresyjnych,
II d — osobowość o wyraźnych cechach schizoidalnych.

W przypadkach, gdy występowały różne cechy, użyto symbolów podwójnych np. a + d czy a + c.

Zestawienie tych przypadków według roku urodzenia, długości okresu pobytu w obozie, wieku w chwili umieszczenia w obozie oraz rozpoznania i wynik badania eeg przedstawia tabela II:

Analizując wiek osób włączonych do grupy przedstawionej w tabeli II, okazuje się, że jest tu 5 osób urodzonych w obozach, jedna prawdopodobnie w obozie, dwie w chwili uwięzienia w wieku około 2 lat, jedna — lat 8, cztery powyżej lat 10.

Spośród dzieci urodzonych w obozie czworo w tej grupie ma zapis eeg patologiczny o cechach uogólnionych lub ogniskowych, jedno dziecko urodzone w grudniu 1944 r. nie wykazuje zmian patologicznych w eeg, z dzieci starszych jedno nie poddało się badaniom eeg, jedno ma zapis patologiczny, a czworo prawidłowy. Dwoje małych z grupy II, nie urodzonych w obozie, ma zapis uogólniony patologiczny. Czyli w tej grupie spośród 12 przypadków 7 wykazuje zmiany elektroencefalograficzne. Jak wspomniano, nie dobierano tu osób według wyników badania eeg, ale według rysów osobowości, która, zdaje się, że odbiega od normy. Zachodzi pytanie, czy w tym wypadku można pobyt w obozie uznać za przyczynę rozwoju osobowości w określonym kierunku oraz czy obserwowane objawy stoją w związku z patologicznym zapisem eeg.

Żeby bardziej plastycznie przedstawić problematykę tej grupy, trzeba może zanalizować ją pod nieco innym kątem, niż psychiatryczny punkt widzenia, mianowicie należy przedstawić przypadki od strony pozycji społecznej; w grupie tej są cztery osoby niewiadomego pochodzenia, dwie osoby w ostatnich dopiero latach odnalazły rodziców. Troje dalszych straciło rodziców w obozie i wróciło jako sieroty pamiętające wprawdzie swoje nazwisko, ale po powrocie nie posiadające własnego domu,

TABELA II

Dane dotyczące grupy II (4 kobiety, 9 mężczyzn)

Lp.	Nr	Rok urodzenia	Wiek w chwili aresztowania	Długość pobytu w obozie	Płeć	Rozpoznanie	Eeg
1	8—M	1942 ?	prawd.? urodz.	około roku ?	m	IIa	patologiczny
2	12—M	1943	ponad 2 lata	około 2 lata	m	IIa + b + d	bez zmian
3	13—D	1930	13 lat	rok i 9 miesięcy	m	IIb	bez zmian
4	14—D	1932	11 lat	rok i 9 miesięcy	m	IIb	patologiczny
5	17—D	1932	11 lat	rok i 9 miesięcy	m	IIb	bez zmian
6	I—d	1935	8 lat	20 miesięcy	m	IIb + c + d	bez zmian
7	20—M	1940	2 lata	ponad 2 lata	ż	IIb	patologiczny
8	22—N	1944	urodz.	?	m	IIa	patologiczny
9	27—N	1945	urodz.	cała ciąża matki i 1 miesiąc	ż	IIc + d	patologiczny
10	28—N	1945	urodz.	„	ż	IIc + d	patologiczny
11	29—D	1929	14 lat	8 miesięcy	ż	IIb	brak
12	48—N	1945	urodz.	cała ciąża matki i 2 miesiące	m	IIa	bez zmian
13	47—N	1945	urodz.	ciąża 2 miesiąc	m	IId	patologiczny

dwoje straciło w obozie ojców i wychowywała ich tylko matka, a tylko dwoje ma dom i oboje rodziców.

W kształtowaniu się rysów osobowości niewątpliwie warunki środowiskowe mają swój wpływ.

W tej grupie typowym przykładem jest przypadek 12.

Przypadek 12. Chłopiec urodzony, jak się obecnie okazało, w grudniu 1941 r. (uprzednio przyjmowano datę urodzenia 1943 r.). Został zabrany z obozu przez przybranych rodziców w styczniu r. 1945. Chłopiec chował się w sytuacji jedynaka. Początkowo wydawało się, że nie uda się utrzymać go przy życiu. Był skrajnie wychudzony; na głowie miał według relacji przybranej matki zaskorupiałą „czapkę ze strupa i wszy", jego oczy „ropiały długo i długo lało się z nich ciurkiem". Miał szereg śladów, jakby od ukłucia. Długo w nocy zrywał się, krzyczał przez sen, płakał. Chorował na gruźlicę.

Po różnych chorobach poszedł do szkoły i od razu odróżniał się nerwowością. Gdy go nagle ktoś dotknął, chłopiec nie patrząc natychmiast reagował agresją. Nieraz stawał w oknie i patrzył przed siebie zamyślony, jakby nie słyszał i nie widział. Gdy widział kogoś w jakimkolwiek mundurze, to albo uciekał, albo uderzał go pięściami. Był zacięty, uparty i skryty. Do matki przybranej przywiązał się. Raz, gdy umierał w sąsiedztwie stary człowiek, pobiegł tam. Gdy matka poszła za nim, aby go zabrać, zastała go rozpromienionego. Powiedział: „Mamo, to człowiek może sam umrzeć? Ja myślałem, że ludzi się tylko dusi". Kłamał zupełnie bez potrzeby. Jedzenie i różne przedmioty przez długi okres czasu ukrywał gdzieś po kątach. Uczył się dobrze, ale w szkole był nierozumiany. Nauczycielka o nim mówiła: „dziwny jest". Gdy zdał maturę, poszedł na studia, ale po trzech miesiącach przerwał je i zmienił uczelnię. Rok temu, gdy dwie dziewczynki z obozu w Oświęcimiu odnalazły rodzinę i jego matka się znalazła, pojechał do niej, ale wrócił jeszcze bardziej skryty. O tym, że jest przybranym dzieckiem, wiedział już dawniej. Ale od czasu odnalezienia rodziny stał się bardziej nerwowy. Podająca wywiad podaje: „teraz ja cierpię i on, i tamta się żali, że on do niej nie mówi: mamo".

Badanie somatyczne i neurologiczne wykazało budowę wątłą, asteniczną, w prawym łuku brwiowym drobną bliznę i wyraźne objawy dystonii wegetatywnej.

Badanie psychiatryczne: Kontakt pozornie bardzo łatwy, ale powierzchowny. Dopiero po licznych kolejnych rozmowach przyznał, że przeżył bardzo boleśnie fakt, iż nie jest rodzonym dzieckiem. Uciekł pokryjomu na teren obozu w Oświęcimiu i starał się znaleźć ślady własnej matki. Czuje się źle, źle sypia, bardzo łatwo się męczy, denerwują go ludzie. Przybrana matka również go denerwowała tym, że go ciągle pilnowała i była przesadnie troskliwa. O odnalezionej matce mówi: „nie ma żadnej cechy z tych, które w myślach przypisywałem własnej matce. Matka przybrana wyraźnie ma do mnie żal, o tamtą rodzoną, rodzona też jakby miała żal, że nie wyraziłem radości z odnalezienia jej".

Badanie psychologiczne: Dobry poziom inteligencji, co ma istotny wpływ na zachowanie badanego. Modyfikuje i planuje swoje zachowanie i postępowanie w oparciu o analizę skutków. Nastawiony jest introwertywnie, duży wgląd we własną psychikę i duża samowiedza, co nie zmienia faktu ogólnej niedojrzałości psychicznej. Uczuciowo jest silnie niezrównoważony, zaznaczają się hamowane agresje. Do ludzi raczej niechętny: boi się kontaktu, co stara się maskować obojętnością i wyniosłością. Żyje w dużym napięciu uczuciowym, co stwarza stany niepokoju. Równowaga psychiczna jest pozorna, faktycznie reaguje nieadekwatnie i to w sposób dla niego samego nieoczekiwany, staje się agresywny i napastliwy i popada w konflikty zarówno z najbliższymi, jak i z osobami nieznajomymi. Z rodzicami pozostaje w ostrym konflikcie, czemu towarzyszy silne poczucie winy. W badaniach zaznacza się nasilenie tendencji schizoidalnych, depresyjnych i brak stabilności.

Rozpoznanie badanego zostało określone symbolami II a + b + d, to znaczy osobowość zarówno impulsywna, jak i schizoidalna oraz pozostająca aktualnie w napięciu nerwicowym.

Pozornie można by przypuszczać, że napięcie nerwicowe nie może stać w związku przyczynowym z odległym pobytem w obozie koncentracyjnym, jednak analiza jego życia wskazuje, że napięcie, jakie w nim od lat istniało, jest uwarunkowane tamtym okresem, stamtąd pochodzi. Początkowo było napięcie lęku, o którym mówi przybrana matka. Lęk wyzwalał się nieraz w formie agresji, zwłaszcza przy zaskoczeniu. Agresja powodowała konflikt z otoczeniem, który z kolei pogłębiał rysy schizoidalne. Czuje się wyobcowany i poszukuje śladów swego pochodzenia. Odnalezienie matki, wbrew pozorom, niczego nie zmienia, przeciwnie, teraz konflikt zaostrza się, gdyż są dwie kobiety, które mają pretensje i „prawo do niego". Można by to nazwać późnymi skutkami tej samej przyczyny. Niewątpliwie pobyt w obozie ciąży nad tym człowiekiem do dziś.

Do grupy trzeciej (III) zaliczono osoby, u których stwierdzono rysy infantylności:

III a — niedojrzałość uczuciowa;

III b — osobowość infantylna z rysami wybitnie psychastenicznymi; dominuje wątłość, sensytywność, duża wrażliwość;

III c — symbolem c oznaczono wyraźne tendencje lękowe manifestowane aktualnie.

Do grupy tej zaliczono 19 osób, u których niedojrzałość była jedynym odchyleniem, a ponadto dołączono tutaj 7 osób, u których przy osobowości infantylnej występują jeszcze inne zespoły mieszczące się w grupach poprzednich. W ten sposób grupa ta obejmuje 26 osób, w tym 19 kobiet i 7 mężczyzn.

Ogólne objawy podawane w tej grupie w kolejności według częstości występowania: złe samopoczucie, lęki, zmienne nastroje, nerwowość, łatwa męczliwość, zaburzenia snu, makabryczne marzenia senne, poszczególne dolegliwości somatyczne, jak bóle głowy, stawów, serca itp., tzw. skargi nerwicowe, ale o niewielkim nasileniu, nie wysuwające się na czoło.

Niektóre osoby wprost nie podają żadnych dolegliwości i same oceniają swoje zdrowie pozytywnie, jednak analiza zebranego materiału pozwala na zaliczenie do tej grupy.

Trzecia wydzielona grupa (III) dzieli się na następujące podgrupy: Pierwsza to osoby, których reakcje są wyraźnie dziecinne, interpretacja zjawisk świata tak samo, afektywnie żywe, nieco przesadnie, zmienne w nastrojach, naiwne. Druga podgrupa, również uznana za niedojrzałą, to osoby wybitnie psychastenicznie psychicznie i asteniczne fizycznie. Przeważają tu kobiety, gdyż na liczbę 26 wypada ich 19. U osób tych zapis eeg na 21 wykonanych w 12 przypadkach jest patologiczny, w 3 niedojrzały, reszta nie zgłosiła się do badania eeg. Zachodzi zatem pytanie, czy mamy prawo mówić tylko o niedojrzałości, gdy badanie eeg wykazuje zmiany patologiczne (13 patologicznych zapisów na 21 wykonanych).

Następujący przypadek jest charakterystyczny dla grupy III a:

Przypadek 19. Urodzona w 1943 r. w obozie koncentracyjnym. Matka badanej od drugiego miesiąca ciąży przebywała najpierw dwa tygodnie w więzieniu, potem w obozie koncentracyjnym. Pod koniec trzecie-

TABELA III

Dane dotyczące grupy III (19 kobiet, 7 mężczyzn)

Lp.	Nr	Rok urodzenia	Wiek w chwili aresztowania	Długość pobytu w obozie	Płeć	Rozpoznanie	Eeg
1	4-M	1942	1 rok	półtora roku	ż	III b	patologiczny
2	5-N	1944	urodz.	ciąża matki	ż	III b	patologiczny
3	9-M	1939	3 lata	ponad rok	ż	III b	patologiczny
4	15-N	1944	urodz.	ciąża i 2 miesiące	ż	III a	bez zmian
5	16-M	1939	2 lata	2½ lat	ż	III b	patologiczny
6	18-M	1941	1 rok	półtora roku	m	III b	bez zmian
7	19-N	1943	urodz.	ciąża i 1 miesiąc	ż	III a	patologiczny
8	25-N	1944	urodz.	4 miesiące	ż	III a+b	bez zmian
9	26-N	1945	urodz.	2 miesiące	m	III a	bez zmian
10	30-N	1945	urodz.	cała ciąża i 1 miesiąc	ż	III a	niedojrzały
11	31-N	1945	urodz.	ciąża i 2 miesiące	ż	III a	brak
12	32-d	1934	10 lat	8 miesięcy	m	III a	bez zmian
13	33-D	1929	13 lat	8 miesięcy	ż	III a	brak
14	34-M	1938	6 lat	8 miesięcy	ż	III a+b	brak
15	35-d	1935	9 lat	8 miesięcy	ż	III a	brak
16	39-N	1945	urodz.	ciąża i 1 miesiąc	m	III b	niedojrzały
17	40-D	1932	12 lat	8 miesięcy	ż	III b+a	patologiczny
18	43-N	1945	urodz.	ciąża i 3 miesiące	ż	III b+a	niedojrzały
19	36-D	1932	12 lat	8 miesięcy	m	III a +II a	brak
20	37-N	1945	urodz.	ciąża i 2 miesiące	m	III a +II d	bez zmian
21	38-N	1945	urodz.	ciąża i 4 miesiące	ż	III a +II a	bez zmian
22	49-D	1930	11 lat	3 lata i 3 miesiące	ż	III b+c +II c	patologiczny
23	41-M	1942	2 lata	8 miesięcy	ż	III a +II b	patologiczny
24	44-N	1945	urodz.	ciąża i 3 miesiące	ż	III b +II d	patologiczny
25	46-M	1945	urodz.?	? parę miesięcy?	m	III a+b +II a	patologiczny
26	11	1942?	? rok?	? rok? więcej?	ż	III a	patologiczny

go miesiąca ciąży matka zachorowała na jakąś chorobę zakaźną, w której miała bardzo wysoką gorączkę i straciła przytomność. Leżała wówczas w „rewirze" obozowym. Po urodzeniu dziecka, które było pierwszym dzieckiem pozostawionym przy życiu w 1943 r. na terenie „Birkenau", była przez 6 tygodni razem z dzieckiem i usiłowała je karmić, jednak nie miała pokarmu i przez te 6 tygodni, gdy miała dziecko przy sobie, karmiła je tylko ziółkami. W trzy dni po urodzeniu dziecko przechodziło pęcherzycę, potem zaraziło się od matki zimnicą. Przez te 6 tygodni pobytu dziecko nie było ani razu kąpane. Po 6 tygodniach wypuszczono zarówno matkę, jak i dziecko. Dziecko już na wolności było umierające. Bezpośrednio po zimnicy, z którą dziecko wyszło z obozu, wywiązało się zapalenie płuc, a potem żółtaczka zakaźna. Okazało się też, że jest ponadto gruźlica, na którą następnie dziecko wiele lat chorowało. Do szkoły poszła w 7. roku życia, uczyła się słabo, czwartą klasę powtarzała. Matka nie wie, czy dlatego, że nie mogła podołać, czy może także dlatego, że w tym okresie znowu była w szpitalu z powodu gruźlicy. Ostatecznie skończyła 7 klas, ale więcej nie chciała i nie mogła się uczyć. Lubiła grać, sama nauczyła się grać na akordeonie i na pianinie. Po zakończeniu nauki pracowała w sklepie. Potem zakochała się i wyszła za mąż w 1964 r. Wtedy przestała pracować. Małżeństwo jest dobre, choć z teściową są scysje. Z usposobienia od dziecka była nerwowa. Ciągle skubała palce, coś zawsze w palcach kręciła, ani chwili nie była spokojna. Ojciec ją rozpieszczał. Bardzo bała się pojazdów mechanicznych, uciekała daleko, gdy jechało auto lub na odgłos warkotu.

Badanie somatyczne ujawniło skompensowaną wadę serca, objawy dystonii wegetatywnej. Zapis eeg o cechach patologicznych w odprowadzeniach skroniowych prawych i potylicznych obustronnie.

Badanie psychiatryczne: Badana ruchliwa, żywa, kręci stale coś w palcach, bębni palcami po stole, mówi szybko, dużo, swobodnie, wciąż się uśmiecha, o swoim dzieciństwie mówi, że najwcześniej pamięta, jak sama nauczyła się grać na organkach, ale z powodu gruźlicy płuc zabroniono jej grać. Leczyła się do 1960 r. w sanatoriach. Subiektywnie czuje się zdrowa, chociaż wie, że jest chora na gruźlicę i na serce, ale się tym nie przejmuje. Jest przywiązana do swojej matki i bez niej nic nie robi. Do badania przyjechała z matką. Wyszła za mąż rok temu i obecnie spodziewa się dziecka. Cieszy się z tego, ale boi się, żeby dziecko nie było nerwowe. O mężu mówi z zachwytem. O Oświęcimiu myśli często, gdyż jak podaje, „przez ten pobyt w obozie nie mogę być muzyczką, bo gdybym się nie zaraziła gruźlicą i tymi wszystkimi chorobami, które przechodziłam, to by mi lekarze nie zabraniali grać, a tak, to mam złamane życie". Mówi swobodnie o „złamanym życiu", a potem spontanicznie dodaje: „Tańczyć też przez to zdrowie nie mogę, tylko troszkę, ale się bardzo męczę". Gdy to mówi, wyraźnie smutnieje. Mówi też: „Ja się Niemców dotąd boję".

Badanie psychologiczne: Osoba w przejawach zewnętrznych i w kontakcie społecznym zrównoważona. Swoje konflikty uczuciowe rozwiązuje w sposób racjonalny, głównie przez czuwanie nad sobą i niedopuszczanie do działań czysto uczuciowych, mimo że zaznaczają się skłonności do reakcji psychastenicznych. Posiada dosyć znaczny wgląd w swoje życie psychiczne, co pomaga jej w rozwiązywaniu konfliktów i obiektywnym ustosunkowaniu się do rzeczywistości. W badaniach testowych ujawniają się strach i tłumiona agresja, co nie jest przez badaną uświadamiane i powoduje niepokój manifestujący się jako przesadny strach i troskliwość o najbliższych. Wyniki badań w normie, przy zaznaczających się cechach infantylnych w niektórych reakcjach.

Rozpoznanie: badaną zaliczono do grupy trzeciej a, czyli do osób infantylnych, niedojrzałych uczuciowo.

Do tej grupy III zaliczono także te osoby, które wydawały się infantylne, ale z wyraźną przewagą cech psychastenicznych, sprawiały

wrażenie dzieci nieśmiałych, niepewnych, jakby wystraszonych, choć do lęków się nie przyznawały. Do tej grupy włączono również przypadki mieszane, w których obok cech niedojrzałości stwierdzono wyraźne cechy nerwicowe, przy czym nerwica ma charakter utrwalony i sięga czasów urazowego dzieciństwa. Należą tu osoby, które odkąd siebie pamiętają, zawsze miały objawy nerwicowe.

Z tej mieszanej grupy charakterystyczny jest przypadek 49.

Urodzona w 1930 r., w chwili aresztowania i osadzenia w obozie miała lat 10, przebywała w różnych obozach do końca wojny, tj. przez okres przeszło trzech lat. Opowiada o swoim pobycie w obozie sama, dobrze pamięta, mówi: „Chciałabym zapomnieć, ale to się nie da, chciałabym, żeby choć zbladły te wspomnienia, a one nie tracą nic na sile, nie ma sposobu ich zatrzeć". Opowiada o obozie: „Bałam się panicznie, to był jeden przeogromny strach, od którego nie wiem, dlaczego nie umarłam". „Teraz nie boję się niczego konkretnego, ale nagle przychodzą na mnie w środku dnia, czasem nawet w zabawie takie momenty, że nie mogę opanować nagle irracjonalnego strachu, zlewam się cała potem i tłumaczę sobie: idiotko, przecież dawno nie ma wojny i nic nie pomaga, to jest nieuleczalne".

Bezpośrednio po uwolnieniu przez dwa lata nie wyszła nigdy sama na ulicę i nie chciała chodzić do szkoły, bała się. Po wyzwoleniu rodzice, którzy też byli w obozie, wrócili, stworzyli jej najlepsze warunki. Przez dwa lata leczyli ją u psychiatry, który rozpoznał reaktywny zespół depresyjny. Zapytana, czy ma dzieci, odpowiada w sposób niezmiernie charakterystyczny, mianowicie mówi: „Chciałabym, ale się strasznie boję, że dziecko mogłoby przeżywać to samo, co ja i nie mogę się zdecydować, niby wiem, że to głupio". Najbardziej z tych wspomnień boi się „dzikości ludzi", przytacza nie sceny mordu, ale opowiada historię, jak jej współtowarzyszka z obozu, starsza od niej o 4 lata, zjadła porcję chleba swojej matce, która z nią była razem i powiedziała do niej: „Ty swoje życie przeżyłaś, możesz umrzeć, ja nie zaczęłam życia, ja chcę żyć". Niemców boi się i nienawidzi, sama była tym zaskoczona, że przejeżdżając przez Niemcy teraz stwierdziła, że największą nienawiść budzą w niej dzieci niemieckie, nie mogła sobie z tym uczuciem poradzić i skróciła pobyt. Nie przyjaźniła się nigdy od czasu wojny z rówieśniczkami. Jest bardzo przywiązana do rodziców, bez nich niczego nie postanawia. Ciągle traktują ją oni, jak dziecko; nie pracuje, utrzymują ją rodzice.

Badanie somatyczne: Źrenice szerokie. Objaw Chwostka obustronnie silnie dodatni. Zapis eeg o cechach patologicznych w odprowadzeniach tylnych lewostronnych.

Badanie psychiatryczne: Kontakt dobry, łatwy, wypowiedzi swobodne, spontaniczne, nie ujawnia oporów wobec badania, zdecydowanie uważa się za głęboko pokrzywdzoną przez Niemców, uważa swoje objawy nerwicowe, jak lęki, za nieodwracalne, nie wierzy w możliwość wyrównania. Siebie uważa za „ponuraka i taką nie zupełnie normalną" i sądzi, że to skutek pobytu w obozie. Czuje się wśród ludzi samotna, boi się ich, nie ma zaufania, zaufanie ma tylko do najbliższych, z rówieśnikami „nigdy nie miała wspólnego języka". Swój los uważa „za przegrany i na to nie ma rady", „cień przeszłości wlecze się za mną".

Badanie psychologiczne: Osoba żyjąca w izolacji psychicznej i społecznej. O swoich przeżyciach mówi z pozorną obojętnością i obiektywizmem. Uważa, że obóz wpłynął w sposób istotny na jej usposobienie. Jest trochę rozkapryszona, zdająca się na łaskę otoczenia, żądając od niego całkowitego oddania, pozwala się rozpieszczać i traktować, jak małą dziewczynkę. Pozostaje w stanie inercji duchowej i nie robi wysiłku, żeby z takiego stanu wyjść; jest jej z tym najlepiej. Jest mało aktywna, do niczego nie dąży, na nic nie ma ochoty. Przy tym wszystkim ma poczucie pustki i zmarnowanego życia. Do przeżyć obozowych wraca niechętnie, ale w czasie badań okazuje się, że są to jedyne sprawy, którymi żyje, jakby jej życie zatrzymało się od momentu wyzwolenia. W badaniach zaznaczają się tendencje psychastheniczne, jednostronność myślenia, skłonność do perseweracji, stany obniżonego nastroju, poczucie niezadowolenia. Również impulsywność i cechy epileptoidalne.

Rozpoznanie: osobowość nieco infantylna, sensytywna, wyraźna utrwalona nerwica lękowa. Patologiczny zapis eeg mógłby wskazywać na encefalopatię.

Kończąc charakterystykę wyodrębnionych trzech grup diagnostycznych, należy podkreślić, że badania nie wykazały u żadnej z badanych osób choroby psychicznej *sensu stricto*. Natomiast opisano objawy, które z psychiatrycznego punktu widzenia zaliczają się do psychopatologii. Dotyczą one struktury osobowości. Niezależnie od rozpoznań psychiatrycznych, które zawsze są uwarunkowane subiektywną oceną badającego, u wszystkich badanych stwierdzono wyraźne poczucie odrębności od rówieśników. Badani uważają siebie za szczególnie nerwowych i wiążą to jednoznacznie ze swoim pobytem w obozach. Dlatego może ważniejsza nawet niż opisowa analiza psychiatryczna jest analiza subiektywnych przeżyć i wypowiedzi poszczególnych badanych.

W przytoczonych przypadkach celowo unikano tzw. sytuacji makabrycznych. Starano się dobrać raczej przypadki przeciętne, nie te, które budzą grozę, ale zwykłe, aby na nich właśnie wykazać głębokość krzywdy zadanej najmłodszym więźniom obozów hitlerowskich.

Warto zestawić badanych według ich wieku. W grupie badanej było 5 osób urodzonych między 1928 a 1931 rokiem (w tym 2 kobiety i 3 mężczyzn), 12 urodzonych między 1932 a 1938 rokiem (w tym 8 kobiet i 4 mężczyzn) oraz 33 urodzone między 1939 a 1945 rokiem (20 kobiet, 13 mężczyzn).

Aby wykazać, w jakim okresie życia dzieci były w obozie i jak długo ten okres trwał, należy uwzględnić także okres życia płodowego, gdyż niewątpliwie głodzenie matki również wywarło szkodliwy wpływ na rozwój dziecka. Przedstawia to tabela IV, w której zastosowano następujące symbole: „N" — urodzeni w obozie, „M" — dzieci do lat 6, „d" — od lat 6 do 10, „D" — powyżej 10 lat.

Sześcioro dzieci dotąd nie ma ustalonej jednoznacznie daty urodzenia i nie wiadomo o nich, czy urodziły się w obozie, czy też były

TABELA IV

Zestawienie według wieku w chwili aresztowania

	Ciąża matki i urodzenie w obozie „N"	„M" W chwili uwięzienia		„D" + „d"		Razem
		Wiek nieznany	Powyżej 6 lat	Wiek w latach 6—10	Wiek w latach ponad 10	
Kobiet	11	3	7	3	6	30
Mężczyzn	7	3	3	1	6	20
Razem	18	6	10	4	12	50

TABELA V
Urodzeni w obozie
(18 osób, w tym 11 kobiet i 7 mężczyzn)
(grupa oznaczona symbolem „N")

Lp.	Nr przypadku	Obóz	Ciąża matki	Płeć	Długość pobytu	Rozpoznanie	Eeg
1	5	Oświęcim	1 miesiąc	ż	14 miesięcy	III b	patologiczny
2	15	„	5 miesięcy	ż	4 miesiące	III a	bez zmian
3	19	Birkenau	1 miesiąc	ż	2 miesiące	III a	patologiczny
4	22	?	cała	m	9 miesięcy	II a	patologiczny
5	25	Oświęcim	od 6 miesięcy	ż	5 miesiąc	III a+b	bez zmian
6	26	„	4 miesiące	m	2 miesiące	III a	bez zmian
7	27	Ravensbrück	1 miesiąc	ż	1 miesiąc	II c+d	patologiczny
8	28	Bergen-Belsen	6 tygodni	ż	1 miesiąc	II c+d	patologiczny
9	30	„	1 miesiąc	ż	1 miesiąc	III a	niedojrzały
10	31	„	1 miesiąc	ż	2 miesiące	III a	brak
11	37	Ravensbrück	1 miesiąc	m	3 miesiące	III a +II d	bez zmian
12	38	„	3 miesiące	ż	4 miesiące	III a +II a	bez zmian
13	39	„	1 miesiąc	m	2 miesiące	III b	niedojrzały
14	43	„	1 miesiąc	ż	2 miesiące	III b+c	niedojrzały
15	44	„	1 miesiąc	ż	2 miesiące	III b +II d	patologiczny
16	47	Taubeheim	cała	m	2 miesiące	II a	patologiczny
17	48	Oświęcim	cała	m	3 miesiące	II d	bez zmian
18	50	„	cała	m	20 miesięcy	I a	patologiczny

przed aresztowaniem matek urodzone (3 chłopców i 3 dziewczynki). Dołączono te dzieci do grupy małych dzieci poniżej lat 6.

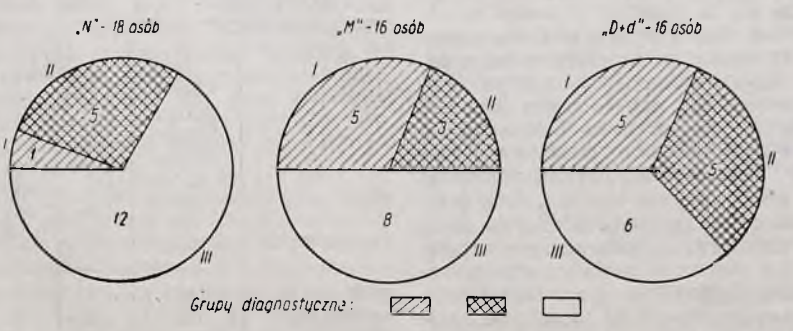
Tabela V zestawia wiek i czas pobytu w obozie z rozpoznaniem psychiatrycznym i z wynikami badania eeg.

Z tabeli V wynika, iż w grupie urodzonych w obozach na 17 wykonanych badań eeg (jeden badany się nie zgłosił) 7 jest zdecydowanie patologicznych, 3 określone jako zapis niedojrzały, a 6 określono jako prawidłowy. Pod względem rozpoznań psychiatrycznych (ryc. 1) aż 12 na 18 badanych osób zaliczono do grupy „niedojrzałych", w tym 8 do niedojrzałych emocjonalnie, a 5 do niedojrzałych psychastenicznych, pozostałe 5 przypadków zaliczono do grupy drugiej, czyli osobowości niezrównoważonych o rysach psychopatycznych, w tym u dwóch mężczyzn wystąpiły wyraźnie cechy grupy II a, czyli impulsywność z tendencją do „aspołeczności", u pięciu podkreślono cechy schizoidalne. Dwoje wykazywało tendencję do depresji, a jedna osoba wykazuje obrazy encefalopatii z hipofrenią (I a). Dwie trzecie zatem zaliczono do grupy niedojrzałych.

Warto zwrócić uwagę na następujące problemy rysujące się w świetle ankiet wypełnionych przez te osoby: 1) stosunek do obozu i do Niemców, 2) stosunek do rówieśników i współtowarzyszy z obozu, 3) ocena samego siebie.

Co do 1: Wszystkie osoby z tej grupy wiedzą dużo o Oświęcimiu i żywo interesują się piśmiennictwem obozowym, piszą spontanicznie o tym, że nienawidzą Niemców. Jedna z nich pisze dosłownie: „O historii obozu wiem od swoich rodziców i znajomych, którzy to piekło przeżyli. Nazywam to piekłem, ponieważ ludzie, którzy tam byli i doświadczyli na sobie tak bestialskiego postępowania „nadludzi Niemców", inaczej tego nie nazywają. Ci, którzy to przeżyli, niechętnie wracają myślą do tych lat. Nienawidzę ich, Niemców, za to wszystko. Chcę, ażeby byli jak najsurowiej ukarani".

Takie i tym podobne wypowiedzi znajdują się we wszystkich ankietach, cała ta grupa chce wiedzieć jak najwięcej o Oświęcimiu i innych obozach i cała wyraża ostre, jednoznaczne sądy o Niemcach, często używając słowa: „nienawidzę".



Ryc. 1.

Co do 2: Ciekawy jest także sąd wygłaszany o „dzisiejszej młodzieży", z którego wynika, że większość tych osób czuje się inna, nawet wtedy, gdy mówią: „niczym się nie różnię, tylko..." I tak: „Dzisiejsza młodzież jest zdemoralizowana i ja jestem taki sam, niczym się od nich nie różnię, chyba tym, że oni się uczą, a ja nie"; „tym się różnię, że oni są weseli, a ja taka stale jestem jakby zła"; „Dzisiejsza młodzież ma się dobrze, żyje beztrosko, ma możność kształcenia się, by czymś być, a mnie plany pokrzyżowały choroby"; „Jestem bardziej poważna od moich rówieśników"; „Za dobrze im się powodzi. Nie doceniają szkoły i nauki. Zbyt łagodnie wybryki młodzieży są tolerowane przez społeczeństwo i prawo. Posiadają za dużo udogodnień ze strony państwa, ale ich nie doceniają"; „Ja posiadam poważniejszy stosunek do nauki"; „Jest im trochę za dobrze i młodzież rozpuściła się".

Cztery osoby uważają, że się niczym nie różnią od kolegów, a jedna nie wypełniła tego punktu ankiety.

Z rozmów z badanymi wynika, że wszyscy czują się inni, co uważają za skutek pobytu w obozie. Okazało się też, że czują wyraźną sympatię do siebie, nawet nie znając się i tworzą coś w rodzaju grupy. Nie tylko grupa z Ravensbrück, która jest wyraźnie zżyta i ma wiele wspólnych przeżyć dzięki staraniom ich opiekunki pani *Cezary Skoryna-Dicksteinowej,* ale cała młodzież urodzona w obozach stanowi grupę społeczną, do której przynależności się poczuwa.

Co do 3: W ocenie samego siebie osoby te używają różnego rodzaju określeń; najczęściej powtarza się słowo „nerwowy", „nieopanowany"; „Jestem nieszczęśliwym człowiekiem"; „jestem przeciętna, wrażliwa, lubię marzyć"; „niewyrozumiała, nerwowa"; „nie powinienem być tak nerwowym"; „chciałbym zmienić siebie"; „denerwuję się, ale tylko na chwilę".

Zapytani, czy byliby inni, gdyby nie urodzili się w obozie, wszyscy albo od razu, albo po pewnym wahaniu („chyba") odpowiadają „tak". Czują różnicę między sobą a młodzieżą, która „niczego nie przeżyła"; jest rzeczą znamienną, że mimo iż nie mają bezpośredniej pamięci wydarzeń, które się działy w Oświęcimiu, używają wobec tych faktów terminu „przeżycia". Jest to ich przeżyciem, mimo iż niczego nie pamiętają bezpośrednio. Wydaje się, że to może być wywołane opowiadaniami dorosłych, gdyż w tej grupie są dzieci, które albo wróciły z matkami z obozu (17 osób spośród 18), albo o obozie opowiadała im rodzina. Jest to grupa dzieci uprzywilejowana w stosunku do grupy następnej, gdyż to są dzieci, które miały przynajmniej jedno z rodziców (dziewięcioro wróciło z matką, ale ojcowie zginęli w obozach, ośmioro odzyskało oboje rodziców, mimo iż byli w obozie, tylko jedna osoba została przez matkę rodzoną oddana do rodziny zastępczej i adoptowana).

Być może nad wyobraźnią tych dzieci zaciążyły przeżycia matek, toteż wysuwa się zagadnienie nowe, ale wyraźnie rysujące się w świetle zebranego materiału, mianowicie zbadanie psychiki matki i wpływu nie tylko samego obozu, ale jeszcze faktu pobytu tam z dzieckiem i rodzenia w warunkach obozowych. W świetle wiadomości na temat warunków pobytu w obozie koncentracyjnym wydaje się, że kobieta, która patrzyła własnymi oczami na własne maleńkie dziecko, nie mogąc mu zapewnić minimum warunków egzystencji lub matka rodząca w sytuacji nie do opisania musiała przeżywać szczególnie silny „stress".

Świadomość czegoś nieprawdopodobnie makabrycznego, strasznego, bo nie można sobie wyobrazić nic gorszego niż to, co przeżywały właśnie matki, pozostała w tych osobach niewątpliwie bardzo żywa i stąd wspomnienia przekazywane celowo czy niechcąco dzieciom są zabarwione nie tylko atmosferą strachu, ale także są plastyczne, mimo odległości w czasie i stają się przyswojone przez dzieci.

To by także tłumaczyło drugą sprawę, zasadniczo rzucającą się w oczy: większość z tych ludzi ma cechy niedojrzałości, jakby przedłużonego dziecięctwa i przy zbieraniu wywiadów widać jasno, że matki traktują te dzieci już dziś dorosłe szczególnie troskliwie, z czułością i opiekuńczością, jakby przesadną, jednak zrozumiałą psychologicznie, jakby matka nadal chciała ochraniać dziecko, choć już nie ma sytuacji zagrożenia. Te dzieci są w ich pojęciu ciągle zagrożone.

Wymagałoby zbadania, co z tego okresu pozostało w ich świadomości lub co w nich tkwi, choćby w sposób nieuświadomiony. Wydaje się, że matki nie zapomniały tych przeżyć i przekazały wspomnienia dzieciom. Stąd u osób, które niczego nie pamiętają, taka żywość reakcji.

Analiza wrogiego stosunku do Niemców, w zasadzie dość naturalnej reakcji, jednak wskazuje na to, że nienawiść „dzieci" jest większa niż dorosłych byłych więźniów. Być może, jest tak dlatego, że dzieci utraciły tam ojców i to w wielu wypadkach pokrzyżowało ich życie lub może jest to zwykłą reakcją, gdyż po prostu młodzież przeżywa żywiej. Trudno ocenić. Sprawa wymaga zastanowienia. Pytanie to stawiano wszystkim badanym celowo, by prześledzić to zagadnienie na prośbę prof. *J. Aleksandrowicza,* który zwrócił uwagę na tę kwestię z punktu widzenia badań nad nienawiścią, podjętych przez krakowski oddział Towarzystwa Higieny Psychicznej.

* * *

Następna grupa wydzielona według wieku obejmuje te dzieci, o których na pewno nie wiadomo, gdzie i kiedy się urodziły, ale były tak małe, że nie mogły podać danych o sobie oraz te dzieci, które w chwili aresztowania miały poniżej 6 lat. One także obozu nie pamiętają lub tylko w formie mglistych oderwanych obrazów: „były druty", „była taka wąska ulica", „ktoś mnie prowadził przez długi most", „było strasznie zimno i płakałam", „pamiętam, jak mnie ciągle bili po głowie i strasznie się

TABELA VI

Aresztowani między 1 a 6 rokiem życia
(10 kobiet, 6 mężczyzn)
(Grupa oznaczona symbolem „M")

Lp.	Nr	Obóz	Data urodzenia	Wiek w chwili aresztowania	Płeć	Długość pobytu w obozie	Rozpoznanie	Eeg
1	10	Oświęcim	?	? 1, 2,?	ż	ok. 2 lata	I a	
2	46	„	?	?	m	? miesięcy	III a	
							+b	patologiczny
							+II a	patologiczny
3	8	Gross-Rosen	?	?	m	? 2 miesiące	II a	patologiczny
4	21	Brzezinka	?	?	ż	? rok, dwa?	I b	patologiczny
5	24	Buchenwald	?	? 2? 3?	m	? rok?	I c	bez zmian
6	34	Oświęcim	1938	5½ roku	ż	9 miesięcy	III a	
7	3	Płaszów					+b	brak
		Oświęcim	1938	3	m	3½ roku	I a	patologiczny
8	12	Oświęcim	1943	rok	m	ponad rok	II a	
							+d	bez zmian
9	18	Potulice	1941	rok	m	3 lata	III b	bez zmian
10	6	„	1941	2 lata	ż	2 lata	I b	patologiczny
11	41	Oświęcim	1942	2 lata	ż	9 miesięcy	III a	
							+2 b	patologiczny
12	20	„	1941	2 lata	ż	ponad rok	II b	patologiczny
13	9	Majdanek	1939	4 lata	ż	rok?	III b	patologiczny
14	16	Potulice	1939	2 lata	ż	3 lata	III b	patologiczny
15	4	Oświęcim	1942	rok	ż	ponad rok	III b	patologiczny
16	11	„	?	? rok?	ż	ponad rok?	III a	patologiczny

bałam", „jak szłam to wiem, że byłam strasznie chuda i brzydka", „pamiętam, jak mnie ktoś niósł przez taki długi długi most" lub po prostu piszą: „niewiele pamiętam, ale wiem, że to było coś strasznego", „obok sali długi piec".

W tej grupie jest 16 osób (10 dziewcząt i 6 chłopców). Zestawienie według daty aresztowania i rozpoznań przedstawia tabela VI.

Na 16 przypadków w tej grupie wykonano 15 badań eeg, w tym 12 było patologicznych, a trzynasty badany ma wprawdzie zapis prawidłowy, ale rozpoznano padaczkę, a zatem aż w 13 przypadkach na 15 można rozpoznać zespół encefalopatii. W porównaniu z grupą młodszą jest to bardzo dużo i tłumaczy się tym, że w tej grupie są dzieci, które wprawdzie nie były urodzone w obozie, ale dostały się tam jako małe i pobyt ich był znacznie dłuższy niż dzieci tam urodzonych. Spośród urodzonych w obozie tylko jedno dziecko przebywało w nim ponad 20 miesięcy i to należy do tej samej grupy diagnostycznej, a zatem I a, tj. głębokie uszkodzenia mózgowia, a inne dzieci urodzone w obozie były krótko, około kilku miesięcy, najdłużej 9 miesięcy. Przeciętny okres pobytu w obozie w wypadku dzieci tam urodzonych wynosił 4,4 miesiąca, w tej grupie zaś półtora roku. Tamte — to głównie dzieci z powstania warszawskiego, tj. z transportów popowstaniowych, które w Oświęcimiu trafiły już na blok dziecięcy lub dzieci krótko przed wyzwoleniem urodzone. Dzieci starsze zaś były z reguły odrywane od matek, toteż młodsze straciły nazwisko i nie pamiętały niczego o swoim pochodzeniu; niektóre z nich (troje z badanych) znalazły rodzinę po 20 latach, sześcioro dotąd nic o sobie nie wie. U tych osób do urazu w postaci głodu i trudów obozowych dołączyły się trudności psychologiczne, związane z faktem niewiadomego pochodzenia.

Celowo jednak omijamy zagadnienie zespołów nerwicowych, pochodzących z faktu adopcji, ażeby uniknąć zarzutu, że jest to zespół częsty w ogóle u wszystkich dzieci adoptowanych (co zbierana grupa kontrolna zdaje się potwierdzać); zatrzymamy się na zagadnieniach związanych z faktem pobytu w obozie.

Spróbujmy znowu prześledzić, jak osoby te oceniają swoje miejsce w świecie i skutki pobytu w obozie. Rozpatrzymy te same zagadnienia: 1) stosunek do faktu „jestem byłym więźniem Oświęcimia" i wynikający stąd stosunek do Niemców, 2) stosunek do rówieśników i otoczenia, 3) ocena samego siebie.

Bardzo charakterystycznie kształtuje się w tej grupie świadomość „jestem byłym więźniem". W przeciwieństwie do grupy dzieci urodzonych w obozie i przebywających tam z matkami, które wprost mówią o sobie jako o byłych więźniach i niekiedy utożsamiają przeżycia swoich matek ze swoimi, w tej grupie trafiają się wypowiedzi jakby bardziej nieśmiałe, warunkowane w rodzaju: „właściwie trudno powiedzieć, że byłem więźniem, byłem przecież dzieckiem i nic nie pamiętam".

W trzech wypadkach w tej grupie zdarza się wypowiedź, że „byli więźniowie nie uważają nas za więźniów, bo właściwie to jest chyba słuszne".

Jest znacznie większa wstrzemięźliwość wypowiedzi i jakby większa trudność mówienia na ten temat. W tej grupie zdarzają się osoby, które wręcz odmawiają wypowiedzi na temat Oświęcimia.

O ile tamci szczycili się dużą ilością wiadomości o okupacji w ogóle, a o Oświęcimiu w szczególności, o tyle ci milczą, mówią nie-

chętnie, wolą zapomnieć, piszą: „chcę się od tej zmory uwolnić, nigdy więcej o tym nie słyszeć", „chcę zrzucić to z siebie", „nie chcę wspominać". Mówią: „Oświęcim to przeszłość, o której chcę zapomnieć"; „z tego okresu pozostała mi niechęć do niemieckiej mowy, żal do dzieciństwa i słaba budowa ciała, nigdy nie byłam silna"; „trudno mi w to wszystko uwierzyć, że to było możliwe"; „prawie nic nie pamiętam, ale wiem, to było coś strasznego"; „nie lubię do tego wracać"; „nie chcę myśleć, jak myślę doznaję wstrząsu i strasznych snów"; „ciągle myślę, skąd jestem i skąd pochodzę"; „trudno żyć pod presją przeszłości, nie chcę o tym mówić".

Cztery osoby nie mówią o Oświęcimiu nic; nie chcą mówić.

Pytani o stosunek do Niemców, w odróżnieniu od grupy poprzedniej nie wybuchają spontaniczną nienawiścią, nie formułują tego wprost, jak gdyby doznanej krzywdy nie dało się opisać i jakby przekraczało to „próg reakcji".

W tej grupie znacznie wyraźniej niż w tamtej wypływa lęk przed Niemcami, bądź przed następną wojną, tamci nienawidzą raczej bez lęku, ci wyraźnie z przewagą reakcji lękowych, które, jak się okazuje w dalszej analizie, nasilają się z wiekiem dzieci. Im starsze, tym większa świadomość lęku.

Na marginesie trzeba podać, że w tej grupie jest więcej osób obciążonych chorobami somatycznymi takimi, jak gruźlica płuc lub kości (5 osób).

Co do punktu „mój stosunek do otoczenia" ci znacznie wyraźniej niż w tamtej grupie mają poczucie odrębności. Piszą: „Jestem bardziej nieufna i bardziej pesymistycznie patrzę na życie i ciągle myślę, że jestem urodzona pod złą gwiazdą i nic mi się w życiu nie udaje"; „często mi mówią, że jestem za poważna"; „nie pociągają mnie ich rozrywki"; „młodzież dzisiejsza nie podoba mi się wcale, jestem od nich poważniejszy"; „brak im szacunku dla starszych, nie mówiąc o rodzicach, bo ich mają, nie wiedzą nic, co znaczy nie mieć choćby złych rodziców, bo ich mają, a są bezmyślni".

Obok poczucia odrębności zjawia się sąd krytyczny, niekiedy uzasadniony i wyraźna tendencja do stabilizacji, w przeciwstawieniu „oni nie wiedzą czego chcą" kryje się myśl: „ja wiem". Zjawia się nuta nie istniejąca w wypowiedziach tamtej grupy ludzi, którzy posiadali choćby niekompletną rodzinę. Mianowicie zjawia się tu wyraźna tęsknota do rodziny i zdziwienie wobec tych młodych, którzy mając rodzinę, lekceważą ją.

Można tu mówić o „pozytywnym" wpływie ciężkich przeżyć, wyzwalających większą świadomość, refleksję i poczucie hierarchii wartości.

Co do 3: Siebie samego ci ludzie widzą bardziej pesymistycznie niż tamci. Tutaj zebrano m.in. takie określenia, jak: „no cóż, urodziłam się pod złą gwiazdą, to mi się nic nie wiedzie". Dominuje nuta pesymizmu: „jestem przeciętnym człowiekiem", „jestem nerwowa, nieustabilizowana, zmienna, właściwie to chyba mam słaby charakter"; „jestem melancholijna, zbyt krytyczna i za często powoduję się uczuciem".

Określenie „nerwowa" tutaj również powtarza się wiele razy podczas rozmów. Przez „nerwowość" rozumieją oni przeważnie wybuchowość i zmiany nastroju, a także wrażliwość, co by zgadzało się z zestawieniem diagnostycznym, mianowicie w tej grupie jest 5 osób (spośród 16) z rozpoznaniem z grupy psychopatii i niewyrównania, 7 osób z cechami wybitnie psychastenicznymi i sensytywnymi, 4 osoby z wyraźnym zespołem psychoorganicznym oraz po jednej z padaczką, z zespołem nerwicowym i jedna osoba o cechach schizoidalnych.

Uwzględniając wyniki badań eeg, można by również te zespoły zaliczyć do encefalopatii.

* * *

Pozostaje do omówienia grupa dzieci starszych, które miały w chwili aresztowania 6—10 lat oraz grupa najstarsza, tzn. mający w chwili aresztowania przeszło 10 lat. Zaliczono tutaj 16 osób, w tym 9 dziewcząt i 7 chłopców.

Z tabeli VII wynika, że spośród 16 dzieci u 12 wykonano eeg; w tym było 8 patologicznych zapisów eeg.

Pod względem rozpoznań w tej grupie przeważają zespoły nerwicowe (7 osób), u trzech rozpoznano encefalopatię, u 6 zaobserwowano niedojrzałość, w tym u dwojga psychastenicznią, u reszty „uczuciową".

Analiza pod kątem stopnia „znerwicowania" wykazuje częstsze reakcje lękowe, jak gdyby u dzieci starszych większa była świadomość przeżywanych sytuacji, przy czym stwierdzono bardzo silne utrwalenie lęków.

Zanalizowano na podstawie ankiety, jak poprzednio: 1) stosunek do Oświęcimia i Niemców; 2) stosunek do otoczenia; 3) ocenę samego siebie.

Wypowiedzi co do punktu 1: „Oświęcim sprawia na mnie zawsze straszne wrażenie, śni mi się często, jak tam było i do Niemców staram się mieć stosunek obiektywny, ale jest on negatywny, bo jak ich ocenić choćby z punktu widzenia historii?"; „Mój stosunek do Niemców jest wyraźnie wrogi, nie wierzę w przyjaźń polsko-niemiecką, nawet w tych nie wierzę, co po tej stronie, ten naród jest inny niż my, a także mam żal osobisty o moje życie"; „Do Niemców mam stosunek obiektywny, między nimi byli także dobrzy ludzie i część z nich walczyła z Niemcami hitlerowskimi, a Polacy w obozie byli gorsi"; „Wiem, że byli Niemcy różni, siedzieli ze mną w obozie jako więźniowie, też byli dla mnie dobrzy, są różni, jak ludzie wszędzie"; „Oświęcim nie jest dla mnie historią, jest rzeczywistością"; „Mój stosunek do Niemców można podsumować i powiedzieć jednym zdaniem: uważam, że cały naród niemiecki jest odpowiedzialny za zbrodnie tego okresu, trzeba ich ścigać do końca życia, gdy nagle usłyszę język niemiecki na wycieczce,

TABELA VII

Zestawienie dotyczące badanych ujętych pod symbolami „d" i „D"

Lp.	Nr	Obóz	Rok urodzenia	Wiek w chwili aresztowania	Długość pobytu w obozie	Płeć	Rozpoznanie	Eeg
1	1 d	Potulice	1935	8 lat	20 miesięcy	m	II B+C+D	bez zmian
2	2 d	Potulice	1935	8 lat	20 miesięcy	ż	I B	patologiczny
3	7 d	Płaszów Oświęcim	1932	9 lat	2 lata	ż	I B	patologiczny
4	35 d	Oświęcim	1935	9 lat	9 miesięcy	ż	III A	brak
5	32 d	Oświęcim	1934	10 lat	7 miesięcy	m	III A	bez zmian
6	45 D	Potulice	1933	11 lat	9 miesięcy	ż	I A	patologiczny
7	36 D	Oświęcim	1932	12 lat	7 miesięcy	m	II A +III A	brak
8	23 D	Oświęcim	1933	11 lat	7 miesięcy	ż	I B	patologiczny
9	33 D	Oświęcim	1929	14 lat	7 miesięcy	ż	III A	brak
10	17 D	Potulice	1932	11 lat	20 miesięcy	ż	II B	bez zmian
11	40 D	Oświęcim	1932	13 lat	7 miesięcy	ż	III B+C	patologiczny
12	44 D	Płaszów Oświęcim	1930	11 lat	3 lata	ż	III B+C + II C	patologiczny
13	42 D	Oświęcim	1930	14 lat	7 miesięcy	m	I A	patologiczny
14	13 D	Potulice	1930	13 lat	20 miesięcy	m	II B	bez zmian
15	14 D	Potulice	1932	11 lat	20 miesięcy	m	II B	patologiczny
16	29 D	Oświęcim	1929	14 lat	7 miesięcy	m	II B	brak

czy przez radio, wszystko wylatuje mi z rąk"; „Cóż z tego, że to 20 lat"; „Niestety te wspomnienia są ciągle żywe, wracają do mnie nawet przy wspomnieniach pozornie innych, przy jakimś zapachu dymu, czy coś takiego"; „Zapach z prostego ogniska, palą i pieką ziemniaki, a dla mnie to zawsze zostanie krematorium żywe do dziś" (osoba ta miała 10 lat w obozie); „Każde niemieckie słowo kojarzy mi się z niemieckimi okrzykami z obozu, kapo, odmówiłem wyjazdu do Niemiec w służbowej delegacji, wszyscy oni tacy sami"; „Sam wyraz Niemcy już wystarczy, żeby budzić we mnie lęk, ludzie tego nie rozumieją"; „O Oświęcimiu nie potrafię mówić, to się nie da opisać".

Problem ujęty jako drugi i trzeci, tzn. „stosunek do rówieśników" i „widzenie siebie samego" najlepiej będzie zilustrować własnymi wypowiedziami badanych.

O sobie samych w pierwszym rzędzie mówi znowu przeważająca większość tych osób: „jestem nerwowy, jestem nerwus". W tej grupie nie ma ani jednej osoby, która by podała, że czuje się nienerwowa. Jedni mówią „wybuchowy", drudzy „nerwowy", właściwie używając tych słów jako synonimów.

Ponadto w tej grupie wszyscy mają poczucie „piętna", urazu, odrębności wynikającej z faktu przeżywania tragicznej i nie dającej się zapomnieć przeszłości. Równocześnie wypowiedzi te są dyskretne, nie narzucające się, nie demonstrują tego piętna, choć badani są go świadomi.

Piętno to sprawia, że wobec rówieśników czują się inni, jak gdyby istniał w nich problem, który u dorosłych prześledziła w swoich badaniach *M. Orwid,* tzn. trudności adaptacji do życia, ciągle aktualne, choć tak wiele lat upłynęło. Dominuje u nich przekonanie o determinancie, czynniku nieodwracalnym i nie do usunięcia. Stąd wobec rówieśników, oprócz sądu o nich, przewija się żal wynikający z poczucia tej „inności". Na dnie tej reakcji „impregnacyjnej" kryje się lęk, jakby pogotowie do lęku i stałe źródło napięcia wewnętrznego. Badani ci mówią: „Cóż, im się łatwiej żyło i nie mają potrzeby się bać, jak ja się bałam"; „Mało wiedzą o obozach i nie mają na sobie tego piętna, które ja noszę, a to jest najważniejsze"; „zazdroszczę im pewności siebie i beztroskiego życia, oni nie przeżywają okresu wojny jako własnej rzeczywistości"; „Nie czuję się zdrowa nerwowo, boję się, nie mogę ścierpieć, żeby ktoś szedł za mną, czasem zdaje mi się, że ktoś za mną stoi, w nocy się boję, miewam straszne sny, łatwo się denerwuję i chyba nie różnię się od rówieśników, tylko nie mam zdrowia"; „Przez swoje przeżycia nie mogę z nimi w ogóle znaleźć wspólnego języka, nie podoba mi się ich zachowanie"; „Przeszedłem twardą szkołę życia i teraz jestem pracowity"; „Dzisiejsza młodzież wydaje mi się jakoś bardzo beztroska, traktująca życie lekko, a ja różnię się od nich tym, że bardziej trzeźwo patrzę na życie i łatwiej się zadowalam tym, co mam i nie narzekam".

Takie i tym podobne wypowiedzi nie tylko rzucają światło na głębokość przeżyć tragicznych z dzieciństwa, lecz także wskazują na znacznie głębsze ich przeżywanie niż w grupie młodszych, a jak się zdaje, chyba głębsze niż u dorosłych więźniów. Zdaje się, że okres dojrzewania był gruntem bardziej podatnym do utrwalenia tych przeżyć i wyznaczył kierunek dalszego rozwoju. Niewątpliwie okres *pubertas,* a raczej przeważnie u tych badanych *praepubertas,* w sposób szczególny stwarzał warunki do powstania urazu wskutek większej wrażliwości i większej skali przeżywania.

Jest jednak rzeczą niezmiernie ciekawą, że oprócz reakcji zdecydowanie negatywnej, oprócz utrwalonego i przedłużonego irracjonalnego lęku, zarysowuje się coś, co można by nazwać pozytywnym skutkiem tych tragicz-

nych przeżyć, mianowicie w ocenie świata, otoczenia, rówieśników zjawia się nuta krytyki, sądu negatywnego o rówieśnikach, którym mniej lub więcej świadomie ludzie ci przeciwstawiają siebie.

W sądzie o otoczeniu zarysowuje się przecież wyraźnie nie tylko to „jestem inny", ale jestem „pozytywnie inny", cechy skrytykowane są ujemne, sądy niekiedy surowo wygłoszone, z dużą dezaprobatą, natomiast kryjący się za przeciwstawieniem sąd o sobie samym jest pozytywny i szczególna rzecz — źródłem tego pozytywu jest ten sam fakt „pobytu w lagrze". Pozytywne cechy w sobie samym przeciwstawiane są negatywnym cechom, a zaistniały dlatego, że badany miał tak wyjątkowe przeżycia. Niektórzy wręcz mówią: „Byłem w obozie, więc poważniej patrzę na życie".

Niewątpliwie wydobycie stron pozytywnych z sytuacji negatywnej jest oznaką dużej dojrzałości i ta grupa w przeciwieństwie do grupy młodszej wykazuje znacznie większą dojrzałość. Udało się zjawisko to prześledzić na materiale zawartym w ankiecie. Mianowicie w końcowej części ankiety umieszczono pytanie, zmierzające do oceny krytycyzmu, dojrzałości sądu i stosunku do wszelkich wartości. Pytanie było postawione bardzo prosto, znanym z badań nad dziećmi „testem wróżki": „gdyby przyszła do ciebie wróżka i chciała spełnić twoje trzy najskrytsze marzenia, to co chciałbyś?". Otóż analiza odpowiedzi na to proste pytanie potwierdziła zarówno tezę o infantylności grupy pierwszej, jak i o głębszej dojrzałości grup starszych i o pozytywnej ocenie ciężkiej przeszłości.

TABELA VIII
Test wróżki

Grupa wieku	Grupa pragnień				
	I	II	III	IV	V
N	11	10	9	8	0
M	3	7	9	12	1
d + D	2	4	4	10	8

Odpowiedzi na to pytanie uszeregowano w pięć grup według ich treści:

1) grupa pragnień czysto egoistycznych i materialistycznych (wypowiedzi takie, jak: wygrać milion, mieć bardzo dużo pieniędzy, mieć zawsze dużo pieniędzy, wygrać auto, być milionerem);

2) pragnienia egoistyczne, ale zabarwione uczuciowo, choć dotyczące także wartości materialnych lub wiążące się z nimi (np. podróże za granicę, własny dom, mieszkanie);

3) pragnienia ambicjonalne (wyższe studia, wyższe stanowisko, doktorat, habilitacja);

4) osobiste, nie dotyczące wartości materialnych (zdrowie, życzliwość ludzka, własny dom, radość życia, dobra żona, dzieci, pragnienie miłości);

5) czysto altruistyczne, skierowane na całą ludzkość, bez odniesienia do siebie samego (żeby nigdy nie było wojny, żeby żadne dzieci nie cierpiały, żeby żadne dzieci nie przeżywały tego, co ja, żeby był pokój na świecie, żeby coś zrobić dla ludzi, być dla ludzi pożytecznym itp.).

Jeszcze przed omówieniem wniosków, jakie nasuwa podany materiał, trzeba podkreślić, że nie upoważnia on do twierdzeń apodyktycznych, lecz najwyżej do wysuwania pewnych sugestii. Nie wiadomo bowiem, ile dzieci przebywało w obozach i czy grupa badana stanowi zespół mogący reprezentować ich ogół. Nie wiadomo też, czy opisane cechy są skutkiem zmian osobowości, czy też mają uwarunkowanie konstytucyjne. Jest to zwłaszcza trudne do stwierdzenia tam, gdzie brak wiadomości o rodzicach osób badanych.

Nie wszystkie objawy mogą być też uważane obecnie za niewątpliwy skutek pobytu w obozie, gdyż istnieje możliwość wpływu czynników późniejszych. Co do większości badanych nie wiadomo nawet, w jakich dokładnie warunkach żyli w obozie. Ponadto brak danych co do częstości występowania stwierdzonych odchyleń od normy, czy to u młodzieży okupacyjnej, która nie przebywała w obozach, czy też u ogółu ludności. Wreszcie liczba przypadków jest na ogół zbyt mała i nie upoważnia do uogólnień statystycznych.

Autorzy, badający byłych więźniów obozów koncentracyjnych, mówią często o zmianach osobowości u badanych osób. W naszym przypadku chodzi nie tyle o zmiany, ile o sposób, w jaki kształtowała się osobowość młodocianych więźniów, gdyż osobowość ta nie była ukształtowana przed uwięzieniem. Powstaje tu zatem zagadnienie wpływu warunków obozowych na rozwój osobowości. Zagadnienie to posiada bardzo wiele aspektów i dla pełnego wyjaśnienia wymagałoby oświetlenia z wielu stron, np. z punktu widzenia rozwoju somatycznego (choroby somatyczne i ich skutki, konstytucja fizyczna), sprawności intelektualnej (badania testowe inteligencji, których nie przeprowadzono), analizy socjologicznej (konsekwencje straty rodziców, pobytu w domu dziecka itd.). Przy badaniu dorosłych istnieje ponadto zasadnicza możliwość analizy zmian przez porównanie danych z czasu przed pobytem w obozie z wynikami badań późniejszych, możliwości tej u dzieci nie ma.

Mimo wszystkich tych zastrzeżeń warto podkreślić następujące spostrzeżenia:

Zagadnienie wpływu obozu przedstawia się nieco prościej w pierwszej grupie diagnostycznej (zaliczono do niej 11 osób), obejmującej zespoły wyraźnie organiczne. Stwierdzone objawy, niewątpliwie patologiczne, wskazują na skutki uszkodzeń, a związek z urazem pochodzącym z obozu wydaje się oczywisty. Wywiady wskazują, że tylko jedna osoba przeszła po wyzwoleniu uraz czaszki, po którym uprzednio istniejące objawy nasiliły się. Pozostaje sprawą otwartą, czy u podłoża stwierdzonych zmian leży uraz mechaniczny powstały w czasie pobytu w obozie, czy też są one następstwem głodu i wywołanego przez głód długotrwałego niedotlenienia mózgu.

Obraz występujący w drugiej grupie diagno-

stycznej (zaburzenia w rozwoju osobowości — 13 osób) i w grupie trzeciej (objawy niedojrzałości — 26 osób) zestawiony został z punktu widzenia zmian psychicznych i osoby zaliczone do tych grup nie wykazują tak wyraźnych zmian organicznych. Zastanawiający jest jednak fakt, że większość przypadków umieszczonych w tych grupach posiada również patologiczny zapis eeg (w grupie drugiej 7 spośród 12, w trzeciej 12 spośród 21 wykonanych badań). U wszystkich badanych stosunek ten wynosi 29 na 44, tj. około dwóch trzecich, do czego dochodzi jeszcze 1 przypadek padaczki przy zapisie prawidłowym eeg. Istnieje więc podstawa zaliczenia tych przypadków do grupy encefalopatii.

Nasuwa się także podobieństwo stwierdzonych objawów do zespołu opisanego u więźniów dorosłych i nazwanego przez autorów niemieckich *KZ-Syndrom*, przez innych *asthénie générale* i *asthénie partielle* lub *asthénie progressive* [6]. Wszyscy badani skarżą się na różne objawy z tego zakresu: drażliwość, bóle głowy, męczliwość itp., wszyscy skarżą się na zmiany nastroju. Wydaje się, że zespół stwierdzonych objawów upoważnia do przyjęcia tu tego samego rozpoznania.

Zastanawiając się nad jego etiologią, *Targowla* [7] wyliczył pięć przyczyn: głód, zimno, brak higieny, przeciążenie pracą *(„surmenage")* i atmosfera strachu *(„climat d'angoisse")*. Z wymienionych czynników przeciążenie pracą nie wchodzi w naszych przypadkach w rachubę, gdyż dzieci nie pracowały w obozie, ale pozostałe cztery działały niewątpliwie. Wydaje się, że bardzo silny wpływ wywarła przede wszystkim atmosfera strachu, o czym świadczy występujący w badanej grupie dotychczas lęk przed Niemcami, przed wojną itp.

Lęk ten tłumaczy też opisany przez *Targowlę* [8] objaw hipermnezji czy *„ecmnesie paroxystique"*, który występuje u wszystkich osób w grupie starszej (D+d) i u tych dwojga z grupy M, którzy w chwili wyzwolenia przekroczyli wiek 5 lat. Wszyscy oni skarżą się, że wspomnienia są „ciągle obecne, żywe", nie dadzą się zapomnieć i czasem występują napadowo.

Jakkolwiek dyskusyjne może być wiązanie pozostałych zespołów psychopatologicznych z pobytem w obozie, to jednak istnieje niewątpliwie stwierdzona świadomość krzywdy wynikającej z tego faktu. Badani: a) czują się inni niż rówieśnicy (w sensie „nerwowości"), b) nie mogą się uwolnić od skutków pobytu w obozie. Głębokość zmian zarówno w układzie nerwowym, jak i w strukturze osobowości zależna jest, jak się zdaje, od 1) długości pobytu w obozie, od 2) głębokości stressu, toteż pogłębia się tam, gdzie dołącza się utrata jednego lub obojga rodziców lub utrata nazwiska, a nawet przynależności narodowej, zależy też od 3) wieku w chwili aresztowania; im starsze dziecko, tym większa „impregnacja" — piętno obozu.

Zastanawiając się nad występującymi u wielu badanych objawami pewnej niedojrzałości (grupa III — 26 osób), można by ją przypisać po prostu młodości tych ludzi (zaznaczyła się ona najbardziej w najmłodszej grupie N). Wydaje się jednak, że objawy te są u nich nasilone; nasuwa się podejrzenie, że nad osobowością najmłodszych, którzy w dużej części powrócili z matkami, a bez ojców, zaciążyła przesadna troskliwość matek. Nie można jednak wyłączyć także wpływu głodu w obozie na powstanie objawów niedojrzałości, wskutek opóźnienia rozwoju.

Na zakończenie byłoby celowe zacytować wypowiedź *V. E. Frankla*, którą można, jak się zdaje, zastosować do grupy „dzieci" obozowych: „Niechętnie mówimy o naszych przeżyciach. Kto sam był w obozie, temu nie potrzebujemy nic wyjaśniać, a kto nie był, ten nigdy nie potrafi zrozumieć, co się w nas działo i co jeszcze się dzieje" [9].

[6] Por. *Conférence Médicale de la F. I. R. en Copenhavn, Fasc. 2.*

[7] R. *Targowla*, Syndrom der Asthenie der Deportierten. W Max Michels: Gesundheitsschaden durch Verfolgung und Gefangenschaft und ihre Spätfolgen, 1955, s. 30—40.

[8] tamże.

[9] *Wiktor E. Frankl:* Psycholog w obozie koncentracyjnym. Warszawa 1962, s. 11.

„Chwała narodowi polskiemu za przykład miłości własnej ojczyzny, miłości, która nigdy nie wiązała się z nienawiścią do innych narodów. Swą walkę naród polski zawsze uszlachetniał wiernością ideałom ogólnoludzkim, ogarniającym wszystkie ludy i narody. Oświęcim jest jak gdyby najwyższym symbolem tego uniwersalizmu Polski, również w jej bólu i poświęceniu. Tu bowiem ofiary z całej Europy, zbratane w cierpieniu z niezliczoną masą ofiar polskich, przypieczętowały śmiercią pakt solidarności przeciw wojnie i brutalności nazistowskiej dyktatury oraz zasiały w świadomości ludzkości ziarna odrodzenia w pokoju i w zgodzie".

Prezydent Włoch, Giuseppe Saragat. Z przemówienia wygłoszonego w dniu 16 października 1965 r. na terenie byłego obozu w Oświęcimiu.

JULIAN GĄTARSKI Kraków

Badania elektroencefalograficzne u osób urodzonych lub przebywających w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych

(Z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie
Kierownik: Prof. dr *K. Spett*)

W związku z przeprowadzonymi przez dr *Wandę Półtawską* i współpracowników [1] w Klinice Psychiatrycznej AM w Krakowie badaniami psychiatrycznymi osób, które się urodziły w hitlerowskich obozach koncentracyjnych lub były tam więzione jako dzieci, wykonano 44 badania elektroencefalograficzne byłych więźniów z tej grupy [2].

Badania elektroencefalograficzne były wykonywane u byłych więźniów już uprzednio w innych krajach, zazwyczaj w związku z orzecznictwem rentalnym lub roszczeniami o odszkodowania oraz jako element szerszych, zespołowych opracowań, których rezultaty autorzy przedstawili na międzynarodowych kongresach poświęconych zmianom chorobowym powstałym wskutek przebywania w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

I tak na przykład *Eliska Klimková-Deutschová* [3] u przebadanych 319 byłych więźniów obozów koncentracyjnych w 60% stwierdziła patologiczne zapisy eeg. Zapisy te cechowały się zwolnieniem rytmu podstawowego, podobnie jak przy wykresie czynności sennej. Stwierdzono je zarówno u osób skarżących się na wzmożoną senność, jak i u badanych, u których spostrzeżono stany pobudzenia. Oceniając klinicznie wyniki swych badań, cytowana autorka — podobnie jak inni autorzy — przypisywała często stwierdzane w badanej grupie ubytki myślenia oraz zaburzenia snu małej aktywności kory mózgowej w procesach hamowania i pobudzenia przez substancję siateczkową pnia mózgowego.

Inny autor, *F. Raveau* [4], przeprowadziwszy badania eeg u byłych więźniów obozów koncentracyjnych, znalazł w 80% obrazy rozlanego uszkodzenia mózgu. Wyłączając zapisy padaczkowe u osób z doznanymi urazami czaszki, stwierdził on, że najwcześniej występują zmiany naczyniowe mózgu. Częste zwolnienia rytmu podstawowego *Raveau* przypisuje uszkodzeniom okolicy *hypothalamus*.

B. Rogan [5] w r. 1960 na konferencji w Oslo doniósł po zbadaniu 96 byłych więźniów obozów koncentracyjnych, że u 27 występował patologiczny zapis eeg. 14 osób miało ogniskowe zwolnienie aktywności rytmu, u 5 badanych występowały napadowe wyładowania, u pozostałych zaś stwierdził uogólnioną dysrytmię lub występowanie fal o częstotliwości poniżej 8 Hz.

Grupa angielskich i francuskich autorów [6], przeprowadzając badania eeg u osób, które urodziły się lub przebywały w dzieciństwie w obozach koncentracyjnych, stwierdziła w granicach 60% zapisy eeg charakteryzujące się zmianami skroniowymi, dysrytmią skroniową oraz obrazami uogólnionej encefalopatii jako następstwa rozlanych uszkodzeń mózgu.

Również tych, którzy się urodzili lub przebywali jako dzieci w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, dotyczą przedstawione niżej badania własne. Chodziło o stwierdzenie, jakie zmiany elektroencefalograficzne występują u najmłodszych byłych więźniów obozów koncentracyjnych (Oświęcim-Brzezinka, Bergen-Belsen i inne) oraz czy istnieje u tych osób zależność patologicznych zmian bioelektrycznych w ośrodkowym układzie nerwowym od wieku, w jakim badani przebywali w obozie.

Badaniem elektroencefalograficznym objęto 44 osoby, które ze względu na wiek podczas pobytu w obozie podzielono na cztery grupy:
1) urodzeni w obozie;
2) uwięzieni w wieku od 1. do 6. roku życia;

[1] Zob. pracę W. *Półtawskiej* i wsp. pt. „Wyniki badań psychiatrycznych osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych" (w niniejszym zeszycie).

[2] 29 zapisów eeg wykonano w Klinice Psychiatrycznej AM w Krakowie; 15 zapisów eeg wykonała dr *H. Ekiert* w Przychodni Zdrowia Psychicznego w Warszawie i w Instytucie Psychoneurologicznym w Pruszkowie.

[3] *E. Klimková-Deutschová:* Neurologische Beiträge zur Diagnostik und Therapie der Folgezustände des Krieges. Kongr. Lüttich 1961.

[4] *F. Raveau:* Neuro-psychiatric data on the state of former deportees fifteen years after their liberation. Kongr. Oslo 1960. — *F. Raveau:* A neuropsychiatric study of former deportees (dokument D-35). Kongr. Den Hag 1961. — *F. Raveau:* Statement of conclusions (dokument D-45). Kongr. Den Hag 1961.

[5] *B. Rogan:* Examination of Norwegian ex-concentration-camp prisoners VI. Social and vocational aspects in ex-concentration-camp prisoners (dokument D-21). Kongr. Den Hag 1961. — *B. Rogan:* Short survey of an investigation carried out in Norway on medical problems of camp survivors. Kongr. Oslo 1960. — *B. Rogan:* Criteria to be considered for the evaluation of disability. Kongr. Oslo 1960.

[6] *M. David, J. Nicolas, J. Roudinesco, J. Robertson, J. Bowlby:* Responses of young children to separation from their mothers. W: Courrier Centre Internat. de l'Enfance, 1952, t. 2, nr 2, str. 66—78 i nr 3, str. 131—142. — *J. Bowlby:* Child care and the growth of love. Pelican Books, London 1953. — *J. Bowlby:* Maternal care and mental health. WHO, Genève 1954. — *N. Wolffheim:* Kinder aus Konzentrationslagern: Mitteilungen über die Nachwirkungen des KZ-Aufenthaltes auf Kinder und Jugendliche. Prax. Kinderpsychol. Kinderpsychiatr., 1958, nr 7, str. 302—312; tamże 1959, nr 8, str. 20—27; tamże 1959, nr 8, str. 59—71.

3) uwięzieni w wieku od 7. do 10. roku życia;
4) uwięzieni w wieku powyżej 10 lat życia.

Dla ułatwienia dalszego opisu wyników badań grupę pierwszą nazwano „niemowlętami", grupę drugą „dziećmi małymi", grupę trzecią „dziećmi średnimi", grupę czwartą zaś „dziećmi dużymi", niezależnie od tego, że oczywiście obecnie są to już dorosłe osoby.

Badania przeprowadzono za pomocą 15-kanałowych aparatów firmy „Alvar". Standartowo stosowano odprowadzenia z okolic: przedczołowej, czołowej, centralnej, ciemieniowej, potylicznej oraz skroniowej przedniej, środkowej i tylnej. W czasie badania używano programów dwubiegunowych oraz jednobiegunowych przednich i tylnych, niekiedy zaś stosowano program tzw. „głębokich trójkątów". Próby aktywacji wykonywano we wszystkich przypadkach za pomocą 3-minutowej hiperwentylacji i 3-minutowego działania błyskami świetlnymi (stroboskop).

Pod względem uzyskanych wyników badań podzielono zapisy elektroencefalograficzne następująco:

1) grupa 0 — zapisy w granicy normy;
2) grupa I — zapisy o rozlanym obrazie encefalopatycznym (wyraźne spłaszczenie zapisu z dominującym rytmem szybkim, ze skąpym rytmem alfa, którego amplituda nie przekraczała 20 mV i z rozrzuconymi niskonapięciowymi falami theta);
3) grupa II — zapisy o obrazie z napadowymi wyładowaniami elementów wolnych, fal ostrych i iglic, przy uogólnionej desynchronizacji zapisu po próbach aktywacji;
4) grupa III — zapisy o ogniskowych zmianach patologicznych (z ogniskowym występowaniem elementów wolnych pod postacią fal theta i delta).

Spośród 44 zbadanych w obozie urodziło się 17 osób. Analizując tę podgrupę „niemowląt", stwierdzono następujące wyniki eeg: najwięcej zapisów prawidłowych, bo 9 (grupa 0) występuje właśnie u urodzonych w obozie. Zapisów patologicznych u „niemowląt" jest łącznie 8, w tym 2 w grupie I, 4 w grupie II i 2 w grupie III.

Do podgrupy „dzieci małych" zaliczono 15 badanych. Wśród nich u 3 stwierdzono prawidłowe zapisy eeg (grupa 0) a u 12 zapisy patologiczne, w tym 8 w grupie I, 3 w grupie II i 1 w grupie III.

Podgrupa „dzieci średnich" liczyła 4 osoby, w tym 2 z prawidłowymi zapisami (grupa 0) i 2 z zapisami patologicznymi (po jednym w grupach I i II).

W podgrupie „dzieci dużych" było 8 osób, w tym 3 miały zapis prawidłowy (grupa 0), a 5 — zapis patologiczny (3 w grupie I, 1 w grupie II i 1 w grupie III).

Tabela obrazuje wyniki dotyczące wszystkich czterech podgrup:

TABELA I

Podgrupy wieku	Liczba badanych podług grup wyników badań				Suma
	0	I	II	III	
„Niemowlęta"	9	2	4	2	17
„Dzieci małe"	3	8	3	1	15
„Dzieci średnie"	2	1	1	—	4
„Dzieci duże"	3	3	1	1	8
Razem	17	14	9	4	44

Przeliczając procentowo uzyskane wyniki liczbowe, stwierdzono, że spośród 44 (100%) najmłodszych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych elektroencefalograficzne zapisy prawidłowe dotyczą 38,6% zbadanych, a patologiczne 61,4%.

Przeprowadzona analiza pozwala wysnuć następujące zasadnicze wnioski:

1. Szczególną uwagę zwraca największa liczba zapisów prawidłowych w podgrupie „niemowląt", tj. 9 spośród 17 takich zapisów we wszystkich podgrupach wieku; spostrzeżenie to można tłumaczyć tym, że w ostatnich miesiącach istnienia obozu oświęcimskiego stworzono niemowlętom lepsze warunki bytowe, ponadto zaś krótszy był wtedy czas przebywania w obozie;

2. Najmniejszą liczbę zapisów prawidłowych, bo tylko 3 spośród 17 takich zapisów we wszystkich podgrupach wieku, stwierdzono u „dzieci małych"; właśnie u tych dzieci było najwięcej patologicznych zapisów eeg (12 takich zapisów spośród 27 we wszystkich podgrupach wieku); zjawisko to wyjaśnić mogą bardzo ciężkie warunki bytowania „dzieci małych" w obozie i długotrwały głód, które dzieci te cierpiały podczas uwięzienia;

3. Najniższa liczba zapisów patologicznych, bo 7 takich zapisów, występuje u dzieci najstarszych (tzn. u „dzieci średnich" i „dzieci dużych" łącznie); dzieci te znosiły lepiej obóz oświęcimski, ponieważ niektóre przebywały w nim krócej (np. po powstaniu warszawskim), a niektóre znajdowały się w lżejszych obozach, np. w Potulicach;

4. Fakt, że większość badanych wykazała aż 61,4% patologicznych zapisów eeg, jest wynikiem ogólnie znanych warunków, które panowały w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, a szczególnie bardzo znacznego niedożywienia, powodującego trwałe, organiczne zmiany w ośrodkowym układzie nerwowym u dzieci.

Artykuł ten przedstawia tylko analizę wyników badania elektroencefalograficznego, pomijając interpretację ogólnego stanu zdrowia badanych z punktu widzenia kliniczno-psychopatologicznego, co jest tematem zamieszczonej w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" szczegółowej pracy *W. Półtawskiej* i współpracowników pt. „Wyniki badań psychiatrycznych osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych".

JÓZEF SARNECKI Kraków

Konflikty emocjonalne osób urodzonych lub więzionych w dzieciństwie w hitlerowskich obozach koncentracyjnych

(Z Katedry Psychologii WSP w Krakowie
Kierownik: Prof. dr *W. Szewczuk*)

Przedstawione uwagi stanowią pierwsze opracowanie materiału z badań psychologicznych grupy 50 osób, które się urodziły lub przed 14. rokiem życia przebywały w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Pomimo że są to już obecnie dorośli ludzie, zwykło się ich nazywać „dziećmi oświęcimskimi".

Osoby te utrzymują z sobą stosunkowo bliski kontakt, a nawet zaznacza się istnienie między nimi więzi grupowej, opartej na podobieństwie historii życia i aktualnych problemów życiowych. Jak sami podają, różnią się od swoich rówieśników poważnym stosunkiem do życia.

Wybór zagadnień związanych z życiem uczuciowym jako najpierw podjętego tematu podyktowany jest przeświadczeniem, że afekty, jeśli nie determinują w sposób jednoznaczny zachowania się człowieka, to w każdym razie stanowią istotny współczynnik tego zachowania. Wszelkie zmiany zachowania są zwykle sprowadzane do zaburzeń życia uczuciowego.

Zaburzenia życia uczuciowego manifestują się m. in. jako konflikty emocjonalne. Mianem tym określa się rozdźwięk między sądami, subiektywnym przeżywaniem i postępowaniem. Konflikty zachodzą przy przeżywaniu wartości etycznych i dotyczą głównie postępowania moralnego w stosunkach interpersonalnych. Konflikty rozgrywają się zwykle przy dużym napięciu psychicznym i pochłaniają (lub w pewnych wypadkach wyzwalają) znaczne zasoby energii psychicznej.

Termin emocje jest najszerszym terminem na określenie uczuciowości człowieka, a więc również i sfery popędowej. Takie stanowisko pozwala na przyjęcie założenia, że emocje stanowią napęd do działania. Życie uczuciowe człowieka podlega ustawicznym zmianom i wahaniom. Między innymi znaczne zmiany ilościowe i jakościowe zachodzą w toku rozwoju ontogenetycznego pod wpływem dojrzewania i uczenia. Osiągnięcie rozwoju zgodnego z wiekiem biologicznym określa się jako dojrzałość psychiczną. Pełną dojrzałość osiąga się według ogólnie przyjętych przekonań w wieku 21—25 lat. W praktyce granica jest na ogół niższa.

Przykładowo: w Polsce pełna odpowiedzialność prawna zaczyna się w 17. roku życia, dojrzałość do służby wojskowej w 19, dojrzałość do zawarcia małżeństwa aż do r. 1965 zaczynała się w 18. roku życia. Szkołę średnią kończy się świadectwem dojrzałości.

Na dojrzałość psychiczną składa się:

1. dojrzałość fizyczna, tj. osiągnięcie maksymalnego wzrostu i wagi oraz dojrzałości płciowej;

2. dojrzałość emocjonalna, polegająca na kontrolowaniu swoich emocji i wyrażaniu ich w sposób społecznie akceptowany. W tym rozumie się także przewagę uczuć wyższych nad pierwotnymi, stabilność uczuciową, względną trwałość uczuć, niepoddawanie się nastrojom;

3. dojrzałość społeczna, to jest liczenie się w swoim postępowaniu z normami współżycia, umiejętność współdziałania, korzystanie ze wspólnego dorobku kulturalnego i aktywny współudział w pomnażaniu tego dorobku;

4. dojrzałość intelektualna, tj. maksymalny rozwój inteligencji, umiejętność gromadzenia doświadczeń i operatywnego posługiwania się nimi.

Rozróżnienie różnych rodzajów dojrzałości jest dość dowolne, uwarunkowane zarówno historycznie, jak i teoretycznie. Faktycznie wszystkie rodzaje są ze sobą najściślej powiązane i wzajemnie na siebie oddziałują. Nie ma dojrzałości psychicznej przy niedorozwoju jednej z wymienionych. Osiąganie dojrzałości w sferze fizycznej, emocjonalnej, intelektualnej i dojrzałości społecznej nie odbywa się równomiernie; w różnych okresach rozwojowych obserwujemy przewagę to tej, to innej sfery. Są to okresy dezintegracji, kończące się jednak normalnie osiągnięciem integracji na wyższym poziomie. Szczególnie silna dezintegracja psychiczna przypada na okres dojrzewania, to jest na lata 12. do 16. roku życia. Pod tym względem zachodzą znaczne różnice indywidualne, zależne zarówno od czynników genicznych, jak i środowiskowych.

Osiągnięcie pełnej równowagi procesów psychicznych przypada na okres postadolescencji [1], którego dolną granicę określa się na 20. rok życia (ewentualnie osiemnasty u kobiet). W praktyce, jak wspomniano, granica ta jest zaniżona do około 18. roku życia, w nauce zaznacza się tendencja do jej przesunięcia na 25. rok życia. Zaznaczające się różnice psychiczne między kobietami i mężczyznami utrwalają się ostatecznie. Są to głównie różnice w sferze uczuciowości. Pewne typy reakcji uczuciowych tradycyjnie przypisuje się ko-

[1] Proponuję termin „postadolescencji" dla wieku 20—25 lat. Używany zwykle termin „późna adolescencja" jest mylący.

bietom, inne mężczyznom. Psychologia różnic potwierdza te przekonania.

Resumując, można stwierdzić, że dojrzałość psychiczna oznacza osiągnięcie integracji i harmonii życia psychicznego, zgodnego współdziałania intelektu, afektów i odpowiedniego uspołecznienia — osiągnięcia równowagi procesów psychicznych koniecznych do prawidłowego funkcjonowania jednostki i osiągnięcia rozwoju zgodnego z normą wiekową.

Okres postadolescencji jest w życiu jednostki okresem ostatecznego wrastania w społeczeństwo. Jest to okres kończenia nauki, podejmowania pracy zawodowej, stabilizacji życiowej (np. zawieranie małżeństwa), realizacji planów życiowych. Pod względem psychologicznym okres ten znamionuje duża równowaga procesów psychicznych i stabilizacja. Poprzedni okres burzy, buntu i negacji został przezwyciężony na rzecz akceptacji współistnienia społecznego. Jest to okres aktywnego współudziału i współdziałania. Zniknął również młodzieńczy idealizm i bezkompromisowość. Przeważa realizm życiowy. Po raz pierwszy następuje pozytywna konfrontacja własnych możliwości z rzeczywistością. Ale konfrontacja ta nie powoduje już negacji rzeczywistości na rzecz idealistycznych fikcji, lecz jej akceptację i ewentualne próby jej przekształcania według realnych możliwości.

Przedłużanie się zjawisk charakterystycznych dla wcześniejszych faz rozwojowych poza granice adolescencji należy traktować jako patologiczne zahamowanie rozwoju. Ogólnie określa się taki stan jako niedojrzałość psychiczną. Przyczyn niedojrzałości psychicznej można doszukiwać się zarówno w czynnikach środowiskowych (wychowanie), jak i w czynnikach genicznych (działanie gruczołów dokrewnych).

Jako czynnik hamujący rozwój fizyczny i psychiczny w stosunku do osób więzionych w obozach nauka wysunęła ogólne wyniszczenie ustroju, szczególnie głód.

R. Leśniak badał poobozowe zmiany osobowości w grupie byłych dorosłych więźniów. Występowanie zmian stwierdził u 91% badanych. Zmiany szły w trzech kierunkach, przy czym autor widzi wyraźną analogię do kierunku zmian po ostrej fazie niektórych chorób psychicznych. Wymienione kierunki zmian osobowości — to przygnębienie, nieufność i wybuchowość. Psychiatryczne i społeczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka były tematem dysertacji doktorskiej *Marii Orwid* z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie. Autorka badała przystosowanie poobozowe grupy 100 byłych dorosłych więźniów Oświęcimia. Na podstawie analizy statystycznej i jakościowej autorka dochodzi do wniosku, że 46% badanych wykazuje długotrwałe psychiatryczne i społeczne następstwa pobytu w obozie.

Sprawą „astenii poobozowej" zajmował się *A. Szymusik* w swej pracy doktorskiej. Również ten autor oparł się na badaniu byłych dorosłych więźniów.

Długotrwałe lub trwałe ujawnianie się patologicznych odchyleń jest więc faktem udowodnionym. Dlatego w tej pracy nie chodzi o odpowiedź na pytanie, czy pobyt w obozie wywarł skutek czy nie, lecz o opis konfliktów emocjonalnych, jakie można stwierdzić w grupie badanych.

Jak wynika z powyższych rozważań, istotne znaczenie ma ustalenie wieku badanych. Dla celów niniejszej pracy przyjęto, że wszyscy badani ukończyli co najmniej 20. rok życia, co jest równoznaczne z założeniem, że wszyscy badani znajdują się w okresie postadolescencji. Faktycznie, jak wynika z tabeli I, wiek niektórych badanych można uważać za wyższy. W pracy posługuję się wiekiem biograficznym, utożsamiając go z wiekiem biologicznym.

Oba założenia mają m.in. charakter postulatywny: badani powinni wykazywać rozwój psychiczny (i fizyczny) odpowiadający co najmniej wiekowi biologicznemu 20 lat. Oznacza to, że — postulatywnie — badani znajdują się w okresie postadolescencji. Będziemy więc oczekiwać samodzielności, altruizmu, stabilizacji życiowej lub realizacji planów życiowych, odpowiedzialności. W procesach psychicznych zakładamy zrównoważenie, stabilność, dojrzałość uczuciową, równowagę procesów pobudzania i hamowania (w zakresie tolerancji konstytucjonalnej). Postawy życiowe winien cechować realizm i akceptacja rzeczywistości, rozumienie zależności społecznych i aktywny, twórczy współudział w życiu społecznym.

Takie postulatywne określenie wynikające z ogólnych praw psychologicznych wyznacza problematykę badań psychologicznych dzieci oświęcimskich. Problematyka ta zawiera się w pytaniu: jaki poziom dojrzałości psychicznej osiągnęli badani. Problematyka w niniejszym opracowaniu zostaje zwężona do opisu niektórych zjawisk ze sfery życia emocjonalnego, szczególnie do konfliktów emocjonalnych.

Pojęcie dojrzałości psychicznej, szczególnie dojrzałości uczuciowej, nie jest równoznaczne z całkowitym brakiem konfliktów, spięć i powikłań uczuciowych. Przeciwnie, należy podkreślić, że życie uczuciowe człowieka podlega ciągłym fluktuacjom i modyfikacjom, nawet ambiwalentność uczuciowa niekoniecznie jest zjawiskiem patologicznym, a konflikty uczuciowe odgrywają bez wątpienia również i pozytywną rolę w rozwoju. Opisując konflikty w grupie osób badanych mam na myśli tylko te stany i przeżycia, które działają wyłącznie dezintegrująco, które wiążąc gros energii psychicznej nie zezwalają na pełniejszą realizację osobowości.

Jak wspomniano, istnieje na ten temat duże piśmiennictwo, natomiast brak jest w Polsce poobozowych badań dzieci. Podjęcie tej problematyki po dwudziestu przeszło latach stwarza swoiste problemy natury metodologicznej. Trudność w badaniu dzieci dotyczy ustalania faktów. Prowadzi to do pytania, co należy od-

nieść do skutków poobozowych, a co jest wynikiem innych czynników działających w okresie dwudziestoletnim, w okresie, w którym ze względu na wiek psychika badanych była bardzo plastyczna i podatna na wpływy. Na pytanie to można odpowiedzieć jedynie statystycznie przez porównanie z grupą kontrolną. Trudność zagadnienia jest oczywista, dla prawidłowości wyniku wystarczy jednak właściwy opis (jakościowy i ilościowy) wyników uzyskanych w grupie badanych.

Przystępując do analizy zebranego materiału trudno powstrzymać się od przypomnienia, że przedmiotem badań są skutki najstraszniejszej zbrodni. Cywilizacja europejska chlubiła się ideą ochrony i opieki dziecka. Idea niewinności dziecka kształtowała jurysprudencję, wychowanie, stanowiła przedmiot twórczości artystów. Nakaz ochrony dziecka przed niebezpieczeństwem utraty życia i skażeniem był najwyższym nakazem etycznym. Dzieci nie były współwinne, przeciwnie, z każdej pożogi i klęski ratował dzieci nawet wróg. Bestializm hitlerowski zniszczył i to. W obozach ginęły dzieci nieświadome swojej winy. A dla tych, co przeżyli, obóz jest ciągłym ciężarem, przytłaczającym i uniemożliwiającym pełny rozwój, hamującym działanie. Nawet wtedy, gdy pamięć nie zachowała wspomnień, obóz ciąży nad całym ich życiem: pozbawieni rodzin, spokoju, zawiśli w próżni daremnie poszukujący swego miejsca na ziemi. Nie są to tylko refleksje: to obiektywne wyniki badań.

W badaniach posłużono się testami ogólnie stosowanymi w badaniach klinicznych. Referowane tu wyniki opierają się o testy: 1. Test uzupełnienia zdań J. M. Sacksa i L. Sidneya; 2. inwentarz osobowościowy G. Bernreutera; 3. kwestionariusz Woodwortha-Mathewsa. Test Sacksa używany jest zwykle do wstępnej diagnozy osobowości i pozwala ustalić stopień konfliktowości zaburzeń emocjonalnych. Test Bernreutera pozwala pomierzyć takie cechy, jak skłonności neurotyczne, samowystarczalność, introwersje, dominację, wiarę w siebie. Kwestionariusz Woodwortha ustala tzw. tendencje kierunkowe i pozwala pomierzyć stopień ich nasilenia. Tendencje te należy traktować jako dyspozycyjne skłonności do pewnych reakcji. Zgodnie z zasadami badań klinicznych wyniki testowe mogą być interpretowane jedynie w kontekście całości badań.

TABELA I

Ogólna charakterystyka badanych

1	Ogólna liczba badanych	50
2	W tym liczba osób w chwili badania:	
	w wieku do 25 lat	26
	w wieku do 30 lat	12
	powyżej 30 lat	12
3	Mężczyźni	20
4	Kobiety	30
5	Osoby urodzone w obozie	25
6	Data urodzenia ustalona z urzędu	9
7	Osoby adoptowane	7
8	Osoby wychowywane do pełnoletności w domach dziecka	4
9	Osoby posiadające w chwili wyzwolenia przynajmniej jedno z rodziców	34
10	Osoby posiadające w chwili wyzwolenia dalszą rodzinę	5
11	Związek małżeński zawarło	15
12	Pracujący zawodowo	33
13	Uczący się i nie pracujący	11
14	Patologiczny zapis elektroencefalograficzny	26
15	Cechy infantylizmu	25
16	Zaznaczające się cechy oligofreniczne bądź dementywne	8
17	Stosunek negatywny do badań	20

Charakterystykę badanych zawiera tabela I. Badani pochodzą głównie z województwa krakowskiego oraz z Warszawy. Wiek ustalono na podstawie urzędowych dokumentów urodzenia. Jako osoby urodzone w obozie liczono również tych, u których nie ustalono miejsca urodzenia. Daty urodzenia ustalone z urzędu, jak się wydaje, były zawsze zaniżone wskutek wyniszczenia somatycznego dzieci. Niektóre z osób badanych posiadają podwójne, różne daty urodzenia. Jako osoby adoptowane przyjęto te, które zostały zabrane przez obcych ludzi bezpośrednio z obozu i które nie wiedziały o fakcie adopcji. Wzruszająca jest historia małego dziecka, które wykradło sobie z obozu siostrzyczkę. Osoby posiadające jedno z rodziców, przeważnie matkę, pochodzą głównie z grupy warszawskiej. Osoby, które odnalazły rodzinę, nie mają rodziców, lecz zostały przyjęte przez dalszą rodzinę, u której w większości wypadków pozostają nadal. Co się tyczy związku małżeńskiego, uwzględniono fakt zawarcia, a nie pozostawania w małżeństwie; związki małżeńskie na ogół nie okazały się trwałe. Jako infantylizm przyjęto ogólną niedojrzałość, nie uwzględniając w tym cech histerycznych, chociaż są to również cechy niedojrzałej uczuciowości.

Rozkład tendencji kierunkowych i ogólną charakterystykę uczuciowości przedstawia tabela II.

W pozycji 1—9 wykazano wyłącznie tendencje powyżej normy. Są to więc tendencje nadające kierunek reakcjom uczuciowym, wyznaczające ich siłę i zasięg.

1. Prosta emotywność — przewaga uczuć pierwotnych, strach i lęki, gniew, złość;
2. uczuciowość psychasteniczna — obsesje, lęki, natręctwa, ambiwalencje;
3. uczuciowość schizoidalna — osobnicy zamknięci w sobie, nieszczęśliwi, przeżywający samotność;
4. tendencje paranoidalne — uczuciowość ksobna, monoideizm, manie;
5. depresje — lęki, stany obniżonego samopoczucia;
6. impulsywność — łączy się ze stanami epileptycznymi i epileptoidalnymi;
7. niestabilność — niecierpliwość, zmienność, również niespokojna hiperaktywność;
8. tendencje antyspołeczne — psychopatyczny zanik uczuć społecznych.

Przed przystąpieniem do opisu konfliktów emocjonalnych należy scharakteryzować ogólnie uczuciowość badanych i wskazać ważące cechy charakterologiczne, jak tło, na którym rozgrywają się konflikty. Przebieg konfliktów

TABELA II
Typy reakcji emocjonalnych

Lp.	Rodzaj reakcji emocjonalnej	Liczba badanych łącznie	Mężczyźni (w nawiasach odsetek mężczyzn)	Kobiety (w nawiasach odsetek kobiet)
1	Prosta emotywność	17	5 (25%)	12 (40%)
2	Uczuciowość psychasteniczna	12	4 (10%)	8 (20%)
3	Uczuciowość schizoidalna	13	7 (35%)	6 (20%)
4	Tendencje paranoidalne	12	5 (25%)	7 (23%)
5	Depresje	18	6 (30%)	12 (40%)
6	Impulsywność	16	5 (25%)	11 (36%)
7	Niestabilność	16	9 (45%)	7 (23%)
8	Tendencje antyspołeczne	5	1 (5%)	4 (13%)
9	Tendencje w granicach normy	11	6 (30%)	5 (17%)
10	Brak danych	5	3 (15%)	2 (7%)

jest bowiem zależny od takich cech, jak inteligencja, temperament, autyzm itp. Dla scharakteryzowania uczuciowości posłużono się tendencjami Woodwortha, traktując je jako względnie trwałe cechy charakterologiczne. Użyte przy tym terminy są ogólnie znane z psychopatologii. Natomiast terminy niedojrzałości, nieprzystosowanie, niezrównoważenie pochodzą z różnych teorii zachowania i częściowo mają podobne znaczenie.

W zachowaniu się badanych można stwierdzić następujące cechy:

1. Niedojrzałość uczuciową — infantylizm; aż 50% badanych wykazuje cechy infantylne; oznacza to, że połowa badanych nie osiągnęła normy wiekowej.
2. Niedojrzałość uczuciową — cechy histeryczne; od cech infantylnych odróżniono cechy histeryczne, stwierdzone u 12 osób.
3. Niezrównoważenie uczuciowe, które oznacza brak równowagi psychicznej, przewagę tendencji dezintegracyjnych; przyjmując za miarę niezrównoważenia wyniki inwentarza osobowościowego, należy uznać, że 46 osób wykazuje wysoki stopień niezrównoważenia.
3. Nieprzystosowanie uczuciowe, które oznacza nieadekwatność reakcji w stosunku do działających bodźców; nieprzystosowanie uczuciowe objawia się wysokim stopniem konfliktów.
4. Przewagę stanów depresyjnych — większość badanych ma skłonność do stanów obniżonego nastroju, zamyśleń, ucieczki od życia, do introwersji i zamykania się w sobie.

Bliższe omówienie sfery emocjonalnej osób badanych musi zostać odłożone do dalszych opracowań.

Przedstawione powyżej ogólne cechy uczuciowości osób badanych służyć mają wyłącznie do okazania, na jakim podłożu rozgrywają się konflikty emocjonalne „dzieci oświęcimskich". Wyniki oparto o analizę testu niedokończonych zdań. Test ten pozwala ustalić jakościowo i ilościowo konflikty w piętnastu różnych sferach. Analiza wyników wykazuje, że konflikty dotyczą wyłącznie sfery stosunków międzyludzkich. Nie ma zaburzeń życia popędowego typu np. nerwic płciowych. Zakłócenia w prospektywnym nastawieniu, planowaniu i stawianiu celów życiowych są związane raczej z ogólną niedojrzałością psychiczną. Odpowiedzi udzielane w tym teście mogą służyć jako ilustracja niedojrzałości. Z tych względów w omówieniu konfliktów ograniczę się do kilku najbardziej charakterystycznych, pomijając te, które wydają się mniej reprezentatywne i które nie są tak liczne lub tak głębokie.

Interesujące jest ustalenie głębokości konfliktu. Chodzi o ustalenie, jak dalece zaznaczające się konflikty wpływają na całe zachowanie, w jakim stopniu angażują energię psychiczną, jakie obszary zajmują. Oczywiście w znacznym stopniu zależy to od typu uczuciowego i dlatego przy analizowaniu wyników należy stale pamiętać o wynikach ujętych w tabeli II. Głębokość konfliktów określono czterostopniową skalą:

0 — brak konfliktów godnych uwagi;
1 — istniejące konflikty pozostają w normie;
2 — poważne konflikty, wymagające interwencji terapeutycznej;
X — brak danych.

Wyniki ujęto w poniższym zestawieniu.

TABELA III
Głębokość zaburzeń uczuciowych

Lp.	Poziom	Liczba badanych w %	Mężczyźni kobiety (w % stosunku do ogólnej liczby 20 mężczyzn i 30 kobiet)	
1	Brak konfliktów — 0	20	20	20
2	Mierne konflikty — 1	24	5	37
3	Poważne zaburzenia — 2	50	65	40
4	Brak danych — X	6	10	3
	Razem	100	100	100

W pozycji „brak danych" wykazano zarówno brak wystarczających danych, jak i całkowity brak odpowiedzi spowodowany przeważnie negatywnym stosunkiem do badań (uwaga odnosi się do wszystkich podobnych rubryk). W tabeli podano tylko podział na płeć, ponieważ inne czynniki nie odgrywają roli. Natomiast na podstawie zestawień nasuwa się wniosek, że mężczyźni przeżywają konflikty głębiej niż kobiety.

Analiza jakościowa wyników pozwala na wyróżnienie kilku charakterystycznych konfliktów, które są kolejno przedstawione:

1. Konflikt nazwany walką o miejsce na ziemi jest konfliktem dzieci adoptowanych. Zasięg i społeczne znaczenie tego konfliktu wysuwa go na czoło wśród innych, mimo że ilościowo nie jest to najliczniejsza grupa, obejmuje bowiem 7 osób; intensywność konfliktu, siła subiektywnego przeżywania są tak znaczne, że należy rozpocząć omawianie od niego właśnie. Osoby badane przeżywają bardzo silnie swoje obecne położenie jako stan zagrożenia. Większość z nich o fakcie adopcji dowiedziała się po wielu latach, niektórzy dopiero w latach sześćdziesiątych. Siły przeżywania to nie osłabiło. Badani znajdują się w ostrej reakcji „zawieszenia". Większość z nich odnalazła prawdziwe rodziny lub została przez nie odnaleziona. Do tych rodzin wcale nie chcą się przyznać, a przybranych rodziców przestali uważać za swoich. W ten sposób zerwała się więź uczuciowa; badani znaleźli się w pustce. Samotnie toczą walkę o swe miejsce na ziemi, o utrzymanie dotychczasowej pozycji i więzi społecznych. Jest to jednak walka o fikcję, o coś, co nie istnieje, co przestało istnieć.

Niektórzy z badanych odkryli, że w ogóle nie są Polakami, zachwiała się przynależność do społeczności rodzinnej, narodowej, kulturowej, towarzyskiej, zawodowej. Jedni to już wiedzą, a innych może to spotkać w każdej chwili — stąd wrogie nastawienie do wszystkich ludzi, ponieważ każdy obcy stanowi potencjalne zagrożenie. Każdy może okazać się niechcianym bratem, siostrą, kimś bliskim krwią, ale obcym uczuciowo. Pod znakiem zapytania stanęło właściwie wszystko. Zdają oni sobie sprawę, że przez fakt adopcji ich życie biegnie być może fałszywym torem; wszystko jest nie tak, jak być powinno naprawdę. Ale jednocześnie to inne, rzekomo prawdziwe jest całkowicie obce. Mają więc żal do przybranych rodziców, najczęściej są z nimi w ostrym konflikcie. Pociąga to dalsze komplikacje w postaci poczucia winy. Badani czują się winni, wiedzą, że tym ludziom zawdzięczają wszystko i że powinni im być wdzięczni. Konflikt wywołuje niepokój sięgający głęboko w struktury psychiczne, powodując ich destrukcję. Znaczne jest również zgeneralizowanie konfliktu: tłumiona niechęć i żal przenoszą się na inne osoby, powodując generalnie negatywną postawę wobec ludzi.

Rozwiązywanie konfliktu rzadko bywa racjonalne. W badaniach przeważa agresja w różnych formach, w tym również jako wybryki chuligańskie. Obok tego występuje obawa przed ludźmi i cofnięcie się (np. osoba z badania 2 w ogóle nie wpuszcza do domu obcych).

Konflikt nie jest specyficzny dla dzieci oświęcimskich; raczej jest to ogólniejszy konflikt adopcji. Znamiona tego konfliktu upoważniają do traktowania go jako zespołu adopcji w znaczeniu psychiatrycznym.

Badanie 12: Urodzony w obozie, data urodzenia ustalona z urzędu, zabrany przez przybranych rodziców bezpośrednio po wyzwoleniu. Zaznaczone cechy infantylne. Test Woodwortha wysoko ponad normę, kwestionariusz Bernreutera — norma. Był dzieckiem trudnym. Rodziców odnalazł w latach sześćdziesiątych. Nie chce nawet odwiedzać prawdziwej matki, z przybranymi rodzicami mieszka nadal, ale nosi się z zamiarem opuszczenia. Przybrana matka podaje: „jak przyjechała ta kobieta, to coś mi się zrobiło". Badany: „staram sobie wmówić, że to jest przecież moja matka i muszę ją kochać". Zewnętrznym zachowaniem i ubiorem stara się podkreślić swoją przynależność, wyraźnie podkreśla to, co dzieli go od prawdziwych rodziców i to, co go łączy z kulturą, w której się wychował. Wszelką rozmowę na ten temat zaraz urywa. W stosunku do wszystkich jest agresywny i zajmuje postawę napastliwą, co powoduje nawet interwencję milicji. Konflikt odbija się na jego stosunku do kochanej osoby.

2. Konflikt pokoleń, drugi co do swej intensywności i zasięgu, nie jest swoisty w swej treści i formie dla grupy badanych. Jest konfliktem charakterystycznym dla okresu dojrzewania. Konflikt wzajemnego niezrozumienia się między rodzicami i dziećmi. Jednak w grupie badanych przebieg konfliktu jest specjalnie ostry. Jest to tym bardziej dziwne, że wszyscy badani przeszli przez grozę śmierci i utraty rodziców. W wypowiedziach bardzo często wyrażona zostaje troska o życie rodziców i życzenie, by żyli jak najdłużej. Ale obok tego spotyka się takie odpowiedzi, jak: „gdy zaczyna krzyczeć, to nie wiem, co bym zrobił". Badani doskonale zdają sobie sprawę, że przynajmniej częściowo sami ponoszą winę, ale nie zdobywają się na wysiłek porozumienia. W rozmowie mówią na ten temat chętnie, przyznają się do winy, wysłuchują rad, ale to wszystko nie pomaga: z lada powodu wybuchają w domu scysje. Konflikt przybiera różne postacie zależnie od konfiguracji rodziny. Np. tam, gdzie brakło jednego z rodziców, szczególnie ojca, powtarzają się wypowiedzi: „gdyby ojciec żył, na pewno byłoby inaczej". W rodzinach pełnych konflikt rozgrywa się między jednym z rodziców i dzieckiem. Konflikt budzi u tych osób duże niezadowolenie ze siebie lub nawet pogardę do siebie za swoją podłość i niewdzięczność. Badani szczególnie przeżywają fakt, że to właśnie im się zdarza, im, którzy deklarują większe doświadczenie życiowe i większą tolerancję w stosunku do ludzi. Konflikt nie jest tak uogólniony, jak w wypadku walki o miejsce, działa tu, jak się wydaje, przeświadczenie, że konflikt nie jest czymś koniecznym i można go uniknąć, jest tylko pojedynczym wypadkiem, nie wszyscy ludzie kłócą się z rodziną i nie wszystkie rodziny są złe. Często w związku z tym powtarza się przekonanie, że „moja przyszła rodzina będzie znacznie lepsza".

Rozwiązywanie konfliktu jest bardzo różnorodne: marzenia o własnym domu, ucieczki z domu, maskowana niechęć do jednego z rodziców; typowym rozwiązaniem jest małżeństwo, które zwykle okazuje się nietrwałe (sprawa małżeństw jest niezmiernie interesująca i zasługująca na specjalną uwagę). W stosunkach z rodzicami nie dochodzi na ogół do zerwania więzi uczuciowej, jak się to dzieje

w konflikcie walki o miejsce. Natomiast więź tę badani odczuwają jako uciążliwość, często nawet jako przeszkodę w realizacji planów życiowych i obciążają rodziców odpowiedzialnością za niepowodzenia.

Jak zaznaczono wyżej, konflikt pokoleń jest specyficzny dla okresu dojrzewania. Dlatego występowanie tego konfliktu w grupie badanych należy uznać za symptom niedojrzałości uczuciowej i przedłużania się okresu dojrzewania. Występowanie ostrego konfliktu pokoleń stwierdzono u 12 osób, a więc u 33% osób posiadających rodziców lub rodzinę. U 8 osób stwierdzono cechy infantylne; 6 osób zawarło związek małżeński.

Badanie 47: Badany stanu wolnego, urodzony w obozie, oboje rodzice żyją, cechy infantylne wyraźne, cechy oligofreniczne mierne, błędy wychowawcze ze strony matki wyraźne, z matką kontakt dosyć dobry, z ojcem bardzo ostre nieporozumienia, ucieczki z domu, obecnie planowane małżeństwo.

3. Dalszy konflikt — to psychastenicznе zahamowanie. Terminem tym objęto zaburzenia emocjonalne, stwierdzone u 11 osób. W rozpoznaniu psychiatrycznym u większości stwierdzono osobowość psychasteniczną lub neurasteniczną. Nie jest to grupa jednolita, osobnicze zróżnicowania zaznaczają się wyraźnie. W obrazie psychologicznym zaznacza się podobieństwo do osobników schizoidalnych, ale uczuciowość cechuje duża żywość przeżywania. Dominuje poczucie niezadowolenia ze wszystkiego i ze wszystkich, negatywny stosunek do siebie. Szczególnie ostro rysuje się właśnie niezadowolenie ze siebie, ze swoich osiągnięć, zmarnowanych możliwości, często towarzyszy temu poczucie niższości. Ale zdarzają się i wypadki ostrej krytyki otoczenia, szczególnie u osób pracujących. Badani tkwią w przeświadczeniu, że znajdują się w położeniu bez wyjścia, najczęściej rezygnują z działalności, przekonani z góry o niepowodzeniu: nic im się nie udaje, nic nie może się udać. W stan swój mają znaczny wgląd, co bynajmniej nie ułatwia wyjścia z impasu psychicznego, w jakim się znajdują. Wszystko przychodzi im z trudnością, każde przedsięwzięcie opłacają lękami i nerwicami. Wśród badanych przeważają ludzie w wieku powyżej 25 lat, mający już uregulowaną pozycję społeczną, z której nie są zadowoleni i pragną zmiany, chociaż panicznie jej się boją. Do badań ustosunkowani niechętnie, niektórzy nawet odmawiają udziału lub przerywają badania testowe. Życie psychiczne znajduje się w stanie dezintegracji, brak jest ośrodka organizacyjnego, brak napędu i motywacji działania. Mówiąc obrazowo, brak jest siły kierunkowej. Ujawnia się to we wszystkich sferach życia: zmęczenie, skargi na dolegliwości somatyczne, zniechęcenie, obok tego lęki i obsesje.

Konflikt cechuje się wyjątkowo znacznym stopniem uogólnienia, obejmując zarówno sfery psychiczne, jak i stosunki społeczne. Prowadzi do paraliżowania działania, do abulii z jednej, a do zaburzenia kontaktów międzyludzkich z drugiej strony. Zaburzone życie uczuciowe odbija się na stosunku do osób najbliższych. Badani są niezadowoleni i nieszczęśliwi nie tylko sami, ale unieszczęśliwiają najbliższych i mają trudności w pracy. Poczucie nieszczęśliwości i beznadziejności pogłębiane jest przez świadomość, że własne niezadowolenie i zmęczenie odbija się na otoczeniu, zniechęca ludzi. Szczególnie źle działa na życie rodzinne, gasząc radość. Starsi z badanych są pełni troski o dzieci, ale jako rodzice są zbyt wymagający i niekiedy z góry przewidują trudność z dziećmi. Pracę zawodową traktują sumiennie, są obowiązkowi, ale praca nie daje zadowolenia, stanowi ciężki, męczący obowiązek.

Rozwiązywanie konfliktu jest bardzo różnorodne; spotyka się ucieczkę w chorobę, lęki, zamknięcie się w sobie, poczucie opuszczenia i samotności. Badani nie wiążą swojego stanu psychicznego z przeżyciami obozowymi, przeciwnie, większość z nich utrzymuje, że tamte sprawy zostały całkowicie przezwyciężone. Do rozmowy na ten temat zresztą trudno ich skłonić i obawiają się badań w tym kierunku. Ale w kilku wypadkach daje się wykryć taki wpływ, tym bardziej że jest to grupa osób starszych, pamiętających przeżycia obozowe. Niektórzy w obozie zajmowali się młodszymi od siebie dziećmi nie z własnej woli, lecz pod przymusem; byli pielęgniarkami, opiekunkami, „organizowali" jedzenie, spełniali przy chorych wszystkie posługi. Patrzyli na ciągłą śmierć, przychodzącą nie wiadomo dlaczego; samo zjawisko śmierci było dla nich całkowicie niezrozumiałe. Do tych przeżyć można odnieść obecne obsesje i lęki, niezrozumienie i strach w kontaktach.

Czy do tych przeżyć można odnieść również inny konflikt związany z nienawiścią do Niemców i obawą przed nową wojną? Uczucia takie stwierdzono u pewnej liczby badanych, nie tylko spośród omawianej grupy. Ten konflikt wydaje się specyficzny dla badanej grupy dzieci oświęcimskich, jednak w celu jego omówienia należałoby uzupełnić badania, dlatego zostaje w tym miejscu jedynie wzmiankowany.

Badanie 49: 35-letni badany, mieszka z rodzicami, chociaż formalnie pozostaje w małżeństwie. Przez dłuższy czas odmawia poddania się badaniom. Pozycja zawodowa i życiowa nieustalona. Z naciskiem podkreśla, że obecna sytuacja i stan nie mają nic wspólnego z obozem. Jest to faktyczne przekonanie. W rozmowie okazuje się, że obóz nie tylko nie został zapomniany, ale jest ciągle obecnym koszmarem. Mimo dwudziestu lat badany nigdy nie wyszedł z tych przeżyć. Zmora obozu jest ciągle obecna, dusząca i paraliżująca. Tylko dzięki stosunkowo dobrej sytuacji materialnej badany jest w stanie egzystować i żyć we względnym spokoju i całkowitej niemal izolacji.

4. Czwarty konflikt — to poczucie opuszczenia. Wśród badanych wyodrębnia się grupa 4 osób, które nie odnalazły nikogo z bliskich. Łączy je podobieństwo historii życia, wiek i podobieństwo psychiczne wytworzone przez podobne doświadczenia. Wychowywane w domach dziecka żyją w całkowitej pustce społecznej, bez więzi, w poczuciu

całkowitego opuszczenia i zagubienia. Czują się niepotrzebni nikomu, są jakby czymś przypadkowym na świecie, jakąś tragiczną pomyłką. Żyją w ciągłym oczekiwaniu na cud odnalezienia rodzin, w poczuciu doznanej krzywdy, mają niejasno eksplikowany żal do społeczeństwa, szczególnie do osób, które zajmowały się poszukiwaniem ich rodzin za to, że robiono im nadzieję. Po usamodzielnieniu się wszyscy podjęli poszukiwania na własną rękę i nie zaniechali poszukiwań nadal. O ile w grupie dzieci adoptowanych dominuje poczucie zagrożenia i trwa walka o utrzymanie istniejącej przynależności, tak tu jest właśnie szukanie przynależności do kogoś, szukanie kogoś bliskiego i własnego. Losy tych dzieci nie układają się pomyślnie: chociaż wychowani w domach dziecka, są mimo to źle przystosowani i nie umieją sobie radzić w życiu. Są przewrażliwieni, ciągle wyczekujący, pozostający w cieniu nadziei, że ktoś ich znajdzie i przywróci im prawdziwe życie. Potrzeba przynależności, łaknienie miłości są bardzo silne. Pozbawieni własnego nazwiska i miejsca urodzenia, nie mają nic, nawet ich własna osobowość jest im narzucona wraz z nazwiskiem i wyborem zawodu i wydaje się czymś tymczasowym. Zawierają łatwo znajomości i czułe przyjaźnie, szukają kontaktu z osobami starszymi. Ale zawarte znajomości są zrywane z najbłahszych powodów. Można nawet powiedzieć, że są zrywane programowo. Osoby badane nie mogą podjąć żadnej decyzji; wszystko odkładają na później, do czasu rozstrzygnięcia najważniejszej sprawy: odnalezienia rodziny.

Konflikt jest zgeneralizowany w bardzo znacznym stopniu — rzutuje w sposób negatywny na kontakty społeczne badanych, wywołuje u nich negatywny stosunek do życia społecznego. Nie biorą oni czynnego udziału w zabawach i rozrywkach, unikają konfliktów z otoczeniem, ale też nie żyją życiem otoczenia. Są mało uspołecznieni, wymagają zachęty. Ich postawę można określić jako wyczekująco-nieufną. Sami bowiem nie robią pierwszego kroku i nie przejawiają inicjatywy, w początkowych kontaktach z ludźmi są najeżeni, nie wykazują entuzjazmu dla żadnej sprawy, ale całe ich życie jest nastawione na oczekiwanie czegoś lub kogoś. W obrazie psychologicznym przeważają depresje, tendencje zmienności, niestabilność.

Rozwiązywanie konfliktów sprowadza się do ucieczki od życia, wstrzymywania się od działania, póki konieczność do tego nie zmusi. Do badań są ustosunkowani urazowo, chociaż i w tym nowym kontakcie była skryta nadzieja.

Badanie 46: Badany pracuje fizycznie przy złym stanie zdrowia. Dom dziecka opuścił przed dwoma laty. We wspomnieniach dom dziecka jest przytulnym, miłym i własnym kątem. Podaje, że utrzymuje żywy i serdeczny kontakt z wychowawcami. Według danych z domu dziecka cały czas były duże trudności wychowawcze i ucieczki. Nie posiada nikogo z rodziny; w miejscu pracy nawiązał znajomość, z którą aktualnie wiąże nadzieje na stabilizację życia, ale jednocześnie nie tylko nie usiłuje tego ujawnić, lecz przeciwnie, postępuje, jakby chciał zerwać. Ucieka z każdego towarzystwa, gdy tylko rozmowa schodzi na temat rodziny. Obcym nie przyznaje się, że nie posiada rodziny, nawet niektórzy z bliższych znajomych nie znają prawdy. W badaniach psychologicznych wszystkie wskaźniki poza normą.

5. Do grupy bezkonfliktowej zaliczono osoby, które w badaniach nie ujawniły konfliktów i wykazują zrównoważenie uczuciowe. Są to osoby, które osiągnęły dojrzałość psychiczną i wykazują panowanie nad swoimi przeżyciami. Ich konflikty nie działają dezorganizująco na całą psychikę, energia psychiczna nie jest trwoniona na ewentualne napięcia, rozwiązania są racjonalne i w ten sposób energia psychiczna nie jest wiązana na samonapięcie, lecz zużytkowywana w działaniu i rozwijaniu własnej osobowości. W badaniach testowych grupa wykazuje niski stopień depresyjności, można więc wnioskować, że są to osoby akceptujące siebie i otaczającą rzeczywistość. Do tej grupy zaliczono 7 osób, w tym 5 kobiet; 2 osoby studiują, pozostałe pracują. Jest to grupa najbardziej zbliżona do normatywnej.

Badanie 28: Badany miał duże problemy życiowe, obecnie studiuje; uczucie do ukochanej osoby, z którą zamierza zawrzeć wkrótce związek małżeński, absorbuje całkowicie i stanowi źródło pozytywnie działającej energii.

Badanie 9: Lat 26, w zakonie. Nastąpiło pełne wyrównanie uczuciowe dzięki poddaniu życia psychicznego dyscyplinie i podporządkowaniu idei świętości, jaką osoba badana pragnie osiągnąć.

Jak widać z podanych przykładów, istotną rolę odgrywa pojawienie się czynnika organizującego psychikę. Pod tym względem grupa stanowi przeciwieństwo grupy psychastenicznej, w której zaznacza się rozproszenie energii psychicznej i brak czynnika organizującego psychikę.

6. Osobno wymienić należy jeszcze grupę złożoną z 4 osób, charakteryzujących się hipofreniczną bezkonfliktowością. Odznaczają się one dobrym przystosowaniem uczuciowym i przewagą stanów hipomaniakalnych lub nawet euforycznych. Wszystkie osoby wykazują obniżenie poziomu umysłowego. Do tej grupy nie zaliczono wszystkich badanych oligofrenicznych, lecz tylko te osoby, które nie wykazują konfliktów emocjonalnych. Poza grupą pozostały osoby oligofreniczne, mające jednak konflikty. Dla celów niniejszej pracy nie przeprowadzono testowych badań inteligencji, jednak wyróżnienie takiej grupy ma istotne znaczenie dla ogólnej problematyki badań „dzieci oświęcimskich", mianowicie dla określenia skutków pobytu w obozie. Dwie spośród wymienionych osób mają lat 27, pozostałe 21 i 20. Co do jednej z tych osób ojciec stwierdza, że do trzeciego roku życia dziecko rozwijało się normalnie, rozwój został zahamowany w obozie. Badani wykazują beztroskość, płytkość uczuciową, są towarzyscy i syntoniczni. Najistotniejszą cechą jest niedorozwój uczuć wyższych. W badanej grupie nie stwierdzono występowania właściwości swoistych w stosunku do podobnych wypadków powszechnie znanych i wielokrotnie opi-

sywanych. Brak konfliktów jest więc z punktu widzenia dalszego rozwoju zjawiskiem niekorzystnym, oznacza bowiem niemożność dalszego rozwoju.

Badanie 3: 27-letni badany stanu wolnego, pracuje w zakładzie rzemieślniczym przy prostej produkcji. Jest wesoły, pogodny, miewa przeważnie dobry humor, czasem wpada w złość, gdy czegoś nie otrzymuje. Jest ciągle dużym dzieckiem, chętnie pieszczącym się jeszcze z rodzicami; przyszłość swoją widzi całkiem pomyślnie, jest zadowolony z siebie i z pracy. Do badań nastawiony pozytywnie.

Opisane wyżej konflikty bynajmniej nie wyczerpują ich listy, a tym bardziej nie ujmują wszystkich zagadnień. Ukazanie tych spraw wydawało się konieczne zarówno ze względów badawczych, jak i praktycznych: może te uwagi dopomogą zrozumieć zachowanie się „dzieci oświęcimskich". Dlatego właśnie zwróciłem uwagę na te konflikty, pomijając inne. Pominięto również fakt, że konflikty nie występują pojedynczo: obok konfliktów zasadniczych istnieją poboczne. W badaniach przewijają się konflikty małżeńskie, nieporozumienia w pracy itp. Pominięto również całkowicie konflikty wynikłe z postaw moralnych i ideologicznych.

Jest jeszcze za wcześnie na wysnuwanie wniosków tylko na podstawie tak wąsko skonstruowanego tematu. Ogólnie jednak można stwierdzić wysoką konfliktowość w grupie badanych, z czym wiąże się mała tolerancja na frustracje i nieprzystosowanie uczuciowe. Porównanie badanych z normatywem psychologicznym wykazuje małą dojrzałość uczuciową, co oznacza opóźnienie rozwoju psychicznego i utrudnia badanym współżycie z otoczeniem. Uczuciowość badanych wykazuje wiele cech właściwych wcześniejszym okresom rozwojowym, szczególnie okresowi dojrzewania, kiedy to nasilenie konfliktów jest zjawiskiem rozwojowym. Również co do swej treści konflikty przypominają okres wczesnej adolescencji. Niedojrzałość uczuciowa ujawnia się również nieracjonalnym rozwiązywaniem konfliktów. Wiele z opisywanych zjawisk odnieść należy do skutków pobytu w obozie:

1. Przez wyniszczenie somatyczne powstały nieodwracalne zmiany jako hipofreniczne obniżenie uczuciowości;
2. Obóz jako długotrwały czynnik stressowy stanowił dla psychiki przeciążenie ujawniające się w grupie starszych badanych głównie jako konflikty nazwane psychastenicznym zahamowaniem;
3. Sytuacja życiowa dzieci adoptowanych i wychowywanych w zakładach opiekuńczych powoduje ich niezrównoważenie i nieprzystosowanie uczuciowe manifestujące się opisanymi u nich konfliktami. Sytuacja ta zaś jest bezpośrednim następstwem obozu.

Wnioski oparto na wynikach badań, ograniczając kazuistykę do minimum i prawie zupełnie nie cytując oryginalnych wypowiedzi, zwierzanych nie na użytek badań, lecz z ludzkiej potrzeby wypowiedzenia się, a przecież wystarczyłoby pokazać w całości chociaż jeden wypadek, by przypomnieć, że mamy do czynienia z ludzkimi losami, ze zmaganiami się, z problemami, których badani bynajmniej nie chcieli rozwiązywać. Nieszczęście i krzywdę im narzuconą, krzywdę doznaną w dzieciństwie opłacają dodatkowo i teraz. Nic więc dziwnego, że wśród badanych jest tak częste poczucie krzywdy, żalu i pewne wyobcowanie. Psychika każdego z nas ukształtowana jest w stereotypy składające się z podobnych elementów. Dla każdego z nas lekarz oznacza ratunek, matka bezpieczeństwo, ale nie dla tych dzieci. Biały kitel znaczy śmierć, dorosły znaczy głód, mundur znaczy ból, matka jest przeznaczona na śmierć, nowa sukienka oznacza przeznaczenie do gazu. Nawet kwiaty i wiosna nie zwiastują życia, lecz zagładę. „Wiosną 1942 roku setki zdrowych ludzi przechodziły pod kwitnącymi drzewami owocowymi (...) do komór gazowych na śmierć. Ten obraz budzenia się życia i przemijania dziś jeszcze stoi mi przed oczyma" — zanotował w swoich wspomnieniach *Rudolf Höss*.

Więcej od wszystkich badań mówi historia chłopca, który przez lata znał tylko jedną zabawę: chowanie trupów. Dla tych dzieci każdy bodziec kojarzył się ze śmiercią i strachem. Czy takie uwarunkowania mogły nie wywołać zaburzeń głębokich, sięgających najgłębszych warstw psychiki? A przecież działo się to w warunkach pełnej nieświadomości „dobrego i złego", całkowitego niezrozumienia. W psychice dziecka nie było mierników i oporników. Strach i zagrożenie mogły więc bezkarnie pustoszyć dziecięce dusze.

PIŚMIENNICTWO

1. *Frankl V. E.:* Psychohigienische Erfahrungen in Konzentrationslager. W: Handbuch der Neurosenlehre und Psychotherapie. (Red.: *V. E. Frankl, V. E. von Gebsattel, J. H. Schultz*). München-Berlin, T. 4, 1960. — 2. *Hoess R.:* Wspomnienia. Oprac., wstęp i przypisy *J. Sehn.* Wyd. 2, Warszawa 1960. — 3. *Leśniak R.:* Poobozowe zmiany osobowości byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., R. 21, 1965, nr 1, str. 12—20. — 4. *Orwid M.:* Socjopsychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., R. 20, 1964, nr 1, str. 17—23. — 5. *Saul L.:* Emotional maturity. Philadelphia 1947. — 6. *Szewczuk W.:* Psychologia człowieka dorosłego. Wyd. 2, Warszawa 1961. — 7. *Szymusik A.:* Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Przegl. Lek., R. 20, 1964, nr 1, str. 23—29. — 8. *Targowla R.:* Syndrom der Asthenie der Deportierten. W: *Max Michel:* Gesundheitsschaden durch Verfolgung und Gefangenschaft und ihre Spätfolgen. Berlin 1955, str. 30—40.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI, JANUSZ KUTYBA Kraków

Wstępne wyniki badań stanu zdrowia 100 byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych

(z dzielnicy Stare Miasto w Krakowie)

(Z Wojewódzkiej Poradni Specjalistycznej w Krakowie;
Dyrektor: dr *M. Ciećkiewicz*)

W wyniku inicjatywy Komisji Socjalnej i Zdrowia Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację oraz po aprobacie Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej rozpoczęto w Krakowie w dniu 1 lipca 1965 r. badania lekarskie byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Badania prowadzi powołana przez Wojewódzką Przychodnię Specjalistyczną w Krakowie poradnia dla krakowskiego Okręgu ZBoWiD, zatrudniająca lekarza chorób wewnętrznych i rejestratorkę. Lekarz poradni współpracuje z wojewódzkimi i miejskimi poradniami specjalistycznymi oraz z przychodniami przyklinicznymi krakowskiej Akademii Medycznej.

Byli więźniowie są wzywani do badań w kolejności alfabetycznej według list członkowskich dostarczonych przez oddziały ZBoWiD. Każdemu badanemu wyznacza się określony dzień i godzinę zgłoszenia. Dla zgłaszanych zakładane są karty zdrowia, zatwierdzone przez Zarząd Główny ZBoWiD z uzupełnieniami wewnętrznymi, dotyczącymi danych socjalnych byłego więźnia. Karty te zawierają zbiór bardzo dokładnych informacji, m. in. dane personalne, szczegółowy wywiad obozowy z uwzględnieniem chorób przebytych w obozie i po opuszczeniu obozu oraz dolegliwości obecne, stan przedmiotowy i rozpoznanie. Karty te stanowią podstawę niniejszego opracowania.

Przedstawione wyniki dotyczą 100 byłych więźniów, którzy zgłosili się do badania po wysłaniu 151 wezwań w ciągu niespełna dwóch miesięcy począwszy od 1 lipca 1965 r. Stanowiło to 66,2% wezwanych.

Wiek badanych przedstawia się następująco:

Płeć:	Zbadano osób:	Zakres wieku:	Przeciętny wiek:
kobiety	42	38—78 lat	59,6 lat
mężczyźni	58	40—74 lat	57,6 lat

Czas pobytu w obozie obrazuje poniższe zestawienie:

Płeć:	do 1 roku	do 2 lat	do 3 lat	do 4 lat	przeszło 4 lata
kobiety	10	4	11	13	4
mężczyźni	13	12	18	7	8

Do okresu pobytu w obozie doliczono okres przebywania w więzieniu śledczym.

W badanej grupie kobiet i mężczyzn pracują zawodowo do chwili obecnej 44 osoby (umysłowo 23, fizycznie 21), natomiast 52 osoby otrzymują renty, z tego 38 osób renty inwalidzkie, a 14 osób renty starcze. Średnia wysokość renty wynosi 740 zł (od 450 do 1136 zł), w tym pierwszą grupę inwalidzką posiadają 2 osoby, drugą — 25 osób, trzecią — 3 osoby, rentę rodzinną 6 osób; jedna osoba pobiera rentę Opieki Społecznej; jedna osoba jest inwalidą wojennym.

Przebyte choroby obozowe są następujące (podano na podstawie wywiadu chorobowego):

Choroba:	Liczba przypadków:
„Durchfall"	50
czerwonka	3
dur wysypkowy	25
dur brzuszny	13
świerzb	8
ropowice skóry	32
urazy i złamania	34

Co się tyczy badań bieżących, rozpoznano następujące choroby (na podstawie szczegółowego badania fizykalnego oraz przeprowadzonych badań dodatkowych):

I. Choroby układu sercowo-naczyniowego:	kobiety	mężczyźni	razem
a) uszkodzenia mięśnia serca o różnej etiologii w okresie wyrównania i niewyrównania układu krążenia	13	15	28
b) miażdżyca, zwłaszcza mózgu i tętnicy głównej	6	15	21
c) stan po zawale mięśnia serca	1	4	5
d) przewlekły zespół serca płucnego	3	5	8
e) nadciśnienie tętnicze	20	21	41
f) choroby naczyń obwodowych	9	14	23
II. Choroby układu oddechowego:			
a) przewlekły nieżyt oskrzeli, rozedma płuc	13	15	28
b) gruźlica płuc (wszystkie postacie)	4	12	16
III. Choroby układu nerwowego:			
a) zespół poobozowy, psychonerwice, padaczka i inne	21	17	38
IV. Choroby układu pokarmowego:			
a) choroba wrzodowa, kamica wątrobowa i inne	13	12	25
V. Choroby narządu ruchu:			
a) reumatyczne	14	7	21
b) stany pourazowe z upośledzeniem czynnościowym	2	8	10
VI. Choroby gruczołów wydzielania wewnętrznego:			
a) nadczynność tarczycy, cukrzyca	4	4	8
VII. Choroby kobiece	8	—	8

W okresie minionych 20 lat w badanej grupie osób 130 razy zanotowano pobyt w leczeniu szpitalnym, 48 razy w leczeniu sanatoryjnym. W chwili obecnej 79 badanych wymaga stałej i systematycznej opieki lekarskiej. Dotyczy to zwłaszcza 15 byłych więźniów żyjących samotnie i znajdujących się w bardzo trudnych warunkach materialnych.

Pomimo upływu bardzo długiego czasu od chwili uwolnienia więźniów z hitlerowskich obozów koncentracyjnych dotychczas brak opracowań obejmujących całokształt zagadnień zdrowia ludzi, którzy przetrwali warunki życia obozowego. Opracowanie niniejsze, podjęte w 20 lat po wojnie, dotyczy więc wyselekcjonowanej grupy, gdyż byli więźniowie po powrocie do kraju wymierali masowo w pierwszych miesiącach i latach po uwolnieniu. Były to przypadki chorób nieodwracalnych. Stan zdrowia dużej części pozostałych przy życiu stopniowo zapewne poprawił się dzięki polepszaniu się warunków bytowych i objęciu powszechną opieką lekarską ogółu byłych więźniów obozów koncentracyjnych.

Wielu autorów, badających skutki życia obozowego, zajmowało się dotąd jedynie wybranymi zagadnieniami. Stanowisko takie podyktowane było m. in. względami metodycznymi w badaniu naukowym oraz dążeniem do pogłębienia treści badań. Z zakresu gruźlicy narządu oddechowego pracę ogłosił *Kłodziński* [1], z zagadnień psychiatrycznych już w roku 1961 *Leśniak, Mitarski, Orwid, Szymusik* i *Teutsch* [2] oraz *Kępiński* [3]. W roku 1964 ukazało się opracowanie *H. Szwarc* [4] dotyczące chorobowości byłych więźniów ze środowiska poznańskiego.

Nasze badania mają na celu: 1) ocenę aktualnego stanu zdrowia byłych więźniów, 2) ustalenie związku przyczynowego obecnego stanu zdrowia z pobytem w obozie i 3) udzielanie w ramach świadczeń służby zdrowia odpowiedniej pomocy lekarskiej badanym, przepisywanie leków, skierowania do leczenia szpitalnego, sanatoryjnego itp.

Badania prowadzone są przez specjalną poradnię dla członków ZBoWiD i zawsze przez tego samego lekarza, a nie przez lekarzy rejonowych, co ułatwia ocenę całości wyników.

Przedstawiając ten wstępny komunikat, należy podkreślić kilka następujących obserwacji:

Średni wiek badanych kobiet i mężczyzn jest w naszym materiale niemal identyczny jak w środowisku poznańskim, zwłaszcza jeśli się uwzględni roczną różnicę w czasie przeprowadzania obserwacji. Natomiast w istotny sposób różni się czasokres pobytu w obozach koncentracyjnych; jest on przeciętnie przeszło rok krótszy zarówno w wypadku kobiet, jak i mężczyzn ze środowiska krakowskiego.

Stwierdzono również znacznie mniejszą liczbę więźniów z długim pobytem w obozie; tylko 32 osoby były więzione dłużej niż przez 3 lata. W naszym materiale zwraca uwagę bardzo zły stan narządu krążenia badanych, zwłaszcza duży odsetek nadciśnienia, miażdżycy i uszkodzeń mięśnia serca. W świetle własnych wyników dotyczących zachowania się ciśnienia tętniczego krwi w zakładach pracy w Krakowie [5] stwierdzony u byłych więźniów odsetek nadciśnienia jest bardzo wysoki (przeszło dwukrotnie wyższy dla mężczyzn po 45. roku życia). Również stan narządu oddechowego wykazuje wybitne upośledzenie; aż u 16% zbadanych rozpoznano gruźlicę płuc; w tym znajduje się gruźlica jamista, naciekowa oraz stany po resekcji tkanki płucnej w przebiegu gruźlicy. Badania własne w kierunku gruźlicy płuc [6], przeprowadzone 15 lat po wyzwoleniu wśród byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka, wykazały 20% osób z aktywnym procesem gruźliczym spośród 389 zbadanych.

Wysoki jest odsetek chorób ośrodkowego układu nerwowego, wśród których sklasyfikowano między innymi zespół poobozowy, psychonerwicę, padaczkę i charakteropatię pourazową (27% badanych).

Przedstawione wyniki na razie nie upoważniają do przyjęcia ostatecznych wniosków dotyczących obecnego stanu zdrowia byłych więźniów. Konieczne jest zebranie większego materiału i jego porównanie z kontrolną grupą osób, odpowiednio dobraną pod względem wieku, płci i warunków życia.

Należało jednak podać w formie wstępnego komunikatu, że badania zdrowotności wśród byłych więźniów obozów hitlerowskich są prowadzone planowo i że zagadnienia zdrowia ofiar katowni niemieckich w 20 lat po zakończeniu wojny są nadal bardzo aktualne i żywe.

[1] *S. Kłodziński:* Wyniki badań byłych więźniów Oświęcimia w kierunku gruźlicy płuc, przeprowadzonych w 15 lat po wyzwoleniu. Przegl. Lek., 1961, nr 1a, str. 74.
[2] Zob. Przegl. Lek., 1961, nr 1a, str. 64.
[3] Zob. Przegl. Lek., 1964, nr 1, str. 7.
[4] *H. Szwarc:* Chorobowość byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych. Przegl. Lek., 1965, nr 1, str. 38.
[5] *J. Kutyba, M. Pawlicki:* Zachowanie się ciśnienia tętniczego krwi w zakładach pracy w Krakowie. Pol. Tyg. Lek, 1963, nr 50, str. 1874.
[6] *S. Kłodziński,* o. c.

„...znajomość prawdy Oświęcimia musi oznaczać raz na zawsze kres Oświęcimia. Gwarantem tego są miliony ludzi, których jednoczy niezłomna wola lepszego i sprawiedliwszego życia i którzy dlatego w swojej pracy codziennej robią wszystko, aby Oświęcim nigdy się nie powtórzył, aby nie powtórzyła się wojna, która przyniosła Oświęcim".

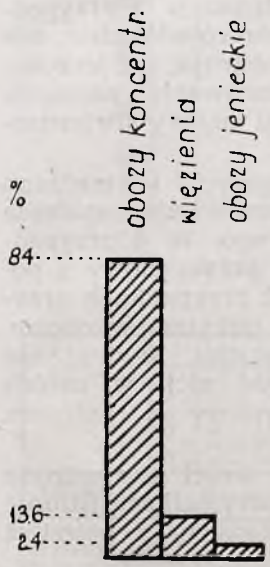
Prof. dr Jan Sehn (ze Wstępu do Wspomnień Rudolfa Hössa, wyd. 3, Warszawa 1965, str. 36—37).

JAN ZIELINA
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 97679

Cieszyn

Wyniki badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych

Przedstawione badania dotyczą byłych więźniów zamieszkałych na terenie powiatu cieszyńskiego. Do badań zgłosiło się 125 osób, w tym 98 mężczyzn i 27 kobiet. U wszystkich badanych przeprowadzono dokładny wywiad, badanie fizykalne, badanie radiologiczne klatki piersiowej, uwzględniono oB, obraz krwi i badanie moczu. Ponadto przeprowadzono w razie potrzeby inne badania dodatkowe, jak: oznaczenie poziomu cholesterolu we krwi, próby wątrobowe, poziom cukru we krwi oraz wykonano elektrokardiogram, badanie radiologiczne przewodu pokarmowego i badania specjalistyczne.



Ryc. 1. Liczba przebadanych według miejsc pozbawienia wolności

Wśród badanych 3 osoby przebywały w obozach jenieckich, 17 osób tylko w więzieniu, a reszta i w więzieniu i w obozach koncentracyjnych (ryc. 1). Podział według wieku badanych jest następujący:

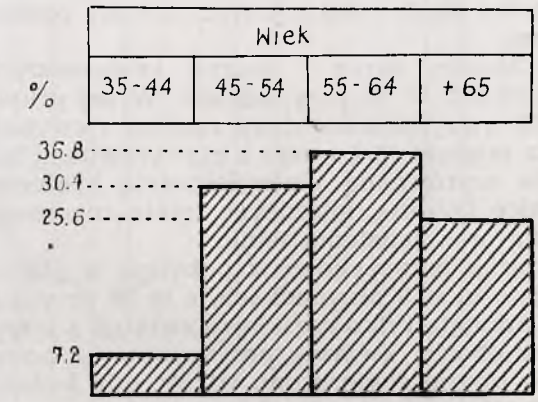
Rok urodzenia:	Liczba badanych:
1887—1899	32
1900—1910	46
1911—1920	38
1921—1926	9

Badanych podzielono również według czasu pobytu w więzieniu lub w obozie (ryc. 3).

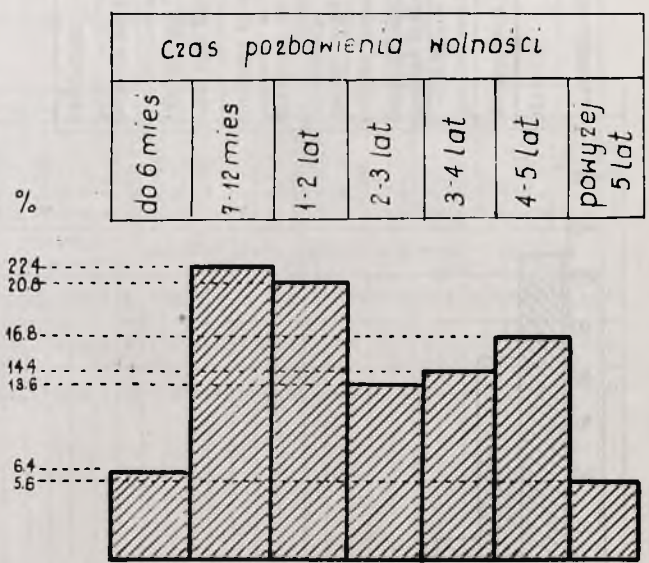
Czas uwięzienia:	Liczba badanych:
Od 1 miesiąca do 6 miesięcy	8
Od 7 miesięcy do 12 miesięcy	28
Od 1 roku 1 miesiąc do 2 lat	26
Od 2 lat 1 miesiąc do 3 lat	17
Od 3 lat 1 miesiąc do 4 lat	18
Od 4 lat 1 miesiąc do 5 lat	21
Przeszło 5 lat	7

Wśród badanych stwierdzono następujące choroby:

1. Nerwice i psychonerwice w 105 przypadkach. Rozpoznanie nerwicy i psychonerwicy ustalano przy wzmożonej pobudliwości, wzmo-



Ryc. 2. Liczba przebadanych według wieku w chwili badania



Ryc. 3. Liczba przebadanych według czasu pozbawienia wolności

żeniu odruchów, drżeniu palców, lękach i niepokojach, zaburzeniach snu, koszmarnych snach związanych z okupacją. Dla wszystkich chorych tej grupy przyjęto związek przyczynowy z pobytem w obozie, gdyż objawy wystąpiły zaraz po wyjściu badanych na wolność.

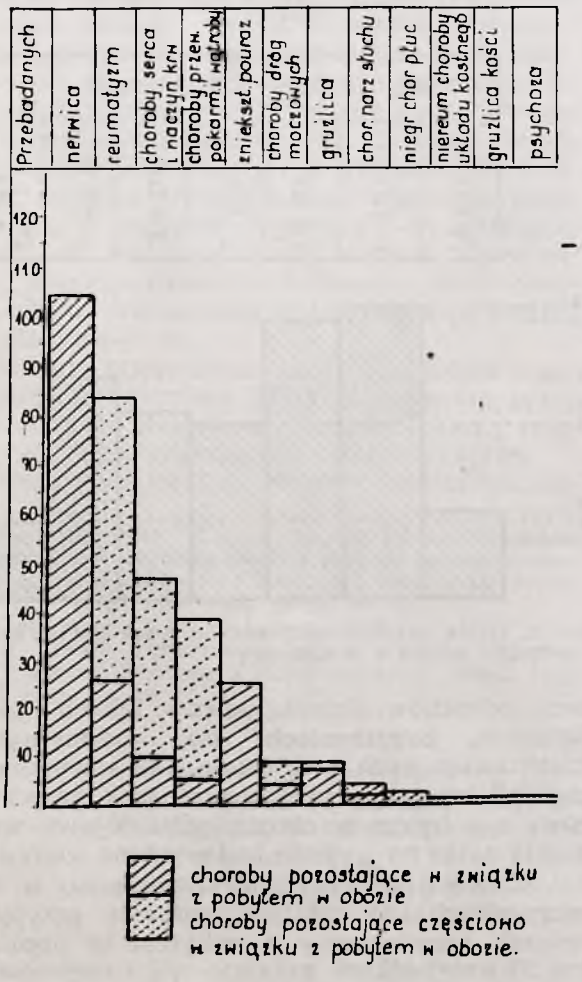
2. Chorobę reumatyczną stwierdzono w 84 przypadkach. W 27 przypadkach przyjęto związek przyczynowy z pobytem w obozie, a w 57 przypadkach przyjęto tylko częściowy związek przyczynowy z pobytem w obozie.

Związek z pobytem w obozie ustalono w przypadkach, w których choroba reumatyczna zaczęła się podczas pobytu w obozie bądź zaraz po wyjściu z obozu. Częściowy związek z pobytem w obozie określono wtedy, gdy ustalono, że badany w obozie przechodził przeziębienia, był narażony na działanie zimna i wilgoci, a choroba reumatyczna zaczęła się nie później niż 1 rok po wyjściu badanego z obozu.

Rozpoznanie choroby reumatycznej dotyczy przypadków, w których oprócz subiektywnych dolegliwości stwierdzano zmiany obiektywne w postaci bolesności przy ruchach, obrzęków, zniekształceń oraz przyspieszonego odczynu Biernackiego. W większości przypadków stwierdza się tu ciężką postać choroby reumatycznej.

3. Choroby serca i naczyń krwionośnych stwierdzono w 48 przypadkach. W tej grupie chorób uwzględniono stany zapalne i zwyrodnienia mięśnia sercowego z niewyrównaną lub ledwie wyrównaną niewydolnością krążenia, dusznicę bolesną, miażdżycę tętnic znacznego stopnia oraz zapalenia tętnic.

Związek przyczynowy z pobytem w obozie przyjęto tu w 9 przypadkach, a w 39 przypadkach przyjęto tylko częściowo związek z pobytem w obozie. Związek przyczynowy z pobytem w obozie stwierdzono wtedy, gdy badany przeszedł w obozie dur brzuszny lub wysypkowy bądź inną chorobę zakaźną, a dolegliwości ze strony narządu krążenia wystąpiły podczas pobytu w obozie lub wkrótce po opuszczeniu obozu.



Ryc. 4. Liczba chorób stwierdzonych u 125 przebadanych

Częściowy związek z pobytem w obozie dotyczy przypadków znacznego zwyrodnienia mięśnia sercowego, miażdżycy tętnic i dusznicy bolesnej u ludzi stosunkowo młodych, do 55 lat. Nie brano pod uwagę zmian miażdżycowych u ludzi starych.

4. Choroby przewodu pokarmowego stwierdzono u 39 badanych. Związek przyczynowy z pobytem w obozie przyjęto w 5 przypadkach, a częściowo związek taki przyjęto w 34 przypadkach, kierując się tymi samymi danymi, jak poprzednio.

5. Zniekształcenia i zmiany pourazowe stwierdzono w 26 przypadkach. Są to źle wygojone złamania kończyn, głuchota i ślepota pourazowa, pourazowe bóle głowy ze śladami obrażeń czaszki. Brano tylko pod uwagę urazy doznane w więzieniu lub obozie oraz przypadki, w których występuje upośledzenie sprawności ustroju.

6. Gruźlicę płuc stwierdzono w 8 przypadkach. Są to zmiany wytwórczo-włókniste, nie upośledzające sprawności ustroju, już leczone. W 7 przypadkach zachorowanie nastąpiło w obozie, a w 1 przypadku zmiany stwierdzono po opuszczeniu obozu.

7. Choroby dróg moczowych stwierdzono w 8 przypadkach. Są to przewlekłe zapalenia nerek i pęcherza moczowego. W 4 przypadkach stwierdzono związek przyczynowy z pobytem w obozie, a w tyluż przypadkach przyjęto częściowy związek z pobytem w obozie.

8. Choroby narządu słuchu stwierdzono w 4 przypadkach. Spośród nich w dwóch istnieje związek przyczynowy z pobytem w obozie.

9. Przewlekłe zapalenie kości stwierdzono w 2 przypadkach. W obu przypadkach istnieje częściowy związek przyczynowy z pobytem w obozie.

10. W 2 przypadkach stwierdzono przewlekły nieżyt dróg oddechowych, mający częściowy związek przyczynowy z pobytem w obozie.

11. W 1 przypadku stwierdzono gruźlicę kości o częściowym związku przyczynowym z pobytem w obozie.

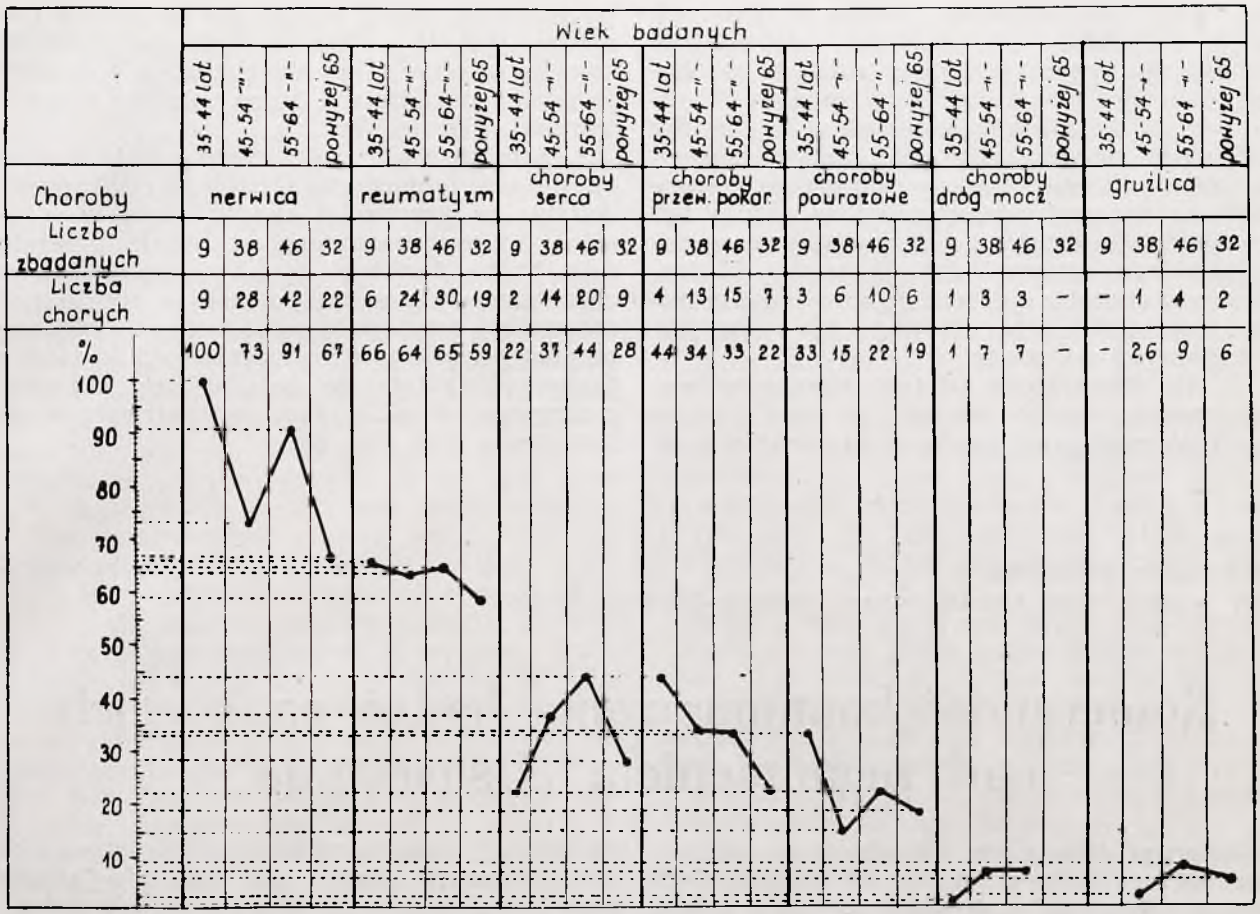
12. Również w 1 przypadku stwierdzono schizofrenię, której objawy wystąpiły po wyjściu z obozu; przyjęto częściowy związek przyczynowy z pobytem w obozie.

Przedstawione rozpoznania ilustruje ryc. 4.

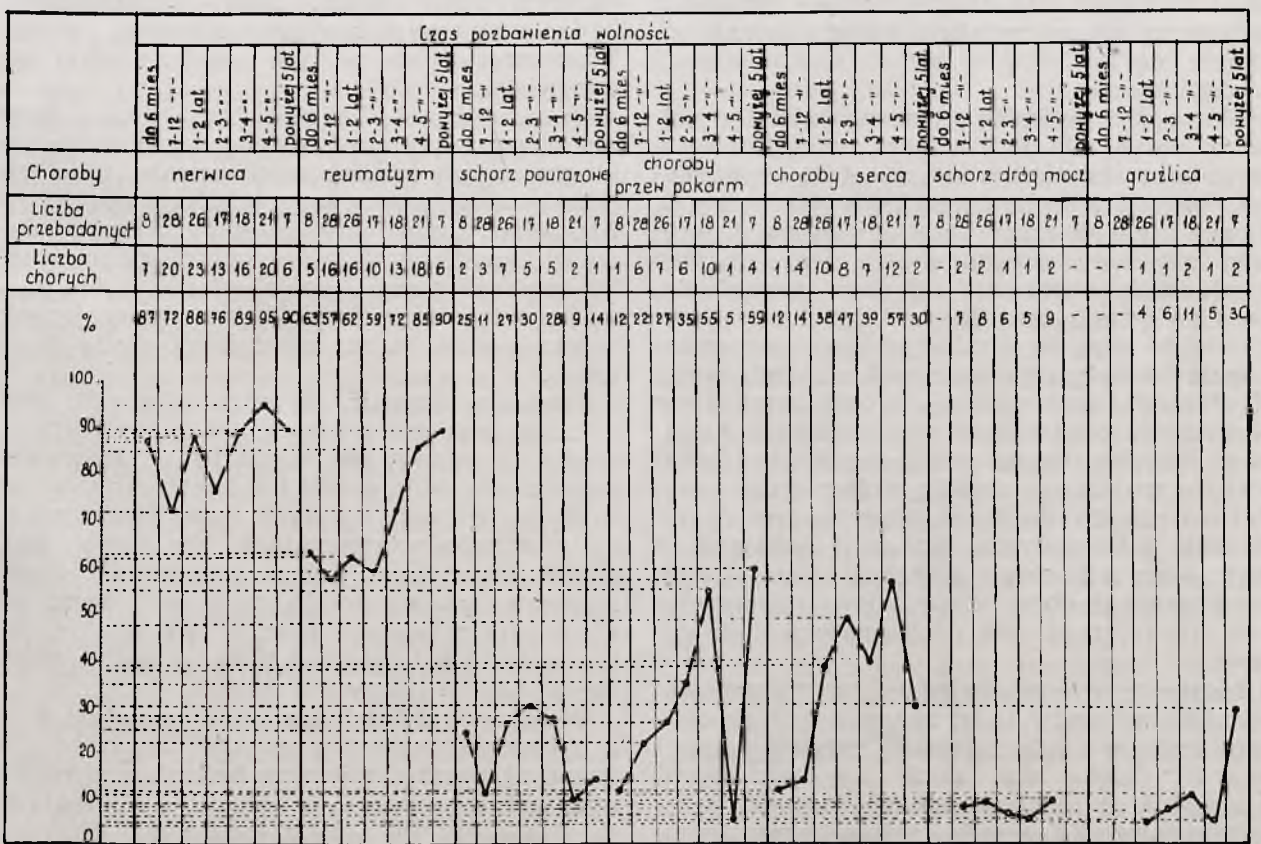
Na 125 zbadanych tylko w 3 przypadkach nie stwierdzono chorób pozostających w związku przyczynowym z pobytem w obozie. U większości badanych stwierdzono ponadto choroby nie związane z pobytem w obozie, których nie ujęto w tym zestawieniu. Chodzi tu o miażdżycę naczyń, dychawicę oskrzelową, rozedmę płuc itp.

Wnioski są następujące:

1. U większości badanych stwierdzono nerwicę i psychonerwicę w wyniku przeżyć



Ryc. 5. Choroby stwierdzone u 125 przebadanych procentowo według ich wieku



Ryc. 6. Choroby stwierdzone u 125 przebadanych procentowo według czasu pozbawienia ich wolności

w obozie lub więzieniu. Drugie miejsce zajmuje choroba reumatyczna, pozostająca w związku przyczynowym z pobytem w obozie. Trzecie i czwarte miejsce zajmują choroby serca i naczyń krwionośnych oraz choroby przewodu pokarmowego. Na piątym miejscu są zniekształcenia i zmiany pourazowe, spowodowane urazami odniesionymi w obozie lub więzieniu. Pozostałe choroby występują w poszczególnych przypadkach. Wszystkie stwierdzone tu choroby upośledzają sprawność ustroju i czynią chorych całkowicie lub częściowo niezdolnymi do pracy.

2. Nie stwierdzono istotnej różnicy w występowaniu chorób zależnie od wieku badanych. W większości liczba zachorowań w wieku starszym raczej maleje, co by można tłumaczyć tym, że większość więźniów starszych zginęła w obozie lub więzieniu, a pozostały jednostki najsilniejsze, które potrafiły przeżyć warunki obozowe (ryc. 5).

3. Zależnie od długości czasu pobytu w obozie lub więzieniu liczba chorób na ogół rośnie. Jedynie w przypadku chorób serca u więźniów, którzy przebywali w obozie przeszło 5 lat, liczba chorób maleje. Zwiększenie liczby chorób przy dłuższym pobycie w obozie jest zrozumiałe, zmniejszenie zaś liczby chorób serca przy pobycie w obozie przeszło 5 lat można tłumaczyć faktem, że najsilniejsze jednostki o zdrowym układzie krążenia przetrwały okres uwięzienia (zob. ryc. 6).

STANISŁAW KŁODZIŃSKI Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Konieczność kontynuowania badań naukowych nad zagadnieniem „Oświęcimia"

W ciągu dwudziestu lat pamięć o obozach koncentracyjnych nie tylko nie zbladła, lecz słowo „Oświęcim" stało się symbolem z jednej strony dotychczas w historii ludzkości nie spotykanej skrajnie nieludzkiej postawy, zmierzającej do fizycznego zniszczenia przeciwnika ideologicznego, a z drugiej zaś — symbolem bohaterstwa i męczeństwa. Natura ludzka odsłoniła się tu jakby w swych ekstremalnych wychyleniach.

Słowo „Oświęcim" nie oznacza już tylko jednego obozu, ale w ogólnym, międzynarodowym odczuciu ujmuje w sobie całą problematykę wszystkich obozów zagłady. Nie tylko ci, którzy przeżyli czasy ostatniej wojny, interesują się tymi zagadnieniami, lecz również u młodzieży obserwuje się chęć zrozumienia, jak Oświęcim był możliwy. Oświęcim przyczynił się do tego, że w młodym pokoleniu mniej popularne stały się oparte na fanatyzmie walki ideologiczne i narodowe, a wokół perspektyw wojennych zawiał dym oświęcimskich kominów. Wszelka popularyzacja romantyki i bohaterstwa wojennego zbladła wobec grozy zbrodni wojennych. Pragnęlibyśmy, by rozwój publikacji poświęconych bitwom i bohaterskim wyczynom militarnym z okresu ostatniej wojny ustępował obecnie rozwojowi piśmiennictwa zajmującego się problematyką ludobójstwa.

Można by wtedy powiedzieć, że męczeństwo i śmierć milionów ludzi zamęczonych w obozach zagłady o tyle nie poszły całkiem na marne, że dzięki nim może się wytworzyć u wszystkich ludzi na świecie postawa wzajemnej tolerancji, a jednocześnie i krytycyzmu wobec skrajnych ideologicznych systemów, tak że pokojowe współistnienie ludzi należących do różnych grup narodowych, religijnych czy ideologicznych stanie się wreszcie realne i trwałe. Z tego punktu widzenia nie należy Oświęcimia uważać tylko za cmentarz i miejsce kultu ofiar ideologii hitlerowskiej, lecz jako wielkie ostrzeżenie przed wojną i ideologicznym zaślepieniem. Sens kontynuowania badań naukowych nad zagadnieniami obozów koncentracyjnych w tym aspekcie staje się oczywisty.

Dotychczasowe badania były raczej fragmentaryczne. Ograniczały się do zbierania faktografii, prób analizy mechanizmów ideologii hitlerowskiej, poznania psychologii oprawców i ich ofiar. Umożliwiły one między innymi nowe spojrzenie na niektóre zagadnienia medyczne, psychologiczne i socjologiczne, które zrodzić się mogły w warunkach wykraczających znacznie poza zakres normalnego życia ludzkiego.

Trzeba podkreślić, że mimo licznych prac i badań, zarówno polskich, jak i światowych, nauka nie opanowała jeszcze i nie opracowała zagadnienia hitlerowskich obozów koncentracyjnych, więzień i innych form dyskryminacji w sposób wystarczający. Nie potrafi ona odpowiedzieć jasno, jak do powstania obozów koncentracyjnych doszło, poza ogólnikami, co się w nich właściwie stało, a tym samym, jakie wnioski należałoby z tych faktów wysnuć, by się więcej obozy nie powtórzyły.

W różnych dziedzinach nauki pozostaje wiele do opracowania. Na przykład w medycynie fragmentaryczne są jeszcze badania nad ujemnym wpływem pobytu w obozach i więzieniach w czasie drugiej wojny światowej. Również poglądy na etykę lekarską, szczególnie na eksperyment lekarski, uległy zmianie. Zagadnie-

nia te i wiele innych, które się odsłoniły pod wpływem badań naukowych nad problematyką oświęcimską, wymagają dalszych badań i gruntownej analizy. Właściwie do tej pory nie są jeszcze zbadane dalsze skutki społeczne tej dyskryminacji, widoczne w wycinkowych sondażach u dzieci byłych więźniów, w małżeństwach, w życiu społecznym. Domaga się zbadania z punktu widzenia socjologii wpływ społeczności byłych więźniów na ich otoczenie. W tym więc kierunku skierowały swoje wysiłki polskie placówki naukowe, np. kliniki psychiatryczne akademii medycznych w Krakowie i w Poznaniu, poszczególni badacze z Łodzi, Warszawy i Śląska. O dorobku tym orientują specjalne zeszyty „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", wydawane od 5 lat corocznie w rocznicę wyzwolenia obozu oświęcimskiego.

Nauki prawnicze stanęły wobec konieczności rewizji dotychczasowych norm prawnych jako całkowicie niedostosowanych do tego, co się działo w okresie zagłady. Dotychczas brak jest podsumowania wyników dokonanych już badań, co by pozwoliło na ustalenie pewnych międzynarodowych norm prawnych, zabezpieczających prawa człowieka i nakładających sankcje na nieludzkie postępowanie. Sam fakt, że jeszcze dziś mogą się bezpiecznie ukrywać zbrodniarze wojenni i że dyskutuje się sprawę przedawnienia zbrodni wojennych, przemawia za tym, iż normy prawne nie zostały dostosowane do zmian wywołanych drugą wojną światową. Dodać trzeba, że zarówno w kraju, jak i za granicą w naukowym piśmiennictwie prawniczym niewiele miejsca na to poświęcono, a temat ten traktowany jest na ogół ciągle jeszcze publicystycznie.

Wydaje się, że po dwudziestu latach należałoby problematyką naukową obozów zagłady zająć się bardziej systematycznie. Chodziłoby między innymi o koordynację badań. W tym celu należałoby stworzyć centralny ośrodek naukowy, np. z siedzibą w Państwowym Muzeum w Oświęcimiu, który by gromadził materiał faktograficzny, dotychczas jeszcze skąpy, a także międzynarodową bibliografię istniejących już opracowań i koordynował dalsze badania, jak również proponował nowe badania i wysuwał nowe zagadnienia. Ośrodek ten musiałby mieć zapewnioną współpracę odpowiednich reprezentantów nauki z różnych dziedzin, a więc prawników, socjologów, psychologów, lekarzy, ekonomistów, historyków, przedstawicieli organizacji społecznych, jak Czerwony Krzyż, Liga Ochrony Praw Człowieka itp. Proponowany ośrodek oczywiście nie zajmowałby się tylko zagadnieniami obozu w Oświęcimiu, ale wszystkich obozów koncentracyjnych, więzień i w ogóle zagadnieniem zbrodni wojennych. Ośrodek ten miałby charakter międzynarodowy. Wydaje się, że szczególnie należałoby wciągnąć do współpracy naukowców niemieckich, gdyż przypuszczalnie właśnie oni lepiej by potrafili naświetlić niektóre zagadnienia, albowiem najłatwiej mogą wniknąć w odchylenia i mechanizmy psychiki swojego narodu, uwidocznione w drugiej wojnie światowej. Do badań należałoby pozyskać jak najwięcej uczonych z instytutów naukowych, uczelni wyższych i zachęcić też do współpracy młodych adeptów nauki.

Tematyka obozowa przedstawia tyle zagadnień, że mogłaby stanowić doskonały materiał do wielu prac magisterskich i doktorskich w różnych dziedzinach nauki. W minimalnym stopniu przykładem tego są badania prowadzone w ośrodku krakowskim, w którym młodzi naukowcy, nie byli więźniowie, opublikowali 6 prac doktorskich na tematy związane z Oświęcimiem.

Bardzo ważnym zagadnieniem jest zbieranie materiału faktograficznego o charakterze wspomnień, ogólnych uwag i refleksji od byłych więźniów różnych obozów. Jest to sprawa o tyle pilna, że ludzi tych jest coraz mniej i wkrótce nie będzie już świadków tych czasów.

Rozwój tych poczynań byłby inspirowany i koordynowany przez proponowany ośrodek, który by również skupiał naukowców ze wszystkich istniejących organizacji byłych więźniów i z placówek naukowych zajmujących się problematyką poszczególnych obozów koncentracyjnych, jak Oświęcim, Majdanek, Ravensbrück, Mauthausen itd.

Wskazane byłoby ufundowanie stypendiów na badania naukowe i wspomnienia obozowe, utworzenie wspólnego międzynarodowego wydawnictwa w formie periodyku lub przynajmniej informacyjnego biuletynu obok doryw-czych publikacji różnojęzycznych oraz organizowanie międzynarodowych konferencji poświęconych poszczególnym zakresom naukowym.

Należałoby stworzyć międzynarodową kartotekę z nazwiskami i adresami żyjących byłych więźniów obozów koncentracyjnych, tak opracowaną, by można z danych w niej zawartych uzyskać wiadomości odnoszące się do aktualnych zainteresowań byłego więźnia i jego przejść obozowych. Należałoby też ułatwiać kontakty między więźniami różnych narodowości celem wymiany poglądów na opracowywane zagadnienia. Zrozumiałe jest, że ze względów technicznych opracowania historii poszczególnych obozów koncentracyjnych będą łatwiejsze dla badaczy mieszkających w kraju, w którym obóz się znajdował lub też przynależących do grupy narodowej najliczniej w danym obozie reprezentowanej.

Zagadnienia związane z tematyką obozową są bardzo rozległe i wciąż nowe wyłaniają się w toku pracy badawczej. Dla przykładu warto wspomnieć o kilku:

— zagadnienia historyczne: opracowania samych obozów, od strony załogi jak i ofiar, celów ekonomicznych tych obozów, metod zagłady itp., historia ruchu oporu w poszczególnych obozach,

— zagadnienia socjologiczne, jak znaczenie więzi społecznej dla utrzymania się przy życiu, tworzenie się różnych małych grup w obozie, analiza „postawy" więźnia i esesmana

i ich wzajemne przenikania, analiza postaw ideologicznych, zagadnienie autorytetu więźnia w obozie, ideologiczne więzi społeczne byłych więźniów, małżeństwa obozowe itp.,

— zagadnienia psychologiczne, jak psychologiczne metody zagłady, reakcje więźniów, analiza psychologiczna „muzułmaństwa", postawa aktywna i bierna więźnia, znaczenie psychologicznego oddziaływania więźniów na siebie, masowe reakcje psychologiczne, psychologia esesmanów, następstwa psychiczne obozu itp.,

— zagadnienia lekarskie, jak epidemie obozowe, nowe jednostki chorobowe w obozie, wyżywienie i warunki sanitarne, eksperymenty pseudonaukowe, znaczenie postawy psychicznej dla ogólnej odporności organizmu, leczenie w obozach, zagadnienia seksualne, następstwa somatyczne obozu itp.,

— zagadnienia etyczne, jak etyka esesmanów, modele etyczne u więźniów, zmiany postaw etycznych u byłych więźniów, konflikty moralne, etyka lekarska itp.,

— zagadnienia prawne, jak „kodeks prawny" u więźniów, pojęcia prawne Niemiec hitlerowskich w odniesieniu do więźniów w obozach, przemiana pojęć prawnych na skutek doświadczeń ostatniej wojny itp.,

— zagadnienia ekonomiczne, jak eksploatacja gospodarcza siły ludzkiej i nawet zwłok ludzkich dla wielkich koncernów i przemysłu zbrojeniowego, wykorzystanie majątku więźniów, koszty utrzymania obozów itp.,

— zagadnienia językoznawcze, na przykład ogólne, jak kształtowanie się „języka obozowego", sprawa komunikatywności werbalnej, jak porozumiewanie się więźniów różnych grup językowych, kwestie leksykologiczne, jak charakterystyczne zmiany i przesunięcia znaczeniowe niektórych wyrazów itp.,

— zagadnienia teologiczne, jak kwestia sumienia w obozie, wiary w przeznaczenie, znaczenie wiary religijnej dla przetrwania obozu, problem martyrologii obozowej, zmiana postaw religijnych pod wpływem obozu itp.

Jak zaznaczono, tematyka jest bardzo rozległa. Człowiek na podstawie — *sit venia verbo* — studiów „oświęcimskich" przedstawia się jak gdyby w nowym świetle i dlatego choćby kontynuowanie rozpoczętych badań i ich większa koordynacja wydają się bardzo potrzebne.

ANTONI KĘPIŃSKI Kraków

Koszmar

(Z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie
Kierownik: Prof. dr *K. Spett*)

Rosnąca z każdym rokiem ilość wspomnień, opracowań dokumentarnych i naukowych pozwala coraz lepiej wczuć się w atmosferę obozów koncentracyjnych. Choć każdy, kto sam „tego" nie przeżył, czuje się po trosze jak pani *Gudrun* ze wspomnień *Gawalewicza*[1], pytająca o nocne lampki przy łóżkach w obozie. A nawet ci, którzy obóz przeżyli, dzięki „dobrotliwości" ludzkiej pamięci nie dysponują już świeżym obrazem życia obozowego (zdarza się to tylko w ich snach), lecz jedynie słabym jego odbiciem. Poza tym nie znajdują oni sposobu przekazywania swych przeżyć, gdyż nie mieszczą się one w zasięgu ludzkiego języka. Pomimo najbardziej wiernego i sugestywnego opisu życia obozowego i własnych cierpień nie można wyjść poza strukturę słowną dla wszystkich zrozumiałą, nie przystosowaną do tego typu przeżyć, toteż najistotniejsze momenty świata obozowego pozostają wyłączną własnością danej osoby, niemożliwą do przekazania innym.

Obóz koncentracyjny określa się najczęściej jednym słowem: koszmar. Czym jest koszmar? Podstawowe znaczenie tego słowa jest następujące: „przygnębiający, przerażający sen, zmora; coś, co ma nastrój takiego snu"[2]. W czasie snu występują w dość regularnych odstępach czasu, mniej więcej co jedną do półtorej godziny okresy charakteryzujące się elektroencefalograficznie szybkimi niskonapięciowymi falami i szybkimi skojarzonymi ruchami gałek ocznych. Gdy się badanego w tym okresie zbudzi, łatwo podać on może treść marzenia sennego, co się na ogół nie zdarza, gdy zbudzony jest w innym okresie snu, treść marzenia sennego bardzo szybko bowiem ulega zapomnieniu. Przyjmuje się więc, że charakterystyczna aktywność bioelektryczna mózgu i szybkie ruchy oczu są zewnętrznym odpowiednikiem marzenia sennego[3]. Ruchy gałek ocznych, jak się przypuszcza, są wywołane śledzeniem przez śniącego obrazów marzenia sennego. Obrazy te bowiem mają przede wszystkim, choć nie wyłącznie, charakter wzrokowy. Pewne fakty zdają się przemawiać za tym, że marzenia senne występowałyby rytmicznie przez całą dobę, gdyby nie działanie bodźców świata zewnętrznego, zmuszających do aktywności i czuwania i że siła przeżyć

[1] *A. Gawalewicz:* Numer wraca do nazwiska. II: Prolog ludzkiego życia. Przegl. Lek., 1965, nr 1, str. 134.

[2] Słownik języka polskiego. PWN, Warszawa 1961, pod hasłem.

[3] *E. Aserinsky, N. Kleitman:* A notility cycle in sleeping infants as manifested by ocular and gross bodily activity. J. Appl. Physiol., 1955, str. 8—11.

doznawanych w czasie tych marzeń może być większa niż na jawie [4].

Zawsze człowieka intrygowała treść i znaczenie marzenia sennego. Szukano w nim wskazówek co do przyszłości, z jego pomocą próbowano dojść do najgłębiej ukrytych kompleksów ludzkich i do zasadniczej struktury osobowości (psychoanaliza), posługiwano się nim dla wzbogacenia inwencji twórczej, dla lepszego zrozumienia przeżyć psychotycznych itd. Niestety, podobnie jak z pierwszych lat życia, tak i z marzeń sennych niewiele utrwala się w pamięci, co jednak nie przesądza o ich znaczeniu dla życia na jawie. Może nawet ich znaczenie jest większe niż się powszechnie przypuszcza i w miarę pogłębienia naszych wiadomości psychologia marzenia sennego stanie się równie ważna jak psychologia wczesnego dzieciństwa. Pamięć bowiem, jak wiadomo, nie jest dobrym wskaźnikiem wartości; to, co zostało zapomniane, jest dla dalszego rozwoju człowieka nieraz znacznie ważniejsze niż to, co utkwiło w pamięci.

Wśród nielicznych marzeń sennych, które utrwaliły się w pamięci, znajdują się i takie, które określa się jako koszmarne. Gdyby można zapamiętać wszystkie sny, liczba koszmarów byłaby znacznie większa. Nie wiadomo, z czego formuje się treść marzenia sennego, czy tylko z przekształconych przeżyć na jawie, czy też, zdaniem *Junga*, jest w pewnym stopniu autonomiczna, gdyż niektóre motywy snów powtarzają się niezależnie od osobniczej historii śniącego, w różnych kręgach kulturalnych i epokach (archetypy).

Koszmar jest przede wszystkim snem niesamowitym; sytuacje, postacie, cała sceneria odbiegają w nim tak dalece od tego, co się zwykle przeżywa na jawie zarówno w rzeczywistości, jak w marzeniach, a także od innych marzeń sennych, że już sam fakt tak dalece posuniętej „inności" budzi grozę. Łączy się z tym uczucie bezsilności, towarzyszy ono każdemu marzeniu sennemu, gdyż zasadniczą cechą samego snu jest bezsilność, która w śnie koszmarnym jednak wzmaga się wskutek zbyt dalekiego oderwania się od zwyczajności. Gdy wszystko jest inne niż zwyczajnie, traci się orientację i możność tworzenia planów działania, jest się przez niezwykłą sytuację obezwładnionym. W czasie snu koszmarnego walczy się o własne życie, jego bowiem zasadniczą cechą jest totalne zagrożenie.

Napięcie lękowe snu koszmarnego jest spotęgowane wspomnianym już poczuciem bezsilności. Wszystko dzieje się automatycznie, niezależnie od śniącego, akcja rozwija się jak w makabrycznym filmie, jest się w niej zaangażowanym, ale nie można na jej przebieg wpłynąć. W momentach, gdy sytuacja dojdzie do zenitu, próbuje się wyrwać z koszmaru, przychodzi zbawcza myśl, że to tylko sen, człowiek budzi się zmaltretowany, z bijącym sercem, zlany potem, ale z uczuciem ulgi, że rzeczywistość jest inna.

Zasadnicze cechy koszmaru można by więc ująć w cztery punkty: niesamowitości, bezsilności, totalnego zagrożenia i automatyzmu. Te cztery cechy wysuwają się też na plan pierwszy w przeżyciach obozowych.

Niesamowitość obozu koncentracyjnego odczuwano szczególnie silnie w pierwszym z nim zetknięciu. U większości więźniów występowała „krótkotrwała reakcja psychiczna, objawiająca się przygnębieniem, uczuciem lęku i grozy, poczuciem bezradności, zagubienia i osamotnienia, brakiem apetytu i bezsennością" [5]. Podobnie jak w czasie snu koszmarnego, występowały silne objawy wegetatywne, „takie jak częstomocz, biegunka, drżenie ciała, wzmożone pocenie się, niekiedy nudności, a nawet wymioty" [6]. Podobnie też, jak przed koszmarem snu broni się czasem śniący myślą, że jest to tylko sen, tak przed koszmarem obozowym obroną było poczucie derealizacji, nierzeczywistości tego, co otacza. Zdaniem *Teutscha*, występowało ono rzadko (w 5% zbadanych przez niego byłych więźniów) [7], zdaniem innych (*Cohen*) miało być dość typowe.

Nie trzeba chyba udowadniać, że rzeczywistość obozowa tak dalece odbiegała od rzeczywistości życia na wolności, iż zetknięcie się z nią dla każdego musiało być silnym wstrząsem. Oczywiście ci, którzy przeszli już przez gestapowskie więzienia, byli w pewnym stopniu do nowej rzeczywistości przyzwyczajeni i na ogół pierwsza reakcja była u nich słabsza. Nawet stykając się z życiem obozowym pośrednio, tj. zwiedzając poobozowe muzea, przeglądając zdjęcia, czytając wspomnienia itp., reaguje się w pewnym stopniu podobnie, oczywiście bez porównania słabiej, tj. uczuciem oszołomienia, lęku i przygnębienia lub wrażeniem nierealności.

Sytuacja niezwykła budzi zawsze uczucie lęku, który można określić jako „dezyntegracyjny", gdyż wywołany jest zburzeniem istniejącej struktury interakcji, jaka wytworzyła się w ciągu życia między jednostką a jej środowiskiem. Struktura ta umożliwia przewidywanie w pewnym stopniu tego, co nastąpi i planowanie swojej aktywności. Wprawdzie w ciągu życia stale styka się z czymś nowym i niezwykłym, dzięki czemu struktury interakcji z otoczeniem wciąż zostają burzone i budowane na nowo, to jednak nigdy na ogół „nowe" nie jest całkowicie nowe, wiele jest w nim elementów znanych tak, że w niezwykłej nawet sytuacji nie staje się całkowicie bezradnym. Istnieje pewna granica tolerancji na niezwykłość, tj. na to, do czego nie jest się przyzwyczajonym, poza którą występuje reakcja paniczna: strachu i bezradności. Przy tym jedno wzmaga drugie, uczucie paniki paraliżuje

[3] *I. Oswald:* Sleeping and waking. Physiology and psychology. Elsevier Publishing Company. Amsterdam, New York 1962.

[5] *A. Teutsch:* Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stressu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1964, nr 1, str. 13.

[6] Tamże, 1. c.

[7] Tamże, str. 17.

celową aktywność, a niemożność działania wzmaga lęk. Trudno w tym miejscu wdawać się w dyskusję, od czego zależy tolerancja dezyntegracyjna (tolerancja na niezwykłość). Na pewno odgrywa tu rolę wrodzona dyspozycja, nabyte w ciągu życia obycie się z sytuacjami niezwykłymi, zwiększające plastyczność reakcji i zdolność adaptacji, ogólna sprawność układu nerwowego itd. U osób z organicznymi zmianami w ośrodkowym układzie nerwowym tolerancja ta wyraźnie maleje; nowa sytuacja może wywołać u nich katastroficzną reakcję *Goldsteina* [8]. W związku też ze starczymi zmianami w układzie nerwowym tolerancja dezyntegracyjna maleje w podeszłym wieku, stąd przysłowie, że „starego dębu się nie przesadza".

„Ceremoniał powitalny" [9], jakim witano „zuganga" w obozie, zwiększał uczucie oszołomienia i własnej bezsilności. Jeśli więźniowi nie udało się wyjść z tego stanu, zmieniał się w bezwolny automat i kończył jako „muzułman". Lekarze, którzy przeżyli obóz, podkreślają, że znikały tam nerwice i choroby psychosomatyczne. Można by jako hipotetyczne wyjaśnienie przyjąć, iż zniszczenie struktury przedobozowego sposobu życia było w tych wypadkach korzystne, gdyż struktura ta była patogenna. Poza tym moment biologicznego zagrożenia mógł tu działać mobilizująco, znosząc nerwicową stagnację i rozchwianie.

Obozy koncentracyjne były obozami zagłady, stanowiły ważną część planu zniszczenia tego, co zagrażało „rasie wspaniałych Niemców". Totalne zagrożenie stanowiło więc zasadniczą cechę życia obozowego i dotychczas pozostaje niewyjaśnioną zagadką, jak można było przeżyć obóz koncentracyjny. „Dieta zestawiona dla szczurów wedle schematu żywienia w obozach — jak pisze *Kowalczykowa* [10]— nawet bez ograniczeń ilościowych wywołuje u zwierząt doświadczalnych typowy zespół choroby głodowej już po okresie trzech miesięcy". A głód był przecież tylko jednym z cierpień obozowych i to nie zawsze na pierwszym miejscu podawanym. Analiza przeżyć obozowych, jak się zdaje, zmusza do rewizji niektórych poglądów panujących do niedawna w medycynie, w których zbytni nacisk kładło się na momenty natury fizjologicznej i biochemicznej przy pewnym lekceważeniu czynników natury psychologicznej. Zdeptanie godności człowieka, utrata najbliższych, brak wsparcia moralnego ze strony towarzyszy niedoli były często silniej odczuwane niż cierpienia natury fizycznej. Większość byłych więźniów i autorów zajmujących się tym zagadnieniem jest zgodna co do tego, że o przetrwaniu decydowała chęć przeżycia, wiara, że obóz nie będzie trwać wiecznie, możność oparcia się o kolegów i przyjaciół. Człowiek, który się załamał, zwykle ginął.

W sytuacji zagrożenia życia szczególnie ostro występuje pierwsze prawo biologiczne: walki o zachowanie życia. W warunkach obozowych przybierało ono drastyczne nieraz formy. Jak pisze *Sterkowicz*, „łatwo być szlachetnym w warunkach sprzyjających, trudniej jednak *in articulo mortis*" [11]. *Brzezicki* we wspomnieniach z Sachsenhausen o sobie i swych kolegach-profesorach mówi: „Po miesiącu znikała powoli politura każdego z nas" [12]. Wydaje się oczywiste, że w życiu obozowym nie można było stosować norm postępowania obowiązujących w życiu normalnym, stąd trudność oceny moralnej, zwłaszcza dla tych, którzy sami obozu nie przeżyli. Niemniej jednak — przy całej brutalizacji i biologizacji życia obozowego, wynikającej z faktu, że jedzenie i śmierć było tym jednym, co się liczyło, a wszystko inne zostało zdarte — by przetrwać obóz, trzeba było się w pewnym stopniu wyrwać spod przemożnego prawa zachowania życia za wszelką cenę. Ci, którzy temu prawu całkowicie ulegli, tracili człowieczeństwo, a z nim często szanse przetrwania. Do cech ludzkich istotnych dla przeżycia obozu należała bowiem zdolność wewnętrznego przeciwstawienia się temu, co się wokół działo, przez stwarzanie innego świata, czy to w marzeniach o przyszłości, czy we wspomnieniach o przeszłości, czy też — bardziej realnie — przez przyjaźń, pomoc współwięźniowi, próby organizowania życia innego niż obozowe itd. Był to jedyny sposób wyrwania się spod automatyzmu życia obozowego. Prawa biologiczne w maksymalnym swym nasileniu zamieniają człowieka w automat, przestaje on sobą kierować, a rządzi nim głód, ból, lęk przed śmiercią w wypadku pierwszego prawa: zachowania życia, a popęd seksualny w wypadku drugiego: zachowania gatunku. W życiu obozowym drugie prawo wobec konieczności obrony pierwszego schodziło na daleki plan. Paradoks polegał na tym, że walka o zachowanie życia jako normalna reakcja na panującą w obozie tendencję do jego zagłady zwiększała poczucie, że się jest bezsilnym wobec potrzeb biologicznych automatem, a właśnie automatyzm był jedną z cech koszmaru obozowego, który przyczyniał się do unicestwienia jednostki w obozie. W ten sposób prawo zachowania życia działało jakby samo przeciw sobie. Człowiek, który nie potrafił mu się przeciwstawić, zwalczyć swego głodu, panicznego lęku, znieść bólu, myśleć choćby przez chwilę o czymś innym niż to, co go bezpośrednio otaczało i boleśnie mu doskwierało, sam siebie skazywał na zagładę. Stawał się bezwolnym organizmem automatycznie walczącym o zachowanie życia, szybko tracił siły i zmieniał się w „muzułmana".

Makabryczna sceneria obozowa, poniżanie

[8] *K. Goldstein:* The organism. American Book, New York 1939.

[9] *E. A. Cohen:* Reakcja początkowa na osadzenie w obozie koncentracyjnym. Przegl. Lek., 1965, nr 1, str. 28—31.

[10] *J. Kowalczykowa:* Choroba głodowa w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1961, nr 1a, str. 58.

[11] *S. Sterkowicz:* Obozowe sprawy życia i śmierci w retrospekcji lekarza. Przegl. Lek., 1963, nr 1a, str. 98.

[12] *E. Brzezicki:* Socjopsychopatia a „Kazet-Lager" Sachsenhausen. Przegl. Lek., 1963, nr 1a, str. 81.

od pierwszego momentu godności ludzkiej, tortury fizyczne i moralne, głód, ból, lęk przed śmiercią i trudna do opisania suma cierpień obozowych sprawiały, że każdy w sytuacji obozowej czuł się całkowicie bezsilny, przynajmniej z początku, zanim zobojętniał i nie wytworzył sobie jakiegoś obozowego *modus vivendi*. Zresztą nastawienie odgórne w stosunku do więźniów było takie, by traktować ich jako automaty, których siłę roboczą należy wyzyskać aż do całkowitego wyniszczenia. Więzień, poddany działaniu niesłychanej zewnętrznej presji, a jednocześnie oszołomiony niesamowitością otaczającego go świata obozowego, musiał przyjąć narzucony mu sposób widzenia siebie, stawał się bezwolnym automatem, popychanym, bitym, maltretowanym, ślepo posłusznym rozkazowi, marzącym jedynie o zaspokojeniu swych podstawowych potrzeb. Jeśli nie potrafił przeciwstawić się tej zewnętrznej presji, inaczej popatrzeć na siebie niż czynili to jego oprawcy, wkrótce spełniał ich plan: stawał się „muzułmanem" i umierał w upodleniu. Upodlenie śmierci było bowiem jedną z cech życia obozowego. Cechą każdej kultury ludzkiej jest szacunek wobec śmierci i kult zmarłych, w którym wyraża się ludzka tęsknota do nieśmiertelności. Więzień obozu koncentracyjnego, przestając być oficjalnie człowiekiem, musiał być też pozbawiony tego aspektu człowieczeństwa.

Zagadnienie automatyzmu wiąże się z problemem władzy i struktury, którą narzuca ona swoim podwładnym. Ideałem organizacji z punktu widzenia władzy jest stworzenie z podległych jej członków ślepo posłusznych wykonawców. W tym celu należy ich przepoić ideą, tj. strukturą, która ma być w czyn wprowadzana. Gdy ten manewr zaszczepienia ideologicznego się uda, na zasadzie reakcji lawinowej rozwija się automatyzm aparatu władzy. Wszystko, co jest danej strukturze przeciwstawne, musi być zniszczone. Jedyną oceną etyczną staje się ślepe wykonanie rozkazu. Obraz świata ulega uproszczeniu: dobre jest tylko to, co zgadza się ze strukturą narzuconą przez władzę, a złe, co się jej sprzeciwia. Niszczenie „złego", dając upust tkwiącym w każdym człowieku tendencjom agresywnym, przybiera charakter lawinowy. Poza wyznawaną strukturą świata widzi się tylko zło, które musi być zniszczone i jego niszczenie jest cnotą.

Mimo że faktycznie zagrożenie życia może nie istnieć przy przyjęciu odpowiedniej konstrukcji ideologicznej życie redukuje się do pierwszego prawa biologicznego: „zwyciężę lub zostanę zwyciężony". Ta pseudobiologizacja („pseudo", bo powstała z fałszywej koncepcji otaczającego świata) prowadzi do brutalizacji życia, zmienia je w koszmar walki o przetrwanie, któremu nie można się przeciwstawić, jest się w tę walkę wciągniętym tak, jak wciągniętym się jest w koszmarny sen. Obie więc strony — prześladowani i prześladowcy — włączeni byli w piekielną maszynę zniszczenia; jedni nie mogli się jej przeciwstawić, ponieważ byli owładnięci ideą *Herrenvolku* i związani posłuszeństwem władzy, a drudzy, gdyż byli przez nią zgniatani. U jednych i drugich naczelną zasadą stała się dewiza „zwyciężę lub zostanę zwyciężony". U jednych wypływała ona z prawdziwego biologicznego zagrożenia, u drugich z fikcyjnego, opartego na fałszywej ideologii. Jedni nie mogli być sobą, gdyż nie pozwalał im na to automatyzm życia zredukowanego do biologicznej walki o przetrwanie, drudzy, bo nie pozwalał im na to automatyzm narzuconej i akceptowanej ideologii.

Warunkiem przeżycia obozu było wyrwanie się, przynajmniej częściowe, z jego koszmaru, przeciwstawienie się czterem zasadniczym jego cechom: niesamowitości, bezsilności, biologicznego zagrożenia i automatyzmu. Dwa mechanizmy odgrywały tu zasadniczą rolę: stępienia uczuciowego i znalezienia choćby nikłych elementów dawnej struktury życia.

„U przeważającej liczby badanych — jak pisze *Teutsch* [13] — nastąpiło w okresie pierwszych 3—6 miesięcy pobytu w obozie odwrażliwienie, zobojętnienie uczuciowe, osłabienie reakcji emocjonalnej na różne urazy życia obozowego". Autor słusznie zwraca uwagę, że gdyby takie stępienie uczuciowe wystąpiło w warunkach życia normalnego, traktowano by dane zjawisko jako patologiczne, natomiast w warunkach obozowych było ono „fenomenem przystosowawczym, pomocnym w znoszeniu warunków życia obozowego, chroniącym człowieka przed upadkiem, załamaniem i zgubą" [14].

Wszystko to, co przypominało choć w minimalnym stopniu życie inne, nieobozowe, pozwalało więźniowi choćby na chwilę oderwać się od przytłaczającej rzeczywistości, a tym samym być sobą, a nie więźniem-automatem. Był to pierwszy krok do zdobycia wewnętrznej wolności. Objaw ludzkiego uczucia, życzliwości, spotkanie znajomego z czasów wolności, wspominanie czasów minionych lub snucie marzeń o przyszłości, wykłady profesorów w Sachsenhausen itd., wszystko to przywracało dawną strukturę życia. Tak więc zobojętnienie wobec tego, co się działo naprawdę, a z drugiej strony wyczulenie na to, co przywracało normalny obraz życia — stwarzało szanse przetrwania, więzień nie stawał się automatem, ale zachowywał swoje człowieczeństwo.

Istotnym momentem człowieczeństwa jest zdolność wyboru i decyzji; automat, jak wiadomo, jej nie ma. Organizacja życia obozowego zmierzała przede wszystkim do jej zniszczenia; był to pierwszy krok do unicestwienia człowieka, następnym była już biologiczna zagłada. Wspomnienia byłych więźniów zdają się wskazywać na to, że zdolność planowania, wyboru, decyzji i celowej aktywności tworzyła się przede wszystkim w grupie. Więzień sam czuł się bezsilny; w grupie towarzyszy nabierał wiary w siebie. „My możemy" wy-

[13] *A. Teutsch*, o. c., str. 13.
[14] *A. Teutsch*, o. c., str. 16.

przedzało „ja mogę". Przestrzeń swobodna, która jest konieczna dla każdej aktywności celowej, była najpierw przestrzenią kolektywną, a później dopiero stawała się indywidualną, gdy więzień wsparty przez towarzyszy niedoli nie czuł się już zmiażdżony obozową machiną i miał na tyle siły, by się jej przeciwstawić.

Znaczenie obozowej „psychoterapii grupowej" podkreśla w swych wspomnieniach psychiatra wiedeński *Frankl* [15]. Oświęcimski szpital obozowy w okresie, gdy był już opanowany przez więźniów politycznych, spełniał, jak się zdaje, swe działanie lecznicze nie tyle dzięki stosowanym lekom i zabiegom, ile właśnie dzięki atmosferze koleżeństwa i ludzkości. We wspomnieniach obozowych wiele bowiem można znaleźć przykładów ścisłej zależności stanu fizycznego od psychicznego. Powrót do zdrowia był często uzależniony od powrotu do człowieczeństwa. Przemawiał również za tym fakt, że obozowe więzy koleżeństwa i przyjaźni przetrwały próbę czasu i dotąd u wielu byłych więźniów są najsilniejsze tak, że traktować je można jako podstawową grupę odniesienia [16]. Odegrały one decydującą rolę w przeciwstawieniu się obozowemu koszmarowi.

Sen koszmarny zostawia zwykle po sobie ślad; nawet gdy treść jego się zapomni, pozostaje przez pewien czas uczucie znużenia, rozdrażnienia, przygnębienia. Podobny ślad, tylko znacznie trwalszy, pozostawia często psychoza, zwłaszcza typu schizofrenicznego, która nierzadko jest koszmarem przeżywanym na jawie. Typ zmian po psychozie jest zresztą podobny do zmian osobowości stwierdzanych u byłych więźniów, mianowicie przygnębienie, nieufność, wybuchowość [17].

Nie wiemy, w jakim stopniu życie nasze na jawie jest realizacją naszych marzeń sennych, nie wiadomo też, czy koszmar obozów koncentracyjnych przed swym urzeczywistnieniem nie był koszmarem sennym u wielu może ludzi. W każdym razie jego realizacja pozostawiła trwały ślad w historii gatunku ludzkiego. Znaczenie tego śladu może być korzystne, jeśli pamięć obozów koncentracyjnych zohydzi na zawsze wojnę i jej fałszywych proroków.

[15] *V. E. Frankl:* Higiena psychiczna w sytuacji przymusowej. Doświadczenia z zakresu psychoterapii w obozie koncentracyjnym. Przegl. Lek., 1965, nr 1, str. 24—28. Tegoż autora: Psycholog w obozie koncentracyjnym. Pax, Warszawa 1962.

[16] *M. Orwid:* Socjopsychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1964, nr 1, str. 17—23.

[17] *R. Leśniak:* Poobozowe zmiany osobowości byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Przegl. Lek., 1965, nr 1, str. 12.

ALBERT SCHWEITZER

Lambaréné (Gabon)

Zagadnienie etyki w rozwoju myśli ludzkiej [1]

To, co nazywamy etyką, słowem pochodzącym z języka greckiego, lub moralnością, słowem pochodzącym z łaciny, polega, mówiąc najbardziej ogólnie, na wypełnianiu naszych obowiązków wobec nas samych i wobec innych istot. Jesteśmy poddani konieczności troszczenia się nie tylko o własne wyłącznie wygody, lecz także o wygody innych i całego społeczeństwa ludzkiego.

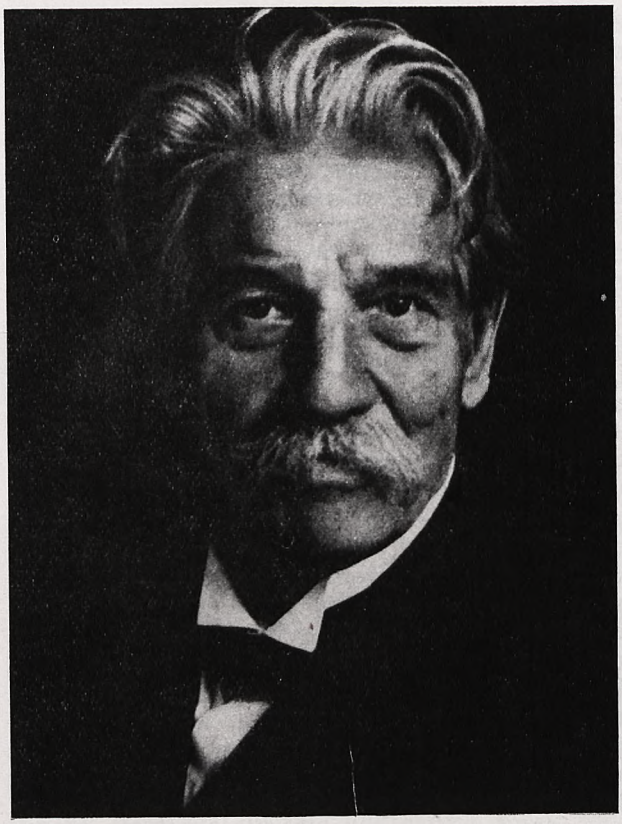
Zdanie sobie sprawy z rozciągłości pojęcia: solidarność z innymi oznacza pierwszy zwrot, który należy odnotować, w rozwoju etyki.

Dla człowieka pierwotnego krąg solidarności jest ograniczony. Obejmuje on tych, których można uważać za dalekich krewnych, to znaczy członków szczepu, będącego wielką rodziną. Mówię na podstawie własnego doświadczenia. Mam w swoim szpitalu ludzi prymitywnych. Kiedy proszę jakiegoś z tych pacjentów, nie przykutego na stałe do łóżka, o wyświadczenie małej przysługi choremu, który jest zmuszony do ciągłego leżenia, spotykam się z odmową, jeśli potrzebujący pomocy nie należy do jego szczepu. Jeśli to nie jest przypadek wymagający nagłej interwencji, słyszę odpowiedź naiwnie prostą: „On nie jest mi bratem". Żadne groźby ni prośby nie spowodują cofnięcia odmowy wykonania rzeczy niewyobrażalnej: poświęcenia się dla obcego. Muszę kapitulować.

Tymczasem człowiek, w miarę jak poddaje rozwadze i krytycznie ocenia siebie i swoje postępowanie wobec innych, dochodzi do wniosku, że ludzie są podobni do siebie i bliscy sobie. W wyniku powolnej ewolucji pojęć dostrzega, że zakres jego odpowiedzialności rozszerza się i obejmuje w końcu wszystkie istnienia ludzkie, z którymi łączą go jakieś więzy.

Świadomość tego stanęła u podstaw nauki myślicieli chińskich: *Lao-tsy* (ur. w 604 r. przed Chr.), *Konfucjusza* (551—479 przed Chr.), *Meng-tsy* (372—289 przed Chr.), *Czang-tsy* (IV w. przed Chr.) i proroków żydowskich w VIII w. przed Chr.: *Amosa*, *Ozeasza* i *Izajasza*. Głoszona przez *Chrystusa* i *św. Pawła* myśl, że

[1] Odczyt wygłoszony na posiedzeniu francuskiej Akademii Nauk Moralnych i Politycznych w dniu 20 października 1952 r. („*Revue des Travaux de l'Académie de Sciences Morales et Politiques et Comptes Rendus de ses Séances*" R. 105: 1952, Seria 4, odb.). Tytuł oryginału: *Le problème de l'éthique dans l'évolution de la pensée humaine*. Przełożył z jęz. franc.: *Zenon Jagoda*.



Ryc. 1. Dr Albert Schweitzer

człowiek powinien żywić ludzkie uczucia dla każdego stworzenia, stała się integralnym składnikiem etyki chrześcijańskiej.

Dla wielkich myślicieli hinduskich wyznających braminizm, buddyzm czy hinduizm idea braterstwa wszystkich ludzi mieściła się w ich metafizycznym pojęciu bytu. Ale natrafiali oni na trudność w nadaniu jej odpowiedniego waloru etycznego. W efekcie nie mogli oni przyczynić się do zniesienia przedziałów między ludźmi, istniejących w Indiach wskutek różnic kastowych, które uświęciła tradycja.

Zaratustrze, żyjącemu w VII wieku przed Chr., przeszkadzało w zbliżeniu się do pojęcia braterstwa wszystkich ludzi rozróżnienie, które on czynił między wierzącymi w Ormuzda, boga światła i dobra, i niewierzącymi, poddanymi działaniu demonów. Żądał on, aby wierzący, którzy walczą o osiągnięcie królestwa Ormuzda, uważali niewierzących za wrogów i odpowiednio ich traktowali.

Aby zrozumieć to stanowisko, trzeba się liczyć z faktem, że wierzący stanowili plemię Baktrów, które było osiadłe i uprawiało rolnictwo, chcąc żyć uczciwie i spokojnie, niewierzący zaś pochodzili z plemion koczowniczych, zamieszkujących tereny pustynne i żyjących z rabunku i grabieży.

Platon i *Arystoteles,* a z nimi inni myśliciele klasycznej epoki filozofii greckiej, brali pod uwagę tylko sytuację jednostek swojego narodu, jednostek wolnych, które nie znały troski o zdobywanie środków potrzebnych do egzystencji. Ci, którzy nie należeli do tej arystokracji, byli uważani za ludzi niższej kategorii, nie zasługujących na specjalną uwagę.

Dopiero w następnym okresie filozofii greckiej, w epoce równoczesnego rozkwitu stoicyzmu i epikureizmu, idea równości ludzi i zainteresowanie się jednostką ludzką zostały przez przedstawicieli tych dwóch szkół uznane za ważne. Najwybitniejszym pionierem tej nowej koncepcji filozoficznej był stoik *Panaitios,* który żył w II w. przed Chr. To prekursor humanizmu.

Idea braterstwa ludzi nie zyskała popularności w starożytnym świecie. Ale fakt, że filozofowie uznali ją za koncepcję dyktowaną przez rozum, miał wielkie znaczenie dla przyszłości.

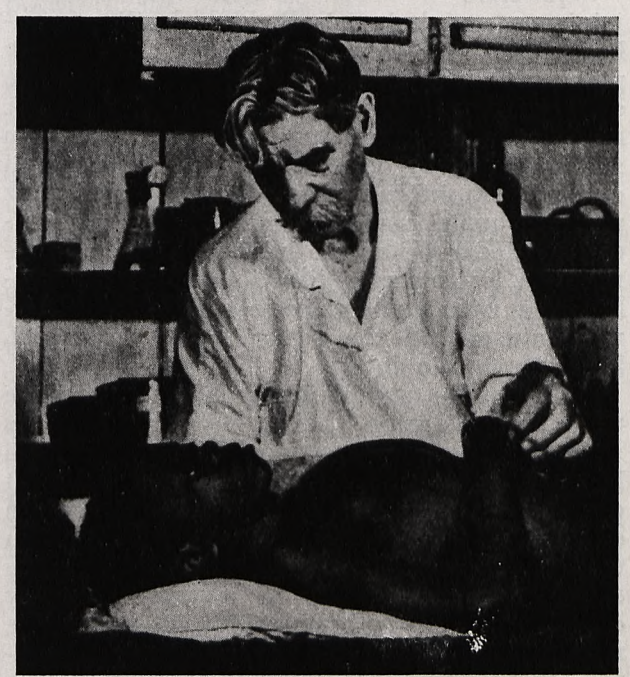
Tymczasem trzeba przyznać, że idea, iż jednostka ludzka musi być przedmiotem największego zainteresowania, nie cieszyła się nigdy pełnią szacunku, który powinien jej towarzyszyć. Zasada ta była i jest, aż do naszych dni, nieustannie lekceważona i omijana ze względów rasowych, religijnych, narodowych, wskutek czego człowiek podobny do nas staje się dla nas kimś obcym, kto zasługuje na obojętność, jeżeli nie na pogardę.

*

* *

Zastanawiając się nad rozwojem etyki, trzeba zwrócić uwagę na wpływ, jaki wywierały na nią koncepcje świata i życia, pozostające w ścisłym z nią związku. Istnieje jedna zasadnicza różnica między tymi koncepcjami.

Polega ona na sposobie oceny tego świata. Według jednych można brać pod uwagę postawę afirmującą, która oznacza zaangażowanie się w sprawy tego świata i zainteresowanie własną na nim egzystencją. Inni, przeciwnie, zalecają postawę negatywną. Doradzają oni zobojętnienie wobec wszystkiego, co dotyczy świata, także, ma się rozumieć, wobec życia doczesnego.



Ryc. 2. Dr Albert Schweitzer bada małego pacjenta

Afirmacja jest zgodna z naszymi naturalnymi odczuciami; negacja jest im przeciwna. Afirmacja potęguje chęć życia i pobudza do działania; negacja narzuca nam życie w wyobcowaniu i każe się opowiadać za bezczynnością.

Etyka z natury rzeczy jest ściśle powiązana z postawą afirmatywną; zgłasza potrzebę aktywności, aby można służyć idei dobra. Wynika z tego, że afirmacja świata wpływa korzystnie na rozwój etyki i że przeciwnie, negacja go hamuje. W pierwszym przypadku etyka może stać się tym, czym jest, w drugim wyrzekać się musi swych postulatów.

Negacja świata była głoszona przez myślicieli hinduskich i chrystianizm w starożytności i średniowieczu, afirmacja przez myślicieli chińskich, proroków żydowskich, *Zaratustrę* oraz myślicieli europejskich okresu Odrodzenia i czasów nowożytnych.

U filozofów hinduskich negatywna koncepcja świata była konsekwencją ich przekonania, że byt prawdziwy jest niematerialny, niezmienny i wieczny oraz że istnienie świata materialnego jest sztuczne, omylne i przejściowe. Świat, który zwykliśmy uważać za realny, dla nich był tylko mirażem świata niematerialnego w czasie i w przestrzeni. Człowiek popełnia błąd, interesując się ową fantasmagorią i własną rolą, którą w niej odgrywa. Jedyną postawą zgodną z prawdziwą wiedzą o naturze bytu jest postawa bezczynności.

Bezczynność ma w pewnej mierze walor etyczny. Obojętniejąc na sprawy tego świata, człowiek wyzbywa się egoizmu, do którego skłaniają go potrzeby materialne i pospolite żądze. Co więcej, bezczynność pociąga za sobą wyrzeczenie się stosowania gwałtu. Chroni zatem człowieka przed czynieniem zła drugiemu przez akt przemocy.

Myśliciele z kręgu braminizmu, *samkya*, jainizmu, podobnie jak *Budda*, głosili z zapałem ideę niestosowania gwałtu, nazywaną przez nich *ahinsa*, i uważali ją za koncepcję etyczną nadzwyczaj wzniosłą. Jest ona jednak niedoskonała i niepełna: człowiek pozbywa się egoizmu, by całkowicie się oddać myśli o zbawieniu, które ma nadzieję osiągnąć przez przestrzeganie zasad życia zgodnych z prawdziwą wiedzą o naturze bytu; czynnikiem kierującym jest nie współczucie, ale teorie metafizyczne; żąda się od człowieka tylko powstrzymywania się od zła, a nie żąda aktywności, która wywołuje dobro.

Tylko etyka wynikająca z afirmacji świata może być naturalna i pełna. Gdyby zatem ktoś wpadł na pomysł wzbogacenia etyki myślicieli hinduskich przez przeszczepienie na jej grunt elementów etyki bardziej płodnej niż system *ahinsa*, mógłby to osiągnąć tylko w wyniku ustępstw na rzecz afirmacji świata i zasady aktywności. *Budda*, który wystąpił przeciw oziębłości doktryny bramińskiej, głosząc litość, z udręką pewnie opierał się próbom uwolnienia się od zasady bezczynności. Wielokrotnie był w niezgodzie ze sobą, nie mogąc powstrzymać się od działalności charytatywnej, czy zalecając ją swoim uczniom. Zwolennicy afirmacji świata w imię etyki prowadzili w ciągu wieków ukrytą walkę przeciw zasadzie bezczynności. W hinduizmie, który był ruchem religijnym skierowanym przeciw surowym wymaganiom braminizmu, doszło do uznania tych dwóch postaw za równorzędne. Zgoda między nimi została ogłoszona i określona w poemacie dydaktycznym *Bhagawadgita*, wchodzącym w skład wielkiej epopei *Mahabharata*.

Bhagawadgita uznaje bramińską koncepcję świata. Zakłada, że świat materialny jest złudą i nie zasługuje na uwagę. Jest on, według poematu, tylko zabawną igraszką, którą urządza sobie bóg. Człowiek więc może sądzić, i słusznie, że jest upoważniony do brania udziału w tym spektaklu jedynie w charakterze widza. Ale także ma on prawo czuć się powołanym do odegrania roli jako aktor. Aktywność jest więc usprawiedliwiona wewnętrznymi właściwościami człowieka ją praktykującego. Jeśli czyni on coś w celu wypełnienia woli boga, ma rację w tym samym stopniu, co człowiek, który wybrał bezczynność. I przeciwnie, aktywność nie uświadomiona, wywołana przejęciem się nierealnym światem, skłaniająca do wykonywania czegokolwiek bądź, jest błędem i nie może być usprawiedliwiona.

Teoria ta, przywracająca aktywności pewne prawa, które są logicznym następstwem myśli, że świat jest tylko teatrem urządzanym przez boga dla jego własnej rozrywki, nie mogła w żaden sposób zadowolić zwolenników etyki prawdziwej, odczuwających potrzebę prowadzenia życia czynnego. Tymczasem pozwoliła ona poglądom etycznym na przetrwanie w Indiach epoki, w której były one zagrożone przez braminizm.

Aż do naszych czasów myśliciele hinduscy czynili duże ustępstwa na rzecz zasady aktywności, powołując się na fakt, że jest o niej mowa w tekstach *Upaniszadów*. To jest prawda. Tłumaczy się to tym, że hinduscy Ariowie w dawnych czasach, jak o tym świadczą hymny *Wedy*, pędzili życie opromienione pewną pierwotną radością istnienia. Bramińska doktryna negacji świata pojawiła się, obok idei pozytywnych, dopiero w *Upaniszadach*, świętych księgach hinduskich pochodzących z początku pierwszego tysiąclecia przed Chr.

*

* *

Chrystianizm w starożytności i w średniowieczu wyznaje zasadę negacji świata, bez wysnuwania jednak wniosku, że trzeba być bezczynnym. Ta właściwość chrystianizmu wynika z faktu, że jego negacja różni się od negacji myślicieli hinduskich. Według poglądów chrześcijańskich świat nie jest fantasmagorią, lecz tworem doczesnym, którego przeznaczeniem jest przekształcić się w świat doskonały, w królestwo boże na ziemi. Idea królestwa bożego została stworzona przez proroków żydowskich VIII w. przed Chr. Była ona także punktem węzłowym religii *Zaratustry* w VII wieku. .

Chrystus głosił nieuchronność przemiany świata materialnego w królestwo boże. Zachęcał ludzi do poszukiwania doskonałości, będącej warunkiem uczestnictwa w nowym życiu na nowym świecie. Żądał od człowieka wyrzeczenia się przywiązania do rzeczy doczesnych, aby móc zająć się jedynie czynieniem dobra. Pozwalał mu zobojętnieć na rzeczy materialne, lecz nie na obowiązki względem innych ludzi. W jego etyce aktywność zachowuje wszystkie swoje prawa i wszystkie zobowiązania. W tym różni się ona od etyki *Buddy*, z którą łączy ją wspólna idea współczucia innym. Ponieważ idea ta została ożywiona duchem aktywności, etyka chrześcijańska utrzymała swój związek z afirmacją świata.

Przekształcenie świata w królestwo boże, oczekiwane przez pierwszych chrześcijan z dnia na dzień, nie nastąpiło. W starożytności i w wiekach średnich chrystianizm znalazł się w sytuacji, w której zatraciło się poczucie sensowności świata bez nadziei na oglądanie przyjścia świata nowego, nadziei żywionej przez pierwszych chrześcijan. Było więc rzeczą naturalną, że chrystianizm zwrócił się ku afirmacji świata. Umożliwiła mu to jego etyka aktywności. Ale w starożytności i w średniowieczu brak było entuzjastycznej afirmacji świata. Pojawiła się ona dopiero w epoce Odrodzenia. Chrystianizm związał się z nią w ciągu XVI i XVII w. Jego etyka, obok ideału doskonałości osobniczej, respektowanego od czasów *Chrystusa*, wzbogaca się o inny, który polega na dążności do stworzenia nowych, lepszych warunków materialnych i duchowych życia społeczeństwa ludzkiego. Odtąd etyka chrześcijańska umie wyznaczać cele swojej aktywności i osiąga w ten sposób pełny rozwój. Z połączenia chrystianizmu i entuzjastycznej afirmacji świata w okresie Renesansu powstała cywilizacja, w której żyjemy i którą przyszło nam podtrzymywać i doskonalić. Koncepcje etyczne myślicieli chińskich i *Zaratustry* od samego początku były powiązane z afirmacją świata. Niosły one także ze sobą siły zdolne do wytworzenia cywilizacji etycznej.

*
* *

Etyka, osiągnąwszy pewien poziom, dąży do pogłębienia swoich zasad. Ta dążność przejawia się w potrzebie prowadzenia poszukiwań fundamentalnej zasady dobra.

Nie odczuwa się większej satysfakcji ze zdefiniowania, wyliczenia i zalecenia różnorodnych cnót i różnorodnych obowiązków, natomiast pasjonujące jest zgłębianie zagadnienia, co w tej różnorodności jest czynnikiem jednoczącym i jaki jest ich związek z samą koncepcją dobra. Właśnie w ten sposób wielcy myśliciele chińscy doszli do proklamowania życzliwości jako cnoty fundamentalnej.

W etyce żydowskiej wyłoniła się jeszcze przed *Chrystusem* kwestia zasadniczego przykazania, którego wypełnianie zastępowałoby całe prawo. *Chrystus*, zgodnie z tą tradycją, podniósł do rangi najwyższego przykazania miłość.

W pierwszym wieku ery chrześcijańskiej myśliciele stoiccy, idąc ścieżką przetartą przez *Panaitiosa*, prekursora humanizmu, przychodzą zgodnie do przekonania, że cnotą nad cnotami jest miłość; stwierdzają to *Seneka*, *Epiktet* i cesarz *Marek Aureliusz*. Ich etyka jest w gruncie rzeczy ta sama, co wielkich myślicieli chińskich. Wspólna jest nie tylko zasada miłości, lecz ponadto, co jest rzeczą ważną, wspólne jest przekonanie, że miłość jest czymś rozsądnym, a także jest funkcją rozsądku.

W ciągu I i II w. ery chrześcijańskiej filozofia grecko-rzymska zaczyna więc wyznawać ten sam ideał etyczny, co chrystianizm. Wydawać by się mogło, że otworzyła się możliwość porozumienia między światem antycznym a chrystianizmem. Nie doszło do tego. Stoicyzm etyczny nie stał się popularny. Poza tym jego przedstawiciele uważali wiarę chrześcijańską za najgorszą formę zabobonu. Głosiła ona przecież, że jest objawieniem bożym, danym przez *Chrystusa*, a jej wyznawcy oczekiwali nagłego nadejścia nowego porządku. Chrystianizm ze swej strony lekceważył filozofię jako próżną mądrość tego świata. Obie strony dzielił także fakt, że filozofia skłaniała się ku idei afirmacji świata, chrystianizm zaś ku idei negacji. Nie było więc możliwe żadne porozumienie.

Tymczasem po wielu wiekach porozumienie to nastąpiło. Kiedy w XVI i XVII w. zaczęto popierać entuzjastyczną afirmację świata, którą Renesans przekazał myśli europejskiej w spadku, i kiedy zapoznano się w tym czasie ze stoicyzmem etycznym, stwierdzono, nie bez zdziwienia, że zasada miłości chrześcijańskiej była także głoszona jako prawda rozumowa. Wyprowadzono stąd wniosek, że fundamentalne idee religijne, prawdy objawione, powinny być potwierdzane przez rozum.

Najwybitniejszymi myślicielami, którzy poczuwali się do przynależności do chrystianizmu i głosili zarazem zasady stoicyzmu, byli *Erazm z Rotterdamu* i *Hugo Grotius*.

Pod wpływem chrystianizmu etyka filozofów greckich i rzymskich zyskała nowe bodźce i zapał, którego dotąd nie miała. Pod wpływem filozofów zaś etyka chrześcijańska zaczęła rozważać, co zawdzięcza sobie i jakie ma zadanie do spełnienia na świecie. W ten sposób zrodziła się myśl, że etyka miłości nie może tolerować dłużej bezprawia, okrucieństw, niegodziwych praktyk, które były przedtem dozwolone. Zniesiono tortury, ustała plaga, jaką stanowiły procesy czarownic, nieludzkie prawa ustępowały innym, bardziej humanitarnym. Podjęto i wykonano dzieło reformy bez precedensu w historii ludzkości. Towarzyszył temu zapał, płynący z odkrycia, że zasada miłości została zaaprobowana przez rozum.

*
* *

Filozofowie XVIII w., m. in. *Hartley*, baron *Holbach*, *Helvetius*, *Bentham* wierzyli, że dla udowodnienia racjonalności altruizmu i mi-

łości innego człowieka wystarczy użyć jedynego argumentu: są one użyteczne. Myśliciele chińscy i przedstawiciele stoicyzmu etycznego uznawali wartość tego argumentu, ale na równi z innymi przesłankami. Według tezy podtrzymywanej przez myślicieli XVIII w. altruizm jest tylko dobrze zrozumianym egoizmem, liczącym się z faktem, że szczęście jednostki i społeczeństwa gwarantuje tylko poświęcenie się wzajemne.

Przeciw temu powierzchownemu mniemaniu wystąpili *Kant* i fizolof szkocki *David Hume*. *Kant* w obronie godności etyki posunął się do twierdzenia, że jej użyteczność nie powinna być w ogóle brana pod uwagę. Mimo że jest oczywista, nie można jej uważać za siłę napędową zachowania się etycznego. Etyka według doktryny imperatywu kategorycznego zaleca w sposób absolutny i bezwarunkowy określone postępowanie; nasze sumienie, a nie rozum, wskazuje, co jest dobre i co jest złe. Nie pozostaje nic innego, tylko się temu podporządkować. Prawo moralne, które nosimy w sobie, daje nam pewność, że nie tylko należymy do świata, który istnieje w czasie i w przestrzeni, ale że także równocześnie jesteśmy obywatelami świata jako takiego, czyli świata ducha.

Hume zaś, aby zbić tezę o utylitarnym charakterze etyki, rozumował w sposób empiryczny. Rozważył on motory postępowania człowieka i doszedł do wniosku, że etyka jest przede wszystkim sprawą uczucia. Natura — argumentował — wyposażyła nas w zdolność współodczuwania. Pozwala nam ona i zobowiązuje do przeżywania radości, lęków i cierpień innych ludzi, jak własnych. Jesteśmy według porównania użytego przez *Huma* jak struny drgające zgodnym rytmem z ich rezonatorem. To właśnie uczucie sympatii skłania nas do poświęcania się dla innych i wywołuje chęć przyczynienia się do poprawy ich życia i życia całego społeczeństwa.

Od czasów *Huma* filozofia — jeśli pominąć usiłowania *Nietzschego* — nie odważyła się podważyć w sposób poważny twierdzenia, że etyka jest przede wszystkim sprawą współczucia.

* * *

Lecz jakaż jest wobec tego rzeczywista sytuacja w etyce? Czy jest ona zdolna do określenia i wskazania granic obowiązku poświęcania się dla innych oraz do zestawienia egoizmu i altruizmu w ten sposób, w jaki próbowała to uczynić teoria utylitaryzmu etycznego?

Hume nie zajmował się tą kwestią. Filozofia późniejsza nie uważała za stosowne rozstrząsać konsekwencji zasady poświęcania się z sympatii. Przeczuwała ona jak gdyby, że perspektywy mogą okazać się nieco niepokojące.

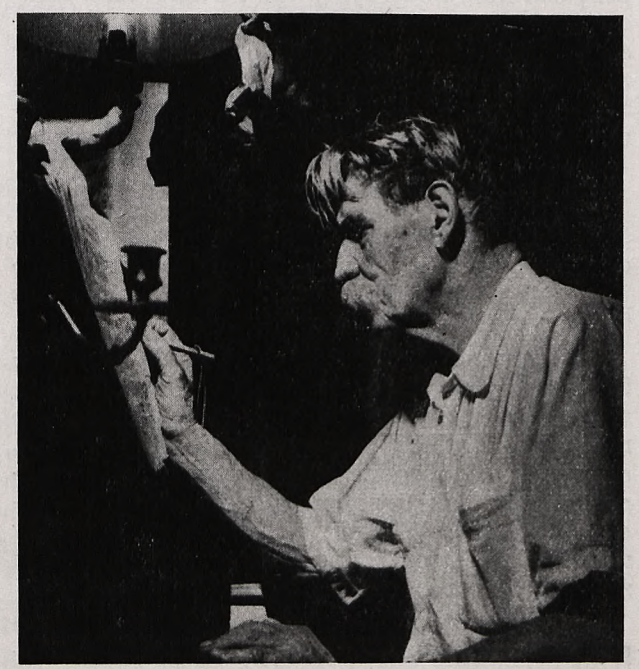
Takie one są w istocie. Etyka poświęcenia się ze współczucia nie ma już charakteru prawa, które by było, czego moglibyśmy sobie życzyć, nieustannie respektowane. Nie zawiera już przykazań jasno wyłożonych i wyraźnie sformułowanych. Jest ona z gruntu subiektywna, ponieważ odwołuje się do poczucia odpowiedzialności każdego człowieka z osobna za decyzję, jak daleko ma się posunąć w poświęceniu.

I nie tylko przestaje ona rozkazywać w sposób precyzyjny, pojawia się także myśl, że nie można zadowolić się tylko możliwym: do takich czynów zmusza prawo. Nieustannie zobowiązuje nas etyka do próbowania rzeczy niemożliwych, do posuwania się w naszym poświęceniu aż do narażania własnego życia. W potwornych czasach, któreśmy przeżyli, było wiele tego rodzaju sytuacji i wielu takich, którzy złożyli ofiarę ze swego życia dla innych. Obecnie etyka poświęcenia, jeśli nawet nie żąda od nas tej ostatecznej ofiary, wymaga w wielu wypadkach wyrzeczenia się korzyści, a także rezygnacji z przewagi ze względu na dobro innych. Ale niestety, bardzo często zmuszamy do milczenia nasze sumienie, które ma stać na straży poczucia odpowiedzialności.

Ileż konfliktów wewnętrznych wywołuje w nas etyka poświęcenia! Kierownicy zakładów pracy na przykład rzadko odczuwają satysfakcję z powierzenia, z pobudek altruistycznych, jakiegoś stanowiska komuś, kto najbardziej go potrzebuje, zamiast temu, który ma wyższe kwalifikacje. Lecz biada im, jeśli wskutek niemiłych doświadczeń tego rodzaju nie liczyliby się już nigdy ze względami ludzkimi.

* * *

Ostatnia konsekwencja, którą należy wyprowadzić z zasady poświęcania się: nie wolno nam zajmować się jedynie istotami ludzkimi, musimy mieć na uwadze istoty żyjące, których los może zależeć od nas. Są one także podobne do nas, bo dążą tak jak my do szczęścia, znają strach i cierpienie i tak jak my lękają się śmierci.



Ryc. 3. Albert Schweitzer jako muzyk

Człowiek, który nie stracił swojej wrażliwości, uznaje za rzecz całkiem naturalną współczucie dla wszystkich istot żywych. Dlaczego zatem filozofowie nie zdecydowali się na ostateczne ustalenie, że sposób naszego zachowania się wobec tych istot powinien być integralną częścią składową etyki, której nauczają?

Przyczyna jest całkiem prosta. Filozofowie obawiają się, i poniekąd słusznie, że to ogromne rozszerzenie kręgu naszych powinności usunie z nauki etyki resztę nadziei na stworzenie dość racjonalnej i zadowalającej formuły postępowania etycznego.

Wskutek tego troska o los wszystkich istot żyjących, z którymi mamy do czynienia, stwarza konflikty jeszcze liczniejsze i bardziej niepokojące niż te, które wynikają ze stosunków ze światem ograniczonym do istot ludzkich. Otoczeni różnymi stworzeniami ciągle znajdujemy się w sytuacjach, które nas zmuszają do zadawania cierpień i godzenia w czyjeś życie. Wieśniak nie może pozwolić żyć wszystkim zwierzętom, które się rodzą w jego stadzie, może zachować przy życiu jedynie te, które zdoła wyżywić i których hodowla przyniesie mu dochód. W wielu wypadkach poczuwamy się do obowiązku poświęcania czyjegoś życia, aby ocalić życie innych. Ten, co lituje się nad opuszczonym ptakiem, widzi się zmuszonym do zabijania owadów lub ryb, aby zdobyć dla niego pożywienie. Postępując w ten sposób, jest całkowicie arbitralny. Jakim prawem poświęca on wiele istnień, aby ocalić jedno jedyne? Człowiek niszcząc zwierzęta, które uważa za szkodniki, aby w ten sposób chronić inne, dopuszcza się również pewnej samowoli.

Przypada więc każdemu z nas ciągle rozsądzać, czy staje wobec rzeczywiście nieuchronnej konieczności zadawania cierpienia i zabijania oraz czy nie dałoby się uniknąć stania się, z konieczności, winnym pozbawiania życia. Trzeba zawsze szukać możliwości zachowania życia, nie przepuszczając żadnej po temu okazji.

O ileż bylibyśmy lepsi, gdyby ludzie już dawniej zaczęli poważnie zastanawiać się nad życzliwością należną zwierzętom i powstrzymywali się od wielkiego zła, które wyrządzają im przez bezmyślność. Naszej cywilizacji musi być narzucona walka przeciwko złym tradycjom braku humanitaryzmu i nieludzkim uczuciom, które pojawiają się jeszcze w naszych czasach, jeśli ta cywilizacja ma się cieszyć należnym szacunkiem.

Nie mogę się tu powstrzymać, by nie wymienić przynajmniej dwóch niehumanitarnych zwyczajów, których nasza cywilizacja i nasze uczucia nie powinny więcej tolerować: walki byków połączonej z zabijaniem zwierząt i polowań z nagonką.

Tak więc postulat współczucia ze wszystkimi istotami żywymi sprawia, że etyka uwzględniająca go staje się pełna, czyli taka, jaką być powinna.

* * *

Inna wielka zmiana w sytuacji etyki: nie może ona dziś więcej liczyć na poparcie przez określoną koncepcję świata, natomiast może służyć w jej uzasadnianiu.

Od czasów najdawniejszych głoszono pogląd, że jedynym zadaniem etyki jest formułowanie reguł postępowania zgodnego z wiedzą o istocie woli powszechnej, która przejawia się we wszechświecie. To przekonanie było podstawą nie tylko wierzeń religijnych, lecz także racjonalistycznej filozofii XVII i XVIII w.

Okazuje się jednak, że koncepcja świata, która może powołać się na etykę, jest rezultatem jego interpretacji optymistycznej, a ta została podporządkowana etyce i nadal się jej podporządkowuje. W ten sposób atrybuty i intencje woli powszechnej zostały niejako zapożyczone od etyki, której zadaniem było czuwać i sądzić.

W wieku XIX badania naukowe inspirowane jedynie troską o prawdę stwierdziły jako rzecz oczywistą, że etyka nie ma co czekać na prawdziwe poznanie świata. Postęp wiedzy polega na coraz dokładniejszym poznawaniu procesów przyrody. Pozwala to wprzęgać siły natury w służbę człowieka. Ale równocześnie z tym musimy w coraz to większym stopniu wyrzekać się chęci zrozumienia intencji tej natury. Świat nam prezentuje zdumiewające zjawisko, pełne konfliktów i absurdów. Wola życia pozostaje w sprzeczności z sobą. Jedną egzystencję podtrzymuje się kosztem innej. Świat — to ohyda pośród majestatycznej wspaniałości, nonsens na wyżynach intelektualizmu, cierpienie w szczęściu.

* * *

W jaki sposób etyka poświęcenia się może się utrzymać bez poparcia przez koncepcję świata, która by uzasadniała rację jej istnienia? Wydawać by się mogło, że jest wobec tego skazana na pogrążenie się w sceptycyzmie.

Nie taki tymczasem czeka ją los.

W swoich początkach etyka musiała odwoływać się do koncepcji świata, która jej odpowiadała. Doszedłszy do przekonania, że jej zasadą podstawową jest poświęcenie, osiągnęła pełną samowiedzę i stała się *de facto* autonomiczna.

Możemy poznać jej źródła i podstawy, zastanawiając się nad światem i ludźmi.

Wiedza pełna i zadowalająca powoduje w naszej świadomości pewien ujemny skutek. Osłabia mianowicie w nas proste przekonanie, że wszystko w świecie żyje tak jak my i że życie stanowi misterium. Dążność do prawdziwego poznania świata wynika bowiem z fascynacji tajemnicą bytu i życia. Tajemnica ta staje się na szczęście jeszcze bardziej tajemnicza w miarę postępów wiedzy. Przejęcie się misterium życia odpowiada temu, co nazywa się w języku mistyki „uczoną ignorancją", która

jednak oznacza pewną wiedzę o istocie rzeczy.

A oto przesłanka podstawowa, którą zawsze powinniśmy uwzględniać, gdy chcemy zrozumieć postępowanie ludzkie i naszą sytuację w świecie: jestem jednostką żywą, która chce żyć, otoczoną przez istoty żywe, które chcą żyć.

Wykazując wolę życia, afirmuję swoje życie, co nie znaczy: podtrzymuję je, aby zachować egzystencję, lecz: uważam je za tajemnicę i wartość istotną.

Rozmyślając o życiu, odczuwam potrzebę respektowania woli życia wokół mnie, ponieważ jest ono podobne do mojego i ponieważ ma wartość tajemniczą.

Fundamentalna idea dobra opiera się zatem na zachowywaniu życia, sprzyjaniu mu, nadawaniu mu wyższej wartości, zło zaś polega na unicestwianiu życia, nastawaniu na nie, przeszkadzaniu mu w jego rozwoju.

*

* *

Zasada szacunku dla życia pozostaje w zgodzie z zasadą miłości, odkrytą przez religie i filozofie poszukujące podstawowej formuły dobra.

Termin „szacunek dla życia" jest jednak szerszy i wskutek tego jak gdyby bledszy. Lecz oznacza on również potężne zasoby energii.

Pojęcie to, zasadniczo filozoficzne, ma tę przewagę nad pojęciem miłości, że jest od niego pełniejsze. Miłość nie uwzględnia obowiązków wobec wszystkich istot, lecz tylko wobec najbliższych. Z miłości nie wynika np. cecha prawdomówności, podstawowa, obok współczucia, cecha jednostki etycznej. Szacunek, który człowiek ma dla własnego życia, nakazuje mu być wiernym samemu sobie, wyrzec się nieszczerości, którą próbuje stosować w takich czy innych okolicznościach i w ogóle stać się głębszym niejako i szlachetniejszym.

Dzięki szacunkowi dla życia wchodzimy w kontakt duchowy ze światem. Wszystkie wysiłki filozofów, którzy budowali wspaniałe systemy, aby nas skontaktować z Absolutem, pozostały daremne. Absolut jest tak abstrakcyjny, że nie możemy z nim nawiązać kontaktu. Nie jest nam dane stanąć w służbie woli twórczej, nieskończonej i niezgłębionej, będącej podstawą wszelkiej egzystencji i mieć pojęcie o jej naturze i zamiarach. Ale wchodzimy z nią w związek duchowy, kiedy poświęcamy się dla wszystkich istot żyjących.

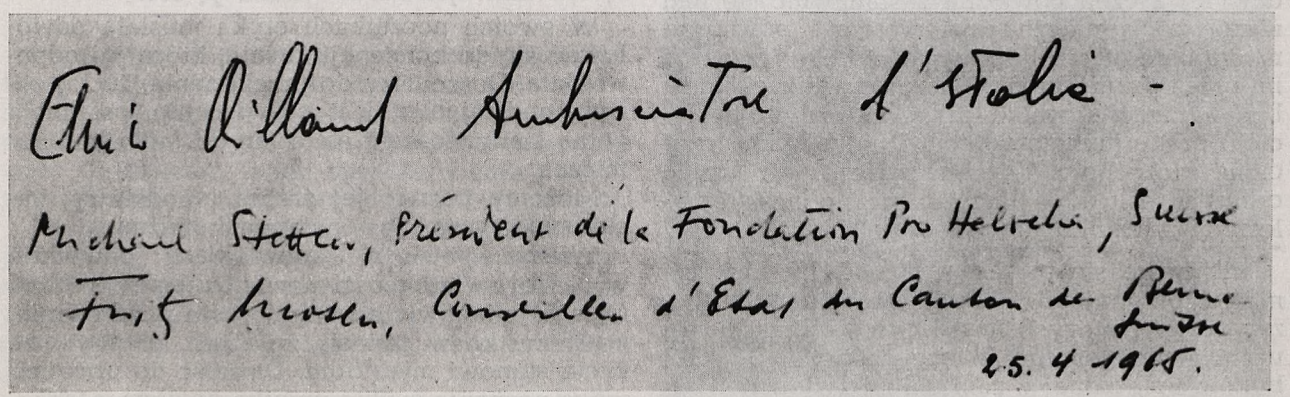


Minister oświaty Belgii, *H. Janne*, zwiedza 28 kwietnia 1965 roku były obóz koncentracyjny Oświęcim-Brzezinka

Etyka, która zobowiązuje nas do zajmowania się tylko ludźmi i społeczeństwem ludzkim, nie może mieć takiego znaczenia. Tylko etyka uniwersalna, zobowiązująca do zajmowania się wszystkimi istotami, daje nam prawdziwy kontakt ze światem i wolą, która się w nim przejawia.

Wola życia znajduje się w konflikcie z sobą. Chce w nas przez tajemnicę, której nie rozumiemy, dojść do równowagi. W świecie się ona manifestuje, w nas objawia. Różnić się od świata jest naszym duchowym przeznaczeniem. Umacniając w sobie tę różnicę, przeżywamy nasze życie, zamiast je tylko znosić.

Dzięki szacunkowi dla życia stajemy się lepsi w sposób zasadniczy, głęboki i żywy.



Reprodukcja wpisu ministra oświaty Belgii, *H. Janne* do księgi pamiątkowej Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. (Z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY

MARIAN CIECKIEWICZ Kraków

Lecznictwo ubezpieczeń społecznych w Polsce w czasie okupacji [1]

W chwili wybuchu wojny w dniu 1 września 1939 r. lecznictwo ubezpieczalni społecznych w Polsce posiadało już ostatecznie skrystalizowaną formę. Na terenie całego państwa obowiązywała jednolita organizacja, oparta na lekarzu domowym, który działał w przydzielonym mu rejonie pracy, obejmującym około półtora tysiąca ubezpieczonych. Lekarze domowi przyjmowali ubezpieczonych w swych gabinetach w godzinach przedpołudniowych i popołudniowych; lekarze specjaliści ordynowali zasadniczo w ambulatoriach ubezpieczalni, gdzie do pomocy mieli wykwalifikowany personel pomocniczo-lekarski.

Uzupełnieniem pracy lekarzy domowych i specjalistów były poradnie przeciwgruźlicze i poradnie opieki nad matką i dzieckiem. Szeroko rozwijająca się akcja profilaktyczna nie zacieśniała się tylko do wysyłania dzieci na kolonie i półkolonie (w 1938 r. korzystało z kolonii około 100 tysięcy dzieci) i do wczasów dla pracowników młodocianych i matek rodziny, zajętych w przemyśle, lecz rozwijała się także dzięki popularyzacji zasad higieny wśród szerokich warstw świata pracy w tzw. „szkołach zdrowia" i w specjalnym piśmie „Droga do Zdrowia".

Wszystkie ubezpieczalnie dysponowały własnymi zakładami rozpoznawczymi i przyrodoleczniczymi, a większe ubezpieczalnie posiadały nawet własne szpitale, stojące na poziomie zakładów klinicznych. Leczenie sanatoryjne spoczywało w doświadczonych rękach Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, który prowadził liczne sanatoria we własnym zarządzie, inne zaś zakontraktował na użytek ubezpieczonych.

Na początku 1938 r. ubezpieczalnie społeczne posiadały 3380 etatowych łóżek szpitalnych i 2445 łóżek sanatoryjnych, w których leczyło się w ciągu 1938 roku 307 829 osób. Do walki z gruźlicą służyło 1765 łóżek dla chorych na gruźlicę. Z leczenia zdrojowego korzystało w tymże roku 11 232 osób przez 445 669 dni leczenia na osobę, kosztem 6 018 010 zł.

Z 13 tysięcy lekarzy w Polsce 3851, tj. około 30%, pracowało w ubezpieczalniach społecznych, razem zaś z lekarzami-dentystami liczba ta dochodziła w r. 1938 do 4416 osób. Liczba położnych, felczerów i pielęgniarek wynosiła 1469 osób. Była to więc najpotężniejsza organizacja lecznictwa społecznego, oparta o rosnące z każdym rokiem realne kwoty budżetów poszczególnych ubezpieczalni społecznych.

21 201 542 porady lekarskie udzielone w roku 1938 i liczba około 5 milionów osób uprawnionych wówczas do świadczeń leczniczych dosadnie dowodzi znaczenia ubezpieczalni społecznych nie tylko dla świata pracy, lecz także dla zdrowia całego narodu. Koszt tej pomocy leczniczej wyrażał się w 1938 r. w ówczesnej walucie kwotą 35 169 400 zł. Koszt 24 690 900 leków wynosił 18 302 600 zł.

Wydatki na świadczenia wynosiły w Polsce w 1938 r. kwotę 114 360 000 zł, z czego 17,8%, tj. 20 453 000 zł stanowiły zasiłki chorobowe. Akcja zapobiegawcza, tzw. „profilaktyka" stanowiła 4,8% ogólnej kwoty świadczeń i wynosiła 5 592 000 zł.

Doskonale prowadzona statystyka zachorowalności, opracowywana co rok przez ZUS, dawała obraz zdrowia najszerszych warstw narodu, ponieważ nie było w Polsce innej statystyki zachorowalności, opartej na tak rozległym materiale.

Te bezsprzeczne zdobycze świata pracy i cały ten dorobek zostały z chwilą wybuchu wojny zawieszone w związku z powołaniem dużej liczby lekarzy do wojska i ewakuacją ludności cywilnej. We wrześniu i w październiku 1939 r. tylko niektóre ubezpieczalnie wykazywały żywszą działalność, ograniczając się głównie do pomocy leczniczej i położniczej stosowanej w naturze.

W następnych miesiącach 1939 r. działalność lecznicza ubezpieczalni społecznych rozwijała się inaczej na ziemiach zachodnich i na ziemiach przyłączonych do Rzeszy niemieckiej, a inaczej w tzw. Generalnej Guberni. Jednak wspólną cechą obu terenów było to, że świadczenia lecznicze zostały ograniczone przez okupanta do tak skromnych rozmiarów, jakich ubezpieczenie chorobowe dotąd w Polsce nie znało. Celem ubezpieczenia chorobowego stało się odtąd tylko utrzymanie zdolności do pracy nie dożywionej, a często głodzonej ludności, wprzągniętej do ciężkich, przymusowych prac dla dozbrojenia Rzeszy, a nadto zwalczanie chorób zakaźnych i wenerycznych, o ile mogłyby one zagrażać niemieckim siłom zbrojnym lub okupacyjnym urzędnikom niemieckim.

[1] Opracowano w 1948 r. na podstawie ankiet ubezpieczalni społecznych.

Ziemie zachodnie

Do końca 1939 roku okupant nie wprowadził na ziemiach zachodnich innych zmian w dziedzinie ubezpieczenia chorobowego, jak tylko zmianę nazwy Ubezpieczalni na *Allgemeine Sozialversicherungsanstalt in...*" Ponadto wszędzie wprowadził dwujęzyczne napisy w biurach. Również zarządzenia administracyjne były wydawane w dwóch językach.

Dopiero rozporządzenie niemieckich ministrów pracy i spraw wewnętrznych wprowadziło na terenach wcielonych do Rzeszy niemieckiej — z mocą od 1. I. 1940 r. — niemieckie ustawodawstwo ubezpieczeniowe, a w zakresie ubezpieczenia chorobowego niemiecką ordynację ubezpieczeniową. Odtąd zmieniono ponownie nazwę ubezpieczalni na *„Allgemeine Ortskranken-Kasse in...*" i ograniczono jej działalność tylko do ubezpieczenia na wypadek choroby. Dostosowując działalność ubezpieczalni do nowych form prawa niemieckiego, nowi dyrektorzy kas chorych znieśli dotychczasowe legitymacje ubezpieczeniowe i przeszli na system przekazów na leczenie (tzw. *Krankenscheinów),* które dla ubezpieczonych zatrudnionych w mniejszych firmach wydawał wydział świadczeń kasy chorych, a dla zatrudnionych w dużych firmach — biuro zakładu pracy.

Przekaz do lekarza (*Krankenschein*) składał się z dwóch części: A i B. Część A przesyłał lekarz kasie chorych bezzwłocznie po wypełnieniu formularza danymi o chorobie — za pośrednictwem chorego. Rozpoznanie musiało być napisane po niemiecku i tylko w razie niedostatecznego opanowania języka niemieckiego wolno było użyć rozpoznania po łacinie. Część B odsyłał lekarz do kasy chorych po ukończeniu leczenia. Taki przekaz do lekarza był ważny w ciągu kwartału, w którym został wydany. Każdy ubezpieczony oraz członek jego rodziny mógł uzyskać w ciągu kwartału najwyżej dwa skierowania, jedno do lekarza ogólnego, drugie do lekarza dentysty, co winno było być uwidocznione na przekazie. Jeżeli leczenie chorego trwało dłużej aniżeli kwartał, skierowanie to, raz zrealizowane u lekarza, zatrzymywało swą wartość w tej samej chorobie aż do wyleczenia bądź do końca trzeciego kwartału. Do lekarza specjalisty otrzymywał chory skierowanie u lekarza ogólnego. Początkowo *Krankenscheiny* były jednakowe dla Polaków i dla Niemców; później oznaczono skierowania dla Polaków literą „P" w odróżnieniu od przekazów dla Niemców oznaczonych literą „D". Leki oznaczone literą „P" były wydawane w aptekach tylko przed południem i dopiero po wydaniu leków oznaczonych literą „D", a przeznaczonych dla Niemców.

Do dnia 31 marca 1941 roku stosunek umowny lekarzy do kas chorych był taki sam, jak przed rokiem 1939. Od dnia 1. IV. 1941 r. objął rozliczanie się lekarzy z kasami chorych niemiecki Związek Lekarzy Kas Chorych (*Kassenärztliche Vereinigung Deutschlands,* w skrócie *KVD*). Odtąd lekarze pracowali dla kas chorych na podstawie umowy o dzieło i otrzymywali wynagrodzenie za pracę na podstawie przedstawionych *KVD* przekazów na leczenie. Odtąd też sytuacja materialna lekarzy poprawiła się w porównaniu z sytuacją urzędników. Tylko lekarze zatrudnieni w zakładach rozpoznawczych (roentgen, pracownie bakteriologiczno-chemiczne) i w zakładach leczniczych, tj. w szpitalach, pozostawali nadal w stosunku umownym do kasy chorych lub samorządu, który przejął szpital i pobory ich były niewiele wyższe niż pobory pracowników biurowych; wynosiły one przeciętnie około 300 marek (*RM*) miesięcznie.

Od dnia 1 IV 1941 r. zniesiono dotychczasową organizację lecznictwa i wprowadzono wolny wybór lekarzy, którego następstwem było przywiązanie się chorego do lekarza na okres ważności przekazu na leczenie. Zmiana lekarza mogła nastąpić tylko przy sposobności podjęcia nowego skierowania do lekarza. Przestał odtąd obowiązywać podział lekarzy na rejony lekarzy domowych i chory mógł zwrócić się o pomoc lekarską nawet do daleko zamieszkałego lekarza. Pociągało to jednak w razie obłożnej choroby pewne trudności z uwagi na kłopoty komunikacyjne, toteż w praktyce chorzy korzystali nadal — z nielicznymi wyjątkami — z usług najbliżej zamieszkałych lekarzy.

Stanowisko lekarzy naczelnych zostało zniesione; przeniesiono ich na stały i bezpłatny urlop. Zniesione także zostały stanowiska lekarzy administracyjnych. Wydział lecznictwa, przemianowany na zarząd własnych przedsiębiorstw, przeszedł pod kierownictwo niemieckiego urzędnika administracyjnego, który posiadał następujący zakres działania:

a) zarząd własnych szpitali, instytutu Roentgena, laboratorium lekarskiego, protezowni dentystycznej, klinik dentystycznych, dawnych gabinetów dentystycznych, warsztatów i parku samochodowego;

b) zarząd centralnej składnicy sanitarnej z wytwórnią leków i zarząd aptek.

Przy sposobności likwidacji kasowych gabinetów specjalistycznych kasa chorych sprzedała całe urządzenie ambulatoriów lekarzom specjalistom, którzy odtąd stali się już tylko wolno praktykującymi lekarzami.

Dnia 1 IV 1941 r. zostały także zniesione w konsekwencji wolnego wyboru lekarza pogotowia lekarskie i dyżury położnicze, natomiast zostały utrzymane przewozy chorych do szpitali własnymi środkami lokomocji.

Mimo wyraźnych tendencji do zupełnego upodobnienia się do niemieckich kas chorych nie wszystkie kasy chorych na terenach przyłączonych do Rzeszy zlikwidowały własne szpitale, apteki, składnice sanitarne, zakłady rentgenowskie, własne wytwórnie protez i własne laboratoria lekarskie; pozwoliło im to na oszczędniejszą gospodarkę kwotami przeznaczonymi na świadczenia lecznicze, a nawet

w pewnej mierze na udostępnienie tych świadczeń ubezpieczonym. Dzięki pozostawieniu zakładu rentgenowskiego w dotychczasowym zarządzie oraz dzięki temu, że zakład miał czysto polski personel, placówka ta mogła odegrać właściwą rolę wobec okupanta, który przywiązywał do orzeczeń rentgenowskich większą wagę niż do wyniku fizykalnego badania chorego przez lekarza. Lekarze zakładu rentgenowskiego mogli niejednego Polaka uchronić od wywiezienia w głąb Niemiec na podstawie orzeczenia rentgenowskiego, mogli też pozwolić niedożywionym Polakom na dobrze zasłużony odpoczynek po nadmiernej pracy.

W początkowym okresie okupacji Polacy korzystali z tych samych świadczeń, co Niemcy i narodowości uprzywilejowane, przy czym dla Niemców istniały pewne udogodnienia w uzyskaniu świadczeń leczniczych, które polegały na pierwszeństwie przyjęcia ich przed Polakami w gabinecie lekarskim i w aptece oraz na specjalnych względach w razie leczenia szpitalnego. Specjalne zarządzenia niemieckich czynników kierowniczych nakazywały Polakom szczególną uprzejmość wobec Niemców. Niezastosowanie się do tego groziło Polakom karami dyscyplinarnymi, jednak mimo to lekarze Polacy nie stosowali się do tego. Niemcy korzystali nie tylko ze specjalnego traktowania ich w szpitalach, lecz mogli być także wysyłani do sanatoriów i zdrojowisk, z których Polacy byli wyłączeni, podobnie jak z leczenia zapobiegawczego lub rehabilitacyjnego.

Inwalidzi pracy polskiej narodowości byli pozostawieni swemu losowi i nierzadko kierowani do obozów koncentracyjnych, celem ulżenia opiece społecznej, dla której byli ciężarem, i tam w krótkim czasie umierali. Żydzi byli w ogóle wyłączeni od korzystania z urządzeń leczniczych kasy chorych i posiadali od pierwszej chwili odrębną pomoc leczniczą, zorganizowaną przez Żydowską Gminę Wyznaniową. Specjalne zarządzenie prezydenta rządowego później dopiero uregulowało tę sprawę dla ulegalizowania faktycznego stanu rzeczy.

Początkowo lekarze Polacy decydowali o niezdolności do pracy ubezpieczonych, gdyż lekarzy zaufania niemieckiej narodowości było jeszcze niewielu. Liczba osób skierowywanych przez lekarzy leczących do lekarzy zaufania również była wtedy jeszcze bardzo szczupła. Gdy jednak warunki pracy dla ludności polskiej zaczęły się pogarszać, a niedostateczne odżywianie polskich pracowników i warunki pracy spowodowały, że siły pracowników polskich zaczęły się wyczerpywać, wówczas wzmógł się napór polskich pracowników na lekarzy o zwolnienia ich z pracy z powodu choroby. Ubezpieczeni Polacy przeznaczali wolny czas nie tylko na leczenie i wypoczynek, lecz także na wyjazdy na wieś celem sprowadzenia dla rodziny środków żywności. Zarówno wyjazdy, jak i zwolnienia pracowników z pracy przez polskich lekarzy zwróciły uwagę władz niemieckich. Odtąd zaczęły się toczyć dochodzenia przeciw polskim lekarzom o zbytni liberalizm w zwalnianiu chorych. Inicjatorami tych doniesień byli najczęściej niemieccy lekarze zaufania. Niektóre doniesienia kierowano także i do gestapo.

Kasy chorych zostały wówczas zmuszone do wydania odpowiednich zarządzeń bezzwłocznego kierowania chorych niezdolnych do pracy do lekarzy zaufania, toteż odtąd lekarze Polacy z konieczności ograniczali już zbyt swobodne uznawanie chorych za niezdolnych do pracy, przyznawali chorym tylko krótkie okresy wypoczynku lub kierowali chorych do niemieckich lekarzy zaufania. W myśl niemieckiej ordynacji ubezpieczeniowej niezdolność musiano zgłaszać w kasie chorych w ciągu siedmiu dni od jej powstania. Gdy niezdolność do pracy została zgłoszona później, zasiłek wypłacało się dopiero od dnia zgłoszenia, a nie od pierwszego dnia niezdolności do pracy. Oczywiście zgłoszenie niezdolności do pracy w kasie chorych powodowało automatycznie skierowanie chorego przez kasę chorych do lekarza zaufania, który w razie nasuwających mu się wątpliwości mógł wszcząć dochodzenia przeciw lekarzowi leczącemu. Aby tego uniknąć, chorzy zgłaszali swą niezdolność dopiero w siódmym dniu jej istnienia, a wezwani do kontrolnego badania do lekarza zaufania, zgłaszali się u swych lekarzy już jako zdolni do pracy, co ani nie pozbawiało ich praw do zasiłku, ani też nie narażało lekarza. W ten sposób prawie połowa niezdolnych do pracy wypisywała się w chwili wezwania ich do kontrolnego badania i wracała do pracy, a druga połowa, tj. istotnie chorzy, zgłaszali się do kontroli u lekarzy zaufania. Chorzy, którzy mimo wezwania do kontrolnego badania nie zgłaszali się u lekarza zaufania ryzykowali wiele, gdyż gestapo interesowało się nimi i byli oni często wysyłani do obozów koncentracyjnych. Mimo tych utrudnień liczba niezdolnych do pracy stale wzrastała i, jak to stwierdziła kontrola władz nadzorczych, dochodziła w roku 1942 na ziemiach wcielonych do Rzeszy do 5% liczby ubezpieczonych.

W związku z podejrzeniem, że lekarze polscy rozmyślnie popierają uchylanie się polskiej ludności od pracy, zainteresowanie gestapo polskimi lekarzami wzrosło. Aresztowano wielu lekarzy, których wysłano do obozów koncentracyjnych, gdzie ponieśli śmierć męczeńską lub skąd wrócili w pożałowania godnym stanie po ich wybawieniu przez armie sprzymierzone.

Udzielenie pomocy lekarskiej Polakowi ranionemu przez Niemca kwalifikowało także polskiego lekarza do obozu koncentracyjnego.

Niemieccy lekarze zaufania podlegali nadzorowi krajowych zakładów ubezpieczeniowych, które wydawały im poufną drogą specjalne wskazówki dotyczące zasad kwalifikowania Polaków jako niezdolnych do pracy. Między innymi ustalono kolejność wzywania chorych do lekarzy zaufania, zależną od roz-

poznania choroby, postawionego przez lekarza leczącego, i przepisano dla każdej z chorób terminy, w których należało chorego poddać kontrolnemu badaniu. Zalecono też wprowadzenie kontroli chorych w celu ujęcia tych wszystkich, którzy nie poddają się kontrolnym badaniom lekarskim, a którzy figurują w zakładach pracy jako nieobecni z powodu choroby. W tym celu kierownicy zakładów pracy mieli obowiązek codziennie podawać kasie chorych nazwiska osób, które nie zgłosiły się do pracy, a kasa miała bezzwłocznie poinformować zakład pracy, czy kasie chorych została zgłoszona ich niezdolność do pracy. W stosunku do nieobecnych w pracy, nie zgłoszonych w kasie chorych, miały być wyciągnięte konsekwencje w porozumieniu z właściwym urzędem pracy. Zalecono też na kartach członkowskich Polaków, którzy nie zasługują na zaufanie, poczynienie odpowiednich notatek; tych chorych należało bezzwłocznie wzywać do kontrolnego badania bez względu na rozpoznanie ich choroby.

Z końcem wojny totalnej, do której wciągnięto nie tylko kobiety, lecz także 14-letnie dzieci, zmuszając je do przymusowej pracy, kontrola nad opuszczającymi pracę ulegała jeszcze dalszemu zaostrzeniu. Zarządzeniem Prezydenta Urzędu Pracy w Katowicach z 3 V 1944 r., wprowadzonym od 1 VI 1944 r. w życie, polecono każdą niezdolność do pracy podawać bezzwłocznie, a najpóźniej dnia następnego do wiadomości pracodawcy z podaniem przyczyny tej niezdolności; dotyczyło to także tych osób, które nie podlegały ubezpieczeniu chorobowemu z uwagi na wysokość ich zarobków. Ci ostatni musieli przedkładać pracodawcy na jego rachunek zaświadczenie o niezdolności, podpisane przez lekarza urzędowego. Również koniec czasu niezdolności do pracy musiał być osobno podawany do wiadomości pracodawcy. Nie stosujący się do tego zarządzenia podlegali karze pieniężnej i więziennej.

Celem uniemożliwienia chorym jakiegokolwiek pozorowania niezdolności do pracy, utworzono przy większych zakładach pracy fabryczne komisje lekarskie z niemieckim lekarzem na czele, które kierowały osoby uznane za zdolne do pracy od razu do pracy. Tam, gdzie nie było tego rodzaju komisji, lekarz fabryczny kierował chorego bezpośrednio do kasy chorych, bądź do lekarza zaufania.

Aby lekarze fabryczni nie szli chorym pracownikom na rękę, trzymano ich pod ustawicznym terrorem kierownictwa zakładu pracy i pod ciągłą grozą zesłania do obozu koncentracyjnego. Aby kontrolę nad pracą polskich lekarzy zaostrzyć do ostateczności, Izba Lekarska zawiesiła w porozumieniu z niemieckim frontem pracy (dział zdrowia i ochrona narodu) od 1 X 1944 r. w odniesieniu do Polaków nawet wolny wybór lekarzy. Od tej pory każdy lekarz miał przydzielony sobie zakład pracy, którego pracownicy musieli zasięgać tylko jego porady.

Świadczenia lecznicze i zasiłki chorobowe

Zarówno świadczenia lecznicze, jak i zasiłki chorobowe ulegały w czasie okupacji ziem zachodnich częstym zmianom.

Do dnia 30 VI 1940 r. chorzy otrzymywali świadczenia lecznicze i pieniądze według zasad polskiej ustawy scaleniowej z 1933 r. Zgodnie z zarządzeniem niemieckich ministerstw pracy i spraw wewnętrznych z 16 X 1940 r. wprowadzono na terenach przyłączonych do Rzeszy niemieckiej niemiecką ordynację ubezpieczeniową, a z ważnością od 1 VII 1940 r. wprowadzono na tych terenach nowy statut kas chorych, dostosowany do niemieckiej ordynacji ubezpieczeniowej.

Statut ten przewidywał oprócz zasadniczych obowiązkowych świadczeń (*Regelleistungen*) tzw. świadczenia nadzwyczajne dodatkowe (*Mehrleistungen*).

Świadczenia obowiązkowe przewidywały pomoc leczniczą przez 26 tygodni i począwszy od czwartego dnia niezdolności zasiłek chorobowy w wysokości 50% przeciętnego zarobku z ostatnich czterech tygodni przed zachorowaniem, przez okres najwyżej 26 tygodni, zasiłek domowy (zasiłek szpitalny dla osób samotnych nie był w ogóle wypłacany), pomoc położniczą, jeżeli ubezpieczona pozostawała w ostatnich dwóch latach 10 miesięcy w ubezpieczeniu chorobowym, z tego 6 miesięcy w ostatnim roku przed porodem. Pomoc położnicza składała się z opieki lekarskiej i położniczej, z jednorazowego dodatku na koszty porodu w kwocie 10 *RM* i 50% zasiłku połogowego (najmniej 50 fenigów dziennie) przez okres 10 tygodni, w tym 4 tygodnie przed porodem, a 6 tygodni po porodzie. Gdy ciężarna nie pracowała w okresie 4 tygodni przed porodem, otrzymywała za ten czas zasiłek w wysokości 75%, jeżeli pracowała po porodzie, otrzymywała tylko 25%, a więc połowę zasiłku połogowego. Ciężarna mogła wstrzymać się od pracy na podstawie świadectwa lekarskiego, stwierdzającego przypuszczalny termin porodu w ciągu najbliższych 6 tygodni. Zasiłek na karmienie wynosił 25 fenigów dziennie i był wypłacany przez czas 12 tygodni po porodzie.

Zasiłek pogrzebowy wynosił 20-krotny dzienny zarobek.

Warunkiem uzyskania pomocy leczniczej dla członka rodziny było pozostawanie w ubezpieczeniu ubezpieczonego przez 13 tygodni w ciągu ostatnich 6 miesięcy przed zachorowaniem członka rodziny.

Świadczenia obowiązkowe dla członków rodziny były następujące: pomoc lekarska ambulatoryjno-domowa (z wyłączeniem leczenia szpitalnego) przez okres 13 tygodni, 50% kosztów leków i mniejszych środków pomocniczych.

Członkami rodziny byli: żona, dzieci, pasierbowie i wnuki, jeżeli byli przed zachorowaniem w przeważnej części utrzymywani przez ubezpieczonego. Do pomocy położniczej był uprawniony ten członek rodziny, którego żywiciel ubezpieczony był w ostatnich dwóch latach 10 miesięcy, w tym 6 miesięcy w ostatnim roku.

Zasiłek pogrzebowy podobnie jak leczenie szpitalne nie był obowiązkowym świadczeniem dla członków rodziny ubezpieczonego, natomiast członkowie rodziny uzyskiwali aż 50-fenigowy zasiłek połogowy.

Świadczenia dodatkowe dla ubezpieczonych przewidywały: mniejsze środki lecznicze wartości do 25 *RM*, a większe do 50 *RM* z dopłatą 50% kosztów ze strony kasy chorych. Także dla sztucznego uzębienia można było uzyskać dopłatę kasy chorych lub z ubezpieczenia długoterminowego. Leczenie ambulatoryjno-domowe zostało jako świadczenie nadobowiązkowe przedłużone do 52 tygodni. Dodatki do zasiłku chorobowego na dzieci w wysokości 5% zarobku można było uzyskać najwyżej tylko dla trojga dzieci. Także takie same dodatki można było uzyskać do zasiłku domowego, mianowicie od drugiego dziecka, najwyżej za 5 dzieci.

Świadczenia dodatkowe dla członków rodziny przysługiwały tylko dzieciom do lat 16. Mogły one korzystać z opieki lekarskiej ambulatoryjno-domowej (z wyłączeniem szpitali) przez 26 tygodni. Kasa chorych dopłacała wtedy także za leki i środki lecznicze 70% kosztów, za środki pomocnicze 50%, najwyżej jednak 25 *RM*. Dopłata kasy chorych do leczenia szpitalnego wynosiła 80% taksy, najwyżej 4,75 *RM* dla starszych, a 3,50 *RM* dla dzieci poniżej 14 lat. Dopłata do sztucznego uzębienia wynosiła 50% stawek przewidzianych dla ubezpieczonych. Zasiłek pogrzebowy wynosił 1/2 zasiłku dla ubezpieczonego w razie śmierci żony, a 1/3 w razie śmierci dziecka.

Rozporządzeniem z 20. V. 1941 r. wprowadził niemiecki minister pracy rozszerzenie świadczeń, które miało obejmować zarówno Polaków, jak i Niemców. Na podstawie tego rozporządzenia poszczególne kasy przyznały ubezpieczonym i ich rodzinom leczenie ambulatoryjno-domowe (z wyłączeniem leczenia szpitalnego), bez czasowego ograniczenia, zniosły 13-tygodniowy okres wyczekiwania dla uzyskania prawa do świadczeń członka rodziny, podwyższono udział kasy w kosztach leków dla członków rodziny do 75%.

Nie trwało to jednak zbyt długo. Już w połowie 1941 r. specjalny delegat Państwowego Związku Kas Chorych *(Sonderbeauftragte des Reichsverbandes der Ortskrankenkassen)*, urzędujący w Katowicach, zawiadomił poufnie dyrektorów kas chorych, że minister pracy upoważnił prezydenta rządowego *(Regierungspräsident)* jako przewodniczącego Wyższego Urzędu Ubezpieczeniowego do wprowadzenia szczególnych postanowień *(Sonderregelung)* do państwowego ubezpieczenia w stosunku do Polaków, jak to już uczyniono w stosunku do Żydów.

W wyniku poufnej korespondencji przeprowadzonej z dyrektorami kas chorych oraz w wyniku odbytych konferencji prezydent rządowy w Katowicach wydał, powołując się na upoważnienie ministra pracy z 5 V 1941 r., poufne zarządzenie, regulujące „prawa" Polaków do świadczeń. O prawach nie mogło odtąd być mowy, skoro zamiast świadczeń ustawowych wprowadzono „wsparcia" *(Unterstützungen)*, do otrzymania których nie istniała prawna podstawa, umożliwiająca Polakowi dochodzenie należnych mu świadczeń w drodze odwołania. Na tej podstawie kasy chorych wydały własne zarządzenia służbowe regulujące świadczenia dla Polaków następująco:

Ubezpieczeni mogli z ważnością od 1 I 1942 r. korzystać z pomocy leczniczej przez 26 tygodni, z dopłaty kasy do większych środków pomocniczych w wysokości 50%, najwyżej do 40 *RM*, z pomocy dentystycznej ograniczonej do usuwania zębów, do zatruwania nerwów i plombowania w powierzchownej próchnicy (tj. gdy może ona być usunięta na jednym posiedzeniu); przy braku co najmniej pięciu zębów w zgryzie dopłata do sztucznego uzębienia wynosiła 1 *RM* od zęba.

Pomoc szpitalna została ograniczona tylko do pilnych przypadków. Zasiłek chorobowy ograniczono do 40%, najwyżej do 3 *RM*, analogicznie obniżono zasiłek domowy do 20%, najwyżej do 1,5 *RM*. Pomoc położnicza została ograniczona tylko do pomocy akuszeryjnej i mniejszych środków leczniczych, zasiłek połogowy ograniczono do 40% i do 8 tygodni, bez prawa do zasiłku dla karmiących, zasiłek pogrzebowy ograniczono do 40-krotnego zasiłku chorobowego, najwyżej do 120 *RM*.

Członkowie rodziny, tj. żona i dzieci do lat 14 korzystali odtąd z pomocy leczniczej przez 13 tygodni, z dopłaty do leków i środków leczniczych w wysokości 50% ich kosztów, a bez prawa do środków pomocniczych z pomocy dentystycznej jak ubezpieczeni, z tym, że przy braku 5 zębów w zgryzie dopłata kasy chorych wynosiła 70 fenigów od zęba. Pomoc szpitalna z dopłatą 50% kosztów została ograniczona do przypadków pilnych, nie dłużej jednak, jak przez 6 tygodni, pomoc położnicza została ograniczona do pomocy akuszeryjnej i mniejszych środków leczniczych, bez prawa do zasiłku na karmienie.

Nie było to jeszcze ostateczne ograniczenie praw polskiej ludności do świadczeń. Dnia 26 VIII 1942 r. wydał minister pracy rozporządzenie, zwane statutem dla Polaków, mocą którego zostały wszystkie świadczenia dla Polaków, tj. chorobowe, emerytalne i wypadkowe w dalszym ciągu ograniczone. Odtąd ubezpieczeni Polacy nie mieli prawa do środków pomocniczych, zasiłek chorobowy został obniżony do 25% zarobku i był wypłacany dopiero od 8. dnia niezdolności do pracy, jeżeli zgłoszenie o niezdolności wpłynęło do kasy chorych w ciągu 7 dni, zasiłek domowy wynosił odtąd 50% zasiłku chorobowego, tj. 12% zarobku, zniesiono dopłaty kasy chorych do sztucznego uzębienia, zniesiono zasiłek pogrzebowy (pogrzebami zajmowali się odtąd towarzysze pracy, obciążając się w razie zgonu współpracownika dodatkowymi składkami), zniesiono też zasiłek połogowy, pozostawiając jedynie pomoc akuszeryjną.

Członkowie rodziny, ograniczeni do żony

i dzieci do lat 15 mogli odtąd korzystać z pomocy leczniczej, jednak dopiero po upływie 13-tygodniowego okresu wyczekiwania (w ciągu ostatnich 6 miesięcy), utracili oni prawo do dopłat do sztucznego uzębienia i do dopłat do leczenia szpitalnego. Statut dla Polaków zniósł dla Polaków wszelkie świadczenia dodatkowe i znacznie ograniczył świadczenia obowiązkowe.

Niektórzy dyrektorzy kas chorych wprowadzili z końcem roku 1942 minimalne dopłaty do leczenia szpitalnego członków rodziny ubezpieczonego w wysokości od 0,50 *RM* do 1,5 *RM* zależnie od ich wieku, a od lutego 1944 r. jednolite dopłaty do leczenia szpitalnego w wysokości 0,90 *RM* dziennie, jako ekwiwalent za pomoc lekarską i leki.

Równocześnie z ograniczeniem świadczeń dla Polaków, wprowadzonych w Statucie dla Polaków, podwyższono przyznawane świadczenia dla Niemców. Dopiero u schyłku okresu okupacyjnego, tj. 15 XII 1943 r., zmieniono nieznacznie świadczenia dla Polaków, którym przyznano pomoc leczniczą ambulatoryjno-domową, nie ograniczoną żadnymi terminami i to zarówno ubezpieczonym, jak i członkom rodziny oraz przywrócono dopłaty kasy chorych do sztucznego uzębienia, tak dla ubezpieczonych, jak i dla członków ich rodziny, a dopiero 5 VI 1944 r. wprowadzono dla Polaków dopłaty do sztucznego uzębienia w wysokości 75% kosztów, które kasa dopłaciłaby ubezpieczonemu Niemcowi.

Dzięki ograniczeniom wprowadzonym przez kasy chorych w 1942 r., a głównie dzięki wprowadzeniu statutu dla Polaków, wydatki kas chorych na wszystkie zasiłki chorobowe znacznie spadły. W roku 1943 wynosiły one 13,41% (Sosnowiec), a w roku 1944 wynosiły już tylko 12,32%.

Spadły także wydatki na leki i na leczenie szpitalne, a stało się to kosztem zdrowia, niejednokrotnie też i życia szerokich rzesz polskich ubezpieczonych, wyjętych spod obowiązującego dla Niemców ustawodawstwa ubezpieczeniowego i skazanych tylko na świadczenia zawarte w statucie dla Polaków.

Na zasadzie rozporządzenia z 4 XI 1941 r. istniało ubezpieczenie rencistów w kasach chorych. Dzięki niemu mieli oni prawo do pomocy leczniczej, co stanowiło dużą pomoc, skoro renta, a raczej wsparcie wynosiło tylko 14 *RM* zarówno dla pracownika umysłowego, jak fizycznego. Nie trwało to jednak długo i rozporządzeniem ministra pracy z 26 VIII 1942 r. ubezpieczenie to zostało od 1 X 1942 r. w stosunku do Polaków zniesione.

Rozporządzeniem ministra zdrowia *(Reichsgesundheitsführer)* wprowadzono od 1 IV 1941 r. system wolnego wyboru lekarza w kasach chorych na terenach przyłączonych do Rzeszy. Odtąd lekarzy do pracy kasowej, tj. do leczenia ubezpieczonych, dopuszczała nie instytucja ubezpieczeniowa, lecz izba lekarska. Wypłatę wynagrodzenia przeprowadzał Związek Lekarzy Kas Chorych, „*KVD*" przy pomocy własnego biura rozliczeniowego. Zniesienie zrejonowania lekarzy kas chorych i wprowadzenie wolnego wyboru lekarza miało nie tylko dodatnie, ale i ujemne dla ubezpieczonych strony, albowiem na żadnym z lekarzy nie ciążył odtąd obowiązek przyjęcia chorego ze swego rejonu i pacjenci, którzy przychodzili w końcowych godzinach przyjęć lekarza mogli już u niego nie uzyskać porady. Gorzej było jeszcze z nagłymi wypadkami od czasu zniesienia pogotowia ratunkowego w poszczególnych kasach chorych. W nagłym wypadku, np. w przypadku krwotoku położniczego, ubezpieczony musiał wyszukać sobie lekarza, który by mu udzielił pomocy. Nic dziwnego, że zdarzały się odtąd przypadki bardzo silnego wykrwawienia po porodzie z tego tylko powodu, że rodzina rodzącej zbyt długo szukała lekarza.

Stosunek władz niemieckich do polskich lekarzy był oparty na czystym interesie. W miarę potrzeby, gdy brak lekarzy niemieckich nie pozwalał na zupełne zastąpienie ich lekarzami niemieckimi, byli oni tolerowani, a zależnie od okoliczności i terenu byli też lepiej lub gorzej traktowani. Lekarze polscy nie pracowali wprawdzie fizycznie i nie byli masowo wywożeni do najgorszych robót w Rzeszy, jednak praca ich podlegała bardzo ścisłej kontroli urzędników niemieckich i była ograniczona rygorystycznymi przepisami. Cała odpowiedzialność za uznanie ubezpieczonego za niezdolnego do pracy spadała na lekarza, a konsekwencje tej odpowiedzialności stały się przyczyną zgonów wielu lekarzy zesłanych do obozów koncentracyjnych lub do obozów pracy przymusowej.

Znane są przypadki porozumienia się lekarzy ze sobą w celu zwolnienia z pracy w Rzeszy ubezpieczonego, którego widoki na zwolnienie były lepsze, jeżeli posiadał dwa lub trzy orzeczenia specjalistów. Szczególne zasługi w tym względzie posiadają lekarze zakładów rozpoznawczych, którzy swoje rozpoznanie niejednokrotnie celowo przejaskrawiali, aby nie iść na rękę okupantowi. Lekarze szpitalni przetrzymywali chorych w szpitalu, aby chorzy mogli zażyć dłuższego wypoczynku, chociaż powinni byli wypisać ich natychmiast po ustąpieniu ostrych objawów. Było to tym ważniejsze, że w szpitalach publicznych leczyli się także więźniowie, skierowani tam na leczenie z obozów pracy lub nawet z więzienia.

Wynagrodzenie lekarzy wobec dużego ruchu chorych byłoby niezłe, gdyby nie potrącenia. I tak tzw. „*Polenabzug*" wynosił 15%, podatek obrotowy i dochodowy były potrącane automatycznie, podobnie jak pomoc zimowa, front pracy, na wdowy i sieroty oraz wiele innych sprawiały, że lekarz z należnych mu kilkunastu tysięcy otrzymywał kwartalnie zaledwie kilka tysięcy.

Mimo to lekarze leczyli wielu chorych bezpłatnie i z zasady nie pobierali honorariów od rodzin osób przebywających w obozach koncentracyjnych i więzieniach. Nieliczni tylko lekarze nie obracali swych lepszych warun-

ków finansowych na pomoc dla bardziej potrzebujących rodaków.

Dzięki małej liczbie lekarzy Polaków na terenach ziem zachodnich sytuacja materialna lekarzy nie przedstawiała się najgorzej, albowiem jednostkowe wynagrodzenia punktowe, chociaż wynosiły one zaledwie 1/3 należności, którą otrzymałby za tę pracę lekarz Niemiec, były dla lekarzy przecież dość korzystne. Jednak zracjonowanie żywności, otrzymywanej odtąd tylko na przydział kartkowy nie pozwoliło lekarzowi zakupić niczego innego, niż mu na kartki przydzielono, toteż ostatecznie lekarzowi było obojętne, czy zarabiał 2 000 *RM* czy też tylko 500 *RM*. Przeciętnie kwartalnie zarabiał lekarz polski do 2 500 *RM* (chociaż byli i tacy, którzy zarabiali znacznie więcej).

Każdy lekarz musiał posiadać konto bankowe, na które przelewano jego dochody z tytułu pracy w ubezpieczeniu chorobowym. Podjęcie tych kwot dla ich gotówkowego zużycia było uzależnione od uznania przez władze bankowe potrzeby zamierzonych wydatków.

Wobec małej liczby lekarzy Polaków byli oni stale przepracowani i musieli nieraz pracować do 18 godzin dziennie. W Poznaniu było w tym czasie mało specjalistów. Tylko dwóch lekarzy chorób dzieci było dopuszczonych do pracy w ubezpieczeniu chorobowym, które obsługiwało około 200 000 osób ubezpieczonych narodowości polskiej, nie licząc najbliższej prowincji oraz uprzywilejowanych niemieckich pacjentów.

Tylko dzieci do lat siedmiu miały bezpośredni dostęp do lekarza pediatry. Ponieważ lekarze nie pracowali na podstawie umowy o pracę, lecz na podstawie umowy o dzieło, nie mieli oni prawa do urlopów wypoczynkowych i do urlopów okolicznościowych. Nawet jeżeli sytuacja materialna lekarzy pozwalała im na czasowe powstrzymywanie się od pracy zawodowej, nie mogli sobie na to pozwolić z braku lekarza zastępcy. Oczywiście leki droższe, trudniej dostępne, były dla Polaków nieosiągalne, a pod koniec okupacji wprost niedozwolone (np. sztuczna maślanka dla niemowląt z zaburzeniami przewodu pokarmowego).

Lecznictwo profilaktyczne dla ludności polskiej nie istniało. Dzieci polskie nie mogły być kierowane ani do prewentoriów, ani też na kolonie lecznicze czy wypoczynkowe. Także poradnie dla matki i dziecka musiały zwinąć swoją działalność. Leczenie sanatoryjne było dostępne tylko w gruźlicy i to jedynie dla ubezpieczonych. Rodziny nie mogły z niego korzystać podobnie jak z leczenia szpitalnego, które było dostępne tylko w miarę wolnych miejsc, na oddziale szpitalnym przeznaczonym dla Polaków. Leczenie szpitalne było przeznaczone przede wszystkim dla pracującego, aby przywrócić najszybciej jego zdolność do pracy. Nic więc dziwnego, że zwalnianie Polaków ze szpitala odbywało się w dość przyspieszonym tempie. Surowe przepisy i kary za przerywanie ciąży obowiązywały tylko w odniesieniu do Niemców.

Chorzy niemieckiej narodowości byli uprzywilejowani. Należało ich przyjmować poza kolejką, o czym musiała informować wywieszka w poczekalni lekarza. Lekarze Polacy omijali te zarządzenia przyjmując Polaków poza godzinami przyjęć. Niemcy korzystali bez ograniczeń z leczenia szpitalnego, sanatoryjnego, wszelkich leków i z wyższych świadczeń finansowych.

Związek lekarzy został rozwiązany, a mienie jego zostało przejęte przez niemiecką izbę lekarską, do której lekarze Polacy musieli wpłacać także 2—3% uzyskanych zarobków z prywatnej praktyki lekarskiej. Lekarz kasy chorych, Polak, podlegał odtąd tylko lekarzowi powiatowemu, niemieccy lekarze podlegali izbie lekarskiej. Wszystkie kierownicze stanowiska w administracji kasy chorych zostały obsadzone przez osoby narodowości niemieckiej.

Część lekarzy niemieckich, osiedlonych na naszych ziemiach zachodnich, pochodziła z Litwy i Łotwy. Niektórzy lekarze odnosili się do Polaków w sposób ludzki, ponieważ mieli za sobą już pewne doświadczenie i osobiste przeżycia wojenne. Lekarze niemieccy posiadali samochody, które im bardzo ułatwiały pracę w terenie. Do ich dyspozycji stała też zamieszkała w każdej gminie higienistka, która odwiedzała dzieci niemieckie w domu. Często i ona dysponowała zmotoryzowanym środkiem lokomocji i jeżeli nie była narodowo-socjalistycznych przekonań, udzielała pomocy także dzieciom polskim. Dla przewozu obłożnie chorych do szpitala istniały karetki sanitarne, które mogły przewieźć do szpitala chorego Polaka tylko za zgodą niemieckiego lekarza powiatowego. Niemców przewożono oczywiście bez jakichkolwiek ograniczeń.

Jeżeli lekarz Polak miał samochód, mógł go używać tylko do odwiedzania obłożnie chorych. Korzystał on wówczas nawet ze skromnego przydziału benzyny (ostatnio już tylko 5 litrów na miesiąc), jednak samochód musiał być oznaczony napisem „Lekarz w służbie" (*„Arzt im Dienste"*).

Lekarz polski mógł zasadniczo zwolnić chorego z pracy na trzy dni. Dłuższą niezdolność musiał potwierdzić niemiecki lekarz zaufania, urzędujący na prowincji w urzędzie zdrowia, w większych miastach w siedzibie kasy chorych lub w swych gabinetach prywatnych.

Liczba niezdolnych do pracy na ziemiach polskich nie mogła przekraczać 2% ogólnej liczby ubezpieczonych, chociaż na terenie Rzeszy Niemieckiej w wielu kasach chorych podczas wojny liczba ta przekraczała 4%. W niektórych zakładach pracy, które były ważne dla celów wojennych, jak np. w Fabryce Cegielskiego w Poznaniu, uznawano polskich pracowników za niezdolnych do pracy tylko wówczas, jeżeli stwierdzono u nich wysoką gorączkę lub poważną chorobę. W razie uznania Polaka z prawidłową ciepłotą za niezdolnego do pracy, lekarze byli narażeni na przy-

krości i dochodzenia gestapo. Gdy lekarze niemieccy nie dość sprężyście wpływali na zmniejszenie się odsetka niezdolnych do pracy, wkraczała administracja niemiecka, stosując własne metody. Urzędnicy urzędu pracy, podjudzani przez niemieckich pracodawców, niejednokrotnie bili polskich pracowników zwolnionych z pracy, zmuszając ich terrorem do pracy.

Metody te oraz niskie normy zasiłku chorobowego spowodowały, że chorzy polscy często rezygnowali z zasiłku chorobowego, byle nie narażać się na brutalne traktowanie i na represje urzędu pracy. Szczególną opieką otaczały władze niemieckie ubezpieczonych Polaków zajętych w Rzeszy, a przybyłych do domu z powodu choroby. Osoby te były jak najszybciej kierowane do lekarzy zaufania lub do komisji lekarskiej, aby je jak najwcześniej wysłać do pracy w Rzeszy.

Chorych z otwartą gruźlicą kierowano do odpowiednich oddziałów szpitalnych w celu izolacji, podobnie jak chorych wenerycznie, o których po pewnym czasie zaczęły krążyć słuchy, że leczenie ich kończy się często śmiertelnym wynikiem. Od tej pory ani chorzy wenerycznie, ani lekarz nie godzili się na ich leczenie szpitalne.

Porody Niemek odbywały się zasadniczo w szpitalu i nie obowiązywały tu żadne ograniczenia, natomiast Polki mogły być przyjęte do szpitala tylko dla odbycia powikłanego, operacyjnego porodu. Na równi z Polakami byli traktowani tzw. *„Leistungspolen"* i Polacy zatrudnieni w Rzeszy. Uzyskanie pomocy lekarskiej dla Polaka zależało przede wszystkim od dobrej woli polskiego lekarza. Nic dziwnego, że chorzy z ośrodków wiejskich starali się tu i ówdzie trafić do serca lekarza także drogą zaopatrywania jego spiżarni w artykuły żywnościowe, co w razie wykrycia groziło obu stronom represjami władz niemieckich.

Zorganizowanej samopomocy lekarzy na terenach zachodnich nie było i być nie mogło. Była ona raczej dorywcza i odruchowa i polegała na przestrzeganiu lekarzy Polaków przed grożącym im niebezpieczeństwem przez tych, którzy przyjęli tzw. *„Volkslistę"*, a którzy chcieli się czymś przysłużyć Polakom. Polscy lekarze, którzy przekroczyli tzw. *„Opiumgesetz"*, tj. ustawę o obrocie środkami narkotycznymi, byli karani wysokimi grzywnami, sięgającymi tysięcy marek w odróżnieniu od lekarzy niemieckich, których przekroczenia ustawy spotykały się z pobłażaniem lub tylko z ostrzeżeniem. Przerwanie ciąży u Niemki groziło lekarzowi polskiemu śmiercią, chociaż ustawowo ta sprawa nie była jeszcze uregulowana na terenach okupowanych przez Niemców.

Bezmyślne niszczenie lub sprzedaż na makulaturę ważnych dokumentów polskiej ubezpieczalni społecznej i brak kart przebiegu ubezpieczeń długoterminowych utrudniał ubezpieczonym starania o rentę inwalidzką. Było to tym bardziej jeszcze utrudnione, że w wielu biurach pojawiały się napisy: „Tu się mówi tylko po niemiecku" lub „Polakom wstęp wzbroniony". Zresztą tylko Polacy wpisani na niemiecką listę narodowościową mogli otrzymać rentę.

Polacy zajęci w administracji kasy chorych starali się być pomocnymi swym współziomkom. I tak np. chwilowo niezdolnym do pracy pomagali w ten sposób, że wezwania do stawiennictwa przed niemieckim lekarzem zaufania posyłali pod fałszywym adresem, lekarze znowu pisali często, że ubezpieczony jest obłożnie chory itp. Jakie warunki pracy mieli polscy pracownicy, tego dowodzi rozkład zajęć w kasie chorych w Chełmży na Pomorzu, gdzie do kwietnia 1943 r. obowiązywały godziny pracy od 7 do 21 z godzinną przerwą na obiad i na posiłek wieczorny. Niemcy pracowali w tym okresie od 7 do 18 z godzinną przerwą na obiad.

Na terenach ziem polskich przyłączonych do III Rzeszy nie mogła się szeroko rozwijać podziemna praca niepodległościowa. Ostra kontrola wykonywana przez Niemców nad Polakami, duże utrudnienia komunikacyjne dla Polaków, godziny policyjne, nadmierne obarczenie wyczerpującą pracą zawodową, dodatkowe dyżury nocne dla obrony przeciwlotniczej, dodatkowe roboty przy kopaniu zbiorników na wodę i rowów obronnych absorbowały całą ludność do tego stopnia, że w praktyce w znacznym stopniu utrudniały pracę konspiracyjną.

Kierownicy niemieccy instytucji ubezpieczenia chorobowego ustawicznie namawiali polskich pracowników do przyjęcia III grupy niemieckiej listy narodowościowej. Ludzie bardziej odporni, nie bacząc na konsekwencje, odmawiali wpisania się na listę narodowości niemieckiej, jednostki słabsze, sterroryzowane groźbami, decydowały się na linię mniejszego oporu, chociaż były wypadki, w których Polacy zapytywali namawiających ich Niemców, czy uczyniliby to, gdyby sami znaleźli się w podobnej sytuacji. Zapytany Niemiec oświadczał, że sam nigdy by tego nie zrobił. „Nie może pan więc wymagać od nas, byśmy inaczej postąpiły" — odpowiedziała mu Polka posiadająca niemieckie nazwisko, ale duszę polską. Uważana za podżegaczkę do oporu w podpisywaniu *„Volkslisty"* została następnego dnia, po złożeniu oświadczenia, że nie podpisze wykazu, zwolniona z pracy. Zachętą do zgłaszania się na *„Volkslisty"* miało być także potrącenie polskiemu personelowi 15% z ich poborów, niezależnie od potrąceń podatkowych i ubezpieczeniowych, jako tzw. *„Polenabzug"*, a więc forma daniny, obowiązującej tylko Polaków. Jeżeli się zważy, że pobory personelu polskiego były i tak już znacznie niższe niż pobory personelu niemieckiego, jasne jest, że wszystko to miało Polaków zniechęcić do tego, co polskie i ułatwić im rozstanie się z ojczyzną.

Stosunek Niemców do polskich pracowników instytucji ubezpieczenia chorobowego ilu-

struje doskonale następujące zdarzenie: pewien Polak nie ukłonił się na korytarzu Niemcowi w mundurze, ponieważ go nie znał. Niemiec ów, jak się później okazało, zatrudniony w tej kasie chorych jako wyższy urzędnik, a nawet jako tzw. *„Politischer Leiter"* zatrzymał polskiego pracownika i zapytał go, czemu się mu nie ukłonił. Gdy Polak oświadczył mu, że go nie zna, został po chwili wezwany do kierownika Zakładu, który w obecności specjalnie zawezwanych w tym celu wszystkich Niemców i ustawionych w dwuszeregu (wszyscy mieli mundury) zelżył go słownie i oświadczył mu, że widocznie stoi na czele spisku przeciwniemieckiego, jeżeli nie pozdrawia przełożonego Niemca. Zwolniony z miejsca z pracy, został przyjęty ponownie do pracy tylko dzięki interwencji kierownika sekcji, jednak został później pominięty przy dwóch kolejnych podwyżkach poborów, zastosowanych wobec wszystkich polskich pracowników. Z dniem 1. I. 1940 r. wprowadzono rozporządzeniem z dnia 16. I. 1940 r. niemieckie prawo ubezpieczeniowe na „byłych" terenach polskich, przyłączonych do śląskich prowincyj. Teren ten stanowiło województwo śląskie, część Zagłębia Krakowskiego, Zagłębie Dąbrowskie, Zaolzie, tzw. Ziemia Hulczyńska koło Raciborza oraz kilka miejscowości pogranicznych powiatu częstochowskiego na czele z Blachownią, podniesioną do rzędu miasta.

Następne rozporządzenie z 22. XII. 1941 r. pod tytułem *„Verordnung über die Einführung der Reichsversicherung in den eingegliederten Ostgebieten"* wprowadziło niemieckie ustawodawstwo ubezpieczeniowe na wszystkich przyłączonych do Rzeszy terytoriach polskich.

Leczenie zapobiegawczo-restytucyjne istniało na terenie Górnego Śląska tylko w bardzo skromnych rozmiarach, gdyż z czterech sanatoriów, przeznaczonych poprzednio dla górników, czynne były tylko dwa, w Kudowie i Polanicy, gdzie łącznie było 150 łóżek. Sanatorium przeciwgruźlicze w Wodzisławiu, liczące 190 łóżek, było także czynne, jednak cieszyło się taką samą popularnością wśród ubezpieczonych, co inne zakłady szpitalne przeciwgruźlicze. Zwalczanie gośćca, o którym od r. 1942 dużo się mówiło jako o klęsce społecznej, pozostało akcją papierową, która nie doczekała się w ogóle realizacji.

Akcja profilaktyczna, tj. wysyłanie dzieci na kolonie i półkolonie miała zastosowanie tylko w odniesieniu do dzieci niemieckich lub dzieci uważanych za dzieci niemieckiego pochodzenia, tj. do dzieci górników śląskich i była prowadzona przez niemiecką organizację „Front Pracy" *(Arbeitsfront)*.

Do czasu odmiennego uregulowania spraw pomocy leczniczej w roku 1942 Polacy korzystali ze świadczeń leczniczych instytucji ubezpieczeń społecznych bez względu na narodowość. Zmieniło się to dopiero 9. IV. 1942 r. W dniu tym prezydent prowincji *(„Regierungspräsident")* jako przewodniczący Wyższego Urzędu Ubezpieczeń wydał zarządzenie, w którym ustalił okres opieki lekarskiej dla Polaków na 26 tygodni. Zasiłek chorobowy wynosił dla Polaków 40% zasadniczego zarobku, najwyżej 3 *RM* dziennie. Zasiłek połogowy także nie wyższy aniżeli 3 *RM* mógł być wypłacony za okres najwyżej trzech tygodni. Drobniejsze środki lecznicze i pomocnicze można było uzyskać, jeżeli koszt ich nie przekraczał 20 *RM*, droższe (do 40 *RM*) za dopłatą 50% ich kosztów. Plombowanie zębów mogło być wykonane, jeżeli dało się uskutecznić na jednym posiedzeniu, a więc jeżeli nie wymagało leczenia zębów lub korzenia. Sztuczne uzębienia przyznawano w razie braku co najmniej pięciu zębów w zgryzie. Leczenie szpitalne mogło być stosowane tylko w wypadkach nagłych, np. gdy zachodziła potrzeba wykonania operacji za zgodą instytucji ubezpieczeniowej, najwyżej jednak przez 6 tygodni. Zasiłek połogowy dla Polek był ograniczony tylko do czterech tygodni. Dzieci korzystały z opieki lekarskiej tylko do 14. roku życia (niemieckie do 18. roku życia) i to przez 13-tygodniowy okres dla jednego schorzenia. Członkowie rodziny mogli korzystać z leczenia szpitalnego na tych samych warunkach, co ubezpieczeni, jednak ubezpieczony musiał ponosić połowę kosztów tego leczenia. Oczywiście zasiłki na karmienie nie były przewidziane dla Polek.

Świadczenia te nie były świadczeniami obowiązkowymi i były udzielane przez instytucje ubezpieczeń społecznych jako świadczenia dobrowolne, których nie można było ani dochodzić, ani zaskarżyć, chociaż składki ubezpieczeniowe były pobierane od Polaków w tej samej wysokości, co od Niemców, przy czym górna granica dziennych zarobków podlegających ubezpieczeniu Polaka wynosiła tylko 10 *RM*.

Z chwilą wejścia w życie statutu dla Polaków, tj. od 28. VIII. 1942 r. tylko Niemcy mieli prawo do renty i pomocy leczniczej, spośród rencistów osoby wpisane do niemieckich list narodowościowych oraz narodowości uprzywilejowane. Renciści Polacy nie mieli więc odtąd prawa nawet do pomocy leczniczej (§ 10 statutu dla Polaków). Do osób zaliczonych do narodowości żydowskiej nie miały zastosowania żadne przepisy ustawowe ani też rozporządzenie władz ubezpieczeniowych. Byli oni na terenach przyłączonych do Rzeszy w ogóle wyjęci spod działania prawa.

Statut dla Polaków wyłączał Polaków na Górnym Śląsku z korzyści płynących z dodatkowego ubezpieczenia górników, tj. z brackiego ubezpieczenia pensyjnego, chociaż Polacy zajęci w górnictwie byli obowiązani opłacać składki do tego ubezpieczenia w tej samej wysokości, co Niemcy.

Statut dla Polaków był ściśle wykonywany, zgodnie z duchem i literą prawa. Jest to pierwszy w historii dokument zastosowania kryteriów politycznych w ubezpieczeniach społecznych, a zarazem oczywisty dowód spaczenia umysłu i podstawowych formuł prawnych zasadami narodowo-socjalistycznymi oraz naruszenia prawa międzynarodowego.

Dowodem pewnego otrzeźwienia, które wystąpiło dopiero w czerwcu 1943 r. jest niezre-

alizowany projekt rozporządzenia „o traktowaniu Polaków w ubezpieczeniach w Rzeszy", który przewidywał pewne łagodniejsze warunki udzielania świadczeń dla Polaków. Projekt ten nie został zrealizowany i statut dla Polaków obowiązywał właściwie aż do końca okupacji.

Przechodząc po kolei niektóre ubezpieczenia społeczne ziem zachodnich musimy stwierdzić, że w Poznaniu zlikwidowano przede wszystkim apteki ubezpieczalni, budynek szpitala ubezpieczalni przeznaczono na internat dla sióstr Niemieckiego Czerwonego Krzyża, zlikwidowano zakłady rentgenowskie i zakład przyrodoleczniczy, których urządzenia oddano bezpłatnie lub za minimalną opłatą niemieckim lekarzom. Zlikwidowano też wkrótce doskonałe przychodnie dentystyczne, przychodnię przeciwgruźliczą i laboratorium bakteriologiczno-chemiczne ubezpieczalni społecznej. Podpalony przez Niemców budynek administracyjny ubezpieczalni społecznej w Poznaniu spłonął doszczętnie, wobec czego nie istniała już żadna przeszkoda do urządzenia ubezpieczeń społecznych ściśle według własnych założeń.

Dnia 1 stycznia 1940 r. zwolniono lekarzy Polaków z pracy w ubezpieczalni społecznej w Poznaniu, później w miarę potrzeby niemiecka izba lekarska, która objęła organizację lecznictwa dla ubezpieczonych, zezwalała także lekarzom polskim na pracę dla utworzonej na gruzach ubezpieczalni społecznej kasy chorych w Poznaniu.

Zarówno kierownik, jak i niemieccy pracownicy izby lekarskiej traktowali lekarzy polskich jak zło konieczne, które należało chwilowo jeszcze wykorzystać, dopóki niemieccy lekarze nie będą mogli polskich lekarzy w zupełności zastąpić. Z biegiem czasu zezwolono nawet polskim lekarzom na leczenie Niemców, albowiem rachuby na zastąpienie lekarzy polskich niemieckimi okazały się płonne. Polska obsada lekarska składała się przeważnie z młodszych lekarzy; starsi i poważniejsi lekarze zostali wkrótce zlikwidowani bądź wysiedleni do tzw. Generalnej Guberni.

Ponieważ w Poznańskiem i na pozostałych ziemiach polskich włączonych do Rzeszy nie wolno było Polakom poruszać się poza teren swojej pracy bez specjalnej przepustki, wydawanej przez tzw. *Amtskomissara*, lekarze tamtejsi wyzyskiwali swoje szczególne uprawnienia i chętnie kierowali ubezpieczonych do specjalistów, do rentgena, do szpitala itp., aby im ułatwić przejazd koleją. Te fikcyjne zaświadczenia, masowo wydawane, nasuwały oczywiście podejrzenia niemieckich czynników i niejednokrotnie pociągały za sobą konsekwencje w stosunku do zbyt liberalnego lekarza.

Ograniczenia leków na tych ziemiach były dla Polaków duże. Nie można było zapisywać dzieciom tranu nawet w tzw. „kurzej ślepocie", a więc nawet w przypadku nieodzownej potrzeby, skasowano dla Polaków wszelkie preparaty odżywcze, nawet te, które były równocześnie środkami leczniczymi, jak np. preparaty białkowe, konieczne przy zaburzeniach pokarmowych niemowląt.

Co się tyczy zwalczania gruźlicy, to wszystko kończyło się na rejestracji, izolacji i dezynfekcji, albowiem działalność „poradni przeciwgruźliczych" dla Polaków została wstrzymana.

Masowe szczepienia przeciwdurowe i policyjne środki, zmuszające chorych wenerycznie do leczenia się, nie wypływały z troski o zdrowie ludności, lecz były tylko wyrazem obawy o zdrowie Niemców.

Ludność żydowska, zamieszkująca mniejsze miasteczka na terenach przyłączonych do Rzeszy, została od razu pozbawiona wszelkich praw z tytułu ubezpieczenia chorobowego. Zmuszana do prac porządkowych (usuwanie gruzów), była narażona na wypadki w pracy. W razie nieszczęśliwego wypadku nikt z Żydów nie dostawał żadnych zasiłków, a kasa chorych nie pokrywała za nich kosztów leczenia szpitalnego.

Aby również polskim pracownikom utrudnić korzystanie z opieki lekarskiej, dopuszczano robotników pewnej fabryki tylko wtedy do lekarzy, gdy gorączkowali. Kontrolę w tym kierunku przeprowadzali sanitariusze niemieckiej narodowości. Nic dziwnego, że w takich warunkach ratowała sytuację ubezpieczonych tylko solidarność narodowa. Na terenach przyłączonych do Rzeszy nie istniała wprawdzie zorganizowana praca niepodległościowa, lecz inicjatywa poszczególnych pracowników ubezpieczeniowych w zupełności wystarczała, aby obchodzić zarządzenia władz niemieckich i ułatwić polskiej ludności przetrwanie okupacji.

W Łodzi mianowali Niemcy naprzód komisarzem ubezpieczalni społecznej jednego z miejscowych Niemców. Z początkiem 1940 r. mianowano nowego komisarza pochodzącego z Rzeszy, który nie zmieniając jeszcze zasad ustawowych polskiego ubezpieczenia chorobowego, wprowadził już pewne ograniczenia świadczeń i usiłował dostosować istniejące urządzenia organizacyjne do niemieckich zasad.

Dnia 1 kwietnia 1940 r. zamknięto ambulatoria US i wprowadzono organizację lecznictwa obowiązującą w Rzeszy niemieckiej. Nowo utworzona kasa chorych zajmowała się tylko ściąganiem składek i rozprowadzaniem gotówki. Lecznictwo przejął związek lekarzy niemieckich kas chorych (*Kassenärztliche Vereinigung Deutschlands*), który stał pod nadzorem izby lekarskiej. Związek ten zawierał umowę z kasą chorych i powoływał bądź dopuszczał lekarzy do praktyki kasowej. 31 marca 1940 r. przestał urzędować lekarz naczelny dr *Miłochowski*, podobnie jak dyr. *Waligórski*, który przestał urzędować już 31. XII. 1939 r.

Urzędnicy niemieccy zajęli wszystkie kierownicze stanowiska; Polacy pozostawali na stanowiskach podrzędnych. Nowych urzędni-

ków-Polaków z zasady nie przyjmowano, toteż z końcem okupacji polscy urzędnicy stanowili mniejszość, nie przekraczającą 15—20% ogółu urzędników.

Od czasu do czasu odbywały się w Izbie Lekarskiej odprawy dla lekarzy: osobne dla Niemców i narodowości uprzywilejowanych, osobne dla Polaków. Kierownik Izby Lekarskiej, dr *Meier*, komunikował lekarzom najnowsze zarządzenia z dziedziny lecznictwa ubezpieczeniowego, przy czym wolno było zadawać pytania; do dyskusji nie dopuszczano. Przestrzegał on lekarzy przed nieuzasadnionym zwalnianiem chorych, grożąc niepoprawnym daleko idącymi konsekwencjami.

Lekarze Polacy wkrótce zorientowali się, że nowy system lecznictwa dał im ważny czynnik bezpośredniego, przez nikogo nie kontrolowanego kontaktu z chorymi, dzięki czemu mogli zyskać ich zaufanie i w razie potrzeby udzielać pomocy.

Izba lekarska wyznaczyła dla lekarzy-Polaków za jeden przekaz na leczenie w kwartale 4,5 *RM*, dla lekarzy specjalistów 5 *RM*. W ten sposób miały być honorowane przekazy, jeśli nie przekraczały w sumie 500. Za każdą następną setkę wynagrodzenie wynosiło o 1 *RM* mniej, a od 801 przekazu wynosiło już tylko 1 *RM*. Przeciętnie lekarz miał około 1200 przekazów, powinien więc był otrzymywać 3800 *RM*, otrzymywał tylko 2500 *RM* bez względu na to, czy był lekarzem ogólnie praktykującym czy specjalistą. Lekarz wenerolog, który miał kwartalnie 3000 przekazów, powinien był otrzymać 25 000 *RM*; otrzymywał jednak tylko 3500 *RM*, chociaż lekarze niemieccy otrzymywali pełne stawki, bez żadnych potrąceń, oprócz potrąceń podatkowych.

Gabinety polskich lekarzy dentystów zostały przydzielone lekarzom dentystom niemieckim. Właściciel gabinetu mógł u Niemca, który objął jego warsztat pracy, być zatrudniony jako jego pracownik.

Każde skierowanie chorego do szpitala wymagało aprobaty lekarza zaufania, tylko leczenie szpitalne chorych wenerycznie w okresie zaraźliwości nie podlegało żadnym ograniczeniom. Dostęp polskich chorych do większości szpitali był zamknięty, gdyż były one przeznaczone dla osób narodowości niemieckiej. Bez trudności przyjmowano chorych zakaźnie. Polski oddział chirurgiczny i położniczy z 200 łóżkami pozostał na ulicy Łomżyńskiej, gdzie wykonywano wszelkie zabiegi operacyjne, toteż Szpital św. Trójcy ze 100 łóżkami dla chorych na gruźlicę był prawie całkowicie zajęty przez Polaków. Istniało pogotowie położnicze dla Polaków, którego szoferom nie wolno było pod karną odpowiedzialnością przewozić Polek na poród do szpitala, gdyż powinny były rodzić w domu. Niejedna Polka zawdzięcza życie swoje i dziecka ofiarności szoferów, którzy nie bacząc na grozę dochodzeń decydowali się na przewiezienie jej do szpitala.

Przerwanie ciąży ze wskazań lekarskich wymagało zatwierdzenia Izby Lekarskiej. Kierownik Izby Lekarskiej oświadczył na jednej z odpraw, że Rzeszy niemieckiej zupełnie nie zależy na przyroście polskiej ludności i że wnioski o przerwanie ciąży u Polek będą zatwierdzane bez względu na stan zdrowia.

Niemkom było bardzo trudno uzyskać zezwolenie na przerwanie ciąży. Jeden z łódzkich lekarzy, który przerwał ciążę u Niemki bez zgody Izby Lekarskiej, został skazany na śmierć. Wyrok wykonano.

Apteki własne zostały zlikwidowane, podobnie jak składnica apteczna i własna wytwórnia leków. Zapasy leków zostały rozprowadzone między apteki publiczne. Szpital Ubezpieczalni został przejęty przez Zarząd Miejski miasta Łodzi, a sanatorium w Tuszynku przejął niemiecki krajowy zakład ubezpieczeń. Gmach ambulatorium przy ul. Lecznicznej przejął związek lekarzy kas chorych, gmach ambulatorium przy ul. Łagiewnickiej pozostał w getcie, gdzie był użytkowany na różne cele, ambulatorium w Zgierzu przejął Zarząd Miejski, który przeznaczył je na dom zborny, a później dla Niemców przyjeżdżających tam z różnych krajów na osiedlanie się.

Personel polski został zlikwidowany częściowo wskutek zwolnienia, częściowo przez wysiedlenie do Generalnej Guberni, częściowo zaś wskutek stosowania donosów do gestapo, które wysyłało ludzi do więzienia lub do obozu koncentracyjnego.

Komisarze niemieccy, szczególnie *Fritz Seelig* szykanowali pracowników polskich. Za jego podszeptem gestapo przeważną część pracowników ubezpieczalni wysłało do obozów.

Lekarze Polacy chętnie wydawali mimo ostrzeżeń izby lekarskiej fikcyjne zaświadczenia o niezdolności do pracy tak, że na terenie Łodzi nie było chyba ani jednego lekarza, który by przynajmniej raz nie był wzywany z tego powodu do gestapo celem wytłumaczenia się. Najbardziej obciążony dr *Beck* musiał uciec z Łodzi.

Lekarze mogli przepisywać leki ubezpieczonym polskim w ciągu kwartału tylko do pewnej kwoty; w razie przekroczenia tej kwoty potrącano lekarzowi nadwyżkę z wynagrodzenia. Lekarz specjalista mógł dla jednego chorego przepisać w ciągu kwartału leków za 5,40 *RM*, lekarz ogólnie praktykujący — za 4,50 *RM*, pediatra — za 3,50 *RM*, okulista za 2,20 *RM*. Dentyści udzielali pomocy dentystycznej według cennika Rzeszy, po cenach jednostkowych do pewnej maksymalnej granicy miesięcznej. Rozrachunek z nimi przeprowadzała kasa chorych za pośrednictwem związku dentystów.

Poradnie dla matki i dziecka istniały tylko dla ludności niemieckiej. Zarówno ciężarne Niemki, jak i dzieci niemieckie otrzymywały specjalne przydziały żywności. One też były wysyłane na kolonie i półkolonie przez niemieckie instytucje. Ludności polskiej nie wolno było korzystać z letnisk podmiejskich, a nawet w niedziele i święta używać kolejek dojazdowych celem wyjazdu za miasto. Zabroniono także ludności polskiej wstępu do parków i ogrodów miejskich.

W miarę postępu czasu ograniczenia w lecznictwie i świadczeniach dla Polaków potęgowały się. Dopiero w 1944 r. odczuli ubezpieczeni w Łodzi pewne liberalniejsze podejście do nich, jednak rychło zorientowano się, że było to tylko w związku z odwrotem Niemców ze wschodu i z agitacją za wstępowaniem do wojska niemieckiego.

Lekarz leczący mógł uznać ubezpieczonego w Łodzi niezdolnym do pracy na 3—7 dni. Dłuższy okres niezdolności wymagał aprobaty jednego z sześciu lekarzy zaufania, którzy urzędowali przy izbie lekarskiej w gmachu US przy ul. Leczniczej i którzy mieli do swej dyspozycji zakład rentgenowski i pracownię analityczną. Zdarzało się też, że chory uznany w końcu za zdolnego do pracy był od razu aresztowany lub wzywano go później na gestapo, skąd już nie wracał. Od czasu do czasu, wskutek presji czynników politycznych, lekarze zaufania wypisywali chorych gromadnie do pracy. Jeden z lekarzy zaufania, Ukrainiec dr *Zahrebielnyj* bił chorych i wypisywał ich bez badania jako zdolnych do pracy. Schwytany po wojnie, został skazany na dożywotnie więzienie. Pracownicy ubezpieczalni byli kierowani do specjalnego lekarza zaufania, którym był lekarz miejski.

System wydawania na początku każdego kwartału kartek do lekarzy zamiast stałych legitymacji polskich okazał się w tak dużej ubezpieczalni, jak łódzka, nieodpowiedni. W kolejkach osób wyczekujących na kartki stały tysiące ubezpieczonych, co źle świadczyło o zdolności organizacyjnej Niemców. Rozwiązał to zagadnienie urząd pracy w swoisty sposób, mianowicie zorganizował obławy na czekających w kolejce. W ten sposób ogonki zostały od razu zlikwidowane. Dzięki inicjatywie polskich pracowników przeniesiono wówczas uprawnienia do wydawania przekazów na leczenie także na pracodawców i odtąd nie zachodziła więcej potrzeba organizowania łapanek na chorych ubezpieczonych i ich rodziny, wyczekujące w kolejce.

Codzienna obserwacja życia w okresie okupacji, codzienna styczność pracowników ubezpieczalni z kilkudziesięciu lub kilkuset ludźmi z różnych warstw i zawodów przekonywały ich o tym, jak naród polski jest żywotny i solidarny w nieszczęściu.

Jeden z pracowników US w Radomiu tak kończy swoją odpowiedź na ankietę: „i stałem się dumny, że pracuję właśnie w instytucji opartej na solidarności, której zadaniem jest uczynić z nas wszystkich braci przez zrozumienie, że dzisiejszy twój los będzie jutro moim".

Ubezpieczalnia społeczna we Włocławku pracowała do 28 II 1940 r. na przedwojennych zasadach. Dnia 1 III 1940 r. zlikwidowano własną aptekę US i wprowadzono niemiecki sposób organizacji pomocy leczniczej. Lekarze przestali być od tego dnia pracownikami US i rozliczali się odtąd z *„KVD"* w Poznaniu, wpłacając tam ustalone dla ubezpieczonego pogłówne, tzw. *„Kopfpauschale"*. Ubezpieczeni mieli odtąd wolny wybór lekarza. Ubezpieczalnia zlikwidowała prowadzoną dotąd we własnym zakresie poradnię przeciwgruźliczą, ambulatoria specjalistyczne, pracownię bakteriologiczną, gabinet zabiegowy i przyrodoleczniczy. Miejsce lekarza naczelnego zajął w ubezpieczalni lekarz zaufania, płacony później przez krajowy zakład ubezpieczeń w Poznaniu. Już w pierwszych dniach listopada 1939 r. aresztowano dyrektora US *Tadeusza Witkowskiego* i rozstrzelano go w lesie za miastem wraz z dużą grupą inteligencji. W maju 1940 r. aresztowano znowu siedmiu pracowników US, toteż liczba polskich pracowników zaczęła topnieć, a ich miejsce zaczęli zajmować Niemcy miejscowi lub też napływowi z Rzeszy. Prawie wszyscy lekarze Polacy zostali w ciągu 1940 r. wysiedleni z Włocławka i na 45 000 mieszkańców pozostał właściwie tylko jeden lekarz Polak (początkowo dr *Gruchalski*, następnie dr *Englert*). Niemiecki lekarz zaufania dr *Kurt Erick Bussutzki* był sadystą, gdyż bił i kopał badanych przez siebie chorych, bez względu na ich wiek i płeć. Na głuchej prowincji napływ niemieckich lekarzy był oczywiście mniejszy i tam dopiero mógł ubezpieczony łatwiej uzyskać poradę lekarską. Natomiast we Włocławku, gdzie było wszystkich lekarzy tylko ośmiu, Polak z wielkim trudem mógł docisnąć się do lekarza, który z reguły nie odbywał wizyt domowych u Polaków. Doszło do tego, że chcąc zasięgnąć porady lekarskiej Polacy z Włocławka musieli udawać się do polskiego lekarza, ordynującego na prowincji, gdyż uzyskanie porady w mieście wobec małej liczby lekarzy było często niemożliwe. Uprzywilejowani byli tylko ubezpieczeni, którzy zgłaszali się u lekarza z powodu wypadku w pracy. Jedynie takim chorym nie wolno było odmówić porady.

Recepty przepisywane polskim ubezpieczonym były ściśle kontrolowane i dwom lekarzom polskim wyznaczono dość wysokie kary pieniężne za niestosowanie się do wskazówek i za „rozrzutność" w lekach. Przeciętna liczba recept przypadających na jednego chorego i przeciętny koszt recepty nie mógł być u żadnego z lekarzy wyższy aniżeli u pozostałych lekarzy. Jak wszędzie na ziemiach zachodnich, tak i we Włocławku nie istniała akcja zwalczania u Polaków gruźlicy, gośćca, ani też nie istniała opieka nad matką i dzieckiem. Dopiero w marcu 1942 r. zorganizowano w Gostyninie sanatorium przeciwgruźlicze przeznaczone dla Polaków, zajętych w zakładach ważnych dla prowadzenia wojny. Celem leczenia sanatoryjnego było przywrócenie tym pracownikom jak najszybciej zdolności do pracy.

Świadczenia z ubezpieczenia emerytalnego i wypadkowego były przyznawane, jak wszędzie na terenach przyłączonych do Rzeszy, tylko osobom zaliczonym do jednej z grup uprzywilejowanych lub Niemcom. Roszczenia osób pozostałych były pozostawione bez odpowiedzi. Od 26 VIII 1942 r. zaczęto przyznawać inwalidom pracy zapomogi jako datki dobrowolne i niezaskarżalne. Od 1 X 1942 r.

przyznano także zapomogi inwalidom wypadkowym, gdy niezdolność ich przekraczała 50%. Niemcy otrzymywali nie tylko pełne renty, lecz także korzystali z ubezpieczenia chorobowego rencistów.

W Ostrowie Wielkopolskim rozstrzelano dr *Lubickiego*, chirurga Szpitala i US, w Pleszowie rozstrzelano na ulicy lekarza domowego dr *Kołodziejczyka*. Niemieccy lekarze zajęli wszystkie stanowiska z wyjątkiem bardzo małych miasteczek, na które nie było już reflektantów. Pozostali na miejscu lekarze Polacy spełniali swoje obowiązki wobec społeczeństwa, narażając się często osobiście. Nieśli oni swym rodakom nie tylko pomoc lekarską, ale często również pomoc materialną, gdy warunki chorego tego wymagały. Płynął stąd szczery i serdeczny stosunek chorego ubezpieczonego do swego lekarza domowego i prawie rodzinne przywiązanie do niego. **Mbl. Jag.**

Na Pomorzu dyrektor powiatowej kasy chorych w Gdańsku *Lemke* został mianowany pełnomocnikiem rządu dla spraw ubezpieczeń społecznych na terenie byłego województwa pomorskiego. Mimo że miało tam obowiązywać nadal ustawodawstwo polskie wprowadzono z rozkazu *Gauleitera Forstera* już w październiku 1939 r. kasy chorych na wzór niemiecki. Ustawodawstwo ubezpieczeniowe polskie obowiązywało tam jednak aż do końca 1941 r. Dopiero od dnia 1 I 1942 r. wprowadzono na tym terenie ustawodawstwo niemieckie, dostosowane częściowo do polskiej ustawy scaleniowej z 28 III 1933 r. Wprowadzając w życie idee narodowo-socjalistyczne, nie dopuszczono *a limine* nielicznej garstki polskich lekarzy pozostałych na Pomorzu do praktyki kasowej, zachowując ją tylko dla lekarzy Niemców. Dopiero w 1942 r. po wpisaniu lekarzy Polaków do trzeciej grupy niemieckiej listy narodowej, udzielono im prawa praktyki, jednak nie w tych miejscowościach, w których dotąd zamieszkiwali.

W US w Chojnicach, liczącej 14 000 ubezpieczonych, pracowało tylko czterech lekarzy, oczywiście Niemców. Jak wyglądała pomoc lekarska dla Polaka, który nie władał językiem niemieckim, łatwo można sobie wyobrazić. Można się także tylko domyślać, dlaczego kierowano wszystkie ciężarne pracownice, wywiezione ze wschodniej Europy na roboty przymusowe do Rzeszy, na poród tylko do szpitala w Gdańsku. Prawdopodobnie spełniły one rolę doświadczalnych świnek morskich dla niemieckich „uczonych". „Nauka" niemiecka, która korzystała chętnie z doświadczeń wykonywanych na więźniarkach obozów koncentracyjnych nie mogła poszczycić się po wojnie żadnymi prawdziwymi zdobyczami wiedzy.

Ziemie polskie na terenie tzw. Generalnej Guberni

W tzw. Generalnej Guberni lecznictwo ubezpieczeń społecznych szło odmiennymi drogami. Nie istniała tu tak oczywista tendencja do wprowadzenia zasad obowiązujących w Rzeszy niemieckiej i na terenach przyłączonych do Rzeszy. Okupant w zasadzie pozostawił dotychczasową organizację lecznictwa, ograniczając jedynie mniej lub więcej, zależnie od okoliczności, świadczenia lecznicze. Zasadniczo ustawa o ubezpieczeniu społecznym z 1933 r. pozostała w mocy, zmieniał ją jednak rząd Generalnej Guberni w miarę swego uznania. Na ogół można powiedzieć, że poziom lecznictwa ubezpieczalnianego w byłej Generalnej Guberni był zależny — w ramach obowiązujących przepisów prawnych — także od polskiej dyrekcji, a nie tylko od niemieckich kierowników, przysłanych z Rzeszy. W dużej liczbie niemieccy kierownicy, jeżeli byli z zawodu urzędnikami ubezpieczeń społecznych, mieli pewne zrozumienie dla instytucji, którą chwilowo kierowali. Natomiast niemieccy lekarze naczelni nie potrafili do końca zrozumieć ducha polskiej ustawy o ubezpieczeniu społecznym i nie kierowali się żadnym sentymentem dla instytucji, na czele której stali, zmieniając jej organizację i „ulepszając" ją na swój sposób.

Uruchomienie instytucji ubezpieczeń społecznych na terenie Generalnej Guberni nie było żadnym aktem koncesji dla Polaków, lecz było dobrze przemyślanym krokiem do wyzyskania wszystkiego, co mogło służyć wzmocnieniu niemieckiego potencjału wojennego. Istotnym celem polskich ubezpieczeń społecznych w Generalnej Guberni było utrzymanie zdrowia mas pracujących dla niemieckiego zbrojenia oraz dla zaopatrzenia Rzeszy w żywność i przedmioty użytku tylko na takim poziomie, który by nie pozwolił na powstanie większych epidemii. Mogłyby one zagrażać armii lub niemieckim urzędnikom stykającym się z ludnością. Z drugiej strony sytuacja taka pozwalała czerpać ze zasobów finansowych instytucji ubezpieczeniowych na cele związane z dalszym prowadzeniem wojny.

Struktura organizacyjna ubezpieczalni społecznych nie uległa większym zmianom. Nadzór nad ubezpieczalniami powierzył okupant wydziałom pracy przy szefach okręgów, pozostawiając Zakładowi Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie tylko kontrolę fachową ubezpieczalni społecznych.

Na teren Małopolski przybyli przeważnie niemieccy komisarze z Austrii, na teren byłego Królestwa Polskiego — komisarze z Rzeszy. Austriacy mieli pewien sentyment do instytucji ubezpieczeniowych i nie taili swego zdumienia na widok dobrze zorganizowanych ambulatoriów leczniczych, które tak żywo przypominały im własne, zlikwidowane w 1938 r., tj. natychmiast po *„Anschlussie"*, ambulatoria austriackich kas chorych. Natomiast komisarze Rzeszy, szczególnie gdy pochodzili z terenów nadgranicznych, wyżywali się na terenie ubezpieczalni, reformując ją bez względu na obowiązujące dotąd przepisy prawne i dopasowując ją do własnych potrzeb, zwłaszcza jeśli nie pracowali poprzednio w ubezpieczalniach.

Najgorzej było w Warszawie, gdzie zarówno niemiecki komisarz, jak i niemiecki lekarz naczelny zgodnie zniszczyli przede wszystkim podstawy organizacyjne Ubezpieczalni Społecznej, a urzędowi pracy postawili do dyspozycji zajętych tam medyków. Z tą chwilą zabroniono ubezpieczonym Polakom korzystać z zakładu rentgenowskiego, pomieszczonego w budynku szpitalnym.

Szczególnie wrogo do wszystkiego, co polskie, odnosił się niemiecki lekarz naczelny, dr *Carl Vieweg*, który nie zadowalał się swoimi osobistymi występami na terenie ubezpieczalni, lecz chwytał także za pióro. W artykułach, które zamieszczał w organie oficjalnym „Izby Zdrowia", tzn. w „Zdrowiu i Życiu", wykazywał on nie tylko ignorancję, lecz zupełne niezrozumienie zadań lekarza naczelnego ubezpieczalni. *Dr Vieweg* z tupetem odnosił się do polskiego personelu lekarskiego, podobnie jak uprzednio traktował tubylców w Południowej Ameryce, gdyż stamtąd przybył do Warszawy. Było chyba zdarzeniem nieprzypadkowym, że na czele stołecznej, największej w Polsce Ubezpieczalni Społecznej stał przez dwa lata człowiek, o którym naoczny świadek jego działalności, dr *Bacia* napisał, że „był to człowiek o kulturze i mentalności niedokształconego kaprala i wiadomościach fachowych daleko poniżej felczera".

Dr *Vieweg* nałożył na lekarzy domowych, po zniesieniu ze względów oszczędnościowych pogotowia ratunkowego, obowiązek udzielania ubezpieczonym pomocy o każdej porze dnia i nocy, nie wyłączając pomocy położniczej, do czego większość lekarzy domowych nie posiadała dostatecznego przygotowania. Lekarze domowi wzywani do powikłanego porodu prosili odtąd znajomych lekarzy-położników o pomoc lub sami próbowali swych sił i umiejętności na rodzących. Zmuszając ciężarne do rodzenia w domu, dr *Vieweg* pozbawiał ich właściwej pomocy położniczej, gdyż zdawał je tylko na siły lekarzy domowych, dotąd przeważnie internistów.

Jak wszędzie na terenie Generalnej Guberni, tak i w Warszawie nie istniało leczenie sanatoryjne (zapobiegawcze i restytucyjne), ani też jakakolwiek działalność zapobiegawcza w odniesieniu do matki i dziecka. Dr *Vieweg* zmuszał lekarzy do wypełniania sześciu kart chorobowych dla każdego pacjenta i wprowadził bezsensowną rejestrację chorych. Aby posiać niezgodę między ubezpieczonym a leczącym go lekarzem, usiłował wpoić ubezpieczonym przekonanie, że zdrowie ich zależy tylko od dobrej woli lekarza Polaka. Równocześnie w okólnikach do lekarzy używał niepraktykowanych nigdzie grubiańskich zwrotów w tym samym czasie, w którym niemiecki komisarz obiecywał polskiemu personelowi w zamian za lojalność „silną opiekę" Rzeszy niemieckiej.

Przykładem stylu dr *Viewega* niech będzie jego zarządzenie nr 44 z 4 VII 1940 r., głoszące, że „wszyscy lekarze domowi są od zaraz osiągalni dla każdego ubezpieczonego, o każdej porze dnia, także w niedziele i święta, o każdej porze dnia i nocy w wypadkach nagłych. Przekonam się o najsumienniejszym wykonaniu tych dyżurów. Przestrzegam każdego lekarza domowego, by przy wzywaniu w niedzielę lub w nocy dłużej niż kilka minut nie pozwalał czekać na siebie i zalecam tym, którzy tego uczynić nie mogą, aby raczej od razu zrezygnowali z pracy, niż czekali, aż ja będę interweniował. Lekarze domowi zameldują mi wszelkie przypadki, przy których w świąteczne dnie lub w nocy bez istotnej nagłej przyczyny byli wzywani z podaniem nazwiska, imienia, ulicy, mieszkania i z uzasadnieniem sprawy. Ja to ubezpieczonym uniemożliwię".

Celem ograniczenia prześwietleń i zdjęć rentgenowskich podał on w zarządzeniu nr 49 z dnia 10 VII 1940 r., co następuje:

„Dobry lekarz domowy stawia swe rozpoznanie przeważnie bez zdjęć rentgenowskich. Z chwilą otrzymania niniejszego obowiązuje, aby wszystkie skierowania rentgenowskie, jeżeli nie są nagłe lub oznaczone jako nagłe przez lekarzy domowych (np. świeże złamania itp.), były bezwarunkowo akceptowane przez naczelnych lekarzy poszczególnych obwodów".

Wzywając do ograniczeń w przepisywaniu naświetlań lampą kwarcową, groził lekarzom w zarządzeniu nr 51 z 11 VII 1940 r.: „Wielu lekarzy, jak widać, nie pojmuje jeszcze tego, że ubezpieczalnia jest pod kierownictwem władz niemieckich (...) Panowie pozwolą, że ich ostrzegę w interesie ich własnej egzystencji". Że te groźby nie były czczymi słowami, dowodzi okólnik dra *Viewega* z dnia 12 VII 1940 r.: „P. dr Cz. odmówił przyjęcia pacjenta, który zgłosił się do niego według oświadczenia pacjenta o godz. 16,55, zaś według słów dr Cz. o godz. 17,22, przy czym motywował, że przyjęcia lekarskie kończą się o godz. 17. Ażeby uchronić p. dr Cz. od dalszego przeciążenia pracą zwalniam go ze służby w Ubezpieczalni Społecznej z natychmiastowym wykonaniem".

W dalszych zarządzeniach dr *Vieweg* obciążał imiennie lekarzy, których recepty były, jego zdaniem, niewłaściwie ułożone lub niepotrzebne, kosztami tych leków: „Zastępcy jednego z lekarzy domowych dr *K.* i dr *O.* zaordynowali ubezpieczonej *K. Z.* dwa flakony *liquor ferri manganato saccharati cum arseno.* U osoby tej nie stwierdziłem żadnych objawów anemii czy też niedożywienia. Każdy z wyżej wymienionych lekarzy ma do dnia 19 bm. wpłacić do kasy ubezpieczalni równowartość flakonu wspomnianego środka leczniczego tytułem zwrotu kosztów niewłaściwie zaordynowanego krzepiącego leku. Do dnia 21 bm. odnośne pokwitowania kasowe mają mi być przedstawione. Powyższe podaję do ogólnej wiadomości jako ostrzeżenie".

Wszystko to działo się już w końcu 1940 r. Jak oceniał dr *Vieweg* pracę lekarzy warszawskiej Ubezpieczalni, świadczy ustęp z jego okólnika z 23 VII 1940 r.: „Częste skargi le-

karzy na zbyt małe wynagrodzenia ze strony Ubezpieczalni Społecznej są nieuzasadnione. Winę za niewątpliwie zbyt małe uposażenie, jakie otrzymuje znaczna część lekarzy, winni lekarze przypisać sobie samym. Może być opłacany należycie tylko ten, kto produktywnie pracuje (...). Normalnie chory udaje się do lekarza domowego, który go winien badać i leczyć, jeśli to może wykonać. Jeżeli już zaś tego wykonać nie może, powinien usiąść, uczyć się i pracować. Do specjalisty przekazuje tylko wtedy, gdy mu nie wystarczają jego uzdolnienia diagnostyczne, gdy ma wątpliwości co do rozpoznania w schorzeniach ciężkich, przy podejrzeniu duru wysypkowego lub brzusznego, zapalenia opon mózgowych, raka i gruźlicy. Możliwe też, że poszczególni lekarze domowi, jak już stwierdziłem, przekazują pacjenta od razu do czterech, pięciu lub więcej specjalistów. Oto przykład zaczerpnięty z życia: dziecko żydowskie zostaje przekazane z powodu nieżytu nosa (nie do uwierzenia) do laryngologa, a ponieważ jego górna warga była podrażniona wskutek wycieku z zasmarkanego żydowskiego nosa (jeszcze bardziej nie do wiary), dziecko zostaje przekazane do dermatologa. Na to nie mogą być wydawane środki ubezpieczalni. Gdy lekarz ma pacjentow, którzy tylko wyzyskują ubezpieczalnię, chcąc z niej coś wyciągnąć, (a to cechuje najczęściej ochrzczonych i nieochrzczonych Żydów), to proszę napisać do mnie parę zdań sprawozdawczych w zamkniętej kopercie, wręczyć ją pacjentowi i napisać na kopercie „zamknięte", abym mógł stwierdzić, czy pacjent otwierał kopertę. Proszę mu powiedzieć, że w jego przypadku jest potrzebna moja zgoda i proszę przysłać go do mnie. Ten nie będzie wyzyskiwał już ubezpieczalni. Niebawem będę miał lekarzy, którzy się będą wyznawali na sprawach swego zawodu i którzy będą gotowi nieść pacjentom pomoc w każdym czasie".

Nie wiadomo, co tu bardziej uderza: głupota czy cynizm? Jak dr *Vieweg* odnosił się do ubezpieczonych Żydów, najlepiej dowodzi fakt, ze zastawszy raz chorego Żyda w poczekalni, tak uderzył go w twarz, że ofiara jego bestialstwa od razu przewróciła się na ziemię.

Dalsze zarządzenia dr *Viewega* dotykały boleśnie nie tylko lekarzy, lecz także ubezpieczonych. Zarządzeniem nr 66 z 2 VIII 1940 r. wprowadził on znaczne ograniczenia w przepisywaniu okularów dla ubezpieczonych i dla członków rodziny. Zarządzeniem nr 67 z dnia 2 VIII 1940 r. pozbawił dzieci powyżej 7 lat opieki specjalistycznej lekarzy-pediatrów. Lekarze musieli się zdeklarować, czy znają choroby dzieci, a lekarze pediatrzy, czy czują się na siłach, aby być lekarzami domowymi. Zarządzeniem z 3 VIII 1940 r. uzależnił dr *Vieweg* wydawanie środków wzmacniających z zawartością żelaza, arsenu, strychniny i wapnia od zgody naczelnego lekarza obwodu, po przedstawieniu mu każdorazowo do wglądu karty zachorowania chorego. Zarządzeniem nr 71 z 7 VIII 1940 r. zniósł dr *Vieweg* stanowiska pielęgniarek u lekarzy domowych i w ten sposób przerzucił na lekarzy domowych całą pracę kancelaryjną z wybitną szkodą dla pracy leczniczej. Dalsze zarządzenie nr 76 z dnia 14 VIII 1940 r. wyjaśnia, że organopreparaty można stosować u kobiet tylko wówczas, gdy umożliwiają kobiecie wykonywanie pracy zawodowej, natomiast nie należy ich przepisywać w tych przypadkach, gdy mają one na celu tylko złagodzenie lub usunięcie podmiotowych dolegliwości. Aby uniemożliwić leczenie Niemców przez polskich lekarzy, skazał pewnego lekarza, który skierował Niemkę do szpitala Dzieciątka Jezus, na zapłacenie kosztów tego leczenia, albowiem „Niemcy korzystają z porad jedynie lekarzy Niemców i jedynie z niemieckiego szpitala". Szczytem zarządzeń dr *Viewega* było zarządzenie nr 77 z dnia 17 VIII 1940 r., którym nałożył on na lekarzy ubezpieczalni obowiązek wzajemnego, bezpłatnego zastępowania się w razie choroby.

A oto inne zarządzenie dr *Viewega,* nr 96 z dnia 15 X 1940 r.: „Proszę się więc starać, aby żaden ubezpieczony nie pukał do drzwi zamkniętych. Proszę tak uregulować godziny przyjęć, aby można było leczyć wszystkich chorych. Proszę nie czekać na ogólne uregulowanie tej sprawy z mojej strony, ponieważ wtedy musieliby państwo nie tylko być stale gotowi do udzielania pomocy, ale również odbywać znacznie dłuższe godziny ordynacyjne. Odbudowa jest możliwa jedynie przez pracę. Przede wszystkim lekarz powinien się do tego przyczynić. Na razie jeszcze dana jest lekarzowi możliwość uczynienia tego w jego zawodzie. Jeżeli się zaś okaże, iż lekarz nie potrafi tego, to zostanie wezwany do innych prac, mających służyć dziełu odbudowy". Co to są te inne prace, tego dr *Vieweg* nie zdradza; domyślać się można, że chodzi o Oświęcim, czy Majdanek.

„Troska" o zdrowie ubezpieczonego wynika z takiego np. zarządzenia dr *Viewega*: „Jeżeli transport chorego ze szpitala do domu jest konieczny (karetką), to jest to sprawa chorego i odbywa sią na jego koszt". Równocześnie zwracał się dr *Vieweg* do lekarzy: „Proszę się wczuć w położenie pacjenta, proszę obejrzeć jego mieszkanie, jak on żyje, gdzie pracuje i czy ma dość pożywienia" (!).

Widocznie zdaniem dr *Viewega* lekarze ubezpieczalni mieli jeszcze ciągle za mało pracy, gdyż zarządzeniem z 25 II 1941 r. przerzucił na nich obowiązek oddania się do dyspozycji urzędów pracy na ich wezwanie i bezpłatnego badania osób wyznaczonych do robót rolnych w Rzeszy. Pismem z 17 IV 1941 r. zmienił poprzednie zarządzenie i wyznaczył honorarium lekarza w kwocie 50 groszy od zbadanej osoby. Specjalnie nieprzychylnie odnosił się dr *Vieweg* do lekarzy, którzy ukończyli wydział lekarski Uniwersytetu Warszawskiego. Na otwarciu kursu dla lekarzy domowych oświadczył, że „najmniej umieją lekarze, którzy ukończyli Uniwersytet Warszawski, najgorszy w całej Europie".

W połowie 1942 roku dr *Vieweg* odszedł skompromitowany do Rzeszy, nie zadowolił się bowiem tylko stanowiskiem naczelnego lekarza ubezpieczalni, lecz równocześnie pełnił obowiązki lekarza w niemieckim domu publicznym. Na jego miejsce przyszedł wtedy do ubezpieczalni warszawskiej dr *Herbeck*, którego działalność zaznaczyła się wprowadzeniem dalszych ograniczeń w przepisywaniu leków. Skasowano wówczas: belladonę, opium, kodeinę, papawerynę, strychninę i adrenalinę, a później nawet olej rycynowy.

Dr *Herbeck* wprowadził też dalsze ograniczenia w uznawaniu ubezpieczonych za niezdolnych do pracy, a nawet wyznaczył pewne kontyngenty dni niezdolności do pracy, których nie można było przekroczyć w poszczególnych obwodach leczniczych. Zarządził on między innymi, aby ubezpieczeni, zwolnieni z powodu choroby od pracy, poza wyznaczonymi im przez lekarza godzinami „wychodnego" pozostawali stale w domu. Polak, który ginął przy pracy, zdaniem dr *Herbecka* nie równoważył ofiar ponoszonych przez ginące na wschodnim froncie wojsko niemieckie.

Tak było w Warszawie, gdzie dr *Vieweg* bombardował po prostu lekarzy swoimi „zarządzeniami", które wyrastały, jak grzyby po deszczu. Na prowincji mieszkali szczęśliwi lekarze, którzy nie stykali się bezpośrednio z niemieckimi kierownikami, niektórzy z nich nie widzieli ani razu niemieckiego komisarza, ani niemieckiego lekarza naczelnego, przez cały czas okupacji. Ani pierwszy, ani drugi nie spieszyli się do wyjazdu na głuchą prowincję, o której dochodziły ich „szeptane" wiadomości, że ten i ów, który lekkomyślnie wyjechał, został sprzątnięty przez partyzantów i już więcej nie wrócił do Warszawy.

W ubezpieczalniach, na czele których stali ludzie umiejący wywalczyć sobie należny autorytet u okupanta, sytuacja całego personelu było znośniejsza. Tam jednak, gdzie dyrekcja stała się od pierwszej chwili „popychadłem" poruszanym bezwładnie przez niemieckiego komisarza, sytuacja zarówno lekarzy, jak i urzędników była nie do pozazdroszczenia. Obie strony nienawidziły się wzajemnie, zdając sobie z tego doskonale sprawę. Polacy żywili wobec Niemców oprócz nienawiści jeszcze pogardę, Niemcy zaś, widząc nieugiętą postawę Polaków, nienawidzili ich także, ale musieli ich szanować.

W Zamościu wicedyrektor *Lippert* bronił pracowników przed napaściami urzędu pracy, który z natury rzeczy kontrolował działalność leczniczą ubezpieczalni. Władając biegle językiem niemieckim potrafił wpływać na niemieckiego komisarza, który zwykle zatwierdzał jego zarządzenia, mimo że w ubezpieczalni społecznej zatrudnione były dwie osoby, które zgłosiły przynależność do narodu niemieckiego.

Już 17 VI 1940 r. aresztowano dyrektora ubezpieczalni społecznej, *Jana Kozłowskiego* i wywieziono go do Oranienburga, gdzie poniósł śmierć. Później aresztowano sekretarza US *Kazimierza Rutkowskiego*, pielęgniarki *Marię Bleszyńską* i *Marię Grzechniuk* oraz urzędniczkę *Teodozję Szychównę*. Z wyjątkiem *Marii Grzechniuk*, wywiezionej do obozu koncentracyjnego, wszyscy zostali straceni. Kontroler *Jarosławski* z Krasnegostawu został zatrzymany w Drohobyczu. Przewieziony do Lublina, został publicznie powieszony na boisku sportowym. Mimo to kontakty US z organizacjami konspiracyjnymi były nadal czynne i podziemie leśne otrzymywało przez cały czas okupacji leki i materiały opatrunkowe z US. Pozostali aresztowani pracownicy szczęśliwie powrócili z obozów.

Przedwojenna organizacja lecznictwa ubezpieczalni społecznej w Zamościu nie uległa zadnej zmianie. Lekarze domowi przyjmowali w swych gabinetach, specjaliści przyjmowali chorych w ambulatoriach US. Leczenie szpitalne było stosowane tylko w razie koniecznej potrzeby, ponadto były bardzo duże ograniczenia w przepisywaniu leków dla ubezpieczonych. Pierwszą ofiarą ograniczeń leczenia szpitalnego padły, jak wszędzie, rodzące, które dla odbycia normalnego porodu nie mogły być skierowane do szpitala. Jak zwalczano gruźlicę w ubezpieczalni zamojskiej, dowodzą liczby osób skierowanych do sanatoriów przeciwgruźliczych. W 1940 r. skierowano do sanatorium w Otwocku, jedynego dostępnego sanatorium przeciwgruźliczego, 3 osoby, w roku 1941 — 6 osób, w roku 1942 — 7 osób, w roku 1943 — 2 osoby. Widocznie nasza choroba narodowa, która podczas okupacji była jedną wielką endemią, ominęła szczęśliwie powiaty, w których działała US w Zamościu, Ośmioro dzieci gruźliczych skierowano do Górki pod Buskiem. Szczęśliwszymi byli chorzy gośćcowi, tych bowiem skierowano do Buska ogółem w liczbie 60 osób. Oczywiście jak wszędzie, tak i w Zamościu o leczeniu kolonijnym, a nawet o półkoloniach dla dzieci przez cały czas okupacji mowy nie było.

Na ogół Niemcy niechętnie korzystali z pomocy lekarskiej lekarzy niemieckich nawet tam, gdzie byli oni łatwi do osiągnięcia. Chętnie natomiast korzystali z leczenia u Polaków, choćby nieoficjalnie, szczególnie u tych, którzy cieszyli się wzięciem u miejscowej ludności. Wyszydzając i zohydzając polską naukę i wszystko, co polskie, darzyli nieoczekiwanym zaufaniem polskich lekarzy. Wenerycznie chorzy Niemcy leczyli się tylko u polskich lekarzy, co więcej, tym samym zaufaniem darzyli polski preparat dagenan, przenosząc go ponad niemiecki uliron.

Niemieccy kierownicy, uważając wszystkich chorych niezdolnych do pracy za symulantów lub przynajmniej agrawantów, a lekarzy zwalniających z pracy za sabotażystów, wywierali wszędzie nacisk na lekarzy, aby przy ocenie zdolności do pracy stosowali jak najostrzejsze kryteria. Człowiek zwolniony z pracy mógł bowiem uprawiać w okresie zwolnienia go z pracy pokątny handel, tj. „sabotaż gospodarczy", a może nawet sabotaż polityczny.

Chory, który uzyskał zwolnienie z pracy na trzy dni z powodu pogorszenia się przebiegu gruźlicy włóknistej płuc, w dniu, w którym wszyscy pracownicy spółdzielni mieli obowiązek odrzucania śniegu w Zamościu, został skierowany do obozu pracy przymusowej. Lekarz tylko cudem uniknął podobnego losu, chory zaś po opuszczeniu obozu wkrótce zmarł.

Bardzo przykry, ale i poniekąd wdzięczny był obowiązek polskich lekarzy stawienia się na każde wezwanie urzędu pracy (brakowało już bowiem lekarzy niemieckich) celem zbadania osób wezwanych na roboty w Niemczech lub osób schwytanych w tym celu na ulicy, w pociągu, na drodze itp. Rozpoznanie ciąży u dziewczyny czy podejrzenia jaglicy u chłopca, który miał nieżyt spojówek, ratowało ich od wywiezienia do Niemiec, skąd część wracała kalekami i gdzie część ginęła od bomb alianckich.

Dzięki jednolitej postawie ogółu pracowników i lekarzy ubezpieczalnia społeczna w Zamościu pozostała mimo niemieckiego kierownictwa przez cały czas okupacji instytucją na wskroś polską.

Ciężkie straty poniosła ubezpieczalnia społeczna w Piotrkowie, której członków dyrekcji, kierowników sekcji, razem 13 osób, aresztowano w 1942 r. Wywiezieni do obozów koncentracyjnych, ponieśli tam śmierć męczeńską. W ten sposób zlikwidowano ubezpieczalnię społeczną, której teren został przyłączony do ubezpieczalni społecznej w Częstochowie.

Nie lepiej przedstawiała się ubezpieczalnia społeczna w Częstochowie. Z 24 przedwojennych lekarzy domowych zaledwie połowa pozostała w swych przedwojennych mieszkaniach. Połowa lekarzy nowych nie mieszkała już w swych rejonach pracy, toteż chorzy obłożnie byli odwiedzani w domu przez tzw. „lekarzy objazdowych". Szpital ubezpieczalni został zlikwidowany, podobny los spotkał szpital położniczy, pogotowie lekarskie, zakład wodoleczniczy, a nawet tabor samochodowy.

Lekarze ubezpieczalni społecznych wydawali nie tylko zwolnienia od pracy na czas potrzebny członkom ruchu podziemnego, lecz także udzielali im pomocy lekarskiej, dostarczali leków i środków opatrunkowych. Nie zawsze się to udawało. Dr *Aleksander Bernadzikowski*, lekarz obwodowy w Radomsku, aresztowany w lipcu 1942 r. za udzielanie pomocy lekarskiej postrzelonemu członkowi podziemia, został naprzód skatowany przez gestapo, a następnie rozstrzelany pod Radomiem. Urządzenie jego mieszkania zostało skonfiskowane i wywiezione do Rzeszy.

W Bielsku zlikwidowano apteki US 30 VI 1941 r. mimo sprzeciwu miejscowych czynników ubezpieczeniowych. Stało się to za podszeptem miejscowych aptekarzy, w których interesy godziło istnienie aptek ubezpieczalnianych. Argumentem przekonywającym o celowości ich skasowania była ta okoliczność, że na terenach wcielonych do Rzeszy, gdzie nie istnieją apteki ubezpieczenia chorobowego, nie mogą pozostać apteki „wymyślone" przez Polaków.

W Małopolsce została zlikwidowana ubezpieczalnia społeczna w Zakopanem; jej teren przyłączono do ubezpieczalni społecznych w Nowym Sączu i w Krakowie.

Ubezpieczalnie społeczne w Tarnowie i w Rzeszowie wprowadziły w miejsce lekarzy domowych, przyjmujących w gabinetach, lekarzy zajętych w ambulatoriach ubezpieczalni społecznej. Podobnie stało się w Sanoku, na terenie US Krosno, przydzielonej w czasie okupacji do US w Jaśle.

US w Tarnobrzegu uruchomiona została 24 XI 1939 r. Dnia 1 X 1942 została ona podzielona między cztery sąsiednie ubezpieczalnie. Powiaty Tarnobrzeg i Mielec zostały przydzielone do ubezpieczalni społecznej w Tarnowie, Sandomierz do Ostrowca, a powiat niżański do US w Rzeszowie. Miejscowości położone po drugiej stronie Sanu przydzielono do US w Lublinie.

US w Radomiu pozostawała aż do 24 stycznia 1940 r. w polskich rękach. W dniu tym zlikwidowano polskie kierownictwo ubezpieczalni w ten sposób, że dyrektor, wicedyrektor i kierownik wydziału finansowego zostali aresztowani. Miejsce ich zajął komisarz *Stein* i niemiecki lekarz naczelny dr *Königstein*. Z biegiem czasu liczba aresztowanych pracowników doszła do 42 osób tak, że z końcem okupacji przedwojenni pracownicy stanowili zaledwie 25—30% liczby ogółu pracowników.

Niemiecki lekarz naczelny nie mieszał się zbytnio do spraw lecznictwa ubezpieczalni, pozostawiając troskę o to polskiemu lekarzowi naczelnemu, dr *Teofilowi Jurdze*. Polscy pracownicy i lekarze skorzystali ze wskazówek udzielonych im w czasie lustracji, przeprowadzonej przez dr *Władysława Mazurka* z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych: „Róbcie tak, byście byli jako Polacy w porządku" i odnosili się do potrzeb ubezpieczonych z całą życzliwością. Dr *Königstein*, do którego niemieccy pracodawcy zanosili skargi na zbyt liberalne uznawanie ubezpieczonych przez polskich lekarzy za niezdolnych do pracy, przyznawał tym chorym jeszcze dłuższe okresy niezdolności, toteż wkrótce pracodawcy zorientowali się, że ich nagonka nie odnosi skutku. Dopiero gdy kwoty wypłacane ubezpieczonym z tytułu zasiłków chorobowych przekroczyły 30% przypisu składek, komisarz *Stein* zainteresował się tą sprawą, zarządził ogólne zebranie lekarzy i w specjalnym okólniku zaapelował do nich. W wyniku tej akcji część chorych, nie rezygnując ze zwolnienia z pracy, rezygnowała z należnego im zasiłku chorobowego. Zwolnienie z pracy, choćby krótkotrwałe, było istotą ich pragnień; czasem było koniecznością, gdyż podtrzymywało ich egzystencję i byt rodziny.

Dzięki przypadkowo dobranemu szczęśliwie zespołowi niemieckiego kierownictwa, aresztowania pracowników ubezpieczalni społecznej

w Radomiu czyniły wrażenie raczej przypadkowych „wpadek" aniżeli planowej akcji.

Lecznictwo US w Radomiu napotkało w chwili wybuchu wojny na poważne trudności. Lekarze-Żydzi nie wrócili z ewakuacji, a jeżeli wrócili, to wkrótce zostali usunięci z zajmowanych stanowisk. Stało się to w drugim kwartale 1940 roku. W związku z trudnościami mieszkaniowymi część lekarzy domowych była zmuszona do przyjmowania ubezpieczonych w ambulatoriach US. Duża liczba napływowych lekarzy specjalistów z ziem zachodnich umożliwiła udostępnienie ubezpieczonym pomocy specjalistycznej w rozmiarze szerszym niż przed wojną. Lekarz naczelny dr *Jurga* uczynił wszystko, aby udostępnić ubezpieczonym w najszerszym zakresie również pomoc dentystyczną, toteż zarówno leczenie zębów, jak i protezowanie było stosowane w US w Radomiu w szerokim zakresie.

Ubezpieczeni Żydzi zostali pozbawieni, jak wszędzie, prawa do zasiłków chorobowych i do leczenia szpitalnego, poza przypadkami zakaźnymi i chirurgicznymi. Oczywiście nie musimy dodawać, że i to leczenie szpitalne było dopuszczalne tylko w szpitalach przeznaczonych dla Żydów, a więc w doraźnie przystosowanych budynkach szpitalnych, nie zapewniających choremu nawet minimum wygody i koniecznej higieny. Po utworzeniu getta leczenie Żydów uchyliło się od wszelkiej kontroli ubezpieczalni społecznej, chociaż Żydzi nadal pozostali członkami ubezpieczalni.

Leczenie zdrojowe polskich ubezpieczonych istniało tylko w minimalnym zakresie. Z leczenia zdrojowego w Busku skorzystało za cały czas okupacji 169 osób, a z leczenia w Krynicy-Zdroju w 1942 r. tylko 40 osób. Później było ono już dla Polaków zakazane, gdyż w Krynicy umieszczono dzieci niemieckie, ewakuowane z bombardowanych miast.

US w Siedlcach wznowiła swą działalność dopiero 1 grudnia 1939 r. po stwierdzeniu, że inne ubezpieczalnie społeczne funkcjonują normalnie. Pracę rozpoczęto w wynajętym budynku, ponieważ do gmachu ubezpieczalni społecznej sprowadził się tymczasem niemiecki urząd pracy. Z biegiem czasu liczba 13 lekarzy czynnych w dniu 1 grudnia 1939 r. wzrosła przy końcu okupacji do 40, liczba lekarzy dentystów z 4 do 12, liczba pielęgniarek z 2 do 18. Przedwojenna organizacja lecznictwa pozostała niezmieniona, z bezpośrednim dostępem do lekarza domowego, a nawet do lekarzy specjalistów. Leczenie sanatoryjne istniało w tak skromnym wymiarze, że w latach 1940 i 1941 nie wysłano nikogo do sanatorium, w roku 1942 wysłano do Otwocka 10 chorych, do Rudki jednego chorego, do Buska 23 chorych. W roku 1944 wysłano do Rudki 2 chorych, do Otwocka 2 chorych i do Buska 6 chorych.

US w Rzeszowie przeżyła pierwszy ciężki okres komisarza *Hansa Wrege*, przeniesionego później do Lublina, stamtąd do Warszawy. Terroryzował on wszystkich pracowników, nie wyłączając dyr. *Jana Pilarza*. Drugi komisarz, *Gitter*, nie wykazywał już takiego zainteresowania szczegółami pracy i organizacji US, jak *Wrege*. Również następni komisarze byli łagodniejsi niż *Wrege*, który bił Żydów przychodzących do US i dla wydobycia od nich pieniędzy nawet rozbierał ich w swym gabinecie. *Wrege* odgrażał się wszystkim pracownikom gestapem, z którym pozostawał w ścisłym kontakcie.

Przy większych zakładach zbrojeniowych zostali zaangażowani Niemcy jako lekarze zaufania: zadaniem ich było dopilnowanie, aby liczba dni niezdolności do pracy pozostawała na możliwie niskim poziomie. Nie zaznaczyli oni jednak niczym swojej szczególnej działalności w tym względzie i liczba dni niezdolnych do pracy w US w Rzeszowie nie odbiegała na ogół od liczb wykazywanych procentowo przez inne US. Podobnie jak US w Radomiu, Rzeszów był czynnym terenem akcji podziemia. I tu pracownicy US oraz lekarze czynnie współpracowali z podziemiem, wyzyskując do tego celu wszelkie możliwości. Lekarz naczelny US dyr. *Henryk Węglowski* został aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Mauthausen, gdzie poniósł śmierć. Jego miejsce zajął wysiedlony właśnie z Ostrowia Wielkopolskiego dr *Tadeusz Michejda*, który przetrwał na tym stanowisku aż do wyzwolenia Rzeszowa.

W Nowym Sączu objął w 1939 r. obowiązki lekarza naczelnego ubezpieczalni w miejsce poprzednika przebywającego za granicą dr *Jan Dudziński*, jeden z najpoważniejszych lekarzy ubezpieczalni społecznej. Obowiązki dyrektora pełnił wówczas wicedyrektor *Dobiesław Ostroja-Meduski*. Pierwszego zamordowali Niemcy, drugi musiał uciekać i zginął w powstaniu warszawskim. Komisarz niemiecki *Franz Terpinz*, kierownik mniejszej kasy chorych w Austrii, nie pozostawał tam długo. Miejsce jego zajął przeniesiony z Zakopanego *Peter Schmiedle*, który odnosił się wyraźnie wrogo do polskiego personelu US i do polskich ubezpieczonych. Szczególnie wrogo odnosił się do dyrektora US *Henryka Wyznera*, z pochodzenia Niemca, wyznania ewangelickiego, lecz prawego Polaka. Nie stał się on odstępcą narodowym i z tego powodu został wkrótce aresztowany i przy tym zbity przez szefa gestapo, *Hamanna*. *Wyzner* zginął niebawem w Oświęcimiu. Po dr *Dudzińskim* objął stanowisko Ukrainiec, dr *Jozafat Jaworskyj*, a po jego rezygnacji zmarły niedawno dr *Franciszek Maciak*, który w 1942 r. wrócił właśnie z Węgier z ewakuacji.

Zarówno personel urzędniczy US, jak i lekarski wykazał w czasie okupacji solidarność narodową, która znalazła swój oddźwięk w społeczeństwie. Jeden z elektromonterów nowosądeckich ubezpieczył fikcyjnie siedmiu chłopców jako swych pracowników. Chodziło o dzieci profesorów i oficerów, które w ten sposób można było uchronić od wywiezienia na przymusowe roboty do Rzeszy, gdyż każ-

dy, kto nie mógł się wylegitymować dowodem zatrudnienia, był przedmiotem łapanki dla wywozu.

Nowy Sącz, którego niemieccy koloniści jeszcze przed wybuchem wojny w 1939 r. dali znać o sobie, otrzymał jednego z najbardziej bezwzględnych kierowników gestapo; osławiony *Hamann* osobiście katował swe ofiary, między innymi i lekarzy, podczas przesłuchania. Nic dziwnego, że US w Nowym Sączu poniosła szczególnie ciężkie straty w ludziach i to zarówno wśród personelu urzędniczego, jak i lekarskiego. Zginęli zamordowani lub śmiercią męczeńską w Oświęcimiu: dr *Jan Dudziński*, dr *Jan Jarosz*, dr *Leopold Bednarczyk*, dr *Gustaw Nowotny* (dyrektor Szpitala Klimatycznego w Zakopanem, zaaresztowany we Francji i skierowany stamtąd do obozu koncentracyjnego), dr *Adam Przybylski*, dr *Stefan Durkat*, dr *Jan Gadomski*, dr *Hugo Kaniowski*, *Eugeniusz Ekert*, *Jan Gołosiński*, *Stanisław Janik*, *Władysław Joniec*, *Bronisław Kucha*, *Leonard Szabunio*, dyr. *Henryk Wyzner*, *Józef Ciećkiewicz*, *Mikołaj Panko* i *Stanisław Grabowski*.

US w Zakopanem przestała istnieć dnia 1 IX 1940 r. Teren ten został w przeważnej części przydzielony do US w Nowym Sączu. Komisarz *Schmiedle*, przeniesiony później do Nowego Sącza, już w Zakopanem wykazywał duże zdolności w wymuszaniu zaległych składek, szczególnie od żydowskich pracodawców. Uprościł sobie to zadanie, przerzucając obowiązek spłaty zaległości na gminę wyznaniową, której przedstawicielom groził nieodstępnym rewolwerem, aby uzyskać zapłatę składek.

Pomysłowy był też komisarz *Terpinz*, przeniesiony później z Nowego Sącza do Jasła. Polecił on używać w stołówce oleju parafinowego zamiast naturalnego tłuszczu. Wiele osób chorowało z tego powodu, ale potrawy były przyrządzanie na oleju.

Po bitwie stoczonej na pięści i laski z wyznaczonym na jego następcę *Schmilem*, *Terpinz* musiał ustąpić z Jasła i przenieść się na stałe do Drohobycza, a później nawet na front. Dalszy następca na stanowisku komisarza w Jaśle, *Hornbostel*, miał żyłkę myśliwską i zabierał ze sobą na polowania, jako nagonkę, młodszych pracowników ubezpieczalni społecznej.

Ubezpieczalnia społeczna w Ostrowcu Świętokrzyskim została uruchomiona dnia 1 XI 1939 r. Obowiązki lekarza naczelnego pełnił w czasie okupacji aż do lata 1942 roku dr *Józef Blazsur*, z pochodzenia Węgier, były obywatel polski, zamieszkały przed wojną w Ostrowcu i posiadający na czas wojny obywatelstwo słowackie. Organizacja lecznictwa pozostała w Ostrowcu niezmieniona. Lekarze ubezpieczalni udzielali chętnie zwolnień z pracy, a ci, którzy badali zdolność fizyczną osób wyznaczonych na roboty przymusowe w Rzeszy, szli ludności bardzo na rękę. Zakusy niemieckich pracodawców, którzy grozili aresztowaniem lekarzy udzielających zbyt liberalnie zwolnień z pracy ubezpieczonym, skutecznie odpierał polski lekarz naczelny dr *Zygmunt Filus*. W szpitalu US w Starachowicach i w Ostrowcu leczyli się nie tylko ubezpieczeni, lecz także w latach 1939 i 1940 około 1000 żołnierzy polskich, a później ludzi „z lasu", mimo że istniały przepisy, aby o wszelkich zranieniach podejrzanych o spowodowanie działaniem broni palnej donosić niemieckiej policji. Leczył się tam także żołnierz radziecki, ukryty pod fałszywym nazwiskiem i lotnik angielski, który nie znając języka polskiego musiał udawać niemowę.

Szpital w Ostrowcu posiadał personel lekarski wzmocniony, gdyż około 10 lekarzy wojskowych, zwolnionych z niewoli, zostało przydzielonych do szpitala, w którym następnie pozostali do końca okupacji. Również wybitni lekarze poznańscy, wysiedleni z ziem zachodnich, znaleźli schronienie i pracę w tymże szpitalu.

US w Tarnowie wznowiła swoją działalność w dniu 9 X 1939 r. Zarówno przedwojenny dyrektor, jak i lekarz naczelny pozostali na swych stanowiskach. Dyr. *Schally*, zwolniony bezprawnie z pracy od dnia 1 II 1943 r., zmarł nagle z powodu choroby serca w dniu 2 V 1943 r. Pierwszy komisarz niemiecki, *Karol Thiel*, został w listopadzie przeniesiony na to samo stanowisko do Lwowa, miejsce jego zajął *Fried*, który pozostawał w ścisłym kontakcie z kierownikiem urzędu pracy, *Auzingerem* i pod jego czujną opieką.

Pierwszy komisarz zostawił polskiej dyrekcji dużą swobodę w administracji i doborze osób, jednak jego następcy przejęli całe rządy w ubezpieczalni społecznej w swoje ręce, szykanując polską dyrekcję na każdym kroku. *Fried* brał czynny udział w znanej w tarnowskim powiecie akcji zmuszania ludności do zgłaszania swego niemieckiego pochodzenia i presją i groźbami wymusił na kilku pracownikach podpisanie deklaracji o zmianie narodowości.

Lekarze ubezpieczalni społecznej pomimo ciągłych zarządzeń, zmierzających do ograniczenia w przyznawaniu zwolnień z pracy z powodu choroby, mimo gróźb i szykan, zawsze chętnie szli ubezpieczonym na rękę, umożliwiając im zarówno odpoczynek, jak i wyjazd na wieś, celem zaopatrzenia się w środki żywności. Podczas okupacji US w Tarnowie poniosła duże straty, albowiem z 27 aresztowanych pracowników zaledwie pięciu wróciło z Oświęcimia.

US w Lublinie została na nowo zorganizowana po okresie przejściowego chaosu w jesieni 1939 r. Lekarz naczelny, dr *Freitag* dokładał wszelkich starań, aby utrzymać stan posiadania i aby w miarę możliwości rozwinąć jeszcze jej działalność.

Znany jest wypadek, jaki się wydarzył wkrótce po wkroczeniu Niemców do Lublina w Zakładzie Roentgena US. Gdy pułkownik, lekarz niemiecki, zwiedzał ze swoją świtą za-

kład i wyciągnął rękę do kierownika zakładu, dr *Gawareckiego*, ten odmówił mu podania ręki. Dr *Gawarecki* oświadczył mu, że nie może podać ręki wrogowi aż do zakończenia wojny. Obrażony pułkownik opuścił natychmiast Zakład Roentgena, a następnego dnia przybyli w imieniu obrażonego dwaj oficerowie, którzy zawiadomili dra *Gawareckiego*, że jako osobnik niższej rasy nie może on dać zadośćuczynienia obrażonemu Niemcowi i że wobec tego oni postarają się, by został odpowiednio potraktowany i zmuszony do bezpłatnej pracy na rzecz Niemiec. Dr *Gawarecki* konsekwentnie odmówił przeproszenia obrażonego Niemca; w kilka miesięcy później został aresztowany i zamordowany przez gestapo. Z ogólnej liczby 23 aresztowanych osób 18 zginęło w obozach.

US w Tomaszowie Mazowieckim była od początku w trudnym położeniu z uwagi na dużą liczbę miejscowych Niemców, którzy chętnie przeszli z innych stanowisk w przemyśle na stanowiska kierownicze w ubezpieczalni społecznej. Każda sekcja w administracji liczyła dwóch do czterech partyjnie zaangażowanych miejscowych *„Volksdeutschów"*, a mimo to stanowisko pracowników i lekarzy w odniesieniu do ubezpieczonych Polaków było bez zarzutu. W Tomaszowie zlikwidowano osiem punktów leczniczych i lekarze przyjmowali ubezpieczonych w gmachu ubezpieczalni. Mimo dużego nacisku Niemców lekarze-Polacy zwalniali ubezpieczonych z pracy tak długo, jak tylko to było możliwe. Straty poniesione przez US w Tomaszowie Mazowieckim są bardzo duże. Z 15 lekarzy 4 wróciło z obozu, 11 zostało zamordowanych lub poniosło męczeńską śmierć w obozach koncentracyjnych, a spośród 22 aresztowanych pracowników tylko 10 wróciło z obozu, bądź z więzienia.

Na terenach Małopolski wschodniej rolę polityczną *„Volksdeutschów"* spełniali Ukraińcy. W pierwszej fazie organizowania ubezpieczeń społecznych Ukraińcy zajęli kierownicze stanowiska, lecz stan ten uległ szybko zmianie, gdyż Niemcy chcieli mieć na czele instytucyj ubezpieczeniowych fachowców, a nie polityków. Ukraińcy byli mimo to zawsze mężami zaufania okupanta i oni piastowali odpowiedzialne stanowiska w administracji służby zdrowia. Prawie wszyscy lekarze powiatowi byli Ukraińcami. Starali się oni także obejmować stanowiska lekarzy naczelnych w ubezpieczalniach, do czego nie mieli żadnego przygotowania, gdyż nie zajmowali dotąd w administracji lecznictwa ubezpieczalnianego żadnych stanowisk. Nie mogąc zająć stanowisk lekarzy naczelnych, starali się objąć w tych ubezpieczalniach społecznych, w których się to dało, przynajmniej stanowiska lekarzy zaufania.

Lekarz naczelny ubezpieczalni społecznej we Lwowie, dr *Kaszubińskyj*, odnosił się zdecydowanie wrogo do wszystkiego, co polskie, a do polskich lekarzy odnosił się w sposób grubiański, gdyż tego przede wszystkim nauczył się od Niemców. Ostoją dla lekarzy Polaków, dla personelu i dla ubezpieczonych był dyrektor *Osiowski*, szczególnie w okresie, gdy Ukraińcy wydawali na prowincji wyroki śmierci na lekarzy polskich i gdy lekarze-Polacy zaczęli masowo uciekać do Lwowa. Dyr. *Osiowski* nie szczędził im pomocy, narażając się zawziętym nacjonalistom Ukraińcom i ściągając na siebie niebezpieczeństwo.

W oddziale borysławskim US w Drohobyczu przez cały czas okupacji na ogólną liczbę 16 lekarzy domowych i specjalistów zajętych było 12 lekarzy Żydów. Tylko 10 z nich przeżyło okupację i pracują nadal w swym zawodzie. Podobnie było w US w Stanisławowie, gdzie lekarze Żydzi przeżyli wprawdzie likwidację getta, jednak później w czasie ewakuacji Stanisławowa zostali wymordowani przez gestapo.

Na terenie Małopolski wschodniej organizowano kolonie i półkolonie, ale tylko dla ludności ukraińskiej.

Ludność żydowska korzystała początkowo ze świadczeń leczniczych bez jakichkolwiek ograniczeń. Po stworzeniu getta udzielali pomocy lekarskiej ubezpieczonym Żydom lekarze Żydzi w ambulatoriach stanowiących filię ambulatoriów ubezpieczalni społecznej.

Ubezpieczalnie społeczne były na terenie Małopolski wschodniej jedynymi posterunkami polskiej służby zdrowia, gdyż wskutek wyeliminowania polskich lekarzy z administracji sanitarnej i zastąpienia ich przez lekarzy Ukraińców wszystkie inne instytucje, przeznaczone dla zbiorowego lecznictwa, tj. ośrodki zdrowia i szpitale zostały przeznaczone prawie wyłącznie na użytek ludności ukraińskiej.

US w Krakowie przerwała swą działalność tylko na dwa dni, tj. 4 i 5 września 1939 r. Wówczas jednak był tam czynny punkt opatrunkowy, a już w dniu 10 września 1939 r. rozpoczęła ona normalną pracę, połączoną nawet z gotówkową wypłatą świadczeń pieniężnych.

Wobec tego, że Szpital im. G. Narutowicza został przejęty w dniu 21 września 1939 r. przez wojsko niemieckie, część lekarzy szpitalnych zgłosiła się do pracy w US w charakterze lekarzy specjalistów, wypełniając luki wywołane powołaniem wielu lekarzy do służby w wojsku.

W dniu 14 października 1939 r. powrócił do urzędowania jedyny przedwojenny lekarz administracyjny US, dr *M. Ciećkiewicz* i objął obowiązki lekarza naczelnego. Przedwojenny lekarz naczelny dr *Szymkiewicz*, powołany do wojska, dostał się do niewoli, skąd już nie powrócił; zastępca jego, dr *W. Medyński*, wyjechał za granicę i zmarł w 1941 r. w Cirkwenicy.

W kilka dni po zajęciu Krakowa przez Niemców przybył do US pierwszy wysłannik przyszłych okupacyjnych władz dla spraw ubezpieczeń społecznych, *Scholle*, a w dniu 18 października 1939 r. zgłosił się do US *Franz Schmitt*, który objął odtąd obowiązki niemiec-

kiego kierownika ubezpieczalni. Od pierwszej chwili jego stosunek do dyr. *Klemensiewicza* był nieprzyjazny i tak się jakoś złożyło, że dyr. *Klemensiewicz* został wkrótce (19 XI 1939) aresztowany, a po zwolnieniu go nie został już dopuszczony do pracy w US. Stanowisko dyrektora objął odtąd wicedyrektor dr *Kropatsch*, który 5 XI 1939 r. wrócił z ewakuacji.

Organizacja lecznictwa US w Krakowie pozostała nadal niezmieniona. Dnia 5 sierpnia 1941 r. objął obowiązki niemieckiego lekarza naczelnego dr *Albrecht Puppe*. Mając w Krakowie mnóstwo posad jako lekarz zaufania licznych (około 10) zakładów pracy, pozostających pod niemieckim kierownictwem, a ponadto sprawując nadzór nad pracą lekarzy zajętych badaniem osób wywożonych masowo do Rzeszy na roboty przymusowe, dr *Puppe* nie poświęcał zbyt wiele uwagi organizacji lecznictwa US. Dopiero gdy nastały „złote czasy" dla niego w okresie obław ulicznych osób przeznaczonych na wywóz do Rzeszy i łapanek do robót okopowych, wówczas pokazał, co potrafi niemiecki lekarz naczelny. Cały aparat leczniczy został zmobilizowany do jego dyspozycji, albowiem każdy Polak zwolniony przez niego ze służby budowlanej, z robót w Rzeszy i prac okopowych był przedtem systematycznie przebadany od stóp do głów, posiadał zdjęcie rentgenowskie, analizę moczu i krwi, a czasem nawet wynik badania elektrokardiograficznego. Wszystko musiało być wykonane *„sofort"* i oczywiście *„positiv"*. *Puppe*, przekonany dodatkowo o słuszności sprawy innymi argumentami, zwalniał każdego, kto ośmielił się z nim porozmawiać w cztery oczy.

Wskutek zarządzeń wydanych *Schmittowi* przez władze Generalnej Guberni lekarze Żydzi zostali zwolnieni z pracy w US z dniem 28 lutego 1940 r. Wykorzystując zarządzenie Izby Zdrowia, że lekarzom-Polakom nie wolno leczyć Żydów, dyrekcja US zaangażowała od 1. III. 1940 r. trzech lekarzy Żydów, którzy leczyli ubezpieczonych Żydów prawie do końca 1940 r., tj. do czasu, gdy opiekę nad ludnością żydowską objęła *SS*.

Dzięki zgodzie niemieckiego kierownika US zdołano w 1940 r., a nawet w 1941 r. wydać poważne kwoty (razem 130 000 zł) na akcję zapobiegawczą dla dzieci, tj. na kolonie i półkolonie, których poza Krakowem nigdzie już prawie nie organizowano.

Po opuszczeniu szpitala US przez wojsko niemieckie został on „wydzierżawiony" przez rząd Generalnej Guberni i przeznaczony na szpital dla niemieckiej ludności, zamieszkałej w dystrykcie krakowskim. Czynsz dzierżawny wynosił 100 zł rocznie, był więc czynszem symbolicznym. Zasługą *Schmitta* było wytargowanie 100 miejsc dla polskich ubezpieczonych w szpitalu, w którym pozostawiono jednego polskiego internistę i dwóch chirurgów. Dla Polaków były czynne oddziały chorób wewnętrznych, chirurgiczny i położniczo-ginekologiczny. Stan ten trwał do 30 IX 1942 r., później nie zezwolono na korzystanie chorym polskim ze szpitala im. G. Narutowicza, który stał się odtąd szpitalem przeznaczonym tylko dla Niemców. Pozostałych chorych umieszczała US w Szpitalu św. Łazarza, w Szpitalu Ojców Bonifratrów oraz w szpitalu miejskim na Białym Prądniku.

Niemiecki kierownik *Schmitt* zakazał kierowania do szpitala ciężarnych dla odbycia normalnego porodu. W okresie okupacyjnym, gdy polska ludność była już nadmiernie zagęszczona, ponieważ musiała opuścić wszystkie nowoczesne mieszkania, gdy istniała trudność nabycia mydła i gdy nie można było wcale nabyć pościeli, zarządzenia te boleśnie godziły w interesy polskiej ludności. Na szczęście nie wnikał on w szczegóły wykonania tego zarządzenia i odtąd było więcej niż dotychczas patologicznych porodów wśród ubezpieczonych ciężarnych, które były, jak dotąd, skierowywane do szpitala.

W dniu 12 listopada 1940 r. otwarła US w Skawinie czynny przed wojną własny dom zdrowia, przeznaczony wówczas dla kobiet pracujących w przemyśle (przede wszystkim dla matek, które pracowały zarobkowo), a teraz jako dom wypoczynkowy dla ozdrowieńców opuszczających szpitale po ciężkich chorobach i po zabiegach operacyjnych. Dom wypoczynkowy był czynny odtąd przez cały czas okupacji na przemian dla mężczyzn i kobiet (co sześć miesięcy następowała zmiana) i pozostawał pod doskonałym kierownictwem docenta Uniwersytetu Poznańskiego *Michała Godyckiego*, który dbał o to, by pacjenci przybywali wydatnie na wadze i by im na niczym nie zbywało. Blisko 1000 osób corocznie korzystało z domu wypoczynkowego, którego atmosfera pozwoliła osobom przemęczonym nadmierną pracą odzyskać zdrowie i równowagę psychiczną. Wydzierżawiony ogród w Korabnikach, prowadzony we własnym zarządzie, tudzież własna chlewnia pozwoliły na odżywianie chorych tak, że nierzadko przybywali do pięciu kilogramów na wadze w ciągu 2—4-tygodniowego pobytu.

Ubezpieczeni korzystali z leczenia kąpielowego w Busku, uruchomionego 1 VII 1940 r. przez ZUS i z leczenia kąpielowego w Swoszowicach, a od 15 VI 1941 r. z leczenia zdrojowego w Krynicy.

Z dniem 16 VIII 1941 r. rozpoczęła US przeprowadzać przerwane z powodu wojny badania młodocianych, a od dnia 1. X. 1942 r. zaangażowała US prawie wszystkich profesorów UJ, którzy zajęli się oceną zdolności do pracy chorych w zakresie swej specjalności.

Dzięki zakupom dużych ilości materiałów dentystycznych w Warszawie US mogła przyznawać hojną dłonią protezy dentystyczne ubezpieczonym. Liczba wydawanych protez dentystycznych nie była ograniczona żadnymi rygorami i ubezpieczeni otrzymywali protezę w każdym przypadku, gdy lekarz postawił odpowiedni wniosek.

Problem niezdolności do pracy nie był tu

tak palący, jak w części kraju przyłączonej do Rzeszy, mimo nagonki na polskich lekarzy, organizowanej przez niemieckich pracodawców, a to z dwóch powodów:

1) konsultantami specjalistami byli profesorowie uniwersytetu, a więc najwyższe autorytety, których orzeczeń nie można było łatwo podważyć;

2) nadzór nad pracą wszystkich konsultantów wykonywał osobiście niemiecki lekarz naczelny, w pierwszym rzędzie jego więc dotykały ataki na konsultantów.

Nie obyło się jednak bez zebrań lekarzy, na których dr *Puppe* przedstawił się zgromadzonym lekarzom nie z najlepszej strony, a na których lekarze śmiało zabierali głos, przedstawiając stan zdrowotny ubezpieczonych i warunki, w jakich oni żyją i pracują we właściwych kolorach. Represji z tego powodu nie było w US. Natomiast z innych przyczyn lub nawet bez wyraźnej przyczyny aresztowano w krakowskiej US 128 osób, z których 69 osób zginęło śmiercią męczeńską. Wśród zmarłych, bądź zamordowanych w obozie znajdował się dr *Mikołaj Kwaśniewski*, który w czasie okupacji pełnił obowiązki zastępcy lekarza naczelnego i dr *Witold Preiss*, chirurg Szpitala im G. Narutowicza. Jeden z lekarzy, skazany na śmierć za przerwanie ciąży u Niemki, został wywieziony do więzienia w Rzeszy niemieckiej i tam doczekał się uwolnienia go przez wojska sprzymierzone. Pozostali lekarze, aresztowani i więzieni przez czas dłuższy na Montelupich lub w obozie koncentracyjnym, szczęśliwie powrócili razem z ocalonymi pracownikami US.

Zarówno zakład leczenia fizykalnego, jak i zakład rentgenowski zostały przeniesione do nowych, specjalnie przebudowanych pomieszczeń i zaopatrzone w nowoczesną aparaturę do celów diagnostycznych i leczniczych. Oba zakłady były tak wyposażone, że mogły pokryć zapotrzebowanie nie tylko własne, lecz także sąsiednich, bratnich ubezpieczalni. Wysokie kwalifikacje personelu lekarskiego, zajętego w Zakładzie Roentgena, sprawiały, że wszyscy dygnitarze okupacyjni chętnie korzystali z urządzeń rentgenowskich US, chociaż do ich dyspozycji stały w Krakowie nie tylko wszystkie urządzenia kliniczne, lecz również „niemiecki" Szpital im. G. Narutowicza.

Niestety, bezcenna część sprzętu rentgenowskiego, mianowicie nowoczesne aparaty diagnostyczne i terapeutyczne zostały w jesieni 1944 r. wywiezione z Krakowa do Lądka-Zdroju, skąd już do Krakowa nie wróciły.

Zakład Zanderowski nie miał szczęścia. Kierownik zakładu, znakomity ortopeda, dr *M. Kosiński* nie wrócił z wojny, zakład zaś był dwukrotnie wyrzucony z lokalu, w którym się znajdował, toteż ostatecznie jego sprzęt doczekał się końca wojny w piwnicach US.

Posiadając kilka nowoczesnych aparatów do badań elektrokardiograficznych oraz kimograf urządziła US specjalną „Stację rozpoznawczą chorób narządu krążenia", którą świetnie zorganizował i prowadził prof. *Aleksander Oszacki*. Lekarze korzystali chętnie ze stacji, która nawet w okresie okupacyjnym pozwoliła polskim lekarzom na podjęcie prac naukowych i doświadczeń zdobytych na bardzo bogatym materiale chorych.

US w Krakowie prowadziła dwie poradnie przeciwgruźlicze i subwencjonowała wydatnie Pogotowie Ratunkowe. Poradnie dla matki i dziecka utrzymywane przez miasto zostały wkrótce zlikwidowane i US nie mogła ich sama prowadzić z uwagi na zakaz władz niemieckich, które nie zdradzały żadnego zainteresowania zdrowiem polskich dzieci. Nie mogąc otworzyć własnej poradni dla matki i dziecka, US powiększyła liczbę przedwojennych lekarzy pediatrów i przydzieliła każdemu z nich wykwalifikowaną higienistkę z ukończoną szkołą pielęgniarską. Do obowiązków ich należała nie tylko pomoc lekarzowi w gabinecie w czasie ordynacji, ale i wywiady społeczne i wizyty domowe oraz pielęgnacja dziecka w domu w czasie ciężkiej choroby.

Ubezpieczalnia społeczna w Krakowie zdała egzamin życia w okresie powstania warszawskiego, gdy setki rannych i chorych znalazły się w krakowskich szpitalach. Dzięki inicjatywie wicedyrektora *Krwawicza* pracownicy działu świadczeń pod wodzą mgr *Stanisława Nowaka* wyszukiwali chorych i rannych i nawiązując do ich zajęć przed powstaniem wręczali chorym należne im zasiłki chorobowe. W ten sposób US w Krakowie niby „na rachunek US w Warszawie" wypłaciła 2 miliony zł tytułem zasiłków chorobowych ofiarom powstania.

Okres okupacyjny musiał przekonać wszystkich, nawet tych, którzy przed wojną nie szczędzili krytycznych uwag ubezpieczeniu chorobowemu, jakie zasługi wobec społeczeństwa poniosły w okresie okupacji ubezpieczalnie społeczne. Dzięki nim polski pracownik, głodzony i zmuszany do nadmiernej pracy, mógł znaleźć jedyną formę pomocy w lecznictwie ubezpieczeń społecznych, których organizacja skutecznie przetrwała ogniową próbę jednego z najcięższych okresów naszego bytu narodowego. Okres ten pozwolił też niejednemu robotnikowi i pracownikowi umysłowemu zastanowić się nad znaczeniem urządzeń społecznych, opartych na wzajemności i na solidarności, gdyż one właśnie pozwoliły mu przetrwać te najcięższe lata.

Dzięki poświęceniu lekarzy, pielęgniarzy i innych pracowników ubezpieczalni zyskały ubezpieczalnie w czasie okupacji w społeczeństwie kredyt moralny, oparty na pięknej tradycji i na trudnej próbie w okresie okupacji hitlerowskiej.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Pomoc wysiedlanym przez hitlerowców w świetle relacji sióstr PCK, Stefanii Rzącowej i Marii Osińskiej

Gdy jako student medycyny pracowałem od września 1939 roku w referacie sanitarnym Polskiego Czerwonego Krzyża w Krakowie, PCK był jeszcze w tym czasie tolerowaną przez Niemców polską placówką. W grudniu 1939 roku dotarły do nas wiadomości, że przez Kraków przejeżdżają transporty wysiedlonych i „uchodźców" z Poznańskiego, Pomorskiego czy Łódzkiego, kierowane przez Niemców do różnych miast, miasteczek i wsi tzw. Generalnej Guberni. Z otrzymanych meldunków wynikało, że Polacy i Żydzi, wywożeni z terytoriów polskich włączonych do Rzeszy, potrzebują natychmiastowej pomocy. Niemcy transportowali ludzi w bydlęcych, nie opalanych, ciemnych wagonach, plombowanych i wysyłanych pod eskortą. Znajdowały się tam kobiety, dzieci i starcy. Byli chorzy, ranni, z odmrożeniami. Transporty trwały przez wiele dni i nocy, pociągi, jak widma, krążyły po torach, często godzinami trzymane były na bocznicach, nie zawsze określony był cel podróży. Kolejarze wspominali o umierających i trupach.

Reakcja na te wiadomości była natychmiastowa. W drodze porozumienia między Polskim Czerwonym Krzyżem i władzami Niemieckiej Opieki Społecznej (*NSV*) oraz niemieckimi władzami kolejowymi udało się otworzyć placówki sanitarne na stacjach kolejowych z dyżurem sióstr PCK dziennym i nocnym. Akcję dożywiania transportowanych miał przejąć NSV. W punktach sanitarnych PCK prócz sióstr pomagały młode ochotniczki z Polskiego Komitetu Opieki Społecznej.

O tym, jak wyglądała praca sióstr na stacji Kraków—Płaszów, świadczy przedstawione poniżej konspiracyjne sprawozdanie, które jako dokument w całości, w dosłownym brzmieniu przytaczam. Sprawozdanie to otrzymałem w grudniu 1939 roku od siostry PCK, *Marii Osińskiej* i drugiej siostry, *Stefanii Rzącowej*. Ukryte w moim mieszkaniu w Krakowie, ocalało mimo dwukrotnej, szczegółowej rewizji gestapo, dokonanej po moim aresztowaniu.

Oto tekst relacji:

„Dnia 13. XII. [1939 roku] o godzinie 12 w południe przyszedł pierwszy transport z uchodźcami żydowskimi, następne mieszane i z samymi Polakami. Pociągi z wyjątkiem paru były bydlęce. Ludzie stłoczeni po 70 i więcej w jednym wagonie przy kilkunastostopniowym mrozie, gdzie woda w butelkach zamarzała i sople lodu wisiały po ścianach, zziębnięci, głodni, gdyż zwykle taki transport, nim dojechał do Krakowa, był parę dni w drodze. W Krakowie NSV zorganizowało pomoc doraźną w formie wydawania ciepłej zupy i chleba. Odbywało się [to] w ten sposób, że wagonami wypuszczali ludzi i rozdawano im zupę. Sceny, jakie się tam odbywały, były straszne. Jedna trzecia osób nie miała naczyń, gdyż im [ich] nie pozwalano zabrać. Gdy ci, którzy mieli garnuszek, chcieli zabrać zupę dla swej rodziny, Ukrainki, które rozlewały zupę, nie dawały — tylko jedną porcję. Przy tym wszystkim żołnierze i konwojenci w brutalny sposób popychali i bili po głowach kobiety, mężczyzn, a nawet dzieci. Jedynym przewinieniem tych ludzi było, że gdy ich wypuszczano z ciemnych wagonów, gdzie nie można było swobodnie nóg wyciągnąć, każdy chciał załatwić swoją fizjologiczną potrzebę. A przecież nie wiedzieli na obcej stacji, gdzie się ustępy znajdują, więc że nie było porządku, dlatego ich bito i kopano. To jeszcze wszystko niczym w porównaniu z ich cierpieniami tak fizycznymi, jak moralnymi.

Brano tych ludzi z ulicy jak stali i zapędzano do baraków, brano z domów i dawano im 10 minut czasu do zabrania rzeczy. Kazano opuszczać szpitale z nie zagojonymi ranami po operacji, często jeszcze ropiejącymi. Nie zważano na kobiety, które za parę dni miały rodzić i dzieci przychodziły na świat w zimnych i ciemnych wagonach, bez niczyjej pomocy. Nie zważano również na matki z parodniowymi niemowlętami. Te biedne kobiety nie miały gdzie wyprać i wysuszyć pieluszek, dzieci były poodparzane z powodu mokrych i zimnych pieluszek. W takich warunkach również maleństwa umierały i rodzice nie będą wiedzieć nawet, gdzie będą pochowane ich dzieci. Były też i ze żłobków wyganiane dzieci bez ubrania, sierotki bez ojca i matki.

Polski Czerwony Krzyż równocześnie z NSV również zorganizował pomoc i siostry PCK pracowały na stacji w dzień i w nocy w celu niesienia pomocy tym biednym wygnańcom. Lecz nie mogły należycie spełniać swego zadania, gdyż im przeszkadzała w pierwszym rzędzie kierowniczka NSV, która się siostrą miłosierdzia zwała, osoba bez serca, bez duszy, zwierzę po prostu, nienawidzące Polaków, jednym słowem — Niemka. Dalej przeszkadzały dziewczęta Ukrainki, a potem na koniec konwojenci pociągów i warta niemiecka. Nie pozwolono ludziom tym, którzy byli po trzy i cztery dni w drodze i wprost usychali z prag-

nienia, dać wody zimnej z wodociągu, żeby mogli sobie oczy przemyć i gardło odświeżyć. Pociągi te skierowywano na tor 35 i gdyby on umiał mówić, to by najlepiej oddał całą mękę i łzy tych biednych, nieszczęśliwych. Było wiele osób, którym trzeba było zmieniać opatrunki. Nie było gdzie, bo w wagonach było ciemno i ciasno, więc siostry przewijały rany w ustępie na stacji, gdzie było bardzo zimno, gdyż nie było drzwi.

Nie można po prostu opisać wszystkiego, całej gehenny tych ludzi. Byli między nimi obywatele ziemscy, włościanie, przemysłowcy, wygnani ze swych warsztatów pracy i wiozący z sobą małą walizeczkę. Byli starcy 80-letni, księża i profesorowie; ci ludzie musieli rękę wyciągać po kawałek chleba i trochę zupy, często jeszcze nieświeżej i cuchnącej z daleka.

Zdarzały się również wypadki zachorowania na tyfus, różę, zapalenie płuc i inne. Na prośbę sióstr, żeby ich zostawić w Krakowie, nie zgadzano się i jeszcze siostry obrzucano gradem wyzwisk, a na odezwanie się siostry, że jest z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i nie wolno jej obrażać, kazano ją warcie aresztować. Zarządzająca Niemka, która wydawała nieświeżą zupę i porcje chleba, przeznaczone dla uchodźców, jeszcze na dwoje kroiła, przechwalała się po odejściu pociągu, że jest dobrą gospodynią i oszczędną. Siostry PCK wyrzucała z kuchni, gdy jej zwracały uwagę, że cuchnącej zupy przecież nie można dawać. Tak samo ordynarnie obchodziły się Ukrainki.

Przyszły święta Bożego Narodzenia. W obydwa święta nie miało być transportu Polaków, natomiast były transporty Niemców i Ukraińców ze wschodu. Nam nie dano klucza od pokoju dyżurnego i powiedziano siostrom, które przyszły na dyżur, że to zbyteczne i że będzie spokój. Był to jednak wybieg wykrętny ze strony kolejowych władz niemieckich, żeby się pozbyć pomocy PCK i świadków ich niecnego postępowania z Polakami. Bo oto w 10 minut po odejściu siostry przyszedł pociąg z Niemcami, więc szef stacji Płaszów się awanturował, że my rzekomo nie chcemy nieść pomocy Niemcom, chociaż PCK jest dla wszystkich. Co za wyrafinowana bezczelność! Wiadomo, niemiecka.

Było to zaś dlatego, że uchodźcy niemieccy się również żalą i nie chcą przesiedlać, więc nie trzeba, żebyśmy słuchały ich narzekań no i ewentualnie, żeby się czegoś nie dowiedzieć. Toteż na drugi dzień, gdy przyszedł pociąg z Niemcami i Ukraińcami, kazano nam opuścić tor 35 pod eskortą żołnierza pełniącego wartę. Natomiast trzech Ukraińców z miasta, którzy przyszli witać swych rodaków, bardzo serdecznie przyjęto. Tak to perfidnie umieją Niemcy kłamać i przekręcać fakty.

Przyjechał pociąg z Poznania po czterodniowej jeździe, gdyż najpierw ich zawieziono do Lublina, z Lublina do Warszawy, a z Warszawy do Krakowa. W pociągu tym jechało 250 dzieci, ogółem 1800 osób. Gdy otwarto drzwi żelazne i dzieci prowadzono, żeby dostały zupę, bo każdy osobiście tylko dostał, dzieci nie mogły iść wcale, tak się im trzęsły nóżki z zimna i strachu, bo przecież parę dni jechały w ciemności. A gdy skończono już wydawanie zupy i z powrotem zamykano drzwi, ten straszny krzyk dzieci, ażeby ich nie zamykano, wciąż mam w uszach, a ci oprawcy ze śmiechem i drwinami stali i słuchali płaczu dziecięcego. To potwory. Tego zapomnieć nie będzie można do końca życia. Widoku tych ludzi z wypiekami gorączki na twarzy, skostniałych z zimna, płaczące dzieci, ludzi leżących na słomie w oszronionych w mrozie wagonach bydlęcych po 70 i więcej osób w jednym wagonie w zaduchu nie do zniesienia, gdyż im nie wolno było wychodzić. Ludzie ci błagali o wodę i za to ich też bito i kopano. Tego nie można objąć zdrowym umysłem, to trzeba widzieć i przeżyć".

Do cytowanego sprawozdania, otrzymanego z punktu sanitarnego PCK Oddział Kraków, ze stacji Kraków—Płaszów, dołączone są dwie luźne kartki, na których te same autorki szczegółowiej opisały wspomniane wydarzenie. Warto i ten aneks zacytować dla ścisłości:

„Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. W sobotę dnia 23 grudnia poszłam zapytać kierowniczki *NSV* o świąteczne transporty. Odpowiedziała, że na święta nic nie jest zapowiedziane, wobec tego zwalnia personel, chleb oddaje do magazynu i punkt zostaje nieczynny. To samo powiedział szef stacji Płaszów. Mimo to jednak siostra i panie z Opieki Społecznej na dyżur przyszły. W poniedziałek dnia 25 grudnia siostra *Osińska* dowiedziała się, że przybędą dwa transporty Niemców ze wschodu, jeden o godz. 18, a drugi o godz. 20. Siostra przyszła o godz. 16 na stację i tu szef nie dał jej klucza od pokoju dyżurnego, mówiąc, że jest niepotrzebna, że to są mylne informacje, Niemcy nie przyjadą i absolutnie nie pozwolił jej zostać. Wobec tego, że na dworze było 19 stopni mrozu i nie można było stać na stacji, siostra poszła do domu.

Na drugi dzień, tj. 26, gdy siostra i panie przyszły, drzwi zostały otwarte. Po pewnym czasie wszedł szef stacji i w bardzo gwałtowny i brutalny sposób zaczął się awanturować, że punkt PCK jest niepotrzebny, gdyż wtedy, jak przyjeżdżają Niemcy, to siostry nie ma, tylko są dla Polaków i Żydów (na takiej polityce to trzeba się znać). Przecież sam nie dał klucza, mimo że wiedział o przyjeździe, właśnie dlatego nie pozwolił nam być, abyśmy nie widziały nastroju uchodźców niemieckich. Potem przyjeżdżały pociągi z rannymi Niemcami; nam nie pozwolono też być przy nich, bo gdy pociąg wyjechał, kierowniczka *NSV* kazała żołnierzowi pełniącemu wartę siostrę odprowadzić, ażeby nie było świadka.

Ponieważ siostry PCK nie otrzymały rozkazu opuszczenia placówki ze swojej władzy, więc służbę dalej pełniły. I w nocy o godz. 24.15 przyszedł znów szef stacji w towarzystwie dwóch żołnierzy i polecił siostrze i dwóm panienkom z Opieki Społecznej opuścić w przeciągu 10 minut pokój dyżurny, nie zważając na nocną porę i na znaczne oddalenie stacji od miasta i wreszcie, że same kobiety musiały w nocy wrócić do domu.

Dzięki opiece polskiego kolejarza, który kolejno odprowadzał, siostry do domu szczęśliwie się dostały. I więcej na dyżury nie przychodzimy, gdyż PCK zwinął wskutek intrygi niemieckiej tę tak bardzo ważną placówkę. (—) *Stefania Rzącowa.* Druga siostra (—) *Maria Osińska*".

Specjalna notatka dotyczy przyjazdu pociągów z uchodźcami na stację Kraków-Płaszów:

„Dnia 13. XII. [1939 r.] godz. 12 — Żydzi
„ 15 „ „ „ 9 Żydzi

„	15	„	„	11	Polacy
„	15	„	„	17	mieszany
„	16	„	„	6	Polacy
„	16	„	„	12	Polacy
„	16	„	„	20	mieszany
„	16	„	„	23	Polacy
„	17	„	„	9	Polacy
„	17	„	„	10.30	Polacy
„	18	„	„	1.30	Polacy
„	18	„	„	17	Polacy
„	20	„	„	13	Polacy
„	21	„	„	2	Polacy
„	22	„	„	2	Polacy
„	24	„	„	8	Niemcy
„	25	„	„	23	Niemcy
„	27	„	„	16	Niemcy i Ukraińcy".

Zacytowano dosłownie te sprawozdania mimo ich usterek stylistycznych, są bowiem dokumentem bezpośrednim, pisanym pod wpływem pierwszego zetknięcia się z faktami. Zwraca uwagę w tych tekstach walor autentycznego przeżycia oraz oburzenie wobec bestialskiego postępowania hitlerowców.

Po przeczytaniu cytowanej relacji wróciły wspomnienia z tamtych czasów, kojarząc się automatycznie z pojawiającymi się co pewien czas atakami szkalowania Polski przez NRF z powodu rzekomo barbarzyńskiego przesiedlania Niemców z polskich ziem odzyskanych. Warto, by sprawozdanie polskich sióstr PCK zostało na zachodzie poznane.

Jak wynika ze sprawozdań prasowych, w grudniu 1964 roku toczył się w Wiedniu proces zbrodniarza *Franza Novaka* (urodzonego 10 I 1913 r. w Wolfsbergu), którego prokuratura wiedeńska nazwała „mordercą zza biurka" (*Schreibtischmörder*). *Hauptsturmführer SS Franz Novak* pracował w „departamencie *Eichmanna*" (IV B 4, także IV A 4 i IV D 4) w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy *(RSHA)* w Berlinie, pełniąc funkcję kierownika referatu do spraw transportowych. Departament ten miał za zadanie „ostatecznie rozwiązać problem żydowski" *(Endlösung der Judenfrage)*, a przy okazji wykonywał różnego rodzaju masowe deportacje, wysiedlenia, przesiedlenia. Tak np. w gestii tego departamentu było przesiedlenie Polaków i Żydów z tzw. „*Warthegau*" do tzw. Generalnej Guberni w latach 1939/40. *Franz Novak* był od początku r. 1940 aż do końca wojny bezpośrednim technicznym wykonawcą tej akcji.

Franz Novak tłumaczył się przed sądem, że był tylko drobnym „kółeczkiem" w tej wielkiej maszynie. Sporządzał jedynie plany transportów według wydawanych mu zleceń. Losu transportowanych ludzi nie znał. Stacja „*Auschwitz*", gdzie często kierował transporty, była rzekomo dla niego taką samą stacją kolejową, jak każda inna.

Zgodnie z obowiązującym dziś prawem austriackim *Franz Novak*, ujęty w r. 1961, odpowiadał przed sądem z powodu uchybień w stosunku do § 87 austriackiego kodeksu karnego z r. 1852. *Novak* organizował bowiem transporty, w których panowały warunki szczególnie niebezpieczne dla zdrowia i życia osób przewożonych. W ten sposób odpowiada on co najmniej za śmierć tych osób, które umarły w transporcie. Zgodnie z tym przepisem może otrzymać karę nawet dożywotniego więzienia (przestępstwo takie przedawnia się dopiero po upływie 20 lat).

W procesie tym oskarżali prokuratorzy dr *Mayer-Maly* i dr *Kovacks*. Oskarżony *Novak* odpowiadał przed ławą przysięgłych. Wyrokiem tego sądu skazany został w dniu 18 XII 1964 r. na 8 lat ciężkiego więzienia, przy czym zaliczono mu areszt śledczy, trwający od czerwca 1961 r. Prokuratura zapowiedziała rewizję tego wyroku.

TADEUSZ PANKIEWICZ Kraków

Apteka „Pod Orłem" w getcie krakowskim

Pan powiada, że apteka,
ta „Pod Orłem", ongiś w getcie
jest niezwykła i że nie ma
takiej drugiej w całym świecie.

Dziwne nieco powiedzenie,
wszak jednakie są apteki,
różnic nie ma, wszystkie przecie
jednakowe mają leki.

Pan się myli, bo tak nie jest,
inne jeno z bakcylami
boje toczą, ta „Pod Orłem"
bój toczyła z esmanami.

Ten wróg dzikszy niż bakcyle,
trzeba było walczyć skrycie
a rozważnie, a podstępnie,
ryzykując co dzień życie...

Setki ofiar dzikich zbirów
w tej aptece ocalały.
Pamiętajmy — ta „niezwykła"
ta „Pod Orłem" — godna chwały.

Wiersz ten został ofiarowany aptece przez p. *Ignacego Nikorowicza*, znanego literata i twórcę sztuk teatralnych, dziś już nie żyjącego (zmarł w roku 1952 w wieku lat 85).

Tę właśnie niezwykłą aptekę „Pod Orłem" ulokował los w samym sercu dzielnicy żydowskiej, gdzie stała się świadkiem nieludzkich wysiedleń, potwornych zbrodni i stałego poniżania godności ludzkiej przez okupanta. Schodzili się w niej przeróżni ludzie na codzienne dyskusje polityczne, często w niej nocowali niektórzy mieszkańcy getta, chroniąc się przed łapankami i aresztowaniami.

Tutaj rozgrywały się ciche osobiste tragedie ludzkie, tutaj żegnano się idąc na niechybną śmierć, tutaj meldowali się ocaleni, tutaj wreszcie w pokoju dyżurnym gestapowcy

przyjmowali swoich zakonspirowanych konfidentów.

W obmurowanym i zakratowanym miasteczku szalała śmierć pod najróżnorodniejszymi postaciami. Każdego dnia, każdej godziny życie ludzkie było narażone na zagładę, nie mogło więc być mowy o jakimkolwiek normalnym leczeniu w takich warunkach bytowania.

Preparaty nasercowe, uspokajające i nasenne były „najchodliwszymi" z leków. Nie mówi się już o środkach opatrunkowych, które podczas ustawicznych ekscesów okupanta, wysiedleń i akcji miały pierwszeństwo przed innymi. Należy zaznaczyć, że środki nasenne miały w większości wypadków zastosowanie inne niż przewiduje farmakopea.

Ale przejdźmy do chronologicznego opisu faktów, których świadkiem byli apteka w getcie krakowskim i jej pracownicy.

W chwili utworzenia dzielnicy żydowskiej w 1941 r. apteka „Pod Orłem", mieszcząca się w Podgórzu przy Placu Zgody 18, weszła jako jedna z czterech istniejących w tej dzielnicy w obręb getta krakowskiego, a ja, jej właściciel, stałem się jednym z nielicznych Polaków tam pracujących i jedynym, który przez cały czas istnienia getta i okupacji tam mieszkał. Przeniosłem się bowiem po stracie mieszkania do aptecznego pokoju dyżurnego, kiedy apteka otrzymała rozkaz pełnienia stałego dziennego i nocnego dyżuru.



Ryc. 1. Apteka przy Placu Zgody (obecnie: Plac Bohaterów Getta)

Dzień 20 marca 1941 r. był wyznaczony jako termin, do którego wszyscy Polacy mieszkający w nowo utworzonej dzielnicy żydowskiej mieli się przeprowadzić poza jej obręb, a wszyscy Żydzi z Krakowa zająć ich mieszkania.

Dzielnica żydowska obejmowała 320 kamienic, w których znalazło trudne pomieszczenie 16 tysięcy mieszkańców. Została ona oddzielona od reszty Podgórza murami i drutami kolczastymi, a okna kamienic sąsiadujących z murami okratowano.

Trzy bramy wiodły do tego niezwykłego miasteczka: jedna główna przy Rynku Podgórskim, ozdobiona sześcioramienną gwiazdą, druga przy Placu Zgody i trzecia u wylotu ul. Lwowskiej. Posterunki złożone z policji niemieckiej, polskiej i żydowskiej strzegły tych bram.

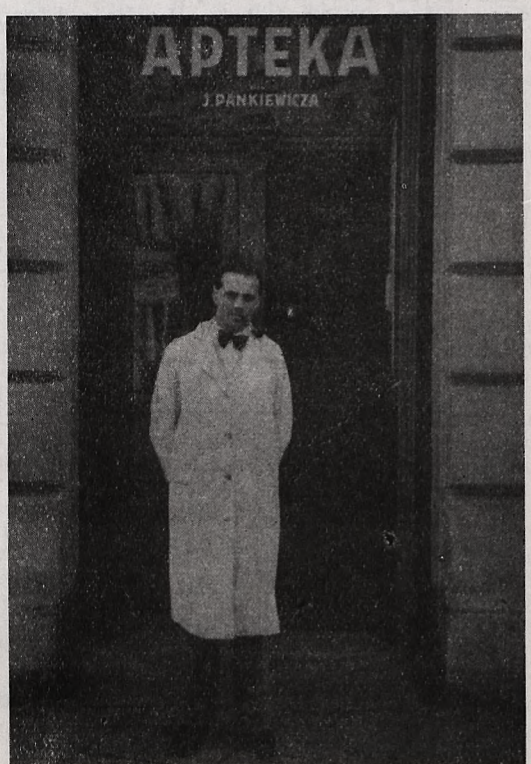
Mijały dnie i tygodnie w pozornym spokoju. Z początku ludzie ze strachem patrzyli na rosnące wokół nich mury, na gęsto rozpinane druty kolczaste. Z czasem jednak przyzwyczaili się do nowych warunków życia. Wielu nawet wyobrażało sobie, że w takich warunkach przetrwa wojnę.

Co dzień tysiące mieszkańców getta z opaską na lewym rękawie, na której widniała gwiazda Dawida, przekraczało bramy, udając się do pracy, by wrócić późnym wieczorem znów w obręb zamkniętej dzielnicy.

Godzina 21 była godziną policyjną obowiązującą w getcie. Bezpośrednio po utworzeniu dzielnicy żydowskiej powstała gmina, tzw. *Judenrat*, którego pierwszym prezesem był dr *Rosenzweig*. *Judenrat* podlegał bezpośrednio gestapo. Do jej obowiązków należał całokształt zarządzania gettem. Powstała też policja żydowska tzw. *Ordnungsdienst (OD)* z niesławną postacią, *Symche Spirą* na czele.

Następnie zorganizowano szpitale, sierocińce, pocztę, łaźnię, dział dezynfekcji, otwarto sklepy i liczne restauracje. Rozwinęło się też tajne nauczanie, a życie religijne podtrzymywane z początku w bóżnicach przeniosło się później do domów prywatnych.

Pierwsze rozporządzenie wydane w getcie dotyczyło zmiany wszystkich napisów polskich na żydowskie. Jedynie apteka stanowiła wyjątek, bo prowadził ją w myśl przepisów norymberskich aryjczyk. Getto zmieniło nie do poznania swój wygląd. Niepokój wzrastał z każdym dniem. Najwięksi nawet optymiści zaczęli wątpić, czy getto w tej formie może przez dłuższy czas istnieć, zwłaszcza że coraz



Ryc. 2. Autor artykułu przed wejściem do swej apteki

częściej powtarzały się ekscesy esesmanów, którzy dla rozrywki wciągali do bram przechodzących ulicą Żydów i obcinali im tam brody, pejsy i wąsy. Bicie, kopanie i przeraźliwe wrzaski Niemców towarzyszyły zawsze tym wybrykom.

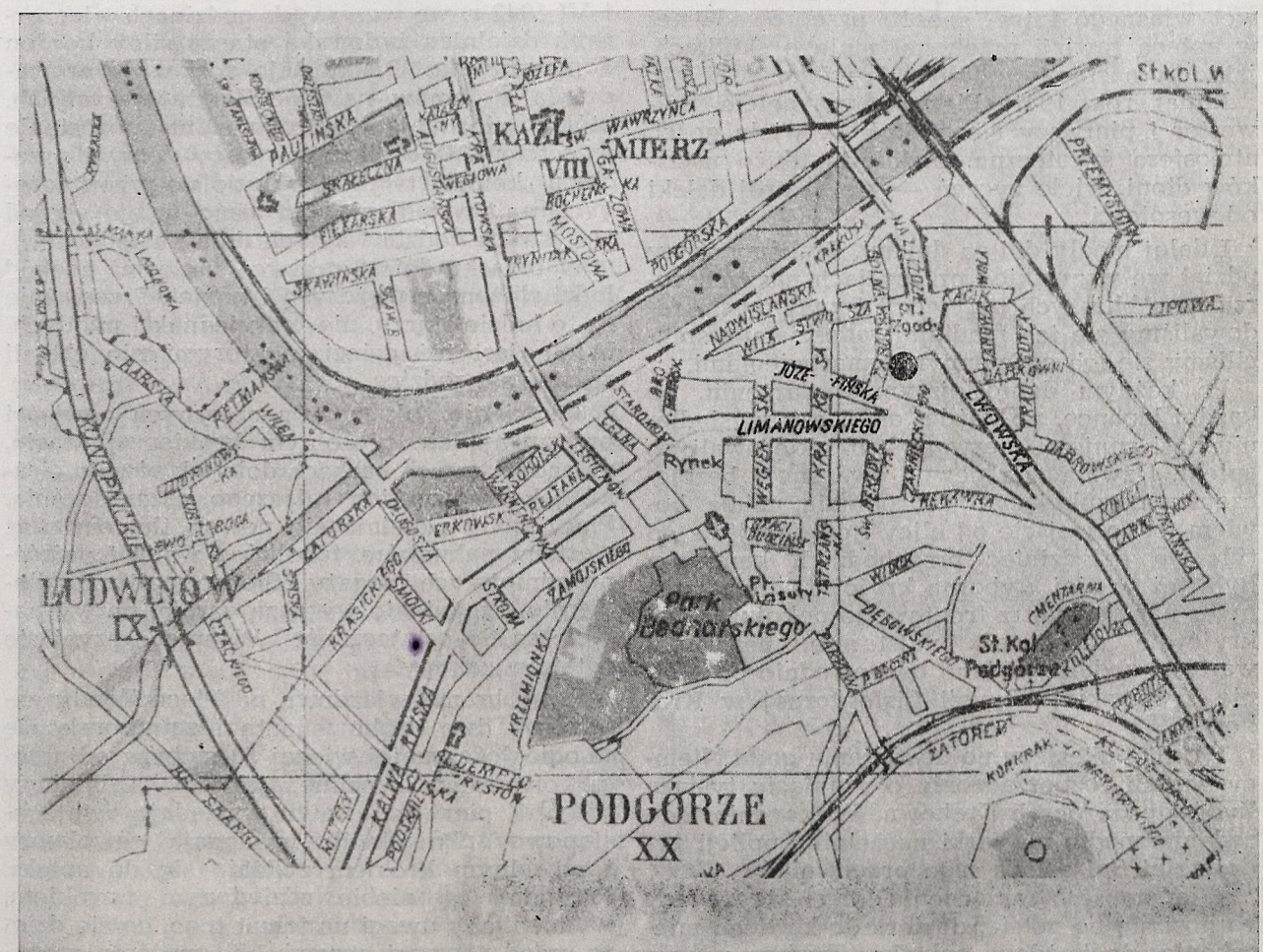
Apteka „Pod Orłem" przy Placu Zgody, który jakby na ironię nosił tę nazwę, była jedyną wysepką wśród morza samowoli i bezprawia, reprezentowała niby inny „wolny" świat w obmurowanym i zakratowanym miasteczku. W aptece pracowały, prócz mnie, dwie panie: mgr *Irena Droździkowska* i mgr *Helena Krywaniuk,* farmaceutki. Wszyscy korzystaliśmy z przepustek upoważniających nas do przekraczania i opuszczania getta. Przepustki te najpierw wystawiał wydział zdrowia w Generalnej Guberni, a potem gdy władzę nad gettem objęło gestapo, major *SS, W. Haase* i jego sekretarz, *W. Kunde.* Obie panie przychodziły do pracy rano i opuszczały getto wieczorem.

Apteka „Pod Orłem" miała pełną swobodę otrzymywania tych samych leków, co inne apteki położone poza obrębem dzielnicy żydowskiej. Zaopatrzenie było stosunkowo wystarczające, zwłaszcza że z dużą pomocą w dostawie leków dla ludności żydowskiej przychodził dr *Weichert,* na którego ręce napływały leki i żywność z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie.

Niezwykłość apteki „Pod Orłem" nie polegała jednak na tym jedynie, że była ona w rękach Polaka, który tam mieszkał i pracował, nie na tym też, że zarówno on, jak i obie pracownice, również Polki, miały prawo wchodzenia do getta i opuszczania go. Niezwykłość ta uzewnętrzniała się najbardziej w fakcie, że gromadzili się tutaj codziennie nie ludzie chorzy, potrzebujący pomocy lekarzy i apteki, ale ludzie spragnieni wieści politycznych z frontu i ze świata, że czytało się tutaj prasę niemiecką, polską, że przy kawie czy herbacie komentowało się wiadomości podane przez kolportowaną w aptece prasę podziemną, że omawiało się tutaj ostatnie komunikaty radiowe.

Przez cały czas mieliśmy moc gości, wśród nich wielu bardzo ciekawych i nieprzeciętnych ludzi, którzy w czasie ożywionych dyskusji zapominali na pewien czas o codziennych troskach i zmartwieniach. Do stałych bywalców należeli liczni lekarze, adwokaci, byli dziennikarze, malarze, muzycy i inni.

W aptece „Pod Orłem" znany prawnik lwowski i zamiłowany matematyk, dr *Rappaport,* przeprowadził dowód matematyczny za-



Ryc. 3. Fragment planu Krakowa z częścią dzielnicy Podgórze między prawym brzegiem Wisły a Krzemionkami. Getto mieściło się w rejonie ulic Limanowskiego, Józefińskiej i Lwowskiej. Granice wyznaczonej przez Niemców dzielnicy żydowskiej zmieniały się w miarę kolejnej eksterminacji osadzonych tam Żydów. Na okupacyjnych planach Krakowa granice te nie były wyznaczone. Czarny punkt oznacza miejsce apteki *T. Pankiewicza* przy Placu Zgody (obecnie Plac Bohaterów Getta).

gadnienia uchodzącego za nierozwiązalne. Tu przedstawił on swoje rozwiązanie przyprowadzonemu przeze mnie do getta profesorowi matematyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po wojnie zostało ono uznane za najlepsze i najbardziej zbliżone do ideału ze wszystkich dotychczasowych rozwiązań na świecie. Wydarzenie to zostało opisane obszernie w kwartalniku matematycznym wychodzącym pod auspicjami Uniwersytetu.

W tejże aptece głośny żydowski poeta *Gebirtig* deklamował swoje wiersze i śpiewał pieśni napisane przez siebie, tutaj znany żydowski malarz *Neuman* malował często swoje obrazy, korzystając z obszernego aptecznego pomieszczenia.

W takiej atmosferze, w kręgu naszych ciekawych gości żyliśmy stosunkowo spokojnie przez pierwszych kilka miesięcy, nie przeczuwając nawet w najkoszmarniejszych snach potwornej przyszłości.

Dlatego jak grom z jasnego nieba spadło na nas i na mieszkańców getta pierwsze drakońskie zarządzenie: wszyscy Żydzi pod karą śmierci mają oddać futra i wyroby futrzane. Od rana do późnych godzin wieczornych na mrozie i wśród zawiei śnieżnej stali ludzie w nie kończących się kolejkach, by spełnić rozkaz. Dobrze, że nie posiadałem wtedy nawet własnego futra; sposób przeprowadzonej w aptece rewizji przekonał mnie o skutkach, jakie by nastąpiły, gdybym je miał.

Minął rok 1941. Pierwszy w getcie Sylwester i pierwszy Nowy Rok — wiele gości, atmosfera świąteczna, podniosła, dużo uścisków dłoni, wiele życzeń — ale nastrój daleki od wesołości.

I dalej biegły dni za dniami. Braliśmy żywy udział we wszystkich przeżyciach naszych coraz nam bliższych przyjaciół i znajomych, radowaliśmy się ich rzadkimi radościami i smuciliśmy się ich codziennymi zmartwieniami.

Po każdym donioślejszym wydarzeniu, po każdej łapance, po każdej akcji czy wysiedleniu nasi znajomi pierwsze kroki kierowali do apteki. Dawała ona pewną gwarancję bezpieczeństwa szukającym schronienia, miała bowiem jedno wejście od ulicy i dwa wyjścia od tyłu na dziedziniec przechodnich kamienic. Była też w niej wyborna kryjówka urządzona przez nas wewnątrz frontowego pokoju. W tej kryjówce przetrwały najstarsze, bezcennej wartości rodały, oddane bezpośrednio po wojnie żydowskiej komisji historycznej w Krakowie.

W kilka miesięcy po utworzeniu getta Niemcy wydali rozporządzenie o usunięciu tysiąca Żydów poza obręb Krakowa. Wykonanie tego zadania spadło na barki naczelnika policji żydowskiej *Spirę* i na jego pracowników.

Wiadomość o zarządzeniu lotem błyskawicy roznosi się po getcie, dociera do każdego mieszkania, do każdego zakątka. Trwoga uderza w mieszkańców, ludzi ogarnia powszechne zdenerwowanie. *OD* sporządza listy imienne w nocy. Umieszczonych na liście ludzi wyciąga się z domów, z łóżek i odprowadza na posterunek. Na drugi dzień rano przegląda się przechodzącym papiery, sprawdza, gdzie kto pracuje, a jeśli się okazuje, że ktoś nigdzie nie jest zatrudniony, zatrzymuje się go i odstawia na dziedziniec *OD*.

Rozporządzenie niemieckie mówi, że ludzie ci zostaną przesiedleni do innych miejscowości. Koło godziny 10 rano dziwny widok przedstawiają ulice getta. Ludzie grupami stoją na rogach ulic, komentując zarządzenie i rozprawiając na temat tego, co się ma stać za chwilę. Wzrok jest skierowany na budynek *OD*, skąd ma ruszyć orszak idących w nieznane.

— Idą — ktoś krzyczy i tłum niesie tę straszną wieść coraz dalej. Ludzie wychodzą z kamienic, otwierają się okna, kto żyw w getcie patrzy, co się dzieje na ulicach. Nieruchomy, na pół obłędny wzrok świadków wlepiony jest tępo w pochód ludzi wysiedlanych. Pochód idzie ulicą Targową przez Plac Zgody w kierunku Płaszowa. Idą ludzie starzy, kobiety i mężczyźni, idą dzieci. Dźwigają na plecach to, co mieli najcenniejszego, co uznali za najpotrzebniejsze w drodze ku nieznanej przyszłości. Obok nich kroczą *OD-mani*. Cisza panuje niezwykła. Jak orszak żałobny kolumna posuwa się w kierunku bramy wyjściowej.

Czerwiec 1942 roku — drugie wysiedlenie. 1 VI 1942 r. we wczesnych godzinach wieczornych dzielnicę żydowską otacza silny kordon *Sonderdienstu*. *OD* dostaje rozkaz wyprowadzenia z domów na Plac Zgody wszystkich, którzy nie mają pozwolenia na pozostanie w getcie. *OD* obchodzi w nocy domy i przegląda „kennkarty". Zatrzymuje się przeznaczonych na wysiedlenie. To samo dzieje się od wczesnych godzin rannych dnia następnego.

W brzasku dnia 2 czerwca sunie już pochód ludzi złożony z mężczyzn i kobiet. Przeważnie są to ludzie starzy, nie brak jednak i młodych. Wiele jest też dzieci, z którymi nie chcieli rozstać się rodzice.

Jak cienie, jak mary z upiornych powieści przesuwają się powolnym krokiem postacie, niosąc na swych barkach dobytek równie ciężki, jak tragizm ich tułaczego przeznaczenia. Plac Zgody zapełnia się powoli tłumem oraz stertami pakunków, tobołków, waliz i najróżnorodniejszych bagaży. Słońce pali niemiłosiernie. Pragnienie wysusza gardła, nerwy napięte są do ostateczności. W aptece czyni się ostatnie zakupy.

Przez bramę wjazdową od Placu Zgody zajeżdżają dwa osobowe auta i zatrzymują się w odległości mniej więcej 50 metrów od apteki, otwartej normalnie, jak w każdy inny dzień. Z pierwszego auta wysiadają dwaj gestapowcy. Po chwili wyciągają rewolwery i powolnym krokiem zbliżają się do apteki. Patrzymy na siebie zdziwionym wzrokiem, wymieniamy uwagi na temat tego, co się dzieje przed naszymi oczami. Nie możemy zrozumieć, po co to, przeciw komu. Przeżywamy chwilę naprawdę osobliwą.

W tym momencie otwierają się drzwi i obaj wchodzą. Wysocy, przystojni, w doskonale

skrojonych mundurach *SD*, na głowach czapki z matowymi emblematami — trupimi czaszkami. Bez słowa przywitania podchodzą do lady. Stalowy, przenikliwy ich wzrok błądzi po naszych twarzach, przesuwa się powoli na urządzenie apteki, na lekarstwa, dotyka każdego przedmiotu, zsuwa się na ściany, na chwilę zatrzymuje się na świętym obrazku, oświetlonym lampką, by znów zejść na mnie i na mój personel... Panuje grobowa cisza. Po chwili, nie rozmawiając nawet ze mną, kładą rewolwery na marmurowej ladzie, wyjmują magazynki z nabojami, nabijają broń. Rozlega się sucny trzask umieszczanych w broni naboi. Lekki uśmiech przelatuje przez usta przybyłych i wychodzą oni z apteki znów bez słowa pożegnania.

Ulice wiodące do Placu Zgody pustoszeją. Ludzie chowają się do bram. *Spira* z całym swoim przybocznym sztabem biega jak oszalały. Jeden z gestapowców, którzy wyszli z apteki, powolnym ruchem mierzy z rewolweru w kierunku ul. Józefińskiej, pada strzał, jeden, drugi, trzeci... Tylko szybkie kroki przebiegających *OD-manów* przerywają grobową ciszę. Do kogo celował? czy trafił? po co strzelał? — oto nękające nas pytania.

Tymczasem nadjeżdżają nowe auta, coraz to inni gestapowcy pokazują się w getcie. Widzi się najrozmaitsze mundury, dystynkcje.

Na Plac Zgody wchodzą coraz to nowe grupy ludzi. Tłum powoli zbija się szczelnie i zapełnia wolną przestrzeń. Ludzie początkowo stoją, po jakimś czasie siadają na ziemi, na tobołkach. Słońce praży niemiłosiernie. Drzwi apteki otwierają się ciągle. To lekarze, siostry szpitalne i *OD-mani* kupują lekarstwa dla wysiedlanych. Waleriana, brom, leki uspokajające, nasercowe i środki nasenne są ostatnimi zakupami odchodzących. Tłum czeka zastygły w grozie i niepewności.

W pewnym momencie na plac zajeżdżają platformy i wozy. Ludzie biegną w ich kierunku, pchają się, by znaleźć siedzące miejsce, by umieścić bagaże. Siła i wiek decydują o pierwszeństwie. W kilka minut wszystkie wozy zostały dosłownie nabite ludźmi i bagażami. Gestapowcy i esesmani z drwiącym uśmiechem na ustach przyglądają się temu, co wokół nich się dzieje.

Po raz drugi w tym dniu otwierają się drzwi apteki naciśnięte rękami gestapowców. Wchodzi dwóch młodych, w wieku około 26 lat. Tym razem pada z ich ust: *„guten Tag"*; pytają, czyja apteka i jak można się dostać na balkon znajdujący się nad nią. Objaśniam. Dziękują i odchodzą. Na balkonie robią zdjęcia fotograficzne, prawdopodobnie, by móc udowodnić światu „humanitaryzm" narodu niemieckiego w akcji wysiedlania.

Upał się wzmaga, ludzie upadają ze zmęczenia. Wtem pada krótki rozkaz: *„Alle heraus! schnell — raus!"*. I w mgnieniu oka wozy pustoszeją. Niemcy i na ich rozkaz *OD-mani* zrzucają walizy i bagaże, ściągają siedzących starców, popychają młodszych, byle prędzej, byle szybciej. Ludzie patrzą na siebie z przerażeniem. Więc cała ta komedia z wozami potrzebna była jedynie po to, by zrobić zdjęcia propagandowe?

Tłum siedzących na placu na przeraźliwe krzyki Niemców podnosi się, faluje, zbliża się coraz bardziej do apteki. Nieszczęśliwi, ustawicznie popychani, bici i nagleni przez wyjących nieartykułowanymi głosami Niemców, opuszczają w końcu Plac Zgody najpierw wolno, potem coraz szybciej, a wreszcie biegiem. Bagaże ciążą niemiłosiernie. Jedni rzucają co cięższe, innym odbierają je esesmani. Wyszli... Na pełnym jeszcze przed chwilą placu zostały tylko porzucone tobołki i pakunki. Ci, co zostali, nie mogą uwierzyć, że to wszystko, co się rozegrało niedawno — było rzeczywistością.

W nocy z 3 na 4 czerwca nowa rejestracja, nowa selekcja, nowe wysiedlanie. Wczesnym rankiem wchodzą do getta oddziały *Sonderdienstu*. Policja niemiecka zajmuje stanowiska wzdłuż kamienic okalających Plac Zgody. Przed apteką karabiny ustawione w kozły, koło nich głośno rozmawiający żołnierze, słowem nastrój wojenny. W bocznej ślepej uliczce przy Placu Zgody ustawiają się lekarze, siostry szpitalne w białych kitlach, a obok nich pomocnicy szpitalni z noszami.

Po jakimś czasie pierwsi wysiedleńcy wychodzą na plac. Jedni biegną gromadami, inni w pojedynkę, jeszcze inni robią wrażenie obłąkanych. Dookoła nich krążą policjanci niemieccy z karabinami w ręku, gotowi w każdej chwili do strzału. Ludzie przesuwają się przed oknami apteki. Wszystko to odbywa się wśród ustawicznych wrzasków Niemców, wśród niemiłosiernego bicia, kopania i strzelania. Pada dużo zabitych, wielu jest rannych.

Przed moimi oczami jak w upiornym kalejdoskopie przesuwają się obrazy wprost nie z tego świata. Getto huczy od wystrzałów. Niemcy strzelają to w tłum, to do upatrzonych, do rannych niesionych na noszach, nawet do trupów. W rękach żołnierzy karabiny dymiące od wystrzałów, w rękach oficerów rewolwery, pogrzebacze, kije i laski. Rannych i zabitych usuwają pomocnicy szpitalni, przeciskając się wśród ustawicznej strzelaniny przez tłum. Niemcy strzelają jak oszaleli do kogo się da, do kogo mają ochotę. Krew i trupy podniecają ich w sposób widoczny i wzmagają bestialstwo, a szał zabijania i bicia potęguje ich sadyzm.

Do apteki wpadają raz po raz lekarze, siostry szpitalne i *OD-mani*, biorąc dla pobitych, rannych i zemdlałych leki i środki opatrunkowe. Ciężej rannych przenosi się do szpitala.

Na plac płyną coraz to nowe grupy ludzi wypędzanych z domów, wyciąganych z kryjówek. Jak widma ciągną przed oknami apteki starcy, kobiety i dzieci. Widzę, jak idzie w odstępie kilku kroków od większej grupy wysiedleńców staruszka lat około 70 z rozwianym siwym włosem. Wzrok szklisty, nieruchomy, oczy szeroko otwarte, przerażone patrzą w dal. Idzie powoli, spokojnie, w samej sukni, w nocnych pantoflach na nogach, bez

żadnego pakunku, nawet nie ma podręcznej torebki. Sciska tylko obu rękami i tuli do swej starczej piersi coś czarnego. To maleńki piesek, ratlerek, z którym widocznie jako z czymś najdroższym nie chciała się rozstać.

Szła też roześmiana młoda dziewczyna, lat około 14, umysłowo chora, znana dobrze wszystkim mieszkańcom getta. Dreszczem przejmował widok bosej, w potarganą nocną koszulę odzianej istoty, śmiejącej się i rozbawionej, gdy wokół padali ludzie i truchleli z przerażenia. Przechodzili starzy i młodzi, jedni ubrani, inni w samej tylko bieliźnie, ściągnięci z łóżek tak, jak ich zastano. Szli ludzie, którzy przebyli ciężkie operacje, przewlekle chorzy. Pędzili gnani strachem, pobici, pokrwawieni, wśród drwin i śmiechów żołdactwa.

Z kamienicy przy Placu Zgody nr 2 z naprzeciwka apteki wychodzi znany wielu mieszkańcom getta ślepiec, starzec siedemdziesięcioletni z czarnymi okularami na niewidomych oczach. Stracił on wzrok walcząc wespół z Niemcami na froncie włoskim w roku 1914. Na lewym ramieniu opaska koloru żółtego z trzema czarnymi kółkami — oznaka ślepoty. Idzie prowadzony z jednej strony przez syna, z drugiej przez żonę. Głowę ma wysoko podniesioną. — Szczęśliwy, że nie widzi, będzie mu łatwiej umierać — mówi do nas siostra szpitalna. Na piersiach ma przypięte odznaczenie, jakie zdobył na wojnie. Może to będzie miało u Niemców jakieś znaczenie. Takimi z początku rozumowało się kategoriami.

Za nim idzie starzec kulawy. Niemcy zbliżają się do nich. Jeden z nich podbiega do ślepca i przeraźliwym głosem ryczy: *schnell!!*. To daje zachętę innym Niemcom do rozpoczęcia osobliwej zabawy. Dwóch esesmanów podchodzi do starca bez nogi i wrzeszcząc naglą go do biegu, inny podchodzi z tyłu i kolbą karabinu uderza po kuli. Starzec zwala się na ziemię. Niemiec krzyczy, jak opętany, grożąc zastrzeleniem. To wszystko dzieje się tuż za prowadzonym ślepcem, który nic nie widzi, słyszy tylko nieludzkie głosy Niemców przerywane kaskadami śmiechu. Do leżącego na ziemi kaleki zbliża się żołnierz niemiecki i pomaga mu się podźwignąć. Pomoc ta jest natychmiast utrwalana na zdjęciu przez oficera, który skwapliwie fotografuje wszystkie obrazy „pomocy Niemców w humanitarnym przesiedlaniu Żydów".

Kiedy oprawcy nasycili się już maltretowaniem kaleki bez nogi, postanowili spróbować tego samego na ślepcu, inwalidzie wojennym. Odpędzili od niego najpierw syna, potem żonę, podstawiali mu nogi i cieszyli się, jak dzieci, kiedy walił się na ziemię. Jemu już nie pomagali wstać, musiał to robić sam, przynaglany przeraźliwymi krzykami stojących nad nim esesmanów. Zabawę tę powtarzano kilkakrotnie. Widok zaiste wstrząsający okrucieństwem. Nie wiadomo, co więcej ich bawiło, czy ból fizyczny, który zadawali padającemu na ziemię, czy rozpacz, jaką przeżywali jego żona i syn, bezsilni wobec gwałtu.

Trudno opisywać każdy przypadek, każdą odmianę niemieckich zbrodni, których dokonywano bezpośrednio przed moimi oczami. Kiedy się je opisuje, stają się one do siebie podobne, w rzeczywistości jednak każdy taki wypadek, mimo że zawsze zaczynał się od bicia i kopania, a kończył się zastrzeleniem, wyglądał zupełnie inaczej. Każdy miał swoją indywidualną tragiczną wymowę.

Getto nadal rozbrzmiewa hukiem wystrzałów, padają zabici, wynoszą rannych, krew na chodnikach znaczy ślady zbrodni niemieckich. Ludzi na placu coraz więcej. Upał, jak i w dniach poprzednich, niebywały; żar leje się z nieba. Wody zdobyć nie można, ludzie słabną.

Przed apteką stoi małe wojskowe auto, do którego esesmani znoszą co chwilę walizki napełnione wartościowymi rzeczami odebranymi w czasie rewizji.

Podczas tego wysiedlenia chlubnie zapisał się w pamięci mieszkańców getta kierownik szpitalika dla starców przy ul. Józefińskiej, dr *Aleksandrowicz*, który odmówił policjantowi żydowskiemu, przybyłemu do jego mieszkania z rozkazu *Judenratu*, pozwolenia na przeprowadzenie selekcji wśród chorych. Gdy się on zorientował, że grozi to zupełnym zlikwidowaniem szpitala, wyprowadził na ulicę wyznaczonych do wysiedlenia starców, a po odbytej kontroli, korzystając z poparcia dwóch *OD-manów*, zabrał większość chorych z powrotem do szpitala.

Październik 1942 roku krwawo zapisał się w historii getta przez jedno z najstraszniejszych wysiedleń.

Od połowy miesiąca coraz częściej nadchodziły wieści o zbliżającej się akcji wroga. Z każdym dniem wzrastało zdenerwowanie. W przeddzień 27 października w miejscach pracy, do których codziennie dochodzili mieszkańcy getta, mówiło się już otwarcie o jutrzejszym wysiedlaniu. Niemieccy kierownicy zakładów zatrudniających Żydów zapewniali, że ani pracujący, ani ich rodziny nie będą wysiedleni. Nikt jednak nie wierzył żadnym niemieckim zapewnieniom. Apteka stale była pełna naszych znajomych ocalałych z poprzednich pogromów. Na ulicach, po bramach, na podwórkach gromadzili się ludzie, komentując zasłyszane wieści. Coraz to nowe grupy powracających z pracy potwierdzały złowróżbne wieści, a ostatnie grupy widziały silne oddziały *Sonderdienstu* idące w kierunku getta.

Tego dnia, 26 października, nastrój w aptece wyjątkowo denerwujący, gorączkowy. Co począć? jak się ukryć? gdzie? co z rodziną, co zrobić z dziećmi, ze starymi rodzinami? Oto treść nie kończących się pytań, na które nie ma odpowiedzi.

Wszyscy jesteśmy bardzo przygnębieni. Apteka może dać schronienie kilku ludziom, ale co z resztą, co z ich najbliższymi, z dziećmi?

Zbliża się wieczór. *Sonderdienst* zajmuje posterunki wzdłuż granic getta. Nadchodzi godzina 21; obie moje pracownice opuszczają getto.

Zostaję sam z kilkoma znajomymi, którzy się zdecydowali tę noc spędzić w aptece. Wreszcie mija ta bezsenna, koszmarna noc. Z brzaskiem dnia moi znajomi opuszczają tylnym wyjściem aptekę, by udać się do pracy. Wyjście z getta może być ich jedynym ratunkiem.

Od godziny 6 rano zajeżdżają auta z wyższymi oficerami *SS* i gestapo. Przybywa *SS-Sturmbannfuhrer Haase,* w którego rękach spoczywa kierownictwo akcji. *Haase* ma lat około 40, wygląda jednak na grubo starszego. Człowiek, który ma osobiście dopilnować wysiedlania, jest wysoki, siwy, szczupły, ma stalowe, przenikliwe oczy, nigdy się nie śmieje, jest człowiekiem żonatym, ojcem czworga dzieci, w tym jednego mającego dwa lata.

28 października już nikogo z Polaków nie wpuszczono do getta. Jestem sam i otrzymuję polecenie, by nie otwierać apteki.

Niemcy ogłaszają przez megafony, że wszyscy mieszkańcy getta mają opuścić mieszkania, wyjść na ulicę i podążać w kierunku Placu Zgody; kto do godziny 10 rano nie spełni rozkazu, zostanie rozstrzelany.

Duża część ludzi po godzinie 6 opuściła getto, udając się do codziennej pracy. Poszli przeważnie mężczyźni. Wysiedla się więc ich żony, rodziców i dzieci, które nie mają możliwości nawet pożegnać się z najbliższymi; wysiedla się starców zabranych ze schronisk, wyciąga się chorych ze szpitali. W jednym ze szpitali pada rozkaz, że nikomu nie wolno opuścić łóżka. Koło godziny 12 w południe wpadają tam esesmani i strzelają do chorych, którzy nie mogli uciec na wiadomość o rozkazie niemieckim, zakomunikowanym im przez lekarzy.

Niemcy biją napotkanych w korytarzu szpitalnym ludzi, wypędzają personel, nie uszanują nawet rodzącej na stole ginekologicznym kobiety, rozkazując ją wyrzucić na stojące przed szpitalem platformy, które są przeznaczone dla chorych nie zabitych na miejscu. W tej jednej tylko akcji straciło życie kilkunastu lekarzy.

Na placu uwijają się oficerowie *SS* i gestapo, a prawie każdy z nich jest uzbrojony w pejcz lub kij; nie brak też takich, którzy dzierżą w swych rękach pogrzebacze. Pogrzebacze, laski i kije spadają raz po raz na głowy i ciała stojących. Wiek ani płeć nie mają tu znaczenia. Specjalnie brutalnie traktuje się starców.

Po godzinie 10 patrole *Sonderdienstu* i *SS,* przeważnie po czterech ludzi w każdej grupie, przeszukują w myśl rozkazu mieszkania, strychy, piwnice. Zamknięte pomieszczenia rozbijają siekierami.

Strzelanina wzrasta z minuty na minutę. Słychać wrzaski Niemców nad głowami siedzących. Od czasu do czasu ktoś z tłumu chce coś powiedzieć do stojących patroli, chce coś tłumaczyć. Każda taka próba kończy się rychło uderzeniem pięścią czy kolbą lub silnym kopnięciem. Nad wszystkimi króluje wysoka, sztywna sylwetka majora *Haasego.* Pan życia i śmierci, nieruchomy jak posąg, otoczony sztabem esesmanów i gestapowców, przygląda się uważnie wszystkiemu.

Przed oknami mojego pokoju przesuwają się twarze tylu dobrych znajomych. Widzę ludzi, z którymi toczyłem długie rozmowy, widzę niepoprawnych optymistów w czasie politycznych dyskusji i ich pesymistycznych przeciwników. Stoją obok siebie, stłoczeni biedacy i zamożni, starzy i młodzi, mężczyźni, kobiety i dzieci.

Sam jeden siedzę w aptece. Tubalne głosy Niemców i stuk ciężkich, podkutych gwoździami butów zbliżają się coraz bardziej i dźwięczą mi przeraźliwie w uszach. Kryję się we framudze drzwi przed przypadkowym postrzeleniem. Słyszę kroki żołdaków w odległości kilku metrów od drzwi apteki.

Niemcy rozdzielili między sobą czynności tak, że jeden z nich poszedł na strych, drugi w jedną stronę korytarza, trzeci do piwnicy, a czwarty stanął tuż pod drzwiami wiodącymi z sieni do apteki. Zapewne dla dodania sobie animuszu ten ostatni wystrzelił z karabinu. Odgłos strzału odbił się głośnym echem w pustym korytarzu. Jako pierwszy cel wybrał drzwi położone naprzeciw mego pokoju. Nie mogąc ich otworzyć, zabrał się do rozbijania. Słysząc trzask łupanego drzewa, postanowiłem wyjść. Otwieram drzwi i widzę w półmroku niskiego, krępego Niemca szamocącego się przy swojej robocie. Nie zauważył mnie, ani nie słyszał moich kroków. Dotykam go ręką po plecach i mówię: *„verzeihen".* Obrócił się nagle jakby prądem rażony, nie mogąc widocznie pojąć, skąd się tutaj ktoś wziął, skoro rozkaz brzmiał najwyraźniej, że każdy złapany w kamienicy po godzinie 10 będzie rozstrzelany. Stałem naprzeciw niego w białym aptecznym płaszczu, który umyślnie włożyłem na siebie, chcąc mu skuteczniej wyjaśnić powód mojej tu obecności. On jednak, nie czekając na moje tłumaczenie, zasalutował, odwrócił się i szybko oddalił.

Wróciłem do swego pokoju. Nie upłynęło 5 minut, kiedy usłyszałem odgłos kroków kilku żołnierzy i ich głośną rozmowę. Szli do moich drzwi. Nagle słyszę głośne kopnięcie. Otwieram. Wchodzi oficer *SS,* podoficer i dwóch szeregowców. Pytają o powód mojej obecności. Pokazuję wszystkie potrzebne dokumenty. Przeglądają je bez zbytniego zainteresowania. Podoficer tłumaczy, że nie może być żadnego wyjątku, rozkaz jest jasny. Oficer słysząc stanowczy ton swego podwładnego, może z przekory zdobywa się na stwierdzenie, że papiery są właściwie w porządku. Pomimo tego i moich wyjaśnień zabrali mnie z sobą.

Wyszedłem przed aptekę i zostałem doprowadzony do grupy stojących opodal Żydów. Niemcy odeszli. Stoję, czekając na rozstrzygnięcie. Truchleję na myśl, że lada chwila może się rozpocząć wyrzucanie Żydów z getta, a wtedy nic już nie zdoła mnie uratować. Po chwili zjawia się major *Haase,* idący powolnym krokiem w towarzystwie oficera, który przeglądał w aptece moje papiery. Porucznik

daje mi znak, żebym się zbliżył. Wartownik pozwala mi opuścić grupę. Podchodzę do *Haasego*, tłumaczę swoją obecność, chcę pokazać papiery. Sekundy te wydawały mi się wiecznością. Wystarczyłoby jedno skinienie *Haasego*, jedno słówko „*nein*" i podzieliłbym los Żydów. *Haase* powiedział jednak: „wiem o tym" i dał znak, by mnie zwolnić.

Wróciłem do apteki jakby z tamtego świata. Mimo tego nie zaprzestałem obserwowania z okna rozgrywających się wydarzeń. Widzę na przykład scenę, która na całe życie pozostanie mi w pamięci. Na placu tysiące ludzi siedzą i stoją. W odległości kilkunastu kroków od nich stoi grupa wysokich rangą esesmanów i gestapowców w świetnie skrojonych mundurach, w połyskujących butach z cholewami, z pejczami, kijami lub pogrzebaczami w ręku. Śmieją się i drwią bez przerwy, podchodzą od czasu do czasu do Żydów i biją, kopią, dając upust swemu temperamentowi. Twarze wielu z nich przekrwione, płoną formalnie żarem nienawiści. Widzę wypadek, jedyny zresztą, jak Żydówka z maleńkim dzieckiem przy piersi rzuca się do stóp esesmanowi, błagając go zapewne o życie. Kobieta płacze, krzyczy, wymienia raz po raz swoje nazwisko, podaje zajęcie męża. Nic nie pomaga, esesman brutalnie ją kopie i odchodzi. Ona nie daje za wygraną, biegnie za nim, łapie za rękę i prosi. Niemiec odwraca się i uderza ją kilka razy pejczem po głowie. Kobieta pada zemdlona na ziemię. *Sonderdienst* podchodzi do niej, łapie za rękę i ciągnie wraz z dzieckiem do grupy.

Widzę, jak zanim się skończyła ta scena, przez pustą przestrzeń dzielącą aptekę od grupy esesmanów idzie powolnym krokiem młoda, ładna, doskonale ubrana kobieta w jasnozielonej pelerynie. Zbliża się do esesmanów i nie patrząc na nich idzie dalej w kierunku tłumu wysiedleńców. Jak się później okazało, stała tam jej matka, a ona chciała dobrowolnie podzielić jej los. Zdziwieni Niemcy wlepiają w nią dziki wzrok. Jeden z nich, najgrubszy, o najbardziej czerwonej twarzy, podchodzi do niej, ręce ze szpicrutą złożywszy na plecy. Ona przystaje, on coś mówi i nagle zaczyna ją bić. Bije jak oszalały po twarzy, po oczach, po plecach. Cisza panuje śmiertelna, uderzenia słyszę w swoim pokoju. Kobieta lekko schyliła głowę i trwa w bezruchu, jak posąg. Ani jeden jęk nie pada z jej ust. Niemiec nie potrafił jej złamać, nie potrafił zmusić do próśb i błagania. Z wściekłością bijąc ją i kopiąc popycha ku wysiedlonym. Kobieta staje obok matki, nie mówią do siebie ani słowa. Po odejściu esesmana ona wyjmuje chustkę i ociera twarz, matka głaszcze ją po głowie i płacze.

Mijają chwile. Niemiec zbliża się do nich znowu i coś mówi. Ona nic mu nie odpowiada. Głowę ma spuszczoną na dół. Niemiec łapie ją wobec tego za włosy, wyciąga z szeregu i bije, wrzeszcząc przeraźliwie. Ręką, w której tkwi szpicruta, pokazuje kierunek przeciwny. Nie wolno jej zostać z matką, musi jeszcze żyć. Taka jest wola *SS*. Kobieta odchodzi powolnym krokiem, bezsilna wobec przemocy, a matka patrzy na nią długo, po raz ostatni.

Żydzi krakowscy nie zdobyli się wprawdzie na zryw wolnościowy, jakim była obrona getta w Warszawie, ale ginęli bez poniżania się przed okupantem. Wszyscy też prawie, z wyjątkiem małej grupki zaprzańców, uprawiali świadomy, konsekwentny sabotaż przy pracy w różnych placówkach. Starali się robić wszystko, by zwalniać tempo pracy i nie dotrzymywać terminów.

W czasie październikowego wysiedlania Niemcy uśmiercili dużo chorych i kalek, wyciągnęli ludzi ze szpitali i schronisk, wymordowali prawie wszystkich starców z przytułku przy ul. Limanowskiego. Ofiarą zbrodni niemieckich padły sierociniec i bursa. Do grupy wysiedleńców dołączono dzieci ze szpitala epidemicznego, a także więźniów z aresztu *Ordnungsdienst*, z Montelupich i z okolicznych „lagrów".

Szczególnie okrutnie obeszli się Niemcy ze szpitalem mieszczącym się w schronisku dla starców przy ul. Limanowskiego. Pędzono mężczyzn i kobiety w wieku, w większości wypadków, powyżej lat siedemdziesięciu, przeważnie kaleki, ze szpitala na dziedziniec, popychając ich po schodach i zmuszając do biegu. Można sobie wyobrazić, w jaki sposób ci ludzie znaleźli się na dole. Żaden z nich, jak później opowiadano, nie zszedł normalnie. Przeważnie walili się oni na schody i staczali w dół. Na dziedzińcu ustawiono ich przy ścianie, kazano skakać i wśród śmiechów zabijano. Nie było łatwo umrzeć w getcie śmiercią naturalną.

W czasie tego wysiedlania wiele osób popełniło samobójstwo. Niektórym starym ludziom dawali najbliżsi na ich gorące prośby truciznę, prawie zawsze cyjanek, chociaż zdarzały się przypadki trucia się gazem świetlnym i luminalem. Jeden ze znanych lekarzy w getcie, nie mogąc nerwowo wytrzymać tego, co widział wokół siebie, zażył 15 g luminalu. Rodzina dowiedziała się o tym w niespełna pół godziny i zaczęła go intensywnie ratować; zawdzięcza on życie niebywałym wysiłkom lekarzy i stosunkowo wczesnej pomocy.

Wiem o tym, że jedna lekarka mająca starych rodziców i ciotkę postanowiła zgodnie z ich gorącym życzeniem skrócić im męki i podać cyjanek. Powiedziała mi o swoim zamiarze jeszcze dnia poprzedniego, a nazajutrz wykonała go najdokładniej. Po ostatniej kolacji z winem, po ostatnich uściskach i pożegnaniach trzy osoby zasnęły na wieczność. Córka własnymi rękami wyniosła ich ciała na dziedziniec szpitala przy ul. Józefińskiej, gdzie składano trupy zabitych.

Znałem lekarza, który na życzenie i prośbę swego ciężko chorego ojca zrobił mu zastrzyk z cyjanku potasu.

Koło godziny 5 po południu Plac Zgody opustoszał. Niemcy wyszli z getta, ściągnięto posterunki. Pracujący w mieście, którzy wyszli rano i zostawili w getcie swych najbliższych:

żony, dzieci i rodziców, po powrocie zastali pustki. Wyważone drzwi od mieszkań wiały grozą niedawno przeżytych chwil. Krew na ulicach, w sieniach, na podwórzach, stosy trupów na dziedzińcach, brak najbliższych, którzy odeszli bez pożegnania targały resztki ludzkich nerwów. Płacz i lament tego wieczora przewyższył wszystko, co przeżyłem dotychczas w getcie.

W niektórych mieszkaniach wracający z pracy znajdowali kartki z nerwowo skreślonymi słowami pożegnania. „Nie martw się o nas, pamiętaj o sobie!" — pisały matki i żony.

Ludzie poszukiwali gorączkowo swoich bliskich. W każdym tkwiła nadzieja, że jego rodzina może ukryła się gdzieś, może się jeszcze znajdzie. Szukano po strychach, piwnicach, nawoływano się, wzywano do wyjścia, bo Niemcy już poszli. Niestety, takich, którzy się ukryli, było bardzo mało.

Październikowe wysiedlanie pochłonęło 7 tysięcy osób wysiedlonych i około 600 zabitych. Wśród takiego ogromu nieszczęścia, wśród tylu niespotykanych tragedii zrodził się sofistyczny dowcip: Pozostali przy życiu rabini podczas wspólnych modłów proszą Boga: „Panie Boże, przez pięć tysięcy lat byliśmy narodem wybranym. Dziękujemy za ten zaszczyt, niech on teraz spadnie na inny naród".

Następnego dnia otwieram aptekę. Obie moje pracownice wpuszczono do getta. Apteka pełna ludzi. Ocaleni z wysiedlenia znajomi zapełniają pokój dyżurny, ratują się środkami uspokajającymi i nasennymi. Nastrój pełen przygnębienia; prawie każdy kogoś stracił.

W kilka dni potem Niemcy likwidują część getta. W ciągu 24 godzin wszyscy mieszkańcy tej części miasteczka, która ma się znaleźć poza obrębem zmniejszonego getta, mają się przenieść w nowe jego granice.

6 grudnia następuje podział zmniejszonego miasteczka żydowskiego na dwie części: większą — „A" i mniejszą — „B"; druty kolczaste biegnące tuż przy aptece są linią podziału. Apteka znalazła się w części „B".

W getcie „A" pozostają ludzie jeszcze zdolni do pracy, przeznaczeni do obozu w Płaszowie, w części „B" ludzie skazani na wysiedlenie, skazani na śmierć. Z getta „A" do getta „B" można się dostać przez dwie bramy jedynie za przepustkami i to w wyjątkowych wypadkach. Do apteki ludzie mieszkający w getcie „A" nie mogą się dostać, z getta „B" nie potrzebują już leków. Im nie warto się nawet leczyć.

Zwierzchnicy getta nakazują ubrać jakiegoś młodego człowieka z getta „A" w czapkę z napisem *„Apotheke"*, by ten pośredniczył przez cały dzień między nami a ludźmi stojącymi za drutami kolczastymi w przyjmowaniu i wydawaniu leków. Uzyskanie lekarstwa jest bowiem za małym powodem, by dostać przepustkę do tej części, gdzie mieści się apteka, chociaż jej istnienie w getcie przedłużane było obawą przed wybuchem epidemii.

Do getta „B" Niemcy przywozili stale Żydów z okolicznych wsi i miasteczek. Dziwne te postacie niewiele przypominały normalnych ludzi. Obdarci, bosi, w łachmanach, nie ogoleni i nie myci, potwornie wynędzniali, złapani w lasach, wyciągnięci z przeróżnych kryjówek nie zdawali sobie często sprawy, co się dzieje wokół nich, wielu nie rozumiało ani słowa po polsku. Skąd pochodzili, gdzie do tej pory żyli — nie wiadomo. Tępy wzrok, ustawicznie wyciągnięte ręce po kawałek chleba, po papierosa. Porozumiewali się żargonem. Chodzili wzdłuż drutów kolczastych, jak zwierzęta w klatkach, a na widok przechodnia przystawali, prosząc o kawałek chleba. A z żywnością w getcie było coraz gorzej. Od chwili, kiedy Żydzi przestali wychodzić do pracy poza granice ich „przestrzeni życiowej", niedostatek w aprowizacji zaczął gwałtownie wzrastać. Pomoc obu pań, które pracowały w aptece, w dostawie żywności jest ogólnie znana w historii getta.

W końcu pewnego dnia na polecenie gestapo zamknięto wszystkich mieszkańców getta „B" w ich domach. Nie wolno było wychodzić z nich, nie wolno nawet wyglądać oknami. Drzwi od bram były zamykane. Żydzi raz dziennie dostawali jedzenie przynoszone w ogromnych kubłach.

Ulice getta puste, na podwórzach kamienic ścisk niebywały. W jednym pomieszczeniu, z którego należało usunąć meble, po kilkanaście osób stłoczonych razem, warunki sanitarne okropne; cud, że nie wybuchła jakaś epidemia. Brak wody i światła, mróz, zupełny brak opału, wiązka słomy czy siana jako legowisko, niezliczone ilości pcheł i wszy — oto piekło dwudziestego wieku.

Z każdym dniem, z każdą niemal godziną rośnie obóz w Płaszowie. Co tydzień któraś z grup tam pracujących nie wraca już do getta. W oczekiwaniu na ostatni akt schodzą dni pełne obaw i lęku. Aż wreszcie Niemcy ogłaszają dzień 13 marca 1943 r. za dzień zupełnej likwidacji getta.

W południe członkowie *Judenratu* opuszczają gmach gminy. Przed nimi idą gestapowcy i esesmani. Tłum zebranych zelektryzowała potworna wiadomość: dzieci z sobą zabierać nie wolno. Wiadomość, że wszystkie dzieci do lat 14 mają pozostać, jak grom uderza w rodziców. Zdawałoby się, że to coś zupełnie nowego, coś, z czym się nikt do tej pory nie liczył. A przecież powtarzało się to w każdym wysiedleniu, było stałą tragedią wszystkich mających dzieci. Łudzono się stale i stale doznawano bolesnych rozczarowań. Tak też było i tym razem.

Uwierzono w baraki, specjalnie budowane dla dzieci, uwierzono w niezbędność niedawno utworzonego *Kinderheimu*, uwierzono w solenne przyrzeczenia Niemców, że wszystkie dzieci będą razem z rodzicami w barakach. I teraz też nie cofnięto danego przyrzeczenia, nie zmieniono zapewnień. Dzieci nie pójdą razem z rodzicami, ale zaraz po przejściu starszych auta je zawiozą na miejsce. Dzieci należy odstawić do *Kinderheimu*.

Brama między gettem „A" i „B" stoi otworem.

W aptece przeżywamy dantejskie sceny. Ludzie skamieniali z bólu załamują się zupełnie. Coraz to inni znajomi przychodzą powiedzieć, że mąż, że żona została w szeregu, a oni nie mogli się zdecydować na pozostawienie dziecka samego. Każdy ma nam coś do powiedzenia. Zostają u nas ulubione psy niektórych dobrych znajomych. Biedne stworzenia doskonale odczuwają całą sytuację, są smutne, nie chcą jeść i skomlą.

Zdyszani ludzie wpadają do apteki po luminal dla dzieci, aby je uśpić i uśpione wynieść w plecakach jako bagaż. Inni usypiają dzieci, by płaczem swym nie zdradziły kryjówki, w którą mają zamiar się zaszyć, nie chcąc czy nie mogąc z różnych powodów iść do baraków. Niejedno dziecko zawdzięczało temu swe życie. Dużo ludzi też próbowało się przedostać na stronę „aryjską".

Bramę getta otwarto. Wychodzą pierwsze grupy. Przy bramie stoją Niemcy i pilnie patrzą, by nie przeszło żadne dziecko. Zauważone dzieci brutalnie odrywa się od rodziców. Jeżeli matka albo ojciec chce pozostać z dzieckiem, Niemcy odsuwają dziecko, a rodziców pędzą naprzód. Dzieci długo stoją przy drutach i zapłakanymi oczami patrzą za odchodzącymi rodzicami.

Wyszli ostatni mieszkańcy getta. Nagle nastała pustka na niedawno jeszcze ruchliwych ulicach, gdzie każdy dom, każdy dziedziniec czy brama rozbrzmiewały gwarem ludzkiej mowy. Upiorne wrażenie robiły te bezludne mieszkania, nieżyjące ciemne okna, wymarłe ulice, na których było słychać tylko miarowe kroki policji niemieckiej przemierzającej odrutowaną granicę dwóch gett.

W czasie likwidacji getta „A" wiele osób wybrało oryginalny i pomysłowy, choć bardzo niebezpieczny sposób ucieczki. Schodząc mianowicie do kanału przecinającego ulice Podgórza i wybiegającego na Wisłę tuż za mostem kolejowym i brnąc w ciemnościach tego kanału, pełnego nieczystości kloacznych, podążano ku wolności. Straszna to była droga dla ludzi obładowanych rzeczami, trzymających nieraz dzieci na głowie, aby nie zanurzyć ich w cuchnących ściekach.

Jednym z pierwszych, którzy zeszli do kanału, był znany i ceniony doktor *Aleksandrowicz*, który razem ze swoją żoną i maleńkim synkiem przebył tę upiorną drogę, idąc nią przez kilka godzin.

Pierwsi śmiałkowie wygrali. Wyjście było wolne, żadnego posterunku nie było w pobliżu. Niedługo to jednak trwało. Ktoś zdradził uciekających. Meldunki o ucieczce Żydów powędrowały do posterunków policyjnych i po krótkim czasie otwór wylotowy kanału był już obstawiony. Następni uciekinierzy wpadali w ręce Niemców.

Straszna była noc w getcie z 13 na 14 marca 1943 roku. Getto „A" zlikwidowano zupełnie. Wszyscy bliżsi i dalsi znajomi odeszli. W getcie „B" nastała trwoga. Nikt nie łudził się co do losu pozostałych. Byli przecież ludźmi niepracującymi, a więc niepotrzebnymi Niemcom. Reszta — to kobiety i dzieci. Nikt nie zmrużył tej nocy oka. Ludzie chodzili jak lunatycy po korytarzach, po piwnicach, po strychach kamienic na Placu Zgody. A o świcie znów, jak w czasie poprzednich wysiedlań, zaludnił się ten niezwykły plac. Wynurzają się ludzie wymizerowani, obrośnięci, nie myci, z obłędnym wzrokiem, w którym maluje się rezygnacja i trwoga zarazem. Wychodzą kobiety z dziećmi na rękach, kobiety z wózkami dziecinnymi. Idą starcy, niosąc pod pachą szaty rytualne zawinięte w aksamit. Idą same dzieci, trzymając się za ręce lub bawiąc się zabawkami, nieświadome swojej sytuacji.

Dzień jest piękny, ciepły, słoneczny, jak zresztą wszystkie dni wysiedleń. W pewnym momencie bramą od Placu Zgody wchodzą oddziały *SS* i *Sonderdienstu*. W hełmach, z karabinami, w pełnym uzbrojeniu ustawiają się podwójnym szeregiem wysocy, dobrze zbudowani synowie bohaterskiego *„Herrenvolku"*. Do getta zajeżdżają też auta z dygnitarzami. Żołnierze zdejmują karabiny, ustawiają je w kozły przed sobą. Getto robi wrażenie miasta szykującego się do walki.

I znów przed naszymi oknami przesuwają się obrazy podobne do poprzednich. Ta jest tylko różnica, że tym razem mordowanie ma charakter masowy. Strzały nie ustają ani na chwilę; strzela każdy, kto chce, kto ma ochotę. *Oberscharführer Hujar*, krępy średniego wzrostu blondyn wpada z drwiącym uśmiechem na nabrzmiałej twarzy do szpitala głównego przy ul. Józefińskiej i strzela do każdego spotkanego człowieka, do każdego chorego. Przebiega jak upiór, jak śmierć od parteru po strych, znacząc swą drogę trupami. W bramie zabija portiera i psa, który skrył się w budce przy bramie przerażony strzałami.

W sali szpitalnej leży młoda ładna kobieta, a przy niej czuwa lekarka dr *Blau*, która nie chce zostawić samej swojej przyjaciółki dr *Bergerowej*. Ta ostatnia, próbując ucieczki kanałem, upadła i złamała nogę. Drzwi się otwierają i na progu staje zadyszany, gryzący jabłko *Hujar*. W ręce trzyma dymiący jeszcze rewolwer, stoi i patrzy, jak zahipnotyzowany to na jedną, to na drugą kobietę. Za chwilę syknął, jak wściekły pies do lekarki, żeby się odwróciła tyłem. Dr *Blau* wie, że przegrała, że życiem trzeba przypłacić pozostanie w szpitalu. Wie też jednak, że za chwilę rozegra się walka, z której wyjdzie zwycięsko jako kobieta, człowiek, lekarz. Zaledwie zdążyła powiedzieć: „Niech pan strzela, ja się śmierci nie boję" — padł strzał. I o dziwo, śmierć tej kobiety uratowała życie drugiej, bo oto *Hujar* chowa swój rewolwer do futerału, dając *ODmanowi* rozkaz przeniesienia chorej do więzienia *OD*. Niewytłumaczalny kaprys, jakiemu od czasu do czasu ulegali gestapowcy, uratował życie chorej.

Na Placu Zgody tymczasem akcja Niemców przybiera na sile. Niemcy strzelają, biją i znęcają się nad ludźmi już z pewnym planem,

metodycznie. Obcokrajowców, chodzących dotąd wolno po mieście lub uwięzionych na *OD*, rozstrzeliwują w ślepej uliczce wiodącej od Placu Zgody do szpitala epidemicznego. Pod ścianą kamienicy położonej na wprost mych okien ustawiają i rozstrzeliwują starców wyciągniętych z kryjówek. W innym rogu placu strzelają do dzieci. Planowość, nawet jeśli chodzi o zbrodnie, jest przez Niemców ściśle przestrzegana.

Ludzie zamierają ze zgrozy, trwają w ciszy i spokoju, czekając na swoją kolej, bo jeśli nie tutaj, jeśli nie zaraz, to za kilka lub kilkanaście godzin czeka ich to samo.

Na ulicy Józefińskiej Niemcy przystępują do likwidacji *Kinderheimu*. Stoją już tu wozy, na które ładuje się dzieci. Maleństwa są wrzucane do koszy i wynoszone po kilka na raz. Starsze wyprowadza się na plac i rozstrzeliwuje. Wiele malutkich dzieci i niemowląt w wózkach znajduje się jeszcze koło swych rodziców.

Wśród ustawicznego segregowania ludzi, odliczania i odłączania młodszych, lepiej się prezentujących, od reszty, wśród nie kończącej się serii razów i strzałów wysocy dostojnicy *SS* i gestapo przechadzają się, jak najspokojniej rozmawiając ze sobą. Króluje *Sturmführer Haase* otoczony swoim sztabem. Widać też *Amona Götha*, przyszłego komendanta obozu w Płaszowie.

Esesmani zaczynają formować tłum zwrócony twarzami do wyjścia, oddzielają kobiety od mężczyzn, zabierają matkom dzieci. Wszystko to czyni się niezwykle brutalnie, nieludzko. Zbliża się moment wyjścia, co poznajemy po odbieraniu rzeczy. Pod bramę zajeżdżają auta ciężarowe. Tłum faluje, wstaje z ziemi, podnoszą się całe grupy ludzi. Zwiększa się przeraźliwy wrzask Niemców, zaciekłość w biciu kolbami, pejczami i laskami zmienia się w furię. Przez bramę przeciskają się ludzie. Stojący w przejściu esesmani odrywają mężczyzn od kobiet, dzieci od rodziców, odbierają nie zabrane jeszcze pakunki. Płacz odłączonych dzieci i krzyki ich rodziców mrożą krew w żyłach. Dzieci w wózkach pozostawiono na pastwę losu. Nietrudno się domyślić, co je czeka. Strzały nie milkną ani na chwilę.

Widziałem wówczas taki obraz: wśród tłumu na pierwszym planie siedzi na ziemi staruszka. Usnęła widocznie ze zmęczenia, bo nie reaguje na krzyki Niemców wzywających do opróżnienia placu. Do siedzącej nieruchomo podchodzi pochylony do przodu esesman z założonymi rękami. W jednej z nich trzyma rewolwer. Z odległości kilku kroków strzela w kierunku staruszki, która zrywa się nagle, wyprostowuje się i rozkłada ręce. Pada wtedy drugi strzał, tym razem celny.

Plac powoli pustoszeje, likwidacja getta krakowskiego dobiega końca. Dookoła jak na pobojowisku: tysiące pakunków, porzuconych bagaży, gdzieniegdzie małe dzieci bawiące się na mokrym od krwi asfalcie. Esesmani biorą dzieci za ręce. Ten i ów żołnierz prowadzi po kilkoro trzymających się razem dzieci. Inni jadą z wózkami, w których śpią maleństwa. Każde takie odprowadzenie za róg ulicy kończy się nową salwą karabinową.

W tym dniu wysiedlono około 3 tysięcy ludzi. Podczas likwidacji getta wymordowano całe rodziny, nieraz bardzo liczne. Ginęła z nimi tradycja rodzin osiadłych w Krakowie od setek lat. Ginęły rodziny o nazwiskach trwale zapisanych w dziejach dawnego Krakowa. Niszczały cenne księgozbiory, wiekowe sprzęty liturgiczne, bezcenne rodały pisane na pergaminach.

Getto wymarło i mogło się zdawać, że już rozegrał się jego ostatni akt. A jednak Niemcy potrafili wymyślić coś bardziej obrzydliwego niż metody, które stosowali względem żywych. Tym razem profanacja spotkała ciała pomordowanych. *OD* i zatrzymani Żydzi otrzymali rozkaz rozbierania pomordowanych do naga, składania ich w bramach domów, a potem ładowania na platformy i wywożenia.

Widzieliśmy, jak rozbierano starych i młodych, kobiety i mężczyzn. Ściągano ubranka z niemowląt. Ileż to było wypadków, że wśród zabitych synowie poznawali swych rodziców, a rodzice własnymi rękami musieli rozbierać swe dzieci! Układano w bezładzie jedne ciała na drugie, potem rzucano nagie zwłoki ludzkie na przybywające do getta platformy.

Widziałem trupy, które zamiast twarzy miały krwawo-czarne wyrwy otoczone sklejonymi krwią włosami. Widocznie strzelano prosto w twarz kulami dum-dum. Widziałem pędzącą platformę pełną trupów, pomiędzy którymi była kobieta podnosząca jeszcze ręce do twarzy. Nie był to jedyny tego rodzaju wypadek. Często rzucano na wozy razem z trupami ciężko rannych. Słyszano ich jęki, kiedy platformy mijały bramę wyjazdową z getta. Przed opuszczeniem granic getta naładowane po brzegi wozy nakrywano kocami. Jechały potem te platformy, jak wozy rzeźnicze, po wąskich ulicach w stronę Płaszowa. Na nierównym bruku ul. Wielickiej czasem wypadały zwłoki z przepełnionego wozu.

Cisza cmentarna zaległa wyludnione ulice i opustoszałe domy getta. Z każdego kąta, z każdego zaułka, z każdej sieni wiało pustką, ale wszystko, co się tu widziało, było głośnym oskarżaniem o okrucieństwo. Oskarżał każdy najdrobniejszy przedmiot, każde miejsce było napiętnowane zbrodnią i hańbą hitlerowców.

Z chwilą zniszczenia getta istnienie apteki straciło właściwie sens. Zdawało mi się, że po dwóch latach życia w getcie ja sam zostałem też jak gdyby wysiedlony w kraj umarłych, w miasteczko opróżnione z ludzi, gdzie odgłos kroków zabłąkanego człowieka budzi lęk, gdzie widok spotkanego człowieka przejmuje dreszczem. Po dwu dniach przymusowego siedzenia w aptece szedłem po tym wymarłym miasteczku wsłuchany w odgłos mych własnych kroków.

Ciemno już było, kiedy wracałem do apteki. Niesamowitość otoczenia, puste i ciemne uli-

ce i place napawały dziwnym niepokojem. Każda uchylona brama, każde otwarte okno w wymarłych całkowicie domach potęgowały ten niepokój. W pewnych momentach zdawało mi się, że halucynuję: ktoś szybko przebiegł przez sień, ktoś zapalił w oknie zapałkę, ktoś znów otworzył okno; usłyszałem gwizd, spadła do mych stóp karteczka rzucona tajemną ręką. Nie, to nie halucynacja, to rzeczywistość. Ktoś żyje jeszcze w kamienicy, ktoś skrył się w obawie przed innym człowiekiem. Podniosłem kartkę i przyspieszyłem kroku. Zbyt świeże były jeszcze w mojej pamięci i moich myślach widziane i przeżyte obrazy, by móc spokojnie się zastanowić nad treścią i znaczeniem karteczki, by zapamiętać miejsce, skąd dochodziły tajemne sygnały.

Przed wejściem do apteki znów usłyszałem szmer czyichś kroków i stuknięcie w szybę. Wpadłem do bramy. Cisza panowała zupełna. W korytarzu potknąłem się jeszcze o zwłoki nagiego człowieka. Odetchnąłem, gdy znalazłem się w aptece. Podszedłem do okna, by popatrzeć na znajomy mi plac, by uwierzyć w rzeczywistość tego, co przeżyłem.

Trudno było usnąć tej nocy. Wrażenie pustki i ciszy działało denerwująco. Ciągle mi się zdawało, że słyszę stuk czyichś kroków, skrzypienie drzwi, stukanie w szybę. Przez wiele następnych dni, kiedy chodziłem po getcie, słyszałem podobne odgłosy. Wówczas już wiedziałem na pewno, że nie były to omamy. Ludzie dawali znaki, że żyją, że potrzebują pomocy.

A udzielenie pomocy nie było wcale rzeczą łatwą. Każde zatrzymanie się przed pustą kamienicą, każde nierozważne wejście do niej, porozumiewanie się z ukrytymi mogło być łatwo zauważone przez policjantów niemieckich i aż nazbyt gorliwych *OD-manów* żydowskich, spośród których tylko nielicznym można było zawierzyć.

Nieszczęśliwym tymczasem trzeba było koniecznie jakoś pomóc. Zdecydowałem się zwrócić do dwu dobrze mi znanych *OD-manów*, opowiedziałem im dokładnie, gdzie słyszałem odgłosy, skąd spadły kartki wzywające pomocy. Zrobili, co mogli. W czasie wywożenia mebli ze szpitala epidemicznego i ze szpitali przy ul. Józefińskiej do baraków w Płaszowie przemycili kilkoro dzieci. Starsi łączyli się nieraz z grupami więźniów z obozu przychodzącymi do porządkowania zabudowań getta i razem z nimi wracali do baraków. Z początku uchodziło to uwadze Niemców, nie liczono bowiem zbyt skrupulatnie powracających. Później, ponieważ zdarzały się ucieczki wychodzących do pracy, sytuacja zmieniła się gruntownie.

Pewnego dnia, gdy siedziałem w aptece, usłyszałem szmer kroków na korytarzu wiodącym do apteki. Ktoś się skradał. Lekkie pukanie do drzwi i odgłos oddalających się kroków. Zrobiło mi się trochę nieswojo. Za chwilę usłyszałem pukanie w okno od strony podwórza. Podchodzę, widzę cień przebiegającego człowieka i znów słyszę ciche kroki w sieni. Otwieram drzwi. Przede mną staje mały chłopak:

— Niech mi pan pomoże.

— Kim jesteś — pytam — gdzie jesteś ukryty?

Na twarzy chłopca, zmizerowanej, brudnej, wyraz strachu, piętno przeżyć niedawnych. Nazywa się *Teufel*, ojciec jego miał przed wojną sklep papierniczy na ul. Szewskiej, w getcie zaś pracował w *„gemeinschafcie"* tej samej branży. 13 marca odmaszerował z innymi do baraków w Płaszowie, a chłopiec z ciotką i jej małym dzieckiem ukryli się w piwnicy w nowo zrobionej pod węglem. Nie jedli nic od kilku dni. Ciotka jest ciężko chora, dziecko umierające. Przeżyli straszne chwile. Kilka razy przechodzili obok schowka Niemcy, a oni truchleli, że ich wykryją, bo dziecko płakało. Teraz proszą o pomoc.

Dałem mu wszystko, co miałem do jedzenia i przyrzekłem zawiadomić ojca o ich istnieniu. W kilka dni później ciotka dołączyła do grupy pracujących i dostała się do baraków, chłopiec zaś wydostał się z getta w szafie ze szpitala epidemicznego. Dziecko umarło.

W pierwszych tygodniach po wysiedleniu Żydów Niemcy od czasu do czasu natrafiali na ślad kryjówek w getcie przez przypadek lub powiadamiani przez swych konfidentów. Wyruszały wówczas całe wyprawy złożone z Niemców i *OD-manów*. Wykrywano misternie wykonane kryjówki na strychach i w piwnicach, ślepe ścianki, kryjówki w piekarnikach. Ludzie zaopatrzeni w żywność i wodę mogliby przemieszkać w nich całe miesiące, gdyby nie pech lub zdrada. Znalezionych odstawiano do więzienia *OD*, skąd szli do Płaszowa, najczęściej na śmierć.

W czasie oczyszczania domów natrafiano na rozkładające się zwłoki ofiar zastrzelenia, otrucia, na zmarłych z wycieńczenia lub chorób, leżących niekiedy całymi tygodniami w kryjówkach. Miliony much wylatujących z okien piwnicznych zdradzały nieraz rozkładające się zwłoki.

Widziałem trupy w stanie kompletnego gnicia, widziałem zwłoki kobiety leżącej pod pierzyną od szeregu tygodni, czy nawet miesięcy. Widziałem dziecko, małą dziewczynkę, w łóżeczku, otrutą zapewne przez rodziców, gdy nie mogli jej zabrać ze sobą. Widziałem w pewnej piwnicy wystającą nad stertę węgla rękę starca, który umarł ukryty przed Niemcami w taki właśnie sposób.

W tej wielkiej tragedii ludzkiej wzruszająca była przysłowiowa wierność psów pozostawionych na łasce losu. Opuszczone przez właścicieli biegały całymi dniami w poszukiwaniu pożywienia. Zdobywszy je, wracały do swoich mieszkań i kładły się pod łóżkami swych dawnych właścicieli.

Wieczorami przychodził pod aptekę pewien pies, który zachęcany do wejścia, nigdy nie zdradzał na to ochoty. Trzeba mu było wynosić jedzenie i picie na ulicę. Zaraz po zaspo-

kojeniu głodu pędził do swojego domostwa. Jeden tylko piesek, buldog francuski, przywiązał się do nas od razu i pozostał w aptece.

Ostatni już akt zagłady getta krakowskiego rozegrał się w nocy z 14 na 15 grudnia 1943 roku. Był to dzień likwidacji policji żydowskiej i więzienia, w którym przebywali aresztowani przeważnie w czasie legitymowania się tzw. papierami aryjskimi. Wywieziono ich do obozu w Płaszowie i wszystkich, z nielicznymi wyjątkami, rozstrzelano.

Mury dawnego getta zostały rozebrane, zdjęto druty kolczaste, a do wyremontowanych mieszkań pożydowskich przesiedlono Polaków z tych dzielnic Krakowa, które zostały przeznaczone na osiedla wyłącznie niemieckie.

*

* *

Niezwykła rola, jaką odgrywała apteka w getcie krakowskim, została w ten sposób zakończona. W tragicznej historii getta chlubnie zapisały się zwłaszcza dwie pracownice apteki, mgr *Irena Droździkowska* i mgr *Helena Krywaniuk*, które przez cały czas niosły z narażeniem życia pomoc Żydom, maltretowanym i poniżanym, dając swym postępowaniem wyraz wiary w zwycięstwo sprawiedliwości i humanizmu.

MIECZYSŁAW SKULIMOWSKI Wieliczka

Zagłada szpitala żydowskiego w Wieliczce w roku 1942

(Z Sanatorium Alergologicznego „Kinga" w Wieliczce
Dyrektor i ordynator: Doc. dr *M. Skulimowski*)

Nieznana szerszemu ogółowi masowa zagłada chorych, lekarzy i pielęgniarek w szpitalu żydowskim w Wieliczce w dniu 26 sierpnia 1942 r. należy do najciemniejszych kart okresu okupacji hitlerowskiej w Polsce. Jakkolwiek masowe mordy popełniane przez hitlerowców na chorych nie były wówczas wcale rzadkością, to sam fakt zorganizowania szpitala tylko dlatego, aby tam ściągnąć jak największą liczbę chorych i lekarzy i aby ich następnie podstępnie zgładzić, stanowi już szczytową formę nowoczesnego zwyrodnienia i zdziczenia ludzi w wieku, który rości sobie pretensje do wyżyn cywilizacji i humanizmu.

Odtworzenie choćby tylko w przybliżeniu chwil, które przeżywali chorzy i załoga lekarska szpitala w sierpniowy upalny dzień przed przeszło dwudziestu laty, w przeddzień tzw. całkowitego wysiedlenia Żydów z Wieliczki, nie jest obecnie rzeczą łatwą, jak by się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Mała liczba przygodnych świadków krwawych wydarzeń, brak jakichkolwiek dokumentów w tej sprawie, zniekształcenie przeżyć świadków chwilowością obserwacji w atmosferze grozy i terroru oraz duża odległość czasowa nakazują zachowanie dużej ostrożności w pierwszej próbie odtworzenia tych tragicznych momentów i ich oceny z perspektywy upływu lat. Z tego też względu przytoczony opis trzeba traktować jako tymczasowy i niepełny. Dalsze badania historyczne niewątpliwie pozwolą dopełnić w przyszłości o nowe szczegóły przedstawiony obraz popełnionej brodni.

Niniejsza relacja opiera się na fragmencie spisywanego współcześnie dziennika z lat okupacji zmarłej w Wieliczce przed kilku laty znanej działaczki socjalistycznej *Marii Bill-Bajorkowej* (1883—1962), obejmującego okres od 20 do 31 sierpnia 1942 r. włącznie i zatytułowanego przez autorkę „Wysiedlenie Żydów w Wieliczce". Autorka dziennika, silnie zaangażowana w akcję pomocy Żydom, wiele danych czerpała także bezpośrednio od swego lokatora, dr *Zygmunta Landaua*, wiceprzewodniczącego wielickiej gminy żydowskiej oraz od jego przyjaciela, dr *Blübauma*. Chociaż zachowany fragment dziennika jest najobszerniejszą dotąd relacją o okolicznościach i przebiegu zagłady szpitala, to jednak w świetle przeprowadzonych badań nie wszystkie zawarte w nim fakty wydają się jasne i pewne.

Znacznie mniejszą wartość z uwagi na skromniejszy zasób szczegółów ma wyzyskany tu także dokument pt. „Opis zbrodni niemieckiej wobec ludności żydowskiej w Wieliczce w okresie od dnia 6 września 1939 do końca 1942 r.", sporządzony w dniu 5 sierpnia 1946 r. przez Żyda wielickiego *Michała Zellnera* (1889—1959), który przetrwał w ukryciu akcję eksterminacyjną hitlerowców [1].

Dla uzupełnienia wymienionych źródeł pisanych zebrałem, oprócz własnych wspomnień, relacje od zamieszkałego w Wieliczce naocznego świadka likwidacji szpitala, *Józefa Samogyja*, obecnie pracownika Spółdzielni Inwalidów „Promień" (w okresie okupacji mieszkał w najbliższym sąsiedztwie szpitala), oraz od ocalałej chwilowo pielęgniarki szpitala, *Cecylii Sobel*, lat 55, zamieszkałej również obecnie w Wieliczce. Ponadto wyzyskałem w opisie informacje zebrane od lekarzy wielickich: dr med. *Marii Wiązownickiej*, dr med. *Mariana Twardosza* i znanego działacza społecznego, *Jana Grzywacza*, obecnie pielęgniarza Sanatorium Alergologicznego „Kinga" w Wieliczce.

Żałować należy, że nie dysponujemy żadną

[1] Zarówno fragment dziennika *M. Bajorkowej*, jak i opis *M. Zellnera*, znajdują się w posiadaniu autora.

relacją przekazaną nam przez osobę najbardziej autorytatywną w tej sprawie, tzn. lekarza z załogi szpitala. Niestety, jak należy sądzić, nie uratował się nikt z lekarzy pracujących w wielickim „szpitalu śmierci", tak że nadzieja na wierne i pełne odtworzenie bliższych okoliczności towarzyszących zagładzie jest już obecnie bardzo mała.

Na szerzące się wiadomości o planowanym zamknięciu krakowskich Żydów w getcie, na skutek usilnych starań podjętych (i popartych odpowiednią daniną) u generalnego gubernatora *Franka* około 5000 Żydów otrzymało zezwolenie na zamieszkanie w Wieliczce. Ponad wyznaczony kontyngent przybyło jeszcze 400 osób. Z końcem 1941 r. ogólna liczba napływowej ludności żydowskiej w Wieliczce znacznie wzrosła i wynosiła około 8000. Warto zaznaczyć, że do Wieliczki przybyła w większości inteligencja żydowska, a w szczególności dużo było wybitnych lekarzy i adwokatów. Osiedlenie się tak wielkiej liczby Żydów właśnie w Wieliczce prawdopodobnie wiązało się z nadzieją większej możliwości przeżycia w oparciu o podziemny labirynt kopalni wielickiej, pobliskie góry i lasy, wyjazd za któregoś Polaka na roboty do Niemiec, czy też wreszcie ucieczki na Węgry.

W sierpniu 1942 r. rozpoczęły się w Generalnej Guberni intensywne przygotowania hitlerowców do eksterminacji ludności żydowskiej. W wyniku zarządzeń policyjnych, po 20 sierpnia, nastąpiła w Wieliczce koncentracja Żydów z pobliskich miasteczek i wsi, jak Niepołomice, Dobczyce, Gdów i Bieżanów, tak że liczba ich zwiększyła się teraz do około 11000. 15 sierpnia tegoż roku wielicka rada żydowska otrzymała rozkaz ustny od przybyłego z Krakowa referenta do spraw żydowskich, gestapowca *Kundego,* późniejszego oprawcy chorych, lekarzy i personelu szpitala żydowskiego w getcie krakowskim, zorganizowania do ośmiu dni komfortowego szpitala na 250 łóżek.

Społeczeństwo żydowskie z wielką skwapliwością przystąpiło do wykonania wydanego polecenia. W utworzeniu bowiem szpitala upatrywano powszechnie dłuższą stabilizację ówczesnej bardzo niepewnej sytuacji Żydów, a nawet poczytywano je za widomy znak bezpieczeństwa, zwłaszcza że uzyskanie zezwolenia poprzedziły bardzo gorliwe starania ze strony Rady Żydowskiej i złożona wcześniej obfita danina z kosztowności dla żydowskiego komisarza w Wieliczce, *Rosiga* z Drezna. Nie jest wykluczone, że projekt utworzenia szpitala był świadomą i przemyślaną próbą samoobrony, przedsięwziętą przez przebywających w Wieliczce wielu wybitnych lekarzy żydowskich z pobliskiego Krakowa.

Wybrano na szpital zabudowania hederu i żydowskiego domu ubogich, położone przy ul. Szpunara. Dla opróżnienia budynków została użyta znajdująca się w dyspozycji kahału policja żydowska, która ich mieszkańców wyrzuciła dosłownie na bruk wobec ogromnego przeludnienia miasta. Bardzo szybko został przeprowadzony konieczny remont zabudo-



Ryc. 1. Fragment zabudowań szpitala żydowskiego w Wieliczce. Fot. *M. Skulimowski*



Ryc. 2. Budynek dawnego hederu wielickiego wchodzącego w skład zabudowań szpitalnych. Fot. *M. Skulimowski*

wań, a pomieszczenia dużym nakładem sił i środków społeczeństwa żydowskiego zostały urządzone i wyposażone zgodnie z ówczesnymi wymogami lecznictwa szpitalnego.

Oczekiwano teraz tylko niecierpliwie na zezwolenie otwarcia szpitala i przyjmowania chorych. Zaczęły się bowiem szerzyć pogłoski o tym, że dzieci do lat 10 i starcy są mordowani, a dorośli wywożeni w „nieznane", gdzie ginął po nich wszelki ślad. Wielu więc, nawet zdrowych, liczyło na przyjęcie do szpitala w charakterze pacjentów lub jako personel pomocniczy; w powszechnym mniemaniu bowiem uznawano za pewne, że będzie on upragnioną oazą spokoju i bezpieczeństwa. W przeświadczeniu tym utwierdzało wielu jeszcze i to, że według ogólnoludzkiego prawa zwyczajowego i pisanego szpitale jako instytucje o charakterze humanitarnym i charytatywnym były w czasie wojny zawsze chronione, a nawet otaczane opieką przez wszystkie cywilizowane narody.

Tymczasem wskutek apelów nadawanych przez polskie tajne radiostacje wielu bogatych i postępowych Żydów zaczęło masowo uciekać w większe obszary leśne położone na południe od Wieliczki. Wielu z nich przypłaciło życiem próbę ucieczki. Biedni, w większości, z pokorą oczekiwali spełnienia się wyznaczonego im losu, zgodnie zresztą z poleceniami mającymi płynąć z miejscowego rabinatu. Z biednych też głównie składał się przyszły stan chorych szpitala.

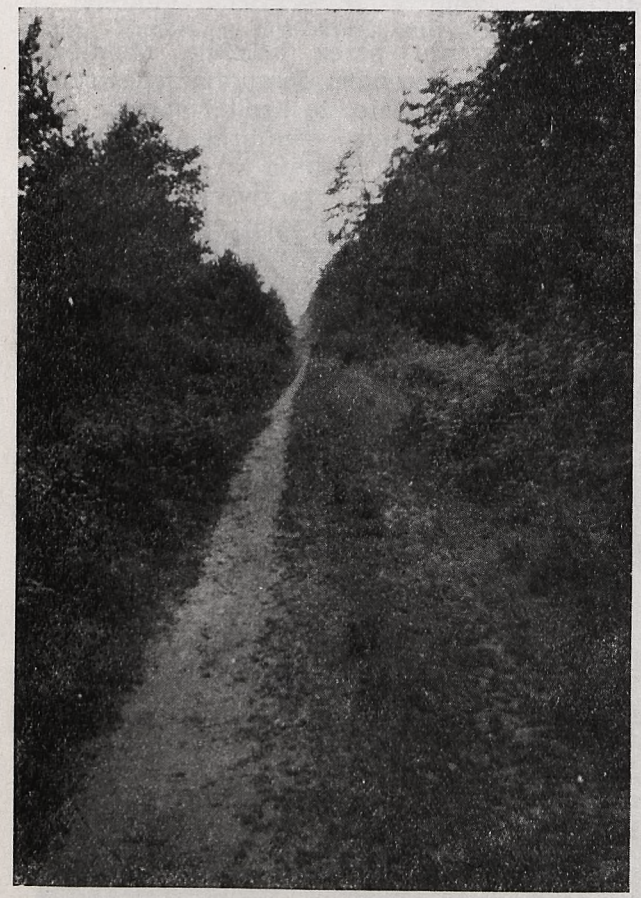
Po orzeczeniu przez komisję niemiecką z Krakowa z referentem do spraw żydowskich, *Heinrichem*, na czele, że szpital spełnia podstawowe wymagania sanitarne, został on otwarty w dniu 24 sierpnia w godzinach popołudniowych. Jedną z pierwszych pacjentek wśród ogromnego tłumu zgłaszających się była 94-letnia matka wspomnianego już dr *Landaua* i jej sparaliżowana wnuczka, *Maria Lustig*. Każdy z przyjętych chorych wpłacał pewną sumę pieniężną oraz mógł posiadać fundusz osobisty wraz z podręcznym majątkiem, który stanowił zazwyczaj mniejszy lub większy zasób kosztowności. Ogółem przyjęto do szpitala 113 chorych.

25 sierpnia do budynku żandarmerii niemieckiej, położonego w willowej dzielnicy miasta, Lekarce, zajechały dwa wypełnione gestapowcami autobusy. Mówili oni biegle po polsku i dla zatarcia śladów oraz wprowadzenia w błąd ewentualnych świadków byli przebrani w mundury *Wehrmachtu* i tzw. polskiej policji granatowej. Była to ekspedycja pacyfikacyjna, złożona z esesmanów specjalnie przeszkolonych. Żandarmeria niemiecka spełniała jedynie rolę pomocniczą, z tym że „gospodarzem" całej akcji został komendant posterunku wielickiego, *Wagner*.

Nazajutrz, tj. 26 sierpnia, rozeszła się lotem błyskawicy wiadomość, że nie będzie w Wieliczce ani getta, ani szpitala, a także zorganizowanych przez społeczeństwo żydowskie warsztatów pracujących dla potrzeb armii nie-

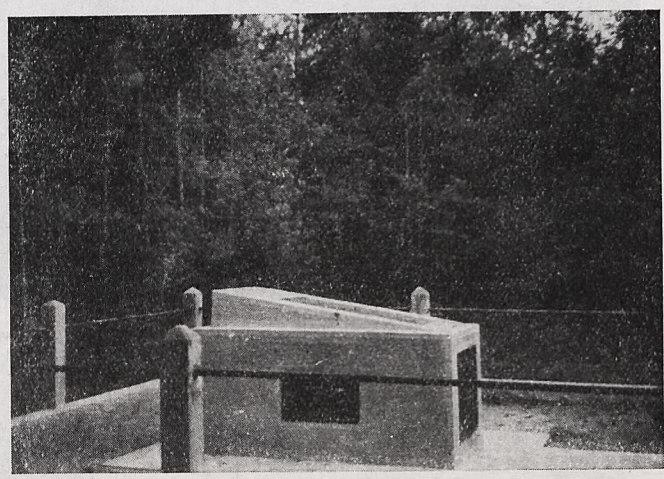
mieckiej i że wszyscy Żydzi mają zostać wysiedleni z Wieliczki. Jeszcze o godzinie 10 przed południem tego dnia przyjmowano dodatkowo chorych do szpitala, a o godz. 12 po niespełna trzech dniach funkcjonowania szpital został zamknięty. Żandarmeria niemiecka powiadomiła telefonicznie radę żydowską, że od tej chwili wszystkich Żydów traktuje się jako wyjętych spod prawa i podlegających wyłącznie rozkazom gestapo.

W samo południe przed szpital zajechały dwa duże otwarte samochody ciężarowe z kilkunastoosobową podpitą załogą, złożoną z członków *Baudienstu*. Po zamknięciu ulicy przez kordon esesmanów z ekspedycji nakazano chorym wejść do samochodów, co niektórzy wykonali z wielkim trudem. Dla uśpienia czujności chorych hitlerowcy rozpuścili pogłoskę, że wszyscy zostaną przeniesieni do szpitala w getcie krakowskim. Niektórzy ucieszyli się nawet tą wiadomością. Jedna z dwu załadowanych chorymi ciężarówek odjechała, ale zamiast drogą na zachód, do Krakowa, pojechała w przeciwnym kierunku, do Niepołomic. Drugi samochód napełniony chorymi oczekiwał tymczasem przed zabudowaniami szpitala. Chorzy wystawieni na bezpośrednie działanie promieni słonecznych w upalny i parny dzień oczekiwali około dwóch godzin na powrót próżnego już samochodu. Esesmani nakazali wówczas przenieść się szybko na przybyły właśnie samochód. Gdy osłabieni chorzy nie mogli temu podołać, esesmani brutalnie przerzucali ich do podstawionej ciężarówki. Przeładowany stłoczonymi i duszącymi się chorymi samochód odjechał szybko, również w stronę Niepołomic.



Ryc. 3. Droga leśna w Puszczy Niepołomickiej, którą wieziono byli chorzy i lekarze na miejsce zagłady. Fot. *M. Skulimowski*

Oburzeni takim traktowaniem chorych lekarze i pielęgniarki szpitala zebrali się po południu tego samego dnia w sali kahału przy ul. Seraf 11 i wyrazili ostry protest. Wkrótce jednak budynek został otoczony przez gestapowców. Po sprawdzeniu przez esesmanów listy lekarzy i sanitariuszek okazało się, że nie było wszystkich. Rozesłano wtedy gońców żydowskich do domów z wezwaniem, aby pod karą śmierci nieobecni natychmiast stawili się w siedzibie kahału. Niektórzy się nie zgłosili. Zaraz też podjechało przed budynek kryte auto policyjne i wszyscy uczestnicy zebrania protestacyjnego zostali również wywiezieni w kierunku Niepołomic.



Ryc. 4. Miejsce masowych grobów w Puszczy Niepołomickiej, gdzie spoczywają również zamordowani chorzy, lekarze i pielęgniarki ze szpitala żydowskiego w Wieliczce. Fot. *M. Skulimowski*

Wieczorem wstrząsnęła miastem przekazywana w wielkiej tajemnicy wiadomość, wprost niewiarygodna, że wszyscy chorzy, a następnie lekarze i pielęgniarki zostali wymordowani w Puszczy Niepołomickiej strzałem w kark i pochowani w masowych grobach przygotowanych już wcześniej przez *Baudienst*.

Nazajutrz, w dzień tzw. wysiedlenia Żydów z Wieliczki, tj. 27 sierpnia, w tym samym miejscu zamordowano kilkaset osób. Miejsce to nosi nazwę „Kozia Górka". Ogółem zastrzelono tu przeszło 700 Żydów przywiezionych z Wieliczki, a pochodzących z Krakowa, Wieliczki, Dobczyc, Gdowa, Mogiły i Niepołomic.

Z tej liczby ustalono dotąd nazwiska 86 ofiar. Na szczególną trudność napotyka, ze względu na brak jakichkolwiek dokumentów, ułożenie choćby prowizorycznego wykazu zamordowanych lekarzy i pielęgniarek w pamiętny dzień zagłady szpitala wielickiego. Przeprowadzone badania pozwoliły tylko na niezadowalające stwierdzenie, że niektórzy znani z nazwiska lekarze żydowscy przebywali wówczas w Wieliczce, co może przemawiać za tym, że byli oni w składzie szpitala i że

z powodu zaginięcia od tego momentu wszelkiego śladu po nich zostali oni zamordowani w Puszczy Niepołomickiej.

I tak do ofiar eksterminacji hitlerowskiej należą prawdopodobnie następujący lekarze przebywający wówczas w Wieliczce:

dr *Otmar Reiner*, ur. w r. 1895, dyplom w r. 1921, internista z Krakowa, żydowski lekarz dziecięcy w Wieliczce;

dr *Amalia* z *Rubinsteinów Jurkiewiczowa*, ur. w r. 1892, dyplom w r. 1916, z Krakowa;

dr *Maurycy Steinberg*, ur. w r. 1897, dyplom w r. 1926, lekarz ogólny z Krakowa, lub dr *Leon Steinberg*, ur. w r. 1902, dyplom w r. 1927, ginekolog i położnik z Krakowa;

dr *Leon Hirsch*, ur. w r. 1899, dyplom w r. 1925, dermatolog z Krakowa;

dr *Mendel Fischler*, ur. w r. 1894, dyplom w r. 1925, lekarz ogólny ze Żmigrodu Nowego, pow. Jasło;

dr *Mojżesz Maurycy Süsser*, ur. w r. 1892, dyplom w r. 1925, internista z Krakowa;

dr *Chaim Hilfstein*, ur. w r. 1876, dyplom w r. 1904, internista z Krakowa;

dr *Dawid Gottlieb*, ur. w r. 1893, dyplom w r. 1921, internista z Krakowa, lub dr *Izydor Gottlieb*, ur. w r. 1905, dyplom w r. 1931, lekarz ogólny z Krakowa;

dr *Ida Strauchen*, ginekolog;

dr *Faigle Weinberger*, lekarz dentysta z Wieliczki.

Powyższa lista nie jest pełna, nie obejmuje też zupełnie personelu pielęgniarskiego. Niewątpliwie dalsze badania nad tą jedną z najbardziej ponurych kart okupacji hitlerowskiej w Wieliczce przyniosą pełniejsze oświetlenie okoliczności zagłady szpitala, zorganizowanego jedynie po to, aby łatwiej zwabić chorych i lekarzy w celu bestialskiego ich wymordowania.

DOROTA LORSKA

Warszawa

były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 52325

Wspomnienia z bloku nr 10

Dr Hans Münch

(Z Kliniki Chorób Wewnętrznych Instytutu Gruźlicy
w Warszawie
Kierownik: Prof. dr *B. Jochweds*)

W 1965 r. w związku z dwudziestoleciem wyzwolenia więźniów obozów koncentracyjnych i z procesem frankfurckim słyszeliśmy dużo o okrucieństwie i bestialstwie esesmanów w obozach zagłady. W procesach zakończonych ostatnio w NRF prawie wszyscy oskarżeni esesmani, jeśli w ogóle przyznają się do popełnionych zbrodni, to twierdzą, że są niewinni, bo wykonywali tylko rozkazy przełożonych, do czego jako żołnierze byli zobowiązani [1]. Na nielicznych wprawdzie przykładach można dowieść, że to nie jest zgodne z prawdą i że ci, którzy dopuszczali się zbrodni, mogli byli zachować się inaczej, gdyby nie ich sadyzm i faszystowska ideologia. Na tle masy esesmanów, którzy przeważnie zachowywali się nieludzko, tu i ówdzie, bardzo rzadko wyróżniał się ktoś z nich korzystnie.

W czasie swego pobytu w Oświęcimiu spotkałam jednego takiego „ludzkiego" lekarza *SS* i jedną dozorczynię *SS*, czyli w języku obozowym *aufzejerkę*. Myślę, że nie jest od rzeczy mówić i o nich.

Idzie mi o lekarza *SS*, doktora *Hansa Müncha*. Był to mój bezpośredni zwierzchnik w „komandzie" Instytutu Higieny *(Hygiene-Institut)* w Rajsku. Szefem tam był *SS-Obersturmführer* dr *Bruno Weber*. Dr *Münch* przybył do obozu później niż inni lekarze *SS*, dopiero wiosną 1944 roku.

Już pierwsza jego wizyta w laboratorium bloku nr 10 (blok eksperymentów pseudolekarskich na kobietach [2]) była dla nas niezwykłym zaskoczeniem. Wszedł do pracowni nie tak gwałtownie jak inni esesmani, bez psa (*Weber* wpadał zawsze z psem wilczurem), zamknął za sobą drzwi, powiedział: „Dzień dobry" i przedstawił się: „Doktor *Münch* jestem", podając dwom koleżankom i mnie rękę. Wprawdzie byłyśmy w Oświęcimiu tylko od kilku miesięcy, ale już dawno odwykłyśmy od tego, żeby nas ktoś z władz obozowych traktował jak równych sobie ludzi.

Dr *Münch* stał się zwierzchnikiem laboratorium Instytutu Higieny w bloku 10. Ten fakt uchronił niemało kobiet przed dalszymi cierpieniami, a mnie uratował od niechybnej śmierci.

Swoją działalność w obozie *Münch* zaczął od tego, że kiedy się zorientował, iż lekarze *SS* prowadzą selekcje transportów do gazu, odmówił wykonania tej czynności i potrafił uzyskać w Berlinie zwolnienie od tej funkcji. Jest to jedyny znany mi przypadek wśród lekarzy *SS* w Oświęcimiu.

Do nas więźniarek odnosił się zawsze życz-

[1] Na przykład w procesie w Düsseldorfie *Karl Tittel*, obrońca zbrodniarza z Treblinki, *Arthura Methesa*, usiłował przekonywać, że morderstwa w tym obozie były działaniem wojennym, gdyż „naród żydowski uznany został za wroga". A więc w myśl tej przewrotnej tezy nie chodziło o mord, ale o działanie wojenne przeciw wrogowi, zgodne z rozkazami i z obowiązkiem żołnierskim (przyp. red.).

[2] Zob. *D. Lorska:* Blok X w Oświęcimiu. Przegl. Lek., 1965, nr 1, str. 99—104.

liwie. Przydzielony do nadzoru pracowni w bloku 10, w którym wszystkie więźniarki przeznaczone były do eksperymentów, musiał i on wykazać się jakimś „dorobkiem naukowym" w ramach doświadczeń prowadzonych w tym bloku. Ale doświadczenia, które przeprowadzał, były zupełnie nieszkodliwe; przy tym dawały podstawę do tzw. *„culagi"* dla więźniarek, czyli dodatkowych porcji chleba, margaryny, a czasem i kiełbasy.

Przed przybyciem dr *Müncha* badało się na polecenie *Webera* u pewnej grupy więźniarek aglutynację czerwonych krwinek pod mikroskopem w różnych grupach krwi. Za czasów *Müncha* przeszliśmy na badania tego samego objawu w ślinie, co miało być wykonywanym przez niego „doświadczeniem". Był to pomysł dr *Kuby Lewina*. Tak powstało tzw. *Spuckkommando* („komando" plujących). Kobiety dostawały rano probówki, do których pluły, a my w laboratorium badałyśmy miano aglutynacji tych samych elementów, charakterystycznych dla danej grupy krwi w ślinie, jak i we krwi. To badanie oczywiście nikogo nie obciążało, a że jeszcze łączyło się z „culagą", a czasem mogło zaważyć na uniknięciu innego doświadczenia w ramach działalności prof. *Clauberga* (sterylizacja przez uniedrożnienie jajowodów) lub lekarza *SS, Wirthsa* (wycinki szyjki macicy dla wykrycia wczesnego okresu raka szyjki), przeto było ono w warunkach bloku nr 10 prawdziwym dobrodziejstwem.

Z czasem nabrałam do *Müncha* zaufania. Zawsze traktował nas jak równe sobie. Starał się nam pomóc. Zdarzało się nawet, że upewniwszy się, czy nie ma innego esesmana na horyzoncie, zostawiał nam trochę jarzyn: cebulę, ogórek, a dla palących papierosy. Ci, którzy obozu nie zakosztowali, nie mogą wiedzieć, jaką to miało wartość faktyczną i moralną.

Münch wiedział, że byłam w Hiszpanii i w partii komunistycznej. Zdarzało nam się rozmawiać szczerze o faszyzmie, o wojnie, jeśli oczywiście nikogo przy tym nie było. Wiedziałam od niego samego, że był synem profesora biologii z Monachium. Ojciec jego nie był zaangażowany politycznie za czasów władzy *Hitlera*. On, *Münch* twierdził, że nie wstąpił dobrowolnie do *SS*, ale pod przymusem, co w 1944 r. było możliwe.

Spytałam go kiedyś, jak on może wytrzymać w tym piekle oświęcimskim. Zamiast odpowiedzi wyciągnął i pokazał mi fotografię żony i trojga dzieci i powiedział, że boi się represji w stosunku do nich; gdyby szło tylko o niego, może by się postarał z tego piekła wydostać. A na razie przyznał się, że pije coraz więcej, żeby mniej reagować na to, co się działo wokół niego.

Pewnego razu zadałam mu pytanie, czy on wierzy w zwycięstwo *Hitlera*. Wprawdzie był to już rok 1944, kiedy niejeden z żołnierzy niemieckich przestał ślepo wierzyć w zwycięstwo, niemniej jednak warto zacytować dosłownie odpowiedź dr *Müncha*, którą doskonale pamiętam: „Gdyby istniała sprawiedliwość na świecie — powiedział wtedy — to *Hitler* powinien przegrać tę wojnę, ale czyż istnieje sprawiedliwość na świecie?"

Jak już podkreśliłam, dr *Münch* odnosił się życzliwie do więźniarek z naszego bloku, ofiar doświadczeń. Nie odmawiał nam nigdy pomocy. Kiedy w pewnym okresie wydało nam się korzystne przeniesienie grupy kobiet z mojego transportu, byłych uczestniczek francuskiego ruchu oporu, aby uniknęły dalszych doświadczeń, *Münch* był nam bardzo pomocny w załatwieniu tego przeniesienia i umieszczenia ich w lepszych „komandach" w Brzezince. Mogłabym podać więcej takich przykładów, ale jak każdy chyba z byłych więźniów mam ochotę opowiedzieć przeżycie własne.

Dla byłych więźniów jest to banalny przypadek, ale przecież piszemy głównie dla tych, którzy nie byli w obozie, a chcą wiedzieć, jak tam było. Otóż pewnego dnia do pracowni w bloku 10, za którą byłam odpowiedzialna, niespodzianie wpadł dr *Bruno Weber*. Zawiodła i tym razem *„torwacha"*, więźniarka, która pilnowała wejścia do bloku [3]. W laboratorium prócz mnie pracowały dwie koleżanki. Oczywiście dla mężczyzn wstęp był surowo zabroniony. Zakaz ten obowiązywał w całym bloku. Mężczyźni jednak wchodzili pod różnymi pretekstami. Niektórzy odwiedzali swoje żony, inni znajome lub nieznajome. I do naszej pracowni przychodzili; należało tylko uważać, żeby tego nie wykrył esesman.

Weber zastał tego rana w laboratorium dwóch mężczyzn: jednego więźnia Niemca, którego nazwiska nie pamiętam (nazywało się go *„Pappi"*) oraz Czecha, *Honzę Bandlera*. Pierwszego *Weber* „obrugał" i wygonił, drugiemu dał w twarz, nim go wyrzucił. Następnie zwrócił się do mnie i krótko zapowiedział, żebym się w najbliższych dniach spodziewała przydziału do *Strafkommando*, czyli do „*komanda*" karnego. Wiadomo było, że śmierć tam w ciągu kilku tygodni była regułą.

Kiedy ta wieść rozeszła się w bloku, moje przyjaciółki, bardziej jeszcze przerażone niż ja, zaczęły radzić się z towarzyszami z organizacji ruchu oporu w obozie. Na razie nie można było nic zrobić, tylko czekać. Jedyna nadzieja była w tym, że *Weber* w nawale ważniejszych spraw zapomni o mnie. Ale nie zapomniał. Po kilku dniach przyszła do bloku nr 10 *aufzejerka* z poleceniem pisemnym od *Webera*, żeby mnie odprowadzić do „komanda" karnego.

Między współwięźniarkami zapanowało wzruszenie pełne niepokoju. Ja byłam stosunkowo spokojniejsza, przynajmniej w zachowaniu, choć bardzo się bałam. Wiedziałam, że stamtąd, dokąd mnie mają zabrać, nie ma powrotu. Tymczasem moje przyjaciółki, *Marta Malik* i *Dédée Lerner* nie rezygnowały z działania. Przez gońca dały znać *Ludwikowi Wörlowi*, ówczesnemu *lagerältesterowi rewiru*,

[3] Zob. cytowany artykuł o bloku nr 10.

czyli starszemu obozowemu szpitala dla więźniów, o tym, co mnie czeka. *Wörl* zalecił przez tegoż gońca, żebym jak najdłużej przygotowywała się do odejścia. Udało się zabawić *aufzejerkę* tak, że nie przynaglała mnie. Tymczasem towarzysze działali. *Wörl* zgłosił się do lekarza obozowego, dr *Wirthsa*. Dzięki *Hermanowi Langbeinowi*, który był sekretarzem *Wirthsa*, udało się uzyskać szybką rozmowę.

Starsi więźniowie, *Wörl* i *Langbein* wiedzieli, że *Wirths* z *Weberem* nie znoszą się nawzajem. Wyzyskali tę okoliczność, meldując *Wirthsowi*, że *Obersturmführer Weber* bez wiedzy lekarza obozowego dysponuje więźniarką, co do której tylko on, *Wirths* ma prawo orzec, czy zasłużyła, czy nie na wysłanie do karnego „komanda". *Wirths* połknął haczyk. Oburzony, że *Weber* dysponował bez jego wiedzy, kazał natychmiast odwołać jego zarządzenie, a co dalej będzie, o tym on, *Wirths* zadecyduje. Kolega *Wörl* biegiem wracał do bloku nr 10 z nowym zarządzeniem lekarza obozowego, odwołującym nakaz *Webera*.

Byłam gotowa do odejścia, ubrana we wszystko, co posiadałam. Współwięźniarki zaopatrzyły mnie w różne cenne rzeczy: kawałek chleba, trochę cukru, cebulę i tym podobne skarby, a tu rozpromieniony *Ludwik Wörl* przybiegł z radosną nowiną, że na razie nigdzie mnie nie zabierają. *Aufzejerka*, która miała mnie odprowadzić, skończyła rozmowę ze swoją koleżanką, *aufzejerką* bloku nr 10 i z obojętnym *„Heil Hitler!"* odeszła.

Na razie, w danej chwili nic mi nie groziło. Jak to czasem bywało w obozie, zbieg okoliczności decydował o życiu lub śmierci więźnia. Szczęśliwie w tym czasie dr *Weber* wyjechał na trzy tygodnie z Oświęcimia. Było więc dużo czasu do wybrania właściwej taktyki. Tymczasem wrócił dr *Münch*, którego nie było w obozie, kiedy ta historia się wydarzyła. Doktorowi *Münchowi* opowiedziałam, jak wszystko przebiegło, prosząc o pomoc. I rzeczywiście dzięki niemu ostatecznie wybrnęłam z tej opresji. Kiedy *Weber* wrócił, może był już ostudzony w swym zapale ukarania mnie, może nie chciało mu się zadzierać z *Wirthsem*, dość na tym, że kiedy *Münch* zwrócił się do niego domagając się, żeby mnie na razie nigdzie nie wysyłał, bo jestem mu nieodzownie potrzebna do zaczętej pracy doświadczalnej, *Weber* się zgodził, żebym nadal pozostała w „komandzie" Instytut Higieny.

I tak już zostało. Do tej sprawy więcej nie wrócono. Do „komanda" karnego nie poszłam, obóz przeżyłam i mogę teraz pisać wspomnienia. Na pewno przyczynił się do tego w dużej mierze dr *Münch*.

Ci, którzy doczytali do tego miejsca, na pewno chcieliby wiedzieć, co z tym nieprzeciętnym esesmanem stało się po wojnie. Otóż *Münch*, aresztowany w Niemczech, został drogą ekstradycji przekazany Polsce i był sądzony w 1947 r. w pierwszym oświęcimskim procesie w Krakowie. Na podstawie zeznań wielu świadków, byłych więźniów oświęcimskich, zgodnych co do tego, że zachowanie się *Müncha* było jak najbardziej ludzkie i że we wszystkich sytuacjach, w których to było możliwe, pomagał więźniom — został on na mocy wyroku sądu polskiego uniewinniony.

Nie spotkałam go po wojnie, ale rozmawiałam z kolegami, którzy go widzieli. Mieszka w małym miasteczku pod Monachium, gdzie pracuje jako lekarz. Występował wielokrotnie jako świadek przeciw esesmanom w procesach, które toczyły się w NRF.

W różnych spotkaniach organizowanych w NRF przez byłych więźniów, a poświęconych szerzeniu prawdy o obozach koncentracyjnych, zwłaszcza wśród młodzieży, dr *Münch* brał aktywny udział. Przemawiał przez radio, występował w telewizji. Jeśli zważymy, że się to działo w ostatnich latach w NRF, w której nie została przezwyciężona przeszłość hitlerowska, należy te wystąpienia dr *Müncha* uważać za odważne. Na pewno wyrok uniewinniający jego jednego z załogi oświęcimskiej sądzonej w 1947 r. w Krakowie wpłynął korzystnie na jego krytyczny stosunek do przeszłości swoich rodaków.

Na zakończenie należy wyjaśnić, dlaczego wybrałam tym razem ze wspomnień z bloku nr 10 właśnie relację o tym lekarzu-esesowcu. Nie mam oczywiście zamiaru wybielać esesmanów. Ale w tym roku i w latach następnych nadal odbywać się będą procesy przeciw esesmanom z różnych obozów koncentracyjnych i na pewno — jak w dotychczasowych procesach — oskarżeni i obrońcy będą twierdzili, że hitlerowscy zbrodniarze wojenni nie mogli postępować inaczej. Na podanym przykładzie chciałabym więc podkreślić, że jeżeli esesman był człowiekiem, to i w warunkach obozowych mógł człowiekiem pozostać.

Wreszcie chciałabym, żeby wiedziano, iż tak jak nie zapomnimy nigdy okrucieństwa i bestialstwa nazistów i nie dopuścimy do przedawnienia ścigania zbrodni hitlerowców, tak też będziemy zawsze pamiętać o tych, którzy w okresie największego w dziejach upodlenia faszystów potrafili zachować ludzką godność.

„Ludzie od wieków toczyli między sobą okrutne wojny, na przestrzeni tysiącleci; po okresach chwiejnego pokoju następowały bezlitosne walki i ludzkość kroczyła swoją drogą w bólu i wśród ofiar. Ale nawet w najbardziej ponurych okresach historii nie wypierano się całkowicie istniejącej między ludźmi więzi człowieczeństwa. Dopiero w przypadku hitleryzmu jesteśmy świadkami rozmyślnego odrzucenia wszelkich, nawet najbardziej elementarnych zasad ludzkości".

Prezydent Włoch, Giuseppe Saragat. Z przemówienia wygłoszonego w dniu 16 października 1965 r. na terenie byłego obozu w Oświęcimiu.

EUGENIUSZ NIEDOJADŁO Tarnów
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 213

Podobóz Brno [1]

Ucieczka przed Bogerem

W kalendarzu wydarzeń obozowych umieszczona jest lakoniczna notatka: „1 X 1943 r. został utworzony w Brnie (Czechosłowacja) podobóz *(Aussenkommando)* Oświęcimia, do którego przeniesiono 250 więźniów. Komando przeznaczono do pracy przy budowie gmachu Technicznej Akademii *SS* i Policji. Na kierownika obozu wyznaczono *SS-Hauptscharführera Palitzscha* (byłego *Rapportführera*), który osobiście wybrał więźniów, z którymi wyjechał do Brna. Na starszego obozu wyznaczono więźnia kryminalnego, Niemca *Aloisa Freiseisena*. Wartownikami obozu byli niemieccy policjanci" (*Danuta Czech:* Kalendarz wydarzeń obozowych. „Zeszyty Oświęcimskie" 4, str. 138).

Tyle zapisała kronika obozowa. Ile jednak przeżyć tych 250 więźniów mieści się za tą notatką, może stwierdzić tylko ten, kto sam był ich naocznym świadkiem i odczuł je na własnej skórze.

Dla mnie osobiście była to próba ucieczki przed koszmarem, który prześladował mnie od roku. Koszmarem tym był osławiony funkcjonariusz Oddziału Politycznego *SS-Oberscharführer Boger* (skazany wyrokiem procesu frankfurckiego na dożywotnie więzienie), u którego „podpadłem" w październiku 1942 roku, w wyniku czego zapisał mój numer. Kartkę z zapisanym na niej moim numerem i numerami innych kolegów udało się zniszczyć koledze *J. Świątłowskiemu*, który natknął się na nią przypadkiem, sprzątając biuro *Bogera*. Dzięki temu groza śmierci została na jakiś czas oddalona, niemniej jednak *Boger* zapamiętał moją twarz i pierwsze z nim spotkanie mogło zakończyć się dla mnie tragicznie. Pomimo że miałem wówczas dobre „komando" (pracowałem bowiem w szpitalu *SS* w charakterze sprzątającego), byłem stale narażony na możliwość natknięcia się na tego zbira i dlatego postanowiłem dostać się do szpitala obozowego. Miałem nawet powody ku temu, bo odczuwałem coraz silniejsze bóle neuralgiczne i po zbadaniu mnie w ambulatorium bloku 28 stwierdzono ischias. Po kilku dniach przebywania w bloku 28 wystąpiła silna gorączka, w związku z czym zostałem przekazany do bloku 20 (zakaźnego) z objawami duru brzusznego. Tam wystąpiły dalsze komplikacje, które przedłużyły mój pobyt do końca 1942 roku. Tuż przed zakończeniem kwarantanny zachorowałem na dur wysypkowy i mój pobyt w szpitalu przedłużył się o dalszych 6 tygodni.

Trosce lekarzy ordynujących w sali 3 bloku 20, a więc doktorom *Władysławowi Fejklowi* i *Stanisławowi Kłodzińskiemu* zawdzięczam, że znajduję się dzisiaj wśród żywych. W połowie roku 1943 byłem na tyle zdrowy, że mogłem opuścić szpital. Zwierzyłem się jednak ze swoim zmartwieniem wspomnianym lekarzom. Kłopoty moje nie były błahe. Powrót do pracy w szpitalu *SS* był możliwy, ale byłem tam narażony na spotkanie się z *Bogerem*. Do innej pracy nie nadawałem się z powodu całkowitego „zmuzułmanienia". Bezpośrednio bowiem po chorobie ważyłem 42 kg, co przy moim wzroście 1,80 m było nieco za mało. Doktor *Fejkiel* załatwił mi sprawę pozostania w bloku 20 w charakterze początkowo sprzątającego, a później młodszego pielęgniarza. Byłem uratowany. Możliwość przebywania w bloku zakaźnym, gdzie dostęp mieli jedynie lekarze *SS* i *SDG (Sanitätsdienstgrad,* sanitariusze *SS*), oddaliła widmo *Bogera*. Powoli wracałem do sił. Praca wśród chorych dawała mi wiele zadowolenia tym bardziej, że miałem znakomity przykład w moich przełożonych, pracujących z pełnym poświęceniem i praktycznie bez wytchnienia. Dla nich nie było chwili odpoczynku. Dr *Fejkiel* i kol. *Kłodziński* spali — podobnie jak ja — w sali chorych, pomimo że mogli korzystać z sali przeznaczonej dla personelu szpitala. Ułatwiało im to zajęcie się chorymi na każdy ich jęk.

Pamiętam doskonale paczki przysyłane z domu doktorowi *Kłodzińskiemu*, w których zamiast żywności tak bardzo mu wówczas potrzebnej otrzymywał cukier gronowy, przerabiany w laboratorium na zastrzyki glukozy dla ratowania serc chorych na dur i rekonwalescentów. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, dr *Kłodziński* sprowadzał z zewnątrz lekarstwa. Większe partie leków dostawały się do szpitala obozowego najczęściej po jego spotkaniach z *Józefem Cyrankiewiczem*, który był częstym gościem w sali 3 bloku 20.

W czasie pobytu w bloku 20 wiele się nauczyłem. Niezależnie od praktyki, jaką zdobywałem, wykonując pod fachowym okiem zastrzyki, opatrunki oraz inne zabiegi pielęgnacyjne, miałem możność zdobywania wiadomości teoretycznych z kilku podręczników w języku polskim, niemieckim i francuskim, które w niewiadomy mi sposób znalazły się w obozie. Oprócz wspomnianych lekarzy „profesorami" moimi byli *Józef Mężyk*, ówczesny student medycyny, dr *Jakub Lewin* z Francji,

[1] Wyjątkowo — wbrew słownikowi ortograficznemu, przyjmującemu formę Berno (morawskie) — zachowujemy stosowaną przez autora formę Brno (por. *W. Doroszewski:* O kulturę słowa. Poradnik językowy. PIW, Warszawa 1964, str. 707—708); postać Brno przyjęło wydawnictwo Instytutu Geograficznego PAN pt. „Polskie nazewnictwo geograficzne świata" z r. 1959 (przyp. red.).

przebywający często w bloku 20, nadto dr *Władysław Tondos* i prof. dr *Jan Olbrycht*. Temu ostatniemu asystowałem często przy sekcjach zwłok, protokołując ich przebieg. Pozwoliło mi to poznać tajniki anatomii i uzupełnić wiadomości wyczytane w podręczniku.

W czasie przebywania w tym bloku poznałem i bardzo polubiłem doktora *Czesława Jaworskiego* z Warszawy (nr obozowy 31070). Z nim też spędziłem wspólnie wiele wieczorów na opowiadaniach i wspomnieniach oraz na uzupełnianiu moich wiadomości z zakresu medycyny. Jego ojcowski stosunek do mnie (miałem wówczas 23 lata) przyczynił się do tego, że darzyłem go pełnym zaufaniem i mogłem mu się zwierzyć ze swoich kłopotów. Dzisiaj z perspektywy lat mogę śmiało powiedzieć, że był to człowiek o wielkim sercu. Jego stosunek do kolegów-współwięźniów cechowały serdeczna koleżeńskość i poświęcenie. Jego prawy charakter, otwartość i szczerość wypowiedzi bez względu na to, kogo one dotyczyły, sprawiały, że odróżniał się on od przeciętnego więźnia obozowego. Doktor *Jaworski* wiele przeżył w obozie. Był „na wozie" i „pod wozem", częściej jednak „pod wozem". Stale prześladował go pech bądź też jego otwartość powodowała nierzadko niechęć jego zwierzchników.

Pod koniec września 1943 roku dowiedziałem się od dr *Jaworskiego*, że organizuje się transport do Brna i że jemu zaproponowano stanowisko lekarza w tym „komandzie". Transportem tym miało wyjechać 250 fachowców, którzy mieli być wyzyskani do prac przy budowie Technicznej Akademii *SS* i Policji.

Świadomość, że przy pozostaniu w obozie zetknę się z *Bogerem*, nie dawała mi spokoju. Z drugiej strony przywiązanie do doktora *Jaworskiego* było tak silne, że nie chciałem się z nim rozstawać, pomimo że w trzeciej sali bloku 20 było mi bardzo dobrze, a tamtejsi lekarze bardzo mnie lubili. Decyzja zapadła szybko. Poprosiłem mojego protektora o wstawienie się za mną i zaproponowanie również mojej kandydatury. Po uzyskaniu zgody na włączenie mnie do transportu skorzystałem ze swoich znajomości i zająłem się realizacją zapotrzebowania na leki i niezbędnego wyposażenia ambulatorium.

W dniu 1 października 1943 roku we wczesnych godzinach rannych nastąpił wyjazd. W skład transportu w 85% wchodzili więźniowie oznaczeni numerami powyżej 136 tysięcy, a zatem przebywający w obozie nie dłużej niż dwa miesiące. Pozostałe 15% — to kilku Niemców wyznaczonych na stanowiska „kapów" oraz koledzy dobrze już z obozem obeznani, wśród nich trzech z pierwszego transportu, a więc przebywający w obozie od połowy roku 1940. Wspomniany już *Alois Freiseisen* był starszym obozu; pisarzem podobozu był Polak, *Bolesław Olszewski*.

Grupę 250 osób załadowano do pięciu wagonów towarowych i w godzinach popołudniowych transport dotarł do celu.

Gmach przyszłej Akademii *SS* i Policji był wykonany w stanie surowym. Zadaniem naszego „komanda" było wykończenie tego budynku. Przybyli do Brna rzemieślnicy budowlani zostali podzieleni na grupy specjalistyczne: murarzy, tynkarzy, stolarzy, cieśli, parkieciarzy, lastrykarzy itp. Pozostali więźniowie uznani zostali za robotników niewykwalifikowanych i przydzielono ich do prac pomocniczych w brygadach specjalistów, bądź zatrudnieni zostali przy niwelacji i porządkowaniu terenu.

Pomieszczenia przeznaczone dla nas wyznaczono w lewym skrzydle gmachu na drugim piętrze. Ta część budynku była już w zasadzie doprowadzona do takiego stanu, że można było w niej mieszkać. Więźniowie mieli do dyspozycji pojedyncze łóżka metalowe z nowymi siennikami, z prześcieradłami i czystymi kocami. W porównaniu z warunkami, w jakich żyliśmy w obozie macierzystym, był to prawdziwy komfort. Warunki sanitarne były również bardzo dobre. Częsta zmiana bielizny, możliwość zmiany ubrań drelichowych, umywalnie oraz prysznice z bieżącą ciepłą i zimną wodą sprawiały, że warunki bytowania można było uznać za luksusowe. Traktowanie więźniów było bez porównania lepsze od traktowania w obozie macierzystym. Jedynie stałe wybryki i szykany starszego obozu, *Freiseisena* i niektórych zaprzyjaźnionych z nim Niemców uprzykrzały nam życie. Niestety, wyżywienie było bardzo liche i niewiele odbiegało od wyżywienia obozowego, choć było smaczniejsze. Nie wolno nam było korespondować z rodzinami i otrzymywać paczek. Wobec znikomych możliwości „organizowania" dopiero po kilku tygodniach pobytu udało się niektórym kolegom nawiązać kontakty z robotnikami i pracownikami cywilnymi zatrudnionymi na budowie i zdobyć dodatkową żywność. W tym miejscu wypada nadmienić, że esesmani wyrobili nam wśród ludności czeskiej opinię zawodowych kryminalistów, skazanych na długoletnie więzienie za zbrodnie i inne przestępstwa pospolite. Dopiero bezpośrednie rozmowy z poszczególnymi obywatelami czeskimi otwarły im oczy i uwierzyli, że opinia o nas nie była prawdziwa. Głód dawał nam się dotkliwie we znaki, tym bardziej że Niemcy w braku innych możliwości dożywiania się okradali nas z bądź co bądź szczupłych racji żywnościowych.

Komendant podobozu *Palitzsch* zmienił się nie do poznania. Ten oprawca obozowy, sadysta, który własnoręcznie zamordował kilka tysięcy więźniów, tam zrobił się potulny jak baranek. Stale chodził smutny i zamyślony i prawie nie interesował się nami, pozostawiając wolną rękę *Aloisowi*. Po kilku tygodniach sprawa się wyjaśniła. Przyjechało trzech podoficerów *SS* z obozu macierzystego, którzy kazali zdjąć *Palitzschowi* dystynkcje i odtransportowali go do Oświęcimia. Powodem jego aresztowania miał być rzekomo romans z więźniarką, Żydówką słowacką, prowadzony przez niego jeszcze w Oświęcimiu. *Palitzsch* ciężko

odpokutował za swoje bestialskie czyny. I co ciekawe, nie wymiar sprawiedliwości, lecz los wymierzył mu karę. Pod koniec 1942 r. zmarła mu na dur żona, którą podobno niezmiernie kochał, a niedługo po niej zmarła mu jedyna córka. Ów romans z więźniarką niewątpliwie wpłynął na zmianę jego psychiki. Zakończył się on kilkutygodniowym pobytem w bunkrze, a potem przeniesiono *Palitzscha* na front do Jugosławii, gdzie zginął z rąk partyzantów. Następcą *Palitzscha* był poczciwy staruszek, podoficer *SS Rieger;* po *Riegerze* funkcję komendanta sprawował *SS-Oberscharführer Walter,* stosunkowo młody, ale bardzo ograniczony i leniwy człowiek. Zajmował się on różnego rodzaju interesami, wyzyskując pracę więźniów i ciągnąc z tych interesów dosyć pokaźne zyski. Kolega *Abramowicz,* zwany przez nas *Kilińskim,* szewc z zawodu, robił dla niego buty z dostarczonej mu skóry, skradzionej w magazynach. Z mebli złożonych na terenie Akademii produkowano masowe zabawki drewniane, na które był znaczny popyt. Radiotechnik, kolega *Sikora* naprawiał dostarczone przez *Waltera* odbiorniki radiowe. Wykonawcy za swą pracę dostawali w najlepszym wypadku kawałek chleba czy kiełbasy, bądź papierosy; należność za wyroby i usługi inkasował *Walter.* Dość znaczny udział w tych interesach miał *Freiseisen,* który jako zawodowy złodziej był nadwornym dostawcą wszystkich surowców potrzebnych do produkcji uruchomionej w obozie lub dla świadczonych usług. Dzięki tej dodatkowej pracy wielu kolegów zdobywało dodatkową żywność. Większość jednak zdecydowanie głodowała i systematycznie traciła na wadze.

Zadaniem doktora *Jaworskiego* było sprawowanie opieki nad wszystkimi więźniami. Moim zadaniem były prace pomocnicze. Nie były to jednak prace zasadnicze, lecz dodatkowe. Doktor *Jaworski* był na stałe zatrudniony w przyszłej drukarni. Jego praca polegała na segregacji czcionek drukarskich. Mnie jako niefachowca przydzielono do prac niwelacyjnych, a dopiero po kilku tygodniach pracy udało mi się otrzymać zajęcie pod dachem, w laboratorium chemicznym. Szukano wówczas inżynierów-chemików lub magistrów chemii. Ponieważ między nami takich nie było, ja, wymęczony pracami ziemnymi, nękany zimnem i głodem, zaryzykowałem i podałem, że jestem studentem chemii i mam za sobą trzy lata studiów. Ponieważ nie było innych chętnych, kwalifikacje moje okazały się wystarczające. Odtąd codziennie chodziłem do ciepłego, czystego laboratorium razem z kolegą *Karbowiakiem,* który tam pracował wcześniej jako sprzątający. Zadaniem moim było sprzątanie pomieszczeń, utrzymywanie w czystości sprzętu laboratoryjnego oraz wykonywanie drobnych, nieskomplikowanych doświadczeń. Przedmiotem badań laboratoryjnych były nowe materiały wybuchowe. Do tych doświadczeń więźniowie nie byli dopuszczani i wszystko było utrzymywane w głębokiej tajemnicy. Pracowałem z kolegą *Karbowiakiem* w grupie zatrudnionej przy badaniach nad technologią produkcji paliw płynnych, głównie jednak alkoholu etylowego. Surowcem do produkcji tych paliw były obierzyny z kartofli, brukiew, sok z brzozy i trociny drewne. W tym ostatnim wypadku wyodrębniano z trocin ksylozę, którą następnie poddawano fermentacji, destylacji i frakcjonowaniu. Wynikiem tych procesów był alkohol etylowy, który miał być używany jako paliwo zamiast benzyny.

Pomimo że praca trwała 10 godzin, nie byłem nią przemęczony i mogłem po pracy zajmować się nielicznymi chorymi. Ambulatorium i „gabinet lekarski" były zlokalizowane w jednej z sal sypialnych. Pomieszczenie oddzielone zostało parawanem z worków przeznaczonych na sienniki. Dr *Jaworski* wykonywał tam badanie chorych i wydawał lekarstwa, ja robiłem opatrunki. Chorych nie było wielu. Najczęstsze przypadki — to urazy w czasie pracy oraz uszkodzenia ciała w wyniku pobicia. Prym w biciu wodził *Alois Freiseisen.* Ma on na swoim koncie złamanie kości przedramienia, dwukrotne złamanie żeber, pęknięcie bębenka w uchu i ogólne potłuczenia kilku więźniów. Dr *Jaworski* jako lekarz nie miał prawa decydowania o niezdolności do pracy. Prawo to zastrzegł sobie wyłącznie *Alois.* Sytuacja w tym zakresie uległa radykalnej zmianie dopiero po kilku miesiącach, kiedy to *Freiseisen* zachorował na grypę i został przez doktora *Jaworskiego* wyleczony. Przekonał się on wówczas, że lekarz jest potrzebny i z jego zdaniem trzeba się liczyć.

Badania i zabiegi specjalistyczne dokonywane były przez cywilnych lekarzy specjalistów w szpitalu klinicznym w Brnie. Ja byłem tym, który doprowadzał zawsze chorych do szpitala, a konwojował nas zawsze policjant ze służby wartowniczej. Należy tu podkreślić bardzo życzliwy stosunek lekarzy Czechów do nas. Traktowali nas oni na równi ze wszystkimi pacjentami. Badania były zawsze skrupulatne. Wyczuwałem, że chętnie chcieliby z nami porozmawiać o naszym losie i o stosunkach w obozie koncentracyjnym. Chętnie chcieliby też nam coś pomóc, a tylko obawa przed nie opuszczającym nas na krok wartownikiem powstrzymywała ich od tego.

Jeden raz tylko spotkałem się z bardzo nieprzyjemnym przyjęciem przez lekarza w przychodni otologicznej. Był to młody człowiek, mówiący do nas tylko po niemiecku, trudno powiedzieć, czy Niemiec, czy jakiś sfanatyzowany czeski faszysta. Zwymyślał nas od „polskich świń" i wykonując jakiś drobny zabieg, cały czas urągał nam, że musi leczyć „polskich bandytów". Nie próbowałem nawet go przekonywać, że nie ma racji, bo taki był zdenerwowany, że nawet nasz konwojent, który próbował nas bronić, został przez niego zbesztany.

Głód dawał się większości z nas coraz bardziej we znaki. Rozpoczęły się dolegliwości żołądka i jelit, objawy choroby wrzodowej i krwawa biegunka. W lutym 1944 r. zawleczona została dodatkowo grypa, która objęła

nie tylko prawie wszystkich chorych, lecz także znaczną część służby wartowniczej. Stan chorych stale się powiększał i pracy przybywało. Nie trwało to jednak długo, bo w pierwszym kwartale 1944 roku prawie połowa więźniów została przetransportowana do obozu macierzystego. Transportem objęto najbardziej wycieńczonych i chorych; pozostawiono 118 fachowców, do których również wówczas i ja się zaliczałem.

Roboty mieliśmy wówczas bardzo dużo. Na terenie Akademii *SS* znalazło się masę skrzyń ze sprzętem laboratoryjnym, zrabowanym w Kijowie, o czym dowiedzieliśmy się z naklejek inwentarzowych umieszczonych na wielu przyrządach. Zadaniem naszym było rozpakowywanie tych skrzyń, mycie i sortowanie sprzętu. Wiele naczyń udało nam się wówczas „niechcący" zniszczyć. W czasie przesłuchania na tę okoliczność przez kierownika laboratorium, inżyniera-chemika, kapitana policji *Kühlera* oświadczyliśmy, że to nie nasza wina, bo sprzęt został zniszczony w czasie transportu w wyniku złego opakowania. Oprócz wspomnianego już *hauptmanna Kühlera* pracował w laboratorium podoficer policji, dr *Ritter*, pochodzący z Prus Wschodnich oraz dwie laborantki z Berlina: *Weber* i *Schwenke*. Stykając się z nimi na co dzień, opowiadałem im, co się działo w Oświęcimiu, bo im się zdawało, że Oświęcim to nic strasznego, widzieli wszakże, iż nasze warunki w Brnie nie były najgorsze. Wprost nie chcieli uwierzyć, że naród niemiecki stać jest na takie bestialstwo. Dopiero indagacje innych kolegów potwierdziły, że to, co mówiłem, jest prawdą i okazywali nam wiele współczucia. Jeden tylko *Kühler* — może na usprawiedliwienie swoich rodaków — powiedział zdenerwowany, że to wszystko jest nasza wina, bo myśmy rozpoczęli rzeź Niemców w Bydgoszczy, że wszyscy Polacy, to jedna banda i nic innego nie wypada, jak tylko przywiązać nas do końskiego ogona i wlec tak po ziemi do ostatniego tchu. Bałem się nawet, że *Kühler* będzie się na mnie mścił, iż odważyłem się coś takiego powiedzieć. Ale on stale wracał do tego tematu i wciąż wypytywał mnie o inne szczegóły. Widocznie wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju i wracał do tego, jak zbrodniarz wraca na miejsce zbrodni.

Pracując z robotnikami cywilnymi i nawiązując pewne kontakty, staraliśmy się tą drogą utrzymywać łączność z rodzinami. Do tych, którzy nam ułatwiali tego rodzaju kontakty, należał zatrudniony na terenie budowy czeski inżynier nazwiskiem *Kavan*, mieszkający w Brnie i jego żona, Polka z pochodzenia. Przez nich właśnie i przy wydatnej pomocy naszego radiotechnika, kolegi *Sikory*, wysyłałem z Brna nielegalne listy do domu i otrzymałem tą samą drogą odpowiedź, do której załączona była fotografia.

Z końcem kwietnia 1944 roku wśród więźniów przebywających w Brnie rozeszła się wiadomość o likwidacji podobozu. Wiadomość ta okazała się prawdziwa, bo ostatniego kwietnia 118 więźniów doprowadzono pieszo do dworca kolejowego, skąd po załadowaniu do wagonu osobowego przewieziono całą grupę do Oświęcimia. Na miejscu w Brnie pozostała tylko nieliczna, bo wynosząca 25 więźniów grupa fachowców. Pozostali m. in. *Freiseisen*, pisarz *Olszewski* i radiotechnik *Sikora*.

Podróż z Brna do Oświęcimia trwała całą noc. W południe następnego dnia byliśmy już na miejscu. Z dworca kolejowego pieszo doprowadzono nas do obozu macierzystego. Tam rozmawiając z kolegami dowiedziałem się, że *Boger* jest nadal w obozie i dlatego nawet nie usiłowałem tam pozostać. Tego samego dnia cała nasza grupa, przybyła z Brna, została przewieziona samochodami ciężarowymi do obozu w Monowicach, zwanego przez nas popularnie Buną.

Tam przeżyłem ostatnie 9 miesięcy mojego prawie 5-letniego pobytu w Oświęcimiu, tym razem jednak bez możliwości zetknięcia się z *Bogerem*.

ELLA LINGENS Wiedeń
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 36088

Problemy narodowościowe w szpitalu kobiecym w Brzezince [1]

Dr *Klein* był jednym z najgłupszych lekarzy *SS* i odpowiednio do tego pojmował swoją „ideologię" szczególnie poważnie. Gdy z początkiem 1944 roku objął on służbę w kobiecym obozie koncentracyjnym w Brzezince *(Birkenau)*, pracowałam w polskim bloku *(Schonungsblock)*, który w ciągu zimy 1943/44, mieszcząc niezliczoną liczbę chorych na dur wysypkowy, zmienił się w prawdziwy blok szpitalny. Tak się właśnie złożyło, że zostałam tam przydzieloną, gdy w związku z przemianą w rewir całego obozu A przeniesiono mnie z Babic z powrotem. Być może, nasza lekarka-kierowniczka przypomniała sobie, że powiedziałam jej, iż przychodzę świeżo z uniwersytetu i nie pracowałam jeszcze samodziel-

[1] Przekład pracy pt. *Nationale Fragen im Revier*, napisanej przez autorkę specjalnie dla „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Tłum. z jęz. niem. *Maria Masłowska*.

nie, słusznie zatem pomyślała ona, że w *Schonungsblock* znajdę się na właściwym miejscu.

W szpitalnym bloku niemieckim pracowały wówczas dwie doświadczone lekarki polskie i nie było powodu zmieniać tam czegokolwiek. Nie były one zbyt szczęśliwe z powodu swojego zadania, polegającego na utrzymaniu dyscypliny między niemieckimi prostytutkami, stanowiącymi pokaźną część niemieckich mieszkanek rewiru, ale w końcu pacjent jest pacjentem i również te kobiety nie zasłużyły na swój los, by kończyć w Oświęcimiu. Polskie koleżanki troszczyły się o swe niemieckie pacjentki tak dobrze, jak to było możliwe.

Sześć spośród nas, lekarek (cztery Polki, jedna Żydówka z Pragi czeskiej i ja) mieszkało w przyjaźni w jednym pokoju. Jadłyśmy pożywienie uzupełniane wspólnie z naszych paczek. Omawiałyśmy ciężkie przypadki, pokazywałyśmy je sobie wzajemnie i naradzałyśmy się, co chorym tym brakowało i jak leczyć je najlepiej. Nie istniały wśród nas żadne problemy narodowościowe, a ponieważ funkcjonariusze *SS* z obawy przed zarażeniem rzadko się pokazywali, wszystko szło spokojnie w naszym rewirze.

Z tego stanu rzeczy nie był jednak zadowolony dr *Klein* i wszystko stawiał na głowie. A więc chore chirurgicznie nie powinny leżeć w jednym bloku, a chore na dur i gruźlicę w osobnych blokach, lecz podział winien być surowo przeprowadzony według narodowości: osobno Niemki, nieniemieckie Aryjki i Żydówki. I oczywiście — lekarka niemiecka musi być w niemieckim bloku.

Pożegnałam więc polskie pacjentki i pielęgniarki i przeniosłam się do bloku 10. Jedynie wspólne spożywanie posiłków i nasza stara wspólnota w jednym pokoju przetrwała do ostatka. Potem rozpoczęłam swój codzienny obchód w „izbach" mojego nowego bloku szpitalnego. I miałam szczęście. Blok ten był mniej zapełniony niż inne, również dlatego, że podówczas nie przybywało już wiele niemieckich więźniarek, tzw. *zugangów*, do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Stare transporty przeszły już dur plamisty i chore albo zmarły wskutek tej choroby, albo się uodporniły. Nadszedł też czas, że więźniarki mogły w swym bloku uwolnić się od wszy, mogły siebie i swoje ubranie oczyścić, krótko mówiąc, koszmar drugiej zimy w obozie oświęcimskim powoli zaczął się oddalać. Doszło wreszcie do tego, że wkrótce w bloku niemieckim, a z czasem także i w innych blokach epidemia duru wysypkowego powoli wygasła.

Jednego tygodnia — po przeniesieniu mnie do niemieckiego bloku szpitalnego — przeciętnie dziennie umierały tylko trzy chore, potem dwie, następnie jedna, w końcu zaś był dzień, w którym naprawdę nie zmarła ani jedna chora. Gdy w tym czasie zrobiłam pewnej pacjentce z czarnym trójkątem nakłucie opłucnej, powiedziała ona później do mnie: „Wiesz, rozmawiałyśmy już o tym, że od chwili, gdy ty tu przyszłaś, znacznie mniej chorych umiera pośród nas. Poprzednio Polka, zawsze tylko milcząca, przechodziła między naszymi łóżkami, by dać kilka zastrzyków i założyć opatrunki, a potem wieczór wynoszono cały stos zmarłych. Jest przecież dobrze mieć niemiecką lekarkę!"

Czym kieruje się chory, oceniając lekarza? Daremnie usiłowałam wytłumaczyć młodej istocie, że przybyłam tylko przypadkowo w chwili wygasania epidemii duru wysypkowego w bloku, że teraz także przy polskiej lekarce mniej osób umiera, że ja również dla chorych nie mogę uczynić ani mniej, ani więcej niż ona, a raczej mniej, ponieważ mam mniejsze doświadczenie niż moja starsza koleżanka. Perswazje te były jednak daremne.

Ale dostrzegłam u siebie reakcję, która oczywiście nie była zadziwiająca. Dzięki nie uzasadnionemu większemu zaufaniu tych kobiet stałam się pewniejsza, a pewność ta — w połączeniu z doświadczeniem nabytym w ciągu mojej jednorocznej pracy lekarskiej w obozie — sprawiła, że mogłam już dobrze wykonywać swoją pracę. Nie krążyłam już pełna obawy i bezradna między „muzułmanami", cierpiącymi na choroby, których nigdy przedtem nie widziałam i gdy już nic więcej uczynić nie mogłam, wtedy znajdowałam zawsze czas, by z tą czy z tamtą porozmawiać. Pozwalałam im opowiadać o ich bliskiej im ojczyźnie, o losie, który je sprowadził do obozu i przysłuchując się, pomagałam tym samotnym straconym ludziom. Zawsze przy tym padło nazwisko czy opis miejscowości, które znałam i tym samym również mnie ojczyzna utracona stawała się realniejsza.

Rozpoczęłam swoją funkcję w rewirze jako przekonana internacjonalistka, musiałam jednak przyznać, że naprawdę rozsądniej było poddać więźniarki leczeniu ich rodaczkom-lekarkom po prostu dlatego, że w tych warunkach łatwiej było przywrócić niezbędny wzajemny stosunek zaufania między chorym a lekarzem, gdy wspomnienia i wspólne rozmowy wzajemnie ich zbliżały. Chore należały do różnych narodów, wszystko było trudniejsze niż na wolności, a także między rozsądnymi ludźmi może powstać niedowierzanie i brak zaufania tylko dlatego, że sama wiedza lekarska ma pewne swoiste cechy narodowe, ponieważ określone metody leczenia w jednym kraju są w praktyce częściej stosowane, w innym zaś rzadziej.

Pewna Żydówka z Jugosławii nie pozwoliła, by jej zrobiono zastrzyk pomocny w chorobie krążenia krwi, który usilnie doradzała jej pewna niezwykłej dobroci lekarka rosyjska. Chora twierdziła, że w domu otrzymywała od swego lekarza tylko krople. W końcu jednak zgodziła się z obawy przed wypisaniem jej z bloku szpitalnego. Ale gdy — przypuszczalnie wskutek podniecenia — w czasie wstrzyknięcia zemdlała, to zanim straciła przytomność, rzuciła jeszcze pełne nienawiści spojrzenie na koleżankę udzielającą jej pomocy; „a więc ty także szpilujesz!" — miało ono oznaczać.

Była też w obozie Żydówka berlińska, sław-

na specjalistka chorób dziecięcych, badaczka alergii i członek Instytutu Roberta Kocha. Miała takie znaczenie, że w 1933 r. nie przepędzono jej stamtąd natychmiast, toteż znalazła się na koniec w Oświęcimiu. Lekarz SS, dr *König* miał korzystne mniemanie o niej i gdy pewnego razu grupa polskich dzieci znalazła się w bloku-kwarantannie przed płotem naelektryzowanym (w rzeczywistości grupa ta miała być odtransportowana do domu dziecka), wyznaczył tę lekarkę do podjęcia opieki nad dziećmi. Niektóre z nich zachorowały na koklusz; lekarka obserwowała je bardzo sumiennie, na razie jednak niczego nie przepisała, ponieważ nie wystąpiły żadne komplikacje. Następnej nocy polskie pielęgniarki przeforsowały przy pomocy przekupionego sanitariusza *SS* (z *SDG — Sanitätsdienstgrad)*, że przyprowadzono polską lekarkę poza plecami niemieckiej Żydówki. Dała ona dzieciom zastrzyk transpulminy celem zapobieżenia komplikacjom. Odpowiedzialna lekarka była, rzecz jasna, oburzona z powodu nieufności wobec niej, a pielęgniarki były przekonane, że uratowały życie swym polskim dzieciom. A przypuszczalnie zasadniczo większa aktywność polskiej pediatrii była przyczyną, że Polki postąpiły inaczej. Jeśliby ktoś chciał tu coś wyjaśniać i pośredniczyć, byłby beznadziejnie zgubiony. Z każdej strony spotkałby go zarzut, że „trzyma z innymi".

W końcu jednak trzymałyśmy się wspólnie mimo wszystko pod niesłychanym naciskiem, który nas przygniatał. Ale musiałyśmy uznać, jak łatwo właśnie strach i potrzeba siały rozdźwięki narodowe i jak szybko wybuchała tam nieufność, gdzie każda, która przeżyła, musiała sobie powiedzieć: może żyję tylko dlatego, że zamiast mnie umarła inna.

Wówczas było dla mnie jasne, jak wiele także po wojnie — po położeniu kresu martyrologii oświęcimskiej — musimy się jeszcze uczyć, aby bez zawiści i nieufności móc żyć obok siebie i z sobą.

OTTO WOLKEN Wiedeń
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 128828

Oswobodzenie obozu koncentracyjnego Oświęcim—Brzezinka [1])

Nadszedł dzień 17 stycznia 1945 roku. Wśród ciemnej i chmurnej, ponurej nocy zimowej widać było tylko szarą warstwę śniegu, pokrywającą teren obozu. Światła, zwykle rozjaśniające ciemność wzdłuż ogrodzenia z naelektryzowanego drutu kolczastego, zgaszone były wskutek alarmu lotniczego. Tylko od czasu do czasu żarzyły się krótkie błyski papierosów, które palili esesmani z wieżyczek wartowniczych. Wszędzie panowała martwa cisza, ponieważ umilkł nagle odgłos walk, często w ostatnich dniach dochodzący ze strony zbliżającego się frontu, gdy wiał wiatr z tamtej strony.

Sudek, Francuz pełniący *nachtwachę* w bloku szpitalnym, przyniósł mi właśnie dziennik. Gazety otrzymywał on codziennie jakąś drogą z *blockführerstuby* (izby blokowych *SS*) i w godzinach ujętych w ściśle przestrzeganym planie przekazywał je dalej więźniom godnym zaufania. Byłem „prenumeratorem" wyznaczonym do czytania gazety w nocy od wpół do dwunastej do kwadrans przed północą.

Starannie osłonięty kocem narzuconym na głowę, zapaliłem swą lampkę, małą puszkę blaszaną z maścią ichtiolową i szmatką, która pełniła rolę knota. Czytałem ostatnie wiadomości z frontu: „Zaryglowano małe włamanie nieprzyjaciela w łuku Wisły koło Radomia i Kielc i przeprowadzono wyrównania frontu". Tak daleko jeszcze front! Czyżby sanitariusz *(SDG) Flagge* miał słuszność, gdy na moje wczorajsze pytanie dotyczące huku armat odpowiedział, że są to niemieckie działa dalekonośne, ustawione niedaleko od nas? Zrezygnowany, złożyłem gazetę, którą miał odebrać *Sudek*, zgasiłem lampkę i usiłowałem usnąć.

Nagle ciszę nocną przerwał dziki odgłos gongu. Rozległy się okrzyki: *„Alle Ärzte und Pfleger sofort antreten!"* (Wszyscy lekarze i pielęgniarze natychmiast do szeregu!). Teraz, wśród nocy? Zwariowali! Obróciłem się na drugi bok i starałem się zasnąć, gdy współwięźniowie z tej samej izby zaczęli się w największym pośpiechu ubierać i usiłowali mnie zbudzić, przekonani, że nie usłyszałem gongu i nawoływań. Niebawem byli gotowi i wybiegli pośpiesznie. Znów nastał spokój. Lecz wkrótce brutalnie otwarto drzwi i *Lagerältester* (starszy bloku nr 2, Niemiec z Rzeszy) przyświecił w izbie lampką kieszonkową. Gdy mnie wykrył, uderzył kijem w moją pryczę: „Nie słyszałeś? Wstawać i ustawić się w szeregu przed *schreibstubą*"!

Powoli podniosłem się, ubrałem i wyszedłem w ciemną, mroźną noc zimową. Ostrożnie skradałem się w pobliże *schreibstuby*, z której dobiegał gwar głosów, gdyż pragnąłem stwierdzić, co się tam działo. Zasłonięty narożnikiem bloku, ujrzałem w przytłumionym

[1]) Pierwodruk polskiego przekładu tekstu pt. *Befreiung von Auschwitz-Birkenau*, napisanego dla „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Tłum. z jęz. niem. *Maria Masłowska*.

świetle lampki kieszonkowej esesmana, lekarzy i pielęgniarzy z naszego bloku, stojących w długim rzędzie. Esesman ryczał: „Prędko, prędko! Mam wam nogi przyprawić? Myślicie, że będę czekał tak długo, aż się tu zjawią Rosjanie?" Tymczasem drugi esesman liczył więźniów ustawionych w szeregu. Słyszałem: „96, 97, 98, 99, 100", a potem komendę: „W prawo zwrot! Marsz!" Następnie do mojego ukrycia doszły oddalające się powoli odgłosy kroków odchodzącej grupy. Usłyszałem szczęk zamykającej się obozowej bramy żelaznej, chrzęst łańcuchów i zgrzyt zawieszonego zamka.

Pogrążony w myślach wróciłem do swego bloku i w ciemnościach odszukałem swoje łóżko. A więc Rosjanie są już znacznie bliżej niż przyznawał komunikat *Wehrmachtu*, a grzmoty, które słyszeliśmy, oznaczały bliskość frontu. Mogłem zatem żywić nadzieję, na co dotychczas nie odważyłem się nigdy w obozie, że wyjdę żywy z tej fabryki śmierci. Żywy po niemal siedmiu latach więzienia w różnych obozach niemieckich. Opanowało mnie ogromne podniecenie na myśl o zbliżającej się wolności, ale równocześnie też paraliżujący strach, jaki ten tylko może odczuwać, kto w celi skazańca widzi nadchodzący ostatni dzień przed straceniem i nie wie, czy jego prośba o łaskę spotka się z pomyślnym rozpatrzeniem, czy zostanie odrzucona. Tak, zbliża się koniec obozu, ale czy pozostawią nas tu po prostu, czy w ostatniej minucie nie będą próbowali uśmiercić nas w jakiś okrutny sposób? Straszne myśli dręczyły mnie przez resztę nocy. O spaniu nie było już mowy.

O piątej rano wyrwał mnie z dzikich snów znów zwykły gong. Musiałem jednak w końcu zasnąć. Potem padł rozkaz: „Pozostali lekarze i *pflegerzy* wystąpić w szeregu przed *schreibstubą!*" Czyżby chciano zabrać resztę lekarzy i pielęgniarzy? A co się stanie z chorymi? Dokąd chcą nas prowadzić? Czułem, że muszę się o tym upewnić. Pytałem tu i owdzie, lecz nikt niczego nie wiedział. W końcu znalazłem *Lagerältestera*, profesora *Ecksteina* z niemieckiego uniwersytetu w Pradze. Na moją indagację: „Co jest znowu? Pozostaję tutaj, nie idę z nimi! Mam dość!" uspokajał mnie. Wskutek nocnego odejścia transportu wiele bloków pozostało bez lekarzy i pielęgniarzy. Miano ustalić stan lekarzy i pielęgniarzy i dokonać nowego ich podziału, aby żaden blok nie został bez opieki lekarskiej. Dowiedziawszy się o tym, udałem się do *schreibstuby*. Gromadka, która tu pozostała, rzeczywiście była niewielka, toteż każdy lekarz musiał przejąć opiekę nad chorymi w trzech blokach. Oprócz mojego bloku nr 12 otrzymałem więc dodatkowo bloki nr 5 i 6.

Po godzinie dowiedziałem się, że musimy założyć listy, a mianowicie listę tych chorych, którzy są zdolni do 15-kilometrowego marszu, jedną listę tych, którzy mogą maszerować tylko 5 kilometrów do dworca w Oświęcimiu oraz listę chorych niezdolnych do pieszego transportu. W ciągu przedpołudnia przyniesiono dla chorych zdolnych do pieszej wędrówki skarpetki, buty i ubrania.

Doszło do scen trudnych do opisania. Chorych ogarnęła prawdziwa panika. Żaden nie chciał zostać w obozie. Płakali i prosili, aby



Ryc. 1. Dziekan Canterbury zwiedza obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. W lasku przy krematorium piątym (od lewej ku prawej): autor artykułu, dr *Wolken* w rozmowie z prof. *Johnsonem*, dziekanem Uniwersytetu Oksfordzkiego, dalej oficer łącznikowy i dziekan Canterbury (kwiecień 1945 r.).

ich umieścić na liście zdolnych do chodzenia. Kosztowało mnie wiele wysiłku i perswazji, aby ich przekonać o tym, że wychodząc z obozu wybierają pewną śmierć, podczas gdy pozostanie daje jeszcze nikłą szansę przeżycia. Przysiągłem im, że ich nie opuszczę i że pozostanę przy nich do szczęśliwego albo gorzkiego końca. Udało mi się wielu z nich nakłonić, aby się położyli do łóżka jako niezdolni do marszu. Namówiłem również niektórych lekarzy i pielęgniarzy do pozostania w obozie przy chorych.

W tym czasie rozległy się znów uderzenia gongu, a potem wołanie: „Wszystkie papiery i dokumenty przynieść do *schreibstuby!*" Rozkaz ten był dla mnie nowym problemem. Musiałem bowiem prowadzić — powiedzmy służbowo — jako pisarz w ambulansie obozu-kwarantanny książkę zmarłych, książkę przekazywania chorych do izby chorych i zestawienie transportów wolnych od kwarantanny. Poza tym musiałem codziennie lekarzowi obozowemu przedstawiać pisemne sprawozdanie zawierające: liczbę i rodzaj przypadków zakaźnych, wynik kontroli zawszenia, transporty więźniów nowo przybyłych oraz odchodzących itp. Musiałem również sporządzać sprawozdania tygodniowe, miesięczne, półroczne i roczne. W tym celu założyłem sobie mały zeszycik, w którym wpisywałem raporty dzienne dla lekarza obozowego, a potem zliczałem poszczególne sumy z każdego dnia dla raportów zbiorowych.

Oprócz tego sporządzałem także zestawienia, przeznaczone nie dla lekarza obozowego, lecz dla potomności. A więc założyłem kompletną listę przybywających transportów więźniów, zaznaczając, skąd przybywają, ich liczbę, ilu więźniów wybrano na rampie do natychmiastowego zagazowania, jakie numery więzienne otrzymali i uwagi o ich dalszym losie. Prowadziłem też notatki dotyczące każdej selekcji, szczególnych wypadków, jakie zaszły w obozie, nadużyć poszczególnych esesmanów i „kapów", dalszego losu radzieckich jeńców wojennych i ciężko rannych żołnierzy oraz prawdziwej przyczyny śmierci więźniów, ponieważ w książce zmarłych wolno było podawać tylko dozwolone przyczyny śmierci, jak chorobę serca, zapalenie płuc, zastrzelenie w czasie ucieczki, a nie: zagłodzony, zabity, zakatowany na śmierć, zagazowany. Dokumenty te w chwili likwidowania obozu-kwarantanny zabrałem do bloku chorych — rzekomo z polecenia lekarza obozowego — i tam je po dziś dzień przechowywałem.

Czyżbym się teraz miał rozstać z tymi zapiskami, które gromadziłem wśród wielkich niebezpieczeństw, z narażeniem własnego życia, ponieważ uznałem za rzecz bardzo ważną wszystko to ocalić? Nigdy! Pobiegłem więc do mego bloku, zabrałem stamtąd paczkę historii chorób, które zresztą nie były interesujące i udałem się do *schreibstuby*, aby zbadać teren. Przed *schreibstubą* płonął już ogień, przy którym stało dwóch esesmanów i kilku więźniów, a gdy z moimi papierami nadbiegłem, wyrwano mi je z ręki, nie pytając wiele i wrzucono bez jakiejkolwiek kontroli do stosu płonących już dokumentów. Tego właśnie pra-



Ryc. 2. Dziekan Canterbury zwiedza obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. Zdjęcie przy krematorium trzecim z widokiem na wysadzone krematorium drugie. Od lewej: prof. *Johnson* z Oksfordu, dziekan Canterbury w rozmowie z *Luigim* (wspomnianym w artykule dr *O. Wolkena*), oficer łącznikowy, prof. *Sehn* i dr *Wolken* (kwiecień 1945 r.).

gnąłem. Pobiegłem z powrotem do mojego bloku i na razie ukryłem bardzo wartościowe dla mnie dokumenty w swoim i tak już bardzo podartym sienniku. Potem w celu odwrócenia od siebie podejrzeń zająłem się gorliwie dostarczaniem na płonący stos innych papierów bez znaczenia, znalezionych wśród starych historii chorób w moim bloku i w blokach, które tegoż dnia rano oddano mi celem objęcia opieki nad chorymi. Lecz w nocy, gdy wszyscy spali, umieściłem w puszce blaszanej po opatrunkach wszystkie moje dokumenty wraz z pospiesznie napisanym wyjaśnieniem, dotyczącym znaczenia poszczególnych liczb i pseudonimów. Potem za pomocą starego noża i łyżki wykopałem dół obok słupów bramy przy wejściu do bloku i ukryłem w nim mój skarb. Kiedyś przecież blok będzie zburzony i wówczas muszą odnaleźć ukrytą puszkę. Nie myślałem jeszcze wtedy o tym, że przeżyję i sam wydobędę pisma z ukrycia, co zaledwie po siedmiu dniach faktycznie nastąpiło [2].

O godzinie 14 wydano nowy rozkaz: „Wszyscy zdolni do marszu, jak też pozostali lekarze i pielęgniarze wystąpią do odmarszu!" Nie zamierzałem wcale iść z nimi. W ciągu nocy przemyślałem wszystko dokładnie. Nie miałem żadnej szansy, by przy takim marszu wyjść z życiem. Był tu *Luigi*, włoski chłopiec, którego uratowałem przed śmiercią w komorze gazowej. Ratowałem go zresztą do tej pory, byłem dla niego nowym ojcem i nie chciałem go pozostawić. Chłopiec nie mógłby długo maszerować w śniegu po kolana. Zacząłby płakać, że nie może iść dalej, usiłowałbym go nieść, jak długo jednak zdołałbym to wytrzymać? Sam nie ważyłem więcej niż 38 kilogramów. Wyczerpany i zrozpaczony usiadłbym na śniegu, a jeden z konwojujących esesmanów wyciągnąłby rewolwer i zastrzeliłby mnie. Musiałby to przecież uczynić, inaczej cała kolumna usiadłaby, mówiąc: „Nie możemy iść dalej". Tylko lęk i strach może pędzić ludzi aż do ostatniego tchu.

Całą tę scenę owej nocy przedstawiłem sobie w myślach, a może nawet we śnie przeżyłem ją. Nie, marsz nie wchodzi w rachubę. Tylko ukryć się, ale jak i gdzie? Bo już słyszałem wywoływanie mojego nazwiska. Szukano mnie, więc powiedziałem w bloku nr 12: gdy będą mnie szukać, jestem w bloku 6; w bloku 6 powiedziałem, że jestem w bloku 5, a tam znowu, że jestem w bloku 12. Błąkałem się też od jednego bloku do drugiego, aż w końcu w bloku 12 wpełznąłem pod siennik chorego leżącego w agonii i czekałem, co się dalej stanie.

Gdy się w obozie uciszyło tak, że mogłem przypuszczać, iż wszyscy odmaszerowali, opuściłem swoją kryjówkę. Wielu chorych pła-

[2] Dokumenty te zostały oddane Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Krakowie. W protokole sporządzonym z doktorem *O. Wolkenem* opisano je dokładnie i objaśniono ich treść. Z tego właśnie materiału pochodzą statystyki chorych i zmarłych, publikowane poprzednio w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" (zob. tamże: R. 20: 1964, nr 1, str. 84—90), przyp. red.).



Ryc. 3. Dziekan Canterbury w towarzystwie dziekana Uniwersytetu Oksfordzkiego, prof. *Johnsona* zwiedza obóz w Oświęcimiu. Od prawej ku lewej, wśród ruin wysadzonych krematoriów: dr *Wolken*, prof. *Sehn*, polski oficer łącznikowy, dziekan Canterbury, prof. *Johnson* z Oksfordu, tłumacz (kwiecień 1945 r.). Fot.: *Stanisław Kolowca.*

kało, gdyż czuli się całkowicie pozbawieni opieki i opuszczeni, a *Luigi* rozpaczając szukał mnie między odmaszerowującymi; teraz, jak uosobienie nieszczęścia, zalany łzami, siedział w mojej izbie. Szybko się jednak pocieszyli, gdy mnie znowu zobaczyli. Natychmiast z kilkoma lekarzami i chorymi zdolnymi do chodzenia, których namówiłem do pozostania i teraz ich zebrałem, rozpocząłem organizowanie pewnego rodzaju opieki lekarskiej nad pozostałymi w obozie chorymi liczącymi przeszło 2000 osób.

W toku tych przygotowań nastąpił rosyjski atak lotniczy na miasto Oświęcim. Był to przerażający i zarazem piękny widok. Najpierw bomby pozycyjne: ciemnoczerwone, żarzące księżyce w pełni, które spadały ze straszliwym wyciem, aby wśród ogłuszającego huku, pozostawiając za sobą czarną chmurę, rozprysnąć się w powietrzu. Potem zrzucano bomby oświetlające, przypominające choinki, które taką jasność w obozie rozprzestrzeniały, że bez trudu można by było czytać gazetę, a w końcu nadleciały bombowce.

Podczas tego bombardowania zburzono elektrownię w Oświęcimiu, zostaliśmy więc w obozie nie tylko bez światła, ale również bez wody, gdyż pompy przestały działać. Stworzyło to złe perspektywy na najbliższe dni. Stwierdziliśmy też, że wieże wartownicze nie są już obsadzone. Również posterunki esesowskie uciekły. Czy jednak ta ucieczka była ostateczna? Może znowu esesmani powrócą i co sie wtedy stanie? Gdy ubiegłej nocy usiłowałem zdać sobie sprawę z tych wszystkich pytań, nie mogłem nawet przypuszczać, jak wszystko to szybko stanie się rzeczywistością.

Ponieważ w nocy wszystko już postanowiłem, przeto mogłem teraz przystąpić do działania podług planu i od tej chwili pracowałem już jak automat.

Punkt 1. Jesteśmy uwięzieni w obozie jak myszy w pułapce. Ogrodzenie z drutu kolczastego nie jest już naładowane prądem elektrycznym, usiłujemy je zatem w kilku miejscach rozerwać, aby w razie konieczności przygotować sobie wyjście. Nie wiedziałem jeszcze, że będę go już wkrótce potrzebował. W baraku-pralni znalazłem nożyce do cięcia drutu, którymi w rozmaitych miejscach wycięto dostatecznie duże otwory w ogrodzeniu z drutu celem umożliwienia ucieczki z obozu.

Punkt 2. Zastanawiając się nad zaopatrzeniem w wodę, wiedziałem, że w obozie są dwie cysterny i znałem miejsce, w którym się znajdują. Wybrałem się zatem z kilkoma współwięźniami jeszcze w nocy, by wyszukać te cysterny pod półmetrową pokrywą śniegu oraz zabezpieczyć je celem zaopatrzenia bloków przynajmniej w wodę do picia. Myć można się było śniegiem, którego nie brakowało.

Punkt 3. Grupa uzbrojona w nożyce do cięcia drutu i w łom żelazny, również znaleziony w baraku-pralni, wyszła jeszcze w nocy do sąsiednich, opuszczonych odcinków obozu celem zbadania w znajdujących się tam magazynach, czy nie pozostawiono w nich jakichkolwiek środków żywności. Ekspedycja ta znalazła chleb, herbatę, cukier, kaszę. Postanowiono przenieść zapasy następnego dnia do naszego bloku i podzielić na poszczególne bloki.

Następnego ranka odważyłem się z kilkoma ludźmi wyjść z bloku do opuszczonego rewiru esesowskiego. Znalazłem tam puszki z kiszoną kapustą, skrzynie z konserwową zupą, a nawet pewną ilość papierosów. Na odnalezionych saniach przewieziono te zapasy do naszego bloku. Ugotowaliśmy z nich zupę w kotle do prania w pomieszczeniu pralni, a w południe rozdzielono chorym ciepły obiad. W tym czasie dostarczono także chleba, cukru i herbaty, toteż magazyn w moim bloku wypełnił się żywnością na kilka dni.

Po południu włączyłem się do akcji przenoszenia żywności. Naładowałem pełne kosze i właśnie wracaliśmy do naszego bloku, gdy nagle rozległy się strzały. Zanim się zorientowaliśmy, co się stało, wpadła na nas grupa esesmanów z wyciągniętymi rewolwerami. Był wśród nich znany mi *oberstabsführer Polock*, który także i mnie znał bardzo dobrze. Ryczał do mnie: „Co tu robisz?" Kłamałem bezczelnie: „Kapo z kuchni posłał mnie, aby przynieść do kuchni w bloku chorych te rzeczy". Odpowiedzią było potężne uderzenie w twarz i rozkaz: „Natychmiast odnieść z powrotem!" Esesmani popędzili dalej. Złożyłem nosze z żywnością w pobliskim bloku i pobiegłem z powrotem do mojego bloku. Z tej opresji wyszedłem stosunkowo nieźle, ponieważ słyszeliśmy strzały, a w drodze powrotnej znaleźliśmy zwłoki zastrzelonych współwięźniów. Gdy się znowu uspokoiło, nawróciliśmy, aby zabrać nosze z żywnością z miejsca, w którym je pozostawiliśmy.

Gdy w ten sposób zatroszczyliśmy się o zapewnienie chorym żywności, należało również zorganizować opiekę lekarską. Jakkolwiek nie zajmowali się już tym sanitariusze *(SDG)* i lekarz obozowy, poczuwałem się do obowiązku roztoczenia opieki nad chorymi w przydzielonych mi trzech blokach. Celem uproszczenia sobie tej pracy i ze względu na to, że potrzebowaliśmy opału do gotowania i do opalania bloku, przeniosłem wszystkich chorych z bloku 5 i z bloku 6 do mojego bloku, gdzie znalazło się miejsce po chorych, którzy odmaszerowali. Zwolnionych łóżek używano stopniowo na opał. Z apteki obozowej, całkowicie „osieroconej", przynieśliśmy wielkie ilości lekarstw, z których przedtem wydzielano na blok zaledwie 10—20 sztuk mimo istnienia olbrzymich zapasów. Byliśmy szczęśliwi z posiadania dostatecznego zapasu lekarstw, koniecznych do podjęcia skutecznej terapii chorych.

Następnego ranka dowiedzieliśmy się, że esesmani ciągle jeszcze nie zrezygnowali z Oświęcimia. W opuszczonej *blockführerstubie Andriej*, rosyjski jeniec wojenny, który pracował w kuchni dietetycznej bloku chorych, znalazł karabin z amunicją i z radości, że posiada znowu broń, kilka razy strzelił w powietrze. Zjawił się oddział *SD* i zażądał wyda-

nia broni, z obozu bowiem słyszano strzały. Zapewniliśmy, że tutaj są tylko chorzy i kilku lekarzy z pielęgniarzami i że nie posiadamy żadnej broni. Ale musiał jednak ktoś ze strachu zdradzić, że *Andrzej* ma karabin. Rozpoczęli więc poszukiwania *Andrzeja,* który tymczasem uciekł z obozu, a ponieważ nie mogli go znaleźć, wyprowadzili wszystkich jeńców rosyjskich, znajdujących się jeszcze w obozie, ustawili ich nad rowem i rozstrzelali. Jeden z nich okazał przytomność umysłu i w chwili wydania rozkazu upadł do rowu. Doznał tylko muśnięcia kulą w szyję i gdy *SD* znowu się oddalił, zabrałem go z rowu do bloku, aby go leczyć. W ubranie ranionego odziano zwłoki zabrane z kostnicy i włożono do rowu, aby na wszelki wypadek liczba zabitych była kompletna, gdyby powrócił *Sonderdienst.* I przyszedł, po pierwsze, aby szukać *Andrzeja,* po drugie zaś, aby zabrać więźniów, którzy musieli odnieść zwłoki Rosjan do małego lasku przy krematorium piątym, gdzie na stosie zostały spalone.

Nowe niebezpieczeństwo przyniósł nam wieczór. Esesmani za pomocą szmat nasyconych naftą podpalili sąsiadującą z nami „Kanadę", której bloki załadowane były całkowicie bielizną i ubraniem, pięknie zapakowanym w paczkach po 10 sztuk. Płomienie, iskry i strzępy palących się szmat, które wiatr niósł w naszym kierunku, groziły zniszczeniem także naszych bloków. W dodatku pożar bloków był tak wielki, że smoła papy pokrywającej dach zaczęła kapać. W największym pośpiechu zorganizowałem służbę ratowniczą, która naczyniami do jedzenia rzucała śnieg na zagrożone dachy w celu utrzymania ich w stanie wilgotnym i zimnym, by w ten sposób uchronić je przed ogniem i iskrami.

Nasi chorzy leżeli na pryczach tylko w koszulach, a wielu z nich całkiem nago. Jeśli esesmani także i nasz obóz podpalą, jak będziemy ratować naszych chorych? Wynosić ich z baraków i gołych kłaść na śniegu? Zamiast śmierci wskutek spalenia padną ofiarą śmierci przez zamarznięcie? A zaledwie 10 metrów od nas palą się tysiące ubrań, za pomocą których moglibyśmy chorych ratować. Zebrałem szybko grupę odważnych kolegów i przedarłem się z nimi do płonącego obozu, wtargnąłem do baraków ogarniętych pożarem i wyrzucałem z płonących bloków starannie posortowane paczki z bielizną i odzieżą, nie objętą jeszcze płomieniami, skąd szybko przetransportowano je do naszego obozu. Dławiąc się dymem, musieliśmy co chwilę cofać się przed płomieniami, ale ciągle znajdowaliśmy dojście do zapasów odzieży, nie objętych jeszcze ogniem, bądź to przez otwarte drzwi, bądź przez wyłamane okna, aż uznaliśmy, że uzyskaliśmy dostateczny zapas odzieży dla wszystkich naszych chorych. Chociaż ogień szalał coraz silniej, udało nam się jednak obronić skutecznie nasz obóz przed iskrami i płomieniami, a gdy wreszcie rankiem zmienił się kierunek wiatru, niebezpieczeństwo było zażegnane.

Za to dzień przyniósł nową próbę nerwów. Około godziny 10 przed południem przyjechał samochodem ciężarowym oddział esesmanów, w środku obozu ustawiono kilka karabinów maszynowych, a przy frontowym i tylnym wejściu każdego bloku stanął posterunek esesmanów. Sytuacja była skrajnie krytyczna. Panowała niesamowita cisza i napięcie w całym obozie. Na komendę weszli do każdego bloku esesmani, aby spisać stan i policzyć więźniów. Byłem do tego stopnia podniecony, że nawet nie umiałem podać liczby swoich chorych. Trzy razy liczono i trzy razy rachunek się nie zgadzał. Esesman był już bardzo rozgniewany. Brakowało mu pięciu ludzi do podanego stanu. „Gdzieś ich ukrył?" Wówczas wpadła mi zbawcza myśl. Usprawiedliwiłem się esesmanowi, że zapomniałem, iż wczoraj przecież zmarło pięciu moich chorych i leżą w przyległej kostnicy. Pobiegł więc za mną do kostnicy, przybudowanej do naszego bloku, gdzie już leżało wiele setek zmarłych. Szybkim spojrzeniem zorientowałem się i poprowadziłem go do małej grupki zwłok, dodając, że to właśnie są zmarli z mojego bloku. Zdawał się być zadowolony.

Gdyśmy opuszczali kostnicę, pojawił się na drodze obozowej samochód osobowy. Wyskoczył z niego esesman, pobiegł do obozu i powiedział kilka słów do oficera, który przystanął obok grupy przy karabinach maszynowych. Rozległ się sygnał gwizdkowy. Karabiny złożono, a esesmani odjechali samochodem ciężarowym tak szybko, jak przybyli. I znowu mogliśmy z ulgą odetchnąć.

Tej samej nocy silna detonacja przeszyła ciszę i wyrwała nas ze snu. Wybiegłem z bloku, aby zobaczyć, co się znowu dzieje. W bladym świetle księżyca mogłem dostrzec olbrzymią chmurę pyłu tam, gdzie jeszcze wieczorem stało krematorium piąte, jedyne, którego dotychczas nie zniszczono. Był to dobry znak dla nas, ponieważ przypuszczałem dotąd, że zarezerwowano je do likwidacji więźniów pozostałych w obozie, a oddział esesmanów dzisiaj przed południem chciał może akcję tę przeprowadzić, lecz przeszkodziły mu w tym jakieś okoliczności.

Jeszcze raz jednak mieliśmy odczuć rękę esesmanów. 24 stycznia przed południem zjawiła się znowu w obozie grupa esesmanów ze specjalnym zleceniem zabrania pozostałych Żydów. Uciekłem do bloku nr 10, w którym przebywali Polacy, do mojego domniemanego przyjaciela-lekarza, ale rozczarowało mnie tutaj przyjęcie. „Czego tu chcesz? Nie słyszałeś, że wszyscy Żydzi mają wystąpić w szeregu?" „Tak, oczywiście, dlatego właśnie przyszedłem do ciebie, aby się schronić". Wydalił mnie z bloku ze słowami: „Tu jest aryjski blok. Wynoś się!" Opuszczając blok, wpadłem w ramiona esesmana. „Co tu robisz?" „Jestem lekarzem, leczę chorych". „Gnoju, masz stanąć w szeregu, inaczej już ci sprawię!" Miałem tylko koszulę na sobie i spytałem nieśmiało, czy nie mógłbym zabrać z mojego bloku przynajmniej kurtki. Zezwolił. Pobiegłem do bloku,

zabrałem kurtkę i śledziłem esesmana przez szczelinę w drzwiach, a gdy na chwilę obrócił się plecami do bloku, wybiegłem w przeciwnym kierunku. Słyszałem jeszcze krzyczącego esesmana: „Stój!" Wystrzelił kilkakrotnie w moim kierunku, ale zdołałem już dotrzeć do tylnego krańca bloku, uszedłem z linii strzałów i pobiegłem wprost do otworu w ogrodzeniu z drutu kolczastego, który sam wyciąłem kilka dni temu tam, gdzie rów odprowadzający nieczystości z latryny wybiegał poza obóz. Skoczyłem w obrzydliwą gnojówkę. Zasłonięty głębokim rowem i wysokim śniegiem, brnąłem dalej do wielkiej cysterny należącej do urządzenia odprowadzającego wodę ściekową i skoczyłem w dół na betonowy spływ, prowadzący do środka cysterny. Tu usiadłem, oblany mimo zimna potem ze strachu, ponieważ zostałem tam uwięziony. Gdyby esesman pobiegł za mną, pozostawał mi tylko skok w głąb cysterny, a tam musiałbym albo umrzeć z głodu, albo zamarznąć, ponieważ nie było możliwe wspiąć się bez pomocy na górę po ścianie betonowej o wysokości 5 metrów. A któż mógłby mi pomóc? Jak dziś przypominam sobie, że widziałem tam — niby w szybkim filmie — moje całe dotychczasowe życie, w szczególności siedem lat spędzonych w obozach koncentracyjnych i wszystkie straszne, często bardzo bolesne przeżycia z tego okresu przebiegały przed moimi oczami. Uprzytomniłem sobie cały bezsens tego istnienia. Po to musiałem znosić w ciągu siedmiu lat katownię, udrękę i upokorzenia, by krótko przed oswobodzeniem umrzeć w ekskrementach?

Ale esesman nie przyszedł. Słyszałem jeszcze krzyki w obozie, odgłos wystrzałów i potem zapadła noc. Zacząłem oczyszczać śniegiem nogi z kału i czekałem, aż się zupełnie ściemni. W obozie zaległa cisza. Skradałem się po cichu z powrotem. W moim bloku chorzy przyjęli mnie okrzykami radości, a *Luigi*, który płakał z powodu mojej nieobecności, promieniał teraz ze szczęścia. Wszyscy bowiem obawiali się, że zostałem zastrzelony, ponieważ esesman, gdy wybiegłem z bloku, wiele razy strzelił w moim kierunku, a strach chorych był tak silny, że nikt nie odważył się na opuszczenie bloku. Gdy oczyściłem siebie i swoje ubranie i zaopatrzyłem chorych, wymknąłem się do wejścia obozowego, aby zobaczyć, czy jeszcze jesteśmy strzeżeni. Brama obozu była otwarta. Przed *blockführerstubą* leżało w śniegu sześć trupów, w tym dwóch pielęgniarzy z mojego bloku chorych, a na drodze wiodącej wzdłuż obozu mogłem dostrzec w śniegu dalsze czarne plamy zastrzelonych więźniów. Były to strzały, które słyszałem z mojego ukrycia.

27 stycznia, o godz. 14, ulicą obozową brnęły w śniegu dwie otulone postacie, ciągnące za sobą na saniach karabin maszynowy. Zatrzymały się przed bramą. Z zaciekawieniem zbliżyliśmy się do nich i dostrzegliśmy na ich futrzanych czapkach czerwoną gwiazdę oddziałów radzieckich. W obozie rozległ się okrzyk radości: „Rosjanie są tu!" Kto tylko mógł pełzać, zsuwał się z łóżek i wychodził. Radość nasza nie miała granic. Całowaliśmy zarośnięte twarze postaci. Gotowaliśmy herbatę, wydobyliśmy papierosy przechowywane jak świętość i nie wiedzieliśmy, jak mamy naszymi skromnymi środkami okazać niezmierną wdzięczność obu oswobodzicielom. Śmiejemy się i płaczemy, nie możemy pojąć szczęścia oswobodzenia. Ciągle jeszcze żyje w nas lęk, że esesmani mogą powrócić.

Pod wieczór tego dnia wszyscy u nas byli poruszeni. Nadjeżdżały setki samochodów polowych z żołnierzami radzieckimi, którzy zajmowali kwatery w naszym i sąsiednim odcinku obozowym, podjechał też *jeep* i wysiadł z niego wysoki oficer rosyjski. Rozmawiał z nami po żydowsku. Wyjaśniłem mu, że w naszym bloku umieszczeni są przeważnie więźniowie żydowscy i poprosiłem, aby się im pokazał, gdyż wielu z nich nie może opuścić łóżek; uwierzą wtedy w oswobodzenie. Przyszedł do naszego bloku, rozpiął swój płaszcz i ukazał pierś ozdobioną orderami. Powiedział, że nie musimy się już więcej obawiać o życie. Armia radziecka pędzi przed sobą Niemców jak zające. Cieszy się, że poszczęściło się uratować przed barbarzyńcami jeszcze jedną, jakkolwiek małą liczbę ludzi. Uczyni wszystko, abyśmy byli ulokowani w warunkach godnych ludzi i zaopatrzeni w żywność, a chorzy otrzymają teraz należytą opiekę, aby mogli odzyskać zdrowie.

Dotrzymał słowa. Już następnego dnia otrzymaliśmy dobry rosół, kawałki mięsa, które znaliśmy tylko z odległych wspomnień oraz bułki. Przyszli lekarze i pielęgniarki z lekarstwami. Ale mimo ogromnych wysiłków wszystkich nie można było przeszkodzić zgonowi połowy oswobodzonych, spowodowanemu następstwami pobytu w obozie, zanim mogli powrócić do swej ojczyzny. Wyniszczenie bowiem osiągnęło u nich stopień nieodwracalny. Również o zmarłych się zatroszczono. Przybył zespół patologów. Ustawiono stoły do sekcji i stoliczki pod maszyny do pisania. Przeprowadzono sekcję zwłok i spisano protokół dotyczący stanu i przyczyny śmierci. Byłych narodowych socjalistów *(Nazi)* z okolicy przyprowadzono do wykonywania robót w obozie. Oczyszczono baraki, a zmarłych uroczyście pogrzebano. W obozie koncentracyjnym Oświęcim I urządzono wielki szpital dla więźniów, w którym każdy chory miał swoje łóżko oraz opiekę lekarską i wyżywienie.

Dnia 20 maja 1940 roku założono na rozkaz *Himmlera* obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. Dnia 27 stycznia 1945 roku nie było już więcej obozu Oświęcim-Brzezinka.

Ileż cierpienia, śmierci i najokrutniejszych objawów nieludzkości musiał widzieć obóz w Oświęcimiu i Brzezince w ciągu tych czterech i pół lat! Ale także ileż było dowodów koleżeńskości, bezinteresownej przyjaźni w ciężkich, nie do pomyślenia warunkach, a nawet zorganizowanego oporu!

Oświęcimia nie wolno zapomnieć!

WOJCIECH JEKIEŁEK — „ŻMIJA" Kraków

Akcja pomocy Batalionów Chłopskich więźniom obozu koncentracyjnego Oświęcim—Brzezinka

Wczesną wiosną 1940 roku uwagę mieszkańców Oświęcimia i okolicy zwrócił niezwykły ruch na terenach byłych koszar wojskowych, w barakach poaustriackich, pozostałych z okresu pierwszej wojny światowej, zbudowanych wówczas obok dróg, które prowadziły z Oświęcimia do Brzeszcz i z Oświęcimia do Harmęż, niedaleko od zabudowań Monopolu Tytoniowego. W barakach tych w 1915 r. znalazła pomieszczenie ludność ewakuowana ze wschodniej Galicji, zajmowanej przez wojska rosyjskie, które prowadząc na wielką skalę ofensywę, wypierały wojska austriackie i posuwały się szybko naprzód.

W okresie międzywojennym koszary zajmowało wojsko, w barakach zaś mieszkała oświęcimska biedota.

Na ten właśnie teren co kilka dni przyjeżdżały komisje, składające się z kilku wysokich dygnitarzy *SS, NSDAP*, a także z osób cywilnych. W kilka dni po jednej z takich komisji, w której, jak się później okazało, brał udział jako przewodniczący *Rudolf Höss* i wraz z towarzyszącymi mu osobami szczegółowo badał teren, spędzono w ten rejon Oświęcimia, zwany Zasolem, wszystkich mężczyzn-Żydów, których wiek i stan ogólny kwalifikował do pracy. Zapędzono ich do roboty. Podzielono ich na grupy. Od wczesnych godzin rannych do późnego wieczora w pośpiechu rozbierali oni baraki. Jedna grupa burzyła baraki, druga sortowała i uprzątała materiały z rozbiórki, inna wycinała rosnące tu i ówdzie drzewa, jeszcze inna budowała nieznanego przeznaczenia szopy, baraki i inne zabudowania. W pośpiechu porządkowano cały teren i ogradzano płotem z drutu kolczastego, do którego później włączono prąd wysokiego napięcia.

Całością prac kierował wysoki dygnitarz *SS*. Osobiście nadzorował on poszczególne prace i dbał o to, by wszystko zostało zbudowane według wzorów przez niego opracowanych. Okazało się później, że był to *Rudolf Höss*, który już wówczas z rozkazu *Himmlera* został powołany na komendanta w celu zorganizowania obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

Tak prowadzone prace — po wysiedleniu tamtejszej ludności — posuwały się szybko naprzód. Do ogrodzenia wbudowano wysokie wieże strażnicze, co pozwalało wnioskować, że będzie to jakieś bardzo ważne miejsce. Później domyślano się, że będzie to miejsce odosobnienia. Ale nikt wówczas nie przypuszczał, że teren ten — z rozkazu wyższego dowódcy *SS* i policji we Wrocławiu, *Ericha von dem Bach-Żelewskiego* — został na wniosek komisji, której przewodniczył *Höss*, przeznaczony na osławiony później obóz koncentracyjny. Nie zdawano sobie sprawy z tego, że z chwilą rozpoczęcia opisywanych robót została zapoczątkowana budowa największej kaźni na świecie, w której w największym udręczeniu zakończą życie cztery miliony ludzi. Ziemię tę, na której żyli i pracowali chłopi polscy, jej prawowici włodarze, oddano w posiadanie innych „gospodarzy", którzy zamiast narzędzi pracy przynieśli tu narzędzia mordu. Cała okolica wypełniła się cierpieniem i przekleństwami.

Mimo utrzymywania w tajemnicy przeznaczenia ogrodzonego terenu rychło, bo jeszcze przed przybyciem pierwszego transportu więźniów, jakimiś nieznanymi drogami rozeszła się wiadomość, że owe przygotowania czynione na Zasolu z tak ogromnym pośpiechem są urządzeniem obozu koncentracyjnego. Umieszczenie na wieżach strażniczych stanowisk karabinów maszynowych, włączenie w ogrodzenie prądu elektrycznego o wysokim napięciu oraz wbudowanie licznych i silnych reflektorów skierowanych na zabudowania — oto fakty, które potwierdziły te niepokojące wieści i wywołały zrozumiałe obawy wśród społeczeństwa polskiego.

Gdy już teren i zabudowania jako tako przygotowano, wkrótce potem na dworzec w Oświęcimiu przybył pierwszy transport więźniów z Tarnowa. Przed nadejściem transportu przedsięwzięto jak najdalej idące środki bezpieczeństwa, co natychmiast zwróciło uwagę nie tylko pracowników kolejowych, lecz także przypadkowych przechodniów i tych wszystkich, którzy czekając na odjazd pociągów, znajdowali się na dworcu w Oświęcimiu. Co śmielsi — mimo ostrego zakazu — starali się dociec przyczyny tak dalece przedsięwziętych ostrożności. Niektórzy przystawali na drodze, inni szukali dogodnych miejsc na dworcu, sądząc, że zauważą coś, co da im odpowiedź na dręczące pytanie: po co ustawiono te kordony esesmanów i policji właśnie tu, na spokojnym dworcu małego miasteczka.

Kiedy nadszedł spodziewany pociąg, wszyscy ci, którzy chcieli stwierdzić naocznie przyczyny ustawienia silnego kordonu oddziałów *SS* i policji wzdłuż peronów aż do wyjścia na ulicę, zobaczyli ludzi zarośniętych, wymizerowanych kilkumiesięcznym przebywaniem w więzieniu, powiązanych za ręce po dwóch, skatowanych i bitych zarówno podczas wyładowywania, jak i przez całą drogę do miejsca zbiórki. Zobaczyli ludzi zaszczutych, wystraszonych, kulących się, jak dzikie zwierzęta, aby uniknąć uderzeń bykowcem, nahajem czy łopatą podczas biegu na miejsce zbiórki po wyjściu z wagonu. Lała się krew, słychać było odgłosy uderzeń i jęki bitych.

Być może w tamtym właśnie dniu ów widok początku makabry zrodził w ludziach po tej

stronie drutów bunt, który stał się impulsem do pomocy uwięzionym rodakom.

Po wprowadzeniu więźniów do obozu wśród bicia, wrzasków i przekleństw pozbawiono ich imion i nazwisk i opatrzono numerami. Na wieżach strażniczych stanowiska przy broni maszynowej zajęli esesmani, pilnując dzień i noc, aby wprowadzony rygor bezwzględnie był utrzymany i aby wszelki wgląd do obozu z zewnątrz stał się niemożliwy. Z tą chwilą władze obozowe rozpoczęły rękami więźniów budować potworną machinę, która działając w dzień i w nocy pochłaniała swe ofiary, zadając im przed śmiercią niewypowiedziane cierpienia.

Ci, którzy obserwowali przybywające na dworzec oświęcimski coraz częstsze i coraz liczniejsze transporty więźniów oraz widzieli, jakie metody stosowali esesmani przy ich wyładowywaniu, mogli się już teraz domyślać, że za bramą wejściową z napisem: *„Arbeit macht frei"* będą się działy rzeczy niezwykłe. Ale nikt z nich, nawet jeśli posiadał bujną fantazję, nie mógł sobie już wówczas wyobrazić tego, co się działo w obozie.

Ludność okoliczna — choć władze obozowe poprzez wysiedlanie jej i stosowane represje zastraszały ją, usiłowały złamać i uczynić ją obojętną na to, co będzie się w obozie działo — nie dała się zastraszyć, a domyślając się powodów, dla których obóz został zbudowany, nie wzywana przez nikogo, powodowana sumieniem i nakazem własnej woli, postanowiła stawić opór wrogowi. Zdobywszy wiadomości o warunkach, w jakich więźniowie żyją, o straszliwym terrorze, o jakości, ilości i wartości otrzymywanego przez więźniów wyżywienia, postanowiła przyjść im z pomocą, na jaką stać ją będzie. Wszędzie tam, gdzie nadarzyła się okazja, najpierw pojedynczo, potem — w miarę rozrastania się obozu — gromadnie, jeszcze później poprzez organizacje konspiracyjne społeczeństwo niosło pomoc braciom zamkniętym za drutami, przeszkadzając w ten sposób wrogowi w osiągnięciu zamierzonego celu.

Okazało się później, że już sama pamięć o więźniach miała dla nich ogromne znaczenie i ten zbawienny skutek, iż przekonywała ich, że nie są tak odosobnieni, jak sobie życzyły władze obozowe. Realna się stała nadzieja, że kroki podjęte przez władze obozowe w celu odizolowania ich od reszty świata zostaną przezwyciężone i że przedostaną się w świat wiadomości o tym, co się tu za tymi ogrodzeniami dzieje. Miało to bardzo ważny wpływ na samopoczucie więźniów, późniejsze zaś kontakty z ludnością cywilną odegrały w życiu obozowym doniosłą rolę, szczególnie wtedy, kiedy wskutek ciężkich warunków bytowych wielu więźniów staczało się na dno upadku.

Pomoc więźniom i okazywanie im na każdym kroku współczucia przez społeczeństwo już od samego początku przybrały charakter walki, którą podjęto w obronie istnienia narodu. Zdawano sobie dobrze sprawę z tego, że staje się do walki z przeciwnikiem nieporównanie silniejszym, dysponującym najnowocześniejszymi środkami technicznymi oraz materiałem ludzkim przygotowanym fachowo do postawionego zadania wyniszczenia Polaków.

Niełatwe podjęliśmy zobowiązania, jak się przekonaliśmy później wszyscy, którzyśmy pracowali na przedpolach obozowych. Zdawaliśmy sobie sprawę z przewagi przeciwnika, dlatego wszelkie nasze poczynania pod obozem początkowo były nieśmiałe. W miarę rozrastania się obozu przybierały na sile i pchały ludzi do czynów, które nie pozwalały przeciwnikowi spokojnie dokonywać planowanych zbrodni. W walce tej w najrozmaitszy sposób brał udział szeroki ogół społeczeństwa polskiego. Nie brakło w niej dzieci, które wielokrotnie podprowadzane przez starszych, posyłane były do najniebezpieczniejszych miejsc za dnia, a nierzadko i w nocy.

Tam, gdzie rano mieli przyjść do pracy więźniowie, w nocy podkradali się ludzie z „wolności", przynoszono i podkładano różne rzeczy, czasem szalik lub rękawice, czasem kromki chleba, tytoń, papierosy i kartki z zapewnieniem, że nie zapomną. Robiono to wszystko w wielkiej tajemnicy. Każdej takiej wyprawie towarzyszyło największe ryzyko i lęk. Bywało tak, że znajomi sobie ludzie spotykając się, idąc pod obóz czy wracając stamtąd, nie przyznawali się, dokąd i skąd idą. Ale nigdy się nie dziwili, że się na tym miejscu spotykają.

Akcja ta nadszarpywała i tak już ograniczone przez wojenną gospodarkę zasoby poszczególnych, pomoc niosących osób. I wtedy to, starym, pięknym chłopskim zwyczajem, sąsiad, widząc i domyślając się, dlaczego u sąsiada brak chleba i jego dzieci chodzą głodne, przychodził mu z pomocą. Tak doszło do łączenia się w grupki, uciekania się do pomocy sąsiadów, kwestowania wśród znajomych, a wszystko po to, by pomoc nie przestawała docierać do więźniów.

Później doszło do zainteresowania sprawą obozową szerszego ogółu, początkowo miejscowego społeczeństwa polskiego, a gdy potrzeby obozu rosły, poszczególne jednostki samorzutnie poczęły organizować pomoc poza granicami swych wiosek, udając się do sąsiednich, bardziej oddalonych od obozu.

Sprawą obozową od chwili jego powstania interesowały się także istniejące już wtedy konspiracyjne organizacje.

Bardzo wcześnie, bo już na początku roku 1941 konspiracyjne komórki Stronnictwa Ludowego, w ramach organizacji wojskowej działającej pod nazwą Bataliony Chłopskie, a składającej się przede wszystkim z członków Związku Młodzieży Wiejskiej, postanowiły objąć konspiracyjną robotą także i obóz koncentracyjny. Wydzieliły do tego celu ze swych szeregów kilkuosobową grupę, powierzając jej śledzenie życia obozowego, organizowanie pomocy więźniom w takiej formie, w jakiej będzie możliwa do zorganizowania w istniejących warunkach, w oparciu o lud-

ność wiejską, wówczas jeszcze z okolic Oświęcimia nie wysiedloną.

Powstała w ten sposób samodzielna grupa Batalionów Chłopskich, mająca oparcie o organizację polityczną, posiadająca duże wpływy na wsi, uważanej wówczas za jedyną bazę zaopatrywania w środki żywnościowe. Kiedy podejmowano tę słuszną decyzję, nie przypuszczano, że chłopi polscy zostaną brutalnie wyrzuceni ze swych posiadłości. Przez wysiedlenie ludności wiejskiej nie tylko z okolic Oświęcimia, ale i z sąsiednich powiatów, baza, na którą w początkowym okresie tak liczono, straciła znaczenie głównego śpichlerza.

Ze skromnych poczynań kilku ludzi wraz z rozrastaniem się obozu rósł zakres działania grupy. Potrzeby obozu olbrzymiały z każdym dniem. Zmuszały one członków organizacji do szukania sposobów ich zaspokojenia, a ponieważ zawsze przerastały możliwość pomocy, przeto szukanie jak najszerszego oparcia w społeczeństwie stało się koniecznością. Było jasne, że aby sprostać zadaniu choćby tylko symbolicznie, należy szukać baz zaopatrzenia w środki pomocy poza granicami terenów przyobozowych.

Przez naszych ludzi już w pierwszej połowie 1941 roku utworzyliśmy silną bazę na Śląsku Cieszyńskim, a gdy i to okazało się niewystarczające, zostały zorganizowane bazy w Krakowie, w organizacji Czerwonego Krzyża i w Radzie Głównej Opiekuńczej. W Warszawie pomoc na cele obozu świadczyła Delegatura Rządu, Komenda Główna Batalionów Chłopskich, która wraz z Delegaturą przeznaczała poza brakującą zawsze gotówką także dość duże ilości lekarstw, dostarczanych przez łączniczki Komendy Głównej BCh. W Krakowie szeroką działalność rozwinęła *Teresa Lasocka* oraz do czasu swego wyjazdu za granicę *Maria Hulewiczowa*. Kraków wówczas był silną bazą, zaopatrującą nas przede wszystkim w lekarstwa.

Przez zabezpieczenie sobie szerokiego zaplecza dla akcji pomocy stała się ona coraz śmielsza i dla obozu skuteczniejsza. Zmieniał się także charakter i zakres działalności grupy. Poza dożywianiem i dostarczaniem do obozu lekarstw grupa przeszła również do działalności dywersyjnej i wywiadowczej. Oprócz tego prowadzono również szeroką nielegalną sieć korespondencyjną pomiędzy więźniami a ich bliskimi. Z pomocą więźniów poprzez ogniwa organizacyjne przedostawały się na zewnątrz obozu, otaczane przez władze obozowe ścisłą tajemnicą wiadomości, w jakich warunkach żyją i pracują więźniowie, o masowych mordach i innych zbrodniczych czynach hitlerowców w obozie.

Jeśli posiadanie szerokiego zaplecza miało ogromne znaczenie dla zaspokojenia potrzeb w zakresie dożywienia czy prowadzenia nielegalnej korespondencji na zewnątrz i do wewnątrz obozu, to — przy organizowaniu pomocy w zwalczaniu raz po raz wybuchających epidemii różnego rodzaju groźnych chorób — zaplecze to miało pierwszorzędne znaczenie. Okazało się to przy dostarczaniu do obozu najpotrzebniejszych leków w celu zapobiegania czy zwalczania epidemii. W takich wypadkach polski personel obozowej służby zdrowia, zaopatrzony w większą ilość najpotrzebniejszych leków, mógł skuteczniej przeciwstawiać się szalejącej zarazie i walczyć o życie ludzkie. Łatwiej mu także było łagodzić i inne dolegliwości masowo nękające więźniów i powodujące poważne zmniejszanie się odporności organizmu i tak już wyczerpanego niedożywianiem i ciężką pracą.

Niezmiernie uciążliwe warunki bytu, niskokaloryczne wyżywienie, niesłychanie ciężka i wyczerpująca praca, potworny system wyniszczający moralnie, brak najelementarniejszych warunków higienicznych — wszystko to wpływało na osłabienie organizmu więźniów. W takich warunkach szalejąca epidemia zwalała z nóg nawet najsilniejszych. Brak zaś najpotrzebniejszych środków do zwalczania chorób powodował, że epidemie rozszerzały się z błyskawiczną szybkością, pochłaniając setki ofiar dziennie. Władze obozowe nie starały się przeciwdziałać tym chorobom. W wypadku gdy choroby powstałe w obozie zaczęły trapić także funkcjonariuszy obozowych czy służbę wartowniczą lub gdy zachodziła obawa rozszerzenia się epidemii poza obóz, co mogłoby zagrażać również Niemcom, sanitarne władze niemieckie w porozumieniu z komendą obozu posyłały do gazu chorych więźniów, a nawet i polski personel lekarski czy sanitarny lub też zabijały zastrzykami fenolu bądź inaczej. Zapobiegając w ten sposób rozszerzaniu się epidemii, pozbywano się kłopotu z leczeniem chorych, odciążano kuchnię obozową, a co za tym idzie, gospodarkę aprowizacyjną państwa niemieckiego.

Więźniowie, jakkolwiek chodzili co dzień „ze śmiercią pod rękę", to jednak w obawie przed komorą gazową lub przed „zaszpilowaniem", choć trawieni chorobami, nie zgłaszali się do „szpitala". Ostatkiem sił wlekli się podtrzymywani przez kolegów zarówno na zbiórki apelowe, jak i do pracy. Najczęściej kończyło się to śmiercią przy łopacie czy taczkach lub zabiciem przez „kapo" za słabą wydajność w pracy. Przywożeni wieczorem przez swych kolegów na „rollwadze", po raz ostatni, leżąc w pokracznych pozycjach pod blokiem, brali udział w apelu.

Za pośrednictwem dróg łącznikowych i poprzez własne obserwacje posiadaliśmy dość dokładne informacje o katastrofalnej sytuacji w obozie. Liczby obrazujące śmiertelność więźniów dziennie przekraczały nasze wyobrażenia. Z danych, jakie posiadaliśmy, wydawało się, że oto teraz władze obozowe osiągnęły to, do czego dążyły od dawna z iście niemiecką pedanterią. Bo oto fabryka śmierci, którą budowali przez wiele miesięcy, obecnie daje już pełną „produkcję".

Każde słowo z listów, jakie otrzymywaliśmy w tym czasie od więźniów było kamieniem walącym w ludzkie serca. Toteż po ich przeczytaniu, mimo bardzo trudnych warun-

ków, w których pracowaliśmy, nigdy nie opadały nam ręce. Raczej ogarniała nas jeszcze większa zaciekłość w organizowaniu przeciwdziałania okrucieństwom dziejącym się w obozie. Bywało niekiedy, że zważywszy groźną sytuację w obozie, a także nasze możliwości i warunki, w jakich musieliśmy pracować, mieliśmy wątpliwości, czy zdołamy zaradzić w rozszerzaniu się chorób w obozie i znaleźć jakiś sposób skuteczniejszej pomocy w zakresie dostarczania do obozu lekarstw czy innych środków wzmacniających. Nie ustawaliśmy jednak w realizowaniu pomocy.

Jak wspomniałem, posiadanie zorganizowanych baz zaopatrzenia w środki pomocy miało dla wyników naszej pracy pierwszorzędne znaczenie wtedy, kiedy w obozie wybuchła jakaś epidemia. Że tak było w istocie, przekonywaliśmy się o tym kilkakrotnie w czasie naszej działalności pod obozem. Gdy w obozie wybuchała epidemia, wówczas cały aparat organizacyjny, tak polityczny Stronnictwa Ludowego, jak i wojskowy Batalionów Chłopskich stawał do pomocy grupie. Działając poprzez szeroko rozbudowane komórki organizacyjne ruchu ludowego pomagał w dostarczaniu potrzebnych lekarstw. Zarówno nasi ludzie, jak i osoby nie należące do żadnej konspiracyjnej organizacji stawały do pracy na nasz apel. Wtedy kto tylko mógł, uważał za swój święty obowiązek spieszyć z pomocą, na jaką go było stać. Z radością patrzyliśmy na ów przepiękny akt współdziałania tamtejszego społeczeństwa w walce z barbarzyństwem, jakie Niemcy wprowadzili w obozie.

Trzeba tu podkreślić, że ludzie, aby zdobyć lekarstwo, uciekali się nawet do symulowanej choroby. Na zdobytą w tak oryginalny sposób receptę wykupywali leki i przekazywali nam je dla „chudziaków" za drutami. — Weźcie — powiadali — to z serca, nam tego nie potrzeba, wszyscy zdrowi jesteśmy. To dla tamtych — pokazywali ręką w kierunku obozu. A ileż to razy stary doktor *Władysław Dziewoński* gderał żartobliwie, gdy wchodziłem do jego gabinetu: — Znowu przyszedłeś mnie naciągać. Przypomniałeś sobie starego *Dziewońskiego*, co? Nic nie dam, rozumiesz, nic. — Gdy starałem się na usprawiedliwienie coś powiedzieć, burczał jeszcze bardziej i groźniej ruszał wąsikami, a widać było, że rad jest wizycie. Nie przestając się dąsać, ocierając ukradkiem łzę starczą ręką i ruszając jeszcze mocniej wąsikami, aby ukryć wzruszenie, siadał za biurkiem, pisał recepty i już niby to udobruchany, mówił: Nie, nie mogę wam odmówić. Wiem przecież, dla kogo to.

Może w ten sposób dr *Dziewoński* uratował niejedno życie w obozie. Zawsze wybierał najlepsze leki. Nawet takie, które dla niemieckich cywilów były ograniczane.

Nieco inny, ale zawsze sprawie pomocy więźniom serdecznie oddany był dr *Sierankiewicz* z Brzeszcz. Rad był, gdy się weszło do jego gabinetu. Poznawszy przybysza, wiedział, po co ten przychodzi, toteż nie pytając go nawet, czego potrzebuje i utyskując na rozliczne trudności wypisywał recepty na różne środki wzmacniające, zawsze najpotrzebniejsze dla obozu. Wręczając receptę, wypowiadał jakieś słowo, które miało mieć moc dobrej wróżby.

Zmobilizowane siły całego aparatu organizacyjnego, poparte każdorazowo wspaniałym czynem społeczeństwa w zakresie zbierania leków, aczkolwiek w ilościach nie wystarczających, aby zaspokoić wszystkie potrzeby, pozwoliły nam jednak na gromadzenie takiego zasobu lekarstw, że mogliśmy je częściej wysyłać do obozu. Do przesyłek poza drogami łącznikowymi korzystano także z umówionych z góry miejsc czy to w zakładach ogrodniczo-warzywniczych w Rajsku, czy też gdzie indziej. Gdzie rano do pracy mieli przyjść więźniowie, tam nocą docierali nasi ludzie i podkładali lekarstwa i środki wzmacniające w takie miejsca, jakie łatwo były rozpoznawane przez więźniów, którzy z tych miejsc w umiejętny sposób wszystko zabierali. Sposobem korespondencyjnym ustalano też, gdzie następnym razem będzie można pozostawić coś, co trzeba było przenieść do obozu.

Nasze stałe łączniczki z obozem, *Helena Płotnicka* i *Władysława Kożusznikowa* w dzień i w nocy docierały do miejsc umówionych i składały tam co ważniejsze lekarstwa, które później więźniowie przetransportowywali do obozu i tam przekazywali organizacji obozowej.

Epidemia świerzbu szalejąca w latach 1941 i 1942 została poważnie złagodzona dzięki natychmiastowemu zorganizowaniu dostatecznie dużej ilości maści i innych leków przeciw tej przykrej chorobie. Ponieważ przetransportowanie środków płynnych zarówno pod obóz, jak i do obozu sprawiało duże trudności, przeto pewna część więźniów, dotknięta tą chorobą, dostawała się poprzez organizację w obozie do „komand" roboczych, które wychodziły do pracy poza obóz. Tam istniała możliwość korzystania z lekarstw przygotowanych nocą przez nasze łączniczki albo przez ludzi nie zorganizowanych, ale pomagających więźniom, a takich wokół obozu było wielu.

Duże trudności mieliśmy do pokonania przy zdobyciu odpowiednich składników do zrobienia maści przeciw świerzbowi. Za staraniem *Anny Szalbut* (pseudonim: *Rachela*) uzyskaliśmy potrzebne składniki w szpitalu w Cieszynie. Natychmiast dostarczyliśmy je do Kęt do magistra *Eustachego Sokalskiego*. Do sporządzenia maści dostarczyliśmy mu także smalcu, gdyż nie posiadał on odpowiedniej ilości wazeliny. Sporządzoną maść natychmiast przerzuciliśmy w pobliże obozu, a potem poza druty.

Także wszawica, z którą więźniowie prowadzili przez kilka miesięcy bezskuteczną walkę, została jeśli nie zlikwidowana, to przynajmniej złagodzona dzięki „zorganizowaniu" przez *Teresę Lasocką* z Krakowa dużej ilości *cuprexu*, przerzuconego natychmiast przez „zieloną granicę" pod obóz, a potem do obozu.

Latem 1941 roku zostaliśmy zaalarmowani

wybuchem czerwonki w obozie. Liczby zachorowań i zgonów były przerażająco wielkie. O lekarstwa przeciw tej chorobie było bardzo trudno. Władze obozowe „leczyły" chorych gazem lub fenolem wstrzykiwanym w serce czy innymi, równie „skutecznymi" środkami. Czyniliśmy wiele bezskutecznych starań, zanim niezmordowana *Rachela* dotarła aż do Bogumina i tam przy pomocy swojej znajomej, żony pewnego pastora ewangelickiego, zdobyła dużą ilość leków przeciw czerwonce. I tym razem także szpital w Cieszynie oddał nam duże usługi, odstępując pewne lekarstwa. Działo się to przy pomocy dwóch lekarzy-Ślązaków, znajomych *Racheli*.

Najwięcej trudności mieliśmy ze zdobywaniem lekarstw przeciw durowi brzusznemu i wysypkowemu. Wszelkie środki przeciw tym chorobom, a szczególnie przeciw durowi wysypkowemu, zarezerwowane były tylko dla żołnierzy i to przede wszystkim żołnierzy frontowych. Z tych przyczyn akcja nasza była bardzo utrudniona. Epidemie durowe pochłaniały więc najwięcej ofiar. Wprawdzie zakłady Bujwida w Krakowie produkowały ten cenny i tak bardzo przez nas pożądany lek, ale jak już wspomniałem, wytwarzano go tylko dla żołnierzy frontowych. Ale i ta przeszkoda nie była nie do pokonania. *Teresa Lasocka* i *Maria Hulewiczowa* utorowały sobie drogę do polskiego personelu pracującego w zakładach i przy jego pomocy zdobywały pokaźne ilości szczepionki przeciw durowi wysypkowemu. Polacy umieli zmylić czujność pilnujących ich Niemców. Z narażeniem własnego życia wynoszono poza zakłady całe serie szczepionek [1].

Opowiadała mi *Maria Hulewiczowa*, że pewnego razu, obładowana paczkami szczepionek, musiała przesiedzieć około trzech godzin zamknięta w szafie, gdy w zakładach odbywała się jakaś inspekcja niemiecka i w tym czasie nie było mowy o wydostaniu się poza obręb budynków zakładu.

Praca wokół obozu, choć bardzo trudna i ryzykowna, a mało efektowna, dawała nam dużo zadowolenia. W pracy tej nie obeszło się także bez cieni. Wiedzieliśmy, cośmy więźniom przekazali. Mało jednak wiedzieliśmy, czy więźniowie po otrzymaniu od nas na przykład lekarstw przeznaczają je zgodnie z naszymi wskazówkami. Więźniów, którzy odbierali od nas przesyłki, darzyliśmy zaufaniem i wierzyliśmy, że nas nie zawiodą i że wzięte na siebie bardzo trudne zadanie przemycania przesyłek na teren obozu wykonują rzetelnie, a wszystko to, co otrzymują od nas, oddadzą tym, dla których były przeznaczone.

Ciężko przeżywaliśmy wieści z obozu o rozstrzeliwaniach, „szpilowaniach", gazowaniu, o tych straszliwych cierpieniach, jakie codziennie przeżywali więźniowie, o bólu i męce kończącej się najczęściej okrutną śmiercią. Cięższym jednak przeżyciem były docierające do nas wieści, że wśród więźniów wytworzyła się grupa prominentów i spekulantów, którzy po przeniesieniu lekarstw do obozu uważali się za ich właścicieli i handlowali nimi. Wiedzieli oni wszyscy, że to, co otrzymywali od nas, zdobywaliśmy z ogromnym trudem, z narażeniem życia własnego i swoich bliskich.

Przedmiotem handlu stawały się przede wszystkim chinina, aspiryna, witaminy, a nawet zastrzyki. Handel odbywał się sposobem wymiennym, niesłychanie lichwiarskim. Za otrzymanie leku chory musiał płacić wysoką cenę: pajdkę chleba lub miskę obozowej zupy-lury, a więc pozbawiał się tego, co było podstawą jego życia. Wiadomości te początkowo bagatelizowaliśmy.

Większość ludzi w naszych ogniwach organizacyjnych stanowili członkowie Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici", skąd wynieśli głęboką wiarę w człowieka, dlatego nie mogliśmy uwierzyć, że ludzie, którzy przed umieszczeniem ich w obozie posiadali dużą kulturę i wysoką moralność, w tak krótkim czasie pozbyli się wszelkich hamulców moralnych i że tak szybko warunki życia obozowego doprowadziły ich do uprawiania czynów niegodziwych w stosunku do swych więziennych towarzyszy. Tacy więźniowie jednak byli w ogromnej mniejszości.

Równocześnie z wiadomościami o niegodziwym handlowaniu lekarstwami, wskutek czego nosiliśmy się z zamiarem zaprzestania naszej akcji, otrzymaliśmy rozpaczliwe wołania o pomoc i informacje o katastrofalnym stanie więźniów w obozie. Zaręczano nam przy tym, że sami więźniowie oczyszczą i uzdrowią stosunki nie tylko na drogach prowadzących do obozu, ale przede wszystkim w samym obozie uniemożliwią niegodziwcom uprawianie niecnego procederu.

Zawód był jednak gorzki. Wśród nas wytworzyła się atmosfera zdenerwowania. Toczyliśmy z sobą walkę, co robić. Jak postąpić w takim wypadku, gdy się otrzymuje wiadomość, że to co było dane z serca stało się przyczyną staczania się ludzi na dno zgnilizny. Wszyscy zgadzaliśmy się, że nam tego tolerować nie wolno. Stawaliśmy jednak wobec trudnego zagadnienia, jak temu przeciwdziałać.

Nad wytworzoną z tych przyczyn sytuacją długo debatowaliśmy na naszych wspólnych naradach: Stronnictwa Ludowego i Batalionów Chłopskich. Sprawę rozpatrywaliśmy pod różnymi kątami widzenia i doszliśmy do przekonania, że nie wolno nam pozbawiać pomocy ogromnej większości z powodu występków, jakich dopuszczały się nieliczne, wykolejone jednostki. Rozumowaliśmy mniej więcej w ten sposób, że dla chorego pastylka lekarstwa czy odrobina proszku może mieć większe znaczenie niż kromka chleba lub miska zupy-lury i że zdobyte nawet w ten sposób lekarstwo może mu uratować życie, a to właśnie było celem naszej pracy.

Aby uniemożliwić dalsze uprawianie handlu lekarstwami przez więźniów, przede wszystkim pozmienialiśmy ludzi, co do których gorz-

[1] Patrz *J. Mostowski:* Zakłady prof. Bujwida dla wyrobu surowic i szczepionek w Krakowie i ich współpraca z ruchem oporu i obozami koncentracyjnymi. Przegl. Lek., 1963, nr 1a, str. 135.

ko się zawiedliśmy i którzy okazali się niegodni sprawy, dla jakiej pracowaliśmy. Na ich miejsce przyszli nowi, którzy chętnie stawali na opuszczonych miejscach i współpracowali z nami. W taki sposób utrzymaliśmy akcję, aby nie ustała pomoc dla tych, którzy cierpieli i walczyli ze śmiercią. Tak więc zważywszy „za i przeciw", postanowiliśmy dołożyć wszelkich starań, by strumień leków do obozu stał się obfitszy.

W niedługim czasie potem zaczęły nadchodzić z obozu pokrzepiające wieści, że więźniowie, których warunki życia obozowego nie pozbawiły uczuć ludzkich, przy naszej pomocy podjęli walkę o wydźwignięcie się upadłych moralnie. Ci, w których tliła się choć iskierka człowieczeństwa, odzyskali równowagę i w wielu wypadkach stali się dla sprawy pomocy bardzo pożyteczni. U wielu więźniów dokonywała się głęboka przemiana. Specjalną odezwą potępiliśmy bardzo ostro niegodne zachowanie się więźniów-nadgorliwców, a tych wszystkich, którzy poddali się systemowi, wezwaliśmy do zawrócenia z niewłaściwej drogi; zagroziliśmy, że jeśli tego natychmiast nie uczynią, powiadomimy ich rodziny i bliskich o ich zachowaniu się w obozie, gdy zaś to nie pomoże, ogłosimy ich nazwiska w prasie konspiracyjnej. Na całkiem już straconych dla społeczeństwa więźniowie znajdowali jakieś inne sposoby, które uniemożliwiały upadłym i nie chcącym zawrócić ze złej drogi dalsze hańbienie godności Polaka.

Było to przeciwstawienie się systemowi, który władze obozowe celowo stwarzały, aby sami więźniowie nawzajem się wyniszczali. Po jakimś czasie z przyjemnością stwierdzaliśmy, że współżycie więźniów w obozie stawało się lepsze.

Trudno jest tu wyliczyć, ile i jakich lekarstw dostarczyliśmy do obozu. Na podstawie otrzymanych i do dziś zachowanych listów od więźniów możemy sobie wytworzyć pogląd, że w stosunku do liczby zachorowań i stopnia śmiertelności w obozie ilość dostarczonych leków była znikoma. Wszyscy jednak działaliśmy w konspiracji, a całość naszej akcji należy traktować jako symboliczną. Cóż bowiem mogły znaczyć te dziesiątki, a może nawet setki kilogramów dla leczenia setek tysięcy chorych. Mimo takiego rozrachunku, którego nie uważamy za krzywdzący, przekonani jesteśmy, że spełniliśmy nasz obywatelski obowiązek.

Niełatwa była praca pod obozem. Nie można jej nazwać partyzantką, bo nie przeprowadzaliśmy brawurowych szarż ani imponujących zaskoczeń. Niemniej jednak była to praca trudniejsza niż w oddziałach partyzanckich i w pracy tej nie wytrzymywali ludzie o słabych nerwach. Ci wszyscy, którzy trwali co dzień w pracy pod obozem, z konieczności musieli być świadkami wielu zbrodni, jakich dopuszczano się na przedpolach obozowych. Wielokrotnie wówczas, kiedy dokonywano potwornych mordów duszenia więźnia za pomocą styla od łopaty położonego na gardle i przechylania się zbrodniarza z jednej nogi na drugą, musieli, choć wzburzeni do głębi, siedzieć w ukryciu z zachowaniem spokoju i ostrożności.

Byli świadkami, jak w masowych grobach nad Wisłą ziemia ruszała się i pękała wskutek pęcznienia ludzkich ciał poukładanych kilkoma warstwami. Patrzyli, jak później za pomocą koparki wydobywano przegniłe już ciała ludzkie, które palono w specjalnie wykopanych dołach lub urządzeniach zbudowanych do tego celu, w rodzaju pochylni wysokiej na kilka metrów. Te olbrzymie pochodnie były przerażającym widowiskiem, widocznym z daleka. Szczególnie w nocy budziły grozę buchające języki płomieni. Widoki te długo pozostawały w pamięci i prześladowały nawet podczas snu.

A jednak, aby nieść pomoc więźniom, chodzili obok tych tak osobliwych widowisk. W dzień i w nocy patrzyli na dymiące kominy krematoriów i w wyobraźni widzieli tam siebie, palących się wespół z innymi trupami. Nieustannie czuli w ustach smak spalenizny ludzkich ciał. Bali się, przeżywając zwykły, ludzki strach. Gdy zaś ktoś został wyrwany spośród szeregów i dostał się w łapy gestapo, umiał milczeć. Nie „sypał" nikogo, lecz umierał po strasznych mękach, jak bohater. Szli na śmierć spokojnie. Nie błagali o łaskę, gdyż byli żołnierzami i za takich musi ich uznać historia, pomimo że nikt dotąd tej działalności nie określił jako formę walki zbrojnej. Ci, którzy zginęli za sprawę obozową, nie mają pomników, ale tak to już jest; żywi nie pamiętają, że dzięki umarłym żyją.

Tak jak każdy oddział w walce musi być przygotowany na poniesienie strat, tak i nasza grupa z tym liczyła się przez cały czas działalności. Byliśmy w tej ciężkiej sytuacji, że wykruszające się szeregi młodych i starych bojowników niełatwo było uzupełnić. Ubywających najczęściej zastępowali pozostali i w ten sposób łataliśmy dziury powstałe przez aresztowania, aby praca nie ustała. Pozostali, choć pracowali w dwójnasób, nie czuli zmęczenia, gdyż nigdy nie mieli na to czasu. Praca ich pędziła ciągle dalej i dalej. Pod obóz trzeba było wszystko nosić na własnych barkach. A bywało, że było co nosić. Strach podwajał ciężar, toteż praca stawała się coraz bardziej wyczerpująca. Uginali się pod ciężarem, ale nigdy nie odmawiali dźwigania. Uważali to za swój obowiązek. Taką była *Helena Płotnicka*, *Anna Szalbut*, *Maria Bobrzecka*. Takimi byli *Adam* i *Kazimierz Jędrzejowscy*, *Piotr Jarzyna* i wielu, wielu innych. Im i tym po drugiej stronie drutów kolczastych składam głęboki hołd za ich niezwykłe poświęcenie i bohaterstwo. Ich to także, choć symbolicznie, pragnę przybliżyć czytelnikowi.

Anna Szalbut-„Rachela" jako jedna z sześciorga dzieci wzrastała w wielkiej biedzie, w rodzinie chłopskiej, w Wiśle na Śląsku Cieszyńskim. Była mała, niepokaźna, trochę przygarbiona. „To od biedy, której od dzieciństwa miałam po same uszy. Siedziała mi na plecach,

aż je skrzywiła". Tak obrazowo przedstawiała swoje życie. Znano ją na Śląsku Cieszyńskim jako siostrę szpitalną *„Rachelę"*. Nie wiem, czy ciągła bieda, niedostatek, opiekowanie się młodszym rodzeństwem, czy też późniejsza praca szpitalna wpłynęły na ukształtowanie w niej wybitnie opiekuńczej postawy w stosunku do każdego potrzebującego pomocy lub cierpiącego człowieka. To opiekuńcze podejście do ludzi wyżłobiło nawet jakiś swoisty rys w jej twarzy. Gdy ktoś z nią dłużej przebywał, nie trudno mu było zauważyć w niej skłonność do pochylania się nad cierpiącymi.

Rachelę poznałem w roku 1941. Wskazała mi ją rodzina *Pawła Bobka*, znanego na Śląsku Cieszyńskim działacza ludowego, gdy poszukiwałem ukrytych materiałów zrzutowych. Przy jej pomocy, po długich i żmudnych poszukiwaniach udało się nam odnaleźć zrzutowe materiały w chwili, kiedy już straciliśmy nadzieję na ich odzyskanie. Dzięki niepokaźnemu wyglądowi udało się *Racheli* wynieść odnalezione materiały poza obręb strzeżony przez Niemców.

Po tym egzaminie zaproponowałem jej, aby wstąpiła do naszej grupy i zapoznałem ją z zadaniami, jakie wykonywałaby tu, na Śląsku, wśród swoich rodaków. Z wielkim przejęciem złożyła przysięgę żołnierza Batalionów Chłopskich. Była bardzo wrażliwa na ludzką niedolę. Od tego czasu pochłonięta jest całkowicie sprawą pomocy więźniom, zawsze gotowa do najcięższej pracy, zawsze uśmiechnięta, staje się ich siostrą-pielęgniarką. Z Cieszyna przyjeżdża na teren przyobozowy, by w opuszczonych stodołach czy innych zakonspirowanych miejscach, tuż pod samym obozem robić zastrzyki chorym więźniom, których cichaczem przyprowadzali ich współtowarzysze pracujący poza obozem.

Rachela podejmowała się różnych prac, bo różne były zadania grupy. Zachęcała swoje rodaczki, Ślązaczki, do masowego szycia rękawic i robienia skarpet dla więźniów, zbierała różne dary oraz datki pieniężne i w naturze na pomoc dla obozu. Jak pielgrzym-kwestarz chodziła po domach swoich licznych znajomych, zbierając ofiary na głodujących w obozie. Zebrane przez nią kwoty stanowiły bardzo pokaźne sumy, które w owym czasie były podstawą naszej działalności. Igrała z niebezpieczeństwem z uśmiechem na ustach. Jej sieroce życie było bardzo ciężkie, dlatego może nie ceniła go wcale.

Po „spaleniu" na Śląsku przebywała jakiś czas w Sosnowcu, potem w Oświęcimiu i w Osieku. Potem przeniosła się do Warszawy, gdzie pracowała jako łączniczka w Komendzie Głównej Batalionów Chłopskich. Tam jako *„Hela Wodecka"*, zajęta tyloma nowymi i różnorodnymi sprawami, nie zapomniała jednak o więźniach. W grudniu 1942 roku, przed samymi świętami Bożego Narodzenia, przyjechała pod obóz, pomagając mi przetransportować przez zieloną granicę dużą partię lekarstw przywiezioną pociągiem z Warszawy. Potem całe noce dzieliła je i pakowała w odpowiednio zestawione paczki, przygotowując je do przerzucenia na teren obozu. Na takich zajęciach upłynęła jej noc z 29 na 30 grudnia, ostatnia noc w jej życiu. Aresztowana wraz ze mną, próbowała ucieczki. Wyzyskała odpowiednią chwilę i błyskawicznie dopadła schodów, ale dosięgły ją strzały żandarmskiej broni. Oddała życie na placówce przyobozowej, jak gdyby tu właśnie wrócić musiała po śmierć.

Pamiętam, jak siedzieliśmy w lesie, w Dębowcu pod Cieszynem, w nocy, zmarznięci i zniechęceni beznadziejnym poszukiwaniem zrzutowych materiałów. Rozmawialiśmy także, co by kto z nas zrobił, gdyby go schwytało gestapo. *Rachela* zapewniała mnie, że nigdy nie da się wziąć żywcem. „Gdybym nie mogła uwolnić się inaczej, to sobie zębami żyły u rąk przegryzę" — zapewniała z takim wyrazem na twarzy, że nigdy nie miałem co do tego wątpliwości. Widać było, iż mówi szczerze.

Tak się też stało, że nie wzięli jej żywcem. *Rachela* zginęła na moich oczach. Było to 30 grudnia 1942 roku. Zakuty w kajdanki i strzeżony przez żandarma, nie mogłem jej przyjść z pomocą, ani nawet pochylić się nad nią, gdy leżała w kałuży krwi, by pożegnać ją chociaż spojrzeniem. Strach przed śmiercią nie wyrył na jej obliczu swego piętna. Niemieccy oprawcy zabrali zwłoki *Racheli* na furmankę i zawieźli do Oświęcimia, by wraz z innymi ofiarami hitlerowskiego bestialstwa spalić je w krematorium obozowym. Przez śmierć *Racheli* ubyła nam jedna z najodważniejszych łączniczek.

Helena Płotnicka, córka niezamożnego chłopa z Brzeszcz, wychowywała się w rodzinnym domu, w którym ze względu na powszechnie panujący niedostatek we wsi galicyjskiej nie miała wesołego dzieciństwa. Rosła i wychowywała się wśród takich samych zaniedbanych rówieśniczek, jak ona. Rodzice nie mieli czasu na to, by dzieciom poświęcać więcej czasu, jak tylko tyle, aby je nakarmić, gdy były małe. Później czynności te przejmowało jedno ze starszych z rodzeństwa. *Płotnicka* w swej młodości nie miała również czasu na czytanie książek czy chodzenie do szkoły. Musiała pracować od wczesnej młodości. Nie wiedziała, co to jest ojczyzna czy patriotyzm. W szkole coś niecoś uczyli ją o tym, ale ojczyzna ta nie dawała chleba. Później, gdy *Płotnicka* wyszła za mąż i została matką pięciorga dzieci, też nie miała czasu myśleć nad tym.

Była ładna, wysoka, szczupła. Bieda ją zahartowała, toteż była odporna i wytrzymała. Miała bujne, czarne włosy, oczy duże, czarne jak węgiel, o głębokim spojrzeniu. W czasie nerwowego napięcia oczy jej błyszczały jak rozżarzony węgiel. Wtedy wywierała na otoczeniu tak mocny wpływ, że nikt nie śmiał się jej sprzeciwić. Głos miała pewny, rozkazujący. Ruchy nieco nerwowe, ale pewne. Nie lubiła zawracać z drogi. Taką była do chwili powstania obozu. Żoną robotnika kopalnianego z Brzeszcz, mieszkanką Przecieszyna.

Gdy powstał obóz w Oświęcimiu, odległym o kilka kilometrów od Przecieszyna, *Płotnicka* od razu się zmieniła. Sama, z własnej woli zaczęła uszczuplać dzieciom, sobie i mężowi skromne i tak już racje żywnościowe, jakie otrzymywali na kartki. Zyskane w ten sposób kromki chleba wynosiła na przedpola obozowe. Czyniła to z jakąś pasją. W czynach jej, w rozmowie widać było, że opanował ją poryw niesienia pomocy więźniom. Cierpiała razem z nimi głód i poniewierkę. Dźwigała ciężary na plecach, nie czując zmęczenia. Spieszyła się, aby zdążyć na miejsce, gdzie mieli przyjść jej chłopcy w pasiakach. *Płotnicka* w swej pracy wokół obozu nie miała sobie równej. Silna fizycznie, odważna aż do szaleństwa, stała się niedościgniona w pracy.

Później, gdy pracy jej przybywało i sama już nie mogła udźwignąć na plecach darów dla więźniów, które uzyskiwała od sąsiadów i znajomych, porozumiała się z *Władysławą Kożusznikową,* również mieszkanką Przecieszyna i odtąd wspólnie, w ciemne i mgliste noce, modląc się ze strachu, chodziły obie jak duchy, pchane jakąś siłą, której się nie można było oprzeć. Ileż to razy, chcąc dojść do ogrodnictwa, które mieściło się na terenie Rajska, musiały iść przez pola, mijać stawy, przemykać się poza domami opustoszałymi po wysiedleniu ludności polskiej, przejść prawie przez całą wieś ze zjeżonym włosem na głowie, z nerwowymi przywidzeniami, patrząc przy tym na krwawą łunę unoszącą się nad Brzezinką, przesłoniętą mgłą, co potęgowało grozę. Przejęte strachem i przygniatane ciężarem, upadały z hałasem w miejscach, gdzie trzeba było zachować jak największą ciszę.

Zdarzało się, że gdy już doszły do ogrodnictwa, w żaden sposób nie mogły odnaleźć wskazanego im przez więźnia ustępu, który był umówionym miejscem, gdzie należało złożyć to, co przyniosły, a zabrać przygotowaną pocztę, pozostawioną przez więźniów. Bywało, że aby dojść do któregoś z umówionych domów czy stodół, stojących niedaleko ogrodnictwa, musiały czołgać się na czworakach, gdyż opodal, w gminnym domu, mieszkali esesmani, a cały dom był dookoła oświetlony silnym światłem elektrycznym i strzeżony przez psy. Wreszcie znalazły ustęp. Wtedy podzieliły swe role. Jedna pilnowała, druga wchodziła do ustępu. Odnalazłszy schowek, przeszukiwała go. I tak na przemian.

W swoich częściowo opublikowanych wspomnieniach *Władysława Kożusznikowa* pisze: „Każda z nas wolała podkładać niż pilnować. Na pilnowaniu strasznie się czas dłużył i trzeba było nerwy mocno trzymać na wodzach, zaś przy podkładaniu zawsze czasu było za mało i nie myślało się o niebezpieczeństwie, a tylko o tym, by wszystko dobrze załatwić. Pewnego razu, gdy *Hela* podkładała w ustępie żywność i lekarstwa, zabrawszy mały pakiecik wyszła z ustępu ze słowami: Jestem cała mokra. Widocznie zrobiło się jej słabo, bo oparła się o ścianę i milcząc patrzyła gdzieś w dal, trochę uśmiechnięta, jak gdyby zobaczyła coś przyjemnego. Wreszcie jestem szczęśliwa — wyszeptała w ciszy".

Gdy im się udało wszystko załatwić, jak sobie planowały, lekko z radością wracały do domu.

Pewnego razu, gdy podkładały spirytus dla potrzeb szpitala, spłoszone pojawieniem się esesmana niedaleko domu, w którym miały podłożyć to, co przyniosły, pobiegły do najbliższego domu, wyskoczyły po drabinie na strych, a następnie drabinę wciągnęły za sobą. *Kożusznikowa* przez nieostrożność upuściła flaszkę. Niemcy, zwabieni hałasem rozbitej butelki, stanęli w drzwiach sieni. „Leżymy na brzuchach i trzymamy mocno drabinę, by nie spadła do sieni. Nie da się opisać tego, cośmy wtedy przeżywały. Czułyśmy, jak chustki podnosiły się nam na głowach, tak nam włosy dęba stawały. Esesmani świecili latarkami i coś do siebie szeptem mówili. My, trzymając drabinę, modliłyśmy się gorąco. Nie pamiętam już, jakimi słowami, ale wiem, że ze łzami błagałam Boga o ratunek. Rozpacz nasza była straszna, kiedy jeden ze stojących przed domem gwizdnął. *Hela* kurczowo chwyciła mnie za rękę i szeptem przeszywającym serce, tyle w nim było bólu, powiedziała: *Włada,* nasze dzieci... I gorzko zapłakała ta twarda, jak stal, kobieta. Szczęściem, psy na nas nie szczekały, bo jak opowiadała *Płotnicka,* idąc do Rajska, smarowała się psim smalcem, by jej psy nie poszczuły".

„Bywały i takie sytuacje, kiedy gonione przez straże obozowe czy żandarmów rozdzielałyśmy się i każda uciekała w inną stronę. Raz po takim wypadku długo szukałam *Heli* i wreszcie znalazłam ją w kościele. Modliła się tak, że nawet nie zauważyła, gdy uklękłam obok niej. Nie przeszkadzałam jej. Po chwili ocknęła się. — Jesteś — powiedziała z wielką radością. — A ja myślałam, że już po tobie i modliłam się za ciebie".

„Nieraz po powrocie do domu wyglądała okropnie. Odzież na niej w strzępach, mokra, ubrudzona na rdzawo, pokaleczona, twarz spopielała, tylko te oczy, oczy *Heli,* głębokie jak nieskończoność, jarzyły się tak dobrze znanym mi blaskiem". Taką znalazła ją *Kożusznikowa* po powrocie do domu, kiedy uciekając na oślep przed goniącymi je esesmanami wpadła do stawu.

Opowiadali górnicy, że gdy wracali z pracy, często ją spotykali. Nagle wyrastała przed nimi jak spod ziemi i znikała, jakby się znowu zapadała pod ziemię lub rozwiewała w nicość wśród ciemnej nocy. Zdarzyło się raz, że uciekając przed ścigającym ją patrolem, wpadła do stawu, ażeby się ukryć w szuwarach. Gdy niebezpieczeństwo minęło i wychodziła z ukrycia, wyglądem swym i niespodziewanym pojawieniem się nad brzegiem stawu tak wystraszyła górników powracających z pracy, że przerażeni zaczęli przed nią uciekać. Śmiała się później, gdy przesądni górnicy opowiadali, że w stawie straszy i że można w nocy zobaczyć pokutującą tam kobietę „o błyszczących oczach".

Nadszedł dzień 19 maja 1943 roku, ostatni dzień wolności *Heleny Płotnickiej*. *Zosia Zdrowak*, która w tym dniu poszła z *Heleną* do żwirowni, aby tam w specjalnej skrzyni złożyć paczki dla więźniów i zabrać przygotowaną pocztę od nich, tak opowiada o tej ostatniej jej wyprawie z *Helą:*

„Gdy doszła na dobrze znane jej miejsce i oddała swe dary, zamiast oddalić się szybko, jak to zawsze czyniła, zatrzymała się, oparłszy się o drzewo, rozglądała się wokoło, jak gdyby tu każdy szczegół był dla niej nowością. Nieraz przecież, przywarta do tych zimnych kamieni, przeczekiwała długie chwile największych niebezpieczeństw. Gdy się ocknęła, widząc, że bacznie ją obserwuję, zawstydzona tłumaczyła się niewyspaniem".

Dopiero później *Zosia* zrozumiała, że podświadomie *Hela* chciała zabrać ze sobą widok drogich jej stron za druty, by móc żyć pięknem majowego ranka, nie widząc tych okropności, na które przyszło jej patrzeć przez wiele miesięcy i jakie sama musiała przejść po aresztowaniu. Uwięziono ją w tym dniu. Wkrótce poddano ją ciężkiemu śledztwu. Gestapowcy wykazali cały kunszt swych umiejętności wypracowanych przez lata, aby złamać *Helę*. Uderzenia bykowcem, zrywane paznokcie, gniecione sutki, głód, pozbawienie jej całkowicie snu — sprawiały straszliwy ból, ale nie załamały *Heli*. Milczała, nie przyznając się do stawianych jej zarzutów.

Z przyzwyczajenia już, gdy ją tylko przestali męczyć śledztwem, choć trzymana była w ciemnicy w bloku nr 11, nie zapominała o innych. Oczekując na śmierć, nie dbając jak dawniej o siebie, wyzyskiwała każdą okazję, by organizować pomoc i ulżyć doli innym. Są ludzie, którzy ratują siebie, gdy zwali się na nich nieszczęście, zapominają wtedy o innych lub łączą ze swoim nieszczęściem inne osoby, przekonani, że w ten sposób albo ocaleją, albo przynajmniej ulżą swej doli. *Płotnicka* zaś nie tylko nikogo nie zdradziła i nie złączyła ze swym nieszczęściem i ze swą sprawą, ale swym heroizmem nawet esesmanów wprawiła w podziw, co najprawdopodobniej wpłynęło na wydanie wyroku skazującego ją na pobyt w obozie. Otrzymała numer 65493. Po bliskorocznym pobycie w Brzezince padła ofiarą duru wysypkowego, a więc tej samej choroby, której przeciwdziałała, przenosząc pod obóz setki zastrzyków. Dla niej zastrzyków brakło. Zmarła 17 marca 1944 roku.

Zwłoki *Heleny Płotnickiej* wyniesiono, podobnie jak innych zmarłych tej nocy, pod ścianę rewirowego baraku, bez okrycia, według nakazu władz obozowych. Chcąc złożyć jej hołd za to, co robiła dla więźniów, *Maria Maniakówna, Zosia Gawronówna* i *Maria Babska*, najbliższe jej w obozie osoby, okryły jej ciało, obite do kości na plecach i głębokie, cuchnące rany na wychudłych pośladkach białym prześcieradłem, przypiąwszy do niego gałązkę zieleni jako symbol wdzięczności. Było to, jak na obozowe warunki, wyróżnienie niezwykłe. Nikt dotąd z tego miejsca w tak uroczystych szatach nie odchodził do krematorium. Było w tym coś tak osobliwego, że nawet Niemcy nie odważyli się obedrzeć jej zwłok z prześcieradła przybranego zielenią.

Kazimierz Jędrzejowski — „Kazek". Ojciec *Kazika*, bo tak go nazywaliśmy, był czynnym członkiem Stronnictwa Ludowego, toteż *Kazik* był od samej młodości wychowywany w duchu ideologii ruchu ludowego. W szkole był pilny i uczył się dobrze. Mimo prześladowań ze strony sanacyjnych nauczycieli *Kazik* otrzymywał dobre stopnie. Pilny, inteligentny, przy tym dziecinny, był lubiany w szkole przez niesanacyjnych nauczycieli i wspomagany przede wszystkim wtedy, kiedy inni chcieli go skrzywdzić, aby zemścić się na jego ojcu jako przeciwniku politycznym.

W 1940 r. ciotka zabrała go do Morawskiej Ostrawy. Tam wraz z krewnymi pracował w Witkowicach i uczył się zawodu ślusarskiego. Przełożonym jego był Niemiec. A że *Kazik* był pojętny i pracowity, wkradł się w łaski Niemca i było mu nawet nieźle, ponadto chętnie uczył się języka niemieckiego, w czym bardzo mu pomagał ów Niemiec. Wkrótce opanował język niemiecki tak dobrze, że nie znający go w rozmowie nie rozpoznawali w nim Polaka. *Kazik*, korzystając z dobroduszności swego szefa, wkrótce zawojował go do tego stopnia, że tenże, gdy *Kazik* stęskniony za rodzinnym domem wyrywał się z Ostrawy i nie wracał na czas do pracy, ukrywał jego nieobecność, chroniąc go w ten sposób przed umieszczeniem w obozie karnym.

W 1941 r. — w ramach zakrojonej na szeroką skalę akcji wysiedleńczej z terenów przyłączonych do Rzeszy — rodzinna miejscowość *Kazika*, Osiek, została również objęta wysiedleniami. Ojciec *Kazika* został wyrzucony ze swego gospodarstwa. *Kazik*, aby ojcu pomóc w utrzymaniu dość licznej rodziny, przywoził z Czech rozmaite materiały, które sprzedawano rodzinom polskim, pomagając w ten sposób w utrzymaniu rodziny.

Ojciec *Kazika* należał już wtedy do organizacji konspiracyjnej. A że był przewodniczącym trójki gminnej, otrzymywał prasę do kolportażu. *Kazik*, przyjeżdżając do ojca, zetknął się więc dość wcześnie z prasą konspiracyjną, której ojciec przed nim nie ukrywał. Uświadomiony przez ojca politycznie, rozumiał, co to znaczy utrata niepodległości, rozbudziła się w nim też głęboka miłość ojczyzny, a nienawiść do okupanta.

W połowie 1941 roku *Kazik* w świetlicy fabrycznej niezbyt nabożnie zachowywał się wobec wiszących portretów wodzów hitleryzmu. Ktoś zadenuncjował go do gestapo. Zawezwano majstra do kantorku, wypytywano go o *Kazika* i pytano, czy jest w pracy. Przekonawszy się, że chcą *Kazika*, którego lubił, aresztować, skłamał i powiedział, iż go dzisiaj nie ma. Po powrocie na miejsce ukrył *Kazika*, a później przeprowadził go poza obręb budynków fabrycznych jakimś bocznym wyjściem.

Kazik po tym zajściu spakował manatki i pieszo przez zieloną granicę przybył do

Grojca, gdzie po wysiedleniu mieszkał jego ojciec. Ukrywał się w obawie przed poszukiwaniem go u ojca, a że w drodze do domu pokaleczył nogi, musieliśmy go leczyć, gdyż jednej nodze groziła gangrena. Ukryty w stodole, chory, źle znosił samotność. Tęsknił za swobodą i jakimś działaniem. Rwał się do czynu. Ponieważ była to moja melina, w której przebywał, przeto spotykaliśmy się często. *Kazik* prosił mnie i ojca, żeby mu dać jakąś robotę, a gdyśmy mu odmawiali, oświadczył, że pójdzie sobie gdzie indziej i będzie pracował. Widząc taką jego postawę, ojciec zgodził się, aby mu powierzyć kolportaż prasy. Od samego początku z powierzonych mu zadań wywiązywał się ku naszemu zadowoleniu, toteż przyjęliśmy go do przyobozowej grupy. Miał wtedy zaledwie 17 lat.

Posiadał jakiś tajemny dar zjednywania sobie ludzi. Miał bardzo przyjemny dziecinny uśmiech, przez który przebijała się nieprzeciętna inteligencja, odwaga, a niekiedy zuchwałość. Był twardy jak stal. Jego odwaga zdumiewała wszystkich. W obliczu niebezpieczeństwa działał szybko i sprawnie jak stary, doświadczony konspirator. Nie znał wprost uczucia strachu.

Już na początku 1942 roku jeździł do Wiednia w celu przygotowania przerzutu skoczka rządu polskiego w Londynie do Szwajcarii. W pracy tej wykazał nieprzeciętne zdolności organizacyjne i inteligencję. Jego staraniem przerzut się udał i kurier szczęśliwie dotarł do Szwajcarii.

Ostatnie dni 1942 roku zapoczątkowały stojącej u szczytu organizacyjnego naszej grupie okres ciężkich strat. 30 grudnia zginęła od kuli żandarmskiej *Rachela*. Na początku stycznia 1943 roku umarł w obozie *Adam Jędrzejowski*, ojciec *Kazika*. W maju została aresztowana *Płotnicka*, która umarła w obozie 19 marca 1944 roku. Jesienią 1943 roku został złapany na granicy w czasie jej przechodzenia *Piotr Jarzyna*; osadzony w obozie, zginął pod koniec tegoż roku. 12 października 1943 roku zupełnie przypadkowo został aresztowany *Kazimierz Jędrzejowski*.

Po wstępnym przesłuchaniu w Osieku, jego rodzinnej wiosce, może byłby się wykaraskał z trudnej sytuacji, gdyż żandarmeria nie wiedziała, kogo ma w swoich rękach. *Kazik* działał bowiem od dawna pod obcym nazwiskiem, a ponieważ po wstępnej rewizji nie znaleziono przy nim nic kompromitującego oprócz kawałka słoniny, przeto żandarmi byli przekonani, że złapali paskarza, czemu *Kazik* nie zaprzeczał. Dopiero gdy przypadkowo ujawnił żandarmerii jego nazwisko jeden mieszkaniec Osieka, żandarmeria wiedziała już teraz, kogo udało się jej złowić. Po szczegółowej rewizji przy pomocy żyletek znaleziono przy *Kaziku* kompromitujące go materiały. Żandarmi przeprowadzili wstępne śledztwo, po czym przekazali go do dyspozycji gestapo w Bielsku, gdzie został poddany bardzo ciężkiemu śledztwu, trwającemu trzy miesiące. Na dodatek zupełnie bezpodstawnie został obciążony przez pewnego duchownego oskarżeniem, że za jego przyczyną konspiracyjne władze polskie przysyłają pisemne upomnienia tym Polakom w okolicy Oświęcimia, którzy utrzymywali zbyt przyjazne stosunki z Niemcami.

Po zakończeniu śledztwa w Bielsku przewieziono *Kazika* do Mysłowic do dyspozycji *Polizeistandgerichtu*. Tam bez paznokci u rąk i nóg, gdyż hitlerowscy oprawcy zdarli mu je w czasie śledztwa w Bielsku, poprzedzając tę operację wbijaniem rozpalonych szpilek za nie, nago, na mokrym, zimnym betonie, zwrócony twarzą do oślepiających reflektorów, w pozycji siedzącej lub leżącej, albo na odmianę stojącej, bez poruszenia, na komendę „baczność!" musiał trwać godzinami z otwartymi oczyma. Za najmniejsze uchybienie regulaminowe bito i karano słupkiem. Z ropiejących i niczym nie zabezpieczonych ran ciekła cuchnąca ropa, napełniając pomieszczenie nieznośnym fetorem.

Po kilku miesiącach pobytu w więzieniu i po przejściu tak straszliwych tortur ten dziewiętnastoletni chłopak o jeszcze dziecięcym wyrazie twarzy stał się siwiuteńkim staruszkiem. Nie przyznał się jednak do niczego i nikogo nie zdradził.

W jednym z grypsów przesłanych do mnie do Krakowa przez panią *Mikuśkiewiczową* (pseudonim: *Kowalka*) z Sosnowca, tak opisuje swoją tragedię:

„Wiele przeżyłem, wiele przecierpiałem, jeszcze do dziś paznokcie mi ropieją, boli i gnije całe ciało, ale nikogo nie wsypałem. Trudno już było nieraz wytrzymać, ale zaparłem się w sobie i wytrzymałem. Czyż mogłem kogo zdradzić? Raz chciałem skończyć z sobą, ale mnie odratowali".

Mimo że tak straszliwie cierpiał, nie narzekał na swój los. „Umiałem pracować, będę umiał i umrzeć, bądźcie o mnie spokojni".

Celina Baścik, która za pośrednictwem przekupionego strażnika widziała się z *Kazikiem*, gdy jechał wózkiem po pocztę w Mysłowicach, tak go określiła: „Ten chłopak o młodzieńczych oczach robił wrażenie staruszka, który niczego nie pragnie już na tym świecie. Dla niego skończyło się już życie. Zgarbił się, skulił, zmalał. Stał się siwiuteńki jak gołąbek. Z jego twarzy zniknął dziecinny, przymilający uśmiech, przygasły także błyszczące, szare oczy". Nic dziwnego, gestapowcy odebrali mu wszystko, co piękne, co można nazwać urokiem życia.

Był już u kresu sił, gdy go odnalazła *„Kowalka"* w *Ersatz-Polizei Gefängnis in Myslowitz*[2] wczesną wiosną 1944 roku i serdecznie się nim zaopiekowała. Z tej przyczyny nazwał ją *Kazik* z wdzięczności „najdroższą mamusią". Dzięki *„Kowalce"*, która przekupywała strażników, udało się jej stworzyć *Kazikowi* znośne warunki. Ona to przez przekupstwo wpłynęła na przyśpieszenie zakończenia śledztwa, przez co złagodzono w stosunku do niego postępowanie. Za jej staraniem dostał się do

[2] Więzienie zapasowe policji w Mysłowicach.

pracy, co miało bardzo ważne znaczenie dla jego starganych nerwów i co dodatnio wpłynęło na jego stan psychiczny. Jego praca polegała na tym, że jeździł do miasta po pocztę z dość ludzkim strażnikiem, który za pieniądze przymykał oczy na widzenia się *Kazika* ze znajomymi i kolegami z organizacji. Gdy po raz pierwszy spotkał się z *Kożusznikową* i *Celiną Baścik*, poznawszy je, uśmiechnął się do nich jak cierpiące dziecko, gdy zobaczy matkę. Obie kochały *Kazika*, toteż obie ten jego ostatni do nich uśmiech zawsze, jak żywy, mają przed oczyma i słyszą jego głos: „Pamiętajcie o mnie".

Pod opieką „*Kowalki*" i kolegów powoli przychodził do siebie. Nabierał sił, a że miał dar zjednywania sobie ludzi, szybko pozyskał sympatię otoczenia. Nawet starsi wiekiem więźniowie odnosili się do niego z szacunkiem i otaczali go opieką, na jaką stać ich było w warunkach więziennych. Jednak nie dane mu było doczekać się wolnej Polski, którą tak bardzo kochał i dla której tak wiele przecierpiał przez te ostatnie dni swego chłopięcego życia.

Pod koniec kwietnia 1944 roku przybył do Mysłowic aresztowany w lutym jeden z naszych ludzi. W czasie śledztwa nie wytrzymał bicia i tortur, między innymi obciążył także *Kazika*. Rozpoczęło się nowe śledztwo, jeszcze okrutniejsze katusze, bicie, słupek, wlewanie wody do nosa, beton, ciemnica, reflektory i inne gestapowskie sposoby w mysłowickim więzieniu. Teraz ten młody chłopak wiedział już, że jego sprawa jest beznadziejna. Postanowił jednak nie przyznawać się do zarzucanych mu czynów, a przede wszystkim nie zdradzić nikogo.

W ostatnich dniach kwietnia otrzymał wiadomość przez organizację więzienną, że będzie wywieziony z Mysłowic. Z toku śledztwa zorientował się, że będą to ostatnie dni jego życia. Posłał do „*Kowalki*" kilka pożegnalnych listów, w których prosił, aby robiła starania w celu uratowania go. Wierzył głęboko, że „*Kowalka*" dokona jakiegoś cudownego obrotu jego sprawą i potrafi go uratować. Żal mu było młodego życia. Jeszcze go nawet nie rozpoczął, bo nie było kiedy. Żałował matki, rodziny i tego, że nie dane mu jest doczekać wolności.

W ostatniej chwili przed wywiezieniem go do Oświęcimia napisał do „*Kowalki*" ostatni list. Z charakteru pisma nie trudno poznać, że ręka mu drżała. Nic dziwnego. Zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że trzyma w swych rękach po raz ostatni ołówek i że kreśli ostatnie w swym życiu litery. „Kochana Mamusiu. Donoszę Ci, że dziś, to jest 15. 5. wyjeżdżam z transportem do Oświęcimia. Kochana, za wszystko, co dla mnie uczyniłaś, jestem Ci bardzo wdzięczny i nie mam słów, którymi bym mógł Ci wyrazić ją. Złączyła nas wspólna dola i wspólny cel, a to jest Ojczyzna. Na jaki los jadę, nie orientuję się w ogóle, prawdopodobnie na jedenastkę lub komora, przyjmuję wszystko na zimno, bo wiem, za co. Nie rozpaczam, mimo że żal mi młodego życia i sił, jakie mógłbym oddać przyszłej Polsce. (...) cokolwiek mnie spotka, nie czuję żalu i nie żałuję niczego. Jak umiałem pracować, tak i teraz potrafię ponosić konsekwencje za swoje czyny. Dumny jestem, że mogę umrzeć w sprawie Ojczyzny i wolności ludu polskiego".

Prosi jednak „*Kowalkę*", by go ratowała. Ma do tej swojej drugiej matki bezgraniczne zaufanie.

Z Mysłowic wraz z innymi więźniami *Kazika* przewieziono do Oświęcimia, gdzie wraz ze *Stanisławem Biesem, Henrykiem Siutą* i profesorem *Imachem* został umieszczony w bloku nr 11. Tam szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostali się do celi, w której od kilku miesięcy siedział mój brat, *Franciszek* jako w tej celi najstarszy więzień. Poznawszy *Kazika*, zaopiekował się nim po ojcowsku. Brat mój był kolegą jego ojca.

W kilka dni po przybyciu do Oświęcimia, gdy więźniowie ci spożywali obiad, otwarły się drzwi celi, a w ich otworze stanął więzień, a obok niego esesman zwany „aniołem śmierci" z listą w ręku. Padały nazwiska, odstawiano miski z niedojedzoną lurą, spojrzeniem żegnano się na zawsze i wyczytany szybko wybiegał na korytarz i ustawiał się w kolejce.

Tak ustawieni więźniowie wchodzili do celi, w której za stołem zasiadał *Sondergericht*. Ten „sąd nadzwyczajny" odbywał komedię sprawiedliwości hitlerowskiej. Więzień, stanąwszy przed obliczem zbrodniarzy, wysłuchiwał odczytania z góry przygotowanego wyroku, a po jego odczytaniu był przez silnego draba wyrzucony z powrotem na korytarz, skąd inny oprawca wypychał go na dziedziniec bloku nr 11, gdzie skazany stawał znowu w kolejce. *Kazik* po wejściu do celi owego „anioła śmierci" zdążył jeszcze przed wywołaniem go pożegnać się z moim bratem. Po wywołaniu jego nazwiska, tak jak inni, stanął w kolejce.

Skazany na śmierć, stojąc na dziedzińcu obok *Stanisława Biesa*, zachowywał się spokojnie. Pocieszał jak mógł stojącą obok młodą dziewczynę, również skazaną na śmierć. Zajechało auto. Wyczytywano nazwiska. Wyczytanych ustawiono pod ścianą bloku nr 10, a później załadowano na samochód, który po załadowaniu skazanych odjechał w kierunku Brzezinki.

Stanisław Bies, skazany także na śmierć tego dnia, jakimś dziwnym przypadkiem nie został zabrany na samochód. On, *Jan Kupczak* z Sopotni Małej i *Jakubowski* z Zawiercia stali pod ścianą bloku nr 11 z tym przekonaniem, że za chwilę zostaną rozstrzelani. Z przyczyn nie wiadomych *Biesowi* do dzisiaj po pewnym czasie wyczekiwania zostali odprowadzeni na obóz. *Bies*, wiedząc, że został skazany na śmierć, wyczekiwał jej codziennie i nie wierzył, żeby mogła go ominąć. Oprócz *Biesa, Kupczaka* i *Jakubowskiego* wszyscy skazani tego dnia na śmierć zostali straceni w Brzezince.

„*Kowalka*", otrzymawszy ostatni list od *Kazika*, rozpoczęła usilne starania w jego spra-

wie, ale zanim się dowiedziała, gdzie się znajduje *Kazik*, nie żył już. Ten niespełna 19-letni starzec zginął dnia 26 maja 1944 roku w Oświęcimiu, zagazowany w jednym z krematoriów obozowych.

Piotr Jarzyna, pseudonim „*Jacek*", pochodził z Polanki Wielkiej koło Oświęcimia. Jako syn biednych rodziców, gdy tylko podrósł, poszedł szukać chleba poza granicami swej rodzinnej wsi. Za chlebem doszedł do Krakowa i tu założył rodzinę. W czasie okupacji mieszkał w Płaszowie, a ponieważ dokuczała mu bieda, chodził do krewnych do swej rodzinnej Polanki, skąd przynosił coś niecoś do jedzenia, a czasem nawet coś do sprzedania. Aby się dostać do Polanki, musiał się przekradać przez zieloną granicę. Chodził dość często, toteż znał wszystkie ścieżki polne od Spytkowic aż po Woźniki.

Gdy *Teresa Lasocka* zorganizowała na terenie Krakowa silną bazę zaopatrującą nas w lekarstwa, znajomość ścieżek na granicy okazała się niezmiernie pożyteczna pozyskanemu dla naszej pracy *Jarzynie*. Był on już w tym czasie człowiekiem niemłodym. Jako dziecko biednych rodziców był przyzwyczajony do trudów jak do codziennego rannego wstawania. Jeszcze dziś widzę jego postać, uginającą się pod ciężarami. Najczęściej używaliśmy go do przenoszenia worków z lekarstwami. Nosił je najchętniej na plecach. W zimie w ciężkich buciarach, a wiosną, latem i jesienią bosymi stopami, krokiem posuwistym, czujnym skradał się jak wielki kot przez pola i różne wertepy.

Trudno byłoby zliczyć, ile razy *Jarzyna* na swych długich, mocnych nogach przechodził w bród Skawę, nie zwracając uwagi na porę roku. Przez granicę bardzo często chodziliśmy razem. Był trochę przygłuchy i nieraz miałem z nim co nieco kłopotu. Ale lubiliśmy się bardzo. Byliśmy czasem zmęczeni bardzo, wskutek czego w nocy mieliśmy przywidzenia. Gdy leżąc na ziemi wahaliśmy się, co robić, podejmował wtedy decyzję: Wszystko jedno, idziemy! Tymi słowy przecinał wszelkie namysły przed powzięciem trudnej, ryzykownej nieraz decyzji. Po tych słowach podrywał się jak spracowany koń zawołaniem: „Wio, kary!". Poprawiał tylko worek na plecach i szedł bez wahania naprzód.

W przekradaniu się przez granicę dostrzegał wiele uroku. Wszelkie dramatyczne przygody, jakie mu w tych wędrówkach towarzyszyły, dawały mu dużo zadowolenia. Chętnie później z przechwałką opowiadał o nich, żądając ode mnie potwierdzenia ich. Często opowiadał, jak ciekawa i zajmująca jest gra, gdy dwóch starych lisów czyha na siebie i jeden drugiego usiłuje wykpić. Miał na myśli przemytnika i celnika.

Piotr Jarzyna uchodził za szczęściarza, urodzonego pod dobrą gwiazdą. Nie przypuszczał, a może nawet nie myślał o tym nigdy w czasie nocnych wędrówek z workiem na przygarbionych plecach, że jego gwiazda zgaśnie i że opuści go szczęście. Śmierci się nie bał, choć ona chodziła za nim tuż, tuż. „Co tam śmierć! — powiadał. — I tak się kiedyś umrzeć musi. Trochę by mi ta dziecisków było żal. I starej też — dodawał. — Lepiej o tym nie myśleć. Jak ma być, tak będzie. Nie ja ostatni..."

W lecie 1943 roku, przechodząc granicę jak zwykle z paczkami lekarstw, został schwytany na granicy i za nielegalne jej przekroczenie z dość dużą ilością szczepionek przeciw durowi wysypkowemu został skazany na obóz koncentracyjny. Osadzono go w Oświęcimiu. Po kilku dniach dostał się do pracy we Dworach przy budowie fabryki *Buna-Werke*. Znał tu wszystkie pola, bo Dwory, to sąsiednia wioska Polanki Wielkiej, jego rodzinnej wsi. *Jarzyna*, człowiek wolny, nie mógł pogodzić się ze swym losem i nie mógł znieść niewoli. Po kilku tygodniach uciekł z baraków z Monowic, gdzie przebywał, wrócił do Krakowa, ale po kilku tygodniach nie wytrzymał i poszedł do krewnych do Polanki. Miał pecha, wpadł ponownie. Celnicy rozpoznali go i przekazali władzom obozowym. Wrócił ponownie do Oświęcimia i tam pod koniec 1943 roku został zamordowany. Nie ominęła go śmierć w piecach krematoryjnych, która go tak przerażała, gdy z Polanki, oddalonej o kilka kilometrów od Oświęcimia, obserwował łuny nad Brzezinką.



Delegacja Centralnego Zarządu Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej z P. Łobanowem na czele zwiedza 24 kwietnia 1965 roku były obóz koncentracyjny Oświęcim-Brzezinka. (Z archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu).

STEFAN RZEŹNIK Kraków

Wykradzenie więźnia obozu w Oświęcimiu Tadeusza Orzelskiego ze Szpitala św. Łazarza w Krakowie (11.VI.1941 r.)

Inż. *Tadeusz Orzelski*, były dyrektor Wodociągów Miejskich w Krakowie, długoletni prezes Towarzystwa Sportowego „Wisła" w Krakowie, cieszył się dużą sympatią wśród robotników wodociągów, jak również wśród działaczy Związku Zawodowego Użyteczności Publicznej i działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej takich, jak *Mieczysław Bobrowski, Adam Bujas, Stanisław Cekiera, Józef Cyrankiewicz,* dr *Bolesław Drobner, Marcin Łachecki, Kazimierz Przybyś* i wielu innych. Dobrze znany jeszcze sprzed drugiej wojny światowej jako dyrektor Wodociągów Miejskich wykazał wiele umiejętności i uczciwość w postępowaniu i załatwianiu spraw robotniczych oraz kierowaniu przedsiębiorstwem ku zadowoleniu Zarządu miasta Krakowa, samych robotników i pracowników, którzy z wielką serdecznością mówili o nim „nasz dyrektor". Wiele mogłaby o nim jeszcze dziś powiedzieć dawniejsza młodzież sportowa T. S. „Wisła", jako o swym długoletnim prezesie i opiekunie młodzieży.

W chwili najtragiczniejszej, najazdu hitlerowskiego na nasz kraj, inż. *Tadeusz Orzelski* stał się jednym z pierwszych uczestników ruchu oporu. Nawiązał kontakt z PPS celem wspólnego działania przeciw okupantowi i na terenie jego zakładu pracy powstały ośrodki organizacyjne ruchu oporu PPS, a on sam wziął udział w kierownictwie ruchu oporu na terenie Krakowa już w styczniu 1940 roku.

Inż. *Orzelski* podjął się bardzo ciężkiej pracy w organizacji podziemnej, mianowicie uzyskiwania kontaktów z administracją niemiecką, gdyż władał poprawnie językiem niemieckim. Chodziło o uzyskiwanie legalnych paszportów służbowych, które służyły dla ludzi „spalonych" i kurierów organizacyjnych. Każdemu z nas współpracujących z inż. *Orzelskim* było wiadome, że takie kontakty i załatwianie spraw wśród Niemców musi się dla inż. *Orzelskiego* skończyć tragicznie. On sam również zdawał sobie z tego sprawę, że wcześniej czy później skończy się to dla niego katastrofą jego życia. Mimo to nigdy się nie wahał i zawsze wszelkie potrzebne dokumenty starał się zdobyć dla Polaków. Dzięki jego wysiłkom i jego poświęceniu organizacja ruchu oporu miała możliwość wysyłania swych kurierów na zachód dla łączności organizacyjnej w walce przeciw okupantowi.

Inż. *Orzelski*, załatwiając 10 paszportów dla organizacji, został pod koniec września 1940 roku aresztowany. W śledztwie przyznał się, że paszporty częściowo były przeznaczone dla jego przyjaciół, którzy nerwowo nie mogą wytrzymać i chcą wyjechać za granicę. Udało mu się w błąd wprowadzić Niemców, że robi to dla swych znajomych grzecznościowo, pozostał jednak pod podejrzeniem nielegalnego pośredniczenia dla uciekających i w listopadzie 1940 roku wysłano go do obozu w Oświęcimiu.

W czasie aresztowania inż. *Orzelskiego* organizacja PPS w Krakowie nie poczyniła żadnych zabezpieczeń, wierząc, że inż. *Orzelski*, jakkolwiek posiadał wiele wiadomości o organizacji i jej działaczach, wytrzyma nerwowo i nie zdradzi nikogo. Tak też się stało. Nikt nie został aresztowany i z tego powodu nie było w organizacji żadnych zmian. Wszystkie kontakty stare zostały utrzymane, inż. *Orzelski* nie powiedział w śledztwie jednego słowa o organizacji podziemnej.

Był on psychicznie przygotowany do swej działalności i to pomogło mu w okresie uwięzienia do przetrwania wielu ciężkich chwil. Gorzej było z jego siłami fizycznymi; już w pierwszych miesiącach pobytu w obozie rozchorował się wskutek braku pomocy z zewnątrz i słabego organizmu. Z braku odżywienia zapadł na ciężką awitaminozę i nie było widoków na jego uratowanie. Z pomocą przyszedł mu przypadek, który uratował mu życie, dzięki wykradzeniu go z rąk gestapo w Krakowie przez organizację PPS po przywiezieniu go z obozu w Oświęcimiu.

W kwietniu 1941 r., wskutek uwięzienia wielu ludzi utrzymujących kontakty organizacyjne, został aresztowany szef sztabu wojskowego na okręg krakowski *Jan Cichocki*, pseudonim „Kabat". Został on aresztowany w swoim lokalu organizacyjnym przy ul. Sławkowskiej 6, gdzie Niemcy urządzili w czasie aresztowania tzw. kocioł. Siedzieli tam przez kilka dni, zatrzymując wszystkich ludzi tam przychodzących, w sumie kilkadziesiąt osób. W tym czasie został również aresztowany sekretarz okręgowy PPS, tow. *Józef Cyrankiewicz* w dniu 19 kwietnia 1941 r. W dwa tygodnie później aresztowano znanego działacza ruchu oporu *Aleksandra Kamińskiego* (zmarł w obozie w Oświęcimiu pod koniec 1941 r.)

Z wiadomości, jakie organizacja nasza otrzymała z więzienia przy ul. Montelupich, wynikało (łącznikami naszymi wówczas byli pracujący tam robotnicy budowlani), że *Jan Cichocki* („Kabat") nie zdradził nikogo ze swoich podwładnych, jak również nikogo z działaczy politycznych. Zginął śmiercią bohaterską, zamęczony w Oświęcimiu („*Auschwitz-Birkenau*"). Niemcom jednak udało się wydobyć od jednej z łączniczek tej grupy wiele nowych

nazwisk, zdradziła ona bardzo wielu ludzi, w następstwie czego gestapo aresztowało wielu aktywnych działaczy ruchu oporu i ścigało wielu, którzy zdążyli się wcześniej ukryć. Jak później zdołano ustalić, jedna z łączniczek, chcąc bronić masakrowanego wówczas *Jana Cichockiego*, wskazała jako kierownika grupy inż. *Tadeusza Orzelskiego*, który już przebywał w obozie; rozumiała, że on już jest w obozie w Oświęcimiu i oskarżenie takie nie może mu więcej zaszkodzić. Po uzyskaniu tej wiadomości gestapo bezzwłocznie sprowadziło z Oświęcimia inż. *Orzelskiego*, licząc, że ów więzień rozwiąże im całą siatkę organizacyjną i że będą mogli aresztować wszystkich działaczy tej grupy.

Gestapo, przywożąc inż. *Orzelskiego* z Oświęcimia, miało na uwadze dwa względy: przeprowadzić konfrontację z aresztowanymi w lokalu przy ul. Sławkowskiej 6, z czego mogliby się czegoś więcej dowiedzieć, gdyż aresztowani mimo zastosowania tortur, wiele nie powiedzieli. Następnie udowodnić samemu inż. *Orzelskiemu*, że to on był tym pierwszym, który prowadził i organizował walkę z władzami niemieckimi w Polsce. Przy najmniejszym nawet przyznaniu się w czasie konfrontacji do znajomości z inż. *Orzelskim* groziła aresztowanym kara śmierci. Inż. *Orzelski* został przywieziony z Oświęcimia w dniu 12 maja 1941 r. Na szczęście dla niego samego był bardzo ciężko chory, z wysoką gorączką, w najwyższym stopniu zakażenia, z owrzodzeniami na całym ciele, a w szczególności na głowie i twarzy, z obrzękami. Niemcy bardzo wrażliwi na tego rodzaju choroby bali się do niego zbliżać. Z początku próbowali rozmawiać z nim na odległość, ale inż. *Orzelski* nie był w stanie prowadzić żadnych rozmów, wskutek czego skierowali go bezzwłocznie do szpitala na oddział skórny i oddali go do leczenia kierownikowi oddziału doktorowi *Oszastowi*.

Pierwszą osobą, która rozpoznała więźnia przywiezionego do szpitala, była p. *Nowakowska*, żona *Wacława Nowakowskiego*, artysty Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie. Ona to niezwłocznie powiadomiła żonę inż. *Orzelskiego*, p. *Janinę Orzelską*, że mąż jej został przywieziony do szpitala. Równocześnie wywiad organizacyjny otrzymał wiadomość i ustalił, że w szpitalu na oddziale skórnym znajduje się więzień przywieziony z Oświęcimia, dyrektor wodociągów *Tadeusz Orzelski*. Po otrzymaniu wiadomości, że inż. *Orzelski* został przywieziony z Oświęcimia, organizacja PPS postanowiła natychmiast skontaktować się z chorym celem poinformowania go, że zostanie wykradziony w ciągu kilku dni.

Dla nawiązania bezpośredniego kontaktu z chorym został wydelegowany ob. *Zygmunt Kłopotowski* do szpitala celem rozpoznania możliwości opracowania planu ucieczki chorego oraz w celu powiadomienia inż. *Orzelskiego* o planach organizacji wyrwania go z rąk gestapo. W pierwszym zetknięciu się z chorym, który był stale pod nadzorem policji, *Zygmunt Kłopotowski* usłyszał od niego ledwo dosłyszalne słowa: „Zostawcie mnie w spokoju, nie mam sił i nie wiem, czy przeżyję do jutra". Następne jego słowa były: „Oni wszystko wiedzą, nie pokazujcie się koło mnie, bo wszyscy wpadniecie".

Pomimo bardzo ciężkiego stanu chorego, kierownictwo organizacji zwróciło się bezpośrednio do doktora, obecnie profesora *Oszasta*, wówczas ordynatora oddziału, o opinię, jaki jest stan chorego, jaka jest nadzieja uratowania inż. *Orzelskiego* i jak długo musi trwać taki stan. Z prof. *Oszastem* przeprowadziła rozmowę żona inż. *Orzelskiego*, a on poinformował ją, że jakkolwiek stan chorego jest bardzo ciężki, to zrobi wszystko, aby go z tego wyciągnąć. Należy podkreślić, że dzięki wielkiej pomocy i opiece prof. *Oszasta* i dr *Plinty*, inż. *Orzelski* zaczął wracać szybko do zdrowia. Inż. *Orzelski* otrzymał już w pierwszych dniach zaraz po jego przywiezieniu do szpitala bezpośrednio od dr *Oszasta* wiele wiadomości przesłanych na jego ręce od żony i od organizacji. Wiadomości te dawały wiele nadziei inż. *Orzelskiemu* w jego ciężkiej chorobie na uwolnienie go z rąk gestapo.

Już w trzecim dniu pobytu inż. *Orzelskiego* w szpitalu po przeniesieniu go do odrębnej separatki pierwsza nawiązała z nim bezpośredni kontakt żona, p. *Janina Orzelska*, która otrzymawszy wiadomość od p. *Nowakowskiej*, pobiegła do szpitala i pomimo oporów ze strony granatowego policjanta, pilnującego chorego przy zamkniętych drzwiach separatki, weszła przemocą, oświadczając pilnującemu, że ma zezwolenie od władz niemieckich na widzenie się z ciężko chorym mężem.

Kiedy żonie inż. *Orzelskiego* udało się uzyskać chwilową rozmowę z chorym, weszło gestapo, legitymując, kto ona jest i co tutaj robi, następnie kto ją powiadomił o obecności w szpitalu męża. Przez wiele godzin była przesłuchiwana, skąd otrzymała wiadomość, że jej mąż jest w szpitalu. Pani *Orzelska* broniła się, utrzymując, iż dowiedziała się o tym przypadkowo od spotkanej na ulicy robotnicy, którą zna z widzenia, lecz nie zna jej nazwiska, ale bardzo często spotyka tę kobietę i będzie mogła zapytać ją o nazwisko. Wymieniona kobieta oświadczyła jej, że zna bardzo dobrze jej męża, że to dyrektor wodociągów miejskich i na pewno nie pomyliła się, widząc, jak go przywieźli do szpitala. Pani *Orzelska* na przesłuchaniu oświadczyła, że jeżeli im tak bardzo na tym zależy, to będzie się starać w niedługim czasie odszukać ową kobietę i następnie powie im, kto ona jest (oczywiście był to tylko pretekst ze strony p. *Orzelskiej*, która chciała uzyskać możliwość kontaktu z chorym mężem). Gestapo chętnie skorzystało z obietnic p. *Orzelskiej* i zezwoliło jej na legalne odwiedzanie męża, zaznaczając, że biorą od niej zobowiązanie natychmiastowego doniesienia, jak się nazywa owa kobieta, gdyż to może im ułatwić rozwiązanie śledztwa i zapewnili p. *Orzelską*, że nawet może to pomóc do uwolnienia inż. *Orzelskiego*, gdyż gestapo właściwie nie

ma do niego pretensji (były to obietnice zbyt naiwne dla Polaków walczących z krwawym okupantem).

W kilka dni po tych odwiedzinach przez żonę inż. *Orzelskiego* otrzymałem wiadomość przekazaną mi przez dra *Józefa Woźniakowskiego*, że pani *Orzelska* prosi o kontakt i rozmowę z przedstawicielem organizacji PPS, gdyż ma pewne wiadomości od męża. Spotkanie to zorganizował u siebie w domu dr *Józef Woźniakowski* i w jego obecności poznałem wówczas p. *Janinę Orzelską*. W rozmowie ze mną oświadczyła ona, że ma zezwolenie od gestapo na odwiedzanie chorego męża i że chodzi do niego codziennie, ale wydaje się jej, że jest obserwowana tak na terenie szpitala, jak i na zewnątrz niego. Dodała, że mąż jej czuje się trochę lepiej, jest już zupełnie przytomny i zgadza się, by jak najrychlej go wykraść, gdyż obawia się, że za kilka dni zabiorą go na Montelupich. Nic ze swej strony nie radzi, gdyż nie zna możliwości organizacyjnych, jak również nie jest w stanie sam opracować żadnych planów ucieczki.

Po uzyskaniu tych wiadomości poleciłem p. *Orzelskiej*, aby niezwłocznie przystąpiła do ewakuacji swego mieszkania, tzn. aby możliwie jak najszybciej wyniosła ze swego mieszkania wszystko, co przedstawia wartość materialną, jak również wartość historyczną. Następnie powiadomiłem ją, że dostanie do pomocy ludzi z organizacji, którzy w odpowiednich miejscach zabezpieczą wszystkie jej rzeczy. Musi to robić tak, by nie zwrócić uwagi w zakładzie pracy (mieszkała w wodociągach przy ul. Senatorskiej). Każda nieostrożność może całą sprawę zdradzić i wielu ludzi dodatkowo może znaleźć się w rękach gestapo.

Po około dwudziestu dniach otrzymaliśmy wiadomość od prof. *Oszasta*, że gestapo upomina się o chorego więźnia i żąda przyśpieszenia leczenia, toteż domyśla się on, że mogą przyjechać ze swoim lekarzem i zabrać więźnia w każdej chwili.

Tymczasem w Komitecie PPS w Krakowie zapadła decyzja, że inż. *Orzelskiego* należy wykraść bez względu na ewentualne ofiary organizacyjne. Po pierwsze samemu *Orzelskiemu* grozi śmierć. Następnie przy konfrontacji i metodach, jakie stosowało gestapo, na pewno zamęczą wielu ludzi. Organizacja wie, że łączniczka tej grupy, znajdująca się w rękach gestapo, będzie mówić wszystko i sama wypytywać o sprawy, które już zapomniała. Następnie określi funkcję każdego i również określi funkcję inż. *Orzelskiego*. Wykradzenie inż. *Orzelskiego* uratuje go od śmierci i tym samym utrudni dalsze śledztwo gestapo.

W tym czasie *Jan Cichocki* był masakrowany przez gestapo w sposób trudny do opisania. Przynoszono go na przesłuchania na prześcieradle, gdyż o własnych siłach już nie chodził. W tym czasie tow. *Cyrankiewicz* był trzymany w zupełnym odosobnieniu i katowany na równi ze współtowarzyszami, przez wiele tygodni głodzony. Pomimo to robotnicy budowlani, którzy pracowali przy remoncie całego więzienia, znaleźli do niego drogę i wiele cennych wiadomości organizacja otrzymała od niego, orientując się w przebiegu śledztwa całej grupy.

Organizacja PPS opracowała następujący plan ucieczki inż. *Orzelskiego*, stawiając następującą alternatywę: albo uda się przekupić granatową policję i przy jej pomocy inż. *Orzelski* zostanie wyprowadzony i ukryty, albo w wypadku odmowy zostanie on wykradziony przy pomocy uzbrojonych oddziałów PPS.

W celu przeprowadzenia rozmowy z granatową policją, tj. samym jej komendantem, *Erhardem*, wydelegowano ob. *Zygmunta Kłopotowskiego*. Udał się do niego niezwłocznie i otrzymał odpowiedź, że sam nic nie może pomóc, ani nawet doradzić, gdyż *Orzelskiego* ma w swoich rękach bezpośrednio gestapo, a opiekę nad nim pełni policja z komisariatu w Białym Domu przy ul. Lubicz pod bezpośrednim nadzorem gestapo z Montelupich. Jedyną radą, jaką dał, była informacja, że polski oficer, kpt. policji *Mandziuk*, kierownik wspomnianego komisariatu, z pochodzenia Ukrainiec, jest człowiekiem, którego można nastraszyć, ale nie należy próbować z nim rozmawiać o pieniądzach, gdyż to może wzbudzić u niego podejrzenie i wątpliwości i odnieść skutek odwrotny. A nawet może posunąć się do ostrzeżenia gestapo o zamiarach wykradzenia więźnia.

Do przeprowadzenia rozmowy z kpt. *Mandziukiem* wybrałem się osobiście. Towarzyszył mi, dla ewentualnej ochrony, kierownik oddziałów wojskowych PPS tow. *Marian Bomba*. Obaj udaliśmy się do Białego Domku przy ul. Lubicz. Według naszego pierwotnego planu miał się tam udać jeden z naszych aktywnych działaczy, ponieważ podczas tej rozmowy miała zapaść ostateczna decyzja, a wspomniany oficer policji granatowej, jak wiedzieliśmy, był człowiekiem dość trudnym, toteż niełatwo było z góry przewidzieć jego zachowanie się. Zrezygnowaliśmy więc z udziału naszego trzeciego towarzysza w tej akcji i do Białego Domku udałem się sam. Tow. *Marian Bomba* pozostał w korytarzu. Ja wszedłem do pierwszego pokoju, w którym zatrzymał mnie znajdujący się tam sierżant granatowej policji. Oświadczyłem mu, że przychodzę na osobiste wezwanie komendanta i tylko z nim chcę rozmawiać. Otrzymałem odpowiedź, że komendant wyszedł przed kilkunastoma minutami, przy czym dodał, że poszedł z oficerem gestapo i trudno powiedzieć, kiedy wróci.

Otrzymawszy tę wiadomość, wyszedłem z komisariatu i udaliśmy się z tow. *Marianem Bombą* do Ogrodu Strzeleckiego, gdzie usiedliśmy na ławce, oczekując powrotu wspomnianego kapitana. Nie czekaliśmy długo; po około 30 minutach zwróciłem uwagę, że do Białego Domku wchodzi oficer policji granatowej. Bez namysłu skierowałem się pospiesznie za nim. Tow. *Bomba* wszedł za mną i zatrzymał się najpierw w korytarzu, później zaś wyszedł na ulicę, starając się być jak najbli-

żej okien komisariatu, by w razie niebezpieczeństwa próbować zaskoczyć dyżurujących tam jeszcze dwóch granatowych policjantów.

Wszedłszy do środka, zapytałem dość zdecydowanie: „Wasz komendant już jest?", na co otrzymałem odpowiedź: „tak, ale muszę pana zameldować". Wówczas oświadczyłem, że to zbyteczne. Komendant czeka na mnie i meldowanie nie jest potrzebne. Wypowiadając te słowa, otworzyłem drzwi do pokoju komendanta i wszedłem do środka. Zamykając za sobą drzwi, szybko przekręciłem klucz, który tkwił wewnątrz. W tym momencie kapitan zdejmował płaszcz. Zwrócił jednak uwagę, że zamknąłem jego pokój. Spoważniał, lekko przybladł i zdenerwowanym głosem zapytał, co to ma znaczyć. Jak najbardziej spokojnie, z lekkim uśmiechem oświadczyłem, żeby się nie denerwował, gdyż nic mu nie grozi, jedynie chcę z nim przeprowadzić bardzo poufną rozmowę i nie chciałbym, by ktokolwiek nam przeszkadzał. Mimo mojego jeszcze wówczas bardzo spokojnego zachowania, kapitan ów ostrzegł mnie, domyślając się mego organizacyjnego pochodzenia, że bardzo często i o każdej porze dnia przychodzą do komisariatu gestapowcy w celu wydawania im poleceń wykonawczych i rozmów przy zamkniętych drzwiach nie można odbywać. Wówczas trochę lekceważąco zapytałem go, czy może mi powiedzieć, ilu gestapowców na raz przychodzi. Dowiedziałem się przy tym, że specjalny wyznaczony oficer gestapo często przychodzi do Białego Domku i ma tamtejszych „funkcjonariuszy" w opiece. Wówczas już trochę poważniej odpowiedziałem, aby się nie martwił, gdyż jeżeli to będzie jeden, a nawet kilku, to zaczekają w drugim pokoju, gdyż nie będą mogli wejść ani wyjść z komisariatu. Tym oświadczeniem dałem mu do zrozumienia, że nie jestem tak lekkomyślny, by przychodzić tutaj sam; powiedziałem dalej, że nie mamy zamiaru nikogo tutaj krzywdzić i liczę, że jeżeli opanuje swoje nerwy i wysłucha, o co mi chodzi, to sądzę, że wszystko zrozumie i nam pomoże.

Wiedząc, że ów oficer jest trochę bojaźliwy, zdecydowanie przystąpiłem do właściwej rozmowy. Bez żadnego specjalnego wstępu oświadczyłem, że przyszedłem do niego, wiedząc przedtem, kim on jest. Poinformowałem go, że mamy zamiar wykraść więźnia oświęcimskiego i on musi nam w tym pomóc. Kapitan, mocno zdenerwowany, wstał i oświadczył: „Pan ma na myśli *Orzelskiego,* to jest niemożliwe". Zdenerwowany, mówił podniesionym głosem: „Jak możecie ode mnie żądać pomocy, wiedząc, że wykonuję rozkazy władzy niemieckiej?" Oświadczyłem, że właśnie do niego przyszedłem, jako do polskiego oficera, gdyż jeszcze za takiego go uważam. Kapitan stał zdenerwowany, ja spokojnie siedziałem, bacznie obserwując jego każdy ruch. „Nie możecie żądać ode mnie czegoś, czego ja zrobić nie mogę, rzecz ta jest nie do wykonania". Na co z pełnym spokojem, ale już bardziej natarczywie oświadczyłem mu, że nie mam zamiaru narażać ani jego, ani jego rodziny i jeszcze raz go proszę, by spokojnie wysłuchał, co mu powiem. Nie wiem, jak się rozstaniemy, ale plan, który mu przedstawię, nie będzie dla niego niewykonalny. Nie pozwalając mu dalej na jego zdenerwowane wypowiedzi, oświadczyłem: wykradniemy inż. *Orzelskiego* przy jego pomocy lub siłą i sądzę, że może nam pomóc przez wskazanie człowieka, który będzie pilnował inż. *Orzelskiego.* W odpowiednim dniu sam go wyprowadzi, a my w zamian za to zabezpieczymy go i jego rodzinę do końca wojny.

Ponieważ było widać, że kapitan *Mandziuk* jest mocno zdenerwowany i niezdolny w tej chwili do żadnej decyzji, oświadczyłem mu, że z tego powodu oczekuję jego odpowiedzi za dwa dni, tj. we czwartek dnia 9 czerwca 1941 r. Tegoż dnia o godz. 15 będę czekał w budynku głównej poczty przy ul. Wielopole na trzecim piętrze. Wypowiadając tę propozycję, zwróciłem uwagę kapitana, że liczę na jego uczciwość, że tam przyjdzie, nawet z odpowiedzią negatywną. Jego pomoc ograniczy się jedynie do wyszukania odpowiedniego policjanta granatowego. Wychodząc, dodałem, że liczę też na jego dyskrecję i nie sądzę, by był aż tak lekkomyślny i chciał nam szkodzić. Od tej chwili chyba zdaje sobie sprawę, że jego los jest w rękach ludzi organizacji podziemnej, którzy są zdecydowani na wszystko. Kapitan zatrzymał mnie jeszcze, zapytując, który dzień przewidujemy na wykradzenie więźnia. Pytanie to było dla mnie zaskakujące, ale musiałem i na nie odpowiedzieć, gdyż chciałem i jemu pozwolić na zastanowienie się. Idąc na rozmowę, byłem świadomy, że mogę coś uzyskać lub może to dla wielu nas skończyć się katastrofą. Oświadczyłem wówczas, że musimy wykraść inż. *Orzelskiego* najdalej do 11 czerwca, tj. do soboty. Niedziela nam nie odpowiada, gdyż wówczas za dużo ludzi jest w szpitalu, których naraziłoby to na podejrzenie i aresztowania, a jesteśmy zdecydowani zabrać go nawet siłą przez uzbrojone oddziały.

Dnia 9 czerwca 1941 r. o godz. 15 przyszedł *Mandziuk* i oświadczył mi: „Proszę mi wierzyć, nie mam ludzi, którym mógłbym zawierzyć. Na ten dzień wyznaczyłem na służbę największego niedorajdę. Wiem, że nie ma rodziny. Proszę was bardzo, jeśli nie będzie stawiał wam oporu, nie zabijajcie tego człowieka, sądzę, że macie wiele innych środków, by go zmusić do milczenia, nie odbierając mu życia. Policjant ten jest człowiekiem bardzo ograniczonym i lękliwym, wystarczy pokazać mu pistolet, a zaniemówi na dłuższy czas". Na tym zakończyła się nasza rozmowa. Ów kapitan niewiele nam pomógł, ale również nie zaszkodził. Policjant granatowy nie zginął i żyje po dzień dzisiejszy; wówczas usnął, uśpiony sporządzonymi środkami, a inż. *Orzelski* przy pomocy siostry szpitala, *Anny Krawczyk,* zeszedł na parter, gdzie oczekiwał go tow. *Aleksander Jaworski,* który w przygotowane przedtem ubranie, przyniesione przez żonę, odział inż. *Orzelskiego.* Wyszli następnie przez ogród na tył szpitala, gdzie oczekiwał na nich

brat *Aleksandra Jaworskiego, Tadeusz.* Ten pomógł przejść choremu *Orzelskiemu* przez wyłamany płot, skąd udali się do najbliższego lokalu organizacyjnego przy ul. Prochowej 22. W dwie godziny później inż. *Orzelski* został przewieziony przez łączniczki, siostry *Zurawskie* i *Zygmunta Kłopotowskiego* nakrytą dorożką na ul. Skawińską 10, gdzie ukrywał się przez dalszych kilka dni.

Kiedy po wspomnianej rozmowie z kapitanem policji granatowej nie wyszło nic konkretnego dla wyprowadzenia inż. *Orzelskiego* przy pomocy policji granatowej, organizacja postanowiła wykraść go przy pomocy środków usypiających i jak już wspomniano, uśpić pilnującego go policjanta granatowego, przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności. Nastąpiła obserwacja przez dwa dni, jak się zachowują Niemcy kontrolujący pilnujących więźniów.

Ucieczkę wyznaczono na sobotę, gdyż według wiadomości uzyskanych od lekarzy ze szpitala gestapo wyznaczyło ostateczny dzień zabrania inż. *Orzelskiego* na poniedziałek w dniu 13 czerwca 1941 r. W tym wypadku pozostały zatem zaledwie dwa dni. Niedziela, jak już nadmieniłem, nie nadawała się na zorganizowanie ucieczki.

Zaraz po mojej drugiej rozmowie ze wspomnianym kapitanem policji granatowej na poczcie głównej udałem się wprost do mieszkania dr *Heleny Szlapak,* która pracowała w naszej organizacji, prosząc o dostarczenie środków nasennych możliwie jak najsilniejszych. Objaśniłem dr *Helenę Szlapak,* że chodzi o środki, które by nadawały się do zmieszania w jedzeniu, w płynie i jako domieszka do tytoniu. Nadmieniłem również, że chodzi nam o uśpienie strażnika-policjanta, pilnującego inż. *Orzelskiego* w szpitalu, ponieważ w ciągu dwóch dni musimy go wykraść. Środki takie otrzymałem od dr *Szlapak* w dniu następnym z odpowiednim pouczeniem, określającym dawkowanie do każdego rodzaju jedzenia i picia. Jedynie trudno było dr *Szlapak,* jak również i mnie, ustalić dawki do tytoniu. Otrzymane środki zmieszałem do kanapek, wina „Vermuth", czekolady oraz papierosów. Papierosy nieznacznie obciąłem, dzięki czemu były krótsze i tym oznaczone, by przypadkowo nie zaszła pomyłka przy paleniu ich przez inż. *Orzelskiego* i pilnującego go policjanta.

Całą przygotowaną przesyłkę zaniosła żona *Janina Orzelska* swemu mężowi, informując go, co sam ma spożywać, a co jest przeznaczone dla strażnika, z zaznaczeniem, że w wypadku zbytniego apetytu pilnującego go należy ograniczyć poczęstunek, gdyż dawki są dość silne i może się więcej nie obudzić. Ostrożność i służbistość owego strażnika, jak również jego dusza policjanta, jak się okazało, nastawiona na wywiązywanie się z obowiązków służbowych, na tyle nie była przekupna, że odmówił przyjęcia czegokolwiek, obawiając się widocznie kontroli gestapo. Inż. *Orzelski* widząc, że pilnujący go odmawia przyjęcia poczęstunku, a wyznaczona godzina ucieczki się zbliża, poprosił pilnującego o zawołanie siostry celem przygotowania mu kąpieli. Po kilku minutach, wychodząc na korytarz, by wejść do łazienki, zapalił papierosa i skierował papierosy częstując strażnika. W tym miejscu ostrożność tak ostrożnego zawiodła i wziął od razu nawet dwa papierosy. Jednego odpalił od palącego inż. *Orzelskiego,* a drugiego założył sobie za ucho. Inż. *Orzelski* wszedł do łazienki, a pilnujący go policjant usiadł na krześle obok łazienki. Po kilkunastu minutach inż. *Orzelski* usłyszał silny kaszel pilnującego go policjanta; nie rozbierając się, zaczekał chwilę i pod pozorem, że zapomniał ręcznika, wyszedł z łazienki widząc, że jego strażnik bardzo przyjemnie sobie chrapie. Bez zwłoki, o własnych siłach, poszedł w kierunku schodów i następnie do suteren, gdzie czekał na niego tow. *Aleksander Jaworski,* który pomógł mu się ubrać i jak już wspomniałem, przeprowadził go przez ogród. Następnie przeniesiony przez płot przy pomocy brata, *Tadeusza Jaworskiego,* został zaprowadzony na ul. Prochową 22 do tow. *Mieczysława Łabudy,* gdzie na więźnia oczekiwały *Zofia Żurowska* i *Wanda Żurowska* oraz żona inż. *Orzelskiego.* W dwie godziny później przewiózł go *Zygmunt Kłopotowski* na ul. Skawińską 10/7 do mieszkania *Anny Krajewskiej.* Przy przewiezieniu, jak już wspomniałem, brały również udział obie siostry *Żurowskie.*

Gdy śpiący policjant obudził się i stwierdził, że w łazience nie ma inż. *Orzelskiego,* jak również nie znalazł go w pokoju, w którym pacjent leżał, wszczął alarm i powiadomił gestapo o ucieczce więźnia. Wysiłki jego samego, jak również poszukiwania gestapo, które przybyło w ciągu kilku minut, były bezskuteczne. Więzień w tym czasie znajdował się już poza obrębem szpitala. Błędem gestapo, a szczęściem dla inż. *Orzelskiego* było to, że gestapo po przeszukaniu w obrębie szpitala rozpoczęło śledztwo, kto pomagał w ucieczce i zaczęło się przesłuchanie, zamiast, jak to czynili w późniejszym czasie, zamykanie całej dzielnicy, co by w tym wypadku musiało się skończyć dla uciekiniera tragicznie. To był również i nasz błąd organizacyjny, ale trudno nam było wszystko przewidzieć i zabezpieczyć ucieczkę inż. *Orzelskiego,* gdyż czasu już było za mało na przemyślenie i przygotowanie wszystkiego do końca.

Zaraz po stwierdzonej ucieczce gestapo aresztowało granatowego policjanta. Niemcy zabrali również do badania laboratoryjnego pozostawione jedzenie, wino i czekoladę oraz niedopalonego drugiego papierosa, który znaleźli na korytarzu. We wszystkich tych przedmiotach stwierdzili, że są zmieszane ze środkami nasennymi, i to prawdopodobnie usprawiedliwiło podejrzanych, że nic nie są winni w ucieczce, gdyż plan ucieczki udał się przez uśpienie, a nie pomoc kogoś z obsługi szpitala. Należy nadmienić, że specjalną opieką otoczyła więźnia siostra *Anna Krawczyk,* która była również pomocna w chwili jego ucieczki.

Jak później mieliśmy się możność dowiedzieć, wszyscy przesłuchiwani zostali zwolnieni przez gestapo. Policjanta granatowego trzymano kilkanaście dni widocznie za karę, że przyjął papierosa od więźnia.

Gestapo co prawda nie odizolowało dzielnicy w otoczeniu szpitala, ale już na drugi dzień zamknęło wszystkie drogi, wychodzące z Krakowa, oraz przeprowadzało bardzo ścisłą kontrolę wszystkich dworców kolejowych. Przez kilka dni zarządziło ostre pogotowie swojej policji oraz gestapo, chcąc za wszelką cenę złapać uciekiniera. Inż. *Orzelskiemu* o tyle groziło niebezpieczeństwo, że gestapo posiadało jego zdjęcie z obozu, jak również fotografię, którą zabrało mu w czasie pierwszego aresztowania w 1940 r. Nadto inż. *Orzelski* jeszcze wówczas zwracał na siebie uwagę zeszpeconą twarzą, gdyż nie był w pełni wyleczony.

W kilka dni potem Niemcy publicznie ogłosili nagrodę za wskazanie uciekiniera, a równocześnie zagrozili, że każdy, kto cokolwiek wie o nim, a nie doniesie władzom niemieckim, będzie surowo ukarany.

Gestapo, zamykając wszystkie drogi, by inż. *Orzelski* nie mógł wyjechać poza Kraków, zapomniało o jednej jeszcze drodze, którą organizacja wywiozła go bardzo bezpiecznie i spokojnie z Krakowa. Była to droga wodna, Wisła, którą inż. *Orzelski* został bezpiecznie przemycony z Krakowa. Gdy naradzaliśmy się, w jaki sposób wywieźć inż. *Orzelskiego,* bo zdawaliśmy sobie sprawę, że każdy, nawet błahy przypadek może spowodować, że wpadnie w ręce gestapo, poddałem projekt wywiezienia inż. *Orzelskiego* Wisłą w dół rzeki, a stamtąd po kilkudziesięciu kilometrach, etapami, koleją do Warszawy. Po sprawdzeniu na drugi dzień, jak Niemcy zachowują się wobec rybaków łowiących ryby i przy przejazdach łodziami rybackimi pod mostami, będąc sam wielkim miłośnikiem łowienia ryb, opracowałem szczegółowy plan przewiezienia *Orzelskiego* łodzią rybacką do Opatowca, a stamtąd samochodem do wsi Czechy obok Słomnik.

W piątek dnia 17 czerwca 1941 r. o godz. 3 rano, jak to bywa w zwyczaju zawodowych rybaków, wyjechaliśmy łodzią wypożyczoną od rybaków z Dębnik, ze wszystkimi urządzeniami do łowienia ryb, jak mała sieć, sufota oraz wanna rybacka. Łodzią tą podjechał po nas mój stary kolega, tow. *Józef Kosałka,* również rybak; ja i inż. *Orzelski,* przebrani za rybaków, popłynęliśmy najspokojniej, nie zatrzymywani przez nikogo, nawet pod mostami w Krakowie, gdyż żołnierze niemieccy pilnujący mostów byli przyzwyczajeni, że o tak wczesnej godzinie rybacy wyjeżdżali na swoje łowy rybackie. Wyjeżdżając, byliśmy zaopatrzeni w odpowiednie przepustki rybackie i w „kennkarty". Inż. *Orzelski* od tej chwili przyjął nazwisko Oremus, którym posługiwał się do końca wojny. Dla żony inż. *Orzelskiego* przygotowano samochód półciężarowy, pozorując wyjazd poza teren Krakowa po jarzyny. Sama p. *Orzelska,* odpowiednio ubrana i ucharakteryzowana na handlarkę, przewieziona drogą przez Mogiłę, Nowe Brzesko, Hebdów i Śmiłowice, została szczęśliwie dowieziona do Opatowca, gdzie spotkaliśmy się pod wieczór.

W Opatowcu pożegnaliśmy naszego kochanego rybaka, tow. *Józefa Kosałkę,* pozostawiając mu zmartwienie, mianowicie holowanie samemu łodzi przeszło 70 kilometrów z powrotem do Krakowa. Ja z inż. *Orzelskim* przesiedliśmy się na czekający na nas samochód razem z żoną inż. *Orzelskiego* i odjechaliśmy w kierunku Słomnik. Jakkolwiek samochód był wynajęty, to kierowcę, członka naszej organizacji, wtajemniczono zaledwie tyle, że ma jechać do Opatowca i o nic więcej nie pytać, ani wiele nie rozmawiać z niewiastą, którą wiezie.

Około dziewiątej wieczorem dojechaliśmy do wsi Czechy, tam pożegnaliśmy naszego drugiego towarzysza, a nieduży kawałek drogi doszliśmy już pieszo, by nie zwracać na siebie uwagi.

We wsi Czechy udaliśmy się do gospodarza ob. *Zbigniewa Kleszczyńskiego,* gdzie inż. *Orzelski* z żoną pozostał przez kilka dni, a mnie następnie podwieziono na stację do Słomnik i stąd udałem się pociągiem do Warszawy. Na drugi dzień po przyjeździe znalazłem odpowiednie pomieszczenie, tj. jeden pokój na „Kolonii Staszica", oświadczając wynajmującej mi, że przywiozę chorego, który przybywa do Warszawy na specjalne leczenie; nadmieniłem przy tym, że jest on z zawodu nauczycielem. Wynajmująca ucieszyła się bardzo, gdyż miała małe dzieci i widziała możliwość w nauce z jego strony.

Po powrocie do Krakowa na drugi dzień i po spotkaniu się z wieloma moimi towarzyszami niezwłocznie pojechałem do wsi Czechy i zabrałem inż. *Orzelskiego,* zawożąc go do Warszawy, do mieszkania przygotowanego na „Kolonii Staszica". Żona *Orzelskiego* przyjechała w dniu następnym sama.

Inż. *Tadeusz Orzelski* przeżył dalszy okres okupacji dość szczęśliwie, jakkolwiek był nieraz w wielkim niebezpieczeństwie. Utrzymywał nadal kontakty z organizacją, uczył młodzież na tajnych kompletach i następnie był łącznikiem na teren Warszawy, gdzie co dwa tygodnie mieliśmy możność spotykania się razem. Po sześciomiesięcznym pobycie w Warszawie przeniósł się do Międzylesia pod Warszawę, zamieszkał u rodziny *Grzybowskich* i tam przetrwał do końca wojny. W styczniu 1945 roku powrócił do Krakowa i objął z powrotem swoje stanowisko w Wodociągach Miejskich, gdzie był poprzednio dyrektorem. Zmarł w roku 1953.

Wykradzenie inż. *Orzelskiego* nie było dla organizacji sprawą trudną, jedynie trochę skomplikowaną. W warunkach konspiracyjnych trochę za dużo ludzi brało w tym udział, co było przeciwne zasadom przeprowadzanych akcji, w których ograniczało się udział i liczbę ludzi do minimum.

Ciężka choroba, jakiej nabawił się inż. *Orzelski* w obozie w Oświęcimiu, na pewno

skończyłaby się dla niego wkrótce śmiercią. W jego wypadku zdrada kobiety, która go wskazała jako tego, którego Niemcy uważali za pierwszego wśród aresztowanych przy ul. Sławkowskiej 6, była wybawieniem z piekła i przyczyną uratowania go. Inż. *Orzelskiemu* groziła śmierć również po przywiezieniu go w celu konfrontacji do Krakowa, gdyż gestapo uważało go za jednego z bardzo ważnych kierowników organizacji podziemnej. Wiadomości takie uzyskali od łączniczki, która go wskazała. Tak więc w tym jedynym przypadku zarówno jego ciężka choroba, jak również zdrada łączniczki przyczyniły się do jego uratowania.

Zamykając tę kartę wspomnień o wykradzeniu działacza, wielkiego patrioty, więźnia Oświęcimia z rąk oprawców gestapo, pragniemy podkreślić udział w tej akcji lekarzy, którzy w czasie okupacji nie szczędzili sił ani ofiary własnego życia i udzielali pomocy prześladowanemu przez terror hitlerowski bezbronnemu społeczeństwu, jak również żołnierzowi organizacji podziemnej, partyzantowi czy też uciekającemu więźniowi. Z pełną świadomością swego czynu lekarze udzielający takiej pomocy zdawali sobie sprawę, co ich czeka w wypadku zdrady, a wyrok dla nich był tylko jeden: „obóz", obóz śmierci, jakim był Oświęcim, z którego już przeważnie nikt nie wracał.

Lekarze i pracownicy służby zdrowia, którzy poświęcając się wielkiej sprawie nieśli pomoc społeczeństwu polskiemu i naszej podziemnej organizacji w czasie okupacji, to prof. dr *Julian Aleksandrowicz*, *Władysław Babraj*, dr *Henryk Biernacki*, *Stanisława Cebulakowa*, dr *Marian Ciećkiewicz*, dr *Józef Garbień*, prof. dr *Jan Glatzel*, dr *Feliks Kaczanowski*, dr *Czesław Kalitowski*, dyr. *Zygmunt Klemensiewicz*, dr *Jan Kowalczyk*, prof. dr *Janina Kowalczykowa*, dr *Janina Kościuszkowa*, *Karol Kropatsch*, dyr. *Krwawicz*, dr *Zygmunt Kulig*, dr *Janina Kuligowa*, dr *Stanisław Liwszyc*, dr *Elżbieta Liwszycowa*, prof. dr *Zbigniew Oszast*, dr *Zdzisław Plinta*, dr *Franciszek Pochopień*, *Stanisław Rospond*, prof. dr *Feliks Siedlecki*, prof. dr *Franciszek Ksawery Walter* oraz wielu innych, których nazwisk już nie pamiętam.

JAN ZIELINA
były więzień obozu dla wysiedlonych Polaków w Łodzi

Cieszyn

Dzieci z Lidic

Oprócz obozów koncentracyjnych hitlerowcy urządzili w Polsce specjalny obóz przejściowy, tzw. *Durchgangslager*. Obóz ten był właściwie olbrzymim targiem niewolników, nie różniącym się, a nawet gorszym od podobnych targów w starożytności i średniowieczu, znanych nam z powieści. Spędzano tu Polaków wysiedlonych z terenów przydzielonych do Wielkiej Rzeszy, tzn. ze Śląska, z Żywiecczyzny, z Poznańskiego i Łódzkiego. Rodzina musiała się spakować w ciągu kilku minut, przy czym pilnowano, aby nie została zabrana żadna wartościowa rzecz. Wysiedlonych kierowano na punkt zborny, skąd odchodziły transporty do obozu w Łodzi. Z Łodzi część transportowano dalej, do tzw. Generalnej Guberni, a część pozostawiano na miejscu, gdzie w pięciu opróżnionych fabrykach włókienniczych przydzielano wysiedlonym kawałek betonowej podłogi, niekiedy pokrytej słomą.

Wyżywienie było podobne jak w obozach koncentracyjnych, natomiast warunki sanitarne były gorsze. Wysiedleni przebywali tutaj tygodniami i miesiącami wspólnie w jednej sali: niemowlęta, małe dzieci, kobiety i mężczyźni. Tu rodziły kobiety i umierali ludzie, tu wybuchały konflikty. Walczono o wygodniejsze miejsce na podłodze, o kęs lepszej strawy. Wskutek tych warunków powstawały epidemie chorób zakaźnych, które powodowały dużą śmiertelność, zwłaszcza wśród dzieci. Do obozu przybywały komisje i przychodzili pojedynczy hitlerowcy, którzy robili przeglądy i wybierali niewolników do pracy, oddzielając często dzieci od rodziców, męża od żony. Zdolnych do pracy wywożono do Niemiec na roboty, słabszych wysyłano do Generalnej Guberni. Niektóre rodziny, szczególnie takie, które posiadały liczne potomstwo, zabierano do tzw. *Rassenamtu*, gdzie przeprowadzano dokładne badania lekarskie i pomiary. W razie dodatniego wyniku badań rodziny te były wysyłane w głąb Niemiec z przeznaczeniem na zniemczenie i poprawienie rasy germańskiej.

W 1942 r. rozpoczęto wysyłanie do gazu osób nieuleczalnie chorych i niezdolnych do pracy.

W lecie tegoż roku dostałem poufną wiadomość od współwięźniarki, pielęgniarki *Makowskiej*, że do lagru przybył transport czeskich dzieci. Umieszczono je w jednej z hal fabryki przy ulicy Gneisenau, izolując od reszty mieszkańców *lagru*. Poza pielęgniarką, siostrą *Makowską* zabroniono dzieciom jakiegokolwiek kontaktu z otoczeniem. Z pomocą siostry *Makowskiej* w tajemnicy przed Niemcami udało mi się jakoś do nich przedostać. W jednej z hal fabrycznych zastałem około 90 dzieci w wieku od kilku do kilkunastu lat. Stały w grupkach, trzymając się kurczowo za ręce. Młodsze tuliły się do starszych. Kilkoro najstarszych w wieku około 13—14 lat sprawowało opiekę nad pozostałymi. Starsze dziewczęta i chłopcy trzymali na rękach maleń-



Ryc. 1. Dzieci z Lidic zagazowane w Chełmnie

stwa, które ledwie mogły chodzić. Dzieci były w letnich ubrankach, brudne, niektóre zawalane moczem i kałem. Trzymały w rączkach małe węzełki, w których znajdował się cały ich majątek: kawałki chleba, drobne zabawki, lusterka itp. Były wystraszone, nie chciały z nami rozmawiać. Dopiero po pewnym czasie udało nam się im wytłumaczyć, że nie jesteśmy Niemcami i pragniemy im pomóc. Pierwszym zadaniem było oczyszczenie dzieci, czym zajęła się siostra *Makowska*. Następnie „zorganizowała" ona kilka łóżek ze słomą. Z kolei zajęliśmy się badaniem dzieci. Kilkanaścioro było chorych, gorączkujących. Stwierdziłem kilka biegunek, nieżytów górnych dróg oddechowych, angin i jeden czy dwa przypadki zapalenia płuc. Chore dzieci umieściliśmy w łóżkach.

Przez łączników powiadomiliśmy o dzieciach społeczeństwo polskie w Łodzi, które natychmiast przyszło z pomocą, dostarczając lekarstw, żywności, a nawet cukierków, oczywiście bez wiedzy Niemców. Pomocy dostarczyli między innymi: dr *Wyszogrodzki* oraz obywatele *Mojżyszek, Gębicki* i *Zwolanowski*.

Wkrótce do lagru przybyła dalsza grupa dzieci, przywieziona w zakrytych samochodach ciężarowych. Po zdobyciu zaufania dowiedzieliśmy się, że dzieci te pochodzą z Lidic i Leżaków [1]. Nie wiedziały, co się stało z rodzicami i ich domami. Siostra *Makowska*, ko-

[1] Wsie w Czechosłowacji, między Pragą a Kladnem.



Ryc. 2. Rozstrzelani mieszkańcy Lidic

rzystając z pomocy dzieci starszych i innych mieszkańców lagru, w tajemnicy przed hitlerowcami opiekowała się dziećmi i starała się poprawić ich trudne warunki. Dzięki niej dostałem się kilka razy do dzieci, które udało nam się utrzymać przy życiu.

Po pewnym czasie kilkoro dzieci wysłano do *Rassenamtu*, skąd już nie wróciły, po resztę zaś przyjechały znowu zakryte samochody ciężarowe, na które dzieci załadowano i wywieziono w nieznanym kierunku.

Dopiero po wojnie dowiedziałem się o tragedii Lidic oraz o tym, że dzieci zostały wywiezione do Chełmna i tam zatrute gazem.

Wioskę Lidice zamieszkiwała spokojna, przeważnie górnicza ludność. W pobliżu znajdowała się druga, mniejsza wioska: Leżaki. Obie te miejscowości stały się symbolem męczeństwa i walki narodu czeskiego podczas okupacji; są znane na całym świecie, a pisano o nich wielokrotnie. Hitlerowcy zemścili się na spokojnych mieszkańcach i niewinnych dzieciach i wyładowali tu całą swoją złość i bestialskie instynkty po zamachu na kata narodu czeskiego, *Reinharda Heydricha*[2]. W czerwcu 1942 roku otoczyli obie wioski, rozstrzelali wszystkich mężczyzn powyżej 14 lat na miejscu (ryc. 2), wytransportowali do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück kobiety powyżej 15. roku życia, dzieci zaś wysłali do obozu w Łodzi, a potem do gazu w Chełmnie (ryc. 1). Lidice i Leżaki zrównali z ziemią.

Byłem w Lidicach i Leżakach po wojnie. Oglądałem miejsca, gdzie znajdowały się te miejscowości. Pomiędzy łagodnymi wzgórzami leżą puste pola, porosłe trawą i polnymi kwiatami. Tylko kilka pozostałych fundamentów świadczy, że kiedyś stały tu domy. W miejscu Lidic stoi wysoki, samotny krzyż. Na sąsiednim wzgórzu zbudowano nowe Lidice. Jest to wspaniałe osiedle domków jednorodzinnych, z domem kultury, szkołą i ośrodkiem zdrowia. Hoduje się tu wszystkie gatunki róż, jakie istnieją na świecie, m. in. gatunek nazwany różą lidicką. Na wzgórzu zbudowano wielki pomnik, widoczny z daleka. Spotkałem tu ocalałe z obozu matki dzieci lidickich. Przyjęto nas jak kogoś najbliższego z rodziny. Spotkałem też dwie dziewczynki, które ocalały z pogromu, gdyż były zabrane w celu zniemczenia. Są to już mężatki, mające dzieci i niewiele pamiętają o koszmarnej przeszłości. Pozostałe przy życiu matki dzieci lidickich mają stale łzy w oczach i chłoną każdy najdrobniejszy szczegół z ostatnich chwil życia ich dzieci, którego byliśmy świadkami. Nie ma u tych kobiet nienawiści i chęci zemsty. Całe swoje życie poświęciły wychowaniu nowego pokolenia, szerzeniu przyjaźni wśród narodów i walce przeciwko wojnie. Są one najbliższymi przyjaciółmi Polski i propagatorami przyjaźni polsko-czeskiej. Wiedzą one, że w owym obozie w Łodzi zginęło kilkaset polskich dzieci. Znają i najlepiej rozumieją tragedię Warszawy, Zamojszczyzny i całego narodu polskiego.

Pamięć o czeskich dzieciach, które z rąk oprawców hitlerowskich zginęły na polskiej ziemi, musi być u nas zachowana. Dzieci te ginęły razem z naszymi dziećmi jedynie dlatego, że się urodziły Czechami i Polakami. Oddały one młode życie za wolność swoich narodów. Przelana krew pieczętuje wieczystą przyjaźń narodu czeskiego i polskiego.

[2] *Reinhard Heydrich*, ur. 7. III. 1904 r., od r. 1932 szef *Sicherheitsdienst (SD)*, od r. 1936 szef *Sicherheitspolizei (Sipo)* i *SD*, w latach 1939—1942 równocześnie szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy *(RSHA)*. *Heydrichowi* podlegały wszystkie obozy, wśród nich koncentracyjne. Był on jednym z głównych organizatorów masowych mordów przeciwników politycznych, Żydów i obywateli krajów okupowanych, m. in. kierował akcją tzw. *Endlösung der Judenfrage* („ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej"), czyli totalną eksterminacją Żydów w Europie. Jako jeden z najbardziej okrutnych i żądnych władzy przywódców hitlerowskich został w marcu 1942 roku wyznaczony zastępcą tzw. Protektora Czech i Moraw. Został zlikwidowany wskutek zamachu dokonanego 27. V. 1942 r. w Pradze przez czeski ruch oporu; zmarł z ran 4. VI. 1942 r. Hitlerowcy dokonali zniszczenia Lidic i Leżaków oraz eksterminacji ludności tych wsi pod pozorem, że przebywali tam uczestnicy zamachu na hitlerowskiego wielkorządcę *Heydricha* (przyp. red).

JERZY WŁOCZEWSKI Ursus

Ursus a powstanie warszawskie

Wspomnienia lekarza

Powstanie w Warszawie się rozpoczęło... Mieszkańcy Ursusa, miasta położonego 10 km od stolicy na skierniewickim szlaku kolejowym, obiektu przemysłowego ważnego ze względu na ogromną fabrykę, która w okresie okupacji produkowała czołgi, zostali wybuchem powstania żywo poruszeni.

Ursuskie organizacje podziemne czekały na rozkaz działania. Rozkaz wydano: w godzinach wieczornych wystąpić zbrojnie przeciw okupantowi. Dowództwo naszych oddziałów natychmiast przeprowadziło wywiad, który wykazał obecność czołgów, zamaskowanych na drogach wylotowych z Ursusa oraz wzmocnioną obsadę fabryki. Dowództwo sprawdziło z kolei zasób własnej broni i amunicji. Decyzja była niewątpliwa: nie wolno wystąpić zbrojnie, dość bezcelowych ofiar i daremnego przelewu krwi.

W takiej napiętej sytuacji minęły pierwsze

dwa dni powstania warszawskiego, pełne entuzjazmu i rodzących się wątpliwości. Nad Warszawą zaczęły się snuć, a potem buchać pierwsze dymy, nocą widoczne były łuny, a do Ursusa docierały detonacje. Już napływały pierwsze grupy wysiedlonych mieszkańców stolicy, a wkrótce potem pierwsi ranni. Szli pieszo z nędznymi tobołkami, z dziećmi na plecach i na wózkach, przeważnie starcy i kobiety. Podówczas nie stosowano jeszcze segregacji, raczej masowo wypędzano ludzi z granic miasta. Szli oni przed siebie. Wielu spośród nich przygarnął Ursus. Powstał wówczas projekt, aby znękanym, bezdomnym warszawiakom zapewnić dach nad głową w Ursusie, dać łyżkę strawy, objąć ich opieką lekarską.

Ponieważ szczupłe pomieszczenie ośrodka nie wystarczało, trzeba było założyć szpital. Dzięki energii i obywatelskiej postawie ówczesnego wójta *Godurkiewicza* otrzymaliśmy do dyspozycji cały dom w sąsiedztwie ośrodka zdrowia. Przyjęliśmy gotowy, tajnie przeszkolony zespół pielęgniarek z siostrą przełożoną, *Marią Sianożęcką* na czele. Pierwsze ich funkcje — to mycie podłóg, okien, zdobywanie łóżek, materaców, pościeli, naczyń.

Trudno określić słowami ofiarność, a w wielu przypadkach poświęcenie ursuskiego społeczeństwa. Dość powiedzieć, że w ciągu dwóch dni szpital był gotów na przyjęcie pacjentów. Dziwny to szpital: przyjmował rannych, chorych zakaźnie, dzieci, starców, słowem — wszystkich wymagających stałej opieki lekarskiej. Jednocześnie zaś rozwijał swą działalność ośrodek zdrowia.

Po upływie kilkunastu dni od wybuchu powstania zgłosili się do pracy dwaj lekarze: dr *Maria Jeleniewska* (ginekolog) i dr *Józef Bogusz* (chirurg) oraz pielęgniarka *Krystyna Rychter*, którzy cudem wprost uszli z Ochoty, gdzie prowadzili powstańczy punkt sanitarny, poprzez makabryczny „Zieleniak". Nieco później zgłosił się dr *Edward Otto* (internista). Powstały więc trzy ambulatoria według specjalności tych lekarzy, a ponadto dr *Władysława Włoczewska* prowadziła — w rozmiarach znacznie poszerzonych — poradnię dla dzieci. Siostra *Helena Burkot* bez przerwy czuwała nad całością, dbała o zaopatrzenie, pomagała wszystkim lekarzom, nie zwracając uwagi na porę dnia. Ośrodek zdrowia pracował od rana do wieczora.

Fundusze na prowadzenie ośrodka zdrowia i szpitala otrzymywaliśmy z miejscowej placówki Rady Głównej Opiekuńczej. Jej prezes, *Marian Mazuś*, pełen ofiarności, nie szczędził nam pomocy i wysiłków. Pomagała nam również finansowo kasa gminna. A potrzeby rosły z każdym dniem. Co dzień przybywali wysiedleni, zatrzymując się w Ursusie. Miejscowi ogrodnicy dostarczali warzyw, owoców, a RGO — tłuszczu i mięsa.

Liczba 40 łóżek szpitalnych okazała się za mała, powstała więc filia szpitala w drugim domu, gdzie założyliśmy oddział położniczo-ginekologiczny (około 20 łóżek), prowadzony przez dr *Balkiewicza*, lekarza-ginekologa, któremu również los pozwolił ujść ze stolicy.

Zorganizowanie na skromnej bazie dotychczasowego ośrodka zdrowia szerzej działającej polikliniki, która udzielała około 150 porad dziennie, założenie od podstaw szpitala i jego filii, zwerbowanie personelu pielęgniarskiego liczącego przeszło 20 osób, dostarczanie żywności oraz leków i materiałów opatrunkowych w przyfrontowych warunkach — to były zadania niełatwe. Dopiero z perspektywy czasu można ocenić, na jak wielką ofiarność, bohaterstwo i dobrą wolę zdobyło się społeczeństwo. Bez tego nie mogłyby powstać i funkcjonować opisane placówki.

Ze strony władz niemieckich nie spotykaliśmy się z zasadniczymi trudnościami, głównie dzięki wielokrotnym interwencjom i pośrednictwu wspomnianego już wójta, *Władysława Godurkiewicza*. Jego wspaniała postawa patriotyczna, nieugięta wola i wytrwałość w dążeniu do celu, a jednocześnie umiejętność postępowania z władzami niemieckimi sprawiły, że wymienione placówki mogliśmy stworzyć, prowadzić i rozwijać. Dzięki jego staraniom uzyskaliśmy zezwolenie na przywiezienie ze zniszczonego Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie łóżek, pościeli, narzędzi oraz aparatu Roentgena. Innym razem *Godurkiewicz* wyjednał nam zezwolenie na podobny „szaber" z fabryki „Ursus", w której — po zlikwidowaniu przejściowego obozu — Niemcy zorganizowali składnicę przedmiotów zrabowanych w stolicy. Oprócz tego mieliśmy transporty leków z Krakowa dzięki dwom ofiarnym i odważnym osobom: *Marii Dębskiej* i *A. Erdman*. Tak więc dysponowaliśmy dość dużym zapasem leków i materiałów opatrunkowych w okresie rozwoju naszych placówek, a w pierwszych dniach korzystaliśmy z zapasu skrzętnie gromadzonego przez cały czas okupacji. Wydatną pomocą i współpracą wspierała nas stale apteka miejscowa magistra *Edmunda Szyszki*.

Jakkolwiek do szpitala przyjmowaliśmy wszelkiego rodzaju chorych, to jednak trzonem tej placówki był oddział chirurgiczny. Przy pomocy dr *Bogusza* uruchomiliśmy salę operacyjną. Operacje wykonywane były na zwykłym, długim i wąskim stole, często przy świetle lamp naftowych i świec. W takich warunkach wykonywano nawet poważne zabiegi na jamie brzusznej, amputacje kończyn, usuwano pociski. Oprócz zajęć w szpitalu kierownik oddziału chirurgicznego prowadził również ambulatorium chirurgiczne w ośrodku zdrowia, szkolił pielęgniarki, umiał pocieszać innych w chwilach upadku ducha.

Duże trudności mieliśmy z chorobami zakaźnymi. Budynek był bez wody i bez kanalizacji. Żywo stają mi w pamięci chorzy na dur brzuszny, wśród których niestety była duża śmiertelność z powodu komplikacji otrzewnowych, tudzież chorzy na czerwonkę, których męczarnie przy częstych i krwawych wypróżnieniach, przy ogromnym owrzodzeniu — często również kończyły się śmiercią. Niestety, prócz sa-

lolu i tanalbiny nie mieliśmy innych środków do leczenia tych chorych.

Szpital istniał w okresie od 2 sierpnia 1944 roku do 30 marca 1945 roku.

Innym rozdziałem w naszej historii z tego okresu jest wspomniany już obóz w Ursusie. Jak wiadomo, Niemcy wysiedlając ludność z Warszawy, stworzyli obóz przejściowy w Pruszkowie. Jednak nasilenie akcji wymagało stworzenia drugiego obozu w Ursusie, na terenie fabryki. Wiedząc o tym, zawczasu zwróciliśmy się do władz niemieckich o pozwolenie na zorganizowanie przez nas pomocy lekarskiej w tym obozie. Pozwolenie takie otrzymaliśmy. Uruchomiliśmy punkty sanitarne oraz specjalną kuchnię mleczną dla dzieci, przy czym lekarka-pediatra niosła dzieciom pomoc lekarską. Do pracy stanęli wówczas: prof. dr *Mściwoj Semerau-Siemianowski* i prof. dr *Orzelski*, nie żyjący już dzisiaj, oraz dr *Wojciechowski* i inni. Zorganizowane punkty sanitarne nie tylko niosły pomoc lekarską, lecz także pomagały w wielu wypadkach wydostać się z obozu.

Kończąc tę krótką relację, pragnę z prawdziwym wzruszeniem podziękować wszystkim, którzy wspierali wówczas moje działanie jako kierownika służby zdrowia w tych trudnych, ciężkich i ponurych chwilach. Zdali oni egzamin ofiarności i poświęcenia celująco.

HELENA RAWSKA

Ursus

Ze wspomnień okupacyjnych pielęgniarki z Ursusa

Trudno jest odtworzyć z pamięci fakty i wydarzenia sprzed 21 i więcej lat. Na pewno ta moja relacja nie w pełni jest ścisła i wyczerpująca, chcę jednak opisać swoje dzieje pielęgnarskie w Ursusie w okresie okupacji tak, jak mi się utrwaliły w pamięci.

W 1939 r. działania wrześniowe zaskoczyły nas całkowicie. Wprawdzie od kilku miesięcy były organizowane kursy terenowej obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej, których część sanitarną prowadził dr *Jerzy Włoczewski*, lecz potem, w pierwszych dniach września, w szpitalu polowym zorganizowanym przez jego żonę, lekarza-pediatrę *Władysławę Włoczewską* i farmaceutkę *Janinę Bredschneider* na terenie szkoły podstawowej w Ursusie niewiele kursistek zgłosiło się do pracy pielęgniarskiej. Przeważnie były to pielęgniarki „z bożej łaski", które nie mogły usiedzieć bezczynnie w swoich domach, wsłuchując się tylko w huk dział niemieckich, strzelających na broniącą się Warszawę. Z tego czasu zostało mi w pamięci tylko parę nazwisk osób opiekujących się chorymi. Były to panie *Wisia Darek, Gwiazdowa, Janina Kęsicka, Morawska, Mroczkiewicz, Halina Nackiewicz, Leokadia Sander, Józefa Szymanowska* i położna *Ksawera Wysicka*.

Napływ rannych był bardzo duży, a nasze możliwości niewielkie. W opróżnionych klasach szkolnych ułożono pod ścianami słomę, robiąc pośrodku przejście z desek i tam układano rannych przywiezionych świeżo z pola bitwy. Przeważnie trafiali do nas ranni z walk pod Błoniem i Ożarowem, a potem z przedmieść Woli i Ochoty. Ranni byli segregowani przez dr *Włoczewską*, opatrywani i w miarę możności przenoszeni do sali, w której były już łóżka i warunki podobne do szpitalnych. Pamiętam, jak na wieść o zorganizowaniu w szkole szpitala przychodzili do nas mieszkańcy Ursusa, ofiarowując co kto mógł z pościeli, bielizny i żywności. Któregoś dnia jedna z pań przyniosła nawet garnek ugotowanego rosołu z kurą dla ciężko chorych. Okoliczni gospodarze dostarczali żywności, a właściciel apteki, mgr *Edmund Szyszko* dawał bezpłatnie wszystkie potrzebne leki. Dzięki niemu nasza apteczka szpitalna była dość dobrze zaopatrzona, toteż pamiętam nasze wielkie przerażenie i oburzenie, gdy jeden z lekarzy niemieckich pozabierał z niej potrzebne mu leki mimo gwałtownych protestów dr *Włoczewskiej*. Wtedy taka grabież była dla nas zaskoczeniem. Nie przeczuwałyśmy, że Niemców i lekarzy niemieckich stać na coś bez porównania gorszego niż zabieranie lekarstw chorym.

Wielu było ciężko rannych, śmiertelność duża. Jednego dnia Niemcy zajęli część izb szkolnych na szpital polowy dla swoich rannych i urządzili salę operacyjną. Jeden z chirurgów zoperował nawet kilku naszych rannych. Z jakąż nienawiścią patrzyłyśmy na ich chorych leżących na ładnych, białych łóżkach szpitalnych, pod puszystymi, kremowymi kocami, na ich dobre wyposażenie i organizację. Niemcy żądali od nas, abyśmy również pielęgnowały ich rannych. Z buntem i nienawiścią, ale i ze strachem przed panoszącym się okupantem przetrwałyśmy do kapitulacji Warszawy. Naszych rannych przewieziono do zwykłych szpitali, a zmarli do dziś mają swoją mogiłę na cmentarzu w Gołąbkach.

Po tym epizodzie wojennym zaczęliśmy organizować swoje codzienne życie, a ponieważ represje okupanta zmuszały nas do samoobrony, powstał podziemny front. Okupacja trwała długo, mieliśmy więc dużo czasu na zorganizowanie się i szkolenie. Poza pracą w łączności, kolportażem prasy podziemnej czy organizowaniem paczek dla patronatu nad więźniami przechodziłyśmy dość długie szkolenie na kursach sanitarnych. Część po końcowym egzaminie odbyła kilkutygodniową praktykę

w Szpitalu Maltańskim w Warszawie. Pamiętam, jak bardzo w życiu konspiracyjnym fascynowało mnie to, że podanie umówionego hasła otwierało zaryglowane drzwi, z ludzi obcych tworzyło przyjaciół, rozpraszało nieufność. Gdziekolwiek się znalazłam, po wymówieniu hasła wiedziałam, że jestem wśród swoich, przyjmowana jak ktoś bliski.

Nadszedł lipiec 1944 roku. Front wschodni był coraz bliżej. Słyszeliśmy kanonadę dział za Wisłą. W Warszawie powstał widoczny popłoch wśród Niemców, którzy ewakuowali swoje biura i wyraźnie uciekali. Patrzyliśmy na to z radością, przeczuwając bliski koniec. Nasi zwierzchnicy przygotowywali akcję zbrojną. Każdy miał wyznaczone swoje miejsce w ostatecznej rozgrywce. Jak wiadomo, sprawy te potoczyły się inaczej niż przewidywano. 5 sierpnia otrzymałam rozkaz stawienia się do pracy w punkcie opatrunkowym zorganizowanym w Ursusie przy ulicy Żwirki i Wigury nr 8 w lokalu Rady Głównej Opiekuńczej. Przybywali pierwsi ranni z Warszawy, co dzień było ich więcej, poparzeni i z postrzałami. Po paru dniach punkt opatrunkowy już nie wystarczał, nie mógł również nadążyć z pracą istniejący od 1941 roku ośrodek zdrowia, prowadzony przez dyplomowaną pielęgniarkę *Helenę Suwalankę-Burkotową*, ani ambulatorium Ubezpieczalni Społecznej, prowadzone przez dypl. piel. *Marię Sianożęcką*. Ciężko rannych trzeba było gdzieś położyć i zapewnić im stałą opiekę. Zaczęto organizować szpital. W jednym pokoiku domu przy ul. Piłsudskiego 16 (obecnie Bohaterów Warszawy) stanęło pierwsze łóżko, żelazne, z siennikiem wypchanym słomą, wyciągnięte z czyjejś piwnicy. Przybył pierwszy chory. Pierwszy dyżur pielęgniarski rozpoczęła *Janeczka Grodkiewicz*. Przypadków ciężkich było coraz więcej, potrzeba było więcej łóżek. Organizowaniem ich zajęła się pielęgniarka *Maria Sianożęcka* i oboje doktorostwo *Włoczewscy*. Nasi chłopcy zdobyli z fabryki Ursus niemieckie łóżka piętrowe, drewniane, z siennikami i poduszkami wypchanymi słomą. Trzeba było przepiłować je na pojedyncze.. Robiłyśmy wszystko same: szorowałyśmy podłogi i łóżka, myłyśmy okna, gotowałyśmy dla naszych chorych. Cieszyło nas każde nowe pomieszczenie dla chorych, nowo zdobyty sprzęt czy trochę materiału opatrunkowego. Nasz szpitalik rozszerzył się stopniowo do 35 łóżek, mieliśmy salę opatrunkową, dyżurkę, a potem nawet salę operacyjną, w której wykonano wiele poważnych zabiegów. Obsada pielęgniarska powiększyła się.

Pamiętam bardzo zabawną sytuację na początku naszej pracy w szpitaliku: w myśl obowiązujących zasad konspiracji musiałyśmy używać pseudonimów, tymczasem my, pielęgniarki szpitalne, mieszkałyśmy wszystkie w Ursusie, znałyśmy się dobrze. Jawne operowanie pseudonimami przy znajomości naszych nazwisk było więc całkowitą dekonspiracją. Na szczęście ktoś się w porę zorientował i przeszłyśmy na używanie swoich własnych imion.

Obsadę pielęgniarską szpitala stanowiły: przełożona *Maria Sianożęcka* i pielęgniarki, cztery pary sióstr: *Wiera* i *Tamara Jesipow*, *Janina i Władysława Grodkiewicz*, *Maria* i *Krystyna Nyc*, *Jadwiga* i *Zofia Złotnickie* oraz *Jolanta Czyżewska*, *Wiesława Dominowa*, *Leonia Grębowska*, *Janina Kęsicka*, *Janina Kosmaczewska*, *Halina Krawczyk*, *Halina Nackiewicz*, *Helena Rawska*, *Krystyna Rutkowska*, *Barbara Samulska*. Potem doszły jeszcze z Warszawy pielęgniarki dyplomowane *Irena Kołakowska* i *Krystyna Rychter*. Przewinęły się również przez nasz szpital różne dziewczęta pracujące u nas dłużej lub krócej, których nazwisk już nie pamiętam. Były wśród nich takie, które mimo dobrych chęci nie mogły podołać ciężkiej pracy pielęgniarskiej w tym okresie, gdyż przez dłuższy czas nie było u nas żadnej salowej czy sprzątającej.

Przełożona była rzeczywiście duszą naszego szpitala: żywa, energiczna, zawsze pełna dobrej inicjatywy i pogody ducha, potrafiła trzymać nas w karności i stopniowo wdrażała do systematycznej pracy pielęgniarskiej. Wymagała od nas pracy według zasad, tak jak na oddziałach szkoleniowych. Mogłam to w pełni ocenić po paru latach, gdy sama jako słuchaczka znalazłam się na oddziale. Moja praktyka przebiegała łatwo dzięki nawykom nabytym w pracy pod kierunkiem pani *Marylki*.

W pierwszych dniach sierpnia, po zajęciu Ochoty przez Niemców, z ośrodka zdrowia na Opaczewskiej wyszła grupa jego pracowników: lekarz-ginekolog *Maria Jeleniewska*, chirurg *Józef Bogusz*, piel. dypl. *Krystyna Rychter* i kilka młodszych pielęgniarek i sanitariuszek. Idąc wzdłuż toru elektrycznej kolejki dojazdowej, dotarli oni do Michałowic, a gdy się dowiedzieli, że w Ursusie mamy szpital, gdzie nie mogą podołać pracy pediatra i internista, zgłosili swój udział. Od tego czasu zaczęła się nowa era naszego szpitala: wszystkie przypadki chirurgiczne były załatwiane na miejscu, łącznie z dużymi zabiegami operacyjnymi, które wykonywał dr *Bogusz*. Pielęgniarką operacyjną i zabiegową była *Krysia Rychter*. Nie pamiętam już, skąd dotarła do nas skrzynia z narzędziami chirurgicznymi, które po oczyszczeniu zostały z pietyzmem ułożone w jednej z szaf, a stół od budki do naświetlań, po małej przeróbce, dostąpił zaszczytu miana stołu operacyjnego. Nigdy później w swej pracy na żadnym oddziale nie spotkałam się z taką pracowitością, poświęceniem i entuzjazmem w niesieniu pomocy cierpiącym, jak w okresie powstania warszawskiego i przed wyzwoleniem. Przełożona wyznaczyła dyżury na trzy zmiany, ale wiele z nas mimo zmęczenia siedziało w szpitalu, aby pomóc i być w pogotowiu w razie napływu większej liczby rannych. Wykonywało się wówczas po 100—200 opatrunków dziennie. Gdy jednak padło czyjeś polecenie, aby przy którymś chorym coś wykonać lub podać mu jakieś lekarstwo, zrywały się do tej czynności po dwie, trzy pielęgniarki

na raz i tak było z każdą pracą. Nasi lekarze pracowali w szpitalu i w ośrodku zdrowia, w ośrodku również zainstalowała się całkowicie dr *Jeleniewska,* błogosławiona przez kobiety za swą ofiarną pracę. Nasz chirurg, dr *Bogusz,* przy każdym opatrunku urządzał nam mały wykład, tematycznie związany z aktualnie wykonywaną czynnością. Podczas różnych zabiegów sondował zakres naszych wiadomości i cierpliwie i taktownie je uzupełniał. Wkrótce też z jego inicjatywy zaczęłyśmy się zbierać systematycznie w lokalu ośrodka zdrowia celem słuchania szkoleniowych wykładów dla nas. Były urządzane repetycje i egzaminy, a wszystko z własnej dobrej i nieprzymuszonej woli.

Nie muszę chyba wspominać, że praca nasza przez cały czas była całkowicie bezinteresowna. Każda ściągała co mogła z domu do szpitala: żywność, pościel, opał, naftę, świece czy karbidówki. W szpitalu przeważnie nie było elektryczności, brakowało wody, którą ciągnęliśmy wiadrami ze studni, a chorzy przychodzili brudni i nieraz zawszeni. „Łapaliśmy" od nich wszy i świerzb, a każdy proszek na fartuchu popychało się palcem, aby sprawdzić, czy nie „chodzi". Pewnego dnia w ogródku przyszpitalnym znalazł się kontroler sanitarny z komorą dezynsekcyjną, który uratował nas przed zalewem insektów, gdyż ludzie po wyjściu z piwnic warszawskich byli w opłakanym stanie. Kostnicę — bo i ta być musiała — stanowiła zwykła komórka, gdzie z braku trumien pakowałyśmy zmarłych w dwie duże, papierowe torby, obwiązując sznurkiem. Była to rzeczywiście makabryczna czynność i od niej każda uchylała się, jak mogła, ale w końcu ktoś to musiał wykonać.

Warto też wspomnieć o salach chorych. Jakże różna atmosfera panowała w poszczególnych pokojach. Najprzyjemniej było na parterze, tam gdzie leżeli żołnierze ranieni w powstaniu. Stać ich było na uśmiech, żart czy piosenkę mimo ciężkich ran bądź amputowanych kończyn, gdy tylko minął ból po opatrunku. Znajdując się później już w lepszym stanie, potrafili urządzić prawdziwą „kocią muzykę", grając i bębniąc, na czym się tylko dało, zakłócając spokój chorym bardziej statecznym, siejąc nawet zgorszenie wśród starszych „babek". Wstyd się przyznać, ale właśnie oni mieli najwięcej miejsca w naszych sercach, może dlatego, że same potrzebowałyśmy trochę odprężenia wśród ogólnej powodzi nieszczęść. Z Warszawy każda grupa rannych przynosiła coraz smutniejsze wiadomości; prawie każda z nas bała się o kogoś ze swoich bliskich, nie znając ich losów. Widziałyśmy niemieckie samoloty bombardujące walczącą Warszawę, wiedziałyśmy z relacji uciekinierów, że Niemcy systematycznie podpalają domy. Co noc nad stolicą stała wielka łuna, a w dzień snuł się dym, którego woń spalenizny przynosił wiatr aż do nas.

Smutniejsza była atmosfera w innej sali na parterze, w której leżeli chorzy na biegunkę i dur brzuszny. Chorzy ci szybko się odwadniali, tracili na wadze i z braku odpowiednich leków ginęli podobni do szkieletów. Wchodząc do sali nr 3 wiadomo było, że zobaczy się któregoś z tych biedaków, siedzącego na wiadrze. Wryła się również w mej pamięci sala nr 5 na górze, gdzie przez pewien czas leżało kilka staruszek, u których mimo codziennego szorowania i zmiany bielizny przez dłuższy czas nie mogłyśmy wytępić wszy łonowych. Na drugi dzień rano znów widziałyśmy te insekty, spacerujące po naszych staruszkach i po ich pościeli. Pamiętam, jak raz w czasie dyżuru popołudniowego przyjmowałam do szpitala kilka osób, które przez dłuższy czas ukrywały się w jakimś chlewie. Były tak niezmiernie zawszone, że gdy zdjęły swą odzież przed kąpielą, wszy posypały się z niej obficie, a na kamiennej posadzce łazienki trzeszczały mi pod zelówkami bucików jak żwir.

Gdy Niemcy ewakuowali Szpital Dzieciątka Jezus, spora grupa naszych pojechała tam podwodami, aby zdobyć łóżka, pościel i sprzęt sanitarny i szpitalny. Wyprawa się opłaciła; nasi chorzy otrzymali nareszcie wygodne łóżka i nocne szafki, uzyskali dobrą pościel. Miałyśmy z tego powodu więcej pracy, bo oprócz zwykłych zajęć musiałyśmy myć i ustawiać nowe łóżka, rozbierać stare, trzepać materace i pościel oraz przemeblowywać sale chorych. Nikt nas do tej ciężkiej pracy fizycznej nie namawiał, ale każda chciała swoją salę urządzić jak najprędzej. Gdy powstańcy zostali zepchnięci do śródmieścia, dostaliśmy wiadomość, że w Szpitalu Wolskim na Płockiej ukrywa się sporo powstańców, markując chorobę i czekając na możliwość wydostania się. Pojechaliśmy na kilku podwodach, aby ich wydobyć, jeśli się to okaże możliwe. Chodziłyśmy po salach, zbierając lekko rannych, takich, którzy zaraz po przywiezieniu ich do Ursusa i zaopatrzeniu w ubrania będą mogli iść dalej. Zebrała się ich spora grupa, którym miejscowe pielęgniarki porobiły różne „lipne" opatrunki i jako bardzo ciężko chorzy mieli być załadowani na nasze wozy. Tak się też stało. Przebrnęliśmy przez niemiecki punkt kontrolny mieszczący się w kościele św. Stanisława na Woli i dotarliśmy bez przeszkód do Ursusa, a nasi „ciężko chorzy" poszli dalej w świat. Pamiętam, że innym udały się również takie eskapady.

Nadszedł ostatni dzień września. Powstanie upadło. Niemcy wypędzali wszystkich z Warszawy. Na terenie warsztatów kolejowych w Pruszkowie urządzili obóz przejściowy, który jednak nie mógł pomieścić wszystkich, toteż przez parę tygodni spędzali warszawiaków do hal fabrycznych w Ursusie. Chodziłyśmy tam z dr *Włoczewską* w czasie wolnym od dyżurów szpitalnych, aby roznosić dzieciom mleko, wyszukiwać chorych, wynosić na zewnątrz wiadomości dla rodzin od zatrzymanych. Czasem udało się kogoś przemycić na posiadaną przepustkę. Gdy zlikwidowano obóz w Ursusie, znalazło się pięć osób psychicznie chorych, które należało odstawić do szpitala w Tworkach. Mnie przypadła misja odwiezienia tych

nieszczęśliwych. Ofiarował się ze swym wozem jakiś gospodarz ze Skorosz. Jechaliśmy nocą, w całkowitej ciemności, bocznymi drogami, ogromnie bojąc się zatrzymania przez Niemców, jak również lękając się naszych pacjentów. Zsuwali nam się z wozu, wymyślali, chcieli nas bić i uciekać. Szczęśliwie dowieźliśmy ich jednak na miejsce i oddaliśmy pod fachową opiekę, a sami o świtaniu wyruszyliśmy w powrotną drogę.

Wszędzie szalał terror niemiecki. Niemcy, rozwścieczeni powstaniem i niepowodzeniami na froncie, mścili się na ludności cywilnej. Urządzali obławy, aresztowania, rozstrzeliwania, a nasz szpitalik stanowił w tym czasie oazę polskości. Czuliśmy się w nim jak jedna rodzina. Tutaj w czasie odprawianych nabożeństw niedzielnych można było słowami starej polskiej pieśni prosić Boga o przywrócenie wolnej ojczyzny, tu śpiewali chorzy stare wojskowe piosenki i te nowe, z powstania.

Należy choć fragment tych wspomnień poświęcić naszym chorym. Każda z nas pielęgniarek na pewno pamięta *Władzia Błaszkiewicza*, młodego chłopca z amputowaną nogą, który w chwilach zadumy grał na organkach, *Tolusia Kilanowskiego* ze zdruzgotaną stopą, którą również trzeba było amputować, *Sławka Godlewskiego* (Malczewskiego), zwanego „Be-Dul-Ce" od nazwy witamin dawanych mu przez dłuższy czas, czy *Tadzia Walla* o zdruzgotanym stawie barkowym. W ranach *Walla* zagnieździły się larwy, doprowadzając go do szału swoim rojeniem się, a nas do rozpaczy, bo tak trudne były do wytępienia. Jego opatrunki były najbardziej cuchnące i obrzydliwe spośród tych, które w swej pracy widziałam. Był też pan *Sztango*, chory na serce, który przez dwa tygodnie miał czkawkę tak silną, że słychać ją było w każdym pomieszczeniu naszego szpitala, był chory z karbunkułem na plecach, wielkości bochenka chleba i pani *Jagiełło* z raną postrzałową pęcherza (zraniona przez Niemców w czasie ich polowania na zające). Potem, po wyzwoleniu, leczyli się u nas pan *Klazer* z ropniem płuca i *Kola*, mały czołgista radziecki ze strzaskaną stopą, który wściekły z bólu groził, że nas wszystkich powystrzela.

W ostatnich miesiącach 1944 roku warunki unormowały się nieco, toteż można było pomyśleć trochę o życiu kulturalnym. Zbieraliśmy się czasem u dr *Bogusza*, który grał nam utwory *Szopena*; śpiewała *Krysia Nycówna* (obecnie *Wronko*, śpiewaczka operetki łódzkiej). Bywaliśmy też u ówczesnego organisty *Tadeusza Paciorkiewicza*, obecnie znanego kompozytora, który był wielkim wielbicielem utworów Beethovena. My zaś w szpitaliku dla uciechy naszych chorych, jak również dla własnej zabawy ułożyliśmy „szopkę", którą przedstawiały jej autorki: dr *Włoczewska, Halina Nackiewicz, Halina Krawczyk* i *Helena Rawska*. Szopka, wystawiona w święto Trzech Króli, miała wielkie powodzenie, tekst jej trzeba było odbić w wielu egzemplarzach, aby zaspokoić chętnych. Szopka miała wierszowany tekst, podłożony pod znane melodie, wytykała nasze słabostki, a nazwiska popularnych lekarzy były w niej odmieniane we wszystkich przypadkach. Pamiętam również, że po Bożym Narodzeniu odbył się nawet publiczny koncert w sali konferencyjnej obecnego prezydium z udziałem dr *Bogusza, Krystyny Nycówny* i *Tadeusza Paciorkiewicza*. Koncert był wspaniały, a dla nas pozbawionych od tylu lat radia i sal koncertowych był prawdziwą ucztą duchową.

Dnia 16 stycznia 1945 r. Niemcy kierowali jeszcze na wschód dwie „Berty" niemieckie, ustawione w Ursusie na torach kolejowych. W pewnym momencie wieczorem zapadła cisza, a po jakimś czasie wstrząsnął powietrzem straszliwy huk; posypały się szyby w domach położonych bliżej fabryki, raniąc odłamkami wiele osób. Dwie kobiety straciły oko, między nimi nasza pielęgniarka, *Irena Kołakowska*. Jak się okazało, Niemcy uciekając wysadzili w powietrze wagon amunicji do tych wielkokalibrowych dział, stojący na bocznicy kolejowej na terenie fabryki. Eksplozja uszkodziła wiele dachów i powybijała liczne szyby, co przy dużym, styczniowym mrozie dawało się nam bardzo we znaki. Wyleciała również część szyb w naszym szpitalu, trzeba więc było okna zabijać deskami, opatrując je, czym się dało, aby chorzy jak najmniej marzli. Następnego dnia witaliśmy już żołnierzy naszych i radzieckich. Życie zaczęło się powoli normować, nasi chorzy stopniowo zdrowieli i opuszczali nas, a na ich miejsce przychodzili żołnierze z frontu. Po jakimś czasie ruszyły pociągi, a jednym z nich 2 marca 1945 r. odjechał dr *Józef Bogusz*.

Po jego wyjeździe szpital bez chirurga przyjmował z konieczności tylko przypadki internistyczne. Jeszcze przeszło rok placówka ta służyła okolicznej ludności, wypełniając lukę na mapie naszego szpitalnictwa. Przez sale tego szpitala przewinęło się przeszło 500 osób; ambulatoryjnie zaś udzielono pomocy kilku tysiącom lżej rannych i chorych.

Zdaję sobie sprawę z tego, że przeżycia okupacyjne mieszkańców Ursusa były niczym wobec tragedii, jakie przeżyli ludzie na polach bitew, w powstaniu czy w obozach koncentracyjnych. Nasza praca w tamtych latach stanowi maleńką cząstkę tego, co przeżył i dokonał cały naród polski.

„Do (...) najbliższego grona opiekunów i kierowników człowieka należy również i lekarz, który, kierując się w swej działalności głęboką czcią dla życia, poszanowaniem człowieka, świadczy czynami o swym humanitarnym nastawieniu".

Władysław Szenajch: Myśli lekarza. PZWL 1958, str. 16.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Kraków

Esesmani z oświęcimskiej „służby zdrowia"
Wykaz wstępny

Dla celów dokumentarnych przystąpiono do opracowania spisu esesmanów z tzw. służby zdrowia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Zestawienie pełnego wykazu jest, jak dotychczas, niemożliwe. Niekompletne spisy znajdują się w różnych archiwach, m. in. w Państwowym Muzeum w Oświęcimiu, w sekretariacie Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego i w innych instytucjach. Porównując znajdujące się tam materiały, przedstawiono tutaj jeszcze nie opublikowane zestawienie nazwisk tych esesmanów. Udostępnienie czytelnikom tego spisu w „Przeglądzie Lekarskim — Oświęcim" niewątpliwie pozwoli w przyszłości na uzyskanie dalszych informacji o niemieckim składzie oświęcimskiej „służby zdrowia".

Służba ta podlegała komendanturze obozu. Na jej czele stał lekarz garnizonu *(Standortarzt)*. Podlegali mu oficerowie lekarze obozowi *SS (Lagerarzt)* oraz sanitariusze *SS (Sanitätsdienstgrad* — SDG), którzy pełnili funkcje kierowników bloków chorych więźniów oraz samodzielnie zajmowali się „zagadnieniami służby zdrowia" w podobozach. Niezależnie od tego lekarzowi garnizonowemu podlegali aptekarze *SS (SS-Apotheke)* oraz stacje dentystyczne *(SS-Zahnstation)*.

Lekarz garnizonowy był odpowiedzialny za stan zdrowia esesmanów oraz więźniów. W szpitalu esesowskim pracował *Truppenarzt*, siostry *SS* i sanitariusze *SS*. „*Standortarztowi*" podlegali również dezynfektorzy *SS*, którzy pełnili podwójną funkcję. Ich zadaniem było wrzucanie gazu cyklon-B do komór gazowych, jak również przeprowadzanie dezynfekcji i dezynsekcji w obozie i w oddziałach *SS*.

Lekarz garnizonu miał ponadto powiązanie z Instytutem Higieny *SS* oraz z lekarzami *Wehrmachtu* i cywilnymi, którzy przeprowadzali różne zbrodnicze doświadczenia na terenie obozu.

Strukturę tę przedstawiają tabele I i II.

* * *

Tam, gdzie to było możliwe, podano kolejno: imię, nazwisko, datę i miejsce urodzenia, stopień, funkcję w obozie, miejsce pracy w obozie, czas pracy tamże, los powojenny i inne uwagi.

1. Karl Bara, SS-Unterscharführer, SDG, Zigeunerlager (obóz cygański) — Fürstengrube, V. 1944 — I. 1945, zasądzony w Polsce.
2. *Bruno Beger*, ur. 27. IV. 1911 we Frankfurcie nad Menem, *SS-Hauptsturmführer*, dr filozofii, pracował w „*Ahnenerbe*", brał udział w tzw. „zbiorze szkieletów", obecny adres: Frankfurt nad Menem, Burnitzstrasse 3, aresztowany 7. VIII. 1963, zwolniony za kaucją.
3. *Blaschke*, *SS-Hauptscharführer*, następnie *SS-Untersturmführer*, był *Lagerarztem* w r. 1941.
4. *Carl Blumenreuter*, ur. 16. XI. 1881 w Berlinie, *SS-Brigadeführer*, dr medycyny, kierownik apteki w Oranienburgu, związany też z apteką *SS* w Oświęcimiu.
5. *von Bodman*, ur. 23. III. 1909 (?) w Monachium, *Standortarzt* w r. 1942, zmarł 25. V. 1945 w Salzburgu w szpitalu.
6. *Boschner*, *volksdeutsch* z Rumunii, był w obozie macierzystym w r. 1944 jako *SDG*, obecnie mieszka w NRF (?).
7. *Ferdynand Brauner*, ur. w r. 1911 w Sudetach, *Unterscharführer*, pracował w *Schreibstubie Standortarzta* oraz lekarza oddziałów *SS*.
8. *Brecht*, lekarz lub lekarz dentysta.
9. *Büning*, *SS-Oberscharführer*, pracował w bloku nr 10 jako *SDG* u *Clauberga*.
10. *Viktor Capesius*, ur. 2. VII. 1907 r., kierownik apteki *SS*, skazany w procesie frankfurckim 19. VIII. 965 r. na 9 lat więzienia.
11. *Carl Clauberg*, ur. 28. IX. 1898 w Wupperhoff, dr medycyny, profesor, wykonywał doświadczenia sterylizacyjne, zmarł w Kilonii 9. VIII. 1957 w więzieniu.
12. *Dargielis*, dezynfektor w Brzezince.
13. *Hans Delmotte*, dr medycyny, był lekarzem obozowym w lecie 1944 r., w r. 1945 popełnił samobójstwo.
14. *Oskar Dienstbach*, *Obersturmführer*, *Lagerarzt* i *Standortarzt* w latach 1941—1942, zmarł 18. X. 1945.
15. *Tadeusz Dobrzansky*, ur. 3. IX. 1907 w Radeutz w Rumunii, *Rottenführer*, pracował w aptece *SS*, żyje w Austrii (?).
16. *Friedrich Entress*, ur. 8. XII. 1914, *Hauptsturmführer*, dr medycyny, lekarz obozowy w Oświęcimiu od 11. XII. 1941 do 20. X. 1943, *Standortarzt* w Mauthausen od 25. VII. 1944, przebywał również w Gross-Rosen od

TABELA I
Struktura władz obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka

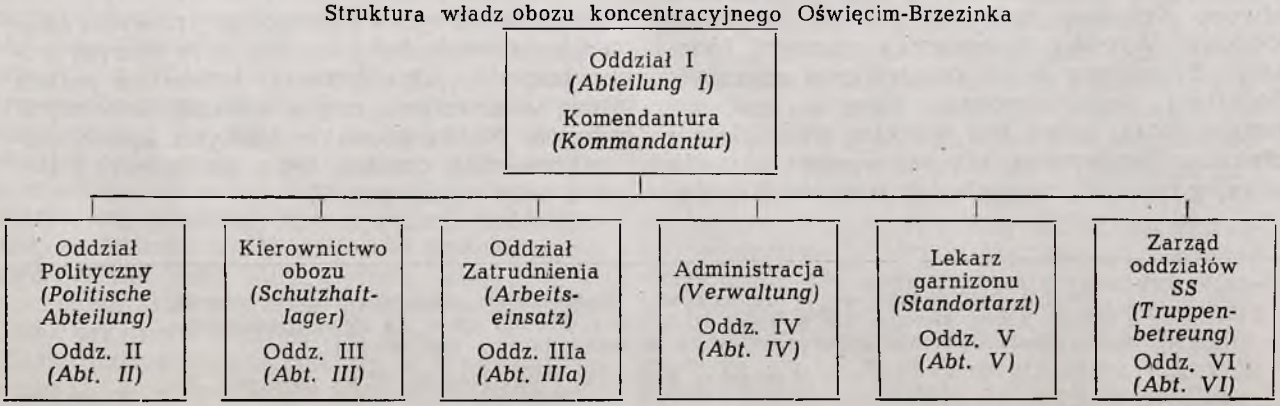
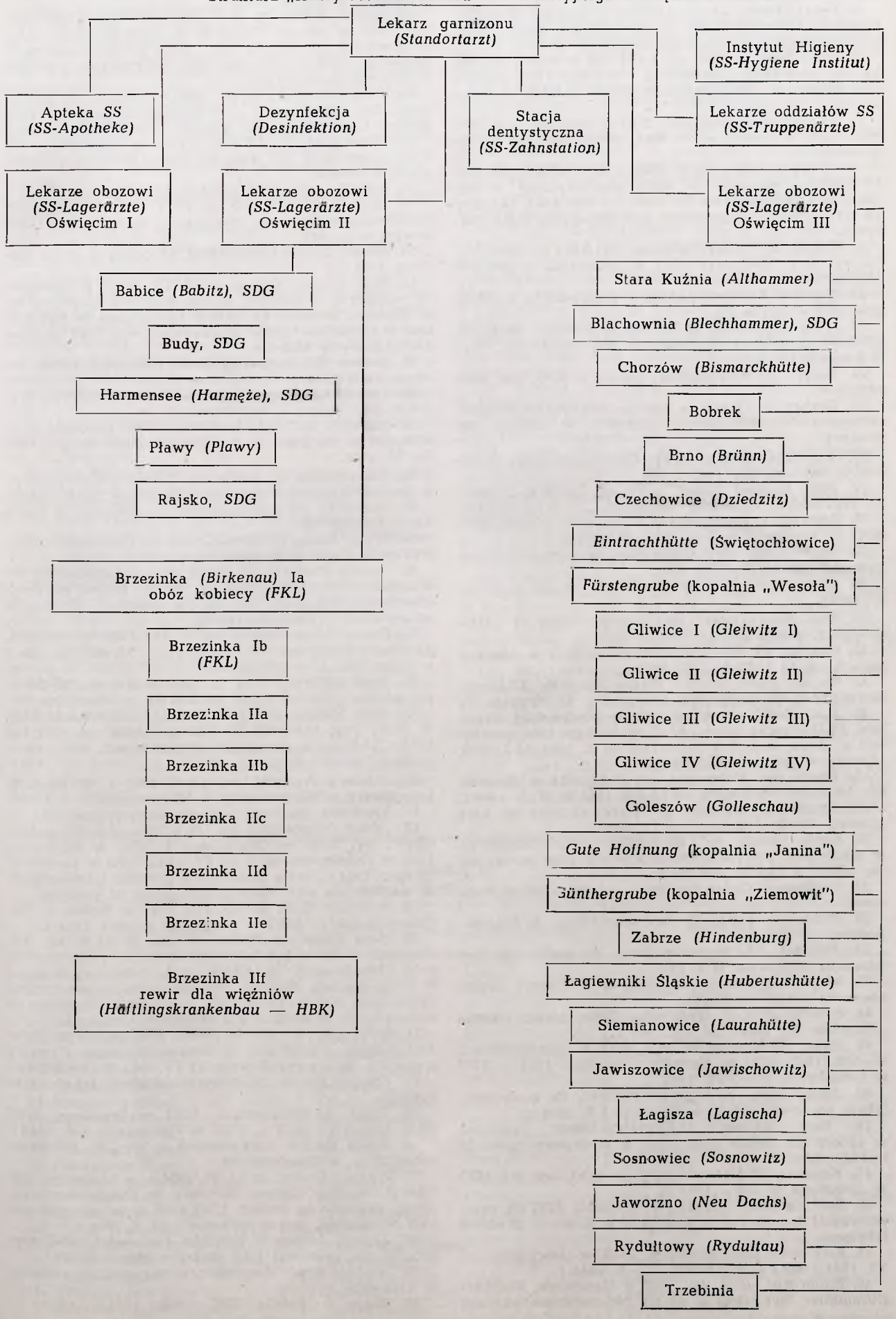


TABELA II
Struktura „służby zdrowia" obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka



3. I. 1941 do 10. XII. 1941, skazany na karę śmierci 28. V. 1947 r. w procesie załogi Mauthausen.

17. *Horst Fischer*, ur. 31. XII. 1912 w Dreźnie, dr medycyny, *SS-Hauptsturmführer*, był również *Lagerarztem* w Ravensbrück, obecnie aresztowany w NRD.

18. *Karl Josef Fischer*, ur. 4. III. 1904 w Gratz, był lekarzem obozowym Oświęcimia I w roku 1941, później Sachsenhausen, *SS-Untersturmführer*, obecnie mieszka w Grazu.

19. *Flagge, SS-Rottenführer, SDG* w Babicach w r. 1943 oraz *SDG* w Budzie w r. 1943, awansował do *Unterscharführera.*

20. *Willy Frank*, ur. 9. II. 1903 w Regensburgu, *Hauptsturmführer*, pracował w stacji dentystycznej w Dachau, w Oświęcimiu od III. 1943 do VIII 1943, skazany 19. VIII. 1965 we Frankfurcie nad Menem na 7 lat więzienia.

21. *Franke, SS-Unterscharführer*, był *SDG* w obozie kobiecym w r. 1943 oraz *SDG* w Jaworznie w grudniu 1943 r.

22. *Bolesław Frymark*, podoficer *Wehrmachtu*, w 1944 r. pracował w aptece *SS.*

23. *Franz Fugger*, ur. 18. XI. 1920 w Mettnitz (Austria), *SS-Unterscharführer*, pracował w *Higiene-Institut*, żyje w Karyntii (Austria).

24. *Geiger, SS-Rottenführer*, goniec i *SDG*, nie ukarany.

25. *Gerber*, z Alzacji, w obozie *SS-Unterscharführer*, następnie *Oberscharführer*, pracował w aptece, nie ukarany.

26. *Ginstbach*, dr medycyny, *Obersturmführer, Standortarzt* we wrześniu 1941 r. (?).

27. *Paul Edmund Göbel*, asystent *Clauberga*, zmarł 11. VIII. 1952, dr chemii w zakładach *„Schering-Werke"*

28. *Godwiński, volksdeutsch* z Rumunii, *Rottenführer, SDG* w Monowicach i w Eintrachtshütte.

29. *Göthermann* albo *Gotherman*, wykonywał eksperymenty pseudolekarskie (?).

30. *Grenzmann, SS-Unterscharführer* w stacji dentystycznej.

31. *Egon Bruno Grosse, SS-Oberscharführer SS* w Monowicach, poległ 26. I. 1945 r.

32. *Günther* (?), *SS-Unterscharführer, SDG* w Jawiszowicach od XI 1942 do VII. 1943 r.

33. *Werner Hahn*, ur. 18. I. 1914 w Limbach, *SS-Hauptsturmführer*, dr medycyny, pracował z dr *Mengele* (?).

34. *Emil Hantl*, ur. 4. XII. 1902 w Morawskiej Ostrawie, *SS-Unterscharführer, SDG* od 1942 do 1945, przebywał w Oświęcimiu I, w Jaworznie od X. 1944 do I. 1945, skazany w procesie frankfurckim.

35. *Erwin von Helmersen*, ur. 4. XI. 1914 w Bremen, był lekarzem obozowym od 15. XII. 1943 do 25. IX. 1944 r., *Untersturmführer*, sądzony w Polsce, skazany na karę śmierci, wyrok wykonano 12. IV. 1949 r.

36. *Erwin Heschl*, ur. 28. X. 1911, *Hauptsturmführer*, dr medycyny, był lekarzem obozowym, jego proces ma się odbyć w Grazu (Austria).

37. *Hofibauer, Oberscharführer*, dezynfektor w Brzezince.

38. *Walter Hofmann, SS-Unterscharführer*, w *Higiene-Institut.*

39. *Höschel, SS-Obersturmführer*, dr medycyny, był lekarzem obozowym w r. 1941.

40. *Jaeger, SS-Untersturmführer*, dr medycyny, lekarz obozowy (lekarz dentysta?).

41. *Edward Jambor, Unterscharführer*, pisarz lekarza oddziałów SS, zmarł 24. VII. 1945 r.

42. *Jörss, SS-Sturmmann*, był *SDG* w Jawiszowicach V—VII. 1943, *SDG* w Harmężach w lipcu 1943 r. *SDG* w Goleszowie III—VIII. 1944 r.

43. *Julius Jung, SS-Untersturmführer*, dr medycyny, lekarz obozowy, poległ w Finlandii 2. X. 1944 r.

44. *Kurt Jurasek, SS-Oberscharführer*, pracował w aptece *SS*, będzie oskarżony w następnym procesie frankfurckim.

45. *Kamfuss, SS-Unterscharführer, SDG*, był też *SDG* w Jaworznie w lipcu 1943 r.

46. *Emil Kaschub*, chorąży *(Wehrmacht), SDG* (?), przeprowadzał doświadczenia medyczne w bloku nr 28 obozu Oświęcim I.

47. *Kaufmann, SS-Sturmmann, SDG* w Jawiszowicach VI. 1944 i *SDG* w Blachowni IX—X. 1944 r.

48. *Bruno Kitt*, ur. 9. VIII. 1906 w Hamburgu, *SS-Obersturmführer*, był także w obozie Neuengamme, skazany w procesie załogi tego obozu na karę śmierci, którą wykonano 8. X. 1946 roku.

49. *Joseph Klehr*, ur 17. X. 1904 r., *SS-Oberscharführer*, był *SDG* w obozie Oświęcim I, dezynfektorem, *SDG* w Gliwicach od I do IV. 1944, *SDG* w Goleszowie w listopadzie 1944 r., skazany na dożywotnie więzienie w procesie frankfurckim.

50. *Fritz Klein*, ur. 24. XI. 1888 w Rumunii, dr medycyny, był lekarzem w Oświęcimiu, skazany na karę śmierci i powieszony po procesie załogi Bergen-Belsen.

51. *Hans Koch*, ur. 13. VIII. 1912 r. w Tangahütte, *SS-Unterscharführer*, był dezynfektorem, skazany w procesie krakowskim.

52. *Kolinger*, pracował w stacji dentystycznej *SS.*

53. *Hans Wilhelm König*, ur. 13. V. 1912 w Stuttgarcie, *SS-Obersturmführer*, dr medycyny, był lekarzem obozowym w r. 1943.

54. *Körler, SS-Oberscharführer*, pracował w stacji dentystycznej *SS.*

55. *Paul Johann Kremer*, ur. 26. XII. 1883 r. w Stelbergu, dr medycyny i filozofii, docent anatomii uniwersytetu w Münster, skazany na śmierć za zbrodnie w Oświęcimiu w r. 1947 w Polsce, ułaskawiony w r. 1958, ponownie sądzony w Münster.

56. *Krömer, SS-Sturmbannführer*, kierownik apteki *SS*, zmarł 18. II. 1944 r.

57. *Losert*, Niemiec sudecki, *SS-Unterscharführer*, pracował jako pisarz u *Standortarzta.*

58. *Ludwig, SS-Oberscharführer, SDG*, pracował przy komandzie więźniów w kopalni „Janina" od IX. 1943 do XI. 1944.

59. *Franz Lukas*, dr medycyny, lekarz obozowy, m. in. w obozie cygańskim, skazany w procesie frankfurckim.

60. *Maywald, SS-Unterscharführer*, pracował w stacji dentystycznej SS.

61. *Franz Mang*, ur. w Sudetach, *SS-Unterscharführer*, pracował w stacji dentystycznej.

62. *Joseph Mengele*, ur. 16. III. 1911 w Günsburgu, *SS-Hauptsturmführer*, od wiosny 1943 r. lekarz obozowy Oświęcimia-Brzezinki, m. in. wykonywał zbrodnicze eksperymenty pseudolekarskie.

63. *Georg Franz Meyer*, ur. 5. IX. 1917 w Wiedniu, *SS-Obersturmführer*, dr medycyny, lekarz obozowy w lipcu 1942 r. w Oświęcimiu.

64. *Paul Müller*, ur. 31. I. 1896 w Kilonii, *SS-Obersturmführer*, był lekarzem obozowym w Brzezince.

65. *Hans Münch*, ur. 11. V. 1911, *SS-Untersturmführer*, dr medycyny, pracował w *Higiene-Institut* od 1943 lub 1944 r., sądzony w procesie krakowskim w r. 1947, zwolniony od winy i kary.

66. *Gerhard Neubert*, ur. 12. VI. 1909 r. w Dieplotz koło Bremy, *SDG*, pracował w Monowicach.

67. *Niedballa*, pracował w stacji dentystycznej *SS.*

68. *Hans Nierzwicki*, ur. 18. I. 1905, *SS-Unterscharführer*, był *SDG* w Oświęcimiu I, *SDG* w Brzezince, *SDG* w Goleszowie od II do IV. 1943, *SDG* w Łagiszy II do lipca 1944 r., był w śledztwie w procesie frankfurckim, ze względu na stan zdrowia odstąpiono od procesu.

69. *Friedrich Ontl*, ur. 25. VIII. 1909 w Sudetach, *SS-Oberscharführer, SDG* w Jaworznie w lipcu 1943 r.

70. *Hans Plaza* lub *Plazza*, obecnie około 65 lat, *SS-Hauptsturmführer*, był lekarzem w Dachau, Buchenwaldzie, Nordhausen i Oświęcimiu, obecnie mieszka w Kreis Aachen, Stolberg, był lekarzem obozowym, był asystentem *Hofena (Hovena?)*, dokonywał zbrodniczych doświadczeń na więźniach z *evipanem* i selekcji.

71. *Popiersch*, ur. 26. V. 1893, *SS-Hauptsturmführer, Standortarzt i Lagerarzt* w obozie Oświęcim I, zmarł z powodu duru wysypkowego 21. IV. 1942 w Oświęcimiu.

72. *Edward Precht, SS-Hauptsturmführer*, lekarz dentysta.

73. *Rapp, SS-Rottenführer, SDG* w Brzezince, *SDG* Budy VII—VIII. 1943 r., *SDG* w Harmężach VII. 1943 r.

74. *Erwin Ratsch, volksdeutsch* z Węgier, *SS-Unterscharführer*, u *Standortarzta.*

75. *Werner Rhode*, ur. 11. VI. 1904 r. w Marburgu, *SS-Obersturmführer*, lekarz obozowy w Oświęcimiu-Brzezince, skazany na śmierć 1. VI. 1946 r. w procesie załogi Natzweiler, wyrok wykonano 11. X. 1946 r.

76. *Joseph Richter* z Zwickau (Saksonia), *SS-Unterscharführer*, pracował jako pisarz u *Standortarzta.*

77. *Berthold Erwin Riegenhagen*, dezynfektor, sądzony w Krakowie.

78. *Runge*, z Gdańska, *SDG* w roku 1944.

79. *Erich Sauther*, ur. 8. VIII. 1905, dr medycyny, pracował w stacji dentystycznej *SS* do października 1942 r.

80. *Schattkus, SS-Oberscharführer, SDG*, uprzednio przy likwidacji Żydów w Rydze.

80a. Dr *Willi Schatz, SS-Untersturmführer.*

81. *Kurt Scherbel*, lekarz obozowy (?), postępowanie sądowe przeciwko niemu w Augsburgu umorzono, ponieważ nie było świadków z Polski.

82. *Herbert Scherpe, SS-Oberscharführer, SDG* w Oświęcimiu I i *SDG* w Goleszowie od IV. 1943 do III. 1944 r., skazany w procesie frankfurckim.

83. *Schmidt, SS-Unterscharführer* w stacji dentystycznej *SS.*

84. *Joseph Schmucker*, z Toeplitz-Schönau, *SDG* i dezynfektor.

85. *Schmunitzer, SS-Rottenführer, SDG.*

86. *Schultz*, kierownik stacji dentystycznej *SS* w r. 1941, dr medycyny.

87. *Hans Schultze, SDG.*

88. *Horst Schumann*, ur. 1. V. 1906 r. w Halle, dr medycyny, lekarz lotnictwa, przebywa obecnie w Ghanie.

89. *Siegfried Schwella, Standortarzt* i *Lagerarzt*, obecny przy gazowaniu więźniów w r. 1942, zmarły 10. V. 1942 r.

90. *Simon, SS-Oberscharführer*, pracował w stacji dentystycznej *SS*, skazany w Polsce na trzy lata więzienia.

91. *Sittlinger*, był *SDG* w obozie macierzystym Oświęcim I.

92. *Henry Storch*, ur. 22. V. 1911 r., *SS-Unterscharführer*, kierownik apteki SS w *Oświęcimiu* od VII 1940 do XI. 1942 r.

93. *Karl Heinz Täuber, SS-Hauptsturmführer*, kierownik stacji dentystycznej do jesieni 1943 r. w Oświęcimiu I, zmarł 15. VI. 1961 r.

94. *Adolf Theuer*, ur. 20. IX. 1920, dezynfektor.

95. *Hans Thilo*, ur. 8. X. 1911 w Eberfeld, *SS-Obersturmführer*, lekarz obozowy od 9. XI. 1942, zmarł 13. V. 1945 w Hohenelbe.

96. *Johann Thümmler*, dr medycyny, pracuje obecnie w zakładach Zeissa, Międzynarodowy Komitet Oświęcimski wniósł przeciw niemu skargę w październiku 1964 r., zeznawał jako świadek w procesie frankfurckim.

97. *Trojan*, dr medycyny (nazwisko podane w dokumentacji *Institut für Zeitgeschichte* w Monachium).

98. *Albert Trzebinsky*, ur. w r. 1903, *SS-Hauptsturmführer, Lagerarzt* od VII do jesieni 1941 r. w Oświęcimiu, *Standortarzt* obozu w Neuengamme, zasądzony w procesie załogi tego obozu.

99. *Kurt (Erich, Willy, Hans?) Uhlenbrook*, ur. 2. III. 1908 w Rostocku, *SS-Sturmbannführer, Standortarzt* w Oświęcimiu I w sierpniu 1942 r., dokonał selekcji chorych 29. VIII. 1942 r., zamieszkały w Hamburgu, Hochallee 96, zwolniony z procesu frankfurckiego po złożeniu kaucji 50 tys. DM.

100. *Rudolf Uhlmann*, ur. 13. XI. 1912 r., *SS-Oberscharführer, SDG* w Jawiszowicach od 13. XI. 1944, *SDG* Charlottengrube od XII. 1944 do I. 1945 r., *SDG* w Dziedzicach (Czechowicach) od X. 1944 do I. 1945 r.

101. *Robert Unroth*, ur. 19. V. 1913, *SS-Hauptscharführer*, pracował w stacji dentystycznej do listopada 1944 r.

102. *Helmuth Vetter*, ur. 21. III. 1910, pracownik *IG-Farbenindustrie Bayer*, dr medycyny, lekarz obozowy Dachau, Oświęcimia i Mauthausen, skazany w procesie załogi Mauthausen na karę śmierci, wyrok wykonano 2. II. 1949 r., wykonywał eksperymenty zbrodnicze, badając tolerancje leków.

103. *Voigt, SS-Rottenführer, SDG* w Gliwicach I we wrześniu 1944 r. i *SDG* w Gliwicach IV od września do listopada 1944 r.

104. *Bruno Weber, SS-Obersturmführer*, kierownik *Higiene Institut der Waffen SS und Polizei Südost* w Oświęcimiu w latach 1943—1945, dr medycyny, popełnił samobójstwo w r. 1955 w Bonn.

105. *Weistner, SS-Unterscharführer, SDG* w Babicach w r. 1944, *SDG* Budy, podobóz kobiecy, od IX do XII. 1944 r., *SDG* w Rajsku od X do XI. 1944 r.

106. *Konrad Westweber, SS-Rottenführer*, pracował w *Higiene-Institut.*

106a *Xawer Widemann, SS-Rottenführer, SDG*, sądzony 9. III. 1946 w Krakowie.

107. *Anton Wilhelmy*, ur. 26. X. 1912, *SS-Stabsscharführer, Spies Diensteile, Standortarzt* do września 1942 r., był świadkiem w procesie frankfurckim.

108. *Martin Wilks*, ur. w r. 1916, *SS-Unterscharführer*, pracował u *Standortarzta.*

109. *Eduard Wirths*, ur. 4. IX. 1909, dr medycyny, *Standortarzt* w Oświęcimiu od IX. 1942 do 27. I. 1945 r., popełnił samobójstwo we wrześniu 1945 r.

110. *Franz Wloka*, ur. 8. V. 1888 r., *SS-Oberscharführer, SDG*, Eintrachthütte od VIII. 1944 do I. 1945, *SDG* w Bismarckhütte XII. 1944, *SDG* Sosnowiec VIII. 1944 r.

111. *Wohland*, ur. w r. 1915, *volksdeutsch* z Handlowej w Słowacji, *SDG* Budy, „Janina", od XI. 1944 do I. 1945 r.

112. *Wojziechowsky, SS-Rottenführer, SDG* w Goleszowie od IX do XI. 1944 r.

113. *Woźnica, SS-Rottenführer*, dezynfektor i *SDG.*

114. *Herbert Wuttke*, ur. 11. VI. 1905 r., dr medycyny, *SS-Untersturmführer*, lekarz obozowy w latach 1940—1941 w Oświęcimiu.

115. *Karl Zeiner, SS-Unterscharführer*, pracował w stacji dentystycznej, zasądzony w Krakowie 9. III. 1946 r. na 6 lat więzienia.

Przedstawiony wykaz uwzględnia większość esesmanów z oświęcimskiej „służby zdrowia".

TABELA III

Stopnie służbowe w SS

Stopień w *SS*	Odpowiednik w Wehrmachcie	Przekład polski
SS-Mann	*Soldat*	—
SS-Sturmmann	Grenadier	strzelec, szeregowy
Staffelanwaerter	—	—
SS-Sturmmann	*Gefreiter*	st. strzelec
SS-Rottenführer	*Obergefreiter*	st. strzelec
SS-Unterscharführer	*Unteroffizier*	kapral
SS-Scharführer	*Unterfeldwebel*	młodszy plutonowy
SS-Oberscharführer	*Feldwebel*	plutonowy
SS-Hauptscharführer	*Oberfeldwebel*	plutonowy sztabowy
SS-Sturmscharführer	*Stabsfeldwebel*	starszy plutonowy
SS-Standartenjunker	*Faehnrich*	chorąży
SS-Untersturmführer	*Leutnant*	podporucznik
SS-Obersturmführer	*Oberleutnant*	porucznik
SS-Hauptsturmführer	*Haupmann*	kapitan
SS-Sturmbannführer	Major	major
SS-Obersturmbannführer	*Oberstleutnant*	podpułkownik
SS-Standartenführer	*Oberst*	pułkownik
SS-Oberführer	*Brigadekommandeur*	brygadier
SS-Brigadeführer	*Generalmajor*	generał brygady
SS-Gruppenführer	*Generalleutnant*	generał dywizji
SS-Obergruppenführer	*General*	generał broni
SS-Oberstgruppenführer	*Generaloberst*	generał armii

Wyrok frankfurcki

W czasie od 20 grudnia 1963 do 19/20 sierpnia 1965 r. toczył się we Frankfurcie n. Menem przed Sądem Przysięgłych przy tamtejszym Sądzie Krajowym proces w sprawie Nr 4 Ks 2/63 przeciwko 20 członkom załogi *SS* obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Akt oskarżenia z dnia 16 IV 1963 Nr 4 JS 444/59 obejmował 24 oskarżonych, spośród których *Richard Baer* (1911) i *Heinrich Bischof* (1904) zmarli, a sprawa *Hansa Nierzwickiego* (1905) i *Gerharda Neuberta* (1909) została wyłączona z powodu choroby uniemożliwiającej im branie udziału w rozprawie. *Baer* był trzecim *(Höss, Liebehenschel)* i ostatnim (a także jedynym pozostałym przy życiu) komendantem Oświęcimia. Z racji jego stanowiska proces nazywał się początkowo sprawą przeciwko *Baerowi* i innym, po śmierci *Baera* toczył się jako proces przeciwko *Mulce* i innym.

Określenie to nabrało głębszego sensu przez podkreślenie w ustnych motywach wyroku, że proces, który nabrał rozgłosu w świecie jako „proces oświęcimski", był stale dla Sądu jedynie „procesem karnym przeciwko *Mulce* i innym". Oznacza to, że dla decyzji Sądu była miarodajna sama tylko wina oskarżonych. Sąd nie był powołany do przezwyciężania przeszłości, ani też do ustalania celowości samego procesu. „W zagadnieniu winy Sąd mógł badać i ustalać tylko winę kryminalną, to znaczy winę w ramach dyspozycji kodeksu karnego. Wina w sensie politycznym oraz w sensie moralnym i etycznym nie była przedmiotem rozważań Sądu". (Frankfurter Allgem. Zeitung z 20 VIII 1965).

Sam przedmiot i zakres postępowania dowodowego rozsadził te ramy zainteresowań Sądu, co doprowadziło do rozbieżności między zakresem ustaleń faktycznych, a zakresem faktów zakwalifikowanych i ocenionych przez Sąd według dyspozycji kodeksu karnego. Wynikiem pierwszych jest w opinii światowej „proces oświęcimski", rezultatem drugiego w rzeczywistości prawnej NRF — „proces *Mulki* i innych". Generalny Prokurator Hesji dr *Fritz Bauer* napisał na jego temat: „Sądy podjęły próbę rozbicia na epizody, w rodzaju zamordowania A przez X, B przez Y, C przez Z, takich totalnych zdarzeń, jak np. masowe wymordowanie milionów ludzi w obozach zagłady. Kierowano się chęcią udowodnienia poszczególnemu oskarżonemu w szczegółach jego indywidualnego działania. Takie postępowanie jest jednak gwałtem wobec zdarzeń, które nie były prostą sumą zdarzeń cząstkowych. To jurydyczne podejście odbiegało także całkowicie od tego, co jest w naszych procesach karnych zazwyczaj praktykowane, a nawet zgoła samo przez się zrozumiałe. Proces oświęcimski był na pewno najdłuższym z wszystkich procesów przed niemieckimi Sądami Przysięgłych, w rzeczywistości mógłby być jednym z najkrótszych. Sytuacja faktyczna i prawna była niezwykle prosta: Istniał rozkaz likwidacji milionów ludzi w Europie opanowanej przez nazistów; Oświęcim, Treblinka itd. były narzędziami mordu. Kto przykładał rękę do tych maszynerii mordu, stawał się winnym współudziału w morderstwie, bez względu na to, co robił. Zakłada się, że znał on cel tej maszynerii, co oczywiście u tych, którzy byli w obozach zagłady, albo mieli wiadomości o nich — od strażników do kierownictwa — nie budzi żadnej wątpliwości. Kto należy do bandy zbójców w stylu Schillera albo do bandy gangsterskiej typu „Murder Inc" jest — w co chyba nie wątpi żaden znawca prawa karnego w tym kraju — winnym mordu, bez względu na to, czy jako „Bos" wydaje zza biurka rozkaz mordowania, czy wydziela rewolwery, czy prowadzi przeszpiegi w terenie, czy własnoręcznie strzela, czy czuwa na straży, albo czy robi jeszcze coś innego, co w ramach podziału pracy zostało mu przydzielone jako jego zadanie. Od tej w tym kraju zwykle stosowanej — już młodemu prawnikowi dobrze znanej — praktyki, nasze procesy przeciwko nazistom wielekroć odbiegały prawdopodobnie w tym celu, aby zdarzenia kolektywne przez zatomizowanie i rozparcelowanie tych strasznych spraw sprywatyzować i rozładować" [1].

W związku z kwalifikacją prawną tak „rozparcelowanych" i „sprywatyzowanych" zdarzeń i spraw jako „pomocnictwa" pisze się — nawet w tamtejszych warunkach — między innymi co następuje: „Wizja, że za wszystkie te okropności ma być odpowiedzialny tylko jeden sprawca i 60 milionów pomocników, jest okropna. W rzeczywistości robi przecież wrażenie upiornej groteski twierdzenie, że to tylko *Hitler* sam i w pojedynkę zabiczował, zatratował, wystrzelał i wygazował te miliony ofiar, a niezliczeni samodzielni wykonawcy, którzy dziś wypełzają z cienia melin lub zapomnienia, mieli mu być w tym tylko pomocni. Ten makabryczny obraz jedynego nadsprawcy *(Übertäter)*, który dla milionów dzisiejszych ludzi jest już tylko imieniem i uosobieniem zła, otóż obraz takiego nadsprawcy skwapliwie obsługiwanego przez niezliczonych pomocników z niewyczerpanym zasobem własnej inicjatywy — ale rzekomo bez woli sprawstwa — zawdzięcza swoje powstanie jedynie sprzecznej z prawem konstrukcji" [2].

Efektem stosowania takich konstrukcji w praktyce sądowej NRF jest publikowany niżej wyrok z 19/20 sierpnia 1965 r. we frankfurckim „procesie *Mulki* i innych" Nr 4 Ks 2/63. Publikacja obejmuje tłumaczenie pełnego oficjalnego tekstu sentencji i nieoficjalnego stenogramu uzasadnienia wyroku w części doty-

---

[1] *F. Bauer:* In unserem Namen — w zbiorze wydanym przez *H. Hammerschmidta:* Zwanzig Jahre danach. Monachium—Wiedeń—Bazylea, 1965, s. 301—314.

[2] *Sax:* Der BGH und die Täterlehre. Juristen-Zeitung 63, s. 329. Patrz również *H. Korn:* Täterschaft oder Teilnahme bei staatlich organisierten Verbrechen. Neue Juristische Wochenschrift, 1965, s. 1206.

czącej 6 funkcjonariuszy *SS* czynnych w „służbie zdrowia" obozu oświęcimskiego (oskarżeni 11—16). Fragment ten jest reprezentatywny dla całości uzasadnienia, które ludobójczy mord milionów ofiar Oświęcimia rozbija buchalteryjnie na małe konta poszczególnych oskarżonych i bilansuje te konta podanymi w sentencji karami.

Redakcja „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" w pełni podziela w zasadzie powszechną opinię publiczną, że taki buchalteryjny rozrachunek z *Mulką* i innymi oskarżonymi nie przyniósł rzeczywistego rozrachunku sądownictwa NRF z faszystowsko-zbrodniczą przeszłością Oświęcimia. Powierzchowna diagnoza zbrodniczego fenomenu oświęcimskiego doprowadziła do zastosowania cząstkowo-objawowych środków terapeutycznych, co musi prowadzić do niepomyślnej prognozy także w kierunku profilaktycznego zabezpieczenia ludzkości przed recydywą faszyzmu z immanentnym mu Oświęcimiem.

Sentencja wyroku:

W Imieniu Narodu!

A. I. Są winni:

1. oskarżony *Robert Karl Ludwig Mulka* (1895) wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw, popełnionych w co najmniej 4 przypadkach, w każdym przypadku na co najmniej 750 ludziach,
2. oskarżony *Karl Höcker* (1911) wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw, popełnionych w co najmniej 3 przypadkach, w każdym przypadku na co najmniej 1000 ludzi,
3. oskarżony *Friedrich Wilhelm Boger* (1906) morderstwa w co najmniej 114 przypadkach oraz wspólnego pomocnictwa do wspólnie popełnionych morderstw co najmniej 1000 ludzi i dalszego przypadku wspólnego pomocnictwa do wspólnie popełnionych morderstw co najmniej 10 ludzi,
4. oskarżony *Hans Stark* (1921) wspólnych morderstw, popełnionych w co najmniej 44 przypadkach, z tego w jednym przypadku na co najmniej 200, a w innym na co najmniej 100 ludziach,
5. oskarżony *Klaus Hubert Hermann Dylewski* (1916) wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw, popełnionych w co najmniej 32 przypadkach, z tego w dwóch przypadkach na co najmniej 750 ludziach w każdym,
6. oskarżony *Pery Broad* (1921) wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw, popełnionych w co najmniej 22 przypadkach, z tego w 2 przypadkach na co najmniej 1000 ludzi w każdym,
7. oskarżony *Bruno Schlage* (1903) wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw w co najmniej 80 przypadkach,
8. oskarżony *Franz Johann Hofmann* (1906) morderstwa w jednym przypadku, wspólnych morderstw w co najmniej 30 przypadkach oraz wspólnych morderstw w co najmniej 3 dalszych przypadkach, popełnionych w każdym na co najmniej 750 ludziach,
9. oskarżony *Oswald Kaduk* (1906) morderstw w 10 przypadkach i wspólnych morderstw w co najmniej 2 przypadkach, popełnionych w jednym na co najmniej 1000 ludzi, w drugim — na co najmniej 2 ludziach,
10. oskarżony *Stefan Baretzki* (1919) morderstw w co najmniej 5 przypadkach oraz wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw popełnionych w co najmniej 11 przypadkach, z tego w jednym na co najmniej 3000 ludzi, w każdym z dalszych 5 na co najmniej 1000 ludzi, a w każdym z pozostałych 5 na co najmniej 50 ludziach,
11. oskarżony dr med. *Franz Bernard Lucas* (1911) wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw, popełnionych co najmniej w 4 przypadkach, w każdym na co najmniej 1000 ludzi,
12. oskarżony dr *Willi Frank* (1903) wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw, popełnionych co najmniej w 6 przypadkach, w każdym na co najmniej 1000 ludzi,
13. oskarżony dr *Victor Capesius* (1907) wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw, popełnionych w co najmniej 4 przypadkach, w każdym na co najmniej 2000 ludzi,
14. oskarżony *Joseph Klehr* (1904) morderstw w co najmniej 475 przypadkach oraz wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw popełnionych w co najmniej 6 przypadkach, z tego w każdym z 2 przypadków na co najmniej 750 ludziach, w trzecim na co najmniej 280 ludziach, w czwartym na co najmniej 700 ludziach, w piątym na co najmniej 200 ludziach i w szóstym na co najmniej 50 ludziach,
15. oskarżony *Herbert Scherpe* (1907) wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw w co najmniej 200 przypadkach i dalszego przypadku wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw, popełnionych na co najmniej 700 ludziach,
16. oskarżony *Emil Hantl* (1902) wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw w co najmniej 40 przypadkach i 2 dalszych przypadków wspólnego pomocnictwa do wspólnych morderstw, popełnionych w każdym na co najmniej 170 ludziach,
17. oskarżony *Emil Bednarek* (1907) morderstw w 14 przypadkach.

II. Dlatego też — przy uniewinnieniu od pozostałych zarzutów aktu oskarżenia — zostają skazani:

1. oskarżony *Mulka* na łączną karę 14 lat ciężkiego więzienia,
2. oskarżony *Höcker* na łączną karę 7 lat ciężkiego więzienia,

3. oskarżony *Boger* na karę dożywotniego ciężkiego więzienia oraz na łączną karę 5 lat ciężkiego więzienia,
4. oskarżony *Stark* na 10 lat kary dla nieletnich,
5. oskarżony *Dylewski* na łączną karę 5 lat ciężkiego więzienia,
6. oskarżony *Broad* na łączną karę 4 lat ciężkiego więzienia,
7. oskarżony *Schlage* na łączną karę 6 lat ciężkiego więzienia,
8. oskarżony *Hofmann* na karę dożywotniego ciężkiego więzienia,
9. oskarżony *Kaduk* na karę dożywotniego ciężkiego więzienia,
10. oskarżony *Baretzki* na karę dożywotniego ciężkiego więzienia oraz na łączną karę 8 lat ciężkiego więzienia,
11. oskarżony dr *Lucas* na łączną karę 3 lat i 3 miesięcy ciężkiego więzienia,
12. oskarżony dr *Frank* na łączną karę 7 lat ciężkiego więzienia,
13. oskarżony dr *Capesius* na łączną karę 9 lat ciężkiego więzienia,
14. oskarżony *Klehr* na karę dożywotniego ciężkiego więzienia oraz na karę łączną 15 lat ciężkiego więzienia,
15. oskarżony *Scherpe* na łączną karę 4 lat i 6 miesięcy ciężkiego więzienia,
16. oskarżony *Hantl* na łączną karę 3 lat i 6 miesięcy ciężkiego więzienia, którą odbył on przez dotychczasowy areszt śledczy,
17. oskarżony *Bednarek* na karę dożywotniego ciężkiego więzienia.

III. Pozbawia się obywatelskich praw honorowych:

1. oskarżonych *Bogera, Hofmanna, Kaduka, Baretzkiego, Klehra* i *Bednarka* na zawsze,
2. oskarżonego *Mulkę* na 10 lat,
3. oskarżonego *Schlage* na 6 lat,
4. oskarżonych *Höckera*, dr *Franka*, dr *Capesiusa* każdego na 5 lat,
5. oskarżonych *Dylewskiego, Broada* i *Scherpego* każdego na 4 lata,
6. oskarżonego *Hantla* na 3 lata.

IV. Oskarżonym: *Mulka, Höcker, Boger, Stark, Dylewski, Broad, Schlage, Baretzki*, dr *Lucas*, dr *Frank*, dr *Capesius, Klehr* i *Scherpe* zalicza się na poczet orzeczonych kar czasowego pozbawienia wolności okresy policyjnego i śledczego aresztowania w niniejszej sprawie.

B. Oskarżonych *Johanna Schobertha* (1922), *Johanna Artura Breitwiesera* (1910) i dr *Willi Ludwiga Schatza* (1905) uniewinnia się.

C. Oskarżeni ponoszą koszty postępowania w zakresie objętym skazaniem, w pozostałym zakresie koszty obciążają kasę państwową.

Z uzasadnienia wyroku:

Dr Franz Lucas

Tłumaczenie oskarżonego, że był on w Oświęcimiu tylko około 5 miesięcy, nie może odpowiadać prawdzie. Sąd uważa za udowodnione, że dr *Lucas* pełnił służbę w Oświęcimiu przez około trzy kwartały.

Oskarżony początkowo zaprzeczył, jakoby miał pełnić służbę na rampie, pod koniec procesu przyznał, że dwa lub trzy razy selekcjonował na rampie. Według wielu zeznań, w szczególności zaś zeznań świadka *Müllera, Paisikowica* i wyjaśnień oskarżonego *Hofmanna*, według pisemnych relacji komendanta obozu *Hössa* i według wiele mówiącego dziennika lekarza obozowego *Kremera* — lekarz, który pełnił służbę przy selekcji na rampie, pełnił ją następnie także przy komorze gazowej. *Paisikowic* zaświadczył, że zawsze lekarz patrzył przez wziernik.

Na podstawie zeznań *Otto Kulki, Barcza* i *Paisikovica*, który rozpoznał dr *Lucasa* na sali sądowej, sąd przyjmuje za udowodnione, że dr *Lucas* co najmniej cztery razy selekcjonował i następnie pełnił także służbę przy komorze gazowej. Ponieważ działo się to w czasie węgierskich transportów, przyjmuje się, że w każdym przypadku co najmniej 1000 ludzi utraciło życie.

Inne zeznania wydają się sądowi nieprzydatne pod względem dowodowym. Należą tu zeznania świadka *Zelamnowic*, która wskazała na fotografii kogoś innego jako dr *Lucasa*, świadka *Goldman*, która robi wrażenie tak chorej i rozstrojonej nerwowo, że jej zeznania nie stanowią dostatecznie pewnej podstawy skazania, świadka *Gibiana*, który miał widzieć dr *Lucasa* w połowie października 1944 r. na rampie, podczas gdy świadek dr *Szymański* już w sierpniu widział oskarżonego w obozie koncentracyjnym w Mauthausen, w końcu należą tu zeznania holenderskich świadków de la *Penka, Korber* i van der *Hock*. Twierdzenie, że dr *Lucas* miał być zmuszany do pełnienia służby na rampie przez komendanta Brzezinki *Kremera*, uważa sąd za manewr obronny. Również wyjaśnienia współoskarżonego *Bogera* wydają się nieprzydatne do potwierdzenia tego. Nie można było ustalić, czy miał miejsce akt łamania woli dr *Lucasa*. Jego zachowanie wykazuje wszelako, że nie zgadzał się on z zagładą ludzi. Dr *Lucas* pomagał chorym więźniom i w końcu w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück ocknął się i odmówił selekcji. Sąd przyjmuje, że został on wplątany w to, co się działo i nie miał siły wyłamać się z tego. Ponieważ oskarżony przyznał się do winy i okazał zrozumienie znaczenia czynu, można było orzec za każdy z czterech aktów pomocnictwa w morderstwie najniższą karę po 3 lata ciężkiego więzienia. Kary te łączy się w jedną karę łączną 3 lat i 3 miesięcy ciężkiego więzienia.

Dr Victor Capesius

Sąd uważa za udowodnione, że dr *Capesius* pełnił służbę na rampie. Abstrahując od innych świadków, którzy potwierdzili, że był on przydzielony do tej służby, okazuje się to udowodnione zeznaniami owych świadków, którzy znali oskarżonego już dawniej. Zeznanie świadka *Nebel* jest dowodem tego, że *Capesius* selekcjonował na rampie. Zeznania świadka *Pajora* są również wiarygodne. Wydarzenie,

o którym *Pajor* zeznał przed sądem, opisał on pewnemu dziennikarzowi już w 1946 r. Także świadectwo *Schilingera* wydaje się wiarygodne. Dowodzi ono, że dr *Capesius* działał na rampie nie tylko zgodnie z rozkazami, ale także współdziałał przy selekcjach z podstępem. Informacje świadka dr *Krauszowej* dokumentują, że oskarżony wyzyskiwał naiwność ludzi przybyłych na rampę. Także świadkowie dr *Böhm, Salamon* i dr *Berner* relacjonowali sądowi o pewnej selekcji, przy której wprawdzie *Capesius* sam nie selekcjonował, lecz tylko tłumaczył rozkazy. Zeznania świadka *Ley* nie stanowią żadnego przeciwdowodu, zwłaszcza że brzmią one bardzo nieprawdopodobnie. Na podstawie powyższych danych sąd uznaje za udowodnione, że dr *Capesius* selekcjonował co najmniej czterokrotnie.

W stosunku do danych pochodzących od innych świadków sąd przyjął najdalej idącą ostrożność. W opisach świadków *Szabo, Adama, Glücka, Sebestyén* i *Ehrenfeld* przejawiają się sprzeczności. Toteż sąd zeznań tych nie podzielił.

Świadek *Paisikovic* rozpoznał dr *Capesiusa*, nie znając jego nazwiska. Gdyby chciał świadomie niesłusznie obciążyć oskarżonego, jak imputuje obrona, to świadek ten nie byłby go określił jako lekarza, lecz jako aptekarza i wymienił jego nazwisko. Przy kontroli tych zeznań sąd doszedł do wniosku, że świadek starał się tu powiedzieć prawdę. Opis bliższych okoliczności podniósł wiarygodność tego świadka. Jego zeznania znajdują potwierdzenie u innych świadków, którzy widzieli dr *Capesiusa* odjeżdżającego samochodem sanitarnym (Sanka) w kierunku Brzezinki. Ponieważ *Paisikovic* widział dr *Capesiusa* kilkakrotnie przy komorach gazowych, przyjmuje się, że oskarżony był tam czynny przynajmniej dwukrotnie.

Jeśli chodzi o oskarżenie z powodu eksperymentu z jakimś środkiem leczniczym, to uzyskanie wyjaśnienia nie było możliwe. Zeznania nie były zgodne, a zamiar zabójstwa był także nie do ustalenia. W tym przypadku następuje uniewinnienie z powodu braku dostatecznych dowodów winy. Z tego samego powodu uniewinnia się dr *Capesiusa* od zarzutu wydawania fenolu, ponieważ nie można było jednoznacznie ustalić, czy w 1944 roku, kiedy to oskarżony był kierownikiem apteki, w Oświęcimiu zabijano jeszcze zastrzykami fenolu. Nie może również nastąpić skazanie z powodu współudziału w selekcjach obozowych, ponieważ w związku z zeznaniami świadków dotyczącymi tego zarzutu nasunęły się wątpliwości. I tak, zeznania świadka *Glücka* nie mogły zostać potwierdzone przez świadka dr *Bejlina*, który robi wrażenie bardzo wiarygodnego, mimo że świadek ten musiałby był osobiście przeżyć opisane (przez *Glücka*) zdarzenia.

Ponieważ dr *Capesius* twierdził, że lekarz garnizonowy dr *Wirths* zmusił go do pełnienia służby na rampie, zbadano, czy oskarżony może się powoływać na stan wyższej konieczności spowodowany rozkazem. Ponieważ dr *Wirths* zwolnił świadka dr *Müncha* od służby na rampie, choć ten jako lekarz na pewno znacznie lepiej nadawał się do tych celów niż aptekarz — musi się traktować twierdzenie dr *Capesiusa* za niewiarygodny manewr obronny.

Dla obrazu osobowości oskarżonego istotne znaczenie mają zeznania, które dowodzą, że dr *Capesius* wzbogacił się mieniem zamordowanych. Zeznali o tym przede wszystkim świadkowie *Sikorski, Prokop* i *Szewczyk*. Ponieważ żaden inny oskarżony nie został obciążony tego rodzaju zarzutami, sąd dochodzi do wniosku, że dr *Capesius* wzbogacił się w rozmiarach, które nawet w Oświęcimiu rzucały się w oczy.

Ponieważ dr *Capesius* nie był żadnym fanatykiem ani gorliwcem i pomógł świadkowi dr *Böhm*, przeto sąd przyjmuje, że nie zebrano dowodów świadczących o tym, iżby ten oskarżony sam chciał zabójstw. Należy go zatem uznać winnym pomocnictwa. W każdym razie udowodniono, że spowodował on, iż ludzie sami ustawiali się w szeregach tych, którzy byli przeznaczeni na śmierć. Nie można mu też uwierzyć, że zrobił wszystko, aby wydostać się z Oświęcimia. Wreszcie nie wahał się on wzbogacić mieniem pomordowanych.

Dlatego uznaje się dr *Capesiusa* winnym pomocnictwa do morderstw dokonanych wspólnie z innymi w czterech przypadkach. Przyjmuje się, że w transportach z Węgier, które oskarżony selekcjonował, było deportowanych w co najmniej 40 wagonach po 70 osób, tak że jeden transport liczył co najmniej 2500 ludzi. Jeśli się przyjmie, że 20% było wybieranych do obozu, to wynika, iż przy każdej wykonywanej przez dr *Capesiusa* selekcji najmniej 2000 ludzi znalazło śmierć w komorze gazowej. Za każdy z tych czterech przypadków wymierza się karę 6 lat. Przez ich złączenie wymierza się karę łączną 9 lat ciężkiego więzienia. Pozbawia się oskarżonego praw honorowych na okres 5 lat.

Dr Willi Frank

Twierdzenie oskarżonego, jakoby miał on być na rampie tylko celem zabezpieczenia materiału dentystycznego, zbijają zeznania świadka *Rosenstocka*, którym należy przyznać bezwzględne pierwszeństwo przed wyjaśnieniami dr *Franka*. Świadek ten znał dobrze dr *Franka* i rozpoznał go dokładnie, gdy *Frank* selekcjonował na rampie. Zemsta osobista jako motyw fałszywego zeznania odpada, ponieważ *Rosenstock* był zawsze przez *Franka* dobrze traktowany. *Rosenstock* zaświadcza, że widział jak dr *Frank* sześć razy selekcjonował i przynajmniej jeden raz podążał za ofiarami do krematorium. Ponieważ świadek *Müller* widział dr *Franka* w krematoriach co najmniej dwa razy i ponieważ zarówno komendant *Höss*, jak i *Broad* w swoich pisemnych relacjach przedstawili, że służba przy komorach gazowych należała do obowiązków przydzielonego lekarza, należy uznać za udowodnione, że dr *Frank* co najmniej dwa razy nadzorował proces zabi-

jania ludzi w komorach gazowych. Wprawdzie dr *Frank* prosił raz lekarza garnizonowego dr *Wirthsa* o przeniesienie, sąd jest jednak zdania, że nie zrobił on wszystkiego celem uchylenia się od współdziałania w morderstwach. Dr *Münch* osiągnął to w rozmowie ze swoim przełożonym, mimo że nie był ani „starym bojownikiem" (partyjnym), ani *obersturmführerem*, jak dr *Frank* w owym czasie. Ponadto dr *Frank* znał się osobiście ze swoim przełożonym dr *Pookiem*. Dlatego sąd obciąża go zarzutem, że nie zrobił wszystkiego, aby uwolnić się od tych strasznych przeżyć. Jako „stary bojownik" mógł on już otworzyć usta. Gdyby celowo i wytrwale dążył do odejścia, byłoby to dla niego możliwe. Ponieważ nie ujawniono jego żadnego osobistego interesu ani szczególnej gorliwości, przeto należy dr *Franka* skazać za pomocnictwo. Liczni świadkowie potwierdzili, że zachowywał się on w stosunku do nich pozytywnie. Nie był oprawcą ludzi. Nie wykazano jednak również, aby starał się tak aktywnie — jak *Lucas* — łagodzić los więźniów.

Dr *Frankowi* udowodniono 6 przypadków wspólnie z innymi. W każdym poszczególnym przypadku wydano na śmierć co najmniej 1000 ludzi. Za każdy przypadek orzeka się karę 5 lat, która łączy się w karę łączną 7 lat ciężkiego więzienia. Utrata obywatelskich praw honorowych rozciąga się na 5 lat.

Dr Willi Schatz

Oskarżony podał, że miał się tylko kręcić na rampie i nie brać czynnego udziału. Żaden świadek nie zeznał z pewnością, że dr *Schatz* selekcjonował na rampie. Dlatego nie można było się dowiedzieć, jakie czynności on tam wykonywał. Oczywiście zachodzi nadal całkiem uzasadnione podejrzenie, że dr *Schatz* — tak jak inni lekarze *SS* — selekcjonował. Mimo to nie można wykluczyć, że mógł on się cichaczem od tego wykręcać.

W tym stanie rzeczy — po wielogodzinnej naradzie, mimo bardzo poważnych wątpliwości — musiał sąd oskarżonego uniewinnić z braku dostatecznych dowodów.

Joseph Klehr

Przez zeznania wielu świadków, przede wszystkim zaś przez zeznania *Pysia*, *Golika* i *Lilla* wykazano, że *Klehr* brał udział w zagazowaniach w małym krematorium. Przyjmuje się na korzyść oskarżonego, że przeprowadził on takie zagazowania dwa razy i że za każdym razem co najmniej 50 osób utraciło życie. Liczbę tę przyjęto za podstawę dlatego, że nie można było ustalić, jak często *Klehr* brał czynny udział w takich akcjach. W jednej akcji tego rodzaju nie zabijano zaś nigdy mniej niż 50 osób. W innym przypadku przyjmuje się na podstawie zeznań liczbę 200 ofiar. Fakt, że *Klehr* współdziałał w selekcjach na rampie, jest udowodniony między innymi przez zeznania świadków *Pysia* i *Golika*. Wielu świadków potwierdziło, że ten oskarżony selekcjonował w *HKB*[3] samodzielnie. Dosadnie opisuje taki przypadek świadek *Gawalewicz*. Wielu świadków przedstawiło zgodnie, że *Klehr* współdziałał w akcji 29 sierpnia 1942 r., w ramach której około 700 chorych zaprowadzono do komór gazowych. W tym przypadku był rozkaz z Berlina, jednak zostało udowodnione, że *Klehr* z zapałem i energią troszczył się o to, aby wszystkie ofiary odeszły. Co do szeregu dalszych selekcji, które — według zeznań wielu świadków — *Klehr* przeprowadził, nie ma żadnego punktu oparcia przypuszczenie, że te czyny oskarżonego zostały dokonane na podstawie rozkazów. Wprost przeciwnie, liczni świadkowie — m. in. *Gawalewicz* i dr *Paczuła* — zeznali, że *Klehr* decydował samodzielnie. Przez zgodne zeznania świadków dr *Paczuły*, dr *Kłodzińskiego*, *Głowy* i *Reinecka*, który sam asystował *Klehrowi*, zostało także udowodnione, że oskarżony na Boże Narodzenie 1942 r. przeprowadził w *HKB* selekcje. Liczbę ofiar przyjmuje się na co najmniej 200. Zeznania dr *Kłodzińskiego*, że *Klehr* lubił okrągłe liczby i dlatego z własnej inicjatywy przy akcjach zagłady wybierał na śmierć, wydają się sądowi podobnie przekonywające, jak zeznania dr *Fejkla*.

Klehr podał, że w ciągu trzech miesięcy zabił 250 więźniów zastrzykami fenolu. Liczni świadkowie zeznali, że liczba zamordowanych miała być znacznie większa, lecz ich dane liczbowe poważnie od siebie odbiegają. Sąd uważa dalej za udowodnione, że *Klehr* zamordował co najmniej jedną kobietę za pomocą zastrzyku. Przypadek ten jest wymieniony w dzienniku lekarza obozowego *Kremera*. Tak samo udowodnione wydaje się sądowi zabicie rosyjskiego komisarza, o czym zeznał świadek *Głowa*. Ponieważ w tych przypadkach zabicie ludzi odbyło się tak podstępnie, przeto wykazano w nich *Klehrowi* współsprawstwo, a nie tylko pomocnictwo. To samo odnosi się do zamordowania dwóch kobiet, o czym zeznał *Głowa*. Sąd przychyla się także do zeznań świadka dr *Fejkla*, który stwierdził, że *Klehr* po „sporcie" zabił więźnia dr *Samsona*.

W sześciu przypadkach kwalifikuje się czyny *Klehra* jako pomocnictwo: przy obydwóch zagazowaniach, w czasie których co najmniej 200 i 50 ludzi zostało zamordowanych, przy dwóch selekcjach na rampie, w czasie których za każdym razem co najmniej 750 ludzi zostało przeznaczonych na śmierć, nadto przy zabiciu 700 chorych w dniu 29 sierpnia 1942 r. i przy skierowaniu na śmierć 280 chorych, o czym zaświadczył *Gawalewicz*. W tych sześciu akcjach poniosło śmierć co najmniej 2730 ludzi. Ponieważ pomocnictwo *Klehra* było szczególnie skwapliwe, wymierza się mu za każdą akcję karę 8 lat, które łączy się w jedną karę łączną 15 lat ciężkiego więzienia.

Podjawszy własną decyzję, *Klehr* zabił nie mniej niż 475 ludzi. Jeżeli się uwzględni liczbę trujących iniekcji, które on przyznał i niewąt-

[3] *Häftlings-Krankenbau* — szpital obozowy

pliwie udowodnione przypadki zabójstw, to *Klehr* zabił z własnej woli przynajmniej 475 ludzi. W tych przypadkach działał on z własnej gorliwości, szczególnie podstępnie i bez rozkazu. Jest więc właściwym sprawcą. Za każde z tych morderstw skazuje się *Klehra* na karę dożywotniego ciężkiego więzienia. Pozbawia się go na całe życie obywatelskich praw honorowych.

Herbert Scherpe

Nie można było ustalić z pewnością, że *Scherpe* samodzielnie selekcjonował w *HKB*. W dużej akcji niszczycielskiej 29 sierpnia 1942 r. współdziałał on tylko o tyle, o ile stał przy tym. Otrzymał taki rozkaz. Nie można było jednoznacznie wyjaśnić, czy *Scherpe* później przeprowadzał selekcje do komór gazowych w podobozie Goleszów. Ponadto z tego powodu nie wniesiono przeciwko niemu oskarżenia. Przy zabijaniu za pomocą zastrzyków fenolu, za które pociągnięto *Scherpego* do odpowiedzialności, musi się — z braku innych dowodów — wyjść z założenia, że ofiary wybierał lekarz *SS*. Zakładając najmniejsze liczby sąd przyjmuje, że oskarżony pełnił służbę w *HKB* obozu macierzystego przez 18 tygodni, że każdego tygodnia przeprowadzano po dwie akcje zabijania oraz że w czasie każdej z nich zamordowano co najmniej po 5 więźniów. W ten sposób *Scherpe* stał się winnym pomocnictwa przy zamordowaniu 180 ludzi.

Sąd uważa za udowodnione, że przynajmniej 20 dzieci z okolicy Zamościa zostało zamordowanych w obecności *Scherpego*. W tym przypadku chodzi niewątpliwie o mord. Wielu świadków stwierdziło zgodnie, że *Scherpe* nie zgadzał się wewnętrznie z tym czynem. Ostatecznie zdobył się nawet na odwagę, by zameldować się u lekarza garnizonowego dr *Wirthsa* i odmówić dalszego przeprowadzania tych mordów. To należy specjalnie zaliczyć na jego korzyść.

Scherpe jest zatem winnym pomocnictwa do morderstw w 200 przypadkach; do tego dochodzi współdziałanie w wielkiej akcji z 29 sierpnia 1942 r., którą ujmuje się łącznie jako dalszy przypadek. Za każdy akt tego rodzaju pomocnictwa otrzymuje *Scherpe* karę 3 lat i 3 miesięcy. Kary te łączą się w jedną karę łączną 4 lat i 6 miesięcy ciężkiego więzienia. Pozbawia się go obywatelskich praw honorowych na przeciąg 4 lat.

Emil Hantl

Oskarżony od pierwszego przesłuchania w śledztwie tłumaczy się stale jednako w ten sam sposób, że był jedynie obecny przy śmiertelnych zastrzykach w bloku nr 20, jednak sam nie uaktywnił się. Odnosi się to również do zamordowania dzieci z Zamościa. Twierdzenia tego nie można było jednoznacznie odeprzeć, ponieważ zeznania świadków wykazują różnice, a wielu ma tylko zasłyszane wiadomości. Zeznania dr *Głowackiego* i *Wörla* wydają się niepewne. Stoją one także w sprzeczności z zeznaniami świadka *Weissa*, który był obecny przy szprycowaniach *(Sprizungen)* i nie widział nigdy, aby *Hantl* własnoręcznie zabijał. Świadek *Sauer* nie mógł być osobiście przesłuchany przez sąd. Sąd przyjmuje za udowodnione, że *Hantl* brał udział przynajmniej w dwóch selekcjach w szpitalu obozowym, w czasie których zostało wybranych na śmierć co najmniej 170 ludzi. Nadzorował również co najmniej 8 akcji zabijania za pomocą zastrzyków fenolu. Przy każdej poniosło śmierć co najmniej pięciu ludzi.

Oskarżony był świadom, że czyny te były bezprawne. Zeznawał także w procesie w Weimarze jako świadek przeciwko *Grabnerowi*. Wielu świadków potwierdziło jednak, że brał on niechętnie udział w akcjach mordu. Wystawili mu oni zgodnie dobre świadectwo i podawali, że niektórym także pomagał. W tym stanie rzeczy należy więc uznać go winnym pomocnictwa do morderstwa popełnionego wspólnie z innymi.

Hantl jest człowiekiem prymitywnym. Nie jest on na tyle inteligentny, żeby znaleźć wyjście z sytuacji, w którą popadł w Oświęcimiu. Wydaje się udowodnione, że przy popełnianiu przestępstw miał on większe opory aniżeli jego współoskarżeni. *Hantl* jest winien pomocnictwa do morderstw w 42 przypadkach. Za każdy poszczególny przypadek orzeka się karę 3 lat, które składają się na karę łączną 3 lat i 6 miesięcy ciężkiego więzienia. Pozbawia się oskarżonego obywatelskich praw honorowych na przeciąg 3 lat.

„Oświęcim — to nie tylko symbol hańby tych, którzy ponoszą za to odpowiedzialność, oraz bohaterstwa tych, którzy walczyli przeciwko dyktaturze. Oświęcim — to również wielka świątynia ludzkiego miłosierdzia, która wzywa nas do poświęcenia naszego życia sprawie pokoju, sprawie wzajemnego zrozumienia między ludźmi i solidarności międzynarodowej. W obliczu tylu ofiar ludzkich, poświęconych w imię powszechnych ideałów, przestają istnieć wszelkie różnice. To, co łączy ze sobą zmarłych tutaj, jest o wiele ważniejsze aniżeli odmienność języka, narodowości i religii, które ich cechowały, gdy przekraczali próg tego strasznego miejsca".

Prezydent Włoch, Giuseppe Saragat. Fragment przemówienia wygłoszonego 16 października 1965 r. na terenie byłego obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka.

STANISŁAW PIGOŃ
były więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen nr 5299

Kraków

Wspominki z obozu w Sachsenhausen (1939—1940)

1. Uwaga wstępna

Tak się złożyło, że nie spisałem na gorąco i systematycznie wrażeń i świeżych obserwacji swych zaraz po powrocie z obozu w Sachsenhausen, gdzie mię „zabezpieczono" wraz z gronem profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w zimie 1939/1940 r. Stało się to zaś nie tyle przez opieszałość, ile z różnych powodów merytorycznych.

Najoczywistszy był ten, że wspomnienia takie nie wydawały się wtedy pilnie potrzebne. Spisywali je sumiennie i wnet po zakończeniu wojny ogłosili koledzy moi i współwięźniowie: *Władysław Konopczyński, Jan Gwiazdomorski, Stanisław Urbańczyk,* żeby pozostać przy najznaczniejszych. Po ich publikacjach we względzie informacji rzeczowych niewiele tam byłoby do dodania. Spisywać zaś doznania ściśle osobiste, rejestrować własne smutki i przerażenia, kusić się o pamiętnik duszy w utrapieniu — na cóż by się to komu tak wielce przydało? Któż ich wtedy nie miał?

Z czasem jednak ochota i potrzeba powrotu do tamtych spraw uprzytomniała mi się coraz natarczywiej. Relacje kolegów nie wydały sie ze wszystkim pełne. Mój kąt patrzenia był nieco odmienny. W przeżyciach obozowych i w snutych na ich kanwie refleksjach obchodził mię nie tylko przebieg wydarzenia i zewnętrzne jego perypetie, ale raczej ich swoisty refleks psychologiczny, zwłaszcza zaś moralny. Nie wypadki frapowały mnie przede wszystkim, ale raczej zagarnięci nimi ludzie, moi towarzysze obozowi, ich reakcje psychiczne ujawnione w owym *pandemonium,* rozmaite wyróżniające się tam postawy charakterów.

Typem zainteresowania obserwatorskiego zbliżałem się więc raczej do nastawienia, jakiemu dał świadectwo ks. *Konstanty Michalski* [1], tyle że w inną stronę zwróciłem uwagę. Jego obchodziły raczej przejawy rozpętanego bestialstwa, motory i wymiary okrucieństwa szalejącego wokół nas z natężeniem iście przerażającym. Przedwczesna śmierć nie pozwoliła filozofowi doprowadzić owych medytacji do końca, przerwała pracę w połowie realizacji. Mnie zaś wiodła uwaga gdzie indziej. Dzikiej furii rozwrzeszczanego okrucieństwa nie można było oczywiście zignorować, ale ponad nią więcej mię obchodziła dostrzegana raz po raz cicha siła przeciwstawianego jej oporu. Nie była ostentacyjna, ale ona przecież stanowiła tam istotę sprawy, nią to człowieczeństwo przeciwstawiało się zbójeckiemu rozbestwieniu. Więcej niż atak miałem więc na uwadze obronę, jej zawziętość wśród nas, różne przejawy odporności wewnętrznej.

Ale właśnie żeby w pełni ją rozeznać, wymierzyć i oszacować, potrzeba było dystansu czasowego. Oto przyczyna rezerwy. Ale przecież nie zatłumienia przeżyć druzgoczących, cóż z tego, że minionych...

Całe tamto doznanie wstrząsnęło nami wszystkimi do głębi istoty, nie sposób wydrzeć go z pamięci. Wciąż jeszcze przypomina się ów ponury, makabryczny koszmar, trudny do pojęcia. Z niesłabnącym przerażeniem wzdrygać się przychodzi na myśl, jakie to przepaści zła kryją się w naturze ludzkiej. Wracałem więc wiedziony niepozbytym przypomnieniem i wciąż drążącą refleksją w odmęty tamtej ohydy, zważając je to z tej, to z owej strony i starając się uprzytomnić je w pełni i wymierzyć. Tym dojmującym, a tak przecież natrętnym refleksjom próbowałem przygodnie dawać wyraz.

Może to będzie miało jakiś sens, może przyda się na co, jeżeli owe luźno i różnymi czasy szkicowane rozdziałki zbierze się tu w jedno. Nadużywając użyczonej mi łaskawie gościny na łamach „Przeglądu Lekarskiego" czynię to niniejszym, wiążąc te rozrzucone wspominki w jaki taki ład. Przy tej sposobności uzupełniam je, już to dodając ustępy nowe, już też wprowadzając do dawniejszych mniejsze lub większe interpolacje.

Panu profesorowi *Józefowi Boguszowi* jestem głęboko wdzięczny za wystąpienie ze stosowną inicjatywą i za życzliwą opiekę nad tak spojoną całością.

2. Pobratymiec

W pierwszych, jakie wnet po wojnie można było czytać, profesorskich wspomnieniach obozowych o Sachsenhausen, w szczegółowej opo-

[1] *K. Michalski:* Między heroizmem a bestialstwem. Kraków 1949.

wieści *Władysława Konopczyńskiego* [2] nie znalazłem nawet wzmianki o epizodzie, który mej pobudzonej pamięci nawija się u samego wstępu. Drobny on i jakby przypadkowy, a skłonny byłbym w trafie tym upatrywać głębsze znaczenie. Przykładałem doń zaraz wtedy szczególną uwagę, a teraz jeszcze *„er kommt mir nicht aus dem Sinn"*. Przytrafiło się tam mianowicie szczególne spotkanie.

Wspomniane przemilczenie go przez pamiętnikarza tłumaczy się w sposób prosty. Tak los chciał, że należałem w obozie do grupy więźniów innej niż prof. *Konopczyński:* jego umieszczono w baraku nr 45, nas wepchnięto w sąsiedni, nr 46. Baraki graniczyły ze sobą niemal o miedzę, ale stosunki wewnętrzne ułożyły się w nich dość odmiennie. I wrażenia więc musiały być odmienne.

Nasz gospodarz blokowy przydzielił do grupy profesorskiej niby swego plutonowego, ni to opiekuna, ni to stróża i pomocnika, jednego z zasiedziałych już mieszkańców bloku, *häftlinga Ziesche.* Więzień ten, wysoki i szczupły, o ujmującej inteligentnej twarzy, był — jak się wnet dowiedzieliśmy — adwokatem berlińskim. Do obozu zesłano go zaraz po wybuchu wojny, wnet wyszło na jaw: za jakie to zasługi.

Życzliwy, ochotny, on to stał się pierwszym naszym Wergilim na tamtejszym infernalnym obszarze. Wtajemniczał nas w tryb i arkana życia obozowego, w jego zasadzki i niebezpieczeństwa, wskazywał, jak ich w miarę możności przezornie unikać. Tłumaczył, jak tu należy pracować, kiedy się „kapo" przygląda, a jak, kiedy nie widzi; jak się zachować i jak odpowiadać, kiedy esesman zawoła przed swe wściekłe oblicze; przestrzegał przed pułapkami, jakie zastawiać zwykli na więźniów „wachterzy", by mieć pretekst do katowania czy uśmiercania itp. On też, gdyśmy odrabiali *Marsch- und Gelenksübungen,* starał się odprowadzić nas jak najdalej sprzed oczu dozorców-podoficerów. Odnosił się zaś do nas z wyjątkową sympatią, co w tej dzikiej kaźni musiało uderzać jako dziw nie do zapomnienia.

Nie to wszelako było tu najosobliwsze. Pozorny berlińczyk dr *Ziesche* w pierwszych zaraz słowach... zagadał do nas najczystszą polszczyzną. Nie tak aż, żeby spod jej brzmienia nie rozpoznać cudzoziemskiej intonacji, ale na ogół mówił biegle i prawie bez zarzutu. Skąd? Jak? Na nasze zapytanie odparł wesoło:

— Eh, ja znam Polskę lepiej może niż niejeden z Polaków.

Od lat już mianowicie spędzał on miesiące wakacyjne u nas jako turysta zamiłowany, wędrując od Tatr po Święty Krzyż, nie mówiąc o Krakowie czy Warszawie. Bo też w gruncie rzeczy nie tak bardzo był on berlińczykiem. Studiował prawo naturalnie w Niemczech, ale zahaczył też o Pragę i tam to właśnie przypadek fortunny skontaktował go z docentem doktorem *Henrykiem Batowskim,* a ten wnet rozniecił w nim ognisko niewygasającej sympatii dla Polski. Czepiec z „Wesela" określiłby to: „wyście to żarnych świc rozpalili z naszych lic". Odtąd też zaczęła się nauka języka polskiego, bogata lektura i owe wycieczki krajoznawcze młodego polonofila.

Prawdę mówiąc, ta inicjacja polonofilska była w tym wypadku ze wszech miar ułatwiona. Bo czas powiedzieć, że *Ziesche* nie był wcale Niemcem, był Łużyczaninem, bliskim więc naszym pobratymcem. Również nie tak bardzo był z niego *Ziesche.* To Niemcy narzucili mu to brzmienie dobrego nazwiska rodowego. Sam zwał się po prostu *Cyż,* a wywodził się z dawnej i zacnej linii *Cyżów* łużyckich. Jako działaczowi narodowemu słowiańskiemu rząd niemiecki nie pozwolił mu otworzyć kancelarii adwokackiej na ziemi ojczystej, musiał więc osiedlić się w Berlinie. I stamtąd zresztą nie przestawał być orędownikiem świadomości narodowej Łużyc, co mu właśnie od razu otwarło gościnne wrota obozu w Sachsenhausen.

Ciągnęło mię do tego pobratymca. Nazwisko *Cyż* nie było mi obce. Pamiętałem je skądeś z dawnej lektury i to nawijało mi się ono w jakimś czcigodnym skojarzeniu. W jakim? Wnet po powrocie mogłem to sprawdzić. By skojarzenie pochwycić, trzeba jednak cofnąć się niemal o stulecie.

* * *

W 1849 r., nagrzany jeszcze słońcem „wiosny ludów", z Lipska, gdzie bawił dla studiów, wybrał się na dłuższą wycieczkę po Łużycach młody *Teofil Lenartowicz.* Ciągnęło go tam niejedno. Najpierw koledzy ze studiów, Łużyczanie, ponętnie malowali mu urodę swego kraju i ofiarowywali w gościnie czym chata bogata. Pociągał go tam również druh po pieśni, młody *Roman Zmorski,* który na Łużycach był jak u siebie w domu; chodząc od wsi do wsi zbierał tam od niejakiego czasu pieśni i podania, pozawiązywał przyjaźnie literackie, inicjował nawet i prowadził zawiązki ruchu wydawniczego.

Wspominając tę wycieczkę po latach blisko czterdziestu, nie może się *Lenartowicz* obronić od wzruszenia. Jakżeż tam było uroczo; i krajobraz prześliczny, i ludzie życzliwi, i stara narodowość wykwitająca spod nawały niemieckiej jak kwiaty wiosenne spod śniegu. Witano go niemal jak na rodzinnym Mazowszu:

— *Pokwaleny Jesus Kristus!*

— *Do wiečnosti!*

Miłowano tam ziemię ojczystą, *„nasz srbski kraj, riany kraj"*, a Polaka przyjmowano z otwartym sercem.

Lenartowicz korzystał z tych zaprosin, zabawił czas dłuższy, miał postoje wytyczone u co wybitniejszych ówczesnych budzicieli ducha narodowego łużyckiego, u *Jana A. Smoleria, Imisza, Hiczki,* ks. *Broszki.* Zaczął jednak od innego, poszukał go na wsi. Wprost z Budziszyna udał się gdzieś w okolice Chocieborza, do ojcowizny młodego kolegi swego i przyjaciela z Lipska, właśnie *Cyża.* Druha-kolegi

[2] *W. Konopczyński:* Pod Trupią Główką (*Sonderaktion Krakau*). Tygodnik Powszechny, 1945, nr 3—17.

wprawdzie nie zastał w domu, ale z otwartym sercem przyjął go jego ojciec, „kmieć bogaty, istny Piast-pasiecznik". Zabawił też tam nasz poeta dobrych parę dni.

„U starego *Cyża* — wspominał po latach — rozkwaterowałem się w izdebce syna, w której znalazłem wszystkie wydania Maticy Czeskiej, biblię łużycką i różnych innych ksiąg zasób. Czytałem tedy po całych dniach... Spostrzegałem gospodarstwo i wzorowe życie tych patriarchalnych rodów... Praca, ale jaka! Od dnia do nocy, a wesoło, bo na własnej roli i około dobytku. Do dziś dnia pamiętam tego starca-pasiecznika, posiadacza około trzystu ulów, prostującego się przy stole i uroczyście, głosem podniesionym wzywającego błogosławieństwa bożego dla swojej rodziny. Przez ciąg mojej bytności nigdy w chacie tej nie usłyszałem lekkiego słowa" [3].

* * *

Któż to mógł przewidzieć, że nam wypadnie podjąć poniechany przez *Lenartowicza* wątek zażyłości, w takich terminach zadzierzgnąć go na nowo, że rozmowę przerwaną przez dziadów podejmą wnukowie, w tym samym zbrataniu przyjaznym, a tylko pod zgęszczonymi złowrogo chmurami niosącymi grozę zagłady. Z niejakim prawem można tu mówić o wypadku, który znaczył więcej niż pokazywał. Był w nim sens głębszy. Kolczaste druty obozowe wyznaczyły nam, jak i *Cyżowi*, naszą wiekową współdolę. Od lat tysiąca po równi szturmowała nas zachłanna zaborczość germańska. Byli bliżsi, więc ich napastliwiej. Od połowy XVII wieku wrogi zalew ogarnął Łużyce i już nie ustąpił. A przecież serc nie sięgnął, poczucia odrębności narodowej nie zdołał wytracić; przebudziło się ono żywiej w ciągu wieku XIX. Teraz zaś oto wróg dziedziczny wymierzał mu decydujące uderzenie. Dr *Cyż* był jego ofiarą, jak nią byliśmy tam i my. Z jakąż radością przychodzi uświadomić sobie, że wymierzony cios trafił nie w ofiarę, lecz w złoczyńcę.

Nie umiem powiedzieć, kiedy *Cyż* wyszedł z obozu. Czyżby dopiero na wiosnę 1945 roku? Nie wiem, jak wrócił w ojczyste strony i co tam znalazł. Przygodnie kiedyś zasłyszałem, że kaźń obozowa zrujnowała mu zdrowie i wnet jakoś przyprawiła o śmierć. Ale na pewno na starym pniu koło Chocieborza żyje jeszcze mocno osiadły ród *Cyżów* łużyckich, kmieci-pasieczników, z dziada-pradziada mający serce otwarte dla Polski. Nasze pobratymstwo obozowe może ten związek nieco umocniło? Byłby to drobny znak poświadczający historyczne przekleństwo złego czynu.

3. Ludzki głos w jaskini zbójców

Od momentu wywiezienia grona profesorskiego UJ do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen upłynęło już ćwierć wieku. Jako wydarzenie bezprzykładne w dziejach nauki fakt ów zajmuje wciąż jeszcze uwagę powszechną, dostarcza tematu do wspomnień opowiadanych czy spisywanych, pobudza do komentarzy historycznych i uczuciowych refleksji. W tym biegu rzeczy staje się zrozumiałe, że samo wydarzenie obrasta legendą. A legenda, jak z jej istoty wynika, nieuniknienie przestawia trochę wypadki, przesuwa czasem perspektywy, wydarzenia jedne wysuwa na światło, inne cofa w cień, inne wreszcie zupełnie zakrywa mrokiem. Nieunikniona to kolej rzeczy. Niekiedy dzieje się to z korzyścią dla prawdy (gdy np. wypływają nowe szczegóły), ale nierzadko i z jej ujmą, z uszczerbkiem dla należytego oszacowania wydarzeń historycznych, dla sprawiedliwości dziejowej. Ostatecznie uwydatnienie należyte tego czy owego momentu zależy niekiedy od obrotów losu. Czasem on fortunny, ale bywa i niewydarzony. W tym wypadku — szkoda! Szkoda nawet wtenczas, gdy ta ujma dotyczy drobiazgu. Któż raz na zawsze oceni i przesądzi, że to drobiazg małoznaczny; czy z innej zważony strony nie nabierze on kiedy większego znaczenia?

Takie względy skłaniają mnie, że sięgam do (mierzchnących już przecie) zasobów pamięci, żeby wydobyć z nich parę tamtoczesnych momentów, zapewne drobnych, ale jakoś znamienniej z sobą związanych, a ważnych tym równie, że mi się jakoś głębiej tam zapisały, a więc może niekoniecznie błahych. W każdym razie dla mnie wtenczas wydały się dużej wagi.

Koniec naszej anabazy obozowej wyglądał tak: Była już noc, kiedyśmy pociągiem z Wrocławia dojechali do stacji końcowej. Wypędzono nas z wagonów, ustawiono w szeregi i pchnięto w drogę. Odległość obozu od stacji była dość znaczna. W ciemności przeszywanej co chwila oślepiającymi nas błyskami silnych latarek elektrycznych, obskoczeni wokół strażnikami, brnęliśmy — jak to tam było zwyczajne — biegiem, potykając się, popędzani wrzaskami eskorty. Starsi, chorzy na serce, słabli i wywracali się, co wywoływało chwilowe zamieszanie, zanim upadłego wykopnięto poza szereg i powleczono osobno.

Przybyłych w obręb obozu ustawiono na placu przed kancelarią, sprawdzono komplet transportu, rozsortowano: księży osobno, Żydów osobno, a pozostałych rozdzielono na cztery części, by ich dokwaterować do mocno już zaciżbionych baraków (bloków) 45 i 46. Gościnności ani współczucia przy tym nikt nam tam oczywiście nie okazywał. Przeprowadzono przez „izbę przyjęć", tam przebrano w pasiaki. Już w tej potrzebie nie obyło się bez wybuchów dzikości. Docenta *Stefana Harasska* zbito, bo obuwając przydzielone ciasne chodaki oparł się na chwilę o ścianę. Jednemu z młodych księży rozwścieczony „wachman" zerwał siłą z szyi łańcuszek z krzyżykiem, a piastowany przezeń w ręce brewiarz zdarł na strzępy i stratował butami. Nie im zresztą jednym dostało się takie powitanie. To było dopiero preludium.

W naszym baraku (45) zastaliśmy tłok mieszk-

[3] *T. Lenartowicz:* Wycieczka do klatki Czarnego Boga. Druk. Upominek. Książka zbiorowa na cześć *E. Orzeszkowej*. Warszawa 1893.

kańców, przeważnie Niemców, ale i Polaków, jakeśmy się wnet dowiedzieli, spośród działaczy narodowych w Westfalii i na Pomorzu. Ciżbili się wszyscy koło nas, by zobaczyć, jak wyglądają ci *Professoren.* Weszliśmy w gromadę.

By przypadki, które chcę tu przedstawić, wyszły należycie jasno, muszę uczynić uwagę ogólniejszą. Obóz w Sachsenhausen istniał już od kilku lat. Wnet po przewrocie hitlerowskim założono go, pobudowano baraki, osadzano w nim przeciwników politycznych partii, głównie komunistów niemieckich. Już w pierwszych tygodniach wojny wymieciono tłumy nieprawomyślnych, czy podejrzanych o nieprawomyślność obywateli i również wepchnięto za druty. We wspólnej gromadzie znalazły się tysiące osobników najprzeróżniejszych, bo do więźniów politycznych dołączono: autentycznych ciężkich kryminalistów, przeróżnych sekciarzy, próżniaków i wagabundów *(arbeitsscheue,* wśród nich Cyganie), a nawet był osobny barak dla „upadłych aniołów", tzn. gestapowców, wyrzuconych z szeregu za jakieś tam przewiny.

W takich warunkach nie mogło być tak, jak się potocznie zwykło mniemać, że za drutami mieścili się tylko cnotliwi męczennicy w pasiakach i znęcający się nad nimi szatani w mundurach. Także wśród więźniów nie brakło ćwierć- czy pół-, czy choćby potencjalnych diabłów. Nie działo im się tak źle. Swój swego rychło rozeznał. Komenda obozu przy rozrastających się zadaniach potrzebowała pomocników i dobierała ich spośród więźniów. W szczupłym zakresie utworzyli coś jakby pajęczą tkaninę nikłego samorządu więziennego. Powstała niby-hierarchia owych w jakimś zakresie upełnomocnionych pomocników. Istniał więzień-zwierzchnik *(der Lagerälteste),* gospodarz baraku *(Blockälteste),* dozorca izby *(Stubenälteste),* a nawet stołu *(Tischälteste);* poza tym pomocnicy porządkowi. Podobnie w dziale administracyjnym: pomocnicy kancelaryjni, gospodarz magazynu, krawcy, kucharze, sanitariusze itd. Każdy z szczęśliwych wybrańców uzyskiwał wraz z częścią obowiązków także część uprawnień, a w szczególności zabezpieczenie „władzy". Próba oporu, a cóż dopiero podniesienie ręki na takiego podwładcę była traktowana jako bunt i ściągała groźne konsekwencje. Ileż okazji do panoszenia się i nadużyć! Wystarczyło, żeby „upełnomocniony" był w baraku profosem od zamiatania czy zmywania posadzek, a już przy lada okazji rzucał rozkazy, a do nieochotnych zaraz stawał z pięścią. Raj dla wszelkiego rodzaju sadystów. Pole do bezkarnego wyżycia się bestialstwa — jak najszersze.

Im zyskowniejszy był przydział do zajęć, tym więcej tłoczyło się tam dobranych łotrów. Tacy np. „sanitariusze". Służba w ogrzanym rewirze, swoboda od apelów, aprowizacja wyjątkowa — było się do czego cisnąć. Ale też wybrańcy licytowali się w gorliwości wobec władz, zatem i w okrucieństwie. Mieli niby to być pomocni cierpiącym współwięźniom. Upraszczali sobie to zadanie, chorego traktowali jak śmieć uprzykrzoną. W obozie, gdzie podstawą odżywienia była nadgniła brukiew, nagminnie grasowała krwawa biegunka. Otóż chorego, nie mogącego już utrzymać się na nogach, a zatem i ukalanego, oczyszczali puszczając nań z hydrantu strumień lodowatej wody. O katowaniu chorych dochodziło do nas też niejedno i nie okazywało się zmyśleniem. Kiedy wdowa po prof. *Feliksie Rogozińskim,* zawiadomiona o śmierci męża, zdążyła jeszcze po przyjeździe oglądać jego zwłoki, dostrzegła na skroni zmarłego głęboką ranę, zadaną najwyraźniej butem. Zapytany strażnik przerwał na chwilę gwizdaną wesołą piosenkę i odparł:

— Najwyraźniej musiał się przewrócić...

Do najbrutalniejszych (*nb.* przy moim baraku) należeli również kucharze. Głodu oczywiście nie cierpieli, nie brakło im sił do znęcania się nad osłabionymi, toteż ich używali. Nie szło się tam z ochotą. Pewnego dnia z naszej izby poszli z kubłami po obiad prof. *Adam Heydel* z kimś drugim. Za chwilę wrócili sponiewierani, posiniaczeni i bez młóta zwanego *Eintopfgericht.* Gdzieś widocznie stanęli w szeregu nie jak należało, czy się z czymś odezwali. Kaci obozowi posługiwali się więc podkatami i chętnych znajdowali do woli wśród więźniów. Stopień uciążliwości pobytu w baraku zależał wiele od charakteru jego gospodarza i pomocników, a więc właśnie od współwięźniów.

Czasem trafiały się tu wyjątki.

Wróćmy teraz do przebiegu naszej inicjacji obozowej. Przebranych już i odpowiednio sterroryzowanych wepchnięto nas do izby baraku 45. Przyjął nas jego gospodarz, *der Blockälteste.* Łóżko swe i stolik miał w kącie pod oknem, odgrodzone od reszty izby płóciennym parawanem. Wyszedł stamtąd do nas, a już wiedział, co za gromadkę dostaje. Do ustawionych w szereg przemówił parę słów, poinformował o elementarnych zasadach dyscypliny obozowej, o grożących rygorach, wreszcie dodał:

— Wchodzicie między współwięźniów, włączacie się między nich bez żadnych odróżnień. Traktować was będę jak ludzi, według jednakiej zasady sprawiedliwości.

„Jak ludzi". Nie zapomnę tego słowa. To był pierwszy głos ludzki w tym wrzeszczącym *pandemonium.*

Zainteresował mię ten niezwykły „blokowy". W ciągu dni najbliższych mogłem o nim co nieco się dowiedzieć. Był w średnim wieku, o twarzy zamkniętej i jakoś budzący zaufanie. Pochodził z Prus Wschodnich, był z zawodu kolejarzem, zapewne o średnim, może niższym wykształceniu. Nazywał się *Dobschatt,* a z przygodnego napomknięcia jego wiem, że pochodził z rodziny zgermanizowanych Prusów i zachował niejakie poczucie tej odmienności plemiennej. Jako aktywny komunista dostał się do obozu wnet po przewrocie hitlerowskim, był więc tu mieszkańcem dobrze zasiedziałym. Stosunki miejscowe znał dobrze, a ze współtowarzyszami ideowymi w obozie utrzy-

mywał jakieś tajone kontakty. Mieli, jak masoni, przy powitaniu znak rozpoznawczy. Można było wyraźnie w tym się rozeznać.

Słów o ludzkim traktowaniu *Dobschatt* rzeczywiście nie rzucił na wiatr. Starał się naszej grupy nie rozrywać, wyznaczając nam bliskie miejsca w sypialni i przy stołach. Krzyczał, jak popadło, również na nas jak na innych, ależ bo tam życia bez krzyku — jak przy stadzie bez bata — być nie mogło; nikomu jednak złośliwie nie dokuczał, nie znęcał się, nie krzywdził, jak to czynił niejeden z równo mu postawionych po innych barakach. Można zaś nie bezzasadnie mówić o ostrożnej jego przychylności. Zaznaliśmy jej nie jeden raz. Podać warto parę przykładów.

Do uciążliwych zajęć obozowych należało m. in. skrobanie ziemniaków dla kuchni. Odbywało się to w miejscu odosobnionym, tylko nocami, po odbyciu obowiązkowych robót dziennych, i trwało wcale długo, nierzadko do rana. Rano zaś jak normalnie, stawać trzeba było z innymi do apelu i do pracy. Otóż *Dobschatt* dość wyraźnie starał się ochraniać nas od tych nocnych obciążeń, rzadko tylko i w wyjątkowej potrzebie przyłączał nas do skrobaczy. Mało tego. Ta powściągliwa życzliwość ujawniała się czasem indywidualnie. Sam jej doznałem.

Obok ciężkiej pracy i dzikiej dyscypliny źródłem udręki naszej przez grudzień 1939 i styczeń 1940 roku było potworne zimno i wściekłe „wiatry od morza"; mróz dzień w dzień sięgał często poniżej 20° (termometrów przecież nie było, ale ocenialiśmy to trafnie). Ubrani w zdarte koszule rekruckie, często bez rękawów, w cienkie barchanowe pasiaki, marzliśmy ponad wytrzymanie. Prof. *Hoborski* odmroził palce u stóp, a nie przyjęty do rewiru sanitarnego kusztykał przez kilka dni do apelów na piętach. Kiedy się dostał na koniec do rewiru, oskrobano mu palce z rozkładającego się mięsa jak patyki. Gangrenie zapobiec już się nie dało. Nikt jej tam zresztą specjalnie nie zapobiegał. Z nas każdy przemyśliwał, jakby się choć trochę ratować. Na apel wypędzano wcześnie, dużo przed terminem. Zanim nas ustawiono w szeregi, zbijaliśmy się ciasno w kierdele, biorąc co słabszych w środek. Niewiele to oczywiście pomagało przy ostro siekącym wietrze.

Pragnąłem także wychytrzyć dla siebie jakąś namiastkę osłony. Czatowałem na gazetę. Prasy nie otrzymywaliśmy ani często, ani regularnie; czasem nam rzucano jakiś numer *„Stürmera"*, dziennik zaś należał do rzadkości. Rozchwytywano go natychmiast, zresztą niekoniecznie dla lektury. Dopadłem przecież kiedyś chyłkiem i ja jakiś egzemplarz dziennika, a wiedziałem (z doświadczenia), że papier jest złym przewodnikiem ciepła, zatem ochroną. Od biedy może zastąpić podszewkę. Przed apelem rannym niepostrzeżenie — zdawało mi się — zasunąłem gazetę pod swą wiatrem i mrozem podszytą bluzeczkę.

Bogać tam niepostrzeżenie! Wypatrzył moje przestępstwo jeden z towarzyszów stołu, mrukliwy drab, i zaraz pobiegł z donosem do *Dobschatta*. Nie wiem, co nim powodowało. Nie zamieniliśmy przedtem ze sobą ani słowa. Nie miałem okazji mu się narazić. Wszyscyśmy wiedzieli, że przestępstwo było grube. Mogło być źle, gdyby doszło do podoficera-posiepaka; ale szczęście posłużyło. Należało mianowicie do elementów dyscypliny obozowej, że nikt z więźniów nie mógł z własnego impulsu zacząć rozmowy z podoficerami straży. *Blockälteste* był jedyną dostępną nam instancją. To właśnie mię uratowało. *Dobschatt* wezwał mię, zwrócił ostro uwagę na wysokość występku i przypomniał, że w obozie kar lekkich nie ma. Gazetę oczywiście zabrał. Na tym moja afera się skończyła. Dla *Dobschatta* jeszcze nie. Wezwał „donoszczyka" i przez czas dłuższy w cztery oczy z nim rozmawiał. Chyba go nie chwalił, bo ten długo jeszcze łypał na mnie wilkiem.

Dalszy, podobny trochę wypadek, który tu chcę opowiedzieć, także związany jest z mrozem, ale był dużo większego pokroju i dotyczył już nie mnie. W niezapomniany dla nikogo z nas czwartek, dnia 18 stycznia, kiedy termometr musiałby wykazać najniższy stan, zdarzyło się, że przy rannym apelu nie doliczono się jednego więźnia; zachodziło podejrzenie, że ktoś spróbował ucieczki. W takich wypadkach było regulaminową zasadą dyscypliny obozowej, że wszystkich więźniów trzymano na placu apelowym tak długo, dopóki zbiega nie złapano. Mogło to trwać pół dnia, mogło dzień cały, a nawet i noc. Tak też i owego dnia trzymano nas wszystkich na placu uszeregowanych w naszych odziankach, a łapacze przeszukiwali tymczasem baraki i zakamarki obozowe. Czas zaś był wyjątkowo mroźny i wietrzny. Toteż starsi i słabsi z więźniów nie wytrzymywali. Coraz to któryś mdlał z wyczerpania czy mrozu i wywracał się. Jedyne, co można było zrobić, to dźwignąć omdlałego i odnieść do tzw. rewiru, baraku sanitarnego.

I z naszej profesorskiej gromady nie wszyscy zdołali wytrzymać. Zemdlał i przewrócił się stojący obok mnie prof. *Leon Wachholz*. Wzięliśmy go we dwóch i nieprzytomnego zanieśli przed rewir. Ale drzwi baraku były zamknięte, a na ziemi przed oknami leżało — jeden przy drugim — kilku już takich nieprzytomnych, powoli domarzających. W oknach błyskały zadowolone i roześmiane gęby kilku sanitariuszów (oczywiście współwięźniów), którzy zabawiali się prześmiewkami z tak niebywałej hecy. Cóż było robić? Ułożyliśmy nieszczęsnego kolegę w szeregu i zostawiliśmy nieprzytomnego, a sprawę po cichu przedstawiliśmy *Dobschattowi*. Teraz on dopuścił się przestępstwa. Dał nam klucz od baraku, kazał zanieść tam omdlałego i usiłować go ratować. Natarty śniegiem odzyskał rzeczywiście przytomność i podniósł się. Cicho było o tym przestępstwie blokowego, bo musiało być cicho. Prof. *Wachholz* wrócił z nami do Krakowa.

Z tego, co tu napisałem, mógłby ktoś odnieść wrażenie, że *Dobschatt* nas profesorów jakoś

wyróżniał, darzył jakimiś szczególnymi względami. Nie było tak. Był on surowym służbistą, wymagał porządku, ostro napędzał do niego, umiał być surowym. Był nim atoli dla wszystkich jednako i bez dzikości. Nawet krzyczał nie tak brutalnie i plugawie, jak to obowiązywało w obozie. Sprawiedliwym był również dla wszystkich jednakowo. Uczciwie zawsze rozdzielał otrzymane dla nas niskie porcje żywnościowe; a zaraz w drugiej połowie baraku można było widzieć, jak izbowy, dziki zbój, były marynarz niemiecki, bezwstydnie, na oczach wszystkich z każdego bochenka odkrawał tęgą skibę i odkładał na swój stół. Niejedno jeszcze można by tu przywołać na pamięć. *Dobschatt* krytycznego sądu swego o tym wszystkim, co się tu koło nas dzieje, nie wyraził nigdy ani słówkiem, ale nie było wątpliwości, co o tym myśli.

Trafiło się raz, że jednego z więźniów naszego bloku skazano na chłostę. Nie mógłbym już powiedzieć, z jakiego powodu, ale w bloku panowało mniemanie, że podejrzenie nań rzucone zostało bezzasadnie. Chłostę przeprowadzało się na placu apelowym jawnie. Ofiarę przywiązywano do pochyłego jakby pręgierza, ściągano odpowiednią część odzienia. Biło dwóch wyznaczonych osiłków grubymi rurami gumowymi. Kiedy nasz skatowany współdomownik przywlókł się do baraku, późnym wieczorem, kiedy już mniej można było się obawiać niespodziewanej wizyty którego z podoficerów, *Dobschatt* kazał delikwentowi się rozebrać i stanąć twarzą do ściany. Zrobił coś w rodzaju lekcji poglądowej. Wspomniał paroma słowami o dyscyplinie i jako ilustrację pokazał delikwenta. Widok był makabryczny. Cała środkowa część korpusu od krzyżów w dół pokryta była gęsto czarnymi i krwawymi pręgami; pręgi zlewały się z sobą, trudno było doliczyć się ilości uderzeń. *Dobschatt* potrzymał ofiarę czas jakiś przed naszymi oczyma, a to — jak powiedział — byśmy zobaczyli i zapamiętali: *„damit sie merken"*. Rzeczywiście nikt z nas nie zapomniał.

Kiedy już wiadomo się stało, że część z nas zostanie zwolniona z obozu, rozmawialiśmy z naszym „gospodarzem" swobodniej. Życzył nam wyzwolenia i zaznaczył, że kiedy się straszliwy kataklizm przewali, chętnie by nas w Krakowie odwiedził. Zaproszeniami zgodnie podtrzymywaliśmy go w zamiarze. Nic z tego jednakowoż nie wyszło. Dalsze jego losy nie są mi znane. Podobno przetrzymał wojnę i w Niemieckiej Republice Demokratycznej zajął jakieś znaczniejsze stanowisko, ale wnoszę, że zapewne już teraz nie żyje.

Oczywiście słowa te go nie dojdą. Niemniej sądzę, że trzeba je było powiedzieć. Sprawa to drobna, wypadek małej wagi, nie umiem nawet powiedzieć, do jakiego stopnia w samym Sachsenhausen był on odosobniony, czy jeszcze gdzie się przytrafił. Godziło się wszelako go przypomnieć, przywołać na pamięć ten głos tak ludzki w jaskini rozwścieczonego zbójectwa. Nie przeszedł on bez znaku. W zgiełku triumfującego bezeceństwa podtrzymywał wiarę w wewnętrzną prawość człowieka.

4. Pod zmorą zagłady

W zwikłanym kłębku najtrudniej znaleźć koniec nitki; jeśli się go pochwyci, a kłębek z rąk wypadnie, w nitce jakby się wyzwoliła chęć wywinięcia się i wydłużenia. Tak właśnie jest też z kłębkiem wspomnień w ogóle, w tym wypadku wspomnień obozowych sprzed ćwierćwiecza. Wysnułem dopiero co krótki ich urywek przed czytelnikami, a już napierają się dalsze. Stają wyraziście przed pamięcią twarze czy momenty owoczesne jakby z wyrzutem: a o nas zapomniałeś?

Nie zapomniałem. Tylko trudno się uporać ze skrupułem, czy — obozowcy — nie będziemy się z tym naprzykrzać ludziom postronnym, dla których tamte wydarzenia i przeżycia są bądź co bądź tylko cudzą i odległą przygodą, nie zawsze może nawet dla nich wiarygodną.

Z przebiegu tamtych okropnych kilku miesięcy frapuje mię zwłaszcza jedna sprawa: proces psychicznych przystosowań się kolegów do tak niespodzianego a przerażającego położenia, proces wyrazisty przez to właśnie, że był tak skondensowany. Blisko dwie setki ludzi o ukształconych osobowościach, ludzi znających się wzajemnie, ale przecież powiązanych ze sobą stosunkowo luźnie, znalazło się raptem w odosobnieniu: oni — i wokół pustka, „tłum pustek", jak to określił *Norwid*, sami wśród żywiołu obojętnego, obcego, nierzadko wrogiego. Niby gromada rozbitków, co w marnej szalupie bez wioseł i steru znaleźli się wśród burzy na odmętach. Jak się zachowają? Jak się zachowywać będzie każdy z osobna? Na kogo tu choć trochę można liczyć? — Z trwogą wpatruje się jeden w drugiego... Coś podobnego było z nami.

Bezsilni, bezradni, istotnie wyrzuceni za burtę, związani złym losem w jedno ścisłe grono straceńców, skupiliśmy się, zżyli zarazem i uważnie, a nie bez trwogi sobie nawzajem się przyglądali. Każdy jakby się pytał: kim są moi sąsiedzi, jakim się każdy okaże sam w sobie, w kim tli iskra nadziei, a w kim grozi pustka rozpaczy, na kogo liczyć, a na kogo nie warto? Od kogo raczej stronić? W owym popłochu ponawiązywały się przecież między nami więzy, które przetrwały lata. Jak się to działo? W jakich warunkach?

Przeszliśmy w swym krótkim stosunkowo okresie więziennym (mówię o kolegach starszych, których uwolniono w lutym 1940 r.) przez trzy stadia samopoczucia, jakby przez trzy stopnie wiodące w głąb. Stadium pierwsze, prawie jeszcze sielskie, w więzieniu wrocławskim. Nikt z nas tam nie tracił otuchy. Zdało się wszystkim, że szaleństwo tego postępku policji okupanta nie może się przeciągać zbyt długo. Uderzyli w Uniwersytet, sterroryzowali społeczeństwo polskie zaraz na progu okupacji, ale na tym dosyć; uwolnią nas stąd i niebawem wypuszczą.

Nie wypuścili. Nie zapomnę przedednia dal-

szej zsyłki z Wrocławia. Wiąże mi się to z osobliwą figurą. Przy uprzątaniach celi pomocny był nam profos więzienny. Przygoda z nim nadałaby się *Tadeuszowi Mikulskiemu* do cyklu „Spotkań wrocławskich". To był również okaz tamtejszej niknącej przeszłości. Ze wsi rodem, Niemiec, zdawałoby się, zakuty, rozmawiał z nami tylko po niemiecku, ale któregoś dnia, gdy był sam z nami, wygadał się: „Matka moja — powiedział — to na *Handmühle* mówiła: *żorna*". Wiadomo więc, słuchał w domu polskiej mowy. Pochodził z okolic Wrocławia; był pierwszym, którego napór germanizacji wypchnął poza próg plemienny. Przecież nie całkowicie. Otóż w przeddzień naszego wyjazdu przypomniał on sobie jeszcze tok mowy matczynej i szepnął nam trwożliwie:

— Pudziecie do logru.

Rzeczywiście nazajutrz zaczął się nasz etap drugi, już za drutami Sachsenhausen. Jeszcze i on na razie nie łamał ducha. Z rozpaczliwą nadzieją skazańców chwyciliśmy się i tutaj myśli, że to tylko miesiące tej mordowni. Chcą nas sterroryzować, „przeuczyć", odsłonią więc grozę obozu i niebawem — zapewne na Boże Narodzenie — wypuszczą. Koledzy w tym oczekiwaniu trzymali się jeszcze dobrze, nie wychodzili z toku zainteresowań umysłowych, stawiali czoło okrucieństwom mrozu i brutalności *„wächterów"*.

Łudziliśmy się i tym razem. Święta przeszły — i nie wypuszczono. To było zejście w etap trzeci, zarazem dla wielu moment załamania się. Otwarła się seria szybko po sobie następujących śmierci co starszych kolegów, nad gromadą naszą zawisła groza. W drugi dzień świąt miałem możność krótkiej rozmowy z prof. *Chrzanowskim*. Źle znosił trudne warunki obozowe, należał do tych, co rozpaczliwie trzymali się nikłej nadziei powrotu na święta. Gdy zgasła, wstrząsnęło to nim głęboko, opuściła go zwykła pogoda humoru.

— Cóż, panie *Stachu* — zagadnął mnie — jakoś zrzedła panu mina...

— Wcale nie — odparłem. — Choćby się wściekli, ja jeszcze wytrzymam.

— Widzi pan — powiedział po cichu — a ja już nie. Ja tu już zostanę. — Spojrzał na mnie głęboko smutnymi oczyma.

Te oczy — zwiastuny w obozie — to też osobna kwestia. Napatrzyłem się im ponad miarę. Wymowę ich poznawaliśmy doświadczalnie. Jak gospodarz po wyglądzie zachodzącego za chmurę słońca rozeznaje się w niepogodzie jutrzejszej, tak my z jakości czyjegoś spojrzenia rozeznawaliśmy odległość cicho zbliżającej się śmierci. Trzy dni naprzód można już było oznaczyć koniec człowieka. Nie zapomnę jednego ze spotkań z prof. *Michałem Siedleckim*. Lubiłem go i szanowałem; za jego rektoratu przyszedłem do Wilna. On mię wprowadził na katedrę i przedstawił zebranym. Stanęliśmy na placu apelowym i wymienili parę słów. Dość było tej chwili i jednego spojrzenia w oczy. Miał wzrok śmiertelnie ranionej sarny, zgaszony, żałosny, głęboko smutny, choć treść rozmowy nie dawała do tego powodu. No, pomyślałem, to już tobie, niebożę, niedługo... Tak się też stało. Niejedno jeszcze miałem takie doświadczenie.

Można by tu odważyć się na słowo w sprawie trudnej. Jak się to działo, że spomiędzy naszych kolegów śmierć tak nieobliczalnie wybierała tych, omijała innych. Żyliśmy przecież w warunkach zewnętrznych: atmosferycznych, gastronomicznych i wszelkich innych takich samych. Mógłby więc kto sądzić, że w grę wchodził wiek: starzy wymierali, przetrwali młodsi. Ale *Bossowski, Smoleński, Nowak, Metallman* nie byli wśród nas najstarsi, a nie wytrzymali. A na odwrót, senior między nami, *Adam Krzyżanowski* wyszedł cało, uszli śmierci *Lewkowicz, Maziarski, Kutrzeba*, ludzie dobrze już leciwi. Niewątpliwie znaczył wiele zapas sił witalnych, wiele, ale chyba nie wszystko.

Sekret, jak sądzę, był gdzie indziej: w zbrojności psychicznej. Każdy z nas jak bastion był oblegany przez nieustępliwe furie zagłady i dla każdego było rzeczą najważniejszą nie cierpieć słabości w fortecy, nie dopuszczać do siebie wroga najstraszniejszego: rozpaczy, defetyzmu.

Dawne fortece były dwukondygnacyjne. Ponad „niższym" wznosił się, zwykle na litej skale, „wyższy zamek". Choć pierwszy pad., w drugim można się jeszcze było długo trzymać. Dobrze radził stary zbójnik Rafałowi Olbromskiemu w więzieniu orawskim: „trzim się!" I nam wypadło wobec złowrogiej przemocy znaleźć w sobie taki „wyższy zamek", ostoję, z niewzruszonych najbardziej niewzruszoną, czepić się jej pazurami i za nic ani na chwilę nie popuścić. Nie dać przystępu zwątpieniu, prostracji, zaszyć się w swym najciaśniejszym ostępie i — trwać, jak kamień w gruncie. Niechże mię wysadzą! W tym był właściwy ratunek. Słowa to nie czcze. Sam dopadłem w sobie do takiego punktu oparcia i chyba temu zawdzięczałem, żem wybrnął. Jaki on był — to nie należy tu do rzeczy, ale był i był ochroną przeciw nawale atakującej nienawiści. Taka zaś zbrojność nie zależała od wieku, ani tylko od zasobu sił żywotnych.

* * *

Ale nie w tę stronę chciałem, żeby się dzisiaj potoczył kłębek wspomnień.

Koledzy moi, którzy spisali swe przejścia obozowe, dużo powiedzieli o nawale zła, która na nas spoza nas tam runęła i tyle wyniszczyła. Może zainteresuje atmosfera, jaka trwała między nami pod tą nawałą, może zaciekawi parę przypomnień o postawach duchowych, które można było rozeznać wśród tej gromady intelektualistów wyznaczonych na zagładę. Oczywiście, było tych postaw tyle, ile było wśród nas wyraźniejszych osobowości. Uwagę na siebie ściągały jednak te szczególnie, które się uwydatniały zawziętą wolą ocalenia.

Każdy z nas był zdany sam na siebie i próbował się ratować, na ile go było stać. Nie brakło naturalnie takich, którzy dali się por-

wać popłochowi i wpadali w ponurą prostrację. Ale nie było ich wielu. Znakomita większość broniła się w przeróżny sposób, skupiając w sobie siły oporu, jak jarzące się węgielki w ognisku, co zdaje się dogasać. Niektórzy w tym zabiegu, jak owad ochronnym kokonem, otoczyli się oponą pozornie obojętnej niefrasobliwości. Najlepiej nie zważać... Tak np. sądził prof. *Karol Dziewoński*, który w imponującej równowadze ducha każdą chwilę wolną spokojnie wypełniał gimnastyką pokojową. Czy prof. *Kazimierz Majewski*, który przy całkowitej nieporadności życiowej plątał się pogodnie między biegunami wysokiego napięcia, nie orientując się w niebezpieczeństwie, iście jak Boyowskie „pijane dziecko we mgle", i to we mgle co krok osłaniającej dół śmierci.

Niewyczerpane zapasy pogodnej witalności wykazywał prof. *Roman Prawocheński*. Złośliwa ironia sytuacji na niego osobliwie wyszczerzała zęby. Beztrosko się tym zabawiał. Już w Krakowie, na dziedzińcu więzienia przy Montelupich, oficer gestapo, stwierdziwszy w legitymacji, że urodził się na Kijowszczyźnie, zapytał go (z intencją uwolnienia):

— *Bist du ein Ukrainer?*

— Nie — odparł — jestem Polakiem. I został z nami. W obozie zdarzyła mu się zabawna przygoda. Miał w Wilnie córkę, która uzyskawszy jakoś jego adres, przysłała mu paczuszkę żywnościową: trochę cukru, jakieś suchary prażone w maśle, tabliczkę czekolady. Przesyłka nadeszła. Adresata wezwano do kancelarii, kazano mu podpisać odbiór, opłacić koszt doręczenia — wreszcie otworzywszy paczkę oświadczono, że zawartość jej zostanie rozdzielona między podoficerów. Mają tak ciężką służbę... Właściciel ani nie powąchał podarunku. Z humorem niezmąconym opowiedział nam później profesor tę scenę. Nie przejmował się nią. Nie zbiła go z nóg nawet choroba. Musiała być ciężka, skoro go przyjęto do rewiru (na izbę chorych), gdzie zasadniczo przyjmowało się tylko na domarcie. On, o dziwo, powrócił zdrów, dobrze podeszły w latach — nie dał się jeszcze śmierci. Wrócił też z nami do Krakowa, zawsze dobrej myśli.

U wielu ta biologiczna siła przetrwania podbudowana była jakimś uderzającym heroizmem równowagi duchowej, stoickiej czy chrześcijańskiej. W takich fortecach opornych samotni twardo bronili się: profesorowie *Kazimierz Kostanecki, Adam Krzyżanowski, Stanisław Kutrzeba, Kazimierz Nitsch, Tadeusz Kowalski, Ludwik Piotrowicz* i niejeden jeszcze. O bramy ich można się było oprzeć w niejednej cięższej chwili. Byli wśród nich zresztą i tacy, którym w tej samotności dokuczała ciasnota. Wychodzili więc z niej na podjazdy. Udzielali się kolegom. Poddawali zaczyn życia tam, gdzie było ono z zaciekłością zadeptywane.

Chciano nas stępić i unicestwić intelektualnie. O jakiejś bibliotece nie było oczywiście mowy; czasopism do obozu nie dopuszczano; samorzutnie zainicjowany kurs języka niemieckiego zlikwidowano po jednej lekcji. Wiotką ostoją mogło się wydać tylko to, co się dało ostro zakonspirować. Np. kasa finansowej — Boże się pożal! — pomocy, zorganizowana przez prof. *Stefana Schmidta*, utrzymywała niejaką więź solidarności. Najdłużej przetrwał i przydatnością wykazał się Powszechny Uniwersytet Obozowy, zainicjowany, jeżeli się się mylę, przez prof. *Władysława Konopczyńskiego*, przy czynnym i gorliwym współudziale wielu kolegów, w naszym baraku szczególnie *Adama Heydla* i innych.

Wieczorami, kiedy podoficerowie zasiedli w kantynie i nie było co obawiać się ich niespodziewanej kontroli, odbywały się te nasze „wykłady", nawet akademie żałobne (np. po śmierci *S. Estreichera*). Niektóre z wykładów głębiej zapisały się w pamięci, czasem wartością, czasem osobliwością. Zapamiętałem wywody jednego z kolegów filozofów: o osobowości ludzkiej. No, otuchą one nie tchnęły. Wychodziło z nich mniej więcej, że człowiek jest czymś w rodzaju cebuli Peera Gynta; niby istnieje, przemienia się, życie zdejmuje z niego łupinę po łupinie, a przecież do istoty jego „samości" nigdy nie dotrze. I ona w najostatniejszym swym przejawie okaże się tylko... listeczkiem. Nie wyzna się nikt, w czym jej istota. Pamiętam też wykłady *Skowrona, Starmacha*, dyskusję między *Stanisławem Szczotką* a *Władysławem Semkowiczem* o historii chłopów jako wyodrębnionej dyscyplinie i inne. Przypadły i mnie tam pogadanki: o perypetiach tzw. „sejmowego" wydania *Mickiewicza*, o granicach „niezrozumiałości" *Norwida* i coś tam jeszcze. Urządziliśmy także konkurs pamięci. Zdystansował wszystkich *Tadeusz Estreicher*, który nam *ex abrupto* wyrecytował coś około osiemdziesięciu liryków *Asnyka*.

I tutaj nie o rozrywkę chodziło. W tych próbach ucieczki myślą ku dawnym sprawom wyraził się niewątpliwie instynkt samoobrony. Choćby na chwilę uciec od złowrogiej, nieznośnej obecności! Tu czy tam, w dalszą przeszłość czy w zainteresowania intelektualne, w przedwczoraj raczej niż we wczoraj, byle nie w chwile niedawne, świeże, ociekające szczęśliwością. Do nich powracać — było najwyższą boleścią. Kto i jak mógł, próbował się odgradzać. Ale to przychodziło bardzo trudno — i rzadko się udawało. Dla przykładu opowiem jedną przygodę.

Mieliśmy za sobą już prawie dwa miesiące więzienia, nadchodził wieczór wigilijny. Komenda obozu zaznaczyła to ostentacyjnie: Na placu apelowym ustawiono wysoki świerkchoinkę i obwieszono ją kolorowymi żarówkami. Debatowano w naszym gronie, czy mamy ten wieczór jakoś wyróżnić od innych, czy też nie. Do najzapalczywiej zwalczających ten pomysł należał prof. *Jan Nowak*. Nie ma sensu — mówił — po co te sentymentalizmy, po co rozdrapywać ranę, drażnić ją roztkliwianiami! Nowa udręka, nic więcej...

Stanęło przecież inaczej, urządziliśmy jakoś tę biedną naszą obozową wilię. Nasz gospodarz stołu pociął szczupłą porcję chlebową na cieniutkie płatki. Połamaliśmy się nimi, życząc sobie nawzajem jednego: Wolności.

A kiedyśmy potem w naszej gromadzie zaśpiewali: „Wśród nocnej ciszy...", opozycjonista nie wytrzymał. Po policzkach jego spływały rzęsiste, ciężkie łzy. Nie jego samego tylko. Nie tylko z polskich oczu. Przy sąsiednich stołach koledzy — Niemcy przeżywali to samo i od nich szła pieśń: *„Stille Nacht, heilige Nacht..."* Jakiekolwiek były ich przekonania, wiary, niewiary — śpiewali wszyscy. Moment był osobliwy. Trzeba było czasu, żeby się znowu w sobie pozbierać i oprząść kokonem zawziętej odporności. Ale wieczoru tego nikt z nas nie zapomni.

* * *

Rozwiodłem się szeroko o tym i owym, choć właściwie chciałem powiedzieć głównie o najbliższych mi kolegach polonistach. Któż o nich powie? Sami zamilkli na zawsze.

Z prof. *Chrzanowskim* rozdzielono nas zaraz pierwszego dnia; byliśmy w różnych barakach, widywać go mogłem jedynie w parominutowych odwiedzinach wieczornych. Bolesne to były spotkania, bo profesor podupadał coraz wyraźniej. On jeszcze we Wrocławiu taki raźny, jeszcze w grudniu wcale żwawy, po świętach załamał się w sposób oczywisty. Można by jeszcze ściślej określić termin graniczny. Pochylił się jak drzewo złamane burzą. Zawsze pełen swady, teraz prawie ucichnął; skarżył się na ustawiczne bóle głowy i lękał się przeziębień. Zawsze je przechodził ciężko. Nie uchronił się wszelako; przyszło ostatnie. Wygasającego już przyjęto do rewiru, który zwyczajnie był przedsionkiem śmierci. Rankiem dnia 20 stycznia doszła nas wiadomość, że zmarł w nocy: *„wegen Lungenentzundung verstorben"* — jak depeszą zawiadomiono wdowę.

Kiedy to ledwie wstawszy usłyszałem, uprzytomnił mi się z całą wyrazistością sen dopiero co miniony. Śniłem tej nocy o *Chrzanowskim*. Było niby tak, że w Krakowie, jak zwykle, odwiedzam go w mieszkaniu. Nie dziwiło mię jakoś, że było to przy ulicy Biskupiej, choć profesor z dawna już tam nie mieszkał. Wszedłem do gabinetu. Siedział jak zwykle za znanym nam, dobrze wysłużonym biurkiem, obłożony książkami. Ubrany był w marynarkę ciemnopopielatą, w ciemniejszy, nieregularny deseń. Był pogodny, otwarty, jak zawsze życzliwy światu i ludziom.

— Jakże się pan ma, panie *Stachu?* — powiedział. — Toż to już trzy tygodnie, jakeśmy się widzieli.

Reszta snu jakoś mi się rozsnuła i zatarła. Nie wspomniałem o śnie nikomu, choć to doznanie wstrząsnęło mną głęboko. Żyliśmy w takiej presji nerwowej, że okrucieństwem byłoby rozbudzać jakieś czcze nadzieje. Każdy zawód niósł klęskę depresji. Nie odezwałem się więc nic na ten temat. Ale kiedy — właśnie po trzech tygodniach — wróciłem do Krakowa, wspomniałem o tym osobliwym śnie temu czy owemu z przyjaciół. A teraz po dwudziestu pięciu latach opowiadam o nim publicznie. Ze skrępowaniem pewnym, ale nic nie poradzę. Tak było. Nie zmyśliłem tu nic a nic. Z wielu życzliwych przysług, jakich doznałem za życia od profesora, ta była ostatnia.

Z kolegami *Kamykowskim* i *Kołaczkowskim* współżyliśmy stale, siedząc przy sąsiednich stołach i śpiąc na sąsiednich siennikach. *Kamykowski* wygrzebawszy się kiedyś z gruźlicy, teraz w ciężkich warunkach obozowych doczekał się wnet recydywy. Nie miał złudzeń co do swego stanu. Tęgi na oko, barczysty, wyznaczany bywał do robót co cięższych i nigdy się od nich nie uchylał. Po godzinach wracał wyczerpany do ostatka. Po cóż było go męczyć rozmową... Nigdy się też nie żalił. To także był heroizm wytrwałości w ponurej beznadziei. Zaciął się w nim twardo. Toteż wrócił do Krakowa i rychło stanął nawet do pracy w tajnym nauczaniu. Śmierć niezbyta nie długo mu jednak na nią pozwoliła.

Osobna była sprawa ze *Stefanem Kołaczkowskim*. Ten przez cały czas więzienia po prostu kipiał energią. Nie wiem, czy do kogo lepiej dałyby się zastosować słowa Frejenda z III części „Dziadów". I z *Kołaczkowskim* było coś jak z winem i prochem:

> Dziś, gdy wino zatknięte, proch przybito kłakiem,
> W kozie mam całą wartość butli i ładunku.

Miał tę wartość i hardo się jej trzymał. Orientowałem się w tym we Wrocławiu. Wyprowadzano nas tam na dziedziniec więzienny, zewsząd omurowany, głęboki i ciasny jak studnia. Tam przez pół godziny odbywaliśmy „przechadzkę zdrowotną"; ustawialiśmy się w kółko i szli jeden za drugim trop w trop. Coś jak na obrazie *Goyi*. *Kołaczkowski* był ułomny, utykał na nogę; jakiś humanitarniejszy dozorca proponował, że może mu będzie wygodniej chodzić poza kręgiem. Nigdy z tego nie skorzystał; utykał, ale dotrzymywał kroku w szeregu razem z innymi. Ta nieustępliwość była jego cechą przyrodzoną, towarzyszyła całemu życiu. Nie korzystał nigdy z taryf ulgowych. Opowiedział mi taką dawną przygodę. Był chyba w czwartej klasie gimnazjalnej. W gorącej porze letniej w klasie panowała duchota, a nauczyciel nie pozwolił otworzyć kwatery: bał się przeciągu.

— Owinąłem dłoń chusteczką — opowiadał — i rąbnąłem w szybę. Wypadła. Długo mię potem pokazywano w szkole: „To ten, co wybił lufcik".

Wiele takich „lufcików" nawybijał on później, choćby jako redaktor „Marchołta".

Nie uspokoił się też w obozie, tętnił życiem, wciąż coś proponował, „zamiarów pełen gorących", raz po raz „miał za złe" przeszłości, chciał reformować i układał plany na przyszłość. Było ich sporo. Nie pozbierałbym ich tu wszystkich, ale o jednym wspomnę bliżej, bo mi bardzo naówczas przypadł do serca.

Przygnani do Sachsenhausen, jużeśmy tam zastali sporą gromadę górników polskich z Westfalii. Tuż przed zaczęciem wojny, prewencyjnie, uwięziono ich, wybierając co tęższych i żwawszych działaczy, i wepchnięto za

druty obozu. Traktowali to pogodnie, raczej jako wyróżnienie, i nie wyglądali na zastrachanych. Powiedział mi z chlubą któryś z nich:

— No, nie każdy-jeden zaraz dostanie się do koncentraka. Na to trzeba kimś być!

Z ośrodkiem polskich górników z Westfalii miałem dawne zażyłości. Jeszcze jako akademik należałem do grona kolegów, co się wiele zajmowali wychowaniem narodowym górników polskich na Śląsku i w Westfalii. Redagowałem dla nich gazetkę, spotykaliśmy się czasem w Bochum, częściej w Krakowie. Wyszło spośród nich sporo jednostek wybitnych: *Stanisław Janicki, Jan Kaczor* i inni. Szukałem tych starych znajomych wśród współwięźniów, ale ich nie było. Gestapo wybierało młodszych, wszelako młodzi tamtych znali, mówili o nich z uszanowaniem. Toteż i nasza wspólna zażyłość wnet i dobrze się zacieśniła.

Zaznajomiłem *Kołaczkowskiego* z tym gronem tęgich pracowników. Wszedł pomiędzy nich z właściwą sobie zapalczywością, z żywym zaciekawieniem rozeznawał się w ludziach, wypytywał ich o tamtejsze stosunki. Ale nie kończył na biernych wywiadach, wysnuwał wnioski i rzutował pomysły.

— Co za kapitał narodowy — unosił się — a tak mało o nim wiemy! Nieszczęsna nasza rozsypliwość społeczna jest rezultatem takich właśnie zaniedbań. My, inteligenci, nie kwapiliśmy się do bliższego wiązania się z takimi oto działaczami, z takim twardym budulcem narodowej siły. Skoro tylko wrócimy — snuł już zamysły — musimy to odrabiać, musimy związać się z nimi ściślej, namówić ich do spisania wspomnień i wydać je w osobnym tomie; tego ośrodka długotrwałej naszej emigracji zarobkowej nie dotknął się żaden socjolog. Nie jest zaś obojętne, w jaki sposób broniono tam przez lata swojej świadomości narodowej.

Nie było nam dane, byśmy mogli zrealizować ten zamysł. *Kołaczkowski* z obozu wprawdzie wrócił, ale tak wyczerpany biegunką, że z dworca kolejowego już tylko na noszach poniesiono go wprost do szpitala św. Łazarza. Nie pomogła transfuzja krwi ani inne zabiegi lekarskie. Zmarł po tygodniu (16 lutego 1940 roku).

Jeden z oddanych uczniów jego zrobił zdjęcie fotograficzne — prawie w przededniu śmierci. Twarz uderzająca wyrazistością, wychudła, zjęta jakby uniesieniem, ale głowa w niemocy już opadła na poduszkę. Świecą się tylko szeroko otwarte oczy spojrzeniem nieulękłym, pozywającym, przenikliwym. Przekazują testament po całym tamtym bezprzykładnym dopuście. Nie zezwalają o nim zapomnieć, ani go zmarnować.

5. Z Samarytanami na „ty"

Snując te odległe wątki bolesnych wspomnień nie tracę z uwagi, że o łaskawą gościnę dla nich zapukam do redakcji „Przeglądu Lekarskiego", czyli że o chwilę uwagi dla nich zabiegać będę u czytelników o określonej sferze zainteresowań pierwszoplanowych. Rozumiem zatem, że wśród tych wątków wydobyć i uwydatnić muszę takie, które by mogły rozbudzić owo zainteresowanie fundamentalne. Wiodąc opowieść o kolegach więźniach pominąć więc nie mogę kolegów-medyków. Nie przez kurtuazję bynajmniej, ale z przyczyn całkowicie realnych. Stanowili przecież pokaźne grono naszej tam zbiorowości. Pokaźne zarówno, jak wiele znaczące. Tak się zaś złożyło, że i dla mnie stało się ono bardzo bliskie i nadzwyczaj interesujące. Już na wstępie dało okazję do pewnego rodzaju odkrycia, które można było potem wielokrotnie zweryfikować.

My, zwykli pacjenci, mamy w wyobrażeniu swym lekarzy za jednostki jakoś samoswoje: spokojne, opanowane, patrzące na człowieka jako na podległy obiekt ich wiedzy i sztuki, a więc coś jakby z pozycji siły. Gdzie inni nie wiedzą, oni wiedzą; gdzie inni nie mogą, oni mogą, i to w takich wielkich sprawach jak cierpienie, jak napastliwość śmierci. Możni władcy nad krainą boleści. Było zatem czymś bardzo niezwykłym widzieć i ich także i odnosić się do nich jak do ludzi na równi cierpiących i równie bezbronnych. Przez to rozeznanie związaliśmy się z nimi wzajemnie, także pozaprzyjaźniali.

To odkrycie zapisałem sobie w pamięci na samym progu tej ponurej przygody. Z Krakowa, z koszar 20 pułku piechoty wywieziono nas do Wrocławia pociągiem osobowym. Dostałem się do separatki razem z siedmioma kolegami, przeważnie młodymi lekarzami. Rozmowa była taka, jak być musiała: o czekającej nas doli. W jej toku siedzący naprzeciw mnie prof. *Jan Miodoński* znagła spazmatycznie się rozszlochał. Pękło opanowanie. Koledzy go mitygowali.

— Janek, daj spokój. Przecież przetrzymamy i wrócimy.

— Łatwo wam mówić — odpowiedział. — Zostawiłem w domu żonę z parodniowym dzieckiem i bez żadnego zaopatrzenia. Jak ona tam sobie da rady?

W rzeczywistości jakoś się ułożyło. O los takich poniewolnych, tymczasowych prawie-wdów zadbali koledzy pozostali w mieście. Pod gospodarką bodajże prof. *L. Glatzla* oddawali na ich potrzeby stałe znaczne procenty od swych zarobków. Po jakimś czasie i *Miodoński* o tym się dowiedział. Ale starczyło tamtej chwili w wagonie, że pokazał swą ludzką, podlegającą zranieniu uczuciowość. Poodsłaniali ją i inni na przeklętej polanie obozu.

Było w naszym gronie kolegów-medyków dość wielu. Wydział Medyczny stanowił jeszcze część organiczną Uniwersytetu; profesorowie, zaproszeni na „odczyt" *Sturmbannführera* przyszli, jak zwyczajnie, wcale licznie, starzy, młodzi, profesorowie i docenci. Dali świadectwo łączności zaświadczanej przez tyle wieków — *ab Universitate condita usque ad vincula hitleriana.* W obozie wymieszaliśmy się we wspólnej niedoli.

Komenda obozu nie skorzystała z wiedzy i doświadczenia żadnego z nich, nie przydzieliła do „rewiru" jako lekarzy pomocniczych

ani nawet jako sanitariuszów. Czy wydali się zbędni? Czy obsługa lekarska była tam tak znakomicie postawiona? Bogać tam! Osobę ostatniego lekarza oglądaliśmy *bec à bec* w więzieniu wrocławskim. Poczciwy starszy safanduła zachodził służbowo do naszych cel i ochotnie zapisywał jakieś tam mikstury, starszym jakąś dietę *extra* wzmacniającą. Nie było z tego wiele pociechy, ale radziśmy go widzieli. Bądź co bądź był dowodem jakiejś opieki. Nic podobnego nie przytrafiło się w Sachsenhausen. Może tam jaki lekarz zachodził kiedy do izby chorych, tzw. „rewiru", choć na pewno bez myśli o ratowaniu nieszczęśników. W obozie, po barakach nie można było dopatrzeć się żadnego. Przydałby się choćby dla zbadania higieny pomieszczeń.

Żadnego? Mylę się. Raz widziałem lekarza i to nawet wyższej wojskowej rangi. Kiedyś w styczniu chyba zjechała do obozu trzyosobowa komisja z jakimś *Stabsarztem*. Przyjechali jednakowoż wcale nie w trosce o nasze warunki sanitarne. Potrzeba była inna. Szeregi *Wehrmachtu* się wyszczerbiały, należało je uzupełniać, a tu po obozach „obijało się" tyle tysięcy ewentualnych zaciężnych. Jaki był skutek tej wizyty poborowej, oczywiście nie dowiedzieliśmy się. Nam był z niej pożytek jeden: tego dnia dano trochę lepszy obiad. Z przezorności. A nużby który z komisarzy zechciał zajrzeć do kuchni...

Lekarzy naszych nie zużytkowano więc nie dlatego, żeby byli zbyteczni. Byli niepożądani, boć nie na kurację nas tu zgoniono. Los miał być nam wszystkim jednaki. O stan sanitarny dbano tyle, ile to było konieczne. W takim tłoku o choroby nagminne nie trudno. Ostrzyżono więc nas wszystkich akuratnie, niby to gwoli czystości. Ale do łaźni, pod tusz gorący przez cały ten kwartał dostaliśmy się raz jeden. Mycie codzienne w lodowatej wodzie odbywało się pod strugą wodotrysku i w takiej ciasnocie, że trzeba było sprawić się w przeciągu paru minut. Grozą stało nad obozem widmo epidemii. Proceder zwalczania jej przewidziany był prosty, o czym nas uprzedzono. Na wypadek pojawienia się duru nie przewidywano osobnych przeciwdziałań. Odnośny blok wraz z mieszkańcami zostanie zamknięty, otoczony drutem kolczastym, a płot zwinie się dopiero, gdy zaraza zostanie w baraku zduszona, otwarcie mówiąc, gdy wszyscy wymrą.

Jakeśmy sobie na tej pustyni lekarskiej radzili? Chorób przecież nie brakło. Radziliśmy różnie, a z konieczności zawsze nieporadnie i prymitywnie. Wiadomo było na przykład, że ujawnił się między więźniami znachor. Stary, krępy, o nieforemnej twarzy chłop niemiecki. Leczył magnetyzmem, pociągnięciami rąk. Rzeczywiście naszego blokowego, gdy się przeziębił i wpadł w grypę, wydobył z choroby w ciągu jednego wieczoru. Kiedym go jednak zjednał, aby się podobnych zabiegów podjął przy profesorze *Chrzanowskim*, który cierpiał na ostre, przewlekłe bóle głowy, przeprowadził również swe pociągnięcia i masaż, ale nic z tego nie wynikło.

W potocznych biedach radziliśmy sobie sami. Z tych bied najczęstszą była biegunka. Nie można bezkarnie żywić się mrożonymi ziemniakami i nadgniłą brukwią. Samozaradny środek na nią mieliśmy tylko jeden. Trzeba było podkraść w którymś z pieców kawałek węgla drzewnego, zmiażdżyć go i sproszkować (znakomite usługi przy tym oddawała butelka) i preparat zażywać małymi dawkami. Coś niecoś pomagało.

Sam w swojej przypadłości zastosowałem zabieg odmienny, bodaj skuteczniejszy. Cała ta przygoda może kogo zajmie, niechże więc wolno będzie opowiedzieć ją nieco obszerniej i z okolicznościami. Wiąże się ona z kantyną, kantyna z pieniędzmi, z tymi zaś cała osobna sprawa. Na pieniądze w obozie stać nas było w stopniu znikomym. Jużci pozwolono dosłać nam z Krakowa maleńkie zasiłki; każdy z nas miał w obozowej kasie oszczędności jakie dziesięć czy dwadzieścia marek. Wydostać można było tylko po cząsteczce, i to nie bez ceremonii. Wydawano wkładki w oznaczony dzień tygodnia. Szło się do kasy dość długim, łamanym korytarzem. Na tym załamaniu czatowało niebezpieczeństwo. Na parapecie okna siadywał tam podoficer. Każdy przechodzący więzień musiał zdjąć czapkę, stanąć na baczność i oddać salut. A on zwykle nie odmawiał sobie przyjemności, żeby salutującego kopnąć w brzuch. Zorientowawszy się w zasadzce przechodziliśmy pod przeciwległą ścianą i salutowali poza zasięgiem buta.

Zdobywszy w ten sposób dwie marki, wybrałem się do kantyny; oczywiście w uporządkowanym szeregu. Dostaliśmy się dość późno, niewiele już tam było do nabycia: kawałek chleba, garnuszek cieniutkiego bulionu. W słoju została resztka surowej kwaśnej kapusty. Może wziąć? Mówią, że tam witamina na witaminie. Wziąłem porcję i wnet nieoględnie ją skonsumowałem. No, to sobie dałem tamtych witamin! Wygłodzony żołądek na poczekaniu jak najenergiczniej zaprotestował.

Biegunka w naszym położeniu była nieszczęściem nie na żarty. Na pół baraku, tzn. na dwustu z górą ludzi istniał jeden ustęp, w nim pod rząd trzy sedesy. Panowała tam stale ciżba. Szczęśliwiec, który dopadł miejsca, zasiadał, a przed nim w mig ustawiała się długa kolejka czekających, zwykle kilkunastu. W tamtych okolicznościach nikt nie miał cierpliwości na czekanie, toteż klątw tam i przynagleń było bez liku. Jak tu chorować?

Zorientowawszy się, co się ze mną dzieje, jużem nie szukał węgli. Zastosowałem zabieg wypróbowany w latach dawniejszych. Postanowiłem nie brać do ust przez trzy dni kęsa pokarmu. Przy poście byliśmy tam co prawda permanentnie; przez kwartał gościny straciłem 22 kg wagi. Niemniej przeprowadziłem ostrą głodówkę i z biedą wybrnąłem. Na drugi raz unikałem pokus kantyny.

Tak to zuchwale panoszyły się wśród nas choroby, nic sobie nie robiąc z najbliższego sąsiedztwa naszych lekarzy. Wśród prawdziwych przyjaciół psy dobierały się do zajęcy.

Przyjaciele byli szczerzy, najmilsi i najczulsi, tyle że bezsilni. Spośród nas dużo chodziło z dreszczami, odmrożeniami, ranami. Prof. *Stanisławowi Gołąbowi* w kuchni bodajże chluśnięto na rękę ukropem; tygodniami nosił się z olbrzymim, czerniejącym pęcherzem na dłoni i przedramieniu, aż twarda jego natura dała sobie z tym rady. Apteczki, punktu, gdzie by można kupić najprymitywniejsze lekarstwo, nie było w obozie zupełnie.

Miewało to skutki tragiczne. Prof. *Stanisław Estreicher* cierpiał na przewlekłą chorobę pęcherza. Konieczny mu kateter został w Krakowie w mieszkaniu. O kupnie nowego nie było mowy. Miał pieniądze, z obozu do Berlina jeżdżono dzień w dzień, instrument był chyba do nabycia w każdej aptece. Pomocy u lekarza czy wśród sanitariuszy rewiru nie mógł się profesor uprosić. Męczył się nie do wytrzymania. Wyczerpany boleściami stał oparty o ścianę pisuaru — i płakał. Stary, twardy w sobie, nieugięty człowiek.

— Nie mogłem mieć wyobrażenia — powiedział — że istnieje tak potworny ból.

Toteż go nie wytrzymał, odszedł spośród nas jeden z pierwszych jako ofiara tępej nieużytości posiepaków.

Co mówić o aptece, o lekarstwach! Nie było w obozie sposobnego kąta, żeby umrzeć spokojnie. W szczupłym „rewirze" panowała ciasnota: żeby się tam dostać, trzeba się było wykazać co najmniej 39 stopniami gorączki. Chorych słaniających się z wycieńczenia tam nie przyjmowano, musieli zostać w baraku i normalnie stawać do apelu. Dostawiali ich tam koledzy dźwigając we dwóch pod ramiona. Do przeglądu układano ich na lewym skrzydle na ziemi.

Ale w dzień? Część baraku przeznaczona na sypialnię była przez dzień zamknięta. W zaciżbionej pierwszej izbie nie sposób było chorego umieścić. Kończyło się na tym, że owijano nieszczęśnika w koc i układano w mroźnej ubikacji przeznaczonej na umywalnię; na betonowej posadzce, w kącie, żeby po nim nie deptać. Bywało, że dogorywał tam przez kilka dni. Nie dla kuracji nas tam przecież zwieziono, ale na zatratę.

Wobec całej tej ohydy lekarze nasi, jak my wszyscy, byli bezsilni i bezradni, wmieszani w szary, szaropasiasty tłum, jednako popędzany, jednako terroryzowany.

Obracał się między nimi jeden, co z tej jednakowości zdołał się jakoś wyosobnić, wyróżnić: prof. *Eugeniusz Brzezicki*. Dokonał tego w osobliwy sposób. Oczywiście nie jako lekarz, nawet nie jako sanitariusz, ale jako uparty, nieproszony, raczej wypychany i poszturkiwany pomocnik sanitarny. Oczywiście tylko w granicach naszego grona. Jakimiś sposobami zdołał się przedostać do rewiru i zachodził tam dość często. On odprowadzał naszych ciężko chorych, jakoś ich tam umieszczał i w wywalczonej skromniutkiej mierze niósł pomoc, oczywiście psychiczną raczej niż fizyczną. Przynosił skąpe wieści od kolegów, pocieszał, rozmawiał. Odbierał nierzadko ostatnie polskie słowa umierających. Siłą rzeczy stał się też posłańcem śmierci. Od niego rankiem każdego dnia dowiadywaliśmy się, czy i który z naszych kolegów w rewirze opuścił nas na zawsze. Szanowaliśmy i cenili wysoko te usługi iście samarytańskie.

Wśród kolegów-lekarzy, jak zwykle wśród ludzi, byli bardziej lub mniej pociągający, niezwykli i codzienni. W grono nasze wszyscy wnosili normalną wartość koleżeństwa. Nie brakło też wśród nich jednostek o szerokich zainteresowaniach humanistycznych, zarówno wśród zasłużonych seniorów, jak *Maziarski, Lewkowicz* i inni, jak wśród młodszych. Nie występowali oni na ogół jako prelegenci w PUO; wykłady z zakresu higieny, lecznictwa w tamtych warunkach wyglądałyby raczej na bolesną drwinę. Pożytek mieliśmy raczej z bezpośredniego obcowania z nimi.

Osobiście w najbliższą zażyłość wszedłem tam z prof. *Aleksandrem Oszackim*. Był indywidualnością niepospolitą, mnie zaś zainteresował ze szczególnych względów. Wychodziłem już z Uniwersytetu, kiedy przyszedł jako młody docent z Wiednia, poprzedzony rozgłosem; mówiono, że mimo młodego wieku uczestniczył w konsyliach lekarskich, martwiących się zdrowiem cesarza *Franciszka Józefa*. W Krakowie zajął wnet wybitną pozycję jako uczony i profesor. W pierwszej wojnie, kiedym przyjechał z frontu włoskiego stargany jakimś przewlekłym katarem żołądka, przeszedłem przez jego ręce w szpitalu wojskowym.

Poza tym wiedziałem o nim sporo. Babka jego, *Sabina Grzegorzewska*, wychowanka Puław, zapisała się w literaturze jako autorka cennych „Pamiętników". Brat profesora, wcześnie zmarły *Julian*, dziennikarz i literat, był znaczną osobistością w pierwszej krakowskiej generacji młodopolskiej. Sam *Aleksander*, o wielkiej wrażliwości estetycznej, miał również szerokie stosunki z kołami literackimi, przyjaźnił się z *Władysławem Orkanem*. Widziałem zdjęcie przedstawiające obydwu wylegujących się w słońcu na sławnej polanie Wasielki. Wytrwale podtrzymywał w sobie zainteresowania historyczne, zwłaszcza zaś filozoficzne, pociągały go religie i filozofie dalekiego Wschodu. W toku długich rozmów dowiedziałem się, że jest bliskim krewnym i dobrze znał poetkę *Marię Komornicką*, która jak świetny i niesamowity meteor przebłysnęła przez epokę naszego modernizmu. Dał się nakłonić i po wyjściu z obozu napisał o niej interesujące studium, o jej charakterze na podłożu patologicznym [4]. Głęboko mi się zapisały w pamięci tamte rozmowy przedwieczorne z *Oszackim* w okolu brązowo mroczniejących pni sosnowych, zbliżyłem się doń, a może nie będzie jednostronnym uroszczeniem, gdy tu wspomnę o przyjaźni.

Wspaniały internista, wobec niedoli obozowych i on był bezradny. Miałem bolesną sposobność, by to stwierdzić osobiście. W obozie

[4] Ogłoszone obecnie drukiem w 9. tomie „Archiwum Literackiego" 1964.

doznałem pierwszych objawów miażdżycy zwieńczeń. Bardzo nieprzyjemnych. Ból zaczynał się jakby w okolicy żołądka, podchodził pod mostek piersiowy i tam targał jak obcęgami. Przychodziło to na mnie noc w noc. Zwiedziony objawami miałem to początkowo za jakąś przypadłość w żołądku. Nowotwór, czy co? Nie umiałem sobie znaleźć rady. W takiej potrzebie sięgnąłem po eksperiencję prof. *Oszackiego,* przedłożyłem mu swą biedę. Rozłożył ręce bezradnie:

— Wiedzieć mogę w tej sprawie tyle, co pan, a nawet jeszcze mniej. Chcąc coś wiedzieć, musiałbym pana zbadać: opukać, wymiętosić, posłuchać serca, a nic przecież z tego zrobić tu nie mogę. Jestem bezradny.

Rzeczywiście dopiero w Krakowie, gdy objął z powrotem klinikę, wziął mię do siebie na trzy tygodnie, zbadał gruntownie, przeprowadził szereg zabiegów. No i w jakimś możliwym stopniu postawił na nogi. Myślę o nim z wdzięcznością jak o dobroczyńcy. Po jego śmierci uciekałem się pod opiekuńcze skrzydła drugiego sąsiada z sienników obozowych, prof. *Leona Tochowicza.*

Odniosłem dużą korzyść z tego, że przez tamte przeklętej pamięci miesiące zimowe wszedłem w bliską zażyłość z Samarytanami. Nad podbitymi i pokaleczonymi przez zbójców pochylali się pieczołowicie i ile można było skrapiali oliwą ich rany.

W ogóle kiedy wspominam tamten czas potworny, wzdrygam się na myśl, że mógłbym przez takie terminy przechodzić po raz drugi. Z owych miesięcy ucisku nie wyszedłem wszelako bez pożytków. Do najcenniejszych liczę pozaplatane tam węzły zażyłości. Na dnie poniżenia, w obliczu zewsząd czyhającej zagłady łatwo przejrzeć człowieka na wskroś i rozeznać się w jego wartości. Można wyróżnić, gdzie w tej szarej grudzie ludzkiej jest złoto, gdzie żelazo, a gdzie szlaka i pośledni żużel. Wielki to zysk życiowy taka próba ognia.

6. Z odległości ćwierćwiecza

Przemówienie na akademii żałobnej w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego w 25-lecie uwięzienia krakowskich profesorów

Przed dwudziestu pięciu laty, dnia 6 listopada 1939 r. zaszedł w tych murach fakt, jakiemu podobnego nie notują dzieje ani naszego, ani żadnego innego z polskich uniwersytetów, jakiemu podobnego próżno by szukać w dziejach nauki europejskiej. Fakt ludobójstwa uczonych. Ludobójstwo jest, jak wiadomo, szeroko stosowanym wynalazkiem ostatniej wojny. Wypadek ludobójstwa uczonych, niszczenia ich tak premedytowanego i w tych rozmiarach, jak krakowskie, miał w swej grozie zostać odosobniony. Wypadki analogiczne w Wilnie i we Lwowie, brutalniejsze w wykonaniu, nie miały już tego rozległego ogarnięcia ni rozmachu w przemyślności podstępu. Brak im też było równej naszemu znamienności historycznej. Cios krakowski uderzył i zdruzgotał ludzi, ale wymierzony był w sam byt instytucji, wolno powiedzieć więcej: w kamień węgielny gmachu kultury naukowej narodu. Przez to właśnie jest tak symptomatyczny.

Wynik zamachu wiadomy. Zaaresztowany został i osadzony w obozie koncentracyjnym cały niemal zespół pracowników naukowych Uniwersytetu: profesorów, asystentów, przy tym także znaczna liczba profesorów innych uczelni: Akademii Górniczo-Hutniczej i Akademii Handlowej, w sumie blisko 200 osób. W ich liczbie rektorzy, byli rektorzy, prezes i wiceprezes, a również były prezes Polskiej Akademii Umiejętności, ogółem seniorzy naszej profesury, między nimi uczeni o zasięgu europejskim, jednostki naczelne, przodujące zasługami w dziejach nauki polskiej. Obok nich młode latorośle. Wszystkich wyrwano nagle z toku pracy i skazano na pognębienie i na zatratę. Zawdzięczamy zbiegowi okoliczności, między innymi echu, jaki ten dziki akt wywołał w opinii europejskiej, że zagłada ziściła się tylko częściowo.

Jak do tej potworności doszło? Przypomnijmy momenty najznaczniejsze. W pierwszych dniach listopada 1939 r., na progu trzeciego miesiąca okupacji Krakowa, władze uczelni naszej zdecydowały się otworzyć normalny nowy rok akademicki. Okupant przecież zalecił był publicznie, by życie społeczeństwa szło nadal torem normalnym. Otwarto w Uniwersytecie przewody egzaminacyjne, uruchomiono pracownie, odbyło się nabożeństwo inauguracyjne.

Do samej inauguracji wszelako nie doszło. W przeddzień jej, także w przeddzień przyjazdu wielkorządcy, gubernatora *Franka,* zgłosił się do rektora szef krakowskiego ośrodka tajnej policji politycznej, *Obersturmbannführer Müller,* osłaniający się tytułem doktora któregoś z uniwersytetów niemieckich i wyraził życzenie, że pragnąłby przed gronem profesorów wygłosić odczyt o stosunku państwa narodowo-socjalistycznego do potrzeb rozwojowych nauki.

Rektor, nie przeczuwając podstępu, sprosił osobną kurendą grono nauczające Uniwersytetu, a także bratnich uczelni akademickich. Poszliśmy tłumnie, młodzi i starzy: sala 56 wypełniła się licznie zebranymi. Zjawił się też rzekomy prelegent. Wszedł oczywiście w mundurze, w czapie na głowie i stanął za katedrą we właściwej swej roli: zamiast uczonego — zbir policyjny. Próbę własnowolnego otwarcia roku akademickiego wskazał jako dowód, że nie orientujemy się w nowo powstałej sytuacji i oświadczył, że wobec tego zostajemy wszyscy aresztowani, że dostaniemy się w warunki, w których zdołamy przemyśleć tę sytuację i przeuczyć się, *umlernen.*

Rzeczywiście gmach *Collegii Novi* był już obsadzony przez gestapowców. Wszyscy znajdujący się w nim pracownicy umysłowi zatrzymani, przy wtórze wrzasków i klątw, przy pomocy kułaków ustawieni w czwórki, po czym załadowani do karetek więziennych i pod ostrą strażą odesłani do więzienia wojskowego przy ulicy Montelupich; następnie, po nocy źle

przespanej pokotem na gołej kamiennej posadzce, przewiezieni do koszar 20 pułku piechoty, skąd po dwóch dniach odwiezieni do Wrocławia, do więzienia tamtejszego sądu kryminalnego. Po dwóch z górą tygodniach przeszkolenia więziennego odstawiono nas w końcu poza Berlin do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen.

Szczegółów pobytu, wyrafinowanego systemu znęcania się stosowanego do więźniów, do wszystkich więźniów na równi, a więc i do nas, nie będę tu opowiadał. Nie byłbym w stanie w krótkim przeciągu czasu objąć i uprzytomnić wszystkich, a nawet wybranych, najznamienniejszych jego przejawów. Sięgnąć po nie trzeba do wspomnień spisanych na świeżo i opublikowanych przez towarzyszów niedoli, profesorów *Konopczyńskiego, Skowrona, Urbańczyka,* a najszczegółowiej w książce prof. *Gwiazdomorskiego.*

Dotknę więc tylko parę punktów ogólnych.

*

Wywarło się na nas całe zło: wyjątkowo mroźna i wietrzna zima 1939/1940 oraz nieludzki tryb dyscypliny obozowej w natłoczeniu ponad miarę, nade wszystko zaś stosownie dobrany zespół stróżów i wykonawców systemu, dozorców obozowych, wśród których szli o lepsze dobrani sadyści spośród funkcjonariuszów gestapo z najpospolitszymi kryminalistami, z jakich się nierzadko rekrutowali „kapowie", tzn. starsi blokowi. Znaleźliśmy się w warunkach potwornych, stłoczeni w barakach jak trzoda, źle odziani w liche aresztanckie pasiaki, trzymani godzinami na placu apelowym przy dwudziestokilkustopniowym mrozie, źle żywieni, po prostu głodzeni, pozbawieni pomocy lekarskiej, już to przydzieleni do ciężkich robót, już też poddawani wymyślnym szykanom codziennej dyscypliny.

Nic też dziwnego, że starsi spośród nas, schorowani, wyczerpani — nie wytrzymywali. Zaczęło się żniwo śmierci. Już w drugim miesiącu, pod koniec grudnia otwarła się lista nieboszczyków. Rozpoczął ją w sam dzień wilii profesor Akademii Górniczo-Hutniczej, *Antoni Meyer.* Za nim poszli następni. Co dwa, co trzy dni rozchodziła się wieść, że ten czy ów spośród nas odszedł. Opuszczali nas w ten sposób po kolei profesorowie: *Estreicher, Siedlecki, Chrzanowski* i następni.

Przeczytany przed chwilą w lektorium Szujskiego apel wymienił ich wszystkich: trzynastu zmarłych w obozie, czterech w najbliższych dniach po zwolnieniu, a dwóch niebawem w Mauthausen. Łącznie więc dziewiętnastu. Więcej niż 10 procent aresztowanych — to plon półtrzecia miesiąca. Zginęli oni w warunkach ciężkich, iście polegli w służbie jako ofiary dzikiej represji hitlerowskiej.

Po co o tym wszystkim wspominać dziś, po latach dwudziestu pięciu? Mogiły pochowanych zarosły trawą, prochy popalonych w krematoriach wchłonęła daleka ziemia cudza.

Co więcej, dochodzą nas głosy z krajów szczęśliwych, co nie zaznały potworności najazdu, z ust ludzi ukształconych, nawet spośród uczonych, którzy takie świadectwa, jakie my tu, świadkowie naoczni, złożyć możemy, mają za przesadę, traktują jako objaw tzw. *Greuelpropagande* i wietrzą w tym pasję odwetowców. Czy zdołamy przekonać kogo z tych niewiernych Tomaszów, skłonić, żeby bezpośrednio położył rękę na ranie? Mało mam wiary. A przecież nie możemy milczeć, nie odmówimy tego świadectwa prawdzie, składamy je publicznie i głośno, bo z jej stwierdzenia, z jej przypomnienia wynikają wnioski nie tylko dla innych, ale i dla nas. I to wnioski niebłahe.

Pisarka polska, *Zofia Nałkowska,* dając w „Medalionach" skondensowane obrazy potworności takiej eksterminacji obozowej, przerażenie swoje ujęła w zwięzły i zgrozą naładowany okrzyk: „To ludzie ludziom przygotowali ten nieludzki los!" Trudno celniej wyrazić przeraźliwość zjawiska dehumanizacji, poświadczonej okrucieństwami wojny totalnej. My tu, z tego miejsca, możemy ująć ten wyraz przerażenia jeszcze inaczej: To uczeni uczonym zgotowali taką potworność zagłady.

Zaaresztował nas *doctor iuris,* a więc niby to sługa prawa i sprawiedliwości. Wśród podoficerów siepaków obozowych znaleźli się studenci uniwersytetów. Nad skonstruowaniem krematoriów obozowych, izb masowego wytruwania, głowiły się inteligencje techników i chemików. Nieludzkie eksperymenty nad wytrzymałością ludzką, nad granicą sił witalnych człowieka przeprowadzali lekarze, jakoby badacze naukowi. Badacze, wynalazcy, słudzy nauki dali się więc zaprzęgnąć do dzieła eksterminacji istnień ludzkich, z ochotą nierzadko przykładali się do coraz wymyślniejszego nasilania okrucieństw. I ich ogarnął szał nienawiści. Z publicznego placu w Krakowie inny doktor praw, podobno przewodniczący hitlerowskiej *Akademie für deutsches Recht,* zbir-gubernator *Frank,* wrzeszczał przez głośniki, że Polacy to podludzie, *Untermenschen,* dobrze, jeśli im się pozwoli zamieszkać w Rodezji. Nasze muzea, zakłady naukowe ograbiali, nasze archiwa i biblioteki na popiół przeznaczali także uczeni, historycy sztuki, archiwariusze, bibliotekarze i bibliofile.

Czyż tego rodzaju postępki mieściły się kiedykolwiek w pojęciu pracownika nauki, człowieka z dyplomem akademickim? Po krótkiej tresurze partyjnej pomieściły się oto za naszych czasów znakomicie. Przekonaliśmy się naocznie i dotykalnie, że kultura umysłowa nie implikuje bynajmniej kultury etycznej, że przyjaciel mądrości nie musi być zarazem przyjacielem człowieka, że dyplom uniwersytecki nie stanowi zapory przed zalewem dehumanizacji. Napełnić to może najgłębszym przerażeniem. Otóż właśnie tę grozę swą chcielibyśmy wtrawić w dusze i wbić w pamięć tych, co nas słyszą. Wołamy na trwogę. Rozbity został atom człowieczeństwa, pękły Sokratesowskie spoidła między wiedzą a prawością, zagrożony został gmach kultury,

przez tyle wieków utwierdzany wysiłkiem najszlachetniejszych przedstawicieli ludzkości.

Myśląc o atmosferze obozowej, mając na uwadze to rozpętanie zła, które się wywarło na nas w Sachsenhausen, a na miliony nam podobnych w Oświęcimiu, Majdanku, Treblince i licznych innych kombinatach masowej zagłady, wspominając wszystkich tamtych wysługusów okrucieństwa — mówić się zwykło o bestializacji człowieka. Jak to już ktoś powiedział: wyrządza się w ten sposób krzywdę zwierzęciu. Bestia zabija i pożera, zaspokajając głód, ale się nad ofiarą nie pastwi. Za drutami kolczastymi pastwił się człowiek syty nad osłabionym z głodu, człowiek uzbrojony nad bezbronnymi, przemożny nad poniżonym, pastwił się wymyślnie, z satysfakcją i uciecha. Panoszyło się tam zło znajdujące samo w sobie rację i podnietę, a nawet radość istnienia, zło esencjonalne, zło absolutne. Nie o bestializacji człowieka więc trzeba było mówić, ale o jego zdiableniu. Wiedza zaś, nauka usłużnie zaostrzała narzędzia szatanowi. Faust poszedł na nikczemne wysługi do Mefista. Jest czym się przerazić, wobec czego się wzdrygnąć, przed upodleniem takim może przystanąć ze zgrozą, może się cofnąć...

*

W *pandemonium* ucisku czy wszelako jedynie zło triumfowało? Oczywiście triumf jego był ogromny. Miliony ofiar przeszły przez otchłań obozów w zatrate, wśród tego mrowia miliony polskie obok żydowskich stanowią pozycję najznaczniejszą. Ogrom zagłady plemienia polskiego w latach 1939—1944 na długo przerażać będzie historyków i statystyków. To prawda okrutna i wstrząsająca. Ale przecież nie przygnębiająca beznadziejnie. Nie przygnębia zaś dlatego, że jest prawdą nie jedyną, nie wyłączną, jak to mogliśmy stwierdzić nawet na podstawie krótkich stosunkowo naszych przeżyć obozowych.

Prawdą jest również i to, że w obozie, właśnie na najciemniejszym tle jego poniżeń, tym jaśniej wybłyskiwały światła moralnego wywyższenia istoty ludzkiej i światła wielkoduszności. Żeby się ograniczyć do waskiego terenu naszych obserwacji i doświadczeń w ramach dwóch tylko baraków i tylko do grona kolegów z *Sonderkommando Krakau*, stwierdzić mogę, że ujawniały się one w obu generacjach: w tej, która schodziła z areny uniwersyteckiej, i w tej młodszej, która na nią dopiero zaczynała wstępować.

W tej drugiej kategorii chciałoby się mówić o wielu wzruszających wypadkach serdecznej troskliwości, z jaką niektórzy z młodszych kolegów odnosili się do starych i utrudzonych już swych profesorów, pomagając im, pielęgnując po samarytańsku, osłaniając przed cięższymi przejściami. Niewątpliwie bezinteresownie i bez wyrachowania, i tylko z szczerej, wiernej i trwałej miłości. Nikt z nas nie wiedział przecież, czy, kiedy i do czego wyjdzie z piekła obozowego. Chcąc być szczegółowym, trzeba by tu wymieniać nazwiska, a tego uczynić nie chcę, bo koledzy ci żyją między nami, niejeden może słucha moich słów.

Osobno chciałoby się wymienić nazwisko niejednego spośród tych, co udręki nie wytrzymali i odeszli. Okazanej przez nich mocy charakteru, niezłomnej godności nie sposób zapomnieć. Komuż z nas kilku, cośmy byli naocznymi świadkami, może się zatrzeć w pamięci scena katowania ks. *Konstantego Michalskiego* za to jedynie, że był *ein Pfaffe;* na zawsze zapisał się wspaniały jego hart i ponad sponiewieraniem triumfująca godność. Któż zapomni męskie zamknięcie się w sobie *Stanisława Estreichera* i twardą odporność na rozdzierające cierpienia, które wypełniły ostatnie dni jego życia. Z onieśmieleniem i czcią patrzyliśmy na opanowanie, spokój i prawie pogodę duchową *Kazimierza Kostaneckiego*, kiedy na opuchniętych i różą rozniesionych nogach, bez słowa skargi zmógłszy ból, stawał z nami na placu apelowym aż do przedednia śmierci. Cisną się tu na pamięć dalsze nazwiska profesorów-męczenników: *Hoborskiego, Kołaczkowskiego* i niejedno jeszcze. Wszyscy oni w poniżeniu i udręczeni imponowali postawą i oporem wewnętrznym.

A jeśli kiedy — rzadki i odosobniony — odezwał się w naszym gronie jaki poszept trwożnego popłochu — w tamtych właśnie dopiero co wymienionych seniorach, i w niejednym zresztą poza nimi: w *Heydlu, Konopczyńskim, Kutrzebie, Piotrowiczu* mogliśmy zawsze mieć oparcie i podnietę do przeciwdziałania i obrony honoru Polaka i pracownika Uniwersytetu Jagiellońskiego. Idąc do „rewiru" prof. *Stanisław Estreicher* powiedział do nas ostatnie słowa: „Koledzy, nie pozwólcie zmarnować naszych śmierci". Słowa te streszczają wszystko i nie cichną spoza grobu. Trzeba, by zostały w pamięci nie tylko naszej, ale i przyszłych generacji.

Takie śmiercią zaświadczone przykłady niezłomności i wielkoduszności, jasne i krzepiące, mogły podtrzymać i ratować naszą, na tak okrutne próby wystawioną wiarę w człowieczeństwo. Jest to zdobycz bezcenna, wyniesiona z ostępu rozwścieczonego zła. To była nasza *katharsis* i ona każe wspominać nam tamte momenty ucisku i poniżenia ze słusznie ugruntowaną chlubą.

*

I jeszcze jedno. *Obersturmbannführer* dr *Müller* nie krył przed nami przyczyn tak wyjątkowego aktu represji. Jako powód podał, żeśmy przystąpili do pracy w Uniwersytecie złośliwie, *boshaft*, i samowolnie, *ohne uns zu fragen*. Ale nie krył, że współczynną dla nich przy tym była przyczyna druga, głębsza i właściwie istotna. Wskazał ją w tym, że Uniwersytet Jagielloński był zawsze wrogi niemieckości, *immer deutschfeindlich*. Mówił to z furią, nic więc dziwnego, że zaciekłości swej dał wyraz sfałszowany. Nauka polska, nauka krzewiona z katedr naszego i każdego bratniego

uniwersytetu nie kierowała się nigdy niską pasją, a więc także nie pasją nienawiści. Służyła prawdzie, a słońce prawdy jest jedno, zawsze czyste, „wschodu nie zna ni zachodu"; nędzni, wyrachowani fałszerze światła blakną w nim i wnet odpadają w niepamięć, nierzadko we wzgardę. Uczeni polscy nie krzewili nienawiści, w szczególności także nienawiści do narodu niemieckiego.

Ale było ziarno prawdy w tamtym jadowitym stwierdzeniu doktora-policjanta. Rzeczywiście. Ilekroć naród polski znalazł się w potrzebie, atakowany przez niewygasłą zaborczość germańską, uczeni nasi zawsze zaciekłej furii, wrzeszczącej: *ausrotten!*, przeciwstawiali majestat prawa. Przednie miejsce wśród tych obrońców bytu narodowego zajmowali profesorowie i wychowankowie naszego Uniwersytetu. Od *Pawła Włodkowica*, co w Konstancji zmagał się z oszczercą *Falkenbergiem*, od *Długosza*, przez długi szereg innych, aż po *Dietla*, *Karola Estreichera*, a za naszych czasów po *Zimmermana*, *Konopczyńskiego*, *Wacława Sobieskiego*, *Kutrzebę* i tylu innych.

Nie żywiliśmy i nie żywimy nienawiści do narodu niemieckiego. Żywimy tylko w sobie i budzimy w naszych uczniach wolę nieugiętego oporu przeciwko zaborczości niemieckiego imperializmu. Jeżeli za to cierpieli w obozach, jeżeli za to zginęli zamęczeni nasi czcigodni koledzy, to z chlubą możemy sobie powiedzieć: cierpieliśmy za sprawę słuszną.

Zapewniał nas butnie i zuchwale gestapowiec, że za tę winę dziejową Uniwersytetu w murach naszej uczelni już nigdy — *nie wieder!* — nie rozlegnie się słowo polskie. Okazał się partackim prorokiem. Rozlega się oto znowu i nadal krzewi wiedzę, utwierdza kulturę umysłową i moralną narodu, służy nauce, jak służyło wiernie w zmiennych kolejach losów przez sześć chlubnie upłynionych stuleci.

STANISŁAW GŁOWA Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20017 i Sachsenhausen nr 94127

Ewakuacja obozu w Sachsenhausen [1]

Dnia 19 kwietnia 1945 r. wieczorem w obozie zagłady w Sachsenhausen gruchnęła hiobowa wieść: bolszewicy nad Kanałem! Co się wówczas zaczęło dziać, nie da się ani opowiedzieć, ani opisać. Wieczór, ciemno, światła pogasły. Nastrój niezwykłego podniecenia wśród więźniów. Wszak od tygodni żyliśmy w oczekiwaniu rychłego końca wojny, który nareszcie zaczął się zbliżać... Słychać już było, zwłaszcza w ciszy nocnej, detonacje, wybuchy oraz widać błyski pocisków. Więźniowie podawali sobie z ust do ust wieści, że wyzwolenie tuż, tuż, że sytuacja polityczna wręcz cudowna, że Niemcy zbierają lanie na wszystkich frontach, że III Rzesza drży w posadach, że są stałe dezercje, ucieczki, samobójstwa, nawet wśród przywódców *SS*. W to wszystko jedni starali się uwierzyć, pesymiści zaś głosili, że do końca jeszcze daleko, że wcześniej do wolności droga prowadzi przez komin, że zamierzenia wroga są potworne, że wszyscy musimy być zgładzeni. Że znają już nawet rozkazy zmierzające do likwidacji całego obozu. Zresztą sprawa wysadzenia czy zniszczenia obozu z powietrza nie przedstawiała specjalnie wiekszych trudności.

Wśród tego rodzaju wieści nadszedł ów pamiętny wieczór. W obozie panika nie do opisania. „Bohaterscy" *SS* z bronią w ręku zeskakiwali z budek strażniczych i uciekali. Więźniowie rzucili się do plądrowania budynku paczkarni, który w oka mgnieniu opróżnili. Wszyscy byli gotowi do ucieczki. Wtem zjawia się komendant (żołnierzy radzieckich długo jeszcze nie było), opanowuje sytuację i zarządza natychmiastową ewakuację obozu. Zbiórka blokami. Tworzy się grupy po 500 osób i nakazuje wymarsz w nieznane. Za każdym oddziałem po dwóch esesmanów z bronią maszynową na motorach. Około godziny 20 ruszam i ja z oddziałem zebranym z przygodnych więźniów, chętnych do szybkiego wyjścia z obozu. Sporą grupę stanowili koledzy, którzy dopiero co opuścili szpital. Wreszcie uformowała się pięćsetka.

Do mnie przybiegli koledzy, Rosjanie *Iwan* i *Siergiej*, nazwisk nie pamiętam, którzy przez szereg miesięcy pracowali ze mną w „komandzie *Wäschewagen*". Do południa zbieraliśmy po blokach brudną bieliznę i odwozili do „*Wäscherei*", po południu zaś rozwoziliśmy czystą. Rozmowa krótka. „Zabieramy, chłopcy, «rollwage» i jazda na końcu grupy". „Ty szutki dielajesz" — krzyczy *Iwan*, ale decyzja krótka i przyjęta. Biegniemy po wóz i w czwórkę stajemy za oddziałem. Za nami dwóch esesmanów, jak zwykle, na motorach. Ruszamy i już jesteśmy za obozem. Kierunek: północ. Pada rozkaz: biegiem! To już nie marsz, ale paniczna ucieczka. Co parę minut za plecami słychać krótką serię strzałów. To dobijanie tych, którzy nie mogli nadążyć i zostawali w tyle. W przydrożnych rowach zostawały zwłoki zastrzelonych ludzi z grup, które przed nami wyruszyły.

[1] Pomimo że wspomnienie autora nie dotyczy bezpośrednio tematyki medycznej, zostało tutaj opublikowane ze względu na treść zawierającą elementy istotne z punktu widzenia lekarskiego, jak np. opis głodu oraz reakcji wygłodzonych więźniów po przyjęciu przez nich obfitego pożywienia (przyp. red.).

Ledwie przytomny rano 20 kwietnia 1945 roku widzę na przydrożnej tablicy nazwę miasteczka Neurupin, oddalonego od obozu w Sachsenhausen o około 40 km. A więc tyle przebiegliśmy w ciągu nocy. Oddział zatrzymano tutaj na krótki odpoczynek. Wyznaczono na ten cel 30 minut, wolno było usiąść. Od przebranego w esesowski mundur blokowego *Maksa Delora* dowiedziałem się, że z naszego oddziału zastrzelono około 80 osób. Słabli zwłaszcza ci, którzy opuścili szpital. Nie znieśli trudu marszobiegu. Warto dodać, że *Maks Delor,* blokowy 66 bloku, w którym przebywałem blisko 8 miesięcy, był znanym międzynarodowym włamywaczem. W przystępie humoru opowiadał mi o swoim pobycie w Polsce, o wspaniałym przyjęciu przez kryminalne „podziemie" w Warszawie i Krakowie oraz o planach włamań do polskich banków. Gdy mówił, że ogromnym kęsem miała być kradzież wot z obrazu Świętej Panienki, domyśliłem się, iż chodziło o skarby nagromadzone w Częstochowie.

Wóz, który zabraliśmy, okazał się bardzo mocny, łatwiej było biec koło niego, mając jakie takie oparcie. Zmęczeni esesmani kładli swoje plecaki, płaszcze, a nawet broń. Na wóz ładowano zabierane z kopców buraki, brukiew i ziemniaki. Rozejrzawszy się rano wśród naszej grupy, odnalazłem kilku znajomych i kolegów obozowych, jak: *Zygmunta Rogowskiego,* adwokata z Krakowa; *Mariana Tolińskiego,* aptekarza z Krakowa; *Witolda Kosztownego,* lekarza; księdza *Baranowskiego; Tadeusza Kowalczyka,* lekarza weterynarii; brata rektora krakowskiej Akademii Górniczej; *Antoniego Krajewskiego,* dyrektora ze Lwowa i *Józka,* z zawodu rzeźnika z Włodawy, którego nazwiska nie pamiętam i wielu innych. Było mi raźniej i nabrałem otuchy, znalazłszy się wśród swoich i bliskich.

Po odpoczynku oddział ruszył dalej w nieznane. Posiłków w porze śniadania, obiadu i kolacji w pamiętnym dniu 20 kwietnia 1945 roku nie podano. Głód zaczął dokuczać i dolegać coraz bardziej. Nie było go czym zaspokoić. Zapasów w organizmie również brakło. Łudziłem się, że dobrniemy do jakiegoś punktu zaopatrzenia i że coś się stanie. Może dostaniemy po kromce chleba, a może kubek gorącej wody. Marzenia! Marsz trwał dalej. Mijaliśmy miejscowość Grabów. Zaciekawiła mnie polska nazwa. Przeszliśmy w tym dniu około 20 km. Biec już nikt nie mógł. Marsz był raczej pogrzebowy.

Nadeszła noc. Otoczeni posterunkami *SS,* śpimy na polu. Noc chłodna, przymrozki, głód i zimno. Słabi z wycieńczenia umierają. Coraz więcej trupów. Zabijania ustały, zresztą były już niepotrzebne. Więźniowie sami, bez pomocy, ginęli stosownie do wymagań III Rzeszy. Straszna jest śmierć głodowa. Rozmawiasz z kolegą jakby nigdy nic, wtem nagle wali się z nóg i ginie. Na polanie i w rowach, gdzie nocujemy, pierwsze zwiastuny wiosny: jakieś drobne kwiatuszki i pierwsza ruń pokrzyw. Zaczynam rwać pokrzywy i jeść. Pogniecione w rękach liście zjadałem, łodygi zaś żułem tak długo, aż nie pozostało z nich żadnych soków. Wyciągałem z ust gotowe, czyste konopie. Za moim przykładem poszli inni tak, że następnego już dnia w rowach przydrożnych brakowało tego cennego dla nas pożywienia. Stwierdzam, przynajmniej na sobie, że chudłem co prawda, ale sił po tym „posiłku" nie traciłem. Ciekawe. Jako wypróbowany środek witaminowy, mógłbym polecić go kolegom lekarzom do stosowania.

O świcie 21 kwietnia 1945 roku orszak żałobny rusza dalej, tworząc długi sznur, który wyglądem przypomina znany mi obraz artysty malarza *Jacka Malczewskiego* „Pochód na Sybir". Może po godzinie marszu sensacja. Widzę na przodzie ogromny tłum skupiony około dwóch ciężarowych wozów. Padają gęsto strzały. Są zabici i ranni. Tłum się rozprasza. Koło mnie przebiega jakiś więzień z naręczem chleba. Rzuca jeden bochenek. Zbawienie! Dzielimy chleb na kawałeczki i pożeramy, ale tego nie czuć. To tak, jak bym spożył opłatek. Okazało się, że na przejeżdżający oddział lotników niemieckich z transportem chleba napadli głodni więźniowie. Nie pomogły strzały. Potęga głodu okazała się silniejsza nawet od broni maszynowej. Jedenastu zabitych, kilkudziesięciu rannych i reszta żywych zdecydowana na wszystko, byle tylko ratować życie. Wypadki zastrzeleń całej masy więźniów zdarzały się również w następnych dniach, kiedy rzucali się oni na kopce z burakami, brukwią czy ziemniakami. Posiadanie w tym czasie jednego ziemniaka oznaczało przedłużenie życia co najmniej o kilka godzin, jeśli nie dni, a posiadacz uważał, że w jego kieszeni mieści się skarb nie byle jaki.

Na jednym z postojów nocnych posłyszałem taką mniej więcej naprawdę kulturalną i pamiętną w tych opłakanych warunkach rozmowę między dwoma więźniami, którzy, jak się później okazało, pochodzili z Wilna i byli profesorami tamtejszego uniwersytetu. Obaj mieli jeden duży ziemniak, a więc skarb. Byli oni wygłodzeni, u kresu sił. „Kolego — mówił pierwszy — a może byśmy tak dzisiaj urządzili sobie ucztę, mamy taki przysmak. Podzielimy go na dwie równe części i proszę, nie myjmy, bo mogłyby poodpadać te małe cenne guzełki", a na to drugi: „Kolego drogi, dobrze, zjemy dzisiaj, ale co dalej? Czy kolega wie, co nas jeszcze czeka? Ten ziemniak może stanowić o naszym życiu! Nie trzeba być łakomym. Trzeba wykazać hart ducha, a ciało niech dłużej pocierpi. Zresztą uważam, że obaj jesteśmy jeszcze w pewnej kondycji". Pierwszy, speszony, wycofuje się i tak powiada: „Kolega ma najzupełniejszą rację, jutro też trzeba żyć. Noc idzie, głód prześpimy". Przytuleni do siebie, nakryci łachami, zasypiają pod potężnym bukiem, a między nimi leży coś, co stanowić ma o ich życiu i przyszłości: dużych rozmiarów ziemniak. Ranek następny był mroźny, na drzewach widać szron, padają nawoływania: Wstawać! Ruszamy dalej! Podnoszą się cienie, szkielety. Zwijają łachmany.

Czekamy na śniadanie, czekamy na kawę, na chrupiące bułeczki, może szyneczkę, jajeczka w szklance i coś więcej. Tak pracowała wyobraźnia, a od 19 kwietnia nic jeść nie podano i należało przypuszczać, że wszyscy zginiemy śmiercią głodową. Oddział już się szereguje, a o utrzymaniu jakiegokolwiek porządku mowy być nie może. Patrzymy, a obaj wilnianie nie podnoszą się, nie wstają, śpią dalej. Poruszamy ich, nie reagują. Obaj już nie żyją. Śpią snem wiecznym. Zmarli z głodu, a w zastygłych rękach trzymali ziemniaka, który miał przedłużyć ich życie, okazało się zaś, że przyniósł im „wolność", ale nie tę wolność, o jakiej marzyli.

Pochód rusza dalej, szeregi topnieją z każdym dniem. Wszyscy staliśmy się nagle jaroszami. Oprócz wspomnianych pokrzyw zjadamy przeróżne chwasty, gałązki brzozy z pęczkami na liście, a przede wszystkim po lasach, gdzie przeważnie, z uwagi na naloty, spędzaliśmy noclegi, patyczkami wygrzebujemy owoce buku zeszłoroczne i te pożeramy. Pijani po zjedzeniu większej ilości zasypiamy, zapominając na chwilę o głodzie. Modlitwy dotychczas odmawiane co wieczór wspólnie z księdzem *Baranowskim* krzepiły nas. Obecnie więźniowie zobojętnieli i otępieli na wszystko.

Tylko niektórzy mieli pożywienie, a zwłaszcza ci więźniowie z obozu w Sachsenhausen, którzy ograbili paczkarnię. Wśród nich rej wodził odżywiony, rumiany więzień, kolega *Jurek Żarnowiecki* z Zakopanego, który wiele lat przebywał w obozie oświęcimskim. Skończył niesławnie swoje życie, zamordowany w strefie amerykańskiej już na wolności, przy większym szmuglu transportu pończoch z Francji. W czasie jednego postoju, w jakiejś stodole, kiedy inni więźniowie ginęli z głodu, otwierały się ich toboły pełne „żarcia", jak śledzie, sardynki, masło, chleb a nawet wędlina. Widząc to, więźniowie koledzy usiłowali ich zamordować, co nie udało się jednak, tamci bowiem byli silni, odżywieni i zdążyli uciec.

Na dłuższy pobyt zatrzymano nas w Belowie (znowu nazwa słowiańska), w dużym bukowym lesie. Było nas około 40 tysięcy, ewakuacji bowiem podlegały wszystkie obozy położone nie tylko na terenie III Rzeszy, ale i na terenach okupowanych. Dziennie umierało śmiercią głodową po kilkaset osób. Zdrowych zabierano do kopania dołów i chowania zwłok. Nasza grupka urządziła sobie biwak pod gęstymi drzewami. Z nałamanych gałęzi sporządziliśmy coś w rodzaju szałasu. Miało nas to częściowo chronić przed zimnem, a przede wszystkim przed złodziejami. Kradzieże zresztą były zatrważające. Nic się nie ostało przed złodziejami. Jak szakale, krążyli po nocach i zabierali wszystko, co popadło. Najbardziej broniło się obuwia. Dlatego większość nie zdejmowała butów z nóg. Pamiętam, że przez cały tydzień ani razu nie zdjąłem obuwia. Brud potworny, na domiar wszy gryzły niemiłosiernie, a wszelkie próby tępienia miały tylko minimalny skutek. Oparci o drzewa stale czochraliśmy się i opędzali jak mogli od tej plagi.

Ostatni tydzień kwietnia był właściwie tygodniem ciągłych pogrzebów. Szeregi topniały. Żyjący widząc to zdawali sobie sprawę, że koniec każdego z nas nadchodzi. O sytuacji politycznej niczego nie wiedzieliśmy, zresztą na co nam to było potrzebne. Nie słuchano nawet pocieszającej wiadomości, wobec widma niechybnej zagłady. Żadnego pożywienia nie otrzymaliśmy na przestrzeni od dnia 19 do 30 kwietnia 1945 r., a więc przez pełne 12 dni. Jaki organizm mógł to wytrzymać? Poza tym dochodziły wiadomości o likwidacji takiej czy innej grupy więźniów. Między innymi, że zastrzelono kilkuset więźniów stłoczonych na jednej z leśnych polan.

Dnia 30 kwietnia 1945 r. nastał słoneczny ranek. Byłem wtedy świadkiem niecodziennego zjawiska. Do lasu zajechało kilka wozów ciężarowych Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, załadowanych żywnością i lekami. I ciekawe: ludzie głodni, u kresu sił, na prośbę, ażeby się odpowiednio uszeregowali, stanęli jak automaty, bez przepychania podchodzili i zabierali wręczane im paczki. Wielu nie doszło do samochodów, umierając na tej krótkiej drodze. Stałem na boku z opaską Czerwonego Krzyża na ręku i obserwowałem ten żałosny pochód. U wielu pań z Czerwonego Krzyża widziałem łzy. Nie wyobrażały sobie nawet, że człowieka w XX wieku może doprowadzić do takiego stanu drugi człowiek, mieniący się często nadczłowiekiem. Więźniowie zabierający paczki nie dziękowali. Prawdopodobnie nie mieli na to sił. Odchodząc, całowali tylko powiewającą chorągiewkę Czerwonego Krzyża. W tym geście zawarli chyba największą podziękę. Cóż, kiedy po odjeździe samochodów co najmniej połowę obdarowanych okradli esesmani.

W lesie belowskim słyszało się wielojęzyczne rozmowy. Była to istotna wieża Babel. Pod wieczór 30 kwietnia zjawiają się u mnie przyjaciele z pracy, *Iwan* i *Siergiej* i proponują pójście z nimi. Oświadczyli mi, że bardzo bym się im przydał. Znam bowiem język rosyjski i mogę śmiało uchodzić za Rosjanina. Zakupili, bądź zamienili za pasiaki od esesmanów około 30 karabinów, szwaby bowiem muszą już coś wiedzieć i węszyć, gdyż na gwałt przebierają się za więźniów. Z oferty pójścia na nową walkę nie skorzystałem. Nie miałem sił.

Eskorta *SS* zaczęła topnieć. Niemcy uciekali, niemniej jednak wśród załogi *SS* zobaczyłem nowe twarze. Nie wróżyło to nic dobrego. Spostrzeżeniami podzieliłem się z kolegami i po chwilowej naradzie postanowiliśmy — oczywiście w naszej grupie — umknąć. Powynoszono do lasu nasze koce, łachmany i ruszyliśmy w ciemną noc. Pamiętam, że w grupie tej był „apostoł", z uwagi na swój wzrost, *Zygmunt Rogowski*, był ksiądz *Baranowski*, koledzy: *Kowalczyk, Krajewski, Toliński, Józef* z Włodawy i oczywiście ja, tudzież kilku kolegów, których nazwisk już nie pamiętam. Razem było nas dziesięciu. Dzień 1 maja 1945 r. po śnie w gęstej świerczynie przywitał nas

słońcem. Dokuczał nam głód nie do opisania. Pożywienie — to runo leśne, a nawet mchy oraz młodziutkie pączki świerków, jodeł i owoce buka. Około godzin południowych spotkało nas wyjątkowe szczęście: natrafiliśmy na zdechłego czy zabitego konia. Radość nasza nie miała granic. Mięso! Świeże mięso, las i nasza dziesiątka z obozu. Przygotowania do uczty. Nieważne, ile dni trup koński leżał, a może był świeżutki i dla nas przygotowany? Nie obeszło się i bez ceremoniału liturgicznego. Ksiądz *Baranowski* pobłogosławił skarb, odprawił modły, a *Józek* z nożem przystąpił do dzieła. Naciął skórę i wyciągnął najlepszą cząstkę: polędwicę. Podzielono ją na dziesięć równych części, przygotowano ognisko. Wystrugano patyki-szpikulce i wszyscy stanęliśmy nad ogniskiem. Ale zaledwie zaczęło skwierczeć, *Zygmuś* już ma kęs przy ustach. Krzyczę: „*Zygmunt*, zwariowałeś? Surowe! Zdechniesz, żołądek pusty!", a on na to: „*Stasiu*, ja tylko wącham zapaszek i może ze dwa razy polizałem". Ucztę musieliśmy przerwać, bo oto najechał nas oddział kawalerii niemieckiej, około 15-konny. Żołnierze wybiedzeni, a chude szkapy zabrały się do ogryzania gałęzi. Po wymianie zdań właśnie od nich dowiedzieliśmy się, że „*Vaterland kaputt*", a „*Hitler ist tod*". Przystąpili z nami do pieczenia mięsa, częstując nas w zamian sucharami.

Po południu najedzeni, ale już z objawami bólów żołądka, ruszyliśmy w dalszy szlak, przemierzając niemieckie lasy. Spotykaliśmy, zwłaszcza nad ranem, gromady sarn, jeleni, dzików i inną zwierzynę. Nasza droga prowadziła przed siebie, a może się nam tylko tak zdawało. Cały dzień 2 maja minął na większych czy mniejszych zaburzeniach żołądkowych. „Łakomczuchy" najgorzej na tym wyszli, a przede wszystkim *Zygmunt*. Objawy biegunki były widoczne. Co chwila któryś z kolegów znikał w zaroślach. Najbardziej niepokojąca była noc z 2 na 3 maja. Prawie wszyscy chorowali. Niektórzy, jak *Kowalczyk* i *Krajewski* wysoko gorączkowali. Leków żadnych nie było, a sama obecność lekarza poza radami niewiele dawała. Jeden drugiemu zarzucał obżarstwo, nie zdając sobie sprawy, że nikt tu właściwie nie zawinił. Potęga głodu okazała się silniejsza niż wszystkie ludzkie hamulce. Właściwie nikt tej nocy nie spał. Toteż o świtaniu wszyscy byliśmy na nogach, sądząc, że ruch może nam najlepiej zrobić. Bez wahania więc ruszamy w drogę. Byle naprzód, byle bliżej. Ale czego bliżej? Mogła być godzina 4 rano, kiedyśmy się z gęstego lasu wydostali na piaszczystą drogę. Po drugiej stronie dostrzegłem parę chałup. Czyste i bardzo schludne. Podchodzę do pierwszej. W opłotkach napotkałem kobietę-staruchę, pochyloną i ciężko się poruszającą. Przeprosiłem i zapytałem głośno, co to za wieś. Bąknęła mi nazwę, której nie pamiętam. „A co to za kraj?" — pytam. „Meklemburgia" — pada odpowiedź. „A miasto najbliższe?" „Schwerin", odległy o 8 km. Następnie staruszka zapytała, czy my jesteśmy więźniami z obozów, a na potwierdzającą odpowiedź wyrzekła następujące słowa: „Pół godziny temu, a może więcej, przejechały tu w tę stronę czołgi amerykańskie". Tak przyszła do nas wolność równocześnie z majową jutrzenką. Padliśmy na kolana, całując piasek, a następnie za księdzem *Baranowskim* zaintonowaliśmy: „Pod Twoją obronę uciekamy się..."

ADOLF GAWALEWICZ
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 1281

Kraków

Reszta będzie milczeniem

Gdy Polacy z określonych roczników urodzenia piją wódkę, albo jakieś ważne wydarzenie zgromadzi ich w przyjacielskim lub rodzinnym gronie, wówczas wiesz: niemal nieuchronnie zbliża się moment, w którym ktoś (albo ty sam) powie: „czy przypominacie sobie...?"

I wtedy niepodzielnie zapanuje nad zebranymi czas, dawno — jakby się wydawało — przebrzmiały, odzyska swą władzę nad sercami i umysłami nie tylko czad, ale także groźny, przerażający tragizm i patos, a niekiedy urok tamtych lat, zaatakuje nas tysiącem pytań zawiłość losów i ocen postępowania ludzi, wplątanych w niewiarygodne, niezwykłe sytuacje, które jednak nie były wyśnioną fikcją. Usłyszysz wtedy wspomnienia przeżyć związanych z niektórymi wydarzeniami, zrelacjonowane z zadziwiającą precyzją, nieraz z dokładnością lokalizującą opowieść w granicach godzin, minut — a nawet sekund...

Bynajmniej nie jest moim zamiarem w ten sposób agitować za bezkrytycznym akceptowaniem materiałów wspomnieniowych. Nie neguję oczywistego faktu, że istnieje, na szczęście nieliczna, grupa tych, którzy kierowani najróżnorodniejszymi motywami, usiłują bądź udziwnić jeszcze sprawy, bez tego już najzupełniej wystarczająco dziwne, lub też tworzyć mit o swej roli i udziale w pewnych wydarzeniach. Jednak tego rodzaju fantazje i mistyfikacje w przeważającej liczbie wypadków dadzą się stosunkowo łatwo eliminować.

Dlatego zdaje się, że materiał wspomnieniowy, opracowywany nawet w wiele lat po opisywanych przeżyciach, zachowuje swą wartość i żywość. Ta, w zasadzie zastanawiająca wiarygodność i dokładność relacji z osobistych przeżyć, odtwarzanych nawet obecnie, stwa-

rza szczególnie godne uwagi możliwości wzbogacenia źródeł do pełniejszego poznania tej części historii okresu drugiej wojny światowej, która dotyczy obozów koncentracyjnych.

Historia „lagrów", z natury rzeczy, które tam się działy, należy do dziedziny najubożej podbudowanej dokumentami pisanymi czy innymi obiektywnymi rekwizytami pozwalającymi na sformułowanie odpowiedzi na tak bardzo chyba istotne pytania, jak: co czuł, o czym myślał więzień w trudnych albo wręcz dramatycznych sytuacjach obozowych? Jak znosił terror, cierpienia fizyczne i psychiczne dnia powszedniego? Powszedniego? Jak jednak wyrazić powszedniość dni obozowych, z których przecież każdy był tak odległy od zwyczajnych ludzkich dni, dni z tego świata, jak oddalony bywa od rzeczywistości sen we śnie? Same pytajniki.

Próby odpowiedzi na te pytania zostały podjęte i trzeba je kontynuować, chociaż najprawdopodobniej w dużej części są one z góry skazane na niepowodzenie. Ale są ważne. I to nie tylko dlatego, aby ci, jakże nieliczni, którzy ocaleli, spełnili w miarę ludzkich możliwości swój obowiązek i dali świadectwo prawdzie. Nie tylko więc dla dopełnienia dokumentacji historycznej t a m t e g o okresu i aby uczynić zadość zwrotowi, który wchodzi w rytuał wieców i akademii w postaci postulatu: „Niech Oświęcim stanowi po wsze czasy ostrzeżenie, niech okupione milionami istnień ludzkich doświadczenie nie pójdzie na marne". Chodzi bowiem także o to, aby nauka zdobyta za tak ogromną cenę przyczyniła się do poszerzenia granic poznania człowieka, do wzbogacenia wiedzy o nim. O zwykłym człowieku, którego los postawił wobec niezwykłych sytuacji. Rzeczywistość obozowa ogromnie zwiększyła odległość dzielącą bieguny: do czego człowiek jest zdolny w złym i dobrym, jak wiele potrafi znieść i gdzie leży jednak kres jego możliwości? Dla wiedzy o człowieku nie bez znaczenia jest też dociekanie tajemnicy, jakie warunki psychiczne ułatwiały przetrwanie obozu, a jaką rolę odgrywał przypadek.

Powracam więc do myśli, że podstawy do badań w tych kierunkach mogą dostarczyć — poza innymi nielicznymi źródłami — chyba tylko opracowania materiałów wspomnieniowych. W jaki bowiem inny sposób dałoby się odtworzyć reakcje emocjonalne i racjonalne typowe dla tysięcy ludzi wtłoczonych w ogromne tryby machiny zagłady i uratować oświęcimskie doświadczenia ludzkości od asocjacji łączących je tylko z niekomunikatywną, abstrakcyjną niemal statystyką lub obowiązkową lekturą nudnego rozdziału z podręcznika szkolnego pt. „Obozy koncentracyjne"? Słowo „Oświęcim" dla współczesnych coraz częściej bowiem kojarzy się z wpisem do księgi pamiątkowej jakiegoś dostojnego gościa, z wiązanką kwiatów pod „Ścianą śmierci", ekspozycją materaców z ludzkich włosów, futerałów z ludzkiej skóry, puszek po cyklonie, czy z innymi muzealnymi rekwizytami.

Czy potrafi wzruszyć liczba 12 lub więcej milionów pomordowanych w obozach zagłady, bez rozszyfrowania doznań pojedynczych ludzi? Chyba nie. Zapewne pożyteczna byłaby, także z tego punktu widzenia przeprowadzona, analiza niektórych wyroków ferowanych przez sądy w Niemczech zachodnich. Tak np.: 3 lutego 1965 r. zapadł w NRF wyrok skazujący *Hermana Krumeya*, bliskiego współpracownika *Eichmanna*, odpowiedzialnego za zorganizowanie wymordowania co najmniej 300 tysięcy ludzi — na 5 lat więzienia. W tym samym czasie inny sąd zachodnio-niemiecki uznał za udowodnione, że były *SS-Oberscharführer Heinrich Klaustermayer* zamordował w warszawskim getcie 9 osób i skazał go za to na dziewięciokrotne dożywotnie więzienie...

Wydaje się, że taka rozpiętość w klasyfikacji czynu i wymiarze kary musi mieć głębsze powody, obok indywidualnych, konkretnych faktów, które tworzyły motywację dla tak odmiennych ocen u obu kompletów sądowych.

Jak więc znaleźć klucz do szyfru, który uczłowieczy statystykę? Powiedziałem: materiały wspomnieniowe. Ale dla byłego więźnia Oświęcimia i innego miejsca zagłady ludzi — relacja na temat wspomnień to niełatwe zadanie. I to nie tylko dlatego, że ogromne bogactwo i różnorodność wydarzeń, których byliśmy świadkami i aktorami stwarza konieczność i zarazem wielką trudność wyboru. Bo jeszcze trudniejszy dylemat, od problemu, co wybrać jako temat relacji, wynika z niepokojącego pytania, w jaki sposób przedstawić określony fragment wspomnień, aby opowieść o nim była komunikatywna, zrozumiała i wiarygodna? Innymi słowy, jak rozwikłać sprzeczność tkwiącą w pytaniu, czy i w jakim stopniu jest w ogóle możliwe podanie zrozumiałej i wiarygodnej opowieści o sprawach niezrozumiałych i niewiarygodnych, które jednak tworzyły rzeczywistość, prawdę tamtego czasu. Pytanie to prowadziło niektóre osoby z naszego środowiska do dramatycznych wniosków. Wyrazem tego niech będzie wiersz, który właśnie teraz, gdy piszę te słowa — tak zechciał przypadek — dostał się do mych rąk. Oto jego tekst:

Pomińcie nas milczeniem...

Wy chcecie, żeby mówić. Cóż słowa odtworzą?
Trzeba by mieć moc wielką, jakąś siłę bożą,
Przemawiać żarem słońca, gwiazd drżeniem, wichrami,
Płakać jesienną słotą, szaleć piorunami,
Cyzelować kształt kwiatu, ciosać chimer pyski,
Nad wszystkim rozpiąć zblakłe barw tęczy odbłyski,
Pożarem palić lasy, skały topić w wodzie,
By dać pojąć przeżycia w „udręczeń ogrodzie".

Mówić, pisać, powtarzać — to wszystko za mało!
Widzicie — gdzieś głęboko, każde ludzkie ciało
Kryje w trzewiach straszliwą, śmiertelną zgniliznę...
Mówią o nas z patosem: „cierpiał za Ojczyznę"!
A my do dna czujemy ohydę tej szmiry,
Tych nazw szumnych „bohater", „męczennicy", „zbiry".

Gdzieś w trzewiach duszy pamięć tkwi o wszach, brudzie,
Straszliwym smrodzie bloków, gdzie zdychali ludzie.
Pamiętamy przepiękne wschody i zachody,
Szczury, co żarły dzieci i wieczny brak wody...
I dzikie wycie ludzi z bólu obłąkanych,
I dzikie wrzaski ludzi sadyzmem pijanych...

I prosimy, krzyczymy, żądamy „MILCZENIA"!
Nie wznoście nas na jakiś piedestał z kamienia,
Nie dawajcie nam kwiatów, orderów, czy wieńców,
Pozostawcie w spokoju CHORYCH I SZALEŃCÓW,
My chcemy z tym, co było, być na zawsze sami,
Pomińcie nas milczeniem, precz ze sztandarami!

Wiersz ten musiał być pisany przed 1947 rokiem, gdyż jego autor, były więzień Oświęcimia, zmarł na przełomie 1946 i 1947 roku w sanatorium przeciwgruźliczym w Zakopanem. Nazwiska jego — przynajmniej dotychczas — nie udało się ustalić. Tak więc los w szczególny sposób uczynił zadość wezwaniu autora wiersza i okrył jego nazwisko milczeniem...

Z konkluzjami, którymi wiersz zamyka częściową niewyrażalność prawdy naszych przeżyć, nie można się zgodzić, ale ich motywy są zrozumiałe. Ta obawa, że owej prawdy nie będziemy zdolni wyrazić i przekazać, a skutkiem tego ludzie pozbawieni doświadczeń obozowych nie potrafią nas zrozumieć i nie zechcą nam uwierzyć — powstała już wkrótce po uwolnieniu z obozowej niewoli, a więc już wtedy, gdy nie mógł w tym kierunku działać dystans czasu. A po dwudziestu latach?...

W dziewiętnaście lat po zrzuceniu „lagrowych" łachów, w czerwcu 1964 roku stanąłem przed sądem we Frankfurcie nad Menem, by złożyć zeznania jako świadek oskarżenia przed toczącym się tam procesem przeciwko niektórym byłym członkom załogi obozu oświęcimskiego. Frankfurt okazał się przeżyciem znacznie silniejszym, niż sobie to poprzednio wyobrażałem. Stał się dla mnie niejako syntezą i potwierdzeniem tego, co przed chwilą powiedziałem: jak trudno jest zdawać relację na temat „tamtych spraw", a równocześnie, jak żywa jest u nas pamięć o nich. Wydawało mi się, że do zeznań w procesie byłem w pełni przygotowany. Miałem obciążyć w zasadzie tylko jednego z oskarżonych i „zaledwie" co do dwóch zbrodniczych czynów.

Niepokój mój przed procesem redukował się raczej do — określmy to w uproszczeniu — niepokoju prawnika: jak pomieścić moje zeznania w ramach niemieckiego kodeksu postępowania karnego i efektywnie przeciwstawić się ewentualnym atakom obrony? Obowiązująca do dziś w NRF procedura karna oparta jest w zasadzie na przepisach z ubiegłego stulecia. Jakże mógł ówczesny ustawodawca przewidzieć, że w następnym stuleciu będą sądzone „stany faktyczne", polegające na masowym mordowaniu bezbronnych ludzi? Dochodziły więc z Frankfurtu informacje, że sąd, a w szczególności obrona, nie zadowala się takim np. dowodem, że świadek na własne oczy widział, jak jego koledzy-więźniowie w wyniku selekcji zostali załadowani do samochodów, które jak powszechnie było wiadomo, służyły do transportowania ludzi skierowanych na likwidację przez gazowanie. „Czy świadek widział fakt gazowania tych ludzi, bo może skierowano ich gdzie indziej?" — Nie, świadek tego nie widział, bo gdyby widział, to już nie mógłby być dzisiaj świadkiem...

Albo takie, niepokojem nurtujące świadka, pytanie: w jaki sposób — przynajmniej w ramach swoich skromnych, epizodycznych możliwości — przeciwstawić się tak przecież sugestywnie dla niewtajemniczonych brzmiącym tezom, że określone w akcie oskarżenia jako zbrodnicze praktyki stosowane przez oświęcimską załogę SS były niezbędne dla utrzymania spokoju i porządku w obozie lub konieczne z punktu widzenia interesów czy konsekwencji prowadzonej wówczas wojny?

Bardzo trafnie kol. *Mieczysław Kieta* scharakteryzował sytuację kształtującą się wyraźnie w niektórych fazach procesu, twierdząc, że do naprawdę „wtajemniczonych", do tych, którzy istotnie rozumieją, o co chodzi w tym procesie, należą jedynie byli więźniowie i oskarżeni...

Gdy wchodziłem na salę sądową, wezwany do złożenia zeznań, było już dla mnie jasne, że nie problemy prawne będą najsilniejszym przeżyciem związanym ze spotkaniem z tymi reliktami tak, już, jakby się wydawało, odległego czasu. Bo ten czas sprzed około ćwierć wieku gwałtownie się przybliżył — ta lewa strona sali sądowej (w stosunku do miejsca zeznań świadków), ława oskarżonych nabrała właściwości złowrogiego magnesu, który niwelował proporcje czasowe.

Na wstępie komendant eskorty zameldował sądowi, że stan zdrowia oskarżonego *Kaduka* uległ poprawie, dzięki czemu jest w tej chwili obecny na ławie oskarżonych. Przewodniczący wyraził z tego powodu, utrzymane w dającej się odczuć sarkastycznej tonacji, żywe zadowolenie.

Odżył we mnie znów ten trzydziestosześciokilowy muzułman z 1941 roku. Od tego zacząłem zeznania. Los mój w obozie był nietypowy, bo go przeżyłem, chociaż nie pracowałem w zasadzie (z wyjątkiem kilkumiesięcznej kariery kartoflarza na przełomie 1943 i 1944 r.) w dobrych komandach, ani nie sprawowałem funkcji, które by zapewniały bardziej znośne warunki bytu. Wcześnie też stałem się muzułmanem, na co dowodem jest fotografia z tego okresu — „pamiątka" pozostawiona mi przez *Politische Abteilung*. Jeżeli sąd życzy sobie, mogę to zdjęcie przedstawić. Sąd życzył sobie. Na polecenie przewodniczącego zdjęcie przeszło obiegiem przez komplet sądzący, członków prokuratury i dotarło do rąk obrońców. Przez ramię niektórych obrońców na zdjęcie zerkali oskarżeni. Na pewno bardzo boleli nad swym niewybaczalnym błędem, że przeoczyli wtedy możliwość zlikwidowania tego wstrętnego muzułmana. W miarę kontynuowania zeznań odżył w mej pamięci w całej swej bezlitosnej ostrości dzień 20 kwietnia, dzień urodzin *Adolfa Hitlera*, kiedy to sanitariusz *Joseph Klehr* wybrał około 300 chorych bądź rekonwalescentów, w tym również i mnie, *„zur leichten Arbeit"* — do lekkiej pracy. Znowu czułem, mimo upału, ten przenikliwy chłód spóźnionego oświęcimskiego przedwiośnia, przesiąkający przez wydane nam letnie ubrania po jeńcach radzieckich. Byłem znowu „tam".

Po zeznaniach mogłem odczuć jako prawnik pewną satysfakcję: prokuratura i obrońcy nie mieli żadnych pytań (*keine Fragen*). Ale oto oskarżony *Klehr* korzysta z prawa głosu (ach ten głos!). Ten bóg muzułmańskiego życia, a raczej śmierci, mówi swą ohydną wulgarną niemczyzną (że tego przedtem nie dostrzegałem...): „Dlaczego *pan* świadek powrócił wtedy z Birkenau, to się nigdy nie zdarzało, żeby przeniesiony do Birkenau, do *Isolierstation*, wracał stamtąd?" Prawnicza część mej świadomości przyjmuje to z zadowoleniem: a więc zasypał się drań, przyznał, że miałem rację, zeznając, iż pod niewinnie brzmiącym określeniem „przeniesienie" krył się wyrok skazujący na śmierć, że wiedział o *„Isolierstation"*.

Rzecznicy oskarżenia skwapliwie podkreślają tę wsypę oskarżonego. Przewodniczący sądu zwraca się do *Klehra:* „Stwierdził pan, że pan wiedział, iż każde tego rodzaju przeniesienie *(„Uberstellung")* oznaczało, że ludzie będą zlikwidowani. Zapamiętamy to bardzo dokładnie *(das werden wir uns sehr genau merken)."*

Ale cóż z prawniczej satysfakcji, kiedy czuję suchość w gardle. Ten drań jest oburzony, że ja żyję, żyję wbrew obozowemu regulaminowi. To ta złość była jego niedobrym doradcą, przez nią wpadł! Wtedy składam wobec sądu oświadczenie, którego nikt ode mnie nie żąda i które — z czego zdaję sobie sprawę — nie wniesie niczego nowego. Ale przecież „muszę" zaakcentować, że celem mojego wystąpienia przed sądem nie było zwrócenie się do oskarżonego z prośbą o wybaczenie, że żyję, chociaż żyję według jego pojęć nielegalnie...

Cierpliwy czytelnik ostatnich trzech zeszytów „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" może postawić uzasadniony zarzut, że to, co teraz dopiero piszę, nosi oczywisty charakter wstępu, który powinien poprzedzać opublikowane w „Przeglądzie" fragmenty wspomnień. Jednak dopiero konfrontacja tego, co napisałem, z tym, co powinienem wyrazić, ukazała mi w całej ostrości dysproporcję pomiędzy zamierzeniami a stopniem ich realizacji.

Głosząc poparcie dla materiałów wspomnieniowych z równoczesnym zastrzeżeniem, że „reszta będzie milczeniem", nie jestem opętany obsesją lagrową, by twierdzić, że tylko historia obozów koncentracyjnych nie może być do końca wypowiedziana. Bezpośrednio doznane przeżycie i jego reprodukcja w jakiejkolwiek formie, choćby to była opowieść o niedzielnej wycieczce, nie mogą się nigdy ze sobą pokrywać. Zawsze pozostanie „reszta". Ale historia obozów jest jednym, choć nie jedynym tematem, w którym ta „reszta" musi objąć nieprzeciętnie szeroki zakres.

To właśnie przeświadczenie o szczególnej niezwykłości i w konsekwencji potrzebie utrwalania wspomnień z przeżyć obozowych skłoniło mnie do pominięcia, w dotychczas opublikowanych relacjach, refleksji związanych z okresem pobytu w więzieniu. Moje osobiste przeżycia poprzedzające bezpośrednio przybycie do tego szczególnego miejsca nad Sołą, oceniane przez pryzmat wiedzy lagrowej, wydawały mi się po prostu niegodne uwagi. Teraz sądzę jednak, że się myliłem. Właśnie bowiem dopiero dzięki porównaniu i powiązaniu przeżyć więziennych z obozowymi występuje w całej ostrości szczególna nieprzeciętność „lagrowego" świata. Oczywiście więzienie więzieniu nierówne. Gestapowska inwencja zadbała w dostatecznej mierze o to, aby „najskuteczniejsze" metody przeszczepić z kacetów do więzień. Były więc więzienia i okresy w więzieniach, których „regulamin" znakomicie zbliżał je do „lagrów". Ale nie usiłuję pisać studium o hitlerowskich kryminałach, lecz refleksje na tle osobistych przeżyć i w ich świetle mój pobyt w więzieniu krakowskim „Na Montelupich" stanowi kontrast dla obrazu losów „lagrowych".

Jest też jeszcze drugi aspekt konfrontacji więzienie — obóz koncentracyjny. Jeżeli obóz był swego, ogromnie zresztą dziwnego rodzaju szkołą (szkoło, wybacz to haniebne porównanie!), to więzienie w jakimś stopniu spełniało funkcję przedszkola. Jest to hipoteza oparta jedynie na subiektywnej ocenie znanej mi sumy faktów. Można ją przedstawić w takiej np. postaci: w tym samym okresie przybywają do obozu dwa transporty, po sto osób każdy. W skład jednego transportu wchodzą ludzie, którzy w przeciwieństwie do swych kolegów z drugiego nie przeszli przez więzienny staż. Załóżmy jeszcze, że obie grupy więźniów charakteryzuje zbliżona struktura wiekowa i socjalna. Przyjmijmy także, iż więźniowie z tych dwóch transportów posiadają w badanym okresie analogiczne warunki zakwaterowania, wyżywienia, pracy itp. Więźniowie przybyli do obozu prosto z tzw. wolności, są w znacznie lepszej kondycji fizycznej niż ich koledzy z drugiego transportu. Fakt ten da im pewną przewagę w tym ponurym współzawodnictwie, ale tylko w pierwszych dniach, najwyżej tygodniach pobytu w obozie. Rozliczenie po miesiącach, czy latach wykaże bowiem, że znacznie większy procent spośród „absolwentów" przedszkola więziennego utrzymuje się na powierzchni życia. A więc więzienie dla mnie — i chyba także dla ogromnej większości byłych kacetowców — to kontrastowe tło dla obrazu lagru i jego „przedszkole".

Pora już skończyć wreszcie z uogólnieniami i przejść do ich genezy, do ich dokumentacji.

* * *

Proszę wyłączyć (na krótko) telewizory i ściszyć głośniki radiowe. Przybliżam do was czas surowy...

Nadchodzi jesień 1940 roku. Kraków. Nad Wawelem łopocze swastyka. Nie tylko. Także nad Skandynawią, stolicami Belgii, Holandii. W Paryżu pod Łukiem Tryumfalnym rąbie bruk *Parademarsch*. Trwa tylko jeszcze *„Battle of Britain"*. I to już wszystko? Niby tak. *„Krakauer Zeitung"* zapewnia nas, że plan podboju świata wszedł w ostatnią decydującą

fazę. To tylko kwestia czasu i to krótkiego. Ale pani *Nesia* ignoruje oczywistą wymowę faktów. Nieodmiennie o wielu porach dnia biurowego, przybierając gestem i pozą tak ostentacyjnie tajemniczą postać, że w sposób doskonały zastępuje wywieszkę informacyjną „Jestem konspiratorem i sieję antyhitlerowską propagandę", zwraca się do mnie (dwa palce przyłożone do ust): „panie magistrze, dobrze jest, mówię panu, dobrze jest". Odpowiadam: „tak, jest pierwszorzędnie, byle do wiosny". I równocześnie coś mnie kłuje w serce. To chyba ten kretyński wiersz z maja tego roku: „Boże Polaków i Francuzów i wszystkich oprócz Niemców ludzi! Spraw, żeby boleść nie wygasła I czas goryczy nie ostudził, Kiedy nadejdzie chwila jasna..."

Wiersz jest w koszu. Ale w uszy ciągle jeszcze wwierca się ochrypły ryk megafonów (jeszcze wtedy nie upowszechniło się określenie „szczekaczki") głoszących komunikat, od którego grozy drętwieją przechodnie. Paryż zajęty. Już bym teraz takiego naiwnego wiersza nie napisał. Choć swoją drogą, skoro taka potężna Francja..., to nasz wrześniowy, samotny opór...

Pracuję w *„Wohlfahrtsabteilung der Standtverwaltung Krakau"* w Wydziale Opieki Społecznej Zarządu Miejskiego w Krakowie. Wydział ten zajmuje się tylko sprawami polskiej ludności. Zgromadziło się tam wówczas liczne i doborowe towarzystwo. Naczelnik Wydziału, dr *Wiktor Medwecki* wspólnie ze swym zastępcą mgr *Bandrowskim* przedstawili *dem Herrn Mohlenkopf (Oberrechnungsrat)*, sprawującemu z ramienia starosty miejskiego nadzór nad Wydziałem, memoriał, z którego wynikało, że pewnej liczbie osób należy udzielać tzw. zapomóg do odpracowania. Pan radca zatwierdził wniosek, bo przecież słuszną jest rzeczą, aby za nieco podwyższoną zapomogę (25 złotych tygodniowo) uzyskać tanich pracowników, zamiast zwiększać rzesze pobierających zapomogi darmozjadów. Pomysł był wspaniały. „Zapomoga do odpracowania" stała się — o czym już pan radca nie był poinformowany — podstawą do wydawania solidnych, opatrzonych urzędowymi pieczęciami zaświadczeń o zatrudnieniu. Dzięki temu szereg osób chroniło się przed wyjazdem na przymusowe roboty do Rzeszy. Wśród wolontariuszy — tak się potocznie nazywało tych pracowników — było wielu wybitnych przedstawicieli polskiej inteligencji, że wspomnę tylko o tak znakomitych artystach z nieczynnych teatrów miejskich, jak *Zofia Jaroszewska* i *Władysław Woźnik*.

Prowadzę referat ogólnoorganizacyjny. Załatwiam sprawy związane z ewidencjonowaniem wolontariuszy, wystawianiem im zaświadczeń, opracowuję schematy i instrukcje organizacyjne. Prowadzę sprawozdawczość statystyczną. Władze okupacyjne domagają się drobiazgowej sprawozdawczości statystycznej z Polskiego Wydziału Opieki Społecznej. Obowiązkowe wzory do tygodniowych i miesięcznych sprawozdań zawierają szereg pozycji, których rzetelne opracowanie wymagałoby nie lada wysiłku. Ale chcę oszczędzić referentom opieki społecznej ich czasu potrzebnego rzeszom uchodźców i wysiedleńców z terenów włączonych do Rzeszy i ogromnie rosnącej liczbie potrzebujących pomocy mieszkańców Krakowa. Nie mam żadnych trudności z uzyskaniem wymaganych danych. Wiem na przykład, ilu każdego tygodnia przybyło podopiecznych w określonych grupach wiekowych, ile posiadają dzieci, jaki jest ich podział według płci itd. W zależności od potrzeb budżetowych i dających się odszyfrować — na tle aktualnej polityki okupanta — interesów polskiej ludności dane statystyczne rosną lub okresowo maleją, zmienia się wiek i płeć podopiecznych.

W tej całej statystycznej fikcji dbam tylko o to, aby „krzyżówka grała", kolejne sprawozdania były ze sobą logicznie powiązane i aby dane, co do których istnieje inne (poza mną) źródło informacji, posiadały niezbędną dokumentację.

Pod osłoną pracy i jej pozorów toczył się triumfującej okupacji dzień powszedni. Rano miał smak „Rumolu" — namiastki herbaty, coraz rzadziej słodzonej cukrem. Zbiegając ze schodów mijałem często inż. *Landaua*. Opaska na ramieniu z pięcioramienną gwiazdą, twarz szara jak stara kamieniczka, w której mieszkamy i jak dzień, na którego spotkanie wychodzę. Widok *Landaua* przejmuje smutkiem i grozą, choć jeszcze nie wiem, że to dopiero początek jego drogi, że ten cichy, mądry, miły człowiek będzie z całą swoją rodziną zamordowany. Dobrze, jeżeli przechodząc przez Rynek Główny nie natknę się na scenę „regulowania" ruchu pieszych. Rosły policjant w białych rękawiczkach (później będą go zastępować coraz mniej dorodne okazy) u wylotu ulic Szczepańskiej i Sławkowskiej wali w twarz przechodniów, którzy jego zdaniem nieprawidłowo przechodzą jezdnię. Coś w środku człowieka bulgocze i równocześnie ściska duszącym uchwytem za krtań. Może jednak w ciągu nocy nastąpiły jakieś rewelacyjne wydarzenia, które odwróciły jednak na naszą korzyść kartę historii? Czekamy z utęsknieniem momentu, gdy z biura znikną domorośli bądź nasłani „folksdojcze". Wtedy dr *Petrzyk* (będzie później rozstrzelany) podzieli się informacjami z nasłuchu radiowego.

O pierwszy okresie naiwnej, prymitywnej konspiracji! Ile trzeba było krwi i cierpień, poświęceń, żeby zrozumieć, że tak nie trzeba i nie wolno! Zbliżała się przecież jesień 1940 roku. Rok doświadczeń był już więc za nami. Marzenie, aby „żyć niebezpiecznie", coraz gwałtowniej traciło swój urok. Spełnienie, ten największy wróg każdego marzenia, zaczynało przekraczać wyobraźnię. Natomiast coraz silniej rodziła się świadomość, że trzeba żyć niebezpiecznie.

Ale jeszcze mnie i mnie podobnym konspiratorom wydawało się, że „mnie się uda, ja im pokażę", że można lekceważyć bez istotnej potrzeby, podstawowe środki ostrożności, że lekkomyślność oznacza odwagę.

Człowiek nie jest z drzewa, ale też nie jest z żelaza. Dlatego nie same wzniosłe myśli ożywiały tematy i rozmowy w ciągu dnia. Może dziś coś będzie w konsumie? Kolega *Tatkowski* i kol. *Głowa* (później będzie przez wiele lat pisarzem w bloku nr 20 w Oświęcimiu) zorganizowali biurowy konsum. Wpis 10 złotych (przepadł mi ten udział bezpowrotnie). Przy użyciu urzędowych pieczęci i różnych forteli koledzy prowadzący konsum zdobywali od czasu do czasu po cenach urzędowych pewne zapasy artykułów spożywczych, np. jaja po 6 groszy. Co za radość! Przecież wtedy kilogram tzw. „pospółki" kosztował w wolnym handlu około 60 zł, a płace były utrzymane na poziomie przedwojennym. Co miałem robić ze swoimi około 150 złotymi na miesiąc?

Brat zorganizował kurs języków obcych. Uczelnia prowadzona w domu (Matka: „Co wy tu wyprawiacie, tyle błota nanosili") zaczęła nawet nieźle prosperować. Uczyliśmy początków każdego żądanego języka, stosując mądrą zasadę, aby umieć trzy lekcje z samouczka więcej od ucznia i aby nasze usługi oświatowe świadczyć jedynie klientom reprezentującym niezbyt wysoki poziom inteligencji. Oczywiście najwięcej było chętnych do nauki języka niemieckiego. Często były to typy spod niejasnej gwiazdy. *Treuhänderzy* i inni kombinatorzy idący na kolaborację z okupantem. Hasło naszej „uczelni", aby tę kategorię „elewów" eksploatować umiejętnie (5 zł za godzinę) nie nauczywszy niczego, łatwo dawało się urzeczywistnić, nie tyle dzięki poziomowi naszej inteligencji, ile debilizmowi uczniów.

Niewiele zresztą było tego wolnego dnia. Praca biurowa przedłużona została do godziny 18. Park im. dra Jordana *„nur für Deutsche"*, w kawiarniach dostępnych dla Polaków męty. Już raźniej w knajpach. Wódka tania i na przydział. Potem można iść i śpiewać „Hej kto Polak na bagnety". Godzina policyjna, prażucha na kolację i może jutro... do snu usypia nadzieja, że coś się zmieni.

Zmieniło się. Na biurku moim zaterkotał wewnętrzny telefon. Naczelnik Wydziału wzywa mnie do siebie. Nie jest sam. Potem zrozumiałem, że mówi to tylko, co mu kazano. Aresztowano w VI referacie obwodowym w Podgórzu pracownika. Nie robi to na mnie wrażenia. Mówię: proszę o bilet tramwajowy, załatwię sprawę zastępstwa do czasu wyjaśnienia sprawy. Wtedy pan w czarnym płaszczu: *„geben Sie den Fahrschein dem Vorstand zurück"* (ostatni raz przed końcem wojny zwrócono się do mnie *per „Sie"*). Rewizja biurka. W szufladzie kilka egzemplarzy pięknego o dramatycznej wymowie zdjęcia, przedstawiającego burzenie pomnika Mickiewicza. Postać wieszcza ściągnięta sznurami z cokołu uchwycona została w chwili, gdy uzyskiwała pozycję niemal równoległą do poziomu nawierzchni Rynku. *„Sehr interessant!"* Mój gestapowiec z ogromnym zaciekawieniem kontempluje zdjęcie. W czarno lśniącym mercedesie jeszcze ma fotografię w ręce. „Skąd je masz?" „Kupiłem od jakiegoś chłopca na rogu Wiślnej od strony Rynku". Naprawdę dostałem od koleżanki *Jadwigi Lityńskiej*. „Bardzo interesujące". I chowa zdjęcie do kieszeni. O Wieszczu! Zaskarbiłeś sobie mój dodatkowy sentyment. Gestapowiec widać zapomniał, skąd się te zdjęcia u niego wzięły. Nie miałem z powodu naszego wielkiego klasyka żadnych „pytań" i żadnych, delikatnie mówiąc, przykrości w czasie przesłuchiwań.

Jeszcze nie zdaję sobie sprawy, że wpadłem w łapy, z których niełatwo wydostać się w stanie żywym. Najspokojniej w świecie, w kancelarii więziennej, czekając na swoją kolejkę, siadam na ławce. Przecież do tego celu służą ławki. Dostaję w twarz, tak, w twarz, a nie, jakby się później powiedziało: „oberwałem po mordzie". Stojąc nosem wgniecionym w ścianę, jestem raczej ogromnie zdziwiony, oburzony i obrażony niż przestraszony. Przecież to chyba jakieś nieporozumienie. Sprawa się wkrótce wyjaśni. Tak tłumaczę tym bladym postaciom, którym po przesłuchaniu przedstawiam się w celi nr 130 „Na Montelupich". Dlaczego są tacy bladzi? Dlaczego każą mi wytrzepywać pył z kieszeni? Przecież zabrali mi papierosy, szelki i wszystkie osobiste drobiazgi. Wkrótce tli się hubka, rozpalona od iskier genialnego wynalazku: na sznurku wprawiony w wir guzik o coś ociera, co rzuca na hubkę iskry. Za chwilę wyprodukowany z moich trotów kieszeniowych gazetowy skręt krąży od ust do ust. Wybaczcie towarzysze celi nr 130! Zachowałem się wybitnie nietaktownie. Za późno to zrozumiałem. Do celi zawitałem tuż przed wydawaniem obiadu, tj. zupy. I ja, taki ledwo „z wolności", zamiast ze wstrętem odsunąć miskę od siebie, na ten gest wszyscy przecież liczyli, z apetytem zjadłem mój pierwszy kryminalny posiłek. Następnie najspokojniej w świecie kładę się na ławę i zasypiam. Tak zareagował mój system nerwowy, jakby w przewidywaniu, że trzeba oszczędzać sił na przyszłość.

Jednak pod wieczór optymizm mój maleje. *Stefan Waligórski* — „Kopytko" z flegmą tłumaczy, że siedzi tu od kilku miesięcy i jeszcze nie był na przesłuchaniu. Nie wie, za co go zamknęli. Tak — dzielę się myślą z kolegami — niedobrze jednak mi się ten tydzień zaczął. Był to poniedziałek 16 września 1940 roku. Istotnie od tej daty do wiosny 1945 roku to nie do wymierzenia kalendarzem ogromna przestrzeń czasu.

Później w obozie, wielokrotnie nawiedzało mnie wspomnienie więzienia jako niemal sielankowego etapu w życiu od chwili pozbawienia wolności. Dlaczego? Odpowiedź jest skomplikowana. Pobyt w więzieniu był przecież dla mnie przeżyciem budzącym grozę. Po przesłuchaniu powiedzieli: teraz sobie poczekaj na rozstrzelanie. Już wiedziałem, że to niekoniecznie żart. Prawie co noc, zwykle tuż przed świtem, metaliczny szczęk łopat i jakiegoś innego sprzętu ładowanego na samochód oznaczał: znowu ludzi wiozą na egzekucję; na egzekucję, na rozstrzelanie, wówczas mówiło się o tym tak dostojnie. Jeszcze nieznane by-

ły szerzej te niefrasobliwe terminy: dostał w czapę, poszedł na rozwałkę itd.

W każdym człowieku siedzi coś powstałego ze skrzyżowania optymizmu i pesymizmu. Proporcje udziału tych dwóch elementów w owej mieszance są stale zmienne. Należałem do tej kategorii ludzi, których psychika nie poddawała się łatwo krańcowym nastrojom i cechowała się raczej skłonnością dostrzegania nawet w rozpaczliwych sytuacjach pewnych optymistycznych aspektów. Obce mi było pogrążanie się bez reszty w uczuciu żywiołowej radości lub skrajnej rozpaczy. Nigdy nie opuszczała mnie świadomość, że „wszystko płynie", że mija, świadomość ta studziła radość, ale gdy brał zdecydowanie przewagę nastrój pesymistyczny — pomagała mi go zwalczać. Cechował mnie więc — na zmianę — swoisty optymizm pesymistyczny lub pesymizm optymistyczny. Paradoks ten narzucał mi się w takim mniej więcej schemacie rozumowania w trudnych sytuacjach życiowych: tak, jest bardzo źle, ale mogłoby być gorzej, więc bądź na razie zadowolony.

Filozofia filozofią, pesymizm optymistyczny — to wszystko pięknie, ale gdy mijało napięcie nerwowe związane z porami dnia, w których zwykle wywoływano na przesłuchania, gdy przeszła radosna chwila wynoszenia kibli i wieczornego posiłku, nadchodził zwykły, ordynarny strach. Gdzieś zazgrzytał klucz otwieranych gwałtownie drzwi celi, echo uwielokrotniało zbliżający się stukot podkutych buciorów wachmistrza *(Herr Wachmeister)*. Coraz bliżej. Wtedy serce zamierało prawie w bezruchu. Wyostrzony słuch starał się wyłowić tekst formułki wezwania: *Alles mitnehmen* — to jeszcze nie najgorzej, transport. Ale gdy padało tylko nazwisko i warknięcie: *raus* — biorą na śmierć. I jedna i druga formułka nie ominęła naszej celi. Ja doczekałem się *„alles mitnehmen"*. Lecz trwająca przez kilka miesięcy niepewność, czy nie usłyszę *„raus"*, nie była przecież sielanką. Dlaczego więc później w obozie okres „Montelupich" malował mi się w złagodzonych barwach? Chyba dlatego, że straszność tych przeżyć mieściła się jednak jeszcze w wymiarach wyobraźni.

Wówczas jeszcze znajomość prawdy o tym, co dzieje się z ludźmi, których aresztowano była bardzo teoretyczna i cząstkowa. Wydawało się więc, że są tylko powtarzane — wprawdzie w sposób udoskonalony — schematy znane z literatury, z historii. Z jednej strony okrutny, bezwzględny wróg, który przeprowadza jednak jakieś postępowanie zbliżone do sądowego, a z drugiej naród, który przeciwstawia mu bohaterski opór. Ten nastrój groźnego romantyzmu docierał do celi nr 130. Świeża była pamięć o brawurowej ucieczce *Marusarzy* z celi śmierci. Nierzadko przez cele niósł się rytm „Warszawianki". *Tadek Przybyłowicz* intonował często pieśń o „Szyldwachu". Jeszcze dziś czuję i widzę to ożywienie w twarzach, które towarzyszyło melodii i słowom: „...barwny ich strój, amaranty zapięte pod szyją..."

Więzienie było więc straszne, ale jego straszność była jeszcze zrozumiała.

Straszność „lagru" była natomiast niezrozumiała, przekraczała granice wyobraźni. Człowiek w oświęcimskim pasiaku ze wspomnienia o więzieniu eliminował uczucie bezpośredniego stałego zagrożenia życia, bo w obozie ta bezpośredniość i zagrożenie osiągały znacznie wyższy stopień. Pamiętał natomiast, że tam był pod dachem, było ciepło i nie był zmuszony do ogromnego wysiłku fizycznego. Zapominał o zabójczym działaniu bezczynności i izolacji wraz z nieliczną grupą współwięźniów, o tych plagach, od których obóz jednak uwalniał. Zapominał także, że z głodu żarł w więzieniu kartofle z łupami polane tranem (z paczki z lekami od rodziny) jako znakomity specjał i przysięgał sobie, że na wolności stale będzie takie danie przyrządzał. Dla „lagrowca" głód w więzieniu był tylko błędnie nazwanym apetytem z nudów.

W niesprawiedliwych ocenach dotyczących mego pobytu „na Montelupich" zajmował poczesną pozycję „mój" gestapowiec, referent mojej sprawy. Krzywdziłem go, co później dopiero zrozumiałem. Dlatego należy mu się krótkie, niemal ciepłe wspomnienie. W porównaniu z dziesiątkami tysięcy innych więźniów, z tym, co oni przeszli, torturowani w czasie przesłuchań, metody mojego gestapowca można by nazwać subtelną pieszczotą. Owszem, bił pejczem, ryczał straszliwym głosem, dla urozmaicenia i chyba dla zastraszenia swego podopiecznego zaimprowizował coś w rodzaju pokojowej, dziecinnej szubieniczki. Na hak, taki, na którym zwykle wiesza się ciężkie obrazy, założył pejcz skręcony w pętlę i dusił mnie (dosyć lekko), a drugim pejczem w sposób umiarkowany chlastał. Gdy uderzył pięścią w jedną stronę szczęki, to zaraz fachowym ciosem z drugiej strony doprowadzał szczękę (jeżeli trochę wyszła z zawiasów) do właściwej pozycji. Do celi wracałem od niego na własnych nogach. Raczej więc tylko odwalał swoją robotę, nie wykazując w niej specjalnego zamiłowania ani sadyzmu.

Swoją drogą ten numer z dziecinną szubieniczką udał mu się. Napędził mi sporo strachu, do tego stopnia, że nie odczekałem dostatecznej chwili na przetłumaczenie, zareplikowałem na zadane pytanie za wcześnie. W ten sposób runęła moja przemyślna taktyka, aby nie zdradzając się ze stopnia znajomości niemieckiego, dzięki konieczności tłumaczenia, zyskiwać czas do namysłu.

Przy tej okazji nie sposób pominąć osoby tłumacza. „Folksdojcz", podający się za akademika z Lublina, zawsze zwracał się do mnie *per* „pan", co mnie szczególnie zadziwiło i niemal zażenowało, gdy „pan", ulegając przewadze przeciwnika, przez chwilę zmuszony był zeznawać leżąc na podłodze.

Więzienie było dla mnie przedszkolem „lagru". Nauczyło mnie, że potworny ryk należy niemal do *„savoir vivre'u"* naszych władz

ców i niekoniecznie zwiastuje jakąś groźną nowinę, lecz także coś tak najprostszego, jak polecenie: wynieść kible, podać miski itp.

Więzienie uczyło, jak wysoka jest wartość koleżeństwa. *Wolf Düller*, Niemiec antyfaszysta, nie pominął żadnej okazji, aby manifestować swą solidarność z nami. Otrzymaną paczkę skrupulatnie podzielił. Po zwolnieniu załatwił to, o co go proszono (robota niebezpieczna) i przysłał wspaniałą paczkę żywnościową. „Kopytko" dzielił się każdym okruchem tytoniu, którego szczątki wszywane były czasem w przynoszoną z domu czystą bieliznę. Jaka szkoda, *Stefanie*, że tyle trudu włożyłeś w napisanie i wszycie w tym samym miejscu, z którego wydobyłeś papierosa, grypsu do domu, po to, aby otrzymać z powrotem wyprany gryps (razem z koszulą oczywiście).

Kolega (niech spoczywa w spokoju) miał ciężką sprawę: oskarżenie o ukrycie broni. Za to nie było szans wyjścia żywym. Ale dlaczego współtowarzysze brutalnie i z kpinami pozbawiali go wszelkich złudzeń. Dlaczego dokuczali mu bezlitośnie na każdym kroku, przedrzeźniali jego gesty, wyśmiewali się ze wszystkiego, co i jak robił i mówił. Zadręczali go. Że był nielubiany, to oczywiste. Nic dziwnego, że otrzymawszy jakąś cudowną drogą paczkę nie podzielił się z nikim i jeszcze pogorszył tym swoją sytuację w celi.

Były jeszcze inne poważniejsze motywy, że cela potrzebowała jakiejś ofiary. Swój strach przerzucali na tamtego nieszczęśnika, dręcząc go odwracali uwagę od perspektyw własnego losu. Dlatego też zmieniająca się częściowo w czasie mego czteromiesięcznego pobytu mała społeczność celi nr 130 wysoko sobie ceniła wszystko, co pozwalało odgrodzić się, choć na chwilę, od rzeczywistości.

Stąd zapewne powodzenie, jakie miały opowiadane przeze mnie — po wieczornym apelu — niestworzone historie, swego rodzaju bajki. Najchętniej słuchana była, z różnymi wariantami, opowieść o więźniu, który posiadł tajemnicę przekształcania się w niewidzialnego człowieka. Punktem kulminacyjnym tej opowieści był opis sceny w czasie przesłuchania. Możecie sobie wyobrazić, jaką mowę wygłaszał przed swym zniknięciem więzień do przesłuchujących go gestapowców i co się działo, gdy stał się niewidzialnym. Czasami posuwałem się tak daleko, że niewidzialny więzień przesłuchiwał gestapowca. Wieczorne bajdy wzmocniły moją pozycję w celi. Przyczyniły się walnie do tego, że zwolniono mnie od okropnie nieporadnie wykonywanych przeze mnie takich obowiązków, jak sprzątanie celi, wynoszenie kibli.

Z tych sukcesów bajecznych przypowieści wypływała nader przydatna — w długich latach lagrowej niewoli — wiedza. Uogólniając ją można powiedzieć tak: staraj się w miarę wszelkich możliwości przeciwstawiać (wybaczcie *contradictio in adiecto*) surrealistycznej, nonsensowej, aktualnej rzeczywistości — wizję normalnego, ludzkiego świata lub przynajmniej fikcję, wskazującą nie tylko na możliwości walki z antyludzkim mikrokosmosem, ale również jej nad tym „światkiem" zwycięstwo.

Jakże jednak wszystko jest skomplikowane! Można bowiem dostrzec taki właśnie aspekt tej nauki na przyszłość i wyrazić go w lapidarnym sformułowaniu: nie samym chlebem człowiek żyje i w pięknym zwrocie *Dantego*, że nie ma „większego bólu, jak wspominanie w nieszczęściu" *„del tempo felice"* — nie zawsze kryje się prawda. Bywają jednak sytuacje, w których dantejska sentencja trafia w sedno sprawy.

Pewnego dnia wzywają mnie do kancelarii więziennej. Jest tam „folksdojcz" z naszego biura, *Jakubiczek* i koleżanka *Stanisława Blicharzówna (Stasia)*. *Jakubiczek* odwraca uwagę szefa kancelarii, tłumacząc mu, że muszą wyjaśnić pewne sprawy urzędowe, po czym zabawia go rozmową. *Stasia* zaczyna od oficjalnego tematu: skąd brałem dane statystyczne do sprawozdań, bo mój następca ma trudności. Wzrok mój kieruję ku górze, który to gest można by odczytać jako wskazanie w kierunku niebios lub bardziej prozaicznie — odwołanie się do sufitu. Na tym kończy się część oficjalna. *Stasia* szepce: dr *Medweckiemu* udało się namówić *Mohlenkopfa*, aby interweniował na twoją korzyść, za parę dni będziesz zwolniony. Wolność! Ale już nie mam wtedy złudzeń. W ogóle nie reaguję na tak oszołamiającą wiadomość, tylko odpowiadam: przyślijcie przez zakonnice chleba, o chleb się starajcie, nie o wolność. Był to czas, który później przeszedł do legendy, kiedy to posiłki gotowane były dla więźniów w Zakładzie opiekuńczym im. Helclów, zakładzie podległym wydziałowi, w którym pracowałem.

Za parę dni znowu wezwanie. Wsiadam z moim gestapowcem do samochodu. Na ul. Pomorską (siedziba gestapo)? Nie. Jadę ulicami Krakowa w kierunku ul. Kopernika. Przed cukiernią przy ul. Szczepańskiej (tzw. „słodka dziurka") — ileż razy tam byłem — mój władca wysiada, kupuje ciastka! Aż boli patrzeć na tak bliskie a tak odległe moje miasto, życie, które toczy się poza murami więzienia. Wchodzimy do mego, do niedawna, biura. Mój widok nie budzi radości u napotkanych po drodze koleżanek i kolegów, tak byli przedtem w stosunku do mnie życzliwi i serdeczni. W ich oczach czytam przestrach, chowają się przed nami w popłochu.

Rozmowa dr *Medweckiego* z „moim" gestapowcem ma wyraźnie na celu zyskanie tylko na czasie. Za chwilę jednak już nie ma złudzeń, nie warto czekać, *Oberrechnungsrat* nie przyjdzie, nie będzie interweniował. Rozmyślił się. Proszę o papierosa, gestapowiec nie zezwala, „bo to mogłoby zaszkodzić na zdrowiu więźnia". Jednak kradnę parę „petów" z popielniczki. Czuję się wstrząśnięty. Zbyt nagłe było to zbliżenie mnie do pozawięziennego świata, w którym nie ma dla mnie miejsca. Dopiero w celi — co za radość z tego „sztumla" — wracam do równowagi. Tak, tu przy

nich jest obecnie moje miejsce, oni, ci z celi nr 130 zastępują mi rodzinę. Na jak długo?

Pewnego, bodajże listopadowego dnia, cela nasza powiększa się o nowego lokatora. Jest ogromnie powściągliwy w wypowiedziach. Nie sposób zorientować się, kto zacz i skąd przybył. Ale już wkrótce odsłania się rąbek tajemnicy. Do celi naszej raz po raz wkracza jakaś średnia lub niższa szarża ze straży więziennej. Interesuje ich tylko ten nowy. Pytają: który to jest przeniesiony z Auschwitz? Nowy kolega O. melduje się. Obserwują go w skupieniu i z jakąś zamyśloną uwagą. Często pada pytanie: „No, jak tam w *„Auschwitz"*, czy lepiej tu, czy tam?" Nowy, głośno, nieodmiennie odpowiada: *„überall ist gut"*. Wszędzie jest dobrze? To tu się nazywa, że jest dobrze? A jak w tym *„Auschwitz"*? Stopniowo, po długich dniach niestrudzonej indagacji, z oszczędnych informacji kolegi O. uzyskujemy taki obraz obozu: dostaje się trzy razy dziennie posiłek, m. in. gęstą zupę, pajdę chleba, margarynę, kiełbasę, marmoladę. Pracuje się, w czasie wolnym można odwiedzać kolegów, w ogóle prowadzić życie towarzyskie, przebywa się dużo na świeżym powietrzu, w obozie jest kantyna... Wszystkie te dane odpowiadały prawdzie, przekonaliśmy się o tym później. Stanowiły jednak jej drobniuteńki ułamek, nie powiązany z ogromną, przerażającą „resztą" informacji o aktualnej rzeczywistości obozowej z jesieni 1940 r.

Okruch prawdy uznaliśmy za całość. Och, jak wspaniale byłoby tam się dostać. Byle jak najprędzej.

Kolega O. był ściągnięty przez gestapo krakowskie ze względu na prowadzone dalej dochodzenie w jego sprawie. Nie znał nas, a znał Oświęcim. Czy by komuś pomógł, jeśliby w celi nr 130 nie trzymał języka za zębami?

Wrócił wkrótce do Oświęcimia i tam spotkałem się z nim. Starał się pomóc mi w pewnym okresie. Po trwającym około roku pobycie w obozie zginął rozstrzelany.

W okresie, który dawniej, na wolności, niósł zapach i radość choinki, zostałem zabrany ponownie na przesłuchanie. Odbyło się ono w siedzibie gestapo przy ul. Pomorskiej. Mój gestapowiec kończy wreszcie dyktować maszynistce swoje ustalenia. Zapala cygaro i... zaskakuje mnie pytaniem: interesowałeś się sportem? Już wiem dobrze, że tajemnicze pytania są niebezpieczne i łatwo można oberwać. Odpowiadam według metody „na dwoje babka wróżyła". Widocznie trafnie odpowiadałem, bo mój „interlokutor" z zadowoleniem wyjmuje jakąś fotografię, przygląda się jej i podsuwa mi pod nos. A czy interesowałeś się olimpiadą w Berlinie? Wreszcie domyślam się: zdjęcie przedstawia olimpijską ekipę bokserską reprezentującą barwy III Rzeszy. Prawie z entuzjazmem rozpoznaję na zdjęciu mego „referenta" i mówię: teraz dopiero rozumiem, że w czasie przesłuchań byłem pod opieką fachowca. „Fachowiec" rechocze wesoło. Nie zdaję sobie sprawy oczywiście z przyczyn, dla których mój gestapowiec nie musi dbać o swoje *incognito*. Staram się tylko pochwycić jak najwięcej rozkosznego dymu cygarowego i znowu stoję sobie grzecznie z nosem przytkniętym (obowiązkowo) do ściany. Przez pokój przefruwa jakaś rozkoszna szczebiotka i niemal w biegu rzuca swemu koledze, a równocześnie potędze, która decyduje o moim losie, pytanie: *„was ist los mit dem Knäblein"*? *„Eh, er ist schon erledigt, er geht nach Auschwitz"*.

I wtedy spływa na mnie uczucie radosnej ulgi. Naprawdę, bardzo się ucieszyłem.

ALFRED WOYCICKI Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 39247

Dwa oblicza „Służby Rozpoznawczej"

Wkrótce po moim przybyciu do obozu w Oświęcimiu wyciągnięto do mnie opiekuńczą dłoń. Po kilkumiesięcznym śledztwie w krakowskim więzieniu przy ul. Montelupich ważyłem niespełna 42 kg, ponadto byłem silnie wykrwawiony. W sumie: kandydat do komina. W tym stanie nagły przeskok z bezruchu i zaduchu więziennego do forsownej pracy fizycznej i tzw. „sportu", jak też wszelkie inne szykany stosowane wobec tzw. *zugangów* rokowały mi niezaprzeczalną szansę rychłego wykończenia się.

Mój przyjaciel postanowił mnie ratować. Niebawem powiadomił mnie, że Biuro Służby Rozpoznawczej (*Erkennungsdienst*) Oddziału Politycznego poszukuje siły biurowej władającej biegle językiem niemieckim w słowie i piśmie. Warunkiem przyjęcia była jednak umiejętność pisania na maszynie. Język znałem dobrze, ale na maszynie pisałem bardzo słabo i tylko po polsku. Nie widziałem dla siebie szans. Mimo to mój opiekun uznał, że może podsunąć moją kandydaturę funkcjonariuszowi obozu odpowiedzialnemu za przydziały do pracy (*Arbeitsdienst*). Jako stary *häftling* był z nim w dobrych stosunkach, a moje obiekcje co do znikomej znajomości pisania na maszynie zbył optymistyczną uwagą, że „zanim Berlin przyśle maszynę, wojna się skończy". Prócz tego dorzucił uwagę o konieczności posiadania w tym komandzie „swojego człowieka". Zro-

zumiałem. Poczułem się podniesiony na duchu. Więc będę znów w akcji, będę potrzebny.

Otworzyły się przede mną widoki dwóch wielkich wygranych na loterii lagrowej. Pierwsza: praca pod dachem; sprawa ogromnego znaczenia dla możliwości przetrwania. Druga: wyjście z przymusowej bezczynności, z bezwolnego poddania się losowi, powrót do walki. To był zastrzyk sił moralnych. Miał siłę regeneracji organizmu.

Po kilku dniach znalazłem się w *Erkennungsdienst*. Najbliższe trzydzieści miesięcy, dzielące ten decydujący dzień od wyjazdu do Gross-Rosen, a potem dalej, potwierdziły przewidywania mego przyjaciela: maszyny — na moje szczęście — nie przysłano; „swój człowiek" starał się być przydatny.

Oprócz obowiązków wynikających z czynności przydzielonych mi przez szefa komanda (od sprzątania po prace biurowe) przypadły mi zlecone przez kierownictwo obozowego ruchu oporu różne zadania „nieoficjalne". A więc: pierwsza pomoc nowym przybyszom i ewentualne kontaktowanie ich z odpowiednimi osobami spośród więźniów; obserwacja zdjęć, szyfrów itp. materiałów dostarczanych przez esesmana bądź oddział polityczny i w razie potrzeby kopiowanie ich; sporządzanie nowych — deformujących podobiznę — zdjęć więźniów do kartoteki obozowej, dla tych, którzy przygotowywali się do ucieczki (by w razie pościgu utrudnić akcję gestapo); dokonywanie dla nich cywilnych fotografii do „lewych" dokumentów; wywoływanie zdjęć dokonanych przez członków *Sonderkommanda* przy stosach spaleniskowych i krematoriach w Brzezince (taśmy te wywoływane były w bloku 20 w sali dr *Stanisława Kłodzińskiego* i kol. *Stanisława Głowy*); zbieranie zdjęć esesmanów w celu wysłania ich drogą konspiracyjną do naszej „skrzynki" w Krakowie. Miały się w przyszłości przydać. Niestety, nie wszystkie doszły. Ogólnie biorąc, musiałem mieć wgląd w całość prac laboratoryjnych, wykonywanych zarówno przez kolegów-więźniów, jak też osobiście przez szefów komanda. Te ostatnie były *strenggeheim*; wgląd w nie był niezmiernie utrudniony. Czasem jednak udawało się przychwycić jakąś nie dość udaną próbną odbitkę dzięki odwadze i sprytowi niektórych kolegów z laboratorium. W sumie: trzeba było wyłuskiwać te materiały, które w przyszłości mogły służyć do zdemaskowania zbrodni SS. Ważne miejsce zajęły wśród nich dokumenty fotograficzne z pseudolekarskich doświadczeń.

W tych niebezpiecznych przedsięwzięciach nieocenionym moim współpracownikiem był młody chłopak z Bałutów, łodzianin, kol. *Władysław Wawrzyniak*. Jako fachowiec wyręczał mnie we wszystkich sprawach wymagających znajomości techniki fotograficznej, z którą ja, przeciętny amator, byłem ledwie obeznany. *Wawrzyniak*, jeden z najszlachetniejszych spośród braci więźniarskiej, mimo młodego wieku nie dał się sprowadzić na manowce ratowania się za wszelką cenę; zachował postawę ideową i moralną. O ile wiem, tę cechę jego pięknego charakteru potwierdził towarzysz niedoli, *Stanisław Dubois* [1]. Niestety, *Wawrzyniak* nie doczekał wyzwolenia. Zginął w ostatnich dniach wojny, zastrzelony w czasie próby ucieczki z transportu ewakuacyjnego. Korzystam ze sposobności, aby publicznie oddać hołd jego świetlanej pamięci i podkreślić nazwisko *Władysława Wawrzyniaka* na liście najwartościowszych postaci, z jakimi dane mi było pracować w oświęcimskim ruchu oporu.

* * *

Na wiosnę 1944 r. przybył do obozu oświęcimskiego kandydat na oficera *Wehrmachtu*. Zastępca szefa *Erkennungsdienstu, Ernst Hofmann* nazywał go *Oberfeldwebel dr Kaschub*. Przydzielono mu jedną salę na pierwszym piętrze bloku 28 dla celów doświadczalnych. Sala ta była ściśle izolowana. Wstęp do niej był zamknięty. Wiadomo było jedynie, że umieszczonych tam zostało dwudziestu więźniów w młodym lub średnim wieku. Wkrótce miałem sposobność obejrzeć zdjęcia przeprowadzonych eksperymentów. Dokonywał je *Kaschub* osobiście aparatem Leica, przy czym to samo schorzenie u danego „królika doświadczalnego", jak się można było zorientować, fotografowane było w różnych odstępach czasu i w różnych fazach rozwoju. Widoczne to było z napisów na tabliczkach, umieszczonych przy ranie. Podawano tam daty, godziny oraz jakieś znaki, litery i liczby, których (z wyjątkiem petrolu) nie mogłem rozszyfrować.

Więźniom zatrudnionym przy wywoływaniu tych zdjęć i kopiowaniu ich przykazał *Hofmann* surowo, że żadna odbitka z tych filmów nie może zginąć. Wszystkie, nawet zepsute, muszą być jemu samemu oddane. *Kaschub* nigdy sam nie zakładał filmu do swego aparatu, lecz powierzał tę czynność *Hofmannowi* lub naszemu *kapo*. Pewnego razu przyniósł aparat po południu, a nie chcąc czekać polecił, by mu go odesłano rano do jego sali. Następnego ranka, wkrótce po apelu zaobserwowałem, że *Kaschub* wyszedł z bloku i skierował się ku głównej bramie. Wobec tego pospiesznie udałem się z aparatem do bloku 28. Była to pora sprzątania sal szpitalnych. Również sala *Kaschuba* była chwilowo otwarta. Skorzystałem ze sposobności, by się dowiedzieć czegoś bliższego o prowadzonych tu doświadczeniach. Na moje pytania początkowo nikt nie odpowiadał. Dopiero po chwili jeden z więźniów, widocznie nabrawszy przekonania, że nie jestem prowokatorem, w wielkim podnieceniu wyjaśnił, że oni wszyscy przyszli tu silni i zdrowi, a *Kaschub* doprowadził ich do cierpień i kalectwa.

[1] *Stanisław Dubois* (ur. 7. I. 1901 w Warszawie), znany działacz polskiego ruchu robotniczego, był w okresie międzywojennym jednym z przywódców lewicowego nurtu PPS. Kontynuował swą działalność w podziemiu w czasie okupacji. Aresztowany przez gestapo w sierpniu 1940 roku, został po pobycie na Pawiaku wysłany do Oświęcimia, gdzie był pierwszym kierownikiem tajnej organizacji. Został tam rozstrzelany przez hitlerowców 21. VIII. 1942 r. (przyp. red.).

Mianowicie rozdrapywał skórę, a następnie przykładał na otwarte rany jakieś mikstury i bandażował opatrunkami nasyconymi chemikaliami, których więźniowie nie rozpoznali. Wkrótce następowały różne bolesne objawy, a następnie ropienie i rozpad tkanek. Opisy ran zgadzały się ze znanymi mi fotografiami.

Uzyskanymi wiadomościami podzieliłem się z prof. dr *Janem Olbrychtem* i ówczesnym *Lagerältesterem* szpitala obozowego, dr *Władysławem Fejklem*, dziś profesorem Akademii Medycznej w Krakowie. Obaj wyrazili przekonanie, że *Kaschub* sztucznie wywołuje flegmony bądź też wcierając jakieś środki drażniące w zdrową skórę, powoduje stany zapalne, ropienie, trudno gojące się owrzodzenia itp. Celem opisanych eksperymentów było wywołanie schorzeń podobnych do tych, które prowokowali u siebie żołnierze niemieccy usiłujący wykręcić się od służby wojskowej. Kilka spośród tych zdjęć *Kaschuba* udało mi się przekazać dr *Stanisławowi Kłodzińskiemu* do naszej zbiornicy dokumentów w Krakowie.

Ropnie, lecz nie sztuczne, ale prawdziwe, bywały też przyczyną uśmiercania więźniów. W jesieni 1942 r. widziałem wybieranie przez dr *Mengelego* więźniów dotkniętych flegmoną. Odbywało się to w łaźni znajdującej się w tym samym bloku, w którym mieścił się *Erkennungsdienst*, bez większych przeszkód mogłem więc te fakty obserwować. Zdrowi po kąpieli odeszli do bloku, chorych przeprowadzono do szpitala obozowego. Następnego lub trzeciego dnia nazwiska ich widniały już na liście zmarłych.

Dla dr *Mengelego* wykonywaliśmy też zdjęcia śmiertelnie wychudzonych ludzi, tzw. muzułmanów oraz bliźniąt i ludzi o niecodziennych cechach fizycznych. Podobno materiały te były mu potrzebne do badań antropologicznych oraz do studiów nad teorią rasizmu. Tak przynajmniej, dumny z „nauki" niemieckiej, objaśniał nam *Unterscharführer Hofmann*.

Gdy w lecie 1944 r. przyprowadzono *zugang* złożony z około 40 mężczyzn w średnim wieku i ustawiono między blokami 26 i 27, po dłuższym oczekiwaniu nadszedł *Mengele*, kazał wszystkim opuścić spodnie i podnieść koszule. Przechodząc powoli wzdłuż szeregu, oglądał okolice podbrzusza i genitalia. Od razu dzielił swe ofiary na dwie grupy. Następnie większą kazał *blockführerowi* odprowadzić do izby przyjęć, z mniejszą zaś sam wyszedł za bramę obozu. Los ich pozostał niewiadomy. Śladu tych więźniów nie znalazłem ani w spisach *zugangów*, ani w ewidencji zmarłych. Wciąż też otwarte jest pytanie, gdzie ukrywają się *Kaschub* i *Mengele*.

JÓZEF KRET Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20020

Lekarze znaleźli wyjście

Chociaż nie jestem lekarzem, postanowiłem na propozycję redakcji skreślić parę obrazków z czasów pobytu w obozie w powiązaniu z tematyką „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", ponieważ naszym lekarzom w pasiakach zawdzięczam, iż z różnych, zdawało się beznadziejnych, sytuacji wychodziłem obronną ręką i wracałem między żywych. Obozowy los kazał mi przejść wszystkie szczeble piekielnej drabiny, jakimi dysponował oświęcimski *lager* i wielekroć znajdowałem się w położeniu bez wyjścia. Wyjście wykombinowali i zrealizowali więźniowie-lekarze. Tak więc ograniczę się do przedstawienia tylko tych przeżyć, które wiążą się z wydobyciem mnie przez lekarzy z różnych ciężkich opresji.

Po rocznym przebywaniu w obozie, po wędrówce z „komanda" do „komanda", z bloku na blok (9, 2, 10a, 10, 22a, 24, 23) znalazłem się 13 maja 1942 r. w bunkrze bloku nr 11. Powodem osadzenia mnie w ciemnicy tego bloku było podjęcie przeze mnie kromki chleba podrzuconej przez osobę cywilną w czasie, gdy wykonywałem roboty melioracyjne na polach włączonych do obozu (*K.L. — Bereich*). Osadzenie w bunkrze poprzedzone było wielogodzinnymi torturami i chłostą.

Coraz to wywoływano kogoś z bunkrów na rozstrzelanie w umywalni bloku 11. Każdy z jego mieszkańców oczekiwał na swoją kolej do umywalni lub pod „czarny ekran" na podwórzu. 27 maja 1942 r. — to jeden z najważniejszych dni w bloku 11, rozstrzeliwano bowiem wtedy większą liczbę osadzonych w bunkrze. Do mej ciemnicy dochodziły odgłosy strzałów z podwórza. Naliczyłem ich do przerwy obiadowej 168. Rozstrzelani byli Polacy, w większości zakładnicy aresztowani w kwietniu 1942 r. w „Domu Plastyków" przy ul. Łobzowskiej w Krakowie.

Uprzątnąwszy zwłoki wywołano po przerwie obiadowej z bunkrów dalszych dwudziestu więźniów — wśród nich mnie — i postawiono nas przed ścianą śmierci, na ziemi przesiąkłej świeżą krwią. Czekaliśmy długo. Nie rozstrzelano nas jednak, lecz zesłano do karnej kompanii (*Strafkompagnie*, w skrócie: *SK*), która mieściła się w Brzezince, przeniesiona tam z bloku 11 macierzystego obozu w dniu 9 maja 1942 r.

Skazanie do *SK* równało się w tym czasie wyrokowi śmierci [1]. O niszczycielskim cha-

[1] Od końca 1942 r. w *SK* nastąpiły zmiany na lepsze. Najgorszych „kapów", dziesiątkujących więźniów w *SK*

rakterze *SK* przesądzała najcięższa praca, jaką dręczono więźniów, najgorsze pomieszczenie, najmarniejsze odzienie, dłuższa niż w obozie dniówka robocza, pełnienie w *SK* funkcji *kapów* przez „zielonych" (*BV*, tj. *Berufsverbrecher* [2]), wreszcie całkowita beznadziejność, gdyż przeznaczeniem każdego skazańca w *SK* była śmierć po utracie sił z głodu, ciężkich robót, bicia i odrażających warunków pomieszczenia. Chorych w *SK* w okresie lat 1940—1942 nie zabierano do szpitala obozowego, lecz zabijano na miejscu pracy lub na podwórku wśród tortur, jakie tylko pomysłowość złoczyńców mogła spowodować. Jedynie nielicznym udało się zasnąć na wieczny sen w swojej koi w czasie nocnego odpoczynku.

Pobyt w *SK* nie trwał zwykle długo; starali się o to „kapowie" i szef *SK*, jeden z największych morderców spośród załogi esesowskiej, *SS-Hauptscharführer Moll*. Spośród przeszło dwudziestu „kapów" na około 450 więźniów (liczba ta ulegała dużym wahaniom) wyróżniał się okrucieństwem osławiony „kapo" komanda *Dachdecker, Karl Langenhagen*. Pech chciał, że „podpadłem" u niego i od pewnego czasu darzył mnie częstszym okładaniem kijem. Pewnego dnia podczas robót przy kanale królewskim (*Königsgraben*) po takim obfitszym poczęstunku *Langenhagen* zapowiedział mój koniec, mówiąc: *„du wirst bald krepieren, aber ich lass' dir noch eine Zeit"* [3]. Gdy odruchowo wyrwało mi się pytanie: Dlaczego?, odpowiedział: *„Du bist ein Philosoph, du hast scharfe Augen: du musst aber speziell krepieren"* [4].

Ten zapowiedziany przez niego moment najwidoczniej nadszedł w parę dni później. Była to sobota (w drugiej połowie sierpnia 1942 r.). Przed południem „kapowie" zabawiali się jak zwykle topieniem, duszeniem, nurzaniem w błocie, w latrynie lub zabijaniem pałką starszych i „zmuzułmaniałych" więźniów. Ale wóz, którym woziliśmy zwłoki — żniwo każdego dnia pracy w *Königsgraben* — nie był jeszcze pełny. W czasie przerwy obiadowej *kapo-dachdecker* chciał go widocznie dopełnić; zerwał się ze swego legowiska w cieniu i rozglądając się wśród siedzących wołał: *„Wo ist der Philosoph?!* [5]" Zwinąłem się w kłębek, chowając głowę w trawę. *„Wo ist mein Philosoph?!* [6]" — powtarzał ochrypłym głosem. Kiedyż ta przerwa się skończy? — myślałem. Wcisnąłem się jeszcze mocniej w zarosłe trawą zagłębienie.

W tym momencie rozległ się gwizdek *Molla*, ogłaszający koniec przerwy. Wyskoczyłem ze swego ukrycia, pędząc co sił na swój odcinek pracy. Nurtowała mnie myśl, czy w dzisiejsze sobotnie popołudnie dopełni się mój los i czy nie znajdę się na wózku z trupami.

Jakiż *endajmonion* sprawił, że do wieczora nie zainteresował się mną mój opiekun? Widocznie odłożył do poniedziałku widowisko, aby nim w jakiś specjalny, ciekawy sposób zapoczątkować następny tydzień. Mój towarzysz od łopaty, z którym razem grzebaliśmy się przy pracy w błocie kanału, powiedział: „No, zanosi się na to, że dziś będziesz musiał jeszcze pieszo fatygować się do obozu; *dachdecker* jakoś zapomniał o tobie". Odpowiedziałem: „Za to wy będziecie się musieli fatygować w poniedziałek ciągnięciem wózka, na którym ja wygodnie pojadę". Kolega „pocieszał" mnie: „Tę jutrzejszą niedzielę zostawia ci pewnie na sporządzenie rachunku sumienia".

Zapowiadała się dla mnie długa niedziela. Czułem się jak zwierzak zamknięty w potrzasku. Mimo śmiertelnego zmęczenia nie mogłem zasnąć tej nocy.

Niedziela, dzień wolny od pracy w *Königsgrabenie*, nie była jednak wolna od szykan wymyślanych przez „kapów". Było sprzątanie, czyszczenie bloku, podwórka, latryny oraz golenie. Kiedy namydlony jakimś malarskim pędzlem przez pomocnika golibrody stałem w kolejce do „fryzjera", przybiegł do mnie mój przyjaciel i oznajmił, że przyszli z *KB* (*Krankenbau* — szpital) sanitariusze po chorych. Rzeczywiście zjawili się na podwórku trzej więźniowie z *KB*: jeden lekarz i dwaj sanitariusze, którzy przybyli po chorych. Rzecz bez precedensu: po chorych z *SK*!

W pośpiechu, choć z niedowierzaniem ustawili się na podwórku prawie wszyscy. Każdy był osłabły, każdy kwalifikował się do szpitala, a ponad wszystko każdy marzył o wydostaniu się z *SK* choćby na krótki czas. Wszyscy błagalnie patrzyli na przybyłych, a spojrzenia te wyrażały rozpaczliwą prośbę o ratunek.

Niestety, lekarz oświadczył, że pozwolono zabrać do szpitala tylko trzech chorych. Nastąpiła chwila dramatycznej ciszy. Wtedy wystąpił blokowy (Niemiec, nie oznaczony zielonym trójkątem i pozostający na stopie wojennej z „kapami"). Wskazał on po kolei trzech więźniów i zadecydował: *„Die sind krank"* [7]. W tej szczęśliwej trójce znalazłem się i ja.

Wszystko to stało się tak nagle i niespodzianie, że ledwie uwierzyłem w realność tego, co się dzieje: że opuszczam w towarzystwie dwóch kolegów ponury blok potępieńców i smrodliwe podwórko *SK* i że umykam przed moim jutrzejszym przeznaczeniem. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, a może świadomie wyreżyserowanym, nie było „kapów" przy tej ceremonii na podwórku. Jeden z nich, *dachdecker* najprawdopodobniej nie wypuściłby mnie ze swych szponów. Jak się to wszystko stało, pozostaje do dziś dla mnie niewyjaśnioną zagadką. Rąbka tej tajemnicy uchylił mi list, który otrzymałem po wojnie (w r. 1947) od jednego ze współtowarzyszów obozowej niedoli, *Zygmunta Stepanka* z Łodzi. O tym później.

---

z inspiracji *SS*, przeniesiono do obozu. Udawało się też od tego czasu umieszczać niekiedy chorych z *SK* w szpitalu.

[2] Zawodowi zbrodniarze oznaczeni zielonym trójkątem.

[3] „Ty wnet zginiesz, ale zostawię ci jeszcze trochę czasu".

[4] „Tyś jest filozof, masz ostry wzrok; ciebie wykończę w specjalny sposób".

[5] „Gdzie jest ten filozof?"

[6] „Gdzie jest mój filozof?"

[7] „Ci są chorzy".

Nasza trójka została przyjęta do bloku szpitalnego nr 12 w Brzezince, jakkolwiek blokowy niezbyt przychylnie powitał nasze przybycie. Szczęście tego dnia mogłem mierzyć grozą ostatniego dnia i makabrą tego, co by mnie czekało w dniu następnym. Umieszczono mnie w części obserwacyjnej bloku (*Beobachtungsstube*). Otrzymałem na legowisko górną pryczę w rogu „sztuby". Po piekle *SK* ten spokojny kąt wydał mi się cichą, bezpieczną przystanią. Byłem szczęśliwy.

Kilka dni spokoju i odpoczynku przywróciło mi równowagę psychiczną i wzmocniło mnie fizycznie. Po tygodniu pobytu w „szpitalu" poczułem dreszcze i gorączkę. Stwierdzeniem u mnie duru wysypkowego ucieszyłem się w nadziei, że przedłuży się mój pobyt w szpitalu, albo że pożegnam się z tym światem poprzez zwyczajną, spokojną śmierć. Szczególną odrazę budziła we mnie najczęstsza jej forma w *SK:* śmierć płaza wdeptanego w muł.

W szczytowym stanie gorączki durowej uniknąłem nieświadomie największego niebezpieczeństwa: oto zajechały auta ciężarowe i wywiozły z naszego bloku chorych na dur do komory gazowej. Mnie nakryto wtedy siennikiem, korzystając z tego, że na górnej pryczy nie byłem z dołu widoczny. Wychudłe ciało i płaskość siennika napełnionego wiórami sprzyjały takiemu zakamuflowaniu człowieka nieprzytomnego z gorączki. Poinformowano mnie o tym minionym niebezpieczeństwie, gdy odzyskałem przytomność. Na mojej nowej karcie figurowała już inna nazwa choroby.

Nie znam nazwiska odważnego lekarza, który uchronił mnie od zagazowania. Sądzę, że nie tylko ja, lecz także wielu chorych zawdzięcza mu życie.

Byłem właściwie „muzułmanem", ważącym 39 kg, gdy po paru miesiącach pobytu w *SK* w Brzezince wróciłem do obozu macierzystego Oświęcim I, po tyfusie, ale z *durchfallem.* Żołądek mój nie przyjmował zupy obozowej. Nic więc już nie mogło podtrzymać procesu życiowego w moim organizmie. Każdy dzień zbliżał mnie ku końcowi, który według wszelkich prawideł powinien był już nastąpić. Byłem w sytuacji bez wyjścia. Tak się złożyło, że znów wyjście znaleźli lekarze. Dr *Stanisław Kłodziński* z bloku nr 20 wystarał się, bym przez pięć dni otrzymywał zupę dietetyczną (*Schleimkost*) w bloku szpitalnym nr 28. Należało w tym celu zgłosić się w porze obiadowej przy okienku kuchennym tegoż bloku, oddać tam kartkę oraz swoją porcję obozowego chleba, a w zamian otrzymywało się lepszy chleb i mleczną zupę. Ta parodniowa dieta — łącznie z lekarstwami dawkowanymi w miarę skromnych zasobów przez naszych lekarzy — zaczęła stopniowo przywracać normalne czynności mojego przewodu pokarmowego.

Wielką pomocą w odzyskiwaniu sił i lepszego wyglądu stało się dożywianie mnie zorganizowane z inspiracji lekarzy przez *Jasia Krókowskiego,* pełniącego funkcję *kalefaktora* w szpitalu esesowskim. Ów młody, kilkunastoletni chłopiec, odważny i uczynny, harcerz, zostawiał dla mnie w kotłowni rewiru *SS* zupę esesmańską u palacza (Ślązaka). W przerwie obiadowej przemykałem się tam niespostrzeżenie, by spożyć ten skarb nad skarby. To przemykanie z baraku meliorantów, gdzie pracowałem, nie było łatwe i wiązało się z ryzykiem, gdyż można się było natknąć na esesmana i wtedy nie wiadomo, czym by się takie spotkanie skończyło. Nie zawsze się też udawało z tą zupą. Ale po około trzech tygodniach takiego dożywiania nastąpiła radykalna zmiana na lepsze w moim wyglądzie zewnętrznym.

Jak bardzo potrzebna, a zarazem zbawienna była ta poprawa wyglądu, miałem się wkrótce przekonać. Oto którejś nocy, kiedy spaliśmy nago, oddawszy bieliznę do odwszenia, wpadło do naszego bloku kilku esesmanów z bykowcami, wrzeszcząc: *„Alles raus, raus, raus!"* Spędzeni z prycz krzykiem i biciem, stanęliśmy w piątkach przed blokiem. Popędzono nas do drewnianego baraku (między blokami nr 1 i nr 2) mieszczącego łaźnię. Wchodziliśmy gęsiego do tego długiego, słabo oświetlonego baraku, przy akompaniamencie krzyków esesmanów. Wszystko to stało się w środku nocy i tak nagle, że nie zorientowaliśmy się początkowo, o co chodzi. Po wejściu do baraku spostrzegłem po jego drugiej stronie u drzwi wyjściowych rozkraczonego esesmana w otoczeniu kilku *blockführerów.* Wyrwana ze snu, oszołomiona krzykami i biciem gromada kilkuset ludzi posuwała się rzędem naprzód w kierunku rozpierającego się pana życia i śmierci. Okazał się nim *rapportführer SS-Unterscharführer Kaduk.*

Jednych, lepiej się prezentujących, przepuszczał on do wyjścia. Słabych, wychudłych, okaleczonych, wykazujących wady fizyczne i zranienia, przedstawiających małą wartość jako siła robocza *Kaduk* odstawiał na bok pod „opiekę" innych funkcyjnych. Tych zamordowano w komorze gazowej.

Teraz dopiero uzmysłowiłem sobie, dlaczego lepiej zorientowani więźniowie-lekarze czynili starania o mój lepszy wygląd i zadbali o doprowadzenie „muzułmana" do lepszej formy, mimo że dostawszy się do obozu z karnej kompanii sądziłem, iż najgorsze mam za sobą i nic mi już złego nie zagraża.

Utkwiła mi ta *Kadukowa* selekcja mocniej w pamięci, gdyż przypadek tylko uratował mnie wtedy od skierowania do gazu. Otóż miałem nogę skaleczoną w czasie pracy i owiniętą w szmatę. Zapomniałem ściągnąć ten szmaciany bandaż, który był wystarczającym powodem, aby zostać przydzielonym do wyselekcjonowanej grupy. W ostatniej chwili, gdy dzieliła mnie od *Kaduka* niewielka odległość, idący za mną kolega zwrócił mi uwagę na bandaż. Błyskawicznie zerwałem z nogi szmatę i odrzuciłem. To mnie uratowało.

W r. 1944 mnożyły się ucieczki z obozu. Zaprzestano już tak srogich kar, jak wybieranie na śmierć dziesięciu lub więcej więźniów z bloku uciekiniera albo z komanda, w którym pracował. Już w r. 1943 stosowano „lżejszą"

karę, mianowicie sprowadzano do obozu członków rodzin uciekinierów.

Bywało jednak różnie, bo na przykład po ucieczce w czerwcu 1943 r. mierniczego inż. *Jarzębowskiego* (z grupy *vermesserów* [8]) osadzono w bunkrze 11 bloku 27 więźniów z tych „komand", w skład których wchodziły grupy pomiarowe. Były to „komanda": *Bodenwirtschaftsdienst-Meliorationen* (w którym pracowałem), *Landwirtschaft-Messtruppe* oraz *Baubüro*. Spośród tych 27 osób osadzonych w bunkrze trzynastu rozstrzelano w bloku nr 11, dwunastu powieszono na placu apelowym, a dwóch pozostałych zwolniono po kilku miesiącach z bunkra.

W r. 1944 więźniów tego „komanda", z którego pochodził uciekający, poddawano „sportowi" (*kniebeugen, hüpfen, rollen, laufen*), po czym osadzano na jakiś czas w bunkrze bloku nr 11, poprzedzając to osadzenie wymierzeniem 25 plag. Taką łagodną karę zastosowano na przykład wobec naszego „komanda" *(Bodenwirtschaftsdienst-Meliorationen)*, gdy w czerwcu 1944 r. uciekł z naszej grupy *Stanisław Okrzeja*.

W sierpniu 1944 r. postanowili uciec dwaj pomiarowcy z komanda *Landwirtschaft-Messtruppe*. Byli to nierozłączni obozowi towarzysze, młodzi chłopcy *Wicek* i *Edek* [9] (imiona te wymawiało się zawsze razem), pochodzący z Hrubieszowa. Wtajemniczyli mnie w swoje uciekinierskie zamiary. Zrobili mi tym co prawda niezbyt dobrą przysługę, gdyż przez parę tygodni w oczekiwaniu na ich ucieczkę żyłem w napięciu nerwowym i w obawie, czy im się powiedzie, czy dostatecznie wszystko przygotowali.

Wreszcie jednego sierpniowego dnia po apelu wieczornym *Wicek* oznajmił mi: „Jutro uciekamy". Podał ogólne zarysy planu ucieczki. Biorąc pod uwagę dane topograficzne i ludzi z zewnątrz mających im pomóc oraz odwagę tych chłopców i znajomość terenu, jaką zdobyli w czasie wykonywania pomiarów, nie wątpiłem, że ich plan ma wszelkie szanse powodzenia.

— Załatwiliśmy dla ciebie jedną sprawę — mówi mi *Wicek*. — Jutro nie pójdziesz do roboty. *Witek* [10] zwolni cię jako chorego. Omówiliśmy sprawę z lekarzami. Zgłosisz się jutro rano w ambulansie na 28 bloku, a tam nasi lekarze skierują cię na jeden z bloków szpitalnych.

— Nic podobnego — odpowiadam — zostanę w komandzie i niech się dzieje, co chce. Skóra moja, już dobrze wygarbowana, wytrzyma. Zresztą — mówię — nie jest już teraz tak groźnie.

Wicek jednak nie dał za wygraną. Obaj z *Edkiem* nie chcieli, bym po raz czwarty znalazł się w bunkrze bloku nr 11.

— Nie ma o czym mówić, bo wszystko przygotowane — zadecydowali. — Pójdziesz do szpitala, położą cię, a gdy posłyszysz wycie syreny, westchnij na naszą intencję — dodał kategorycznie *Wicek*.

Rzeczywiście, gdy następnego dnia poszedłem do bloku nr 28, w ambulatorium przyjęto mnie natychmiast i skierowano do szpitala (w bloku nr 20). U wyjścia z ambulatorium oczekiwał na mnie, uśmiechając się znacząco, *Stanisław Głowa*, pisarz bloku 20. Trzymał już dla mnie jakiś przyodziewek szpitalny. Zaprowadził mnie na sztubę. Tu znalazłem się pod opieką lekarską dr *Stanisława Kłodzińskiego*, który zmierzył mi gorączkę, wywiesił kartę z nazwą jakiejś choroby, przyniósł coś do przegryzienia i polecił spokojnie odpocząć.

Wtulony w kąt pryczy nasłuchiwałem, kiedy odezwie się syrena oznajmiająca ucieczkę. Usłyszałem ją wreszcie po południu około godziny 17. Było to 8 sierpnia 1944 r. Uciekinierom powiodło się. A kiedy przebrnęli przez linię frontu, zdążając na wschód do swych stron rodzinnych, poinformowali po drodze moich najbliższych o sytuacji w obozie i o moim losie [11].

Ja tymczasem przeżywałem swój najlepszy obozowy okres, gdyż w roli chorego pozostawałem w bloku nr 20 około trzech tygodni.

Bloki szpitalne w Oświęcimiu odegrały niezwykłą rolę. Akcje, jakie się tam dokonywały, kryły w sobie największe ludzkie tragedie, wynikłe z niszczycielskich planów czynników oficjalnych. Na tym tle wykwitło prawdziwe bohaterstwo więźniarskiej służby zdrowia, przeciwdziałającej tamtym zbrodniczym planom. Bloki szpitalne stały się też ośrodkiem obozowego ruchu oporu. Na przykład w bloku nr 20 zbiegały się nici różnorodnych akcji; stąd kierowano kontaktami ze światem zewnętrznym i z jego tajnymi organizacjami. Personel tego bloku wielu ludziom uratował życie. Było wielkim dobrodziejstwem znaleźć się tutaj w gronie ludzi spieszących chętnie z pomocą chorym bądź zagrożonym. Atmosfera tutaj wytworzona kontrastowała jaskrawo z koszmarem drapieżnych stosunków w obozie, a przede wszystkim sprzyjała powrotowi do sił [12].

Pokrzepiony na ciele i duchu wróciłem znów do swego komanda, nazywanego często *Totenkommando* [13] ze względu na różne klęski, jakie ze strony oddziału politycznego spadały na tę nieszczęsną grupę więźniów, podejrzewanych — z powodu rodzaju robót wykonywanych przez nas w terenie — o kontakty ze światem zewnętrznym i przekazywanie poza obóz informacji o tym, co dzieje się w obozie.

Z bloku szpitalnego wyniosłem spostrzeżenie, iż nasi lekarze w pasiakach, w przeciwieństwie do oficjalnej obozowej „służby zdrowia" spod znaku *Totenkopf*, która uśmiercała, ratowali zdrowie więźniów i wykradali ich śmierci, a ponadto oddziaływali na stronę moralną, podtrzymywali na duchu, chronili przed zała-

[8] pomiarowców.
[9] *Wincenty Ciesielczuk* i *Edward Padkowski*.
[10] *Witold Wierusz*, kierownik naszej grupy roboczej.
[11] Po wojnie obaj ukończyli studia politechniczne i jako inżynierowie pracują razem na Śląsku.
[12] Bardzo wskazane byłoby syntetyczne opracowanie dziejów bloków szpitalnych w Oświęcimiu.
[13] Komando śmierci.

maniem psychicznym. Było to szczególnie ważne, ponieważ właśnie w obozie najwyraźniej widziało się współzależność fizycznego i psychicznego ustroju człowieka. Obserwowało się tam często, jak słabsza duchowo struktura przy pierwszym zetknięciu z tym wszystkim, co stanowiło istotę *lagru,* ulegała załamaniu. Dotyczy to szczególnie tego początkowego okresu Oświęcimia, gdy stosunkowo mało było w nim jeszcze więźniów i gdy każdy z nich znajdował się pod większą obserwacją oprawców, nie mogąc w żadnym momencie dnia i nocy zejść spod ich oka.

Skala doznań biegła od dna cierpienia do rzadkich chwil jaśniejszych, siłą kontrastu szczęśliwych. To szerokie wahadło poruszające się od jednej do drugiej krańcowości przeżyć wzburzało dany ustrój psychiczny. W obozie działały z całą mocą dwie przeciwstawne siły: z jednej strony żelazny instynkt życia, z drugiej zaś zorganizowana, precyzyjnie działająca machina zabijania. Na styku tych dwóch sił spełniał się cały, niesłychanie zróżnicowany świat tragedii ludzkich. Miał on tyle odcieni, ilu było więźniów. Tam najjaskrawiej potwierdzała się maksyma, że tyle jest światów, ile jednostek myślących. W obozie można się było przekonać, że najważniejsze tajemnice człowieka mieszczą się przede wszystkim w jego istocie, a nie w okolicznościach, jakie los zdarzył. Tam też weryfikowała się sentencja, że tyle było obozów, ilu więźniów było osadzonych.

Presja sił miażdżących człowieka w obozie była tak wielka, że często w rozmowach o obozie pada określenie: „załamanie psychiczne". Aresztowaniu, więzieniu i osadzaniu w obozie podlegali na ogół ludzie najbardziej aktywni, żywotni, mocni fizycznie i duchowo, twórczy i pełni inicjatywy, z reguły więźniowie polityczni. Im również nieraz los nie oszczędzał szybkiego załamania. Zjawisko to warte byłoby głębszego zbadania.

Ujemnie na psychikę oddziaływało poczucie beznadziejności, zupełnie zresztą uzasadnione, zwłaszcza w pierwszym okresie istnienia obozu, kiedy wszystko: sytuacja polityczna, powodzenia militarne Niemców, zespół niszczycielskich sił lagrowych — nie pozostawiało miejsca nadziei. Dlatego może tak wielką wartość w obozie stanowiły wieści ze świata. Opisywano już nieraz, jak na przykład każda dobra wiadomość z wojennych frontów, choćby nawet fałszywa, podtrzymywała na duchu i dodawała sił. Głód krzepiących wieści odczuwało się na równi z głodem pożywienia. Każda dobra wiadomość olbrzymiała w wyobraźni udręczonego *häftlinga* i krzepiła, jak przysłowiowe ożywcze źródło spragnionego pielgrzyma w pustyni. Pragnienie tych wiadomości przechodziło w nałóg, stawało się obsesją więźnia. Na tym gruncie kwitły również zgoła fantastyczne wiadomości, które tylko więzień w tej sytuacji mógł poważnie traktować. Ale warunki obozowe nie sprzyjały właściwej ocenie tych tworów fantazji. Wszystkie korzystne wieści były dobrą pożywką dla nadziei, która na przekór sytuacji przeżywanej przez więźniów budziła się wciąż na nowo, wiążąc się z ciągle nie zdławionym instynktem życia.

Niekiedy nadzieja budziła się pod wpływem jakiejś drobnej, a szczególnej okoliczności zewnętrznej, a przy tym natrafiała na podatny grunt u więźnia, podświadomie poszukującego pożywki dla nadziei. Przypominam sobie takie doznanie z czasu mojego pobytu w *SK* w Brzezince, gdzie, jak opisałem, znajdowałem się w sytuacji zupełnie beznadziejnej. Mianowicie jednego niedzielnego poranka, gdy nie wyszliśmy do pracy na królewski rów *(Königsgraben),* posłyszałem z tego kąta bloku, który zajmowali Niemcy, śpiewanie pieśni, której powtarzający się refren brzmiał:

Es geht alles vorüber
Es geht alles vorbei
Nach jedem Dezember
Kommt wieder ein Mai [14].

Wbrew logice realiów otoczenia słowa cytowanej piosenki jak promyk ożywczy budziły ostygły mechanizm psychiczny, sycąc obłędnym uczuciem nadziei.

Nadmienić należy, że było jedno niezawodne źródło wiadomości rzetelnych i jak się zawsze później okazywało, zgodnych z prawdą. Był to blok nr 20, w którym przebywali chorzy zakaźnie. W bloku tym zbiegały się nici międzynarodowego ruchu oporu w obozie. Kierownictwo tego ruchu umiejętnie korzystało z okoliczności, że esesmani bojąc się zakażenia omijali ten blok grożący infekcją.

Oczywiście tylko nieliczni wtajemniczeni byli w tę niezwykłą rolę personelu bloku nr 20 i innych oświęcimskich bloków szpitalnych. Nie należało też nadużywać tego wtajemniczenia. Toteż tylko od czasu do czasu, gdy ciekawość nowości i beznadziejność położenia nie dawały spokoju, podchodziło się po wieczornym apelu pod narożne, parterowe okno bloku nr 20 i stukało się dyskretnie w szybę. Po chwili ukazywała się głowa jednego z lekarzy-więźniów i do zachłannych uszu wpadał szept na temat wiadomości ze świata i z obozu. Wracało się z tym bezcennym ładunkiem do swego bloku, by zasłyszane informacje przetrawić i podzielić się nimi z przyjaciółmi.

W związku z tymi wyprawami do bloku nr 20 po wiadomości przeżyłem niebezpieczną przygodę, którą pozwolę sobie tutaj w skrócie opisać, tym bardziej że wiąże się ona również z postawą i działalnością naszego personelu lekarskiego w obozie. Otóż podczas jednej z takich „wywiadówek" informujący mnie lekarz-więzień, dr *S. K.,* powiedział na zakończenie, że ja z kolei zasilić muszę szkatułę z wiadomościami przeznaczonymi dla świata zewnętrznego.

---

[14] Oto sens tej piosenki w wolnym przekładzie:
„Wszystko przemija,
Wszystko odpływa w dal,
A po każdym grudniu
Znów nadchodzi maj".

— Ludzie na zewnątrz mają na ogół słabe pojęcie o tym, co się dzieje w obozie — mówił cicho. — Nasze informacje dotarły do niezbyt szerokich kręgów odbiorców. Nie powiadamialiśmy też dotąd nic o karnej kompanii (*SK*), bo do niedawna rzadko kto z życiem stamtąd wychodził. Napisz ty, bo przeszedłeś piekło *SK*. Jeśli napiszesz, puścimy to w świat.

Postanowiłem, że napiszę. Może mój przyczynek do tych danych sprawi, że pewne szczegóły nie zostaną zapomniane. Któregoś dnia trafiła się ku temu dobra okazja, bo w naszym komandzie meliorantów wyszły grupy w pole na roboty, a w baraku pozostało nas kilku dla drobnych robót porządkowych. Wydobyłem z szafy pomiarowców cienki papier przebitkowy i ukrywszy się w kącie magazynu, opisałem warunki, w jakich żyją, pracują i giną więźniowie *SK*. Przed powrotem grup z pola mój elaborat był gotowy. Gryps ukryłem w szwie pasiaka. Teraz pokonać trzeba było najważniejszą i najtrudniejszą przeszkodę: przeniesienie „grypsu" przez bramę obozu. A nasze „komando" podlegało częstym rewizjom na bramie. Podejrzewano bowiem, że przez nasze grupy świat się dowiaduje o tym, co się dzieje w obozie oraz że te właśnie grupy przenoszą z zewnątrz wiadomości, „grypsy", lekarstwa itp.

Ustawiwszy się w piątki, ruszyliśmy do obozu. Wracały wszystkie „komanda". Tysiące wynędzniałych ludzi prężyło się resztką swych sił, by przepisowo sprężystym krokiem minąć tę Scyllę i Charybdę: bramę z napisem *„Arbeit macht Frei"*. Kiedy wreszcie nasze „komando" znalazło się przed bramą i *kapo* zgłosił przepisowo dyżurnym *blockführerom* naszą grupę oraz jej stan liczebny, zatrzymano nas i odstawiono na bok tuż obok bloku nr 24. Stojąc tam na baczność, musieliśmy przeczekać, aż wszystkie powracające z pracy grupy robocze przejdą do obozu. Pewne już było, że będzie rewizja.

Co zrobić z „grypsem"? Najprościej byłoby niespostrzeżenie wydobyć zwitek ze szwu pasiaka i wrzuciwszy do ust pogryźć i połknąć. Byłoby to jednak niebezpieczne, bo obok stał jeden z *blockführerów*, a za nami mógł ktoś obserwować z bloku nr 24. Sytuacja groźna. Minuty dłużyły się w nieskończoność. Tysiące pasiastych istot mijało przed naszymi wylęknionymi oczami, ale żadna z ich grup nie była odstawiona tak jak my na uboczu.

Nie było innego wyjścia. Nieznacznymi ruchami wydobyłem ze szwu zwitek, wrzuciłem do ust i pogryzłem. Udało się. Uspokojony teraz, rzuciłem okiem na moich kolegów dla zorientowania się z ich min, czy któryś nie ma podobnego „grzechu" na sumieniu. Dostrzegłem niespokojne błyski w żywych, biegających oczach *Edmunda Hakaszewskiego*. Blisko godzinę trwała ta pełna napięcia stójka, a gdy ostatnie *„komando"* minęło bramę, podszedł do nas *SS-Blockführer*. Dreszcz trwogi przeszedł wszystkich.

— *Ihr Schweinehunde* — cedził powoli — *ihr Banditen, Hände hoch, ihr Drecksäcke!* [15] — Milczał chwilę, wodząc złym spojrzeniem po nas, wreszcie ryknął: — *Häftling Nummer 71796 austreten!* [16]

Wystąpił oznaczony tym numerem więzień-meliorant, wspomniany już *Edmund Hakaszewski*. Strażnik zrobił przeciw niemu meldunek, że w czasie prac pomiarowych wypił wódkę otrzymaną od cywilnego robotnika.

Nas zwolniono, a *Hakaszewskiego* zaprowadzono do bloku szpitalnego nr 28, gdzie nasi koledzy lekarze mieli pobrać od niego próbkę krwi. W razie wykazania zawartości alkoholu we krwi groziło mu osadzenie w bunkrze bloku nr 11 wraz z wszystkimi tego konsekwencjami. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że probówka z pobraną krwią rozbiła się przypadkiem i analizy nie przeprowadzono. Domyśliłem się w tym ręki lekarzy-więźniów, korzystających z każdej sposobności, aby pomóc nawet komuś obcemu. Pomoc taka pociągała za sobą ryzyko i wymagała śmiałości. Dzięki temu właśnie wspominany przeze mnie więzień *Edmund Hakaszewski* wyszedł obronną ręką w tym dniu fatalnym dla nas obu.

Skoro pozwoliłem sobie w tym artykule na różne dygresje, niechaj więc wolno mi będzie nawiasem wspomnieć i o tym, że w obozie oświęcimskim działały różne czynniki chroniące od załamań, rezygnacji i „muzułmaństwa". Na przykład niepoślednią rolę w utrzymaniu się w dobrej formie odgrywała możliwość oparcia się o grupę współtowarzyszy niedoli, połączonych z sobą różnymi więzami. Czasem spoidłem takim były ideowe powiązania z przedobozowych czasów. Miały one tym większe znaczenie, że w obliczu twardej obozowej walki o byt więzy społeczne szczególnie narażone były na szwank. Dla mnie taką grupą krzepiącą byli koledzy pracujący w *Aufnahmekommando* (biuro rejestrujące więźniów przybywających do obozu), a także koledzy funkcyjni w bloku nr 20. Mimo że los obozowy nie był dla mnie łaskawy, co jest widoczne choćby z urywków moich wspomnień tutaj opublikowanych, mogę powiedzieć, że nie uległem załamaniu. Ale były momenty z jego pogranicza. Wówczas, w chwilach depresji lub w momentach zagrożenia kierowałem swoje kroki do bloku nr 25, do grupy kilkunastu kolegów, przeważnie byłych harcerzy, którzy tworzyli *Aufnahmekommando*, ponieważ znajdowałem tam możność nabrania sił i duchowego wzmocnienia. Kiedy w sierpniu 1942 roku, wydobyty z *SK*, przeżywałem dur w bloku nr 12 w Brzezince, koledzy z tego „komanda": *Tadeusz Wąsowicz, Tadeusz Szymański, Kazimierz Smoleń* potrafili dotrzeć tam z lekarstwami dla mnie, a nawet z pajdką białego (!) chleba, tudzież z ciepłym słowem.

Wspomniałem uprzednio o tajemnicy, do której często myślą nawracałem, a którą było wydobycie mnie wraz z dwoma współtowarzyszami z karnej kompanii (*SK*) w tym czasie, kiedy

[15] „Świńskie psy, bandyci, ręce do góry, worki gnojarskie!"

[16] „Więzień nr 71796, wystąpić!"

chorych z *SK* jeszcze do szpitala obozowego nie zabierano, ale ich mordowano. W 1947 roku otrzymałem niespodziewanie list od kolegi obozowego, *Zygmunta Stepanka* z Łodzi. Pytał, czy go sobie przypominam. Pisał, że on jest tym, który mnie wydobył z *SK*. Uradowany tym odkryciem i obietnicą odwiedzenia mnie na ziemi cieszyńskiej, oczekiwałem z radością i niecierpliwością jego przyjazdu. Oczekiwanie to dzieliła moja rodzina i przyjaciele. Niestety zamiast oczekiwanego gościa nadszedł telegram, a potem list od jego siostry z zawiadomieniem o śmierci brata.

Z *Zygmuntem Stepankiem* pracowałem pod koniec przebywania w Oświęcimiu w betoniarni (*Betonkolonne*). Rozstałem się z nim tam w styczniu 1942 roku. Nie wiedziałem, że znalazł się wkrótce w Brzezince, gdzie awansował na stanowisko magazyniera żywnościowego. W sytuacji totalnego głodu stanowisko to dawało duże możliwości. Nasi koledzy z ruchu oporu, lekarze, potrafili pozyskać sobie *Stepanka* i dzięki jego funkcji ratować najbardziej zagrożonych kolegów.

Stepanek chciał mnie ratować; jestem tego pewny. Było w tym ratowaniu sporo wielkodusznego rewanżu. Bo gdy pracowaliśmy w betoniarni, oddawałem mu — namiętnemu palaczowi — papierosy (jeden z trzech artykułów sprzedawanych w kantynie obozowej: buraki w occie, woda „Mattoni" i papierosy). Więźniowie mogli otrzymywać od swoich rodzin 40 marek miesięcznie. Można je było wydać tylko w kantynie. Buraki i „Mattoni" nie wchodziły u mnie w grę, bo można się było po nich rozchorować. Nie paliłem, ale kupowałem papierosy i oddawałem tym palaczom, którzy owych czterdziestu marek nie otrzymywali. W betoniarni oddawałem je najczęściej towarzyszowi od łopaty, *Stepankowi*, któremu nikt nie był skory w niczym pomóc, bo był on szorstki, przekorny, rąbał każdemu prawdę w oczy. Ten dobry z gruntu człowiek był typowym ekstrawertykiem, zawsze aktywnym i zawsze szybciej reagującym niż rozwaga mogła powstrzymać odruch myśli i czynu. Wrodzone cechy nie ułatwiały mu współżycia z otoczeniem ani wegetacji w *lagrze*. Było mi go żal.

Brak *Stepanka* wśród żywych nie pozwolił mi na rozwiązanie zagadki wydostania się z *SK* ani na poznanie szczegółów związanych z tym śmiałym i trudnym przedsięwzięciem. Ileż to tajemnic zabrali z sobą do grobu nasi koledzy obozowi, którzy nie doczekali wolności, by mogli w niezliczonych przypadkach dać świadectwo prawdzie. Trzeba zatem pospiesznie ratować to z pamięci żyjących, co jest jeszcze do uratowania.

W tych urywkach moich obozowych wspomnień przytoczyłem wydarzenia świadczące o tym, że z wielu opresji wyratowali mnie lekarze. Jak to się w gwarze *lagrowej* mówiło, „uciekałem diabłu z worka" i to skutecznie. Pomoc współtowarzyszy niedoli przyczyniła się do tego.

LEON GŁOGOWSKI Katowice
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 1281

Kwarantanna obozu Oświęcim—Brzezinka

Wywiad niemiecki w Rybniku był dość dokładny. Mnie uznano za bardzo niebezpiecznego (*ein ganz gefährlicher Patron*). Zestawiony transport do obozu pracy objął około 20 więźniów. Dozorcę więzienia w Rybniku (*Mazurek*) żegnaliśmy pół żartem, że jego wikt był kiepski i że będzie nam lepiej. Dozorca nas ostrzegł, że będziemy jeszcze tęsknić za jego garnkami z mięsem (*ihr werdet Sehnsucht haben nach meinen Fleischtopfen*). Więcej proroczych słów nie mógł wypowiedzieć.

Na podwórku więzienia załadowano nas do ciężarówki z plandeką i wejście szczelnie zasznurowano. Od kierownicy obserwowano nas przez okno. O ucieczce nikt nie myślał. Obóz pracy wyobrażaliśmy sobie jak sielankę. Od czasu do czasu starano się przez drobną szczelinę obserwować kierunek jazdy. Byliśmy zdziwieni, że jedziemy w kierunku Oświęcimia. Nikt nie wiedział, że tutaj ma być obóz pracy. Przejechaliśmy miasto Oświęcim i zatrzymaliśmy się przed dość dużym, murowanym budynkiem. Gestapowiec, który nas konwojował, wszedł do gmachu i widocznie raportował tam nasze przybycie. Był to gmach komendantury. Potem ruszyliśmy dalej i minęliśmy grupki ludzi, którzy burzyli stare domy drewniane. Ludzie ci mieli jakieś nam nieznane znaki na ramionach i na piersiach. Zatrzymaliśmy się przed ogrodzeniem dużego budynku. Był on otoczony wysokim prostokątnym płotem. W rogach stały wieżyczki z daszkami. Przypominały one punkty obserwacyjne w lesie dla myśliwych. Pilnowali tam umundurowani żołnierze *SS* z karabinami lub automatami. Później dowiedziałem się, że budynek należał swego czasu do Monopolu Tytoniowego.

Wyładowano nas energicznie z krzykiem i biciem. W szeregu przed frontem domu trzeba było stać i czekać. Przyszedł esesman i każdego zbił po twarzy. Po upływie pół godziny wrócił ten sam esesman i znowu nas bił. Po pewnym czasie pojawił się inny esesman i mimo że staliśmy wyprostowani jak żołnierze, znów wszyscy zostaliśmy pobici. Nie wiadomo było, gdzie korzystniej stanąć: na prawym,

czy na lewym skrzydle. Stanąłem jako ostatni. Dopiero później dowiedzieliśmy się, dlaczego tak często byliśmy bici: ponieważ nie krzyczeliśmy *Achtung!*, gdy się przybliżał esesman.

Staliśmy długo. Potem załatwiono na parterze krótko formalności osobiste. Trzeba było oddać wszystko prócz szczotki do zębów. Pozostawiono nas w naszych ubraniach. Ja byłem ostatni. Zamyślony, zapomniałem oddać wieczne pióro, pieniądze i zegarek. Gdyby esesman mnie na tym przyłapał, byłbym surowo ukarany.

Każdy zatrzymał swoje ubranie i buty. Ja byłem ubrany wytwornie, jak na wizytę. Miałem czarną marynarkę i czarne spodnie w paski. Inni więźniowie też byli ubrani tak, jak ich zabrano. Robili gimnastykę, poniekąd dziwaczną. Niektórzy pracowali przy komandach z łopatami, kilofami i grabiami.

Wieczorem widziałem wszystkich więźniów razem. Pierwszy raz przeżyłem apel. Wszyscy się spieszyli, aby stać w oznaczonym miejscu. Komenderował nimi atletyczny więzień-Niemiec; nosił opaskę na ramieniu. On to raportował stan esesmanowi; wszyscy bali się go jak ognia. Podczas apelu nastąpiły różne przegrupowania więźniów. Wszystko to długo trwało. Było nas 1281; mnie przypadł ostatni numer.

W jednej grupie spostrzegłem mego znajomego, *Alojzego Sosnę* z Rybnika. Do rozmowy nie było sposobności. Dał mi tylko krótką, cenną wskazówkę: nie przyznawać się do swego zawodu. Okazało się później, dlaczego. Mianowicie kapowie byli zawodowymi przestępcami *(Berufsverbrecher)*. Uważali inteligentów (adwokatów, sędziów, lekarzy i księży) za swoich wrogów i przy byle jakiej okazji maltretowali ich i szykanowali.

Byłem niepomiernie zmęczony fizycznie, mając prócz tego za sobą tyle przykrych i nerwowych przeżyć. Zaprowadzono moją grupę na pierwsze piętro. Dostaliśmy kilka ziemniaków ugotowanych w skórze i kawałeczek margaryny. Na korytarzu postawiono dwa duże kubły po benzynie w celu załatwiania potrzeb naturalnych. Nikomu nie wolno było opuścić gmachu; esesmani strzelaliby od razu do każdego. Do pokoju, w którym przebywałem, wpędzono tylu więźniów, że byłem zdziwiony, jak się mamy przespać. Słomy leżała cienka warstwa, zaledwie 2—3 cm, w niektórych miejscach podłoga była goła. Co prawda wszyscy się pomieścili w pozycji leżącej, ale można było tylko spać na boku. Nikt by nie mógł z powodu braku miejsca usnąć na plecach. Gdy ktoś w nocy wstał, ażeby pójść załatwić potrzebę, to po powrocie miał trudności z wywalczeniem swojego miejsca, które w tym ścisku znikło. Ziemniaki gotowane w łupinach widocznie okazały się moczopędne, gdyż po godzinie trzeciej kubły były już pełne. Wychodzić z gmachu nie było można, wróciłem więc na swoje legowisko. Do rana już nie mogłem zasnąć, bo uciskał mnie pęcherz.

Przy rannym apelu zebrałem bliższe wiadomości o pierwszych transportach. Z różnych więzień (Tarnów, Wiśnicz, Nowy Sącz) przywieziono tutaj przeszło tysiąc więźniów. Trzy dni przed naszym przybyciem przyjechał pierwszy transport ze Śląska. Z więzienia rybnickiego przywieziono 5 osób. Należały one do Polskiej Organizacji Podziemnej (POP). Był wśród nich *Stanisław Wolny* (zmarł na dur), *Jerzy Hanusz* (rozstrzelany), *Jan Lasok* (wywieziony w nieznanym kierunku w 1940 roku z powodu gruźlicy), *Alojzy Sosna* i *Wiktor Tkocz*. Wszystkich znałem. Pragnąłem nawiązać kontakt z nimi.

Niemal wszyscy więźniowie źle wyglądali. Przeszli długotrwałe głodowanie w więzieniach. Pożywienie wieczorne, które więźniowie ze Śląska uważali za głodowe, koledzy z Wiśnicza określili jako średnio dobre. Na śniadanie była tylko jakaś czarna lura, nic więcej. Ranny apel trwał krócej. Po apelu zaczęła się gimnastyka. Dzień zapowiadał się gorący. Teren był bagnisty, nierówny, miał liczne kałuże gliniane. Najpierw nas przeganiano biegiem (*im Laufschritt*), potem na komendę kazano szybko się położyć, niezależnie od tego, czy się trafiło na kałużę. Czynności te powtarzały się dziesiątki razy: *hinlegen, auf, marsch, marsch...* Po godzinie byłem „zmachany", głodny, zmęczony, a tymczasem był to dopiero początek „gimnastyki". Komenderował esesman, który miał stale fajkę w ustach. Pilnował zaś atletyczny „kapo" z kijem w ręku, aby wszyscy wykonywali rozkazy bez obijania się. Po marszach i biegach trzeba było długo skakać jak żabka *(hüpfen)*, potem z rękami uniesionymi w górę kręcić się (*drehen*), następnie znowu położyć się i toczyć jak walec po ziemi (*rollen*) niezależnie od tego, czy przypadło przerolować się przez błotną kałużę.

Gdy wszyscy byli zmęczeni do reszty, znowu kazano nam maszerować równym krokiem. Potem padła komenda niezrozumiała dla nikogo: *eine Platte!* Ponieważ nikt jej nie wykonał, wszystko powtórzono od początku: *im Laufschritt, hinlegen, auf, marsch, marsch, drehen, rollen, hüpfen.* Tymczasem ktoś wytłumaczył, że chodzi o śpiewanie piosenki. Gdy po komendzie „maszerować!" nastąpiła komenda, żeby śpiewać, to i tak tego nikt nie umiał wykonać, bo żaden nie znał piosenek niemieckich. Snadź nie chodziło o to, aby więźniowie śpiewali, tylko o pozór do maltretowania. Z największym wysiłkiem wytrzymano aż do przerwy obiadowej.

Mnie najwięcej zmęczyło skakanie jak żabka, gdyż miałem przepuklinę mięśniową w przegubie kolanowym prawym po dawnej kontuzji sportowej. Uprawiałem kiedyś sport jako młody człowiek. Byłem bardzo wytrzymały, codziennie maszerowałem piechotą jako gimnazjalista 10 lub 20 kilometrów, potem jeszcze uprawiałem ćwiczenia piłki nożnej, a w niedzielę mecz. Maraton był dla mnie łatwy do pokonania. Mimo to nigdy nie znalazłem się w tak skrajnym wyczerpaniu, jak teraz.

Obiad był więcej niż skromny. Zupa pół gęsta, z brukwi; do tego ziemniaki „w mundurkach". Obiad wynosił maksimum 400 do

500 kalorii. Po obiedzie nie było wytchnienia; zaraz znowu pędzono nas do „gimnastyki". Słońce prażyło niemiłosiernie, głowy nasze były strzyżone do skóry, nie było ochrony skóry przed słońcem. Już w następnym dniu niektórym spośród nas owłosione części głowy spuchły w sposób trudny do wyobrażenia, później obrzęk obniżał się w kierunku czoła, następnie ku oczodołom i twarzy. Mimo to nikt nie dostał nakrycia na głowę. Niektórym obrzęk przeszedł na powieki, tak że z trudem mogli patrzeć. Przy naciskaniu czoła pozostawały wklęsłe miejsca, jak przy obrzękach podskórnych. Trzeba było czekać kilka dni, aż obrzęk znikł lub obsunął się na szyję. U niektórych wystąpiły obrzęki na podudziach.

Obłędu można było dostać z powodu wyczerpania, bólu głowy i depresji psychicznej. Zrozumiałem, że nie chodzi o gimnastykę i wyrobienie kondycji, gdyż wystarczyłaby godzina ćwiczeń. Tu chodziło o znęcanie się, o „chrzest" przedobozowy (*Einweihung*). Mieliśmy być całkiem zamroczeni z wyczerpania. Do kolacji nie wszyscy wytrzymali „gimnastykę", przeważnie starsi. Gdy upadli i nie mogli dalej „ćwiczyć", dostawali kopniaka od esesmana i pałką od „kapo".

Wytrzymałem jeszcze apel wieczorny, zjadłem cośkolwiek chleba, resztę schowałem za koszulę i półprzytomny szukałem legowiska. Mimo że gryzły mnie wszy, co dopiero rano zauważyłem na skórze, przespałem aż do rana. Po apelu *Blockältester* sformował komando, które uczyło się śpiewania piosenek niemieckich, ażeby jakoś zadowolić esesmana. *Blockältester* nie miał zdolności dydaktycznych, wymowa jego była niezrozumiała. Więźniowie nie rozumieli tekstu piosenki. Był on więc niezadowolony, bił, katował i uprawiał dodatkową gimnastykę. Z melodią i treścią aktualnych piosenek zapoznał się *Fryderyk Kłyłła* ze Śląska. Pod jego egidą więźniowie chętnie się uczyli; dawało im to upragniony odpoczynek. Nie miałem szczęścia tam się dostać. Komando często stosowało gimnastykę odprężającą: więźniowie należący do niego leżeli na plecach, ćwiczyli nogi i ręce. Zazdrościliśmy im. Czasem podpadali, gdy „odprężenie" trwało za długo; *blockältester Leon Wieczorek* przejmował komendę i przeganiał ich tak jak nas.

Nikt się podczas gimnastyki nie „szwarcował", bo upadając mógł dostać pałką, co równało się pożegnaniu tego świata. Obok budynku kwarantanny była wodna pompa, która służyła do celów higienicznych i karnych. Krańcowo wyczerpany więzień, który już nie mógł biegać lub skakać, był przy tej studni cucony wodą. Odbywało się to w ten sposób, że kładziono więźnia twarzą pod strumień wody, a „kapo" *Leon* kazał tak długo pompować, aż płuca i żołądek więźnia zalały się wodą. W innym wypadku, jeśli ktoś już nie mógł skakać jak żabka, to „kapo" *Leon Wieczorek* przywoływał drugiego więźnia, który musiał pomagać zmordowanemu, kopiąc go w pośladki.

Po jednej stronie płotu, ogradzającego obiekt kwarantanny, stało kilka drzew rzędem. Gdy ktoś zasłabł albo słabo ćwiczył, „kapo" kazał mu wspinać się na drzewo. Jeżeli nie szło to szybko, pomagał kijem. Widziałem, jak pewien więzień zemdlał, spadł z drzewa i złamał rękę. Jeśli ktoś złamał gałąź i spadł, to też dostawał lanie. Wszystko skończyło się na tym, że musiało się oberwać bicie. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nasz pobyt tutaj nazywano kwarantanną. Nic przecież przeżywane przez nas praktyki nie miały wspólnego z tym określeniem medycznym. Nie była to izolacja ludzi zakażonych lub podejrzanych o możność przeniesienia choroby. Przeżywałem coś, czego dotychczas nie spotkałem. Widocznie chodziło tylko o zapoznanie nas z tym, co czeka nas w obozie. Niemcy chcieli złamać wszelki opór, nawet myśli o oporze. Trzeba było po prostu zniszczyć w nas poczucie człowieczeństwa, fizycznie całkowicie wycieńczyć i przygotować psychicznie do krematorium.

Po trzech dniach pobytu śpiewanie piosenek nawet się udawało, mimo że niektórzy zupełnie nie zrozumieli, co śpiewali, bo nie znali języka niemieckiego. Okazało się jednak, że i to nie udobrucha esesmana, pana życia i śmierci. Do gimnastyki zawsze znajdował się powód.

Gdy się czasem „kapowi" znudziła gimnastyka, wyszukiwał sobie zastępcę, który musiał mieć podobnie sadystyczny charakter i być jeszcze gorliwszym w pilnowaniu, ażeby nie oberwać.

Pierwszy raz dowiedziałem się o ukaraniu więźnia przez esesmana. Wartownik na wieżyczce zauważył nocą maleńki błysk świetlny w jednym z pokoi przez okno i doniósł o tym komendantowi. Sprawcę wykryto. Przyznał się, że chciał sobie zapalić papierosa. Komendant-esesman w asyście „kapo" *Leona* poszedł z delikwentem na strych i tam, związawszy mu ręce do tyłu, wieszali go na rękach przez całą godzinę. Tę procedurę nazywali „słupkiem". To musiało być okropne, bo więzień miał zupełnie porażone kończyny górne. Przeraziła nas tak nieludzka kara.

„Kapo" *Leon Wieczorek* był gorliwszy niż esesman. Wieczorem po zakończeniu gimnastyki i apelu urządzał dodatkowe udręki, aby się zabawić. Przed frontem budynku stało około 300 więźniów. „Kapo" gromkim głosem oznajmił, że gdy powie: rozejść się, to w ciągu trzech sekund wszyscy muszą być w gmachu. Jedyne wejście było za małe. Gdy liczył do trzech, zaledwie tuzin ludzi przeszedł. Ponieważ „eksperyment" się nie udał, wszyscy musieli wrócić i wśród krzyków na nowo zaczęła się karna gimnastyka, aż do ostatecznego wyczerpania.

Odpoczynek nocny nie wystarczał. Okna nie wolno było nocą otworzyć. Można było się zadusić po kilku godzinach, bo leżeliśmy jak śledzie obok siebie. Niemcy podejrzewali, że mógłby ktoś uciec przez okno. Było to niemożliwe, gdyż plac był oświetlony i strzeżony przez wartowników. Zresztą wartownicy rejestrowali najdrobniejszy ruch nocny.

Byłem już piąty dzień na kwarantannie, coraz bardziej osłabiony. Nie wiedziałem, że ten dzień miał rozstrzygnąć o moim losie. Właściwy obóz nie był daleko od nas. Widzieliśmy tam ludzi pracujących normalnie taczkami, bez tak nieludzkiej gonitwy. Tymczasem „Fajka", esesman nazywany tak, gdyż nie wyjmował fajki z ust, od samego rana wyprawiał z nami orgie. Trzy godziny biegaliśmy już bez wytchnienia. Od czasu do czasu ktoś padał i nie wstawał. Dostawał wtedy kopniaka i uderzenie pałką. Gdy się nie ruszył, było to znakiem, że jest nieprzytomny. Byłem już bliski omdlenia, kiedy na jakiejś nierówności potknąłem się i upadłem. Leżałem blisko starszego pana, który jęczał półprzytomny. W tym momencie przybiegł „kapo" *Leon*, chcąc nas obić swoją pałką. Pytał mnie, co tu robię. Szybko odpowiedziałem po niemiecku, że jestem pielęgniarzem i ratuję starszego „kumpla". Był zaskoczony szybką odpowiedzią i dobrą niemczyzną. Pałką nie uderzył; kazał mi zawlec towarzysza do umywalni i cucić. Rozkaz nie był łatwy do wykonania; nie byłem już zdolny, aby stanąć o własnych siłach. Poprosiłem o pomoc drugiego więźnia i na kolanach staraliśmy się przyciągnąć go do umywalni, która mieściła się w piwnicy budynku. Zależało mi na tym, aby zniknąć na chwilę *Leonowi* sprzed oczu. Nieco odsapnąłem i zaprowadziłem pół omdlałego do piwnicy. Wytarłem mu twarz wodą. Nazywał się *Krzemień;* miał przeszło 50 lat. Wtem wpadł jak dzikus „kapo" *Leon*. Gdy widział, co robimy, najpierw nas zbił; czynności naszej nie uznał za cucenie. Wziął całe wiadro i wlał na więźnia, a potem następne wiadra. Nigdy bym nie przypuścił, że można się w ten sposób obchodzić z ludźmi.

Na szczęście po obiedzie była godzina higieny. Każdy się umył i czyścił swoje ubranie. Wyglądało na to, jak gdyby zanosiło się na jakąś wizytację. Niektóre komanda wyruszyły w teren, prowadzone przez esesmanów. Po myciu nastąpiła gimnastyka „odprężająca". Przewidywania nasze się sprawdziły. Przybył *Hauptsturmbannführer dr Popierz*, lekarz obozu. Już z daleka przed ogrodzeniem słychać było okrzyki: *Achtung!* Zarządzono alarm, ustawiono wszystkich, jak do apelu; meldunek składał nasz dręczyciel „Fajka". Doktor pytał o liczbę chorych i rodzaj chorób, potem coś szeptał z „Fajką". Kazał wystąpić wszystkim, którzy umieją mówić i pisać po niemiecku. Wystąpiło blisko 100 więźniów. Przybyły przeszedł przed całym frontem i polecił wystąpić tym, którzy umieją pisać na maszynie. Było ich około 10. Wśród nich także ja. Nie wiedziałem, czy występując czynię dobrze, czy niekorzystnie dla siebie. Wszyscy inni odeszli do swych zajęć, a myśmy stali u wejścia do gmachu.

Doktor poszedł do budynku, wizytował pokój chorych i kancelarię szpitalną, kontrolował chorych na świerzb. Potem wyszedł w asyście Niemca, kierownika tej placówki szpitalnej. Był nim *Hans Bock*, drobny, szczupły „kapo", który chodził bez kija, mówił rzeczowo i bez krzyku. Lekarzowi coś się przypomniało, widać to było z gestykulacji; przyszedł do naszej grupy. Wszyscy stanęliśmy na baczność. Chyba nikt nie widział tu jeszcze esesmana tak wysokiej rangi. Był niewysokiego wzrostu i miał nogi koślawe nieco. Zdecydowanym głosem zapytał, czy ktoś zna stenografię niemiecką. Wystąpiłem z szeregu; patrzyłem na lewo i prawo, byłem sam tylko. Doktor zaraz sprawdził moje umiejętności. Dał mi ołówek i papier, jeden z więźniów ustawił się plecami do mnie i szybko pisałem, co mi Niemiec dyktował. Dałem znak, że dyktowanie może być szybsze. Po dyktandzie kazał mi przeczytać to, co mówił. Patrzył na ten świstek papieru, na pewno nie rozumiał stenograficznych hieroglifów, pisałem *Einheitskurzschrift*. Moje umiejętności zrobiły na nim wrażenie. Oświadczył, że będę jego sekretarzem. Zgłosić się miałem do niego nazajutrz z lepszym wyglądem.

Hans Bock zaprowadził mnie do „kapo" *Leona*, widocznie mu podlegał. Przedstawił mnie, że zostałem wybrany jako *Geheimsekretär Obersturmbannführera*. Niesłychanie podniósł moją rangę w obecności tego draba. *Bock* zabrał mnie do *Schreibstuby*. W następnym dniu miałem się lepiej zaprezentować. Zdjąłem ubranie i zacząłem je czyścić. Gdy mnie zabrano do obozu, ubranie było czarne. Teraz było raczej koloru brązowo-żółto-szarego. Im więcej klepałem marynarkę, tym gorzej wyglądała. Dziesiątki razy przecież musiałem się tarzać w błotnych kałużach. Widząc bezskuteczność moich poczynań, *Bock* kazał ubranie wrzucić do wody. Co dziwne, po piątym wymoczeniu marynarka znowu przybrała kolor czarny. Potem strzyżono mnie i golono. W czystej koszuli i wyczyszczonym ubraniu, w wymytych butach stanąłem w następnym dniu przed obliczem mego pana i władcy. Doktor był zadowolony ze swego wyboru; pytał, kim jestem z zawodu. Odpowiedziałem, że kierowcą i pielęgniarzem. Na pytanie, za co siedzę, odparłem: Bo jestem Polakiem! Zapytany, kim był mój ojciec, wyjaśniłem, że pracował 35 lat w warsztatach wagonowych w Gliwicach. Nie mówiłem, że hitlerowcy go zatłukli, nie chciałem bowiem drażnić Niemca; z twarzy było widoczne, że nie był do mnie wrogo usposobiony. Obecna sytuacja dawała mi szanse życia.

Na razie niewiele było roboty w *Schreibstubie*. Prowadził ją *Kazimierz Szczerbowski*, Polak z Zakopanego. W porównaniu do mnie mało znał niemiecki. Z początku smarowałem chorych na świerzb, ale już w następnym dniu ułatwiłem sobie pracę. Dałem każdemu dawkę ciemnej maści *(Krätzesalbe)* lub mitigal, a oni sami się smarowali, ja tylko dopilnowywałem. W tym samym dniu musiałem ratować nieprzytomnych. Widocznie żadnej wizytacji się nie spodziewano, toteż „Fajka" w sadystyczny sposób przeganiał wszystkich w obozie aż do pozbawienia ich przytomności. Patrzyłem na to z izby chorych, daleko od okna. Gdy na podwórku leżało już przeszło 20 nieprzytom-

nych, zawołano na ratunek nas, z izby chorych. Nieprzytomnych przyciągnęliśmy do gmachu. Zetknąłem się przy tym bliżej z kolegą po fachu; był nim dr *Pizło*, starszy pan, szczupły, wychudzony. Wszyscy więźniowie odnosili się do niego z dużym szacunkiem.

Bockowi się spodobałem; pytał mnie, czy jestem lekarzem. Nie dałem odpowiedzi. Zrozumiał. Cenił moje umiejętności językowe i wtajemniczał mnie w niektóre zamiary. Mianowicie niebawem mamy się wybrać do obozu właściwego; tam do izby chorych będzie należał cały, osobny blok. Oprócz czynności sekretarza wyznaczył mnie *Bock* na kierownika izby chorych. Doktor *Pizło* miał być jak gdyby na emeryturze. Widząc, że nie robię nikomu przez to krzywdy, zgodziłem się.

Miałem więc „funkcję", o czym każdy w obozie marzył. Ponadto posiadałem zaufanie swojego zwierzchnika. Przy przeprowadzce do *Stammlagru* już wykazałem aktywność. *Bockowi* dałem wskazówki, jak należy postępować organizacyjnie i pod względem higieny przy uruchomieniu szpitala obozowego *(Häftlingskrankenbau)*.

Tak zamknęła się pierwsza karta moich przeżyć obozowych.

MARIA ELŻBIETA JEZIERSKA Warszawa
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 24449

Chorować nie wolno

Wspomnienie z Oświęcimia

Znalazłam się na Pawiaku jako dziewczyna wydelikacona nader licznymi chorobami dzieciństwa i młodości, ale przecież zdrowa. Jednak już po kilku miesiącach zachorowałam. Trwoga przed przesłuchaniami (w owym czasie wydawały mi się gorsze od rozstrzelania) w połączeniu z więzienną strawą, głodem i niemożnością swobodnego pozbywania się gazów powodowały u wielu, a także u mnie, więzienną żółtaczkę. Dzięki polskim lekarzom Pawiaka dostałam się do szpitalika. Już sam pobyt w miejscu czystym, spokojnym, gdzie nie trzeba było zrywać się na baczność za każdym otwarciem drzwi, a serdeczna opieka więźniarek-lekarek otaczała mnie złudą bezpieczeństwa — wydał mi się rajem. Miałam też lekarstwa, dostarczone oczywiście przez Polaków, opiekujących się więźniami, a nie przez władze niemieckie, i prawo do diety. Był również zakątek szczęśliwości: dostępny w każdej chwili klozecik. Toteż zaczęłam się czuć nieco lepiej, co nie znaczy, bym wróciła do sił. Wystarczy powiedzieć, że przy wzroście 1,64 ważyłam tylko 35 kg. O tym, że byłam szkielecikiem obciągniętym skórą, świadczy moje zdjęcie obozowe, a przecież w Oświęcimiu jeszcze schudłam.

Mój stan, jak również reklamacje dr *Anny Czuperskiej* nic nie pomogły, gdy wyczytano mnie na liście przeznaczonych do transportu w dniu 13 listopada 1942 r. Razem z 41 koleżankami zostałam przewieziona do Brzezinki i z miejsca przebrana w pasiak i drewniaki. Nie zamierzam tu opisywać pierwszych wrażeń obozowych poza tym, że wyszedłszy w tym stroju w mgłę, chłód i błoto tzw. Birkenau, ujrzawszy barak i dowiedziawszy się, że mamy pracować „w polu", powiedziałam sobie: „Nie przeżyję!" Rzeczywiście, nie było żadnych przesłanek logicznych, które by taką możliwość wskazywały. Przecież przede mną była zima, a w obozie — epidemia.

Nie przewidziałam pierwszej choroby, z jaką się spotkałam. Było to otarcie nóg do krwi przez drewniaki. Ile bólu, mniejsza. Ale te otarte nogi dały mi na początek prawo do chodzenia do ambulatorium i tzw. *Block-Schonung*. W r. 1942 równało się to prawu przebywania w bloku (choć nie leżenia) w czasie, gdy komanda szły w pole. To było wiele. Każdy zdobyty dzień — to już zwycięstwo. Na szczęście dla moich nerwów nie wiedziałam jeszcze wtedy, iż owinięte nogi mogą być powodem skierowania do gazu. Trzecia Rzesza nie potrzebowała niewolników chorych, którzy nie mogą chodzić do pracy.

Dzięki *Schonungowi* udało mi się przetrwać do dnia 6 grudnia, gdy urządzono pierwsze wielkie odwszenie. Nie przyniosło ono spodziewanego wytępienia wszy, tylko falę zachorowań. Nic dziwnego. Po wyparzeniu w łaźni i lodowatym prysznicu wydano nam wilgotną odzież i wygnano na chłód. Miałyśmy na dworze czekać, aż wszystkie więźniarki zostaną odwszone. Wtedy właśnie po raz pierwszy zaznałam dreszczy, trzęsących na wskroś o zachodzie słońca. Myślałam, że jest to po prostu skutek przeziębienia. Wielogodzinne stanie, ziąb i owe dreszcze sprawiły, iż myślałam, że spod „sauny" w męskim obozie (BIb) już nie wrócę. Była głęboka noc, gdy władze obozu widocznie zdecydowały, że nie nadążą przez noc z odwszeniem, i pozwolono nam wrócić do kobiecego obozu, ale nie do naszego bloku 7, tylko do jednego z tzw. końskich baraków; dziś wiem, że był to nr 10, barak kuchni i funkcyjnych. Gdy nas tam wpuszczono i gdy zobaczyłam, a raczej — bo nie było wtedy jeszcze

oświetlenia — gdy wyczułam w ciemnościach prawdziwe łóżko i grube, włochate koce, w które można się było zakopać, wydało mi się, że jestem ocalona. Było mi nareszcie ciepło, gorąco. Oczywiście miałam gorączkę.

Następnego dnia nie brano na rewir. Musiałam jeszcze raz przeżyć mękę ataku zimnicy na wieczornym apelu, a po nocy w bloku 7 wyszłam na apel ledwo żywa i już nie mogłam stać. Apel spędziłam z ogromną grupą chorych na stołeczkach, po pięć osób, naturalnie w szeregu. Było nas, chorych, bardzo dużo, ale „aufseherka", która przyszła nas liczyć, nie miała widocznie wątpliwości co do naszego stanu, bo nie podniosła krzyku. Natomiast „kapo"-Niemki, po skończonym apelu kompletujące „komanda", usiłowały z naszej grupy wyrwać jeszcze kogoś do pracy. Chorować nie było wolno.

Gdy wreszcie pod dowództwem *Schreiberin* bloku, *Loli Wilińskiej*, wyruszyłyśmy do ambulatorium, okazało się, że nie jestem w stanie iść. Na szczęście obok szła *Maria Maniakówna*, koleżanka z naszego transportu. Jej zawdzięczam, że mnie prawie zaniosła na „rewir".

W ambulatorium panowały wtedy same Niemki. Była tam zapewne *Orly*, która pełniła wówczas funkcję lekarki ambulatoryjnej, ale w owym czasie jeszcze nikogo nie znałam i nie potrafię określić, kim była Niemka, która wzięła ode mnie termometr i ledwie spojrzawszy, przydzieliła mnie do grupy skierowanych do szpitala.

W tym czasie bloków szpitalnych było cztery: trzy końskie i jeden murowany, „rewir" żydowski, w bloku nr 27. Żaden z nich nie odpowiadał pojęciu szpitala. Stworzone były chyba tylko dlatego, że hitlerowcy chcieli odseparować zakaźnie chore od zdrowych. Szpital żydowski zapewne też ułatwiał selekcje do gazu. Ja jednak nie zdawałam sobie jeszcze sprawy z tego, że nieżydowskie pochodzenie bynajmniej nie chroni przed selekcjami. Toteż z uczuciem rozkoszy wyciągnęłam się na wspólnym z nieznaną koleżanką wyrku. Dach nad głową, możność leczenia, gdy na apelach stano po kilka godzin, zabezpieczenie przed pracą, względne ciepło, gdy na dworze był mróz — to już było wiele. Poza tym na moje szczęście był to czas, gdy już na „rewir" kobiecy przychodzili lekarze-mężczyźni, na mój blok 23 *Bolesław Zbozień*. To on określił moją chorobę; byłam przekonana, że jestem przeziębiona; to on przyniósł chininę; nie wątpię, znając zaopatrzenie naszego szpitala w najprymitywniejsze tabletki, że była to chinina z męskiego obozu, na pewno „organizowana". Słowem, zawdzięczam mu bardzo wiele. Gdybym była na łasce tylko „pflegerki", nie pisałabym dzisiaj.

Bo też szpital miał szczególną „obsługę". Były to bez wyjątku chyba Niemki z pierwszego transportu, oznaczone czarnymi trójkątami. Wiedziały tylko tyle, że nie mogą „podpaść" lekarzowi-esesmanowi z powodu braku czystości, toteż wysiłki swe skupiały tylko na zapewnieniu „porządku", natomiast los i stan chorych nic nie obchodził tych zwyrodniałych kobiet. Pamiętam dobrze katusze, które cierpiałam wtedy z powodu pragnienia. Chora na zimnicę mogłam pić bez końca. Dostawałyśmy bez względu na stan i gorączkę dwa razy dziennie nieco ziółek czy kawy w kubku. Patrzyłam, jak wieczorem na sławetnym „piecu", który służył do wszystkiego, owe Niemki, dawne prostytutki portowe, a teraz w obozie przedstawicielki „narodu panów", rozebrane do naga, myły się w miednicach wypełnionych gorącymi ziółkami, nie dostarczonymi chorym. Do dzisiaj to wspomnienie budzi we mnie odruch gniewu.

Nie usprawiedliwia ich fakt, iż w tym okresie w całym 20 tysięcy osób liczącym obozie była jedna studnia, w zasadzie niedostępna i nieczynne *Waschraumy*. Jako Niemki miały one dostęp do „sauny". Były jednak aż tak nieludzkie, iż dla własnej wygody wolały wziąć napój chorych.

To pragnienie i głód, zarówno fizyczny, jak i głód wiadomości, sprawiły, iż zdecydowałam się wychodzić wieczorami, po apelu, ze szpitala na obóz. Odzieży wtedy przy przyjęciu do szpitala nie odbierano. Teoretycznie było to zabronione, praktycznie robiły to wszystkie, które się trzymały na nogach. Baraki szpitala były co prawda otoczone płotem z drutu, ale od tyłu (wyjściem koło Vorne mało kto ryzykował iść) była furtka, przez którą „pucerki" nosiły nieczystości w kubłach do klozetu. Tędy, za plecami wieczorem już nie uważającej *Torwachy*, szło się na bloki po wiadomości i do „niemieckiego" klozetu w „saunie" po wodę.

Warunki sanitarne szpitala były okropne. Chore leżały po dwie, trzy w łóżku, oczywiście bez względu na rodzaj choroby: razem dur, gruźlica, *durchfall*, róża itp. Nie wiem, co o tym powiedzą moi koledzy-lekarze; ja osobiście jestem głęboko przekonana, że jeśli przez cały czas pobytu w obozie żadnej choroby zakaźnej (oprócz świerzbu) nie „złapałam", to zawdzięczam to mojej zimnicy.

Natomiast, ma się rozumieć, chorowałam na *durchfall*. Uważam, że niesłusznie nazywano to obozowe cierpienie „czerwonką" i niesłusznie tłumaczy się je na „biegunkę". *Durchfall* — to biegunka głodowa. Przez całą zimę męczyła mnie okropnie i nie pozwalała odzyskać sił nawet w czasie, gdy już zimnica uspokoiła się na tyle, że nie było ostrych ataków. To znaczy, że jeśli np. zmarzłam, występowały małe dreszcze albo tylko uczucie straszliwego zmęczenia w pewnych określonych godzinach (odpowiednio do pory przemarznięcia) przez dni 9, albo 18 co drugi dzień, albo 27 co trzeci dzień. Toteż mogę zawdzięczać moim drewniakom, które pierwszego dnia zdarły mi nogi do krwi, i ropie, która się wdała, że mnie tak długo nie wypisano ze szpitala. Byłam tam do końca marca 1943 roku.

Wyszłam słaba i nadal chora na *durchfall*. Gdyby nie pomoc koleżanek, które spowodowały, że mnie przydzielono w niedługim cza-

sie do tzw. „białego efektu", niewątpliwie nie zniosłabym chodzenia „w pole". Kilka takich wędrówek wystarczyło, by mi uprzytomnić, iż jest to wysiłek przerastający siły zdrowych i silnych, cóż dopiero moje, a każde przemarznięcie, to nowa zimnica. Zaczęłam tedy pracować pod dachem, a warunki mieszkalne w bloku 27 (w którym już nie było żydowskiego szpitala) były stosunkowo wygodne w porównaniu z innymi blokami, gdyż spałyśmy po 4—5 na koi, czyli w sytuacji obozowej — znośnie.

W tym czasie już otrzymywałam paczki. Z jakim żalem patrzyłam na wspaniały boczek, który mi przysłano! Ale bałam się go jeść, tak samo, jak cebule. Zamieniałam je np. na chininę, którą starałam się mieć zawsze w obfitości. Wszakże uczono mnie, iż chory na biegunkę nie może jeść tak ciężkostrawnej potrawy, jak słonina. Pewnego jednak razu przyszedł boczek wspaniale przerośnięty. Pomyślałam, iż ostatecznie polędwicę jedzą nawet chorzy i „spróbowałam" kawałeczek. Oprzytomniałam w chwili, gdy zjadłam już chyba ćwierć kilograma boczku bez chleba. Zatrwożyłam się. Popełniłam samobójstwo przez łakomstwo! Za późno jednak było na wyrzuty samej sobie. Z trwogą czekałam rezultatu — chyba skrętu kiszek. Nastąpił zaś zupełnie niespodziewany efekt. *Durchfall* znikł jak ręką odjął. Wydaje mi się, że moje kiszki tego właśnie potrzebowały: wysmarowania tłuszczem i witamin. Od tego czasu moje pojęcia o diecie są nieco zdumiewające dla ludzi, którzy w obozie nie byli [1].

Ale pół roku *durchfallu* nie mija bez śladu. Do dziś doznaję niespodziewanych reakcji na jedzenie, szczególnie gdy się trafi choćby najmniejsza plamka pleśni.

Generalna głodówka połączona z możnością udania się do ubikacji sprawiły, iż ustąpiły też ślady żółtaczki. Byłam na drodze do wyzdrowienia. Zawdzięczam to pracy pod dachem i paczkom; na pewno nie hitlerowskim warunkom „leczenia". Zdumiewające: nie chcieli mieć chorych, tylko pracujących, a jednocześnie chcieli, żebyśmy nie chorowali, ale umierali. Niemiecka logika.

Minęło lato pod znakiem insektów: najazd pcheł, wszy i świerzbu. Jako rezultat: wrzody i dur wysypkowy w nowym nawrocie na jesieni 1943 r. Kto go nie przebył dotąd z moich koleżanek, szedł do szpitala z gorączką durową. Ja — z nawrotem zimnicy. A trzeba zaznaczyć, iż mój organizm już się zaczął przyzwyczajać do chininy, toteż nie przynosiła pożądanych rezultatów.

Tymczasem szpital zmienił oblicze. Stało się to dzięki opanowaniu funkcji przez Polki i wyrugowaniu Niemek-asocjalnych. Stało się tak też dlatego, iż wobec braku rąk do pracy w III Rzeszy zaczęto więcej cenić ręce niewolników. Selekcje już nie obejmowały Aryjek, a i Żydówki mogły liczyć na leczenie z prawdziwszego zdarzenia. Obóz już nie miał prowadzić w tempie błyskawicznym do wyniszczenia, ale miał stanowić rezerwuar sił roboczych, które można sprzedać fabrykantom. Wobec tego opłaci się zapewnić chorym jakie takie warunki leczenia.

Jesienią 1943 r. baraki szpitalne zostały przeniesione do dawnych „końskich" bloków, na lewą stronę *Lagerstrasse*. Pierwszy mały barak jak dawniej, to ambulatorium, gdzie chore się zgłaszały. W jednym szeregu z nim stał barak 31, gruźliczy. Za nim znów mały barak: rentgen i pomieszczenie „kapo", „rewiru", *Eny* i *Orly*. W następnym szeregu: bloki 22, 23, 24, w trzecim: 14, 15, 16 i mały „rewirowy" klozecik, w czwartym, tj. bloku nr 6, mieścił się *Schonungblock*, w którym chore, po pobycie w jednym z poprzednio wymienionych bloków, jako ciężko chore, na zakończenie przechodziły tam na okres odzyskiwania sił. Oddzielne były bloki dla przypadków duru, oddzielne np. dla *durchfallu*. Oczywiście w czasie wielkiej epidemii duru w zimie 1943—1944 roku wszystkie te bloki zapełniły się chorymi na dur. Nawet w *Schonungblocku* ich nie zabrakło, o czym niżej.

Wśród wymienionych bloków nie było baraku dla dotkniętych zimnicą, mimo że w obozie było sporo zachorowań. Stało się tak dlatego, że chore malaryczne dokądś wywożono. Nie wiedziałyśmy wówczas, że przewożono je do Majdanka, gdzie rzeczywiście klimat był lepszy i istniały możliwości po prostu mechanicznego zahamowania choroby; dowiedziałyśmy się o tym dopiero latem 1944 roku, gdy przywieziono do nas „rewir" Majdanka. Ale w 1943 roku zabranie więźnia w niewiadomy transport mogło znaczyć śmierć w gazie. Wiedziałam o tym. Wobec tego mogłam się przyznać do wszystkiego, tylko nie do zimnicy.

Przypomniała się ta choroba na wieczornym, zimnym, październikowym apelu. Wobec tego rano nie będzie gorączki. Gdy pójdę do ambulansu, mogę nie być przyjęta do „rewiru", a muszę się tam znaleźć: zimnica jesienią w „Birkenau" nie da się „przechodzić". Jestem już „starym" więźniem i wiem, jak sobie poradzić. Idę do ambulansu i nie staram się zbliżyć do lekarek badających chore, ale do pracującej w „rewirowej" *Schreibstubie Wandy Marossanyi*. Złota dziewczyna, wiadomo, iż pomoże. Po cichu przedstawiam jej sprawę i proszę: weź moją kartę i wpisz mnie na blok, ale nie na dur, bo nie miałam jeszcze tej choroby i dlatego mogę ją dostać, nie do gruźlicy, z tych samych względów. Nie na *durchfall*, bo nie wytrzymam w smrodzie. Gdzie cię dać? — mówi *Wanda*. Toż innych bloków nie ma. — Jest *Schonung* — mówię. — Mogę tam iść spokojnie: nikogo nie zarażę, a sama nic nie „złapię". — Ale na *Schonung* nie kierują z ambulansu! — To nic: możesz powiedzieć, że nie wiesz, kto skierował, ja też nie wiem, żadna z lekarek też nie będzie wiedzieć, a po niemiecku co zapisane, święte. *Wanda* posłuchała i dała mi *Verlegung* na „szóstkę". Bodaj to więźniarska organizacja! Kto by przeżył obóz bez jej pomocy?

[1] Ten fragment zwraca uwagę jako charakterystyczna nielekarska interpretacja przeżytych objawów (przyp. red.).

Czekam więc przed ambulatorium, trochę mi słabo, trochę się pilnuję, żeby nie „podpaść". Przychodzi *Lauferin* „rewiru", Słowaczka w czarnym fartuszku. Wywołuje chore kolejno na coraz to inne bloki. W końcu zostaję tylko ja. *Lauferin* patrzy na karteczkę i widocznie nie wierzy oczom. Pyta, na który blok mam iść. — Na szósty. — Ależ tam nikt nie idzie z ambulansu! Kto cię tam skierował? Robię możliwie głupią minę i odpowiadam, że nie wiem. Może Słowaczka domyśla się, że to *„grosser Schwindel"* [2], może jej po prostu wszystko jedno; wzrusza ramionami i prowadzi mnie. Przecież ma w ręce *Verlegung* — muszę iść na szóstkę, bo apel się nie będzie zgadzał. Kolejne zdumienie następuje na szóstce, ale tu już mam przyjaciół, oto lekarki z Pawiaka, „pflegerki" z Pawiaka lub znajome z pierwszych dni na „siódemce". Za chwilę leżę w łóżku.

Jakże inaczej wygląda barak szpitalny, choć przecież budynek, jak dawniej i piec pośrodku — bez zmian. Ale frontowe części łóżek są pomalowane na biało (poczciwe *„bolus alba"* [3] w niezwykłej roli!), na wielu siennikach — prześcieradła, piękne włochate koce, nawet jaśki w kolorowych powłoczkach, chore w nocnych koszulach (mój późniejszy purpurowy szlafrok z aksamitu pamięta wiele koleżanek, służył pokoleniom chorych) — wszystko oczywiście organizowane w *Effektenkammer* i kupione za żywność; koło łóżek nieprawdopodobny luksus: nocniki, przy końcu baraku kubły pod pokrywami — sedesami z desek, tak że ani ich porównać do dawnych kubełków, cuchnących na sto mil; do mycia woda, miski, a co najważniejsze, personel z prawdziwego zdarzenia: lekarki, pielęgniarki, nawet „pucerki", przyzwoite dziewczęta, wszystkie czysto odziane w białe fartuszki; w apteczce zaś lekarstwa. To wszystko nie jest wynikiem „dobroczynności" *SS*; to skutek starań więźniów, ich przemyślności, wytrwałości, działania „na lewo" i prób wydobycia czegokolwiek drogą systematycznych zabiegów dyplomatycznych: u lekarza i władz obozu, rozgrywanych przeciw sobie, co nie było niczym innym, jak bezustannym igraniem z ogniem na pograniczu śmierci i bunkra. Lekarstwa — to był przemyt albo „chłopców" z obozu macierzystego, o ile mi wiadomo, nosił je „Duży Henio" i wozili mężczyźni z kolumny transportowej, albo — szły one wprost z krematorium, „organizowane" przez *Sonderkommando* i przenoszone przez „Małego Henia" w pudełkach od żarówek. Każdy z tych mężczyzn ryzykował życie. Zawdzięcza im życie — wiele kobiet.

Słowem, rewir zaczął przypominać coś, co można nazwać szpitalem. Największą zasługę miały tu lekarki. Nazwiska takie, jak *Białówna, Konieczna, Kościuszkowa, Łaniewska, Perzanowska, Tetmajer, Węgierska* i wiele innych — powinny być złotymi głoskami zapisane w historii lecznictwa polskiego.

W tak zorganizowanym szpitalu blok „szonungowy" naprawdę nie miał w stanie ciężko chorych, tylko ozdrowieńców. Toteż gdy wieczorem dostałam silnej gorączki, moje sąsiadki ze zgrozą zaczęły szeptać, iż trzeba o mnie donieść do władz, by mnie zabrano do bloku mieszczącego chore na dur. Nie mogę się im dziwić. Jeśli dotąd nie przechodziły duru, nie bez kozery mogły się obawiać epidemii. W obozie mimo lepszych warunków taka choroba prowadziła w 90% do zgonu. Na moje szczęście, nawet przy najwyższej gorączce nie tracąc przytomności usłyszałam rozmowę: musiałam się zdekonspirować z zimnicą i wytłumaczyć, że nic im nie grozi. Nie wiem jednak, co by było, gdyby się rano nie sprawdziły moje słowa: nie miałam gorączki. To je przekonało, że naprawdę nie ma mowy o durze.

Jakże inaczej wyglądało moje chorowanie! Lekarki, wiedząc, co mi jest, starały się mi pomóc, mogłam też zdobyć rzecz najbardziej zbawienną: kubek gorącego napoju w czasie ataku dreszczów. Pomagał zwykle w przerwaniu ataku i wywołaniu potów. Była też chinina. Pamiętam, że kupiłam ją — we flaszeczce z greckim napisem — od jakiejś Żydówki z „efektu". Pobyt pod dachem i lekarstwo pomogły. A jednak nastąpił nowy nawrót choroby. Było to już po paru miesiącach, gdy do bloku szóstego dotarła fala epidemii duru. Była tej zimy tak straszliwa, że przełamała wszelkie podziały: wszystkie bloki „rewiru" zamieniły się w bloki duru wysypkowego, a wiele chorych nie znalazło miejsca w szpitalu.

Może mi lekarze zaprzeczą. Ja twierdzę, iż każde zetknięcie z zarazkiem czy wirusem wywoływało u mnie ataki zimnicy. Tym razem nawrót był specjalnie groźny. Zimnica nie reagowała na chininę, a po dziewięciu dniach period się nie skończył. A więc będzie następnych dziewięć dni. Tymczasem już po kilku atakach byłam tak słaba, że nie mogłam podnieść się do jedzenia. Stawiano mi miskę u wezgłowia i jadłam nie podnosząc głowy od „poduszki".

W tym właśnie czasie nadeszła na blok jako nowo przydzielona, chyba wprost z „sauny", młoda lekarka z Poznania, *Celina Choynacka*. Pamiętam jej ciemną czuprynkę (kto przyszedł z czystymi włosami, a miał iść na funkcję, nie był już w saunie w tym czasie strzyżony) i zatroskane oczy, gdy się dowiedziała, jak stoi moja sprawa. Zapewne równie dobrze, jak ja sama, orientowała się, że nie będę w stanie przetrzymać osiemnastu czy więcej ataków i że jeśli nie przerwiemy serii, może być źle. Już wiedziała, że lekarstwa można zdobyć przez mężczyzn. Sama jeszcze nie miała kontaktu. Spytała mnie przy rannym obchodzie, czy nie znam kogoś w obozie męskim. Gdyby mi mogli przysłać neosalwarsan, może dałoby się mnie wyleczyć. Nie, nie znam mężczyzn...

A jednak zdarzają się cuda. Właśnie tego dnia do naszego bloku wpadł jakiś mężczyzna. Stanął właśnie przy moim łóżku. Sądzę, że był to ktoś, kto przyszedł na własne oczy przyj-

[2] wielkie oszustwo.
[3] jeden z leków.

rzeć się kobiecemu szpitalowi. O nikogo nie pytał, tylko się rozglądał z wyrazem zgrozy i zdumienia. Był to przecież czas, gdy znów na każdym łóżku leżały 2—3 chore, gdy znikł pozór polepszenia warunków.

Nie znałam tego mężczyzny, ale postanowiłam spytać. Wysunęłam głowę za burtę łóżka na trzecim piętrze i spytałam go, czy może mi przynieść neosalwarsan. Mam zimnicę i to już jedyny sposób... Ani się nie zdziwił, że się do niego zwracam, ani nie był zaskoczony prośbą. Stanowiliśmy przecież jedną rodzinę i każdy starał się pomóc drugiemu, ale ja wiedziałam, że przenoszenie lekarstwa przez bramę, to ryzyko. Prosiłam o jedną fiolkę. Nazajutrz przyniósł mi ich dwanaście: całe pudełko. Nie znam jego nazwiska. Byłam przyzwyczajona w konspiracji o nazwiska nie pytać. Życie zawdzięczam jemu i dr *Choynackiej*, która tego samego dnia zrobiła mi zastrzyk w czasie ataku: nie powtórzył się już ani razu do dziś. Może tą drogą dotrze do niego podziękowanie?

Oczywiście nie byłam w stanie wyjść na „lagier". Musiałam długo zbierać siły. I jednocześnie nie mógł mnie widzieć lekarz esesman. Były to czasy, gdy przegląd odbywał się systematycznie — jedna „sztuba" za drugą, a lekarz miał w ręce karty chorych. Miało to zapobiegać wszelkiemu „dekowaniu" się w blokach szpitalnych przed pracą. Ale ja nie mogłam być oglądana przez lekarza, szczególnie w czasie, gdy już wydobrzałam. Póki byłam tak słaba, że nie wstałabym z łóżka, lekarki wypisywały mi na karcie jedną po drugiej różne choroby (był tam chyba i dur!) i fałszywe temperatury, a że wyglądałam mizernie, jakoś się udawało. Gorsze czasy nastąpiły, gdy już się na paczkach odpasłam i wróciłam do sił. Wtedy nasze nieocenione lekarki na stałe wyjęły moją kartę chorobową z ewidencji (ryzykowały wiele!), ja zaś musiałam nie istnieć, gdy przychodził lekarz. Zaręczam, że wymagało to dużej obrotności „starego *häftlinga*", ale to już inna historia.

JAN WOLNY Jarocin
były więzień obozu koncentracyjnego w Dachau nr 8394, w Oświęcimiu nr 15496

Wspomnienia sanitariusza z obozów w Dachau, Oświęcimiu i Mauthausen

W kwietniu 1940 roku zostałem uwięziony przez gestapo i osadzony w obozie koncentracyjnym w Dachau jako więzień polityczny nr 8394. Pomimo że miałem na lewej nodze dużą i głęboką ranę po postrzale zmuszono mnie do wykonywania bardzo ciężkiej pracy fizycznej w różnych komandach, gdyż stałego przydziału pracy nie miałem. Co kilka dni zgłaszałem się do ambulansu po opatrunki.

W styczniu 1941 roku w czasie wieczornego apelu ogłoszono, że wszyscy Polacy, którzy kiedykolwiek byli sanitariuszami, mogą pracować w izbie chorych. Chcąc wyleczyć moją nogę, jakkolwiek nigdy sanitariuszem nie byłem, zgłosiłem się, podając, że skończyłem wojskową szkołę sanitarną i to spowodowało przyjęcie mnie do pracy w szpitalu obozowym. Przyjęto 15 Polaków. W czasie wybierania sanitariuszy, zauważyłem, że zgłosiło się między nami trzech lekarzy; esesman zapisał ich numery i zawody, ale zamiast do szpitala, przydzielił ich do najcięższej pracy przy kopaniu kanału. Dopiero po trzech tygodniach morderczej pracy Niemiec polskiego pochodzenia „kapo" *Węglarz*, przekupiony papierosami, zabrał ich do swego „komanda" na plantację do suszarni ziół leczniczych i dzięki temu uniknęli śmierci.

Ponieważ żaden z nowo przyjętych sanitariuszy Polaków nie znał przeznaczenia, działania i zastosowania niemieckich lekarstw i maści, używanych w ambulansie i aptece, zorganizowano dla nas kurs, w czasie którego nauczyłem się najelementarniejszych i podstawowych zasad, jakie powinien znać sanitariusz. Dzięki temu kursowi nie wykryto, że nigdy sanitariuszem nie byłem. Aby zapewnić sobie stałą pracę w szpitalu, w którym można było pomóc innym, musiałem uczynić wszystko, co było w mojej mocy, by powierzoną mi pracę wykonywać jak najlepiej. Chociaż kurs ukończyłem z wynikiem pozytywnym, to jednak praca początkowo nie była łatwa. Przydzielono mnie między innymi do ambulansu, w którym mieliśmy robić opatrunki. W środku ambulansu stał długi stół, a na nim ustawionych było kilkanaście słoików różnych maści, środki odkażające, materiały opatrunkowe i narzędzia. Naokoło stołu było osiem stanowisk, czyli osiem taboretów, na których mieliśmy wykonywać opatrunki. W ambulansie był również „oberkapo" *„Zep"*, który miał obserwować wykonywanie pierwszych opatrunków i udzielać wskazówek w wypadku zachodzącej wątpliwości, jaką maść zastosować na ranę. Przed ambulansem czekało na opatrunki około 200 chorych. Jeden ze starszych sanitariuszy rozdzielał chorych i tak do opatrunku dostałem po raz pierwszy pacjenta z chorą nogą. Zdjąłem stary, przemoczony opatrunek i poczułem jakiś niesamowity smród z rany. Ujrzałem po raz pierwszy mocno opuchniętą i zaczerwie-

nioną do kolana nogę, a w stopie dużą i głęboką, ropiejącą ranę. Na ten widok natychmiast wystąpił na mnie zimny pot, zrobiło mi się słabo i ciemno w oczach, zdawało mi się, że tracę przytomność. Pomocy udzielił mi sąsiad, sanitariusz *Józiu Bernacik,* gdyż niespostrzeżenie dla otoczenia podał mi do napicia się wody i wyręczył mnie w zrobieniu tego opatrunku.

Wówczas kombinowałem w różny sposób, by uniknąć dużych ran do opatrunku i to mi się jakoś udawało. Gdy zakładałem opatrunek nawet na małą ranę, czułem ból i cierpiałem, jak gdyby na równi z więźniem, któremu robiłem opatrunek. Pierwszego dnia założyłem około 17 opatrunków i to mnie nerwowo wyczerpało do tego stopnia, że całą noc nie mogłem zasnąć. Wszakże tego dnia miałem do czynienia pierwszy raz w swym życiu tylko z ludźmi chorymi o przerażającym wyglądzie. O tym, że chcę zrezygnować z tej pracy, opowiedziałem znajomemu lekarzowi, który dopiero mi wyjaśnił, że służba sanitarna nie może konać z każdym konającym, a żyć musi po to, by ratować od śmierci pozostałych jeszcze przy życiu. Wszystkie zabiegi starałem się robić delikatnie, by nie sprawiać bólu, czysto i dokładnie, zwracając uwagę na estetyczny wygląd, po to, by opatrunki wpływały mobilizująco na ich nosiciela. W obozie zauważyłem, że więzień z raną i dużym opatrunkiem był przez esesmanów zawsze więcej bity niż więzień czysto ubrany i dobrze wyglądający.

Przed upływem miesiąca nauczyłem się robić bardzo szybko i dobrze wszelkie opatrunki i to spowodowało, że przeniesiono mnie na bardziej samodzielne miejsce pracy, do sali, w której było, jak pamiętam, 25 łóżek, a na nich tyluż ciężko chirurgicznie chorych księży. Byli to księża różnych narodowości, wśród nich najwięcej jednak Polaków. Z różnych obozów koncentracyjnych przywieziono do obozu w Dachau kilkuset księży i umieszczono ich w dwóch barakach, oddzielonych siatką drucianą i drutami od reszty obozu. W wyniku interwencji Watykanu u władz niemieckich w tym czasie księża byli przez esesmanów lepiej traktowani, niż inni więźniowie, gdyż nie wysyłano ich do żadnej pracy. Księży wtedy lepiej karmiono, ich obiad składał się bardzo często z dwóch dań. Poza tym mieli większe możliwości korzystania z kantyny obozowej, w której można było kupić coś do zjedzenia, gdyż otrzymywali od swych rodzin z wolności większe sumy pieniężne niż inni zwykli więźniowie. Jednak księża byli izolowani od reszty obozu, nie wolno było z nimi się kontaktować, chociaż stamtąd płynęła po kryjomu znaczna pomoc żywnościowa dla wielu więźniów w obozie. Warunki żywnościowe księży w szpitalu obozowym też były lepsze niż innych więźniów, toteż bardzo wiele skorzystałem, gdyż się lepiej odżywiałem będąc sanitariuszem u księży. Opieki lekarskiej jednak ze strony lekarzy *SS* w tej sali nie widziałem, salą tą bardzo mało się interesowano.

Tam po raz pierwszy spotkałem takie rany, jak: złamania kości i duże urazy oraz głębokie ropnie na pośladkach po pobiciu, krwiaki jąder i nekrozę moszny po pobiciu, rany spowodowane postrzeleniem, gangreny i zakażenia kończyn dolnych i górnych, zakrzepowe zapalenie żył, silne odmrożenia górnych i dolnych kończyn, głodowe opuchnięcie nóg z głębokimi ranami, a nadto inne bardzo duże rany, których rodzaju nie znałem. Prawie wszyscy chorzy mieli ciepłotę powyżej 39° z powodu braku fachowej opieki lekarskiej. Niemal wszyscy ciężko chorzy księża byli skazani na śmierć, gdyż te rany w warunkach, jakie tam panowały, nie mogły zostać wyleczone.

W bloku chirurgicznym było kilka sal; w każdej sali był sanitariusz, a nadzór nad załogą bloku sprawował starszy sanitariusz, czyli tak zwany *oberpfleger,* który na imię miał *Maks.* Co trzeci dzień lekarz esesman w towarzystwie oberkapo *Zepa* i *oberpflegera Maksa* robili wizyty w poszczególnych salach. *Zep* i *Maks* lekarzami nie byli, a często sami wizytowali sale chorych; widziałem ich dobre chęci niesienia pomocy więźniom. W czasie wejścia wizytujących do sali chorych będący tam sanitariusz podawał komendę: *Achtung.* Na tę komendę nawet bardzo ciężko chorzy zmuszeni byli, leżąc w łóżkach, wyprostować się i trzymać ręce wyciągnięte wzdłuż tułowia. W tym czasie wszystkie rany musiały być odbandażowane. Z gołymi ranami w wielu wypadkach czekano na wizytę kilka godzin. Rany broniłem przed muchami i brudem nakładając kawałki gazy, która też nie była wyjałowiona z powodu braku odpowiednich warunków. Wizyta w sali, w której leżało 25 chorych, nie trwała dłużej niż 30 minut, w tym czasie bardzo szybko oglądano rany i wydawano zalecenia, jakimi środkami je leczyć. W wielu wypadkach nie zdążyłem nawet zanotować, jakie środki zalecono, a pytać nie chciałem, gdyż za to zostałem przez esesmana dotkliwie pobity. Opatrunki w sali wykonywałem pod nadzorem starszego sanitariusza *Maksa,* który w wielu wypadkach osobiście robił różne zabiegi, chociaż w tym kierunku nie posiadał wystarczających kwalifikacji i uprawnień. Zabiegi i bardzo bolesne duże opatrunki wykonywano bez żadnych środków znieczulających. Niektóre ciekawe, atrakcyjne operacje i zabiegi wykonywane były „dla celów naukowych" przez lekarzy esesmanów.

Pewnego dnia lekarz esesman, chcąc zapoznać młodych lekarzy esesmanów i sanitariuszy-więźniów z pracą w sali operacyjnej, wyznaczył nas kilku do obserwowania czynności personelu asystującego przy operowaniu dużego wola *(struma).* Salę operacyjną i tak poważną operację widziałem pierwszy raz w życiu. W czasie operacji podawali narzędzia i asystowali w tym dniu młodzi studenci medycyny esesmani, a wiadomo mi, że robili to i sanitariusze wyznaczeni przez lekarza esesmana. Przypuszczam, że chciał ów lekarz esesman popisać się przed grupą obserwatorów swą umiejętnością i wprawą, toteż zrobił jednym pociągnięciem noża bardzo długie po-

przeczne cięcie poniżej szyi. W tym momencie zostaliśmy obryzgani krwią, gdyż z kilku dużych naczyń krwionośnych tryskała krew strumieniami, jak z fontanny we wszystkich kierunkach. Upłynęło wiele czasu, nim ranę wytampowano i zanim naczynia krwionośne podwiązano. Operowany więzień niepotrzebnie stracił bardzo dużo krwi. Miałem wrażenie, że ów esesman celowo poderżnął swą ofiarę. Na ten widok zdawało mi się, że zemdleję. Dowiedziałem się od kolegi *Franciszka Sobkowiaka*, że operowany zmarł w nocy tego samego dnia.

Miałem okazję widzieć również operację wykonywaną przez tego samego lekarza SS na więźniu-księdzu, któremu usunięto dużą ilość skóry brzucha, pochodzącej z nadmiernego wychudzenia. Wycięto około 3 kg skóry i położono chorego w sali chorych księży, w której były same przypadki ran ropnych. Rana po operacji również uległa zakażeniu, okolica rany po trzech dniach zaczerwieniła się i opuchła. Z głębi pomiędzy szwami zaczęła wypływać ropa. Dwa szwy przecięto, założono dreny i sączki. Mimo wszystko podniosła się ciepłota i stan chorego z dnia na dzień się pogarszał. Mimo moich starań i szukania pomocy ksiądz zmarł po kilku dniach. Chorym tym lekarz esesman wcale się nie interesował. Bardzo często amputacje dolnych i górnych kończyn oraz usuwanie poważnych martwic i nekroz, cięcie wielkich ropowic wykonywał „oberkapo" *Zep*, który nie był lekarzem. Widziałem, jak nieumiejętnie przeprowadzane operacje i zabiegi powodowały duże wykrwawienie się i osłabienie operowanych, co w wielu wypadkach przyspieszało śmierć, gdyż osłabiony nie mógł doczekać się zagojenia nawet znośnie gojącej się rany. Przypuszczam, że za staraniem *Zepa* można by było uzyskać zezwolenie na zatrudnienie w tym czasie lekarzy-Polaków, męczonych w obozie ciężką pracą fizyczną, jednak ze względu na swój prestiż i brak wiadomości ogólnych bał się on sprowadzić do izby chorych specjalistów lekarzy, którzy wyręczyliby go w nieumiejętnie przeprowadzanych zabiegach. Z chorych księży w sali, w której pracowałem, miała możliwość wyleczenia się zaledwie połowa.

Do moich obowiązków należało nadto utrzymanie porządku w sali chorych księży, rozdzielanie posiłku oraz czynny udział w robieniu opatrunków w ambulansie po rannym i wieczornym apelu. Osobiście robiłem około 45 opatrunków dziennie. Do pracy przy robieniu porządków i przy rozdzielaniu wyżywienia wyzyskiwano lżej chorych, którzy poprawiali łóżka, myli i karmili obłożnie chorych. Wykonując opatrunki więźniom z różnych grup społecznych, doszedłem już w Dachau do przekonania, że chorych i powodzenie w leczeniu ran można było podzielić na dwie zasadnicze grupy: 1) robotnicy, rolnicy, rzemieślnicy, 2) inteligencja (księża, urzędnicy, kupcy itp.). Chorzy grupy pierwszej łatwo znosili ból, byli spokojni, cierpliwi, zaradni i wytrzymali na niewygody. Ich rany leczyło się dobrze i szybko, ciało było odporne na rozmaite zakażenia. Nawet bardzo ciężko chorzy bez żądania pomocy sami poprawiali swe łóżka, myli się, wychodzili do ustępów, by nie zabrudzić bielizny i łóżek. Poza tym byli bardzo usłużni i chętnie pomagali innym chorym. Chorzy grupy drugiej byli mało zaradni, niewytrzymali na ból, wrażliwi na niewygody i niedokładni w wykonywaniu zaleceń przyjmowania lekarstw, zawsze coś sami sobie zmieniali bez zgody służby sanitarnej. Bardzo szybko ulegali depresji duchowej. Cały ich ustrój był mało odporny na zakażenia, każda rana goiła się gorzej niż rany należące do osób grupy pierwszej. Żądali udzielania pomocy niemożliwej do wykonania w warunkach obozowych. Za udzieloną pomoc chętnie obiecywali każdemu wysokie stanowiska i majątki po wojnie, chcąc w ten sposób wyjednać sobie większą opiekę.

Przesadna dbałość o czystość w szpitalu i w blokach mieszkalnych w obozie w Dachau była przyczyną wielu dotkliwych i morderczych kar wyznaczanych więźniom za wszelkie uchybienia. Niby to za złe założenie prześcieradła na łóżku w bloku mieszkalnym zostałem przedstawiony do raportu karnego i wymierzono mi karę jednogodzinnego wiszenia na słupku. Esesmani nałożyli mi pętlę na ręce złożone do tyłu i powiesili mnie na haku wbitym w belkę w łaźni. Poczułem szalony ból i tak przez pewien czas milcząc, modliłem się, lecz ból potęgował się i z bólu zacząłem przeklinać wszystkich, których znałem; myślę w tej chwili, że przekląłem wszystko i wszystkich na tej ziemi. Po godzinnym wiszeniu, jakkolwiek z początku wisiałem około 20 cm od podłogi, mogłem już czubkami palców oprzeć się o podłogę, lecz w tym czasie pilnujący esesman rozhuśtał mnie, nie pozwalając ani przez chwilkę odpocząć. Po odbyciu tej piekielnej kary nie mogłem ruszyć rękami i wykonać nawet najmniejszej czynności. Około dwóch tygodni karmili i ubierali mnie koledzy, w czasie zajęć wykonywali za mnie pracę i ukrywali moje niedołęstwo przed esesmanami. Blokowy i sztubowy bloku 18 otoczyli mnie w tym czasie opieką i dzięki tej pomocy doszedłem jakoś do możliwej formy, która pozwalała mi radzić sobie w warunkach obozowych. Zaznaczam, że blokowy i sztubowy, to starzy komuniści niemieccy. Po raz drugi zapisany byłem i czekałem na karę za to, że znaleziono stare bandaże i ziemniaki z łupinami w łóżku pod materacem chorego księdza. Zasadniczej kary mi nie wymierzono, bo oczekującego na raport zabrał mnie przechodzący lekarz-dentysta esesman i przeprowadzając doświadczenia pseudo-medyczne na mojej szczęce, replantował mi zdrowe zęby bez żadnego znieczulenia. Drakońskie kary za utrzymanie niemożliwie przesadnej czystości były przyczyną śmierci bardzo wielu więźniów, gdyż za te uchybienia karano między innymi głodowym aresztem, chłostą, słupkiem. Więźniowie ukarani taką karą byli narażeni na dalsze bicie, gdyż nie mogli wydajnie pracować.

W 1940 r. zasadniczo nie dopuszczano do

umierania więźniów w blokach mieszkalnych; chorych, a nawet już konających odnoszono do obozowego szpitala. Wtedy dziennie umierało kilkudziesięciu więźniów. Na piersiach każdego zmarłego pisano ołówkiem chemicznym jego numer obozowy i do dużego palca prawej nogi przywiązywano kartkę z numerem. Służba szpitalna wynosiła zmarłych do kostnicy, a tam wkładano zwłoki do trumien. Niemal na każdym zmarłym z polecenia lekarzy esesmanów robiono sekcje zwłok „dla celów naukowych". Każdego dnia po rannym apelu wywożono zmarłych poza bramę, a tam przeładowywano trumny do samochodu i wywożono do krematorium w Monachium. O śmierci więźnia zawiadamiano rodzinę, podając fałszywe rozpoznanie i rzekomy powód śmierci. Rodziny niemieckie mogły zobaczyć zmarłego więźnia, który był wystawiony w trumnie w kaplicy-kostnicy poza bramą. Odziany w cywilne ubranie gestapowiec tłumaczył rodzinie, że mimo dobrej opieki lekarskiej i bardzo dobrych warunków nie udało się danego więźnia uratować od śmierci. Jeżeli zmarły był mocno wychudzony, z dużymi ranami na głowie, wtedy podstawiano na jego miejsce podobnego i lepiej wyglądającego zmarłego. W takim wypadku zmarły był przykryty do samej głowy i kazano go oglądać z dalszej odległości. Dla nadania powagi tej scenie obok trumny stał duży, czarny krzyż z palącymi się świecami. Naokoło trumny były kwiaty. Zmarłych nie wydawano rodzinom niemieckim, lecz po spaleniu wysyłano urnę z prochami za specjalną opłatą.

W tym czasie, kiedy stworzono w obozie bardzo złe warunki do przeżycia, bo bito, zabijano i zamęczano więźniów na śmierć, jak na ironię losu kazano nam przymusowo oddawać ostatnią posługę zmarłym w ten sposób, że przed niesionym lub wiezionym nieboszczykiem trzeba było zatrzymać się, stanąć na baczność i zdjąć czapkę. Jeżeli przez przeoczenie ktoś tego nie uczynił, był znów bity i kopany, a wielu za takie uchybienie przypłaciło życiem.

W początku kwietnia 1941 r. przywieziono do Dachau dwoma transportami kilkudziesięciu księży z innych obozów. Wszyscy byli skrajnie wymęczeni i. wycieńczeni, z różnymi ranami i śladami pobicia. Z tych transportów dostałem do sali czterech chorych. Na pośladkach mieli znekrotyzowane ubytki ciała, spod kości siedzeniowych wypływała ropa, krwiaki sięgały powyżej pasa. Ponieważ byli oni z Oświęcimia i z Mauthausen, na podstawie ich opowiadań doszedłem do przekonania, że w tych obozach jest gorzej niż w Dachau. Mimo że w tym czasie obóz koncentracyjny Dachau był obozem pokazowym i służył jako wzorzec dla wszystkich zagranicznych komisji, to jednak należał on do tak zwanych instytucji zagłady wielu tysięcy uwięzionych ludzi. Podwójne druty naładowane energią elektryczną, fosa z wodą i wysoki parkan zabezpieczały przed ucieczkami. Co kilka metrów budki wartownicze z uzbrojonymi esesmanami, krążące patrole esesmańskie z psami uniemożliwiały zbliżenie się do ogrodzenia i strzegły tajemnicy obozowej. Zagranicznym komisjom udostępniano oglądanie obozu w czasie pracy, to jest wtedy, gdy więźniowie byli poza obozem. Więźniowie, którzy byli wychudzeni, mieli rany, albo ślady po biciu, na polecenie komendanta obozu byli na czas wizyty ukrywani w różnych zakamarkach obozowych. Komisja wtedy mogła widzieć tylko dobrze odżywionych blokowych i sztubowych oraz kucharzy i magazynierów. Ład, porządek, czyste i pięknie poukładane przybory codziennego użytku (talerze, miski, widelce, kubki, noże, szczoteczki, pasta do zębów, szczotki do butów, ręczniki, ścierki) wprowadzały w błąd każdego wizytującego, gdyż tak spreparowane widowisko upodobniało obóz do sanatorium lub uzdrowiska wypoczynkowego. Nikt nawet nie mógł się domyślać, że przybory służyły jako dodatkowa udręka więźniów, gdyż musieli je czyścić godzinami wtedy, gdy widelcem i nożem z talerza przez cały okres pobytu w obozie nikt nie jadł, bo nie było co jeść. Przygotowanie obozu do takiej wizyty narażało więźniów na bicie, słupki, chłostę i śmierć za niedociągnięcia w porządkach.

Po zrobieniu porządków, pobrane wyżywienie rano, w południe i wieczorem, nawet zimą, zjadano przed blokami. Bloki służyły tylko do umycia się i przespania. Więźniowie wypędzani z bloków mieszkalnych w czasie dużych mrozów ogrzewali się w tak zwanych kotłach, czyli stawali jeden przy drugim dużymi gromadami i tym sposobem ogrzewano stojących wewnątrz, przy czym co pewien czas robiono zmianę. Inni zaś stawali twarzami do siebie, nakładali jeden drugiemu ręce na plecy i przez ciągłe pocieranie i masowanie rozgrzewali swe ciała. Pozostali biegali i tłukli rękami aż do utraty sił, broniąc się przed zamarznięciem. Słabsi zaś beznadziejnie poruszali ramionami i to weszło w przyzwyczajenie do tego stopnia, że wykonywano te ruchy nawet wtedy, gdy było na dworze ciepło. Grupy bardzo wychudzonych i tak poruszających ramionami dla rozgrzewki w porze letniej nazywano „tańcem śmierci" lub „tańcem muzułmanów"; tym do śmierci już wiele dni nie pozostało; szykowali się powoli na wolność w puszce, czyli w urnie.

W 1940 roku, w czasie świąt Bożego Narodzenia przez dwa dni nie pracowaliśmy. Aby nie pracujące darmozjady nie zjadły darmo okradzionej porcji żywnościowej, władze obozowe zarządziły śpiewanie kolęd przy oświetlonej choince, ustawionej na placu apelowym przy 20 stopniach mrozu. Bici przez esesmanów, gryzieni przez wyszkolone psy esesmańskie, głodni, zmarznięci i zrezygnowani z życia przez te dwa dni do późnego wieczora śpiewaliśmy w języku niemieckim różne kolędy. Przy śpiewanej kolędzie „Lulajże Jezuniu" i „Cicha noc, święta noc" lżej się zamarzało, pogodniej się umierało wielu więźniom. W tych dwóch dniach zmarzło około stu więźniów. Właśnie między innymi i ja mam „na pamiątkę" od-

mrożone obie nogi, rany mi się odnawiają, nieraz nogi swędzą, to znów bolą i robią się pęcherze, potem ropieją, jak gdyby po to, by lepiej te czasy pamiętać, o nich pisać i przypominać tych władców-„nadludzi", którzy chcieli stwarzać „nowe porządki" nie tylko w Europie.

W okresie zimy nie wydawano dostatecznie ciepłej bielizny, ubrań i obuwia, aby przemarznięci więźniowie szybciej umierali. W słoneczne i upalne dni w czasie lata nie wydawano nakryć na głowę i to też było przyczyną wielu porażeń słonecznych, więźniowie mieli głowy opuchnięte od słońca, z dużymi ranami trudno się gojącymi. Noszone przez więźniów drewniaki-pantofle powodowały liczne obtarcia i skaleczenia nóg, rany te ulegały dalszym zakażeniom w czasie wykonywanej pracy i gimnastyki; w okresie wiosny, lata i jesieni nie dawano skarpetek, a słabo założone opatrunki najczęściej spadały po kilku godzinach. W takich warunkach możliwości wyleczenia były zupełnie nikłe, tacy więźniowie byli murowanymi kandydatami do leżenia w szpitalu, a czekano nieraz na miejsce w szpitalu nawet kilkanaście dni, gdyż szpital zawsze był przepełniony ciężkimi przypadkami. Przynoszono potem długo czekających na szpitalne leczenie po to, by tylko na łóżku mogli umrzeć, gdyż tylko niewielu wyleczonych zwalniano. W nocy na zmianę pełniło służbę dwóch sanitariuszy i ja też odbyłem kilka razy taką nocną służbę. Mieliśmy zadanie napisać zmarłym numer obozowy na piersiach i wynieść zwłoki do kostnicy. Żadnej pomocy lekarskiej ciężko chorym i konającym udzielić nie mogliśmy, choć prosili o pomoc i ratunek, gdyż służba ta nie dysponowała przydzielonymi opatrunkami i lekarstwami. Nasza pomoc kończyła się na podaniu wody w razie potrzeby, wykombinowanej tabletki przeciwbólowej i przewinięciu starego opatrunku oraz na pocieszeniu beznadziejnie chorego.

Wielu chorych można by uratować od śmierci, gdyby wyznaczono do nocnej służby lekarzy z prawem dostępu do lekarstw. Jednak tego nie uczyniono, gdyż lekarzom *SS* nie zależało na leczeniu więźniów. Do obozu przywożono ich po to, aby tam znaleźli śmierć w ramach akcji tępienia podbitych narodów. Osobiście robiłem wszystko, co było w mojej mocy, by udzielać pomocy chorym, pomagać im i ratować ich od śmierci. W okresie czterech miesięcy w obozie w Dachau wykonałem około pięć tysięcy opatrunków. Liczbę tę opieram na wyliczeniu: 30 dni razy 4 miesiące = 120 dni × 45 opatrunków = 5400 opatrunków. Pracę tę wykonywałem chętnie, wiedząc, że jest to moim osobistym wkładem w ratowanie bliźnich.

W pierwszych dniach maja 1941 roku, po rannym apelu, zupełnie niespodziewanie zebrano nas wszystkich pielęgniarzy Polaków i po przebraniu w gorsze łachy obozowe dołączono do transportu odchodzącego do innego obozu. W szczelnie załadowanych i zadrutowanych wagonach towarowych po trzech dobach przewieziono nas do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Po przeprowadzeniu dezynfekcji, wykąpaniu i przebraniu oraz nadaniu nowych numerów więźniowskich całą grupę przeprowadzono do szpitala obozowego; tam mieliśmy pracować jako sanitariusze. Otrzymałem numer 15496. Przydzielono mnie do bloku 28, do ambulansu. Co i jak robiłem jako sanitariusz w Oświęcimiu i w Mauthausen, opiszę w dalszym odcinku swych wspomnień, w zeszycie siódmym „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

STEFANIA PERZANOWSKA Radom
były więzień obozu koncentracyjnego w Majdanku nr 235, w Oświęcimiu nr 77368, w Ravensbrück nr 107185

Gdy wracam myślami do Majdanka

Wspomnienia lekarki

I

Byłam po wojnie na Majdanku parę razy. Gdy byłam tam ostatnio, na dawnym polu kobiecym zieleniła się młoda brzezina i wszędzie było pełno bujnej zieleni i łąkowych kwiatów. Po dawnych barakach ani śladu. Na wesoło, dla żartu i zabawy ustawiałyśmy sobie je w naszej wyobraźni, szukając dla nich miejsca wśród brzozowego zagajnika.

Jakże inny był teraz Majdanek, jak zupełnie do dawnego obozowego niepodobny. Zniknęło lepkie, gęste błoto udeptywane tysiącami umęczonych nóg, zniknęła brudna, obozowa ulica z rzędami szarych baraków po bokach. Zniknął hałaśliwy, gwarny, wielotysięczny tłum kobiet w pasiakach — jest pustka i dzwoniąca w uszach cisza. Tylko my, dawne więźniarki tego obozu zakłócamy w tej chwili tę ciszę. Koleżanki, roześmiane, wyszukują i pokazują mi miejsce wśród białych brzózek, gdzie na pewno stała moja prycza. Patrzę i uśmiecham się także.

I myślę: jakże przemożne są siły witalne przyrody i siły witalne w każdym z nas. I jak błogosławiony jest czas, który pozwolił zadrzewić się i zazielenić naszemu kobiecemu polu i pozwolił nam na to, że dzisiaj potrafimy

się uśmiechać, chodząc po Majdanku. Niechże ten czas będzie nadal tak łaskawy, aby nasze dzieci i wnuki przez długie lata mogły się spokojnie bawić w takim brzozowym lasku i biegać wśród zieleni i kwiatów.

Na dalszych polach Majdanka zachowało się kilkanaście baraków, krematorium i jest barak — Muzeum Majdanowskie. I to także nasze dzieci i wnuki muszą zobaczyć, poznać i uszanować.

A potem niechaj już do końca swego spokojnego życia nie słyszą nigdy więcej o potwornym koszmarze wojny i obozu.

II

Gdy załadowano nas, trzydzieści pięć więźniarek radomskiego więzienia w dniu 7 stycznia 1943 roku do bydlęcego wagonu, jechałyśmy w „nieznane". Wiedziałyśmy tylko tyle, że to „nieznane" oznacza dla nas jeden z licznych obozów koncentracyjnych. Po całonocnej jeździe, w czasie której pociąg stawał wiele razy, a wrzaski esesmańskie na zewnątrz kazały się domyślać ładowania nowych transportów z innych miast, rano odsunięto zasuwy i z krzykiem: *raus!* kazano wyjść z pociągu. Zdumiona zobaczyłam dworzec lubelski, cały obstawiony esesmanami. Z innych wagonów też wyrzucają więźniów: wychodzi szereg kobiet i mężczyzn, wszyscy z tym swoistym piętnem więzienia i badań gestapowskich w całej postawie. Spojrzałam przed i za siebie, było nas, na oko około tysiąca. Ustawieni w piątki idziemy w ten mroźny poranek ulicami Lublina. Pod nogami chrzęści śnieg. Na trotuarach nieliczni przechodnie, ich twarze o różnym wyrazie i różnej skali odczuwań. Na jednych widać przerażenie, współczucie, strach lub wyraz bezradności, u innych zaciętość i nienawiść.

Za miastem śnieg głęboki, wyboje, iść coraz trudniej, jesteśmy już wszystkie zmęczone. Pobyt w więzieniu i badania na gestapo nie wpłynęły dodatnio na naszą kondycję fizyczną. Wreszcie stajemy. Brama, budka strażnicza, za nią pośrodku droga, z obu stron niej w perspektywie szereg szarych baraków. Wszystko otoczone gęstą siecią kolczastych drutów. Pierwsza myśl: „A więc tak wygląda obóz koncentracyjny na Majdanku".

Prowadzą nas w głąb obozu. Przechodzi obok nas grupa mężczyzn w pasiakach, esesman ryczy na nich i wymachuje pejczem. Za chwilę inny obraz, jakże typowy dla obozu, a dla nas nowicjuszek jakże groźny i przerażający: esesmani z pasją biją pejczami i kopią podkutymi buciorami leżących na śniegu więźniów. W pewnym momencie stajemy, grupę mężczyzn oddzielają od nas, my idziemy dalej, na sam koniec obozu. Wprowadzają nas wreszcie na zupełnie puste pole. Po bokach stoją baraki zawiane śniegiem, pośrodku głęboki, kopny śnieg. Esesmani otwierają z trudem drzwi pierwszego baraku, połowa okien wybita, to samo w drugim, wreszcie każą nam wejść do trzeciego. Tu też brak paru szyb, przeraźliwe zimno. Trzypiętrowe prycze z siennikami i kocami, pośrodku zimny, ma się rozumieć, mały, żelazny piecyk, tak zwana „koza". Wchodzi esesmanka — dozorczyni i mówi, że tu mamy mieszkać, coś jeszcze krzyczy po niemiecku i wychodzi.

Zostajemy same. Jest nas około 300 osób, trzydzieści pięć z Radomia, reszta z Kielc, Skarżyska, Tomaszowa, Częstochowy. Zmęczone siadamy na pryczach. Jeść nie dają, ale mamy nasze paczki żywnościowe, przysłane nam do więzienia, które wyjątkowo w całości gestapo oddało nam w dniu wyjazdu. Robi się wieczór, kładziemy się, ale przeraźliwe zimno nie pozwala zasnąć. Nawet nie próbujemy się rozbierać, otulamy się kocem, ale to niewiele pomaga. Wpadamy wreszcie na pomysł i kładziemy się we dwie na pryczy, przykrywając się dwoma kocami, a na to siennikiem. Jest dużo cieplej. Mała, drobna *Marychna Kantorska,* która mocno się do mnie przytula, grzeje lepiej niż koce i siennik. Zasypiamy wreszcie w tę pierwszą naszą noc w obozie.

Rano koce są tak przymarznięte do naszych ubrań, że z trudem je odrywamy. Zimno w baraku przeraźliwe. Wychodzimy na dwór. Rozglądam się po polu, widzę, że obóz nie jest skanalizowany, za barakiem są wykopane doły kloaczne bez żadnej ochrony przed śniegiem i mrozem. Jedyna studnia w obozie zamarznięta, więc myjemy się w śniegu, pożyczając sobie nawzajem resztki mydła więziennego i nieliczne ręczniki. Wchodzi esesmanka, pytam ją, jak można się umyć i dodaję, że bardzo chce nam się pić. Dostaję odpowiedź tak na jedno, jak i na drugie pytanie jednakową: „śnieg jest na zewnątrz" („*Schnee ist draussen*"). Koło południa znów wchodzi esesmanka i pyta, czy są wśród nas *Reichsdeutschki.* Wychodzą dwie. Naznacza je na blokowe baraku i każe im iść za sobą i zabrać parę więźniarek. Przynoszą trochę węgla, chleb i gorzkie, ale gorące „ziółka" do picia. Rozdzielają także wśród nas miski i drewniane łyżki. Zaczyna się dzień obozowy, tylko na razie do pracy nikogo nie zabierają.

Jako jedyna lekarka zwracam się do współkoleżanek z propozycją, aby robić codzienny przegląd czystości osobistej. Wszystkie się zgadzają. Dobieram parę chętnych do pomocy i zaczynamy codzienną kontrolę sanitarną. Jednocześnie zgłaszają się do mnie chore z różnymi skargami. Jestem zupełnie bezradna, bo nie mam ani słuchawki, ani termometru, ani żadnych leków. Gorączkującym każę tylko pozostać w łóżku. Najbardziej martwi mnie jedna z więziennych koleżanek, której tworzy się ropień nad migdałkiem po nie leczonej anginie. Nie może już mówić, z trudem oddycha. Biorę trochę piasku spod odkopanego śniegu, grzeję go na piecyku i przykładam gorące kataplazmy na gardło. Nie pomaga, dusi się coraz bardziej, nozdrza rozdęte, wargi sine, oczy przekrwione. Nie mam pojęcia, jak jej pomóc. I wreszcie olśnienie: Widzę długi, kuchenny nóż, który blokowa dostała do krajania chleba. Biorę go, owijam jakąś szmatką, zostawiając tylko sam koniec wolny. Podchodzę do kole-

żanki i pytam ją, czy zgadza się, aby tym nożem przeciąć jej ropień. Kiwa głową, bo mówić nie może. Siłą rozwieram jej usta moją lewą ręką, a prawą celuję w ropień. Nóż był ostry, ropień nabrany i ledwo dotknęłam, strumień ropy zalał mi twarz. Dałam do płukania ciepłe, obozowe ziółka, mnóstwo ropy wylewało się wraz z nimi, a moja chora zaczęła mówić i oddychać normalnie. Ten pierwszy zabieg, wykonany wbrew wszelkiej aseptyce i do tego narzędziem iście rzeźnickim, przeszedł bez żadnej komplikacji. Za parę dni chora wraz ze mną podśmiewywała się z tego zabiegu na miarę średniowiecza.

III

Codziennie zgłaszają się do mnie nowe chore i ja codziennie melduję o tym esesmance, proszę o leki, słuchawkę i jakąkolwiek izolację chorych. Poza wymyślaniem nie dostaję żadnej odpowiedzi. Wreszcie na szósty chyba dzień zjawia się w baraku opasły niemiecki lekarz obozowy *Bodman* w asyście esesmanki i esesmana sanitariusza. Pyta, czy jest lekarz i czy są chore. Podchodzę, mierzy mnie pogardliwym wzrokiem z góry na dół. Rzeczywiście mój wygląd mógł nie wzbudzać zaufania; nie bardzo domyta (nie było wody), w sukni pogniecionej od spania, opatulona kocem, na pewno nie wyglądałam efektownie. Każe rozbierać wszystkie chore do naga i ustawić je w kolejce do badania. Jako nowicjuszka obozowa nie jestem w stanie tego pojąć, jako lekarz nie mogę się z tym pogodzić, żeby gorączkujące chore miały stać nago w zimnym baraku do badania lekarskiego. Tłumaczę, że leżą w łóżkach i pokazuję gdzie. Na to ryknęli na mnie chórem: rozbierać! *(ausziehen!)*.

Gdy drżące z zimna stanęły wreszcie nagie w kolejce, nie badał żadnej, kazał tylko podawać rozpoznania. Jedynie więźniarkę z *lumbago* uderzył pięścią w okolicę lędźwiowo-krzyżową tak mocno, że upadła. Na końcu stała rozgorączkowana chora, którą podejrzewałam o dur wysypkowy (wysypki jeszcze nie było). Gdy podałam rozpoznanie „podejrzenie duru wysypkowego", wpadł w dziką furię. Wygrażając mi nad głową pięściami, wymyślał mi najordynarniej, oświadczył, że jestem idiotką, chora zaś symulantką i że za karę będę od jutra szorować podłogę w bloku, a nie zajmować się medycyną, o której nie mam pojęcia. I wściekły wyszedł z baraku ze swoją asystą.

W parę godzin potem przysłano mi jednak słuchawkę, termometr, strzykawkę i minimalny zestaw leków. Za parę dni przyszedł znów. Znów ta sama defilada, tylko moja chora z podejrzeniem na dur wysypkowy miała już wysypkę, była zamroczona wskutek wysokiej temperatury i wstawać do tej defilady nie mogła. Gdy mu o tym zameldowałam, wymyślając mi znów, wściekły, podszedł do łóżka, zdarł z chorej koc i... zobaczył wysypkę. A była ona wyjątkowo obfita i bardzo typowa. Przestał mi wymyślać, zmienił natychmiast tonację głosu i bardzo uprzejmie zapytał, gdzie studiowałam medycynę, jakie mam w ogóle życzenia i co mogę zrobić z tą chorą. Powiedziałam, że proszę przecież codziennie o izolację tego i ewentualnie dalszych przypadków durowych i o oddzielny barak szpitalny dla chorych. Zgodził się i kazał wyrysować plan takiego baraku. I rzeczywiście zaraz zaczęto jeden z baraków przedzielać na szereg oddzielnych salek szpitalnych.

Następnego dnia zaprowadzono nas do łaźni. Rozbieranie się do naga w obecności więźniów obsługujących łaźnię i esesmanów, wywoływało opory u wielu z nas. Dobroduszny, o prymitywnej mentalności *bade-kapo,* niemiecki więzień, rezydujący na Majdanku od dawna, tłumaczył nam, że rozbieranie się do naga jest w obozie rzeczą codzienną, że na nich to na pewno nie robi żadnego wrażenia, a my też się do tego wkrótce przyzwyczaimy. Pewnym także wstrząsem było dla nas jako nowicjuszek obozowych odebranie nam wszystkich naszych osobistych rzeczy, a więc ciepłej bielizny, pończoch, butów, ubrań, okryć i przebieranie nas w pasiaki i drewniaki. Sama łaźnia, a zwłaszcza mycie w niej, zakrawało na kpiny; odrobina szarego mydła chlapnięta na otwartą dłoń i gorący prysznic, który z tego mydła rozsmarowanego po ciele robił lepką, klejącą się masę, trudną do spłukania. A na zakończenie każda z nas musiała wejść do wanny-basenu, napełnionego brudnym, na wierzchu mieniącym się barwami tęczy, roztworem *kali hypermanganici*. Po wyjściu z tej „kąpieli" brunatno-fioletowy osad pokrywał całe nasze ciała. I wreszcie szczyt dezynfekcji: flitowanie [1] rozpylaczem owłosienia pod pachami i w pachwinach.

Brudne, śmierdzące flitem, zziębnięte, w świeżo nałożonych pasiakach, na zakończenie ceremonii miałyśmy dostać chustki na głowę. I tu scena iście groteskowa. Zabrakło chustek. Wniesiono dwa duże kosze najróżnorodniejszych kapeluszy, które kolejno rozdano każdej z nas. Gdy po chwili spojrzałyśmy na siebie, choć nastrój zupełnie nie był pogodny, prawie wszystkie wybuchnęłyśmy śmiechem. Istna maskarada: pasiaki, mokre, zlepione włosy i na głowach frywolne, kokieteryjne kapelusze. Jedna staruszka z Tomaszowa miała biały toczek z woalką, druga koleżanka maleńki, czerwony kapelusik z piórkiem, inna wytworny czarny kapelusz z kolorową wstążką. Ja dostałam trawiasto-zielony beret z czerwonym piórem, zawiadiacko wpiętym na ukos. Ta maskarada choć w części rozładowała ciężką atmosferę, jaka zapanowała po tej pseudokąpieli i zagrabieniu naszych wszystkich rzeczy. Ma się rozumieć, nie byłybyśmy kobietami, gdybyśmy w ciągu jednego dnia nie poprzerabiały sobie tych kapeluszy na szczelnie przylegające do głowy czapki.

IV

Następnego dnia mamy pierwszych „gości" z męskiego pola, kilkunastu mężczyzn, którzy

[1] Flit — środek zawierający wyciąg z pyretrum i działający owadobójczo (przyp. red.).

w charakterze „koni" przywieźli węgiel. Jest wśród nich kilku radomiaków z naszego transportu. Urywkami w przerwach między esesmańskimi wrzaskami informują nas, że mieszkamy na piątym polu, że my jesteśmy pierwszym i na razie jedynym transportem kobiecym na Majdanku, a obóz męski jest tu już od dawna i dość liczny. Mówią nam także o spodziewanych nowych transportach.

I rzeczywiście za parę dni, 17 stycznia, wprowadzają esesmani na nasze kobiece pole transport z Pawiaka. Nie pozwalają się kontaktować z przybyłymi, ale ja, korzystając z przywileju lekarza, biegnę tam czym prędzej. Barak bez łóżek i prycz. Przywiezione leżą i siedzą na podłodze. Jest ich kilkaset, wśród nich spora grupka młodziutkich dziewcząt; to pawiackie małolatki. Pytam, czy nie ma chorych, mówię, jak jest w obozie, proponuję, aby pochowały trochę swoich rzeczy, gdy będą je brać do kąpieli i przebierać w pasiaki.

Od tego dnia obóz zaludnia się coraz bardziej. Przychodzą transporty z więzienia lubelskiego, lwowskiego, kilkaset kobiet z warszawskich łapanek, a także szmuglerki. Coraz nowe baraki zapełniają się ludźmi, coraz więcej zgłasza się chorych, duru wysypkowego jest już kilkanaście przypadków. Chodząc po barakach pytałam, czy nie ma pielęgniarek, które chciałyby pracować w montującym się szpitalu. Zgłosiły się cztery pielęgniarki dyplomowane: *Wanda Orłoś, Wanda Ossowska, Zofia Orlicka* i *Maria Żurowska.* Prócz nich *Halina Cetnarowicz* po roku studiów medycznych, *Hanna Jodko-Narkiewicz,* studentka III roku tajnej medycyny okupacyjnej (u prof. *Zaorskiego*) i *Irena Todleben,* chemik-bakteriolog. Wszystkie z transportu pawiackiego. Z transportu radomskiego zgłosiły swą pomoc: lekarka-dentystka *Jadwiga Łuczak* i magister farmacji *Józefa Wdowska;* poza tym kilkanaście koleżanek obozowych wyraziło chęć pracy w szpitalu. Pielęgniarki dyplomowane z częścią personelu niewykwalifikowanego miały pracować w szpitalu, z reszty utworzyło się kolumnę sanitarną, kontrolującą w barakach czystość osobistą współwięźniarek i prowadzącą walkę z wszawicą, plagą obozu.

Wreszcie oddzielono jedną małą salkę w baraku szpitalnym. Nie czekając na wykończenie całego baraku, czym prędzej zmontowałyśmy trzypiętrowe łóżka, nabiłyśmy sienniki wiórami i przeniosłyśmy do tej salki chore z durem wysypkowym. Było ich już kilkanaście, a każdy dzień dodawał nowe przypadki. Odgrodzona salka nie miała jeszcze założonych drzwi wejściowych. Drzwi były zrobione, ale nie było zawiasów. Przystawiałyśmy przy każdej próbie wejścia lub wyjścia te drzwi i z reguły za chwilę waliły się nam one na głowę. Ale i tak byłyśmy szczęśliwe, że chore są odizolowane, leżą na szpitalnych pryczach i mają szpitalną opiekę.

Jeszcze tydzień i wykończono cały barak szpitalny. Różnił się on od innych tym, że był podzielony na osiem oddzielnych salek. Pełne zapału zabrałyśmy się do rozplanowania i urządzania tego pierwszego szpitalnego baraku. Cztery salki dla chorych, w tym trzy zakaźne i jedna nie zakaźna, ambulatorium, magazyn, mieszkanie dla personelu i mała pseudo-kancelaria. Lekarz *Bodman,* ten sam, który mi na początku wymyślał od idiotek, uparł się, że mam sypiać oddzielnie, właśnie w tej kancelarii. Żadne moje tłumaczenia, że chcę mieszkać z resztą personelu, nie pomogły. Wstawiłyśmy więc tam trzypiętrowe łóżko.

W jednym z pustych baraków leżały deski do łóżek, puste sienniki i wiórki. Pozbijałyśmy i zmontowałyśmy te łóżka, napchałyśmy sienniki wiórkami i chciałyśmy jak najszybciej przenieść chore z baraków do szpitala. Nie miałyśmy jednak ani koców, ani stołków, ani jednej żarówki, ani misek, ani łyżek i oczywiście żadnego sprzętu szpitalnego. Esesmański sanitariusz, gdy go o to prosiłam, beztrosko mi odpowiedział: „zorganizujcie sobie". W gwarze obozowej „zorganizować" znaczyło zabrać komuś. Zaczęłyśmy więc chodzić po barakach, prosząc o pożyczenie koców, stołków, misek, łyżek. W jednym pustym, na pół rozwalonym baraku udało się nam „zorganizować" parę żarówek i stary stół. Przeniosłyśmy chore i tak oto zaczęłyśmy pracę w pierwszym baraku szpitalnym na piątym polu w pierwszych dniach lutego 1943 r. Dopiero po jakichś dziesięciu dniach sanitarne władze obozowe łaskawie się nami zainteresowały i przysłały trochę zestawu szpitalnego, jak termometry, baseny, sterylizatory, strzykawki, trochę leków, a także parę taboretów, stołów i naczynia kuchenne.

A tymczasem zaludnienie obozu kobiecego z każdym tygodniem wzrastało i odpowiednio do tego rosła liczba chorych w szpitalu. Cztery salki szpitalnego baraku już po miesiącu nie mogły pomieścić wszystkich chorych; musiano przydzielić drugi, już nie przebudowany barak, a po miesiącu dwa następne.

Ta błyskawicznie zwiększająca się liczba chorych — to naturalny rezultat warunków życia w obozie. Baraki przeznaczone na mieszkania miały powybijane szyby, z reguły były niedogrzane, a w większości z nich więźniarki sypiały na podłodze, bo nie było prycz. Sypiały na wąskich siennikach wypełnionych drewnianymi wiórami, ścierającymi się na proch, a za jedyne nakrycie służyły im lepkie od brudu i zawszone koce. Możliwości mycia i utrzymania jakiejkolwiek czystości — żadne, bo jedyne źródło wody, studnia obozowa, zamarznięta. Ma się rozumieć, brak także kanalizacji: otwarte doły kloaczne za barakami, zmuszające do załatwiania swych potrzeb fizjologicznych na oczach esesmanów. Oto warunki sanitarne na Majdanku.

A że machina obozowa funkcjonuje już planowo, wobec tego każdy dzień obozowy wypełniony jest całkowicie mnóstwem przepisów, zarządzeń i rozkazów, które mają jeden wyraźny cel — dręczenie i wyniszczenie więźniarek.

Codziennie, o szarym, zimowym świcie wyganiano kobiety z baraków i ustawiano w sze-

regach na ranny apel. Dygotały z zimna, stojąc niejednokrotnie godzinami na mrozie, w przewiewnych pasiakach. A zima roku 1943 była wyjątkowo mroźna. Stać musiały nieruchomo, bo za każde poruszenie spadał na ich głowy i ramiona pejcz, nieodłączny atrybut apelowy niemieckich dozorczyń. Po skończonym apelu, wrzeszcząc i wymyślając, te same dozorczynie ustawiały je w oddzielne kolumny robocze i gnały do pracy, najczęściej na zewnątrz obozu. Więźniarki pracowały 12 godzin dziennie. Była to ciężka praca fizyczna, często bezsensowna, jak kopanie i zakopywanie rowów, przenoszenie kamieni z jednej sterty na drugą, noszenie ziemi i trawy. Planowo, z perfidią zmuszano kobiety do tych prac, aby je doprowadzić jak najszybciej do zupełnego wyczerpania. Wieczorny apel po 12 godzinach pracy był jeszcze gorszą udręką dla obolałych pleców i ramion, dla umęczonych nóg.

To codzienne bytowanie obozowe zaprawione było na domiar stałym głodowaniem. Mała pajdka suchego, czarnego chleba i gorzki odwar z liści na śniadanie i kolację, a na obiad cuchnąca brukiew, często niedogotowana i bez soli, a zawsze bez tłuszczu, to było całodzienne wyżywienie. A zatem panował stały głód, ten nieodłączny towarzysz wszystkich więzień i obozów. W zimie w pierwszych miesiącach kobiecego obozu na Majdanku głód był tym większy, że nie dochodziły paczki żywnościowe z domów, które ratowały bardzo. Ale ogromna część kobiet, a przede wszystkim Rosjanki i Żydówki w ogóle nie dostawały paczek i głodowały bardzo cały czas.

Głód dokuczał i osłabiał fizycznie, ale nie doprowadzał jeszcze w tym okresie do tego typowego wychudzenia i wyniszczenia, jakie się widywało po dłuższym pobycie w obozie. Głód, zimno, praca ponad siły — to były przykrości, które towarzyszyły nieodłącznie wszystkim więźniom wszystkich obozów jako naturalny efekt działającego z rozmysłem i z precyzją regulaminu obozowego. To wszystko było z góry zaplanowane, przewidziane i każdego dnia skrupulatnie wykonane.

Majdanek był oficjalnie przez Niemców przeznaczony na obóz zagłady. Gdy zwróciłam się pewnego dnia do komendantki *Erich* z prośbą o przydział mleka dla niemowląt, których matki, kobiety rosyjskie spod Woroneża leżały wszystkie chore na dur wysypkowy, w odpowiedzi uderzyła mnie w twarz z jednej i z drugiej strony i z pasją wyrzuciła z siebie: „To nie jest sanatorium, to jest obóz zagłady" *(„Vernichtungslager")*.

Tak, to był obóz zagłady. A według nich do całkowitej zagłady nie wystarczyło głodne, zziębnięte kobiety zapędzać do 12-godzinnej pracy, dawać im za mieszkanie bydlęce baraki i pozbawiać je najprymitywniejszych warunków sanitarnych. To były zbyt łagodne metody. Wobec tego pomysłowość władz obozowych sięgała po środki radykalniejsze, które by te słabe, zmęczone kobiety załamały psychicznie i doprowadziły do ruiny nerwowej. Postanowiono więc zatruć im każdą chwilę życia obozowego atmosferą terroru, różnorodnymi szykanami i karami, zmaltretować je i sponiewierać. Przede wszystkim bicie. Bicie przy każdej okazji i bez żadnej okazji. Bicie pejczem po głowie na apelu, pięścią po twarzy, bicie gumą lub laską na specjalnym koźle. Pamiętam wiele takich masowych egzekucji bicia przy wieczornym apelu za tak „ciężkie" przewinienie, jak znalezienie jednej marchwi lub kartofla u kobiet pracujących w tak zwanych „ogródkach". Pamiętam także, jak pracownica szpitala, starsza, siwa *Halina Stypułkowska* została zbita i skopana przez komendantkę obozu za to, że wiatr potargał jej siwe włosy. Przy tym kopaniu i biciu potłuczono jej okulary i odłamki szkła z trudem wyjmowałam z pokaleczonej twarzy. Gdy ta sama komendantka wpadła do szpitala, z reguły było bicie za takie na przykład przestępstwo, jak gotowanie na piecyku wody na herbatę dla chorych. Nawet sam komendant *Thuman* potrafił przyjść do szpitala o drugiej w nocy i bić nas po twarzach tylko dlatego, że był pijany i musiał się gdzieś wyładować.

Bicie było rzeczą tak powszechną i codzienną, jak obiadowa brukiew i jak nasze obozowe pasiaki.

Nie znam żadnej więźniarki z Majdanka, która by nie była bita, a znam wiele z rozległymi bliznami po egzekucjach obozowych. Poza biciem stosowano klęczenie godzinami na mokrej ziemi na deszczu lub mrozie, ustawianie na szereg godzin między naelektryzowanymi drutami, których dotknięcie groziło natychmiastową śmiercią, a nawet wieszanie na rękach w kancelarii obozowej. I do tego ciągłe straszenie krematorium i szubienicą stojącą pośrodku pola obozowego. Straszenie, dzikie wrzaski i najordynarniejsze wymysły były nieodłącznym atrybutem wszystkich Niemców w obozie. Prawie nie widywało się ich innych, jak tylko rozwścieczonych, ziejących nienawiścią i z bestialstwem, czającym się na ich twarzach.

W obozie szalały esesmanki-dozorczynie z komendantką *Elsą Erich* na czele, na terenie szpitala szaleli sanitariusze esesmani. Mieli oficjalny przydział do szpitala, aby nas dozorować i załatwiać sprawy administracyjne.

Przewinęło się ich sporo przez ten prawie półtoraroczny etap szpitala na Majdanku.

Pierwszy był *Konieczny*. Świetnie mówił po polsku, bo pochodził ze Śląska. Ten nawet tak bardzo nie wymyślał i usilnie starał się o zdobycie naszego zaufania, kokietując nas właśnie tą przymilną polszczyzną i staraniem się o potrzeby szpitala. Ale w obozie wyrobiła się specjalna czujność, nikt nie ufał jego pseudolojalności i żadna z nas ani jednego niepotrzebnego słowa przy nim nie powiedziała. Tenże *Konieczny* szybko pokazał, co potrafi przy pierwszych transportach żydowskich i ich selekcjach.

V

Selekcje żydowskie właśnie należały do zaszczytnych zajęć niemieckich lekarzy obozo-

wych i ich pomocników-sanitariuszy. Każdy nowy transport przychodzący do obozu, a więc i transporty żydowskie prowadzono najpierw do łaźni. Pielęgniarki szpitalne wzywano często do pomocy przy pseudodezynfekcji takiego transportu, a czasem i ja musiałam iść z nimi.

W pierwszej części baraku kąpielowego kazano im się rozbierać do naga. Ubranie wieszały na kołkach i nagie przepędzano je do drugiej części z natryskami. Ponieważ było rzeczą wiadomą, że kobiety te mogą mieć przy sobie pieniądze, złoto lub biżuterię, bo przecież wywożono je nie z więzienia, ale z domów w getcie, sanitariusze i esesmanki-dozorczynie rzucali się jak hieny na przeszukiwanie ubrań, gdy tylko Żydówki przeszły do natrysków. Znalezione pieniądze i złoto szybko i zachłannie pakowali po kieszeniach. Drugi etap okradania odbywał się już przy natryskach. Do tej części wchodziły nago, ale wolno im było wejść w butach. Buty te kazano im zdejmować i ustawiać pod ścianą. W tych, przeważnie wysokich, modnych wówczas holenderkach też chowały swoje mienie. Gorąca woda z natrysków i parujące kobiece ciała wytwarzały gęstą mgłę, tak że niewiele było widać. Sanitariusze, którzy z racji swych zawodowych funkcji mieli asystować przy kąpieli i dezynfekcji, wchodzili tam i jedynym i wyłącznym ich zajęciem było wykradanie z butów ustawionych pod ścianą resztek majątku myjących się kobiet. Po zakończeniu prysznicu odstawiano drewniane pręty z podłogi i spod nich też wyjmowano złoto, które wypadło z włosów i zakamarków ciał kąpiących się kobiet. Kiedyś widziałam, jak komendant *Thuman* przyszedł na zakończenie tej grabieży i sam złote dolary i brylanty ładował do kieszeni.

Gdy skończyła się ta parodia mycia i dezynfekcji, mokre i nagie kobiety przy akompaniamencie esesmańskich wrzasków wypędzano z powrotem do pierwszej części baraku i ustawiano w szeregach. I wtedy zaczynano selekcję. Najczęściej robili je sanitariusze, czasem niemiecki lekarz obozowy. Nagie kobiety defilowały pojedynczo przed stojącym z pejczem w ręku esesmanem. Młode, zdrowe, pejczem odsuwał na prawą stronę — te szły do obozu. Wynędzniałe, z wypryskami lub ranami na skórze, były odsuwane na lewo — te szły do gazu, tych nawet nie ubierano w pasiaki. Nie usiłuję opisać rozdzierających krzyków matek, które oddzielano od córek, nie usiłuję opisać tego potwornego lęku na twarzach tych kobiet sunących w nagich szeregach — tego niepodobna opisać, tak jak i niepodobna o tym zapomnieć.

Selekcja skończona, część wyratowanych od niej idzie na nasz obóz, do żydowskich baraków, reszta ginie w pobliskich komorach gazowych.

A sanitariusze? Sanitariusze wracają do szpitala, uśmiechnięci, zadowoleni, wyrzucają ze wszystkich kieszeni na stół swoje zagrabione skarby i dzielą je między sobą. Pamiętam, że kiedyś któryś z nich w przystępie bardzo dobrego humoru chciał mi dać garść pieniędzy i złota i nazwał mnie idiotką, gdy ich nie wzięłam *(aber du bist Idiot!)*.

Potem, gdy Żydówki już pracowały w obozie, też od czasu do czasu urządzano selekcje. Robił je sam *Blanke*, lekarz obozowy. Ustawiano kobiety piątkami, ubrane, ale boso i z gołymi głowami, i znów starsze, chude, pokaleczone lub siwe odsuwano na lewo do gazu. A gdy któraś z nieszczęsnych ofiar chciała się wymknąć z tego do gazu przeznaczonego szeregu, *Blanke* strzelał do niej z rewolweru. Sanitariusze dzielnie pomagali lekarzowi w tej pracy, ciągnąc za włosy opierające się ofiary. Ów na pozór łagodny *Konieczny* też bardzo gorliwie pastwił się nad nieszczęsnymi Żydówkami.

Konieczny zapisał się jeszcze jednym wypadkiem. Będąc przez pewien czas jedyną lekarką obozową, musiałam także zajmować się położnictwem. Rodziła młoda, dorodna Żydówka. Pierwszy poród, silne bóle, więc krzyczy trochę. Wchodzi *Konieczny*, podchodzi do rodzącej, czule głaszcze po głowie i pociesza: „Nie krzycz, nie bój się, urodzisz niedługo ładne dziecko". Przyjmuję poród, *Konieczny* bierze mi dziecko z rąk i pokazuje matce ze słowami: „Patrz, jakiego masz ślicznego chłopaka". A za chwilę, na oczach tejże matki zawija płaczącego noworodka w gazetę, wkłada do teczki, wsiada na rower i wiezie do krematorium. Do dzisiaj dźwięczy mi w uszach ten zduszony w teczce płacz noworodka...

Taki był *Konieczny*. Urzędował u nas parę miesięcy, potem dostał przydział w męskich szpitalach, pokazywał się u nas tylko parę razy w ciekawszych dla niego momentach, jak na przykład 3 listopada, w dniu masowego mordu Żydów. Po nim przez krótki czas urzędował sanitariusz, którego nazwiska nie pamiętam i który był właściwie nijaki: wpadał tylko na chwilę, niewiele mówił, ponury, milczący.

Za to jego następcy bardzo mocno zapisali się w mojej pamięci. Urzędowali jednocześnie lub na zmianę i byli wyjątkowo dobrani i jednomyślni tak pod względem brutalności, jak i kompletnego braku hamulców moralnych. Pierwszym z nich był *Reinertz*, przezwany przez nas „zębaty" z powodu wystających, ogromnych jak kły wilcze zębów w górnej szczęce. Wysoki, szybki w ruchach i gestach, tak samo szybki i nieobliczalny w swoich poczynaniach, nigdy nie wchodził spokojnie, wpadał do szpitala jak furia, zawsze z jakimiś pomysłami szykan i pseudoinnowacji. Jednego dnia w szale porządków wchodził na stoły, na trzecie piętra łóżek, palcem wodził po suficie lub piecu, szukając tam kurzu. To znów nie podobały mu się karty gorączkowe i karty choroby. Wyrywał je, darł i kazał pisać inne, nie mając zresztą pojęcia o istotnej treści tychże kart. Innym razem wpadał jak szalony do części baraku zamieszkałego przez personel, wyrzucał koce z łóżek, bo źle zasłane,

wyrzucał na ziemię całą zawartość szafek, w których były nasze osobiste rzeczy i żywność z paczek, bo jakoby w szafkach był nieporządek. Kiedy indziej szał porządku zaczynał wyładowywać w łóżkach chorych, wyrzucając z nich każdy, najmniejszy drobiazg osobisty, jak grzebień lub szczotkę do zębów. Przy tym wszystkim ryczał tak, że od tych wrzasków trzęsły się ściany baraku. No i, ma się rozumieć, obdarzał nas najordynarniejszymi wymysłami.

Któregoś ranka w wyjątkowo wietrzny i dżdżysty dzień kazał mi wszystkie chore z pierwszego baraku szpitalnego przeprowadzić do innego, nie ogrzanego baraku, bez podania danych, istotnych powodów. I wtedy się zbuntowałam. Mogłam, bo musiałam znosić robienie mi dzikiego bałaganu, jego wymysły, wrzaski i ciągłe przeszkadzanie mi w pracy. Ale narażać gorączkujące chore na chodzenie po zimnie i deszczu — na to się zgodzić nie mogłam i nie chciałam. Powiedziałam, że póki są chore, ja odpowiadam, nie pozwolę ich narażać na jeszcze gorsze choroby i komplikacje dla jego fantazji. Wpadł w szał, zaczął tupać nogami, wrzeszczeć, wreszcie wyskoczył z baraku ze słowami: „Popamiętasz mnie jeszcze". Za pół godziny wrócił z niemieckim lekarzem obozowym *Blankem*. Tamten też z początku zaczął krzyczeć, że co to za bezczelność, ale gdy powiedziałam, że w deszcz i zimno nie mogę pozwolić na przeprowadzanie chorych do innego baraku, przyznał mi rację i powiedział do *Reinertza:* „Czego chcesz od niej, ona przecież ma rację" i wyszedł. Wtedy zaczęło się piekło. Takiego bogatego repertuaru wymysłów nie słyszałam jeszcze nigdy w obozie. Na zakończenie powiedział do mnie: „Ty myślisz, że wyjdziesz na wolność?... Tym kominem na wolność! Już ja się o to postaram". I wyciągnął rękę w kierunku krematoryjnego komina. Od tego dnia wpadał codziennie, o świcie, przed apelem rannym, aby kontrolować, czy już wstałam i aby szukać przysłowiowej „dziury w całym". Wymyślał codziennie i co parę dni powtarzał o perspektywie krematoryjnego komina. Ale o sprawie przeniesienia chorych już nie mówił.

Reinertz miał jeszcze jedną pasję. Ponieważ, jak sam mówił, przeszedł w wojsku dwumiesięczny kurs sanitarny, uważał, że świetnie robi opatrunki i zabiegi chirurgiczne. Małe zabiegi chirurgiczne, jak na przykład nacięcie ropni, których na skutek świerzbu, wszawicy i awitaminoz było bardzo dużo, robiłyśmy same. Starałyśmy się to robić w warunkach możliwie sterylnych. Był sterylizator, były narzędzia, więc przygotowywałyśmy je zgodnie z zasadami aseptyki. Gdy wpadał *Reinertz*, a nigdy nie było wiadomo, kiedy przyjdzie, jednym mocnym pchnięciem odpychał którąś z nas od stołu, wysterylizowany lancet wycierał o swoje brudne spodnie, bo mu nie odpowiadało, że był mokry i z pasją przecinał ropień, a następnie nakładał opatrunek. Rąk nie mył do tego nigdy. Po paru takich jego wyczynach starałyśmy się robić te zabiegi chirurgiczne po apelu, bo wtedy była najmniejsza szansa na jego przyjście.

Reinertz grasował u nas pół roku, potem pokazywał się tylko od przypadku do przypadku. Nie udało mu się jakoś wykonać w stosunku do mnie groźby z kominem krematoryjnym, natomiast sam był sądzony w Lublinie po wojnie.

Jego współtowarzysz pracy — to „krematorzysta", nazwany tak przez nas dlatego, że pełnił „zaszczytną" funkcję szefa krematorium. „Krematorzysta" — to był wyjątkowo brutalny i sadystyczny osobnik. Tak samo wrzeszczący, tak samo wymyślający coraz to inne szykany, przy czym w dodatku pił na umór. Był taki parotygodniowy okres na początku lata 1943 roku, kiedy przychodził do szpitala dzień w dzień pijany tak, że z trudem utrzymywał się na nogach i był właściwie w stanie półprzytomnym. Strzelał wtedy z rewolweru w sufit baraku szpitalnego, w nogi od łóżek i taboretów, w stół ambulatoryjny i w ogóle gdzie popadło. Wydawał mi tak bezsensowne rozkazy wypisywania wszystkich chorych na następny dzień, ale ma się rozumieć, na drugi dzień już o tym nie pamiętał. Upatrzył sobie także jedną młodą dziewczynę po durze i szalał, że nie może jej znaleźć. Chowałyśmy ją, gdy tylko ukazał się w drzwiach baraku szpitalnego. Poza dzikimi wrzaskami i wymysłami wyrządzał nam masę szkód, bo tłukł i demolował wszystko, co miał pod ręką. Ten okres jego miesięcznego szału pijackiego był naprawdę mocną próbą naszych nerwów, bo przecież był nieobliczalny i nigdy nie było wiadomo, czy zamiast w podłogę i w sufit nie zacznie strzelać do chorych i personelu.

W jednym z tych pijackich szaleństw uczepił się mnie, wymyślając mi, że uprawiam sabotaż, bo symulantki trzymam w szpitalu, że lekceważę władzę i wobec tego musi ze mną raz skończyć i zaprowadzić mnie do krematorium. I istotnie, popychając mnie kolbą rewolweru, ku przerażeniu personelu i zdziwieniu więźniarek, które nie wiedziały, gdzie mnie prowadzi, wyprowadził mnie do krematorium. A w krematorium właśnie w godzinę przedtem coś się popsuło i było ono nieczynne. Reperowano je zresztą parę dni. Zapijaczony „krematorzysta" zapomniał o swojej groźbie i następnego dnia miał już inne pomysły.

Z tymże „krematorzystą" wiąże się jeszcze jedno moje bardzo emocjonalne przeżycie obozowe. Pewnego dnia zjawiła się na terenie naszego szpitala kontrola, robiąca to, co by dzisiaj nazwano „remanentem". Dwaj gestapowcy i dwaj mężczyźni w pasiakach z głównej kancelarii obozowej przyszli z księgami sprawdzać majątek szpitalny. Liczyli łóżka, sienniki, koce, naczynia kuchenne i zestaw ambulatorium szpitalnego. Wszystko się zgadzało do momentu, gdy podali mi pozycję kilkuset prześcieradeł. A prześcieradła do szpitala ani jednego nie dostałam. Tłumaczę, że prześcieradeł nie ma, że nie dostałam, a oni od razu z wrzaskiem na mnie, że ukradłam przeście-

radła, że jeżeli nie oddam, to zaraz powieszą mnie na tej szubienicy, która stoi na środku pola. Ja swoje, oni swoje. Wołam kogoś z personelu, tłumaczymy, że ani jednego prześcieradła na oczy nie widziałyśmy — wszystko bez skutku. Ryczą coraz głośniej: „albo oddasz ukradzione prześcieradła, albo szubienica". Zaczynam czuć się istotnie niewyraźnie. Wiem przecież, że w obozie wierzy się tylko władzy, z reguły nie wierząc więźniom. Wiem, że samym zaprzeczeniem nie wskóram nic. I w kulminacyjnym punkcie tej awantury przychodzi mi olśnienie. Pytam, kto jakoby dawał mi te prześcieradła i proszę, żeby pokazali mi kwit. Kwit wypisywał „krematorzysta". Pokazują mi go: 800 sztuk prześcieradeł na kobiecy szpital i... data wsteczna z grudnia 1942 roku, kiedy nas jeszcze nie było w Majdanku, kiedy byłam w radomskim więzieniu. Gdy im pokazałam tę datę i wytłumaczyłam, że wtedy ani mnie, ani szpitala kobiecego na Majdanku nie było, zrobiła się konsternacja. Szybko zabrali książki i wyszli. I to było zdaje się początkiem końca kariery obozowej „krematorzysty". Bo okazało się, że takich kwitów wystawił więcej, a na moje szczęście, w zapijaczonym mózgu daty mu się pomyliły lub w ogóle nie przywiązywał do nich wagi. Przyznaję się uczciwie, że po wyjściu tej komisji nerwy moje nie wytrzymały i rozbeczałam się iście po kobiecemu.

I pomyśleć tylko, że w myśl instrukcji obozowych zarówno lekarze, jak i sanitariusze mieli nam pomagać w pracy szpitalnej i ułatwiać ją [2].

[2] Dalszy ciąg obozowych wspomnień autorki zostanie opublikowany w siódmym zeszycie specjalnym „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" (przyp. red.).

STEFANIA PERZANOWSKA Radom
były więzień obozu koncentracyjnego w Majdanku nr 235, w Oświęcimiu nr 77368, w Ravensbrück nr 107185

O niektórych hitlerowskich lekarzach w Majdanku

Pobyt w obozie koncentracyjnym oprócz codziennej poniewierki i nędzy obozowej przynosił mnóstwo wydarzeń tak potwornych w swoim realizmie, że pomimo obozowego otępienia uderzały one w człowieka jak obuchem, wstrząsały całą jego psychiką i wywoływały bezradny bunt wszystkich ludzkich uczuć.

Dla mnie jako lekarki takimi właśnie przeżyciami były zbrodnie dokonywane przez niemieckich lekarzy obozowych.

Od początku, od pierwszego mego kontaktu z niemieckim lekarzem w Majdanku było dla mnie szokiem to, że chore, szpital, zachorowalność, śmiertelność i medycyna w ogóle, nic go zupełnie nie obchodzą, że nie ma w nim śladu zainteresowania, jeżeli już nie chorymi jako takimi, to chociażby przypadkami chorobowymi. A potem, gdy musiałam patrzeć, jak właśnie z największym zainteresowaniem robili selekcje żydowskie, jak bardzo się w tych i podobnych „akcjach" wyżywali, gdy widziałam ich twarze w momentach wysyłania bezbronnych i chorych kobiet na śmierć lub gdy sami strzelali do tychże bezbronnych kobiet i gdy te ich zbrodnie skojarzyłam i skonfrontowałam z wykonywanym przez nich zawodem lekarza, to był to chyba mój największy szok obozowy.

Na wiele potworności musiałam tam patrzeć i wiele przeżyć koszmarów. Wiedziałam: obozy zagłady, a więc mordują ludzi, ale że tymi, którzy współdziałają w tych mordach lub nawet je wykonują, są właśnie lekarze i że ci lekarze robią to z pasją, z satysfakcją i uśmiechem — to było coś, co mi się w ogóle nie mogło pomieścić w głowie, coś, co przerastało wszelkie moje myślowe możliwości, to było najcięższe uderzenie obuchem i to był cios zadany elementarnym pojęciom o zawodzie lekarza.

Jestem lekarzem od szeregu lat. Cenię swój zawód i szanuję jego zasady. A naczelną zasadą zawodu lekarskiego jest przede wszystkim humanitaryzm w najszerszym pojęciu tego słowa. Humanitaryzm nie uznający żadnych ras ani narodowościowych nienawiści. A niemieccy lekarze obozowi byli antytezą humanitaryzmu, posuwając swą narodowościową i rasową nienawiść do granic zbrodni. Oni w ogóle nie zasługiwali na miano lekarzy, bo swoim postępowaniem hańbili ten zawód w bezprzykładny sposób.

Gdy bywałam świadkiem bestialstwa obozowych esesmanek i esesmanów, brutalnych, tępych, przeważnie zapijaczonych, ludzi o bardzo prymitywnej mentalności, to wiedziałam, że im to bestialstwo przychodziło z łatwością i u nich to mogło mieć jakie takie psychologiczne uzasadnienie. Jednak okrucieństwa i zbrodnie niemieckich lekarzy obozowych były i pozostaną na zawsze w swej potwornej ohydzie czymś zupełnie bez precedensu, gdyż były przecież wykonywane przez ludzi o zawodzie, który w swym godle ma wypisaną walkę z każdą zbrodnią i z każdym bestialstwem.

Będąc w czterech obozach miałam możność poznać i obserwować niejednego z niemieckich lekarzy obozowych. Postaram się naszkicować najważniejszych spośród nich.

W Majdanku przez pierwsze parę miesięcy był *Bodman*. Miał chyba około 50 lat. Opasły, zwalisty, z mopsowatą twarzą, stale rozzłoszczony i nadęty. Szpital i chore nie obchodziły

go zupełnie. Całe jego zainteresowanie koncentrowało się na tym, aby personel stał przed nim na baczność i wyprężony zdawał mu po niemiecku meldunek. Stojąc w drzwiach baraku szpitalnego, zerkał jednym okiem w głąb, niby to kontrolując czystość szpitala. Tak meldunek, jak i czystość prawie z reguły mu się nie podobały i wrzeszczał wtedy tak, jak wszyscy esesmani. Na tym kończyła się jego wizyta i na tym kończył się zakres jego zainteresowań. Z początku, jako niedoświadczony nowicjusz obozowy, usiłowałam zainteresować go stanem chorych, aby zdobyć dla nich trochę więcej leków, ale to w ogóle do niego nie docierało. Tak, ale w skali spraw obozowych to wszystko były drobiazgi bez znaczenia i dlatego okres jego pobytu był bardzo spokojny. Wtedy nie odbywały się jeszcze w majdanowskim obozie żydowskie selekcje...

Po *Bodmanie* przyszedł *Blanke* i ten był już do końca majdankowskiego szpitala, tj. do kwietnia 1944 roku. Zewnętrznie *Blanke* był zupełnie inny. Był o wiele młodszy, bardzo przystojny, postawny, rumiany i stale uśmiechnięty. Ta jego prawie młodzieńcza uroda i ten uśmiech dawały złudne nadzieje, jeśli już nie łagodności, to w każdym bądź razie jakichś ludzkich uczuć. Tak, ale to wrażenie okazało się istotnie jak najbardziej złudne i dlatego z początku tak zaskakujące dla nas były jego zbrodnicze wyczyny. *Blanke,* tak jak i jego poprzednik, chorymi nie interesował się wcale. Tylko przez pierwsze parę dni wchodził na minutę do szpitala, pytając, czy wszystko w porządku. Potem podjeżdżał tylko pod pierwszy barak szpitalny motorem i nie zsiadając z niego, trąbił donośnie. Gdy podchodziłam do drzwi baraku, zadawał stereotypowe pytanie: „Wszystko w porządku?", na co ja odpowiadałam: „Tak, w porządku" i wtedy odjeżdżał ze znudzoną miną. Za to całe swoje zainteresowanie lokował i całę energię wyładowywał w zupełnie innym kierunku: w selekcjach żydowskich i mordowaniu bezbronnych kobiet.

Blanke przyszedł do Majdanka w okresie intensywnego zapełniania się kobiecego obozu. Prawie codziennie przychodziły świeże transporty, a wśród nich bardzo dużo żydowskich. Zaraz po przyjściu transportu żydowskiego robiono pierwszą selekcję w łaźni. Dokonywali jej sanitariusze esesmani i *Blanke.* Nagie kobiety po wyjściu z łaźni taksowano i rozdzielano: młode, zdrowe usuwano na prawą stronę — te szły na obóz; stare, wymizerowane — na lewą, te szły do gazu. Selekcje szły szybko i sprawnie; bezpośrednio po przyjeździe do obozu nieszczęsne kobiety nie orientowały się w pełni, co im grozi. Ale gdy już pracowały w obozie, w różnych kolumnach roboczych, *Blanke* co jakiś czas robił znowu selekcje, zawsze w południe, gdy kobiety przychodziły do obozu na obiad. Cała kolumna robocza, ustawiona w piątki, była obiektem jego selekcji. I znów starsze, mizerne lub z jakimiś opatrunkami odstawiał na lewo, do nowego, piątkowego szeregu. Teraz, już w pełni świadome tego, co je czeka, przerażone kobiety broniły się, jak mogły. Gdy tylko zauważył, że któraś stara się wymknąć z przeznaczonego na śmierć szeregu, po prostu strzelał do niej z rewolweru. I robił dalej selekcję. Kipiał w tej swojej akcji energią, rzucał się z pasją na coraz to nowe ofiary, ukazując zęby w zwierzęcym uśmiechu. Tak, ten uśmiech towarzyszył mu prawie zawsze. Gdy kończył selekcję, z bardzo zadowoloną miną odjeżdżał na swoim motorze.

Strzelanie do bezbronnych kobiet *Blanke* uprawiał wielokrotnie. Któregoś dnia w południe, pracując w szpitalu, usłyszałam strzały. Wybiegłam i zobaczyłam *Blankego* stojącego z komendantką *Elzą Erich* na początku kobiecego pola i strzelającego do kobiet myjących miski po obozowej brukwi przy studni. Zdumiona i przerażona, podbiegłam do niego i zapytałam: „Co się stało?". Na to *Blanke* śmiejąc się odpowiedział: „Nic się nie stało, kupiłem nowy flower i chcę go wypróbować, czy dobrze strzela, a te kobiety, to przecież Żydówki". Ta pełna cynizmu odpowiedź była w swej ohydzie czymś potwornym i bezprzykładnym.

Jakże wyraźnie stoi przed moimi oczami jeszcze jeden obraz obozowy związany z osobą *Blankego.* Miała się odbyć egzekucja: wieszano więźniarkę złapaną na próbie ucieczki. Ustawiono nas wszystkie na apelu w czworobok, twarzą do szubienicy. *Blanke* i *Erich* stali też przy szubienicy, zabawiając się nawzajem wesołą rozmową. Wieszał sanitariusz-esesman. Wykonał zadanie. Nad obozem zawisła martwa cisza... I nagle wśród tej ciszy rozległ się głośny śmiech *Blankego.* Śmiejąc się, pokazywał *Erich,* jak się rytmicznie kołyszą nogi nieszczęsnej ofiary.

I wreszcie — wymordowanie 13 000 Żydów w dniu 3 listopada 1943 roku, najpotworniejszy, masowy mord w Majdanku, w którym jakże czynny udział brał *Blanke.*

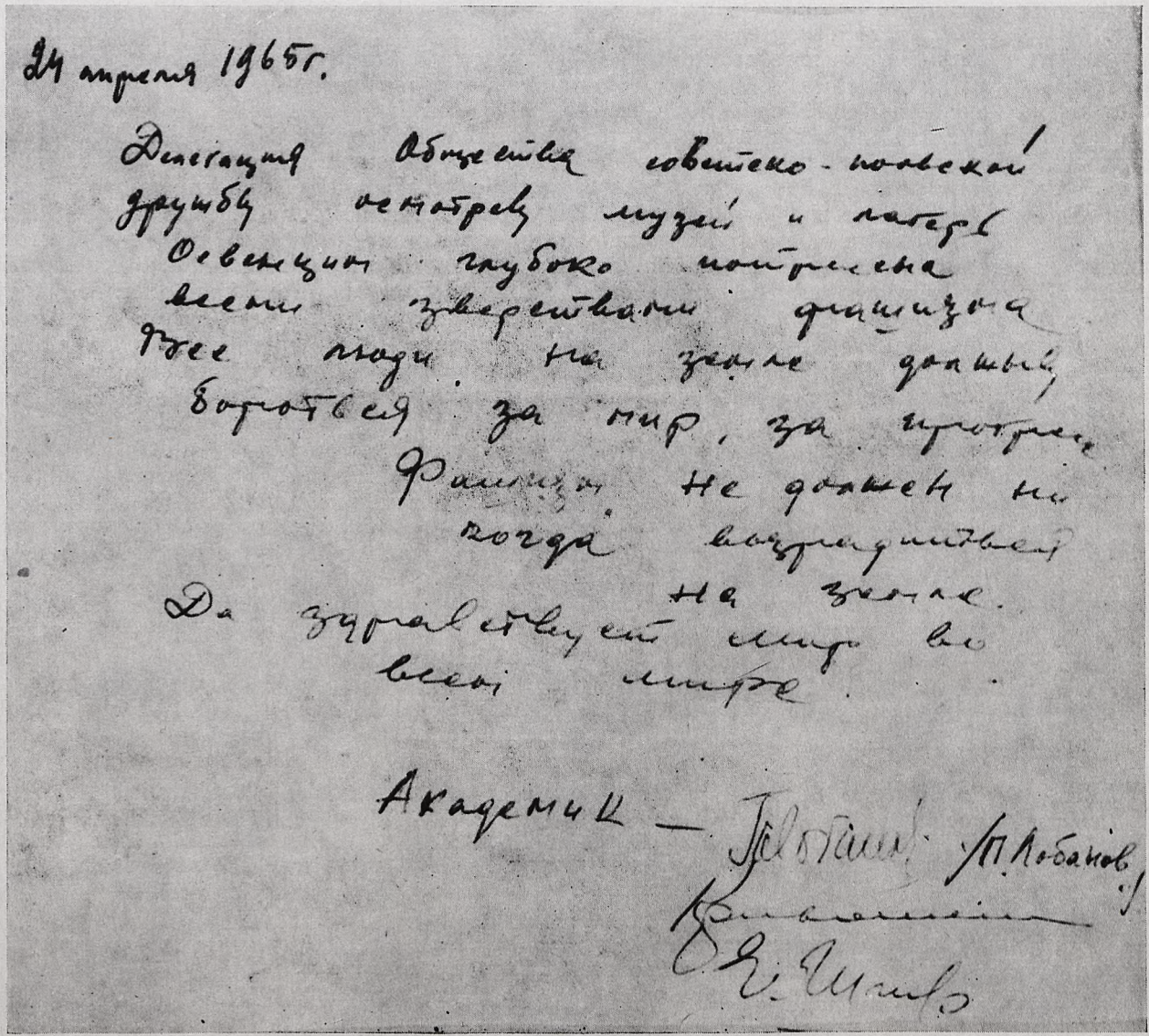
Tego dnia żadna kolumna robocza nie wyruszyła na pola. Zaroiło się na naszym polu od esesmanek i esesmanów, którzy wywoływali Żydówki z baraków, ustawiali je w piątki i wyprowadzali z kobiecego pola. Nie wiedziałyśmy, dokąd je prowadzą i po co. Łudziłyśmy się, że może Niemcy tworzą oddzielne żydowskie pole w Majdanku. Na koniec przyszli do szpitala. Właśnie od paru miesięcy był na kobiecym polu prawie cały personel lekarsko-pielęgniarski żydowskiego szpitala na Czystem w Warszawie: 30 lekarek i 40 pielęgniarek. Większość przechorowała się od razu na dur brzuszny, część pracowała. Ponieważ był zimny, listopadowy dzień, chore, które ładowano na odkryte lory, okrywałyśmy kocami. Personelowi zaś doradziłam, aby wszystkie, nawet rekonwalescentki, wyszły w białych fartuchach z czerwonym krzyżem na rękawie. Choć nie wiedziałam, dokąd je prowadzą, bałam się o nie bardzo i w mojej lekarskiej naiwności łudziłam się, że może te fartuchy i czerwone krzyże je ochronią. *Blanke* i *Erich* bardzo byli czynni przez cały czas tej akcji.

A gdy *Erich* zdzieliła mnie pejczem przez plecy za to, że chore są owinięte w szpitalne koce, a *Blanke* z pełnym pogardy uśmiechem spojrzał na białe fartuchy i czerwone krzyże, przestałam się łudzić; stało się dla mnie jasne, że czeka je to najgorsze. Wyprowadzono je wszystkie, tak jak i wszystkich mężczyzn Żydów za piąte pole i tam rozstrzeliwano z karabinów maszynowych, bo zagazować kilkanaście tysięcy w ciągu jednego dnia Niemcy nie byli w stanie. Ustawione megafony, głośno wygrywające fokstroty, zagłuszały strzały. *Blanke* asystował przy tej mordowni do końca.

Tyle o *Blankem*.

Dla całości obrazu spraw szpitala majdankowskiego muszę dodać, że do niemieckiego personelu sanitarnego należeli jeszcze esesowscy sanitariusze. To była największa zmora naszego szpitala, bo pętali się po nim cały dzień pełni pomysłów w szykanowaniu nas, a w bestialstwie dorównywali *Blankemu*. Lecz to zupełnie oddzielny i obszerny temat, o którym może innym razem.

W tej powodzi moralnego zdziczenia zdarzył się jednak jeden wyjątek. Był nim młodziutki, świeżo po dyplomie, niemiecki lekarz *Rindfleisch*, któremu ojciec, wysoki sztabowiec w Berlinie, wystarał się o to stanowisko, aby go uchronić od pójścia na front. *Rindfleisch* przyjechał niedługo po *Blankem*. Interesował się chorymi, nie wymyślał, nie szykanował, starał się nam nawet pomagać w sprawach organizacyjnych szpitala, był ludzki i przystępny w codziennych stosunkach służbowych. Był jaskrawym kontrastem całej reszty niemieckiego personelu, bo był po prostu normalnym człowiekiem i lekarzem. Poza tym, że obcowanie z nim mogło być pozbawione ciągłego napięcia nerwowego, wielką ulgą psychiczną była świadomość, że nawet wśród Niemców w obozie mogą się jednak trafić przyzwoici ludzie. *Rindfleisch* nigdy nie robił selekcji, to była wyłączna domena *Blankego*. Tak, ale *Rindfleisch* był jedynym wyjątkiem wśród wszystkich lekarzy niemieckich, jakich znałam w obozach.



Reprodukcja wpisu delegacji Centralnego Zarządu Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej z akademikiem *P. Łobanowem* na czele do księgi pamiątkowej Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. (Z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu).

TADEUSZ SEWERYN Kraków

Polskie sądownictwo podziemne

Profesor uniwersytetu w Caen, *Michel de Bouard* powiedział, że „wyczerpujące zbadanie systemu obozów koncentracyjnych albo zostanie dokonane przez nasze pokolenie, albo nie zostanie dokonane nigdy" [1]. To nas obowiązuje. Jeśli bowiem największe w historii świata masowe mordy dokonane w hitlerowskich obozach koncentracyjnych nie będą naświetlone dokumentami i pamięcią pokolenia żyjącego w epoce *Adolfa Hitlera*, jeśli nie będą ujawnione wszystkie źródła i przejawy ludobójczej ideologii oraz sieć całej zbrodniczej aparatury wykonawczej *Himmlera*, a mordercy milionów ofiar nie zostaną przykładnie ukarani, to wówczas wisieć będzie nad ludzkością niebezpieczeństwo powtórzenia się takiej samej katorgi o apokaliptycznych wymiarach grozy, jaką rzuciła na narody podbitej Europy największa w III Rzeszy „fabryka śmierci" w Oświęcimiu.

Do takich spraw okresu okupacji, które mają związek z obozami koncentracyjnymi, ale dotychczas nie były ujawnione, należy polskie sądownictwo podziemne.

Niektórzy obrońcy katów oświęcimskich starają się pomniejszyć odpowiedzialność karną za czyny przestępcze oskarżonych, a przerzucić ją na tych Polaków, którzy podczas wojny, służąc władzom niemieckim, informowali je o polskich elementach buntowniczych, utrudniających przeprowadzanie „dzieła odbudowy" zniszczonego kraju. Stawiają więc pytanie: dlaczego w Polsce nie wytacza się procesów tym właśnie dostawcom więźniów do obozów koncentracyjnych? Ponieważ zaś podobne pytania stają się dziś jeszcze pożywką antypolskiej propagandy wśród żywiołów nacjonalistycznych i odwetowych, aktualna staje się sprawa szerszego omówienia tego problemu nie poruszanego w prasie polskiej.

Na terenie okupowanej Polski jedynym niemieckim organem sprawiedliwości były sądy doraźne. Ale żaden, nawet gorliwy czytelnik hitlerowskiej makulatury w czasie okupacji nie potrafił doszukać się oficjalnego, prawniczego sprecyzowania, jakie przestępstwa objęte są właściwościami tych sądów. A jednak salwy plutonów egzekucyjnych grzmiały nieustannie. Hitlerowskie sądy doraźne stanowią więc *curiosum* w historii sądownictwa. Dowolność w określaniu przestępstwa przerodziła się w samowolę, nie skrępowaną żadnym nawet pozorem prawa.

Szef gestapo w GG, *Friedrich Wilhelm Krüger*, czyli jak brzmiały jego oficjalne tytuły: *der Höhere SS und Polizeiführer im G. G. (Ost), Staatsekretär für das Sicherheitswesen, SS-Obergruppenführer und General der Polizei*, zabawił się w prawnika, plakatami ogłaszając 10 października 1943 roku, że śmiercią karać będzie wszelkie przekroczenia ustaw i rozporządzeń niemieckich, czyli za sabotowanie „dzieła odbudowy Generalnego Gubernatorstwa". Zrobił to na podstawie rozporządzenia *Franka* z 2. X. 1943 r. Ale co to jest „dzieło odbudowy"? Sarkastycznie wyjaśniła tę tajemnicę konspiracyjna „Małopolska Agencja Prasowa" [2], pisząc, że „dzieło odbudowy" — to „a) biologiczne niszczenie i zabijanie w obozach i więzieniach, głodzenie całej ludności polskiej, pozbawianie jej niezbędnej do życia żywności oraz zmuszanie jej do ciężkiej i niewolniczej pracy, przekraczającej siły człowieka itp.; b) rabunek i niszczenie polskich dóbr kulturalnych i materialnych oraz instytucji wytwarzających te dobra; c) wykorzystywanie całego polskiego aparatu gospodarczego do celów wojny skierowanej przeciw narodowi i państwu polskiemu; d) tępienie polskiej myśli i czynu niepodległościowego".

Społeczeństwo polskie chłostało biczem drwiny to całe hitlerowskie „dzieło odbudowy", które miało być wstępem do *„Neuaufbau Europas"* (odbudowy Europy). Podnoszą wydajność produkcji? — wydajność pieców w krematoriach. Głoszą zjednoczenie narodów? — we wspólnym dole. Obiecują dobrobyt? — każdy naród może z ich łaski otrzymać luksusowe mieszkanie w Oświęcimiu, Majdanku, Gross-Rosen, Sachsenhausen, Ravensbrück lub Mauthausen. Polacy kpili z „dzieła odbudowy" uważając, że wszystkie zachwalające je słówka są takim samym kłamstwem, jak ów wykoncypowany przez *Rudolfa Hössa* cyniczny napis nad bramą wejściową do obozu zagłady w Oświęcimiu: *„Arbeit macht frei"*, mający oszukiwać więźniów nadzieją, że obdarzeni będą wolnością, jeśli wykażą się nienaganną pracą [3].

[1] „Za wolność i lud" 1965, nr 11, str. 7.

[2] MAP z 20. X. 1943 r.

[3] Maskowanie przestępstw i zbrodni niewinnymi nazwami należało do zwyczajów hitlerowskich, dość przypomnieć: *Baderaum* (łaźnia) zwała się komora gazowa, w której ofiary duszono cyklonem B; *Säuberungsaktion* (akcja oczyszczania) — masakry w gettach; *Sicherstellung der Kunstwerke und Kulturschätze* (zabezpieczenie skarbów kultury i sztuki) — kradzież dzieł sztuki itp.

Niemieckie sądy doraźne były parodią sprawiedliwości, jedną z form tyranii, jednym z automatów śmierci, służących do wyniszczania narodu polskiego. Przeciwieństwem tych „sądów" były polskie sądy podziemne.

W okupowanej Polsce istniały trzy piony tajnych sądów: a) komisje sądzące (KS), b) wojskowe sądy specjalne (WSS) i c) cywilne sądy specjalne (CSS) wraz z pomocniczym organem sprawiedliwości, placówkami ekspertyzy śledczej (PES).

I. Komisje sądzące działały wedle regulaminu opracowanego przez Główne Kierownictwo Walki Cywilnej (KWC), a zatwierdzonego przez pełnomocnika rządu na kraj. Ważniejsze artykuły tego regulaminu są następujące:

1. Komisje Sądzące powołuje Kierownictwo Walki Cywilnej.
2. Celem działalności Komisji jest usuwanie szkodliwych objawów życia społecznego pod okupacją przez piętnowanie w sposób legalny czynów jednostek i grup, niezgodnych z racją stanu państwa i narodu polskiego oraz z godnością narodową.
3. Kompetencja osobowa Komisji rozciąga się ogólnie na osoby obywateli polskich narodowości polskiej.
4. Sprawy o zdradę główną i przestępstwa objęte kodeksem karnym z 1932 roku oraz sprawy członków organizacji niepodległościowych wyjęte są spod kompetencji Komisji Sądzących.
6. Komisja Sądząca składa się z przewodniczącego, dwóch sędziów, rzecznika kierownictwa WC [Walki Cywilnej] oraz zastępcy członka Komisji.
7. Rzecznik Kierownictwa WC jest łącznikiem między nim a Komisją, bierze udział w posiedzeniach Komisji w charakterze oskarżyciela.
13. Komisja orzeka na podstawie dowodów przedstawionych przez rzecznika. Świadków ani biegłych Komisja nie wzywa. Za dowody służą pisemne opinie specjalistów, biegłych w danej dziedzinie życia społecznego, dokumenty w odpisach lub oryginałach, fotografie itp.
16. Rzecznik nie bierze udziału w naradzie i głosowaniu nad orzeczeniem.
18. Orzeczenia zapadają większością głosów. Treść wniosku rzecznika nie jest wiążąca.
19. W orzekaniu sędziowie są zupełnie niezawiśli, kierują się wyłącznie własnym sumieniem obywatelskim i zasadami WC.
20. Orzeczenia Komisja wydaje na piśmie. Powinny one zawierać krótką motywację, uzasadniającą wagę społeczną szkodliwych czynów, jakich się dopuszczono.
22. Karami, jakie nakładać może Komisja, są upomnienie, nagana i infamia.
25. Upomnienie stosuje się w wypadkach lżejszych wykroczeń nienotorycznych, co do których można sądzić, że popełnione zostały lekkomyślnie i w zmniejszonej świadomości obywatelskiej.
24. Naganą karane będą czyny mniejszej wagi, stanowiące jednak świadome i poważne wykroczenie.
23. Infamia orzekana być może jedynie w wypadkach popełnienia poważnych wykroczeń, stojących w jaskrawej sprzeczności z interesami państwowymi i narodowymi Polski.
29. Postępowanie jest zaoczne".

Komisje Sądzące miały więc, jak widać, charakter przede wszystkim wychowawczy. Trzeba było jednak pouczyć społeczeństwo, jak w życiu codziennym ma się zachowywać, by wytwarzać jednolity wrogi front przeciw okupantowi. Otóż obowiązki Polaka podczas wojny podane zostały w artykułach 9—16 w broszurce pt. „Nakazy", zredagowanej przeze mnie przy współpracy z Bipem (Biurem Informacji Prasowej), a wydanej przez Kierownictwo Walki Podziemnej (KWP) w pięciu tysiącach egzemplarzy. Broszurę tę wydrukowały Konspiracyjne Wojskowe Zakłady Wydawnicze (KWZW) w podkrakowskiej wsi Kosocicach w sierpniu 1943 roku. „Nakazy" te głosiły:

„Czynna ochrona człowieka w Polsce obowiązuje wszystkich. Nikomu nie wolno więc uchylać się od opieki nad wysiedleńcami, nad rannymi żołnierzami, więźniami i ich rodzinami. Kto ma dużo, dużo dawać powinien. Wojna nie może być dla nikogo szczęśliwą sposobnością robienia majątku, gdy wokół łzy i nędza. Precz z sobkostwem i tchórzostwem, gdy trzeba nieść pomoc zrujnowanym materialnie rodzinom straconych więźniów, jednostkom tropionym przez władze okupacyjne za swą działalność niepodległościową lub ukrywającym się przed gestapo.

Każdego Polaka obowiązuje bojkot i piętnowanie wszystkich instytucji oraz imprez niemieckich działających na krzywdę moralną i materialną narodu polskiego. Polak należący do obozu Polski walczącej nie uczęszcza do teatrów i kin, których program jest dostosowany do wymagań propagandy niemieckiej, nie uczęszcza na koncerty, wyścigi i niemieckie imprezy sportowe.

Kto w jakiejkolwiek formie służy propagandzie niemieckiej, nauce niemieckiej, niemieckim instytucjom naukowym i prasie, stawia siebie poza szrankami Polski walczącej.

Bojkotujemy, piętnujemy i karzemy: jednostki o typie służalczym, gotowe na każde skinienie okupanta wycierać przedsionki urzędów niemieckich i swoją niewolniczą uniżonością wciskać się w ich względy, kobiety flirtujące z Niemcami i uczęszczające z nimi do miejsc i lokali publicznych, jednostki zapraszające Niemców w gościnę lub na uroczystości rodzinne, jednostki ułatwiające Niemcom urządzanie zabaw i agitujące za udziałem w nich kobiet polskich, jednostki, które z przesadną gorliwością spełniają rozkazy władz niemieckich z krzywdą dla obywateli państwa polskiego.

Piętnujemy i karzemy osoby informujące okupanta o nieznanych mu faktach służbowych lub ważnych odcinkach pracy obywatelskiej przed 1. IX. 1939 r. i w czasie okupacji, osoby podnoszące publicznie niemiecką organizację, siłę, odporność i pewność siebie, a przez to działające ujemnie na postawę społeczeństwa polskiego, osoby publicznie wyszydzające lub znieważające naród polski albo twierdzące, że naród nasz nie jest zdolny do samodzielnego bytu państwowego, względnie że stan dzisiejszy jest jego winą, oraz osoby, które wyzyskując władzę otrzymaną z rąk okupanta znęcają się nad ludnością polską, pozbawiając ją środków żywności, wymuszając na niej okupy lub w ogóle utrudniające jej byt w okresie niewoli".

Komisje sądzące w dużym stopniu spełniły swe zadanie profilaktyczne i wychowawcze, niemniej jednak trzeba otwarcie powiedzieć, że orzekane przez nie kary często nie były przystosowane do naszej rzeczywistości okupacyjnej. Infamią karały komisje za okradanie ludzi z przydziałów odzieży, obuwia, skóry, gumy i żywności, za nierzetelną manipulację kartkami przydziałowymi, za pędzenie samogonu i sprzedawanie go młodzieży, za współdziałanie z policją w łapankach, za tropienie i bicie ukrywających się przed wyjazdem na roboty do Rzeszy, za fizyczny przymus w dostarczaniu kontyngentu dla Niemców, za denuncjowanie gospodarzy posiadających świnie nie kolczykowane, za urabianie podwładnych w duchu uległości wobec okupanta, za wspólne libacje z policją niemiecką, za wznoszenie okrzyków na cześć *Hitlera* i armii niemieckiej itp. Dla ogromnej większości ludzi skazanych wyrokiem komisji sądzących infamia była pojęciem niezrozumiałym. Z tych względów oddziały Batalionów Chłopskich starały się na własną rękę przystosować do rze-

czywistości wykaz kar za wymienione przestępstwa, *de facto* właściwie nie karane. Stosowały one wymiar chłosty, a ich praktyki utrwalać się zaczęły na terenie wiejskim. Dopiero gdy dwóch działaczy Stronnictwa Ludowego, *Kazimierz Bagiński* i *Wincenty Bryja* (pseudonim: *Halski*) opracowało kodeks kar fizycznych, podyktowanych warunkami wojennymi, a Delegatura Główna zatwierdziła tę korekturę statutu komisji sądzących, chłosta została prawnie dozwolona, a społeczeństwo polskie przyjęło tę poprawkę z dużą aprobatą.

Na marginesie struktury osobowej komisji sądzących należy zaznaczyć, że aczkolwiek ich statut nie wymagał, aby przewodniczący komisji był prawnikiem, to komisja sądząca w Krakowie składała się z trzech sędziów posiadających wykształcenie prawnicze, a przewodniczącym jej był *Antoni Rogosz* (pseudonim: *Sztaba*).

II. Wojskowe sądy specjalne sądziły przestępstwa członków siły zbrojnej oraz przestępstwa przeciw sile zbrojnej, pozostawiając wszystkie inne przestępstwa kompetencji komisji sądzących i cywilnym sądom specjalnym. Wyroków swych WSS ze względów zrozumiałych nie ogłaszały w prasie podziemnej, natomiast KS oraz CSS publikowały swe wyroki.

III. Inicjatywę powołania do życia cywilnych sądów specjalnych dał Komitet Ministrów do spraw Kraju w Londynie 16. IV. 1940 r. następującą uchwałą: „Wydawanie wyroków śmierci na prześladowców i zdrajców, szpiegów i prowokatorów należy do kompetencji specjalnych sądów". W ślad za tym Rada Jedności Narodowej przy pełnomocniku Rządu uchwaliła statut cywilnych sądów specjalnych, z którego przytaczamy kilka zasadniczych artykułów:

„Art. 1. Do ścigania przewidzianych w przepisach karnych przestępstw polegających na działaniu na korzyść okupanta bądź na szkodę państwa i narodu polskiego (zdrada, szpiegostwo, prowokatorstwo, prześladowanie itp.), popełnionych bądź usiłowanych po dniu 1. IX. 1939, powołuje się sądy specjalne przy delegaturach okręgowych. Wymienionym sądom specjalnym nie podlegają sprawy o przestępstwa zastrzeżone właściwościom sądów specjalnych wojskowych.

Art. 2. Właściwość miejscową sądów specjalnych określa się na podstawie art. 26 i 27 kodeksu postępowania karnego.

Art. 3. Sądy specjalne rozpoznają sprawy w składzie trzech sędziów. Przewodniczącego sądu powołuje delegat, przy którym sąd funkcjonuje. Przewodniczący powinien posiadać wykształcenie prawnicze. Członków sądu mianuje właściwy delegat na wniosek przewodniczącego.

Art. 4. Przy każdym sądzie funkcjonuje prokurator, mianowany przez właściwego delegata.

Art. 7. Rozprawa odbywa się niejawnie. Z uwagi na wymaganie konspiracji należy unikać wzywania oskarżonego i świadków. Tryb postępowania, którego celem jest dążenie do wykrycia prawdy materialnej, zależy od uznania sądu.

Art. 8. Wyrok zapada większością głosów. Sąd nie jest związany sankcjami przewidzianymi w obowiązujących przepisach prawnych. Wyrok sporządza się na piśmie, podpisują go przewodniczący i sędziowie. Wyrok zawierać winien zwięzłe uzasadnienie.

Art. 9. Przewodniczący przesyła wyrok wraz z aktami sprawy właściwemu delegatowi do zatwierdzenia, a w przypadku skazującego wyroku i do wykonania.

Art. 10. Przechowywanie akt spraw zakończonych wyrokiem oraz tych, w których postępowanie zostało zawieszone, należy do obowiązków prokuratora, który we właściwym czasie prześle je kompetentnym władzom".

Już z art. 1. tegoż statutu wynika, że w CSS będą mieć najczęstsze zastosowanie artykuły 99—113 kodeksu karnego z roku 1932. W związku z tym uznałem za stosowne, by wspólnie z Bipem w broszurze „Nakazy", wydanej przez Kierownictwo Walki Podziemnej w r. 1943, podać do wiadomości rodzaje przestępstw, które karane będą śmiercią:

„Kara śmierci grozi każdemu, kto zdradza tajemnice organizacji niepodległościowych, kto współdziała w zaciągu lub zaciąga się do służby w niemieckich formacjach wojskowych lub policji niemieckiej, kto stoi na usługach wywiadu niemieckiego, kto drogą denuncjacji spowodował prześladowanie, uwięzienie, zesłanie lub śmierć obywatela państwa polskiego, kto szantażuje obywateli państwa polskiego, ukrywających się przed gestapo, kto wielokrotnym i ciągłym działaniem przestępczym znęca się nad obywatelami państwa polskiego, kto bierze udział w mordowaniu obywateli państwa polskiego".

Obsadzenie stanowiska przewodniczącego CSS nie było rzeczą łatwą. Wiadomo, że w razie wykrycia osobowego składu sądu podziemnego czekały aresztowanych tortury podczas śledztwa, a potem męczeńska śmierć w Oświęcimiu. Poza tym należy uwzględnić, że w Polsce podczas wojny 5500 sędziów, adwokatów i prokuratorów straciło życie.

Pomimo wielu obiektywnych trudności sądy podziemne w okręgu krakowskim zostały powołane już w pierwszej połowie 1943 r. Pierwszym przewodniczącym CSS w Krakowie był dr *Rudolf Günthner*, a po nim objął tę funkcję sędzia mgr *Jerzy Nasierowski*. Działalność sądu podziemnego była tak zakonspirowana, że nikt poza ściśle zainteresowanymi nie znał ani nazwisk sędziów, ani też lokali, w których odbywały się posiedzenia sądu. CSS działał do października 1944 roku. Zawieszenie jego czynności spowodowane zostało koniecznością skierowania wszystkich zorganizowanych sił cywilnych do niesienia pomocy wysiedleńcom ze zburzonej Warszawy. W okresie swej działalności CSS w Krakowie wydał 67 wyroków śmierci na przestępców współdziałających z władzami niemieckimi. Wśród skazanych byli ludzie, którzy okazali się zupełnie niewrażliwi na moralne kary wymierzone im przez komisje sądzące i brnęli w coraz to większe przestępstwa, łakomi na niemieckie karty przydziałowe na ubrania, buty, skórę, gumę, sacharynę i wódkę, albo pragnący się zemścić za próby wyłączenia ich ze społeczeństwa. Innych sprowadziła na manowce żądza znaczenia i władzy, a władzę posiąść można było najłatwiej, przyłączając się do tych, którzy ją posiadali. Poszli na służbę w policji niemieckiej z tchórzostwa, aby się wyzwolić od strachu przed nią. Naprzód terroryzowali swe otoczenie, rzucając pogróżki pod adresem swoich osobistych wrogów, a potem z dużym napięciem zawziętości realizowali je donosami. A wszyscy chcieli na swój sposób uprościć i ułatwić sobie życie.

Zebranie materiałów w celu udowodnienia przestępstwa było oczywiście w warunkach

okupacyjnych sprawą trudną. Sąd opierał się na materiałach dowodowych, dostarczonych mu przez wywiad Kierownictwa Oporu Społecznego, wywiady stronnictw politycznych oraz wywiad wojskowy. Wśród skazanych była stosunkowo duża liczba „dostawców więźniów do Oświęcimia", jak delikatnie zwą dziś polskich konfidentów obrońcy esesmańskich ludobójców oświęcimskich. Sąd nie stawał na stanowisku, że oskarżony *tempore criminis* nie zdawał sobie sprawy ze skutków swego czynu, bo całe społeczeństwo było poinformowane o okropnościach kaźni narodów w Oświęcimiu. Toteż każda wieść o wykonaniu wyroku na konfidencie, który donosami swymi spowodował zsyłkę choćby jednego Polaka do Oświęcimia lub innego obozu koncentracyjnego, przyjmowana była przez społeczeństwo polskie z pełną aprobatą i ulgą.

Przytoczę tu przykładowo w pełnym brzmieniu kilka wyroków CSS w Krakowie na przestępców z powiatu limanowskiego, nowosądeckiego, miechowskiego, wadowickiego, bialskiego, dąbrowskiego, tarnowskiego i myślenickiego:

„W imieniu Rzeczypospolitej Cywilny Sąd Specjalny w Krakowie na podstawie uprawnień od czynników oficjalnych w Kraju z woli Rządu Rzeczypospolitej Polskiej po rozpoznaniu spraw J. N., wójta gminy Ł., oskarżonego o to, że zadenuncjował 3 obywateli polskich do gestapo, czym spowodował ich aresztowanie i wywiezienie do Oświęcimia oraz o to, że wykazuje nadmierną gorliwość w wysługiwaniu się okupantowi — uznał go winnym popełnienia powyższych czynów i skazał go za nie na karę śmierci".

Wyrok wykonano 8. X. 1943 r. przez zastrzelenie.

„W imieniu Rzeczypospolitej Cywilny Sąd Specjalny w Krakowie na podstawie uprawnień od czynników oficjalnych w Kraju z woli Rządu Rzeczypospolitej Polskiej po rozpoznaniu spraw J. B., zamieszkałego w P., powiat Nowy Sącz, oskarżonego o to, że w kwietniu 1942 roku zadenuncjował do władz niemieckich 2 Polaków za słuchanie radia i działalność polityczną, czym spowodował ich aresztowanie i śmierć w Oświęcimiu, oraz że spełniając funkcje konfidenta gestapo tropił ukrywających się żołnierzy polskich i gnębił ludność systematycznymi donosami — uznał go winnym popełnienia czynów zarzucanych mu w akcie oskarżenia i skazał go za nie na karę śmierci".

Wyrok wykonano 10. X. 1943 r. przez zastrzelenie.

„W imieniu Rzeczypospolitej Cywilny Sąd Specjalny w Krakowie na podstawie uprawnień od czynników oficjalnych w Kraju z woli Rządu Rzeczypospolitej Polskiej po rozpoznaniu spraw W. W., rejonowego komisarza policji granatowej w D., oskarżonego o to, że w roku 1941 aresztował 5 osób z jednej rodziny, skutkiem czego wywiezione zostały do Niemiec, gdzie zmarły, następnie o to, że w roku 1943 podejrzewając pewną Polkę o działalność w organizacjach podziemnych, aresztował ją i spowodował jej wywiezienie do Oświęcimia, a wreszcie z nadmiernej gorliwości w wykonywaniu rozkazów okupanta gnębi ludność okoliczną odbieraniem żywności, nakładaniem kar pieniężnych i znęcając się na niej biciem i kopaniem — uznał go winnym czynów zarzuconych w akcie oskarżenia i skazał go za nie na karę śmierci".

Wyrok wykonano w dniu 4. X. 1943 r. przez zastrzelenie.

„W imieniu Rzeczypospolitej Cywilny Sąd Specjalny w Krakowie na podstawie uprawnień od czynników oficjalnych w Kraju z woli Rządu Rzeczypospolitej Polskiej po rozpoznaniu spraw ks. *A. S.*, wikarego w L., oskarżonego o to, że wspólnie z *A. S.*, urzędnikiem prywatnym, oraz *P. D.*, rolnikiem zamieszkałym w L., w miesiącu maju i czerwcu 1943 r. działał w ścisłym porozumieniu z władzami okupacyjnymi, denuncjując wydał w ręce gestapo jedną osobę narodowości polskiej, która to osoba została rozstrzelana w dniu 14. VI. 1943 r. oraz że w miesiącu czerwcu i lipcu działając nadal w porozumieniu z władzami niemieckimi, wydał w ręce gestapo dalsze 22 osoby narodowości polskiej, które również zostały rozstrzelane w gminie L. 3. VII. 1943 r. — uznał go winnym popełnienia powyższych czynów przestępczych i skazał go za nie na karę śmierci".

Wyrok wykonano 21. X. 1943 r. przez zastrzelenie w B. *E. B.* z T. skazano „za zadenuncjonowanie jednego Polaka o posiadanie broni, czym spowodowała wywiezienie go do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie został zamęczony"; *J. R.*, pracownika rolnego z Ł., powiat Biała, „za systematyczne denuncjonowanie robotników ukrywających się przed policją niemiecką i powodowanie wysłania ich do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu".

Wedle raportu *Mariana Bomby* (pseudonim: *Roman*), komendanta Gwardii Ludowej PPS, oddział Socjalistycznego Batalionu Śmierci (SBŚ), działając z ramienia Kierownictwa Walki Podziemnej we wrześniu 1943 roku, zastrzelił 18 września tegoż roku w Tęgoborzu *J. G.*, wójta gminy zbiorowej Ł. D., byłego organistę, obywatela państwa polskiego, *volksdeutscha*, skazanego na śmierć przez Cywilny Sąd Specjalny w Krakowie za to, „że w r. 1942 i 1943 działając w charakterze konfidenta gestapo, spowodował aresztowanie na terenie gminy Ł. D. ponad 40 osób, z których 23 zmarło śmiercią męczeńską w Oświęcimiu i z masakry w Michalczowej 26. VI. 1943 r., a nadto, że znęcał się nad Polakami, wywłaszczając ich z majątku lub raniąc z broni palnej". Ze skazanym musiał oddział specjalny stoczyć walkę, ponieważ G. zabarykadował się w swym mieszkaniu i ostrzeliwał się z pistoletu maszynowego i karabinu [4].

Warto zacytować jeszcze kilka urywków z dokumentacji publikowanej tutaj po raz pierwszy:

Na karę śmierci skazani zostali:
— *W. W.*, ur. 5. III. 1909, zamieszkały w Ż., robotnik w fabryce w N., „za to, że od r. 1940 pełnił funkcje konfidenta gestapo i w tym charakterze działając spowodował aresztowanie 23 osób, spośród których 14 zmarło w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu";
— *A. K.*, rolnik z S. W., gmina G., „za to, że 1) w lutym 1942 był głównym sprawcą aresztowania 6 Polaków i ich śmierci w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, 2) dnia 6. VII. 1943 r. namawiał jednego Polaka do służby na rzecz wroga, 3) sporządził listę

[4] Po serii akcji bojowych, gdy oddział ten wracał koleją do swej bazy w Krakowie, został w pociągu między Tymbarkiem a Dobrą zaskoczony przez Niemców z *Bahnschutzpolizei*, którzy po kontroli dokumentów chcieli przeprowadzić u bojowców rewizję osobistą. Ci zaś, błyskawicznie wyciągnąwszy pistolety, zabili żandarmów, odebrali im broń, wysiedli z pociągu i pieszo powrócili do Krakowa bez żadnej straty w ludziach.

osób współdziałających z akcją oporu przeciw okupantom i spowodował aresztowanie 5 Polaków, 4) brał czynny udział w łapankach ludzi na roboty do Rzeszy oraz informował żandarmerię o sposobach wywierania represji na ludności, 5) jako członek komisji kontyngentowej krzywdził ludność ubogą, 6) utrzymywał zażyłe stosunki z gestapowcem *Wiesnerem* z Nowego Sącza";

— *T. G.*, ur. 16. II. 1903 r., szef bezpieczeństwa w fabryce związków azotowych w M., „za współudział w aresztowaniu 73 pracowników tejże fabryki, spośród których 8 zmarło śmiercią męczeńską w Oświęcimiu oraz za katowanie robotników";

— *J. A.*, lat 27, nauczyciel zamieszkały w O., gmina N., „za to, że 1) doniósł do gestapo ks. *Piotra Przywarę*, administratora parafii, że ten ukrywa u siebie podejrzane osoby, wskutek czego ks. *Przywara* został w lipcu 1942 r. aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Dachau, 2) jest konfidentem gestapo, któremu donosi o przemarszach przez wieś obcych ludzi i tych, którzy z nimi rozmawiają, 3) śledzi osoby ukrywające się przed okupantem, 4) spowodował aresztowanie 7 osób w gromadzie O., które prawie wszystkie zginęły w więzieniu";

— *J. Ś.*, sołtys gromady Z., i *A. S.*, agronom wiejski z Z., „za to, że 1) w marcu 1943 r. działając w ścisłym porozumieniu ze sobą podstępnie zwabili na posterunek policji granatowej w Sieprawiu 11 Polaków, z zemsty osobistej oskarżyli ich o przestępstwa pospolite, czym spowodowali ich aresztowanie, zesłanie do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu i śmierć, 2) jesienią 1943 r. nałożyli na ludność kontyngent zbożowy ponad normę przez władze wyznaczoną, a nadwyżkę zabrali dla siebie".

Nie ma potrzeby dalszego przytaczania tego rodzaju przykładów. Zresztą w okręgu krakowskim działały cywilne sądy specjalne także w niektórych inspektoratach, tj. na terenach obejmujących kilka powiatów. Sądy te istniały również w innych okręgach okupowanej Polski, a szczególnie sprawnie działał CSS w Warszawie. Ponadto konfidentów, winnych zesłania swych ofiar do Oświęcimia, tępiły wojskowe sądy specjalne w Armii Krajowej oraz organizacje zbrojne, jak Bataliony Chłopskie i Armia Ludowa.

Możemy z dowodami w ręku stwierdzić, że procesy przeciwko konfidentom, którzy byli dostawcami więźniów do obozu w Oświęcimiu, mamy już za sobą, nie musimy ich dopiero wszczynać, jak by tego sobie życzyli przeciwnicy kontynuowania procesów przeciw esesmańskim oprawcom oświęcimskim. Polska podziemna postarała się o to, aby polskie sądy podziemne nie przypominały sądów kapturowych w niemieckich korpusach ochotniczych, w których triumfowała nie ograniczona żadnym prawem samowola w określaniu czynu przestępnego.

W imię prawdy godzi się jednak przyznać, że w polskim społeczeństwie z posiewu demoralizacji spowodowanej warunkami wojennymi ujawniło się zjawisko samowoli w dysponowaniu życiem obywatela państwa polskiego. Pod autorytet sądów podziemnych bowiem podszywać się zaczęły różne amoralne indywidua, które z zemsty osobistej albo w celu zdobycia korzyści materialnych przesyłały swoim bliźnim wyroki śmierci. Ten niewybredny środek terroryzowania rodaków zdemaskowało oficjalne obwieszczenie Kierownictwa Walki Podziemnej, informujące za pośrednictwem prasy konspiracyjnej, że żaden sąd specjalny nie przesyła pisanych wyroków skazanemu.

Pojawili się również różnego autoramentu oszuści, którzy na poczet rzekomego uwolnienia więźnia z obozu w Oświęcimiu wyłudzali od upatrzonych przez siebie ofiar wysokie opłaty. A wreszcie zaczęły się mnożyć zbrojne bandy, które nocą napadały na spokojnych obywateli i obrabowywały ich bez skrupułów.

Wobec rozszerzającej się orgii tych przestępstw byliśmy bezsilni, bo żadne prawo podziemne nie regulowało tego problemu. Twórcy statutu sądów specjalnych nie liczyli się nawet z możliwością powstania tego zjawiska społecznego. Wreszcie 31 stycznia 1944 roku wyszło oczekiwane postanowienie rządu, podpisane przez pełnomocnika rządu na kraj, a mające radykalnie zatamować falę tych przestępstw. Treść jego jest następująca:

„Społeczeństwo polskie, wyniszczane przez bestialski terror, prześladowania i grabieże okupanta, cierpi również dotkliwie od szerzących się ostatnio zbrodni pospolitych, a szczególnie bandytyzmu i szantaży. Przestępcy niekiedy, zwłaszcza gdy chodzi o zdobycie pieniędzy, działają pod płaszczykiem akcji patriotycznej. Wobec tego zarządziłem, aby podziemne organy bezpieczeństwa, zorganizowane siły społeczne, podjęły niezwłoczną walkę ze zbrodniarzami nękającymi społeczeństwo polskie. Zbrodniarze schwyceni na gorącym uczynku będą niezwłocznie tracени na miejscu. Nazwiska skazanych będą ogłaszane w prasie podziemnej".

Dnia 7 lutego 1944 r. ukazało się rozporządzenie powołujące do życia tzw. placówki ekspozytury śledczej, czyli w skróceniu „pesy", które mają wykrywać i tępić:

„1) rozboje i zuchwałe kradzieże oraz zabójstwa dokonywane z niskich pobudek,
2) wymuszanie łapówek i szantaże z tytułu pełnienia funkcji w administracji okupanta,
3) wymuszanie datków na nieistniejące organizacje niepodległościowe,
4) oszukańcze wyłudzanie korzyści materialnej na tle pośrednictwa w uwalnianiu aresztowanych za działalność niepodległościową,
5) szantaże i wymuszanie korzyści materialnych na tle pochodzenia i działalności politycznej".

Podkreślić należy tę właśnie piątą kategorię przestępstw. Innymi słowy — tłumiono głosy: tyś socjalista, tyś komunista, tyś Żyd: jeśli nie zapłacisz, to cię zdradzę. Albo punkt czwarty, który godził na przykład w bezkarnie żerującego na cudzym nieszczęściu „sędziego" K.; człowiek ten w Krakowie i na Śląsku pobierał 30—50 tysięcy złotych okupacyjnych za rzekome uwalnianie więźniów z obozu w Oświęcimiu. Punkt trzeci zmierzał do skończenia z szantażowaniem spokojnych obywateli „wyrokami" śmierci w razie niewypłacenia wyznaczonej im sumy na rzecz jakiejś „Komendy Zbrojnego Wyzwolenia", jakiejś „Polskiej Organizacji Walki Zbrojnej", „Tajnego Związku Obrony Polski", „Komendy Konspiracyjnej", jakiejś bandy o enigmatycznym kryptonimie ZWC 3, jakiegoś spod ciemnej gwiazdy „kierownika walki podziemnej", „komendanta placówki Czardasza Rotmistrza" itp.

Zadania „pesów", wedle cytowanego powyżej zarządzenia, były następujące: 1) pokrycie swego terenu siecią wywiadu, 2) prowadzenie

dochodzeń zmierzających do wykrywania sprawców przestępstw, 3) przesyłanie wyników dochodzeń sądom specjalnym, 4) wykonywanie wyroków sądów specjalnych.

Schwytani na gorącym uczynku bandytyzmu powinni być traceni na miejscu. Sprawozdanie ze stracenia bandytów powinno być przedstawiane bezzwłocznie sądom specjalnym wraz z umotywowaniem i wnioskiem o zatwierdzenie. W skład „pesu" wchodzi: kierownik „pesu", jeden bądź dwóch jego zastępców, brygada wywiadowcza składająca się z kilku lub kilkunastu ludzi, brygada likwidacyjna w sile 5—9 wywiadowców uzbrojonych, sekretarz i personel kancelaryjno-rejestracyjny. Obsada osobowa „pesu" powinna się składać z ludzi stojących na wysokim poziomie etycznym, mających zrozumienie dla ważności zagadnienia bezpieczeństwa, zdolności śledczo-dedukcyjne oraz wyrobienie życiowe i obywatelskie.

I jeszcze jedno. Według „wytycznych w sprawie walki z przestępczością" ogólne kierownictwo walki z przestępczością kryminalną sprawują delegaci okręgowi i powiatowi, poruczając jej wykonanie podległym im członkom Korpusu Bezpieczeństwa (KB) i Straży Samorządowej (SS). Pomocy mają im również udzielać placówki wywiadu wojskowego i stronnictw politycznych. Ponieważ jednak w okręgu krakowskim KB był słabo rozwinięty, przeto funkcje powiatowych komendantów „pesów" w powiecie krakowskim, myślenickim, limanowskim, nowosądeckim, gorlickim, bocheńskim i miechowskim pełnili powiatowi kierownicy Oporu Społecznego. Na ogół „pesy" jako pomocniczy organ sprawiedliwości zaczęły działać dopiero w drugiej połowie 1944 roku, a ściśle biorąc: od lipca do końca listopada. Żadnego sądu ani żadnej placówki ekspozytury śledczej nie udało się hitlerowcom zdekonspirować, choć o istnieniu ich wiedzieli. Okupant próbował podziemie polskie szantażować liczbami, ogłaszając, że w drugim kwartale 1944 roku zostało rozstrzelanych z list śmierci 2617 osób. Ale w Polsce nie było nikogo, kto by nie wiedział, że w tymże czasie w obozach koncentracyjnych, więzieniach i podczas krwawych pacyfikacji wsi polskich padło ofiar nieporównanie więcej. Społeczeństwo polskie wiedziało, że rozstrzeliwania i zesłania do obozu w Oświęcimiu nie są represjami za wykonywanie wyroków na konfidentach ani w ogóle za ruch oporu, ale po prostu wykonywaniem hitlerowskiego planu wyniszczania narodu.

Prawda, że wymiar kar orzekanych przez sądy specjalne był surowy, ale trzeba tu uwzględnić wyjątkowe warunki wojenne, które nakazywały, aby za wszelką cenę zachować moralne zdrowie społeczeństwa. Sądy specjalne spełniały w czasie wojny misję profilaktyczną na podobieństwo chirurga, który nieraz zmuszony jest wyciąć wrzód lub amputować kończynę opanowaną przez gangrenę, aby uratować resztę organizmu.

Po upadku państwa polskiego, gdy okupant srożył się terrorem, społeczeństwo pozostawione samo sobie szukało wiary w Polskę, toteż każdy przejaw trwania tej Polski, choćby w podziemiu, przyjmowany był z radością. Świadomość, że istnieją polskie organy wymiaru sprawiedliwości, kładące kres przestępnym czynom moralnie zepsutych jednostek, dawała otuchę do przetrwania koszmarnych warunków okupacyjnego życia.

ADAM KOPYCIŃSKI Wrocław
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 25294

Skład orkiestry obozowej w Oświęcimiu

Kiedy na życzenie redakcji „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim" napisałem wspomnienie o życiu muzycznym w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu [1], redaktor na zakończenie tego artykułu zamieścił szereg nazwisk artystów, więźniów, którzy chwile wolne poświęcili na zorganizowanie oświęcimskiego zespołu muzycznego, biorąc w nim żywy udział.

Ogarnęło mnie dziwne uczucie, przed oczyma przewijali się koledzy, którym nie dane było doczekać dnia wyzwolenia. Zapragnąłem pokusić się o wygrzebanie z zakątków pamięci nazwisk wszystkich muzyków, którzy przewinęli się przez ten dziwny zespół. Osiągnąwszy pokaźną listę, rozesłałem ją do kolegów *(Adama Wysockiego, Antoniego Gargula, Maksymiliana Piłata, Antonowicza)* i otrzymywałem od nich ciągle coraz to nowe nazwiska, za co im w tym miejscu jak najbardziej dziękuję.

Dzięki tej żmudnej pracy można będzie imiennie już złożyć hołd pamięci tych, których życie tak okrutnie zostało przerwane i zniweczone.

Nie mogę zapomnieć *Adama Gębicza*, którego okrzyk: „Niech żyje Polska!" w momencie rozstrzeliwania rozlegał się daleko poza mury dziedzińca śmierci, lub *Pietrzaka*, któremu *Palitsch* wspaniałomyślnie zezwolił zagrać ostatniego w życiu marsza. Widzę roześmianą twarz *Sajenczuka*, którego oprawcy w kilka godzin później pozbawili życia.

Cieszę się, że udało nam się odszukać nazwiska kolegów ze Związku Radzieckiego, którzy rozbrajali wszystkich swoją nieprawdopodobną miłością do sztuki, czy też nazwiska braci z Czechosłowacji, a nawet Niemców.

[1] *A. Kopyciński*: Orkiestra w oświęcimskim obozie koncentracyjnym. Przegl. Lek., 1964, nr 1, str. 112—116.

Spis ten, niestety, nie obejmuje muzyków narodowości żydowskiej, z których pod koniec roku 1944 składała się oświęcimska orkiestra. Będę czynił starania w celu uzyskania nazwisk tych ludzi, zwiezionych z całej Europy. Chciałbym im poświęcić jedno wspomnienie, gdyż dla nich możność muzykowania, nawet w tak koszmarnych chwilach, zdawała się przywracać człowieczeństwo.

Jeżeli mimo starań związanych z układaniem spisu ktoś z czytelników znajdzie omyłkę, niechaj napisze do redakcji, gdyż chcielibyśmy być pewni, że nie ominęliśmy nikogo z muzyków, którzy udowodnili swą postawą, że godności artysty nie splamili.

Spis uwzględnia kolejno — w miarę możności — następujące dane: imię, nazwisko, narodowość, numer obozowy, instrument i informacje pozostałe.

1. *Andreskowski*, Polak z Bydgoszczy, trąbka.
2. *Mieczysław Aniołkiewicz*, Polak, nr 9412, akordeon.
3. *Stanisław Aniołkiewicz*, Polak, perkusja.
4. *Jarosław Antonowicz*, Polak, tenor-baryton.
5. *Mieczysław Arasimowicz*, Polak, nr 8296, saksofon.
6. *Stanisław Arct*, Polak, nr 12654, rozstrzelany.
7. *Antoni Babiczek*, Czech, nr 22047, altówka.
8. *Wacław Bąk*, Polak.
9. *Baranicki*, Polak.
10. *Zygmunt Brzeziński*, Polak, nr 75015, klarnet.
11. *Jerzy Buras*, Polak.
12. *Anton Černiček*, Czech, nr 63288, altówka.
13. *Emanuel Chlebicki*, Polak, fagot.
14. *Tadeusz Cholewa*, Polak, klarnet.
15. *Henryk Cimochowicz*, Polak, nr 22826, flet.
16. *Czaja*, Polak.
17. *Czepiczek*, Czech.
18. *Wasilij Diakanow*, Rosjanin, zmarł na gruźlicę na wolności.
19. *Bernard Dondalski*, Polak, nr 21384, klarnet, zmarł w Ebensee.
20. *Tadeusz Dudzik*, Polak nr 11835, klarnet.
21. *Eugeniusz Dulin*, Polak, klarnet, zmarł w Oświęcimiu.
22. *Dziedzic*, Polak, kontrabas.
23. *Franciszek Dzierża*, Polak, skrzypek, zmarł w Neuengamme.
24. *Helmut Eisenach*, Niemiec, kontrabas.
25. *Mieczysław Figiel*, Polak.
26. *Henryk Gadomski*, Polak, nr 8074, kompozytor.
27. *Antoni Gargul*, Polak, klarnet, *viola*.
28. *Stefan Gąsiorowski*, Polak, klarnecista.
29. *Adam Gębicz*, Polak, klarnet, rozstrzelany.
30. *Jan Gdaniec*, Polak, nr 23629, śpiewak.
31. *Antoni* (Salomon?) *Glogier*, Polak, nr 65597, skrzypek.
32. *Głowniak*, Polak.
33. *Wojciech Gniazdowski*, Polak, nr 10233.
34. *Gniazdowski*, brat poprzedniego, obu braci nazywano w obozie *Lelum Polelum*.
35. *Wacław Gouszek*, Polak, puzonista.
36. *Józef Górski*, Polak, trąbka.
37. *Aleksander Gross*, Polak, nr 19286, skrzypce.
38. *Czesław Grzybowski*, Polak, perkusja.
39. *Jan Hildebrandt*, Polak, nr 9228, skrzypek.
40. *Tadeusz Imiołek*, Polak, nr 9213, trąbka.
41. *Władysław Jankowski*, Polak, nr 16381, róg.
42. *Czesław Jaśkiewicz*, Polak, róg.
43. *Nikołaj Jewstratow*, Rosjanin, trąbka.
44. *Paweł Juraszek*, Polak, flet.
45. *Władysław Kasza*, Polak, tuba.
46. *Keller*, Polak.
47. *Stefan Kołaczek*, Polak, alt.
48. *Karol Kopka*, Polak.
49. *Adam Kopyciński*, Polak, nr 25294, dyrygent.
50. *Andrzej Kos*, Polak, skrzypek.
51. *Kazimierz Kotkiewicz*, Polak, klarnet.
52. *František Krafek*, Czech, śpiewak.
53. *Witold Krajewski*, Polak, obój?
54. *Józef Kropiński*, Polak, nr 4275, skrzypek.
55. *Henryk Król*, Polak, skrzypek.
56. *Mieczysław Krzyński*, Polak, dyrygent.
57. *Adam Kucharski*, Polak, wiolonczela.
58. *Józef Kulikowski*, Polak, nr 12604, skrzypek, zmarł w Neugamme.
59. *Wacław Kunc*, Czech, lutnik, flecista, zmarł na wolności.
60. *Witold Kwiatkowski*, Polak, obój.
61. *Franciszek Lewandowski*, Polak, klarnet.
62. *Teodor Liese*, Polak, skrzypek.
63. *Bronisław Łodygowski*, Polak, alt, zmarł w obozie.
64. *Ignacy Łukasiewicz*, Polak, klarnet.
65. *Kazimierz Maciaszczyk*, Polak, nr 35514, skrzypek, zmarł w obozie.
66. *Czesław Maciejko*, Polak, róg.
67. *Henryk Mazanek*, Polak, puzon.
68. *Władysław Miłkowski*, Polak, fagot.
69. *Stanisław Murawski*, Polak, nr 23661, saksofon.
70. *Witold Myszkowski*, Polak, śpiewak, zmarł po wyjściu z obozu.
71. *Franciszek Nawalany*, Polak, kontrabas, tuba.
72. *Roman Niemczewski*, Polak.
73. *Franciszek Nierychło*, Polak, nr 994, dyrygent, obój.
74. *Adam Nowacki*, Polak, skrzypek, zmarł w Buchenwaldzie.
75. *Wincenty Ogiewa*, Polak, klarnecista.
76. *Nikodem Pawelski*, Polak, puzon.
77. *Mieczysław Pawłowski*, Polak, nr 9488, skrzypek, rozstrzelany 9. XI. 1943 r.
78. *Pelikan*, Czech, altówka.
79. *Max Peller*, Niemiec z Weimaru, nr 157299, skrzypce.
80. *Józef Piasecki*, Polak, kontrabas, tuba, zmarł na wolności.
81. *Marian Pietrzak*, Polak, wiolonczelista, rozstrzelany.
82. *Maksymilian Piłat*, Polak, nr 5131, fagot-sax.
83. *Mieczysław Pindras*, Polak.
84. *Michał Piszczałko*, Rosjanin, trębacz.
85. *Franciszek Porządny*, Polak, klarnet-sax.
86. *Józef Preisner*, Polak, nr 117777 (?), skrzypek.
87. *Grigorij Prokopienko*, Rosjanin, róg.
88. *Henryk Rajn*, Żyd z Polski, skrzypce.
89. *Tadeusz Reder*, Polak, nr 14659, puzon.
90. *Jerzy Reiman*, Polak, śpiewak, zginął w Buchenwaldzie.
91. *Józef Rura*, Polak, puzon.
92. *Józef Rutkowski*, Polak, puzon.
93. *Mieczysław Sajenczuk*, Polak, perkusja, rozstrzelany.
94. *Jerzy Sapiński*, Polak, skrzypek.
95. *Bolesław Sarkowicz*, Polak, tenor.
96. *Jakub Segar* (?), Cygan, skrzypek.
97. *Josef Sedlaček*, Czech, nr 20484, altówka, alt.
98. *Józef Sendal*, Polak, trąbka, wiolonczela.
99. *Mikołaj Siemionow*, Rosjanin, trąbka.
100. *Tadeusz Sikorski*, Polak, nr 13128, wiolonczela.
101. *Józef Sitko*, Polak, wiolonczela, zmarł na wolności.
102. *Józef Ślizowski*, Polak, kontrabas, zmarł w Oświęcimiu.
103. *Tadeusz Śmiałek*, Polak.
104. *Franciszek Sobik*, Polak, trąbka.
105. *Czesław Sowul*, Polak, nr 167, perkusja.
106. *Paweł Spiktarienko*, Rosjanin, klarnet.
107. *Stanisław Staruch*, Polak.
108. *Bronisław Stasiak*, Polak, nr 31309, trąbka.
109. *Henryk Staszek*, Polak, nr 63722, skrzypce, trąbka.
110 *Stanisław Staszek*, Polak, trąbka.
111. *Edmund Stefański*, Polak, perkusja.
112. *Stępień*, Polak, saksofon.
113. *Ignacy Stopka*, Polak, nr 86261, klarnet.
114. *Józef Strasil*, Czech, nr 17066, obój.
115. *Franciszek Stryj*, Polak, skrzypce.
116. *Jarosław Stverka*, Czech, altówka, saks.
117. *Andrzej Sumara*, Polak, skrzypek.
118. *Jan Surmacz*, Polak, nr 14228, tuba.
119. *Stibor* (?) *Svoboda*, Czech, nr 126336.
120. *Jan Szumiłło* vel *Józef Szumik*, Polak, nr 15351, baryton.
121. *Jan Szustek*, Polak, trąbka.
122. *Roman Szymała*, Polak, nr 67773, akordeon, trąbka.

123. *Józef Szymoniak*, Polak, ur. 1897 r., zm. 11. VII 1942, nr 37942.
124. *Józef Szymoniak*, Polak, ur. 18. III. 1918, nr 11635.
125. *Bernard Szynau*, Polak, puzonista.
126. *Henryk Szczykutowicz*, Polak.
127. *Franciszek Tobolla*, Polak, nr 844, klarnet, saks.
128. *Jan Walewski*, Polak, zagazowany.
129. *Edmund Więckowski*, Polak, skrzypek, baryton.
130. *Witold Wilga*, Polak, skrzypek.
131. *Stanisław Wolak*, Polak, nr 1058 (?), flet, zmarł na gruźlicę w Sachsenhausen.
132. *Zygmunt Wojszczyk*, Polak, nr 5482, trąbka, perkusja, zmarł na wolności.
133. *Adam Wysocki*, Polak skrzypek, flet, kontrabas, śpiewak.
134. *Jerzy Mieczysław Vogel*, Polak, pianista.
135. *Czesław Zaburda*, Polak, skrzypek.
136. *František Zeleny*, Czech, nr 39336, śpiewak, obój.
137. *Rudolf Zytek*, Polak, nr 17802, róg.
138. *Konrad Żelechowski*, Polak, nr 13665, śpiewak rozstrzelany.
139. *Ludwik Żuk*, Polak, nr 37939, klarnet.
140. *Stanisław Żurawski*, Polak, nr 9148, saksofon.
141. *Żychowski*, Polak.
142. *Józef*, Polak z Tyńca, nr 114645, klarnet, rozstrzelany.
143. ?, nr około 107-tysięczny, z Żywca, organista.
144. *Franek*, Polak ze Skarżyska.
145. Polak z Dziedzic, trębacz.
146. *Wania*, Rosjanin, drugi klarnecista.

W spisie tym znajduje się 124 muzyków Polaków, a spośród innych narodowości: 1 Cygan, 12 Czechów, 7 Rosjan i 2 Niemców.

Stosownie do § 25 pkt. 1 statutu Polskiego Towarzystwa Lekarskiego Zarząd Główny zawiadamia, że w **dniu 25 lutego 1966 r.**, o godz. 12, w lokalu Towarzystwa (W-wa, Aleje Ujazdowskie 24), odbędzie się Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Delegatów PTL, z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie.
2. Nadanie godności członka honorowego Polskiego T-wa Lekarskiego zgłoszonym kandydatom (§ 22 ust. 1 pkt. 7 statutu T-wa).
3. Wytyczne planu pracy Polskiego T-wa Lekarskiego.
4. Ustalenie formy i zakresu pomocy dla Zrzeszenia Polskich Towarzystw Lekarskich oraz zatwierdzenie związanych z tym zmian w preliminarzu budżetowym Polskiego T-wa Lekarskiego.
5. Sprawa opracowania współczesnego lekarskiego kodeksu etycznego.
6. Wolne wnioski.

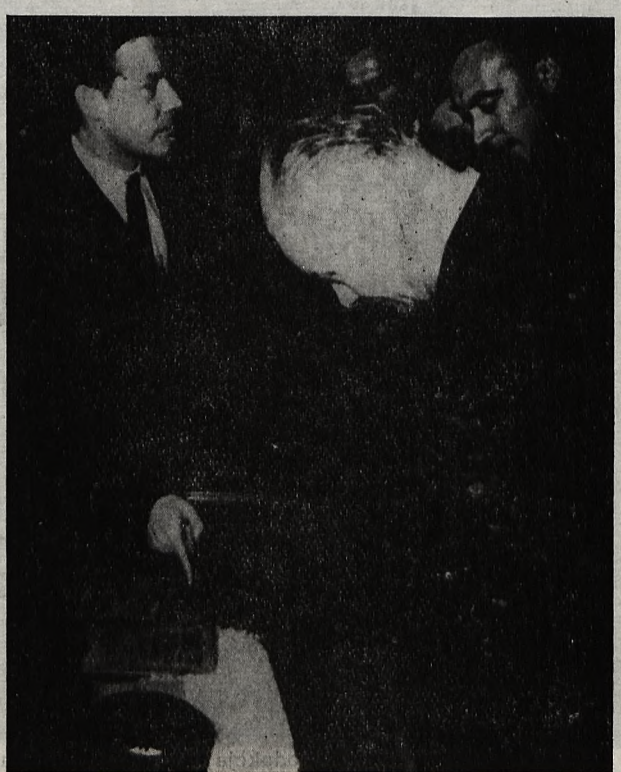
Uwaga

Stosownie do § 22 ust. 2 statutu Towarzystwa wnioski zgłaszane na Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Delegatów PTL winny być podpisane co najmniej przez 15 członków T-wa i wpłynąć do sekretariatu Zarządu Głównego na 15 dni przed terminem Walnego Zgromadzenia, tj. do dnia 3 lutego 1966 r. włącznie.

Sekretarz:
Dr I. Pronaszko-Rzepecka

Prezes:
Prof. dr T. Koszarowski

Po prawej: Minister oświaty Belgii, *H. Janne*, podczas zwiedzania (w dniu 28 kwietnia 1965 roku) byłego obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka



Poniżej: Ambasador Włoch, *Enrico Aillaud*, wraz z towarzyszącymi mu osobami podczas zwiedzania byłego obozu Oświęcim-Brzezinka w dniu 25 kwietnia 1965 roku



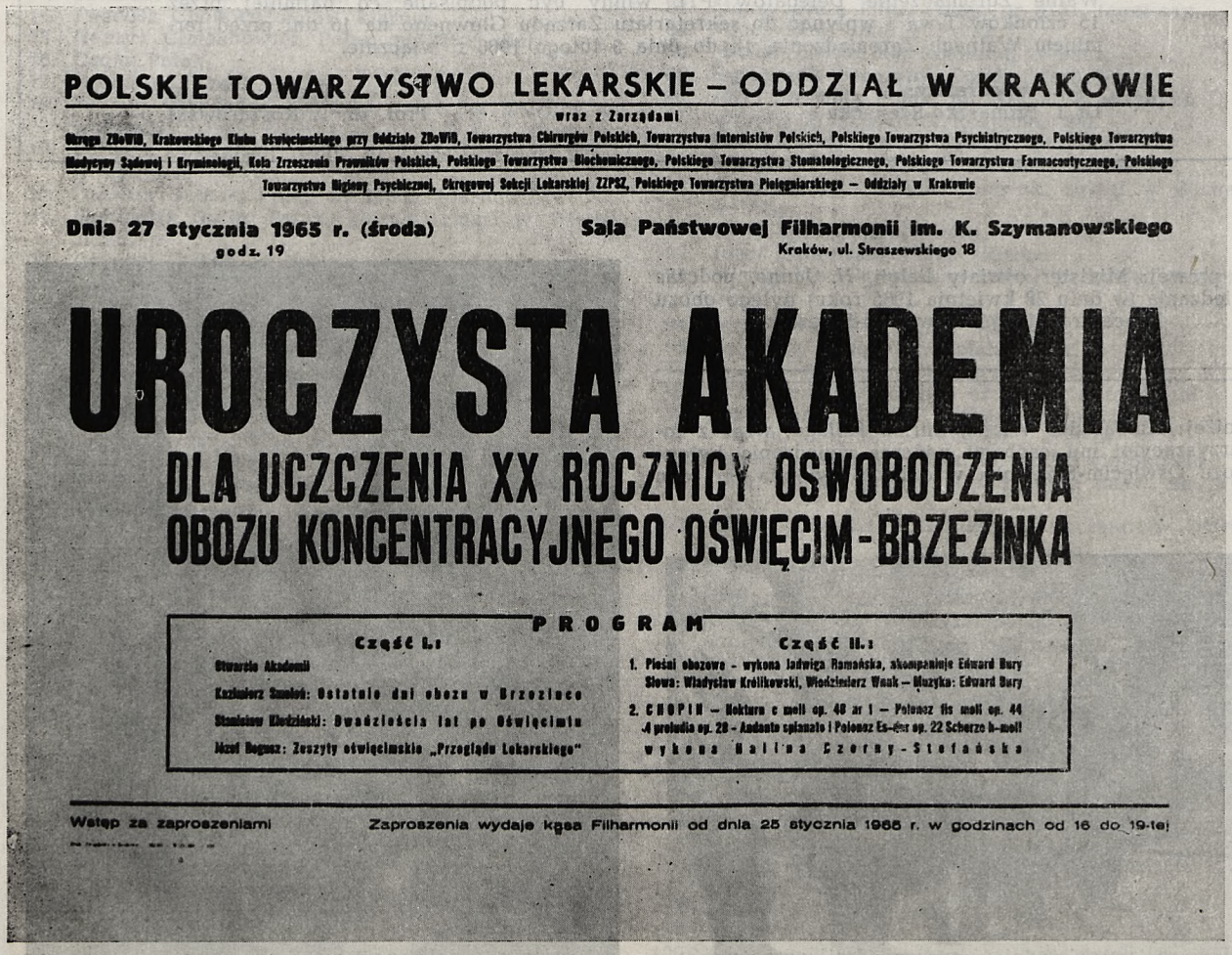
SPRAWOZDANIA

Oddział krakowski Polskiego Towarzystwa Lekarskiego czci dwudziestą rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka

Nawet po upływie dwóch dziesiątków lat trudno znaleźć kogoś w Polsce, kto by mniej lub bardziej nie był dotknięty prześladowaniami hitlerowskimi w okresie minionej wojny. Jeśli nie został sam uwięziony przez okupanta, przesiedlony lub pozbawiony środków do życia, to co najmniej ktoś z bliższej lub dalszej rodziny nie uchronił się przed powszechnie szalejącym wówczas terrorem, a wielu do dzisiaj nawet odczuwa skutki przeżyć z tamtego czasu. Mało też jest rodzin, w których by dzieci i dorastająca młodzież nie dowiadywały się od rodziców i krewnych o martyrologii starszych w okupacyjnym okresie nieludzkim.

Tak dotkliwie niszczył okupant nasz naród, że nawet odległość dwudziestu lat powojennych, stanowiących w naszym kraju całkiem nową epokę, nabrzmiałą problemami rozbudowy gospodarczej i kulturalnej, nie może ułatwić zapomnienia tragedii okupacyjnej. Co więcej, okoliczności nam narzucone, takie jak polityka Niemieckiej Republiki Federalnej, żądania odwetowców, kult siły militarnej tam panujący przyczyniają się z całym naciskiem do tego, abyśmy nie mogli zapomnieć wydarzeń z lat 1939—1945. Pamiętając o tym doświadczeniu, zajmujemy stanowisko zachowania pokoju i udaremnienia grozy nowej wojny i nowych cierpień.

Podobnie jak w rocznicę kampanii wrześniowej i w rocznice innych wielkich bitew drugiej wojny światowej, pod Narwikiem, Stalin-


POLSKIE TOWARZYSTWO LEKARSKIE – ODDZIAŁ W KRAKOWIE

wraz z Zarządami

Okręgu ZBoWiD, Krakowskiego Klubu Oświęcimskiego przy Oddziale ZBoWiD, Towarzystwa Chirurgów Polskich, Towarzystwa Internistów Polskich, Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, Polskiego Towarzystwa Medycyny Sądowej i Kryminologii, Koła Zrzeszenia Prawników Polskich, Polskiego Towarzystwa Biochemicznego, Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego, Polskiego Towarzystwa Farmaceutycznego, Polskiego Towarzystwa Higieny Psychicznej, Okręgowej Sekcji Lekarskiej ZZPSZ, Polskiego Towarzystwa Pielęgniarskiego – Oddziały w Krakowie

Dnia 27 stycznia 1965 r. (środa)
godz. 19

Sala Państwowej Filharmonii im. K. Szymanowskiego
Kraków, ul. Straszewskiego 18

UROCZYSTA AKADEMIA

DLA UCZCZENIA XX ROCZNICY OSWOBODZENIA OBOZU KONCENTRACYJNEGO OŚWIĘCIM-BRZEZINKA

PROGRAM

Część I.:

Otwarcie Akademii

Kazimierz Smoleń: Ostatnie dni obozu w Brzezince

Stanisław Kłodziński: Dwadzieścia lat po Oświęcimiu

Józef Bogusz: Zeszyty oświęcimskie „Przeglądu Lekarskiego"

Część II.:

1. Pieśni obozowe – wykona Jadwiga Ramańska, akompaniuje Edward Bury
Słowa: Władysław Krolikowski, Włodzimierz Wnuk – Muzyka: Edward Bury

2. CHOPIN – Nokturn c moll op. 48 nr 1 – Polonez fis moll op. 44
4 preludia op. 28 – Andante spianato i Polonez Es-dur op. 22 Scherzo h-moll
wykona Halina Czerny-Stefańska

Wstęp za zaproszeniami

Zaproszenia wydaje kasa Filharmonii od dnia 25 stycznia 1965 r. w godzinach od 16 do 19-tej

Ryc. 1. Reprodukcja plakatu zapowiadającego relacjonowaną akademię

gradem, Lenino, Monte Cassino, Kołobrzegiem, pochylamy się z hołdem i czcią nad mogiłami poległych bojowników o wolność waszą i naszą, rodaków i sprzymierzeńców, tak w rocznicę wyzwolenia największego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego i obozu zagłady Oświęcim-Brzezinka corocznie czcimy pamięć tych, którzy zginęli w obozach i więzieniach niemieckich i oddajemy hołd tym, którzy przelali krew za wyzwolenie.

W każdą rocznicę wyzwolenia obozu oświęcimskiego ze szczególną siłą przypominamy społeczeństwu i światu nie tylko o tym właśnie miejscu zagłady, lecz także o wszystkich innych hitlerowskich obozach, którymi *Hitler* zasiał Europę. W szczególnie uroczystą, bo w dwudziestą rocznicę wyzwolenia obozu oświęcimskiego wraz z pokoleniem, dla którego druga wojna światowa jest tylko kartą historii, społeczeństwo polskie urządzając różne uroczystości dało dowód, że w pamięci i w sercu zachowuje żywą pamięć strasznych dni.

Jedną z tych uroczystości była specjalna, publiczna akademia, zorganizowana w Krakowie przez miejscowy oddział Polskiego Towarzystwa Lekarskiego dnia 27 stycznia 1965 roku, tj. w równe 20 lat po wyzwoleniu Oświęcimia-Brzezinki, w sali Państwowej Filharmonii im. Karola Szymanowskiego. Współorganizatorami tej akademii były też inne towarzystwa i organizacje, wymienione na reprodukowanym plakacie (ryc. 1). Przeszło 1100 osób wypełniło salę.

O charakterze akademii, intencjach przyświecających jej organizatorom i o jej celu orientuje tekst zagajenia przewodniczącego:

Otwarcie akademii

W imieniu Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, Zarządu Okręgu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację i Krakowskiego Klubu Oświęcimskiego, w imieniu krakowskich oddziałów lekarskich towarzystw specjalistycznych, Krakowskiego Koła Zrzeszenia Prawników Polskich, Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego, Polskiego Towarzystwa Farmaceutycznego, Okręgowej Sekcji Lekarskiej Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia, Polskiego Towarzystwa Pielęgniarskiego mam zaszczyt otworzyć uroczystą akademię urządzoną dla uczczenia dwudziestej rocznicy oswobodzenia obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Witam bardzo serdecznie i gorąco wszystkich uczestników Akademii. W szczególności pragnę serdecznie przywitać byłych więźniów Oświęcimia i innych hitlerowskich obozów koncentracyjnych, a więc obozów w Bergen-Belsen, Buchenwaldzie, Dachau, Gross-Rosen, Majdanku, Mauthausen-Gusen, Neuengamme, Ravensbrück, Sachsenhausen, Stutthofie i innych.

Rokrocznie czcimy w Krakowie w Towarzystwie Lekarskim rocznicę oswobodzenia przez wojska radzieckie oświęcimskiego obozu koncentracyjnego specjalnym posiedzeniem oraz wydaniem zeszytu „Przeglądu Lekarskiego" poświęconego okupacyjnej tematyce lekarskiej.

Dzisiejsza rocznica, dwudziesta, ma charakter szczególnie uroczysty. Oświęcim, największy hitlerowski obóz zagłady, stał się symbolem wszystkich obozów koncentracyjnych i całego okresu hitlerowskiej okupacji. Dlatego czcimy dziś jako pracownicy służby zdrowia oswobodzenie wszystkich obozów i całego kraju, gdyż okupowana Polska była wówczas jak gdyby jednym wielkim obozem koncentracyjnym.

W pierwszej części dzisiejszej Akademii przypomnimy



Ryc. 2. *Jadwiga Romańska* wykonuje pieśni obozowe przy akompaniamencie *Edwarda Buregą*

krótko niektóre dzieje obozu oświęcimskiego, następnie poświęcimy nieco uwagi refleksjom, jakie nasuwają się po upływie dwudziestu lat w związku z obozem oświęcimskim, a z kolei, również krótko, przedstawimy rozwój naszych specjalnych zeszytów, zwanych „Przegląd Lekarski — Oświęcim". Po tej części nastąpi program artystyczny Akademii.

Z kolei — po odczytaniu nadesłanych depesz i listów — mgr *Kazimierz Smoleń*, były więzień Oświęcimia-Brzezinki nr 96239, wygłosił następujące przemówienie:

Ostatnie dni obozu w Brzezince

W styczniu 1945 roku odnosiło się wrażenie, że obóz koncentracyjny w Brzezince jest całkowicie opustoszały. Cóż bowiem znaczyło 6—7 tysięcy pozostałych tu jeszcze więźniów — z tego co najmniej 3—4 tysiące chorych w szpitalu — w porównaniu ze stanem sprzed pół roku, kiedy liczba więźniów dochodziła okresami do 100 tysięcy. Nie dymiły już kominy krematoryjne, a komory gazowe nie pochłaniały codziennie po kilka tysięcy istnień ludzkich. Nie widać było już płomienia i dymu ze spalanych na stosach ciał ludzkich. W nastroju wyczekiwania i niepewności mijały szare i smutne dni styczniowe.

Wiadomość o rozpoczęciu zimowej ofensywy wojsk radzieckich dotarła do obozu bodajże 15 czy 16 stycznia. Doniósł nam o tym esesman *Keller*, pełniący funkcję lekarza obozowego. Wieść ta lotem błyskawicy dotarła do wszystkich więźniów. Zapanowało ogólne podniecenie; zdawaliśmy sobie sprawę, że dzięki tej ofensywie nastąpi wyzwolenie obozu. Radość naszą zakłócały niestety rozszerzające się pogłoski o mającej nastąpić likwidacji szpitala i masowej zagładzie chorych. Podawano nawet datę i godzinę rozpoczęcia tej akcji. Mówiono o przyjeździe specjalnej ekipy *SS*, której zadaniem ma być zatarcie śladów zbrodni dokonywanych w latach istnienia obozu.

Trudno było mieć w tych warunkach jakiekolwiek rozeznanie sytuacji, gdyż kontakt z obozem został praktycznie zerwany. Polscy robotnicy cywilni, od których otrzymywaliśmy gazety i wiadomości „ze świata" nie pracowali już na terenie obozu. Skazani byliśmy na własny instynkt, bowiem każda rada innym, czy własna decyzja mogła okazać się najgorszą.

W nocy z 17 na 18 stycznia około godziny czwartej donośny głos obozowych gongów wyrwał nas z nerwowego snu. Ubierając się, zadawaliśmy sobie pytania: Po co nas budzą? Czy ewakuacja? A może nasi już blisko?

Na placu apelowym przed *„Schreibstubą"* czekała na nas grupa esesmanów z *Lagerarztem* dr *Thilo*. Esesmani byli w pełnym uzbrojeniu bojowym, a obok stała karetka czerwonego krzyża — ta sama, która jeszcze przed paroma miesiącami dowoziła cyklon B do komór gazowych.

Stojąc w ciemną i mroźną noc styczniową w oczekiwaniu czegoś niepewnego, przypominaliśmy sobie podobne apele ostatnich lat. Apele, na których dziesiątkowano nas po ucieczce któregoś z więźniów, apele karne trwające do późnej nocy, apele spowodowane niezgodnością stanu więźniów, apele na deszczu i mrozie, apele poranne przed pójściem do pracy. Ten apel będzie niewątpliwie ostatni w Brzezince.

Nerwowe oczekiwanie przerwał *Lagerarzt* dr *Thilo*, zarządzając natychmiastowe dostarczenie do karetki kart chorobowych, kartotek więźniów i kart zgonu. Żaden dokument nie powinien pozostać w barakach. Obóz będzie ewakuowany. Przygotować się do wymarszu.

Na razie nie tak źle — pomyśleliśmy. Na twarzach esesmanów nie widać dawnej buty i pewności. Widocznie sami są w strachu i dlatego zachowują się znośnie. W nieco lepszym nastroju rozeszliśmy się do baraków. Po powrocie poinformowano chorych o sytuacji. Niektórzy rozumieli wiadomość o zabieraniu dokumentów jako przygotowanie do akcji likwidacji chorych, większość jednak wersji tej nie przyjmowała. Nowy temat stał się przedmiotem nieustających dyskusji i sporów.

W ciągu niespełna 30 minut dostarczono do karetki karty chorobowe, pozostawiając jednak spisy chorych, które stanowią dziś część zachowanych dokumentów szpitalnych. Bardziej nerwowi przygotowali się do wymarszu. Po upływie mniej więcej godziny od ogłoszenia apelu pierwszy transport kilkuset więźniów odszedł na kilkumiesięczną tułaczkę po obozach Rzeszy.

18 stycznia już od rana esesmani rozpoczynali selekcję chorych. Wyszukiwano zdolnych do marszu. Mimo iż personel szpitalny agitował za pozostaniem w obozie, znaczna część chorych stanowczo zdecydowała się odejść. Bali się pozostania w obozie, w którym widzieli tyle okropności; liczyli, że może w drodze uda im się uciec. Byle jak najdalej od Brzezinki, osławionego *„Birkenau"*. Pogłoski o likwidacji obozu zrobiły swoje. Wielu z chorych nie wytrzymało trudów tej podróży i zmarło lub zostało zastrzelonych po drodze.

Około godziny 15 odeszła ostatnia kolumna więźniów. W obozie zapanowała pustka i dziwny spokój, podobnie jak rankiem, kiedy w ciągu poprzedzającej nocy zamordowano kilka tysięcy Cyganów z rodzinami, a ruchliwy zawsze obóz cygański zamarł.

Ukryty w baraku trzynastym usłyszałem nagle miarowe kroki maszerującego oddziału. Mniej więcej na linii baraku trzynastego zatrzymał się oddział *SS* w sile około 60 osób, uzbrojony w broń automatyczną. Zrobiło mi się gorąco. Teraz coś się stanie — pomyślałem. Rozdzieleni na grupy kilkuosobowe, esesmani rozeszli się po barakach szpitalnych. Czekałem na odgłosy strzałów. Byłem przekonany, że odbędzie się ostatni akt zbrodni hitlerowskich na terenie obozu w Brzezince. Chwile oczekiwania dłużyły się. Zacząłem żałować, że zostałem. Opanowało mnie głębokie uczucie samotności. Odejście najbliższych kolegów, z którymi przebywało się kilka lat w obozie, z którymi dzieliło się ostatnią kromkę chleba, z którymi snuło się plany na przyszłość — wywołało we mnie niechęć do samego siebie. Nie dawała spokoju myśl, dlaczego nie podzieliłem losu innych i nie pomaszerowałem w gromadzie. W ciągu wielu powojennych lat zastanawiałem się i zadawałem sobie pytanie, dlaczego wówczas pozostałem w obozie. Do dzisiaj nie umiem na to pytanie odpowiedzieć i nie znajduję żadnego logicznego wytłumaczenia.

Po upływie kilkunastu minut na to samo miejsce zaczęli nadchodzić esesmani z poszczególnych baraków. Odetchnąłem, ale ciekawość, co się działo w barakach, nie dawała mi spokoju.

W niespełna godzinę od odejścia esesmanów usłyszałem warkot samolotów i pojedyncze detonacje bomb. Słychać je było coraz bliżej. Artyleria przeciwlotnicza zaczęła gwałtownie strzelać. Wyszedłem przed barak. Wszędzie ciemności, w barakach i na drutach, tylko od czasu do czasu spadające rakiety oświetlały obóz. Widok był imponujący. Nalot trwał około godziny. Poszedłem w kierunku umywalni. Byłem przekonany, że nikogo spośród personelu szpitalnego nie spotkam, tymczasem takich, co się pochowali i nie poszli z transportem, było więcej. Na drodze między barakami spotkałem kolegów *Zasadzkiego*, *Rodowicza*, *Ganszera*, za chwilę ukazał się dr *Fiderkiewicz*, *Urbański*, *Szymkowiak*. Bardzo ucieszyłem się z tego spotkania; w gromadzie zawsze raźniej. Dowiedziałem się od nich, że esesmani zrobili apel, by się dowiedzieć, ilu chorych pozostało w szpitalu. Serdecznie uśmialiśmy się z tej skrupulatności w przeddzień wyzwolenia obozu.

Zebraliśmy się w baraku trzynastym, by się naradzić, co dalej robić. Przede wszystkim postanowiliśmy nawiązać kontakt ze szpitalem kobiecym. W drutach nie było już prądu, toteż mogliśmy przeciąć przejście do szpitala kobiecego. Należało również przystąpić do zdobycia żywności i wody dla chorych. Lekarze mieli zająć się chorymi, reszta zaś z pozostałego personelu miała organizować żywność i wodę. Według prowizorycznego obliczenia, chorych w szpitalu pozostało około 1500, w tym około 300 więźniów chorych na gruźlicę i inne choroby zakaźne (w barakach 10, 11, 17). Najwięcej chorych, około ośmiuset, to więźniowie wyczerpani fizycznie wskutek ciężkiej pracy i braku odpowiedniego wyżywienia (baraki 7, 8, 13, 14, 15, 18). Reszta więźniów, znajdujących się w barakach 2, 4, 6 i 7, chorowała na różnego rodzaju dolegliwości, jak flegmony, owrzodzenia, odmrożenia kończyn, nie gojące się rany z pobicia.

Niedostateczna liczba personelu lekarskiego i pomocniczego, brak środków leczniczych i opatrunków, brak żywności i wody — pogłębiały trudności. Jedyną pomoc chorym, jaką mogliśmy udzielić, to zdobycie żywności

i wody, by umożliwić przetrwanie tych kilku dni do nadejścia armii radzieckiej.

Od samego rana 19 stycznia dowożono żywność z magazynu znajdującego się na odcinku B II d. Esesmani nie reagowali na naszą inicjatywę i nie zabraniali wywożenia żywności z magazynu. Dowożono chleb, margarynę, cukier i makaron. W baraku 13 rozdzielano żywność na poszczególne baraki, zależnie od liczby chorych. Wodę dostarczano ze zbiorników przeciwpożarowych. Rozdzielonej żywności winno starczyć według naszego obliczenia na 4—5 dni. Brak wody w niektórych barakach zastępowano topionym śniegiem. Oprócz braku żywności i wody okazało się, że nie ma również opału do ogrzewania baraków. Problem ten rozwiązano, paląc po prostu drewniane prycze nie zajęte przez chorych.

Oceniając pracę pozostałego personelu szpitala i zdrowszych chorych w niesieniu pomocy najbardziej potrzebującym, stwierdzić należy wielki wysiłek i humanitarne podejście, zgodne z etyką lekarską i solidarnością międzynarodówki więźniarskiej.

Nastrój w obozie znacznie się poprawił. Byliśmy już przekonani, że właściwie nic nam nie grozi ze strony pozostałej, zresztą bardzo nielicznej, załogi obozowej. Esesmani nie pilnowali nas z wież strażniczych, tylko nieliczne patrole chodziły między barakami. Byli to przeważnie starsi ludzie, prawdopodobnie powołani do SS nie tak dawno. Wypytywali się tylko, co można „organizować", gdzie są cywilne ubrania, czy nie mamy złota, zegarków i innych wartościowych przedmiotów.

Chwila wyzwolenia była już bliska.

Następnie zabrał głos dr *Stanisław Kłodziński*, były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019:

Dwadzieścia lat po Oświęcimiu

W wirze walk wojennych zagadnienia zbrodni ludobójstwa schodziły na plan dalszy. Dopiero po wojnie zainteresowanie nimi w miarę upływu czasu staje się coraz żywsze. Poszczególne walki i strategiczne manewry zacierają się w pamięci, a tym ostrzejsza jest pamięć i zainteresowanie zagadnieniem masowego ludobójstwa.

Możliwe, że zbrodnie te wynikały z dążności hitlerowskich władców do realizacji już w toku samej wojny swoich założeń ideologicznych, zmierzających do oczyszczenia ludzkości z elementów rzekomo niższych rasowo i wysunięcia rasy germańskiej na plan pierwszy. Do tego celu służyły takie akcje, jak masowa zagłada Żydów, przeprowadzana nawet w tym okresie, gdy potęga hitlerowskich Niemiec chyliła się ku upadkowi, próby sterylizacji podbitej ludności, planowe niszczenie inteligencji w celu przekształcenia struktury społecznej podbitych krajów, zamiany ich mieszkańców w ludy niewolnicze, wysiedlanie dużych grup ludności, germanizacja dzieci, osadnictwo Niemców na terenach podbitych itd.

Mamy tu doskonały przykład realizacji ideologii już podczas działań wojennych, których wynik jeszcze nie był przesądzony. Na ogół w dawnych wojnach tego rodzaju gorliwość ideologiczna nie wysuwała się na plan pierwszy. Walczący byli pochłonięci samą walką.

Ten ideologiczny aspekt ostatniej wojny, jak się zdaje, nie został dostatecznie dostrzeżony przez aliantów i narody neutralne. Tym można tłumaczyć dziwny i obecnie zatrważający fakt ich obojętności na zbrodnie ludobójstwa. Byli oni zbyt pochłonięci samą walką, by dostrzec jej dalsze i w rzeczywistości groźniejsze perspektywy. Przypuszczalnie ten aspekt ideologiczny: posłannictwa narodu niemieckiego — działał mobilizująco na społeczeństwo niemieckie, podobnie jak urojeniowa idea potrafi przekształcić spostrzeganie, myślenie i działanie chorego. Normalne ludzkie sumienie zostało ogłuszone przez zaszczepienie niebezpiecznej ideologii.

Proces norymberski, w którym dzięki złamaniu podstawowej zasady prawa — *lex retro non agit* — było możliwe ukaranie zbrodniarzy hitlerowskich, stał się ostrzeżeniem dla tych, którzy w myśl powiedzenia, że cel uświęca środki, gotowi są dla idei, w ich przekonaniu wzniosłej, łamać podstawowe prawa moralne.

Należy zdać sobie sprawę, że przepisy prawne stosują się do warunków życia mniej więcej normalnego. Tam, gdzie zbrodnia ma charakter monstrualny i masowy, normalne przepisy prawne nie zdają egzaminu. Widać to wyraźnie w toczących się po wojnie procesach zbrodniarzy hitlerowskich, choćby w ostatnim procesie frankfurckim. Uczestnicząc w tym procesie, odnosiło się wrażenie, że jedynymi osobami, które rozumiały o co proces się toczy, byli tylko więźniowie i ich prześladowcy. Normalne zakazy i nakazy moralne ujęte w przepisy prawne odnoszą się do jednostki. Tam, gdzie zbrodnia ma charakter masowy, jest zorganizowana w formie skomplikowanej machiny zagłady, przepisy te wydają się nieraz śmiesznie nieadekwatne. Również poczucie odpowiedzialności — czynnik istotny w sądzeniu czyjegoś postępowania — zanika w ideologicznej machinie i tym należy sobie tłumaczyć jego notoryczny brak u oskarżonych.

Oświęcim stał się symbolem ostrzegającym ludzkość przed wojną ideologiczną i podporządkowaniem siebie i swego sumienia narzuconemu z góry rozkazowi. W tym sensie męczeństwo milionów ofiar obozów koncentracyjnych było największym dziełem dla przyszłego pokoju.

Obóz koncentracyjny odsłonił człowieka w perspektywach nie spotykanych w zwykłym życiu. Ujawnił biegunowość ludzkiej natury: zbrodniczych tendencji, ale też bohaterstwa i świętości, słabości i niesłychanej siły. Z punktu widzenia lekarskiego badania nad zagadnieniami życia obozowego pozwoliły już zmienić wiele utartych dotychczas poglądów w medycynie, choćby wymienić znaczenie własnej postawy dla biologicznej odporności ustroju.

Historia życia każdego więźnia obozowego mogłaby stanowić niesłychanie bogaty materiał do badań biologicznych, psychologicznych i socjologicznych, mogłaby też służyć za materiał do ujęcia literackiego. Nie chodzi tu o martyrologiczny aspekt zagadnienia, ale o lepsze poznanie ludzkiej natury, które dzięki przeżyciom obozowym stało się możliwe. Studium takie przekracza możliwości badawcze; można jedynie zająć się jednostkami, a miliony innych — niestety — pozostaną zapomniane.

Wydaje mi się, że w przyszłości należy dążyć do lepszego poznania życia poszczególnych jednostek w obozie; w tym celu powinno się kontynuować akcję zachęcającą do wydawania wspomnień obozowych, które stanowią bezcenny nieraz materiał do badań naukowych. Należałoby zachęcić socjologów do zajęcia się obozową problematyką, gdyż — jak się zdaje — może ona rzucić wiele nowego światła na podstawowe zjawiska społecznej natury. Fakt, że wiele chorób przebiegało w obozie inaczej niż w warunkach normalnych, że odporność organizmu podlegała jakby innym prawom, że znikały zaburzenia nerwicowe i psychosomatyczne, że nie obserwowano zaburzeń przemiany materii, cukrzycy, choroby nowotworowej — wymaga jeszcze dalszych, bardziej szczegółowych badań lekarskich. Dla psychologów i psychiatrów wiele zagadnień z życia obozowego pozostaje jeszcze zagadką, jak zdolność utrzymania postawy czynnej w tak ciężkich warunkach, znaczenie altruistycznej postawy dla przetrzymania obozu, przyjmowanie postawy egocentrycznej z tendencją do wzorowania się na odgórnych wzorach esesmańskich, fatalne w skutkach przyjmowanie postawy biernej i fatalistycznej itd.

Epidemiologa zainteresować by mogło pojawienie się i zanikanie niektórych epidemii w obozie, jak np. durów wysypkowego i brzusznego, płonicy, zapalenia opon mózgowych itd.

Prawa etyki lekarskiej, podejście do chorego, a także leczenie inaczej wyglądały w obozie niż w normalnych warunkach życia. Zagadnienie to nie zostało dotychczas szczegółowo opracowane.

Wydaje się więc, że Oświęcim nie tylko pozostanie symbolem w walce ludzkości o pokój, ale też tematem do badań naukowych nad różnymi aspektami ludzkiej natury.

Następujące przemówienie wygłosił prof. dr *Józef Bogusz*:

Zeszyty „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim"

Kiedy przed pięciu laty zaczynaliśmy naszą pracę, inicjującą na szerszą skalę lekarskie badania o tematyce okupacyjnej i idące za tym poczynania wydaw-

nicze, nie było to całkiem proste ani łatwe. Pozyskanie autorów, zachęcenie ich do opracowywania tych zagadnień, od których się odeszło i do których wracanie jest bolesne i męczące, dalej — pozyskanie kredytu zaufania u czynników nadrzędnych, wreszcie przejście obok niektórych uwag, jakoby niepotrzebnie tak wiele publikowało się prac o omawianej problematyce — wszystko to łączyło się z niemałym trudem.

Nie wytrzymuje krytyki wątpliwość, czy nie za dużo pisze się o sprawach okupacji. Pożyteczność badań naukowych dotyczących następstw pobytu w więzieniach i obozach koncentracyjnych, związane z tym zagadnienia leczenia, a także względy historyczne i inne — nakazują problematykę tę badać coraz dokładniej i wnikliwiej. Ale dochodzą jeszcze i inne momenty. Naród polski nie cechuje się mściwością, przeciwnie — chętnie zapomina o doznanych krzywdach, jest nawet — można powiedzieć — nazbyt wspaniałomyślny. Jeśli dobrze uświadomimy sobie to, co dzisiaj się mówi i pisze w Niemieckiej Republice Federalnej, jak często odzywają się tam głosy odwetowe, jakie są tam zamiary zbrojeń nuklearnych, jak skwapliwie tamtejsze władze zmierzają do wprowadzenia z dniem 8 maja 1965 roku zasady przedawnienia z powodu upływu dwudziestu lat od zakończenia wojny w stosunku do zbrodniarzy wojennych, a więc do umorzenia wszelkiej winy i kary za zbrodnię ludobójstwa — jasne się staje, iż nie czas jeszcze zapomnieć.

Niekiedy jesteśmy świadkami, jak niektórzy uczeni zachodnioniemieccy uderzają w ton protekcjonalnego pouczania. Kiedy na przykład my upominamy się o polskość pewnych uczonych, których dawniej tak łatwo anektowali Niemcy, wówczas wypomina się nam protekcjonalnie, że dzisiaj w dobie tendencji do Paneuropy jest obojętne, jaką narodowościową etykietę komuś się przypisze. Jest zdumiewające, że mówią to ci, którzy jeszcze tak niedawno należeli do kół reprezentujących kierunki najbardziej nacjonalistyczne i rasistowskie. Nie chcemy generalizować. Notujemy z uznaniem i szacunkiem te głosy w Niemieckiej Republice Federalnej, które z głęboką szczerością pragną pełnego rozrachunku z hańbiącą przeszłością Trzeciej Rzeszy. Z głosami tych szlachetnych ludzi, choć nie odosobnionymi, nie są jednak wcale identyczne głosy oficjalnych czynników Niemieckiej Republiki Federalnej.

Wróćmy do naszych zeszytów.

W pierwszych latach powojennych nie było jeszcze możliwości podjęcia systematycznych, naukowych opracowań zagadnień lekarskich okresu okupacji hitlerowskiej. W 15 lat po zakończeniu wojny wyłoniła się wyraźna potrzeba opracowania tych zagadnień. Tematyka — początkowo ograniczona do obozu oświęcimskiego — rychło uległa rozszerzeniu, obejmując inne obozy koncentracyjne, partyzantkę, służbę zdrowia w okupowanym kraju itd. Otwarły się jakoby wrota i artykuły — wpływające początkowo nieśmiało — zaczęły szeroką strugą wpływać do teki redakcyjnej. Zeszyty stopniowo się rozrastały. Pierwszy zeszyt, z roku 1961, zawierał materiały, które były przedmiotem posiedzeń Krakowskiego Towarzystwa Lekarskiego w piętnastą rocznicę oswobodzenia Oświęcimia, i liczył 64 strony. Następne trzy zeszyty liczyły kolejno: 76, 106 i 128 stron, a piąty, jubileuszowy zeszyt liczy 190 stron. Najwięcej artykułów dotyczy obozu w Oświęcimiu, ale prócz tego omówione zostały niektóre zagadnienia obozów w Ravensbrück, Neuengamme, Majdanku, Mauthausen-Gusen. Liczba autorów, których artykuły są zamieszczone w naszych pięciu zeszytach, wynosi 75. Wśród nich jest 6 autorów z zagranicy, a to: prof. *Frankl*, dr *Lingens*, dr *Wolken* — z Austrii, prof. *Waitz* z Francji, prof. *Blaha* z Czechosłowacji i dr *Cohen* z Holandii. Wśród autorów jest 19 profesorów wyższych uczelni. Wydaje się, że nie wpadając w przesadę można powiedzieć, iż waga i znaczenie tych opracowań w przyszłości będą zapewne większe i trwalsze niż wielu prac z zakresu ich naukowych specjalności, albowiem wiele specjalistycznych prac naukowych — wobec nieustannego wyścigu i rozwoju nauki — szybko się dezaktualizuje, natomiast te prace pozostaną trwale aktualne.

Nie mogę omówić tutaj wszystkich artykułów zawartych w pięciu zeszytach, a pisanych — oprócz wspomnianych już autorów zagranicznych — przez lekarzy, pielęgniarki, nielekarzy — byłych więźniów, w większości będących w obozowej służbie zdrowia, mieszkających dziś w różnych miastach Polski: w Krakowie, Warszawie, Lublinie, Poznaniu, Wrocławiu, Grudziądzu, Łodzi, Tarnowie, Radomiu, na Śląsku. Pragnę jednak zwrócić uwagę na niektóre pozycje. I tak na przykład, prace naukowe z Kliniki Psychiatrycznej w Krakowie, oparte na badaniach byłych więźniów Oświęcimia, przyniosły cenne wyniki. Zdołano wyodrębnić nowe zespoły psychopatologiczne, dające się scharakteryzować. Prace dotyczące epidemii duru wysypkowego w Oświęcimiu, pasjonujący temat dotyczący dalszego losu i rozwoju ocalałych dzieci, które były więźniami Oświęcimia, a dziś są już dojrzałymi ludźmi — to przykłady dalszych ciekawych i wartościowych prac.

Zagadnienia prawno-lekarskie znalazły wyraz w ważnych pracach prof. *Olbrychta* i prof.. *Sehna*.

Niektóre prace historyczno-dokumentarne o tematyce lekarskiej stanowią istotny wkład. Tak na przykład liczne referaty o pracy szpitali obozowych w Oświęcimiu I, Brzezince, w obozie cygańskim, w Bunie — odsłaniają wiele nieznanych kart. Artykuł prof. *Alberta* z Wrocławia o zamordowaniu przez hitlerowców 25 profesorów wyższych uczelni Lwowa, prof. *Mahrburga* z Lublina o pracy komisji ekshumacyjnej w Ponarach pod Wilnem, prof. *Urbańczyka* o pobycie profesorów UJ w Sachsenhausen i Dachau, artykuł dr *Lorskiej* z Warszawy o sławnym bloku X, artykuł pielęgniarki-położnej *Leszczyńskiej* z Łodzi, piękny klejnot — to przykłady prac będących źródłowymi dokumentami historycznymi pierwszej wagi.

Zamieściliśmy także prace o charakterze wspomnieniowym, które z taką głębią i wnikliwością psychologiczną przedstawiają przeżyte okresy, że posiadają one bez wątpienia szczególną wartość. My dziś nie czujemy się jeszcze na siłach, aby zdać sobie dokładnie sprawę z wartości tych prac. Sądzę, że zasłużą one w przyszłości na specjalne omówienie. Do tych prac zaliczyłbym trzy kolejne wielkie artykuły dra *Adolfa Gawalewicza*, więźnia Oświęcimia, w którego osobie ujawnił się niezwykły talent, dalej — referat dr *Zofii Mączki-Patkaniowskiej*, więzionej w Ravensbrück, pt. „Zeznania z bunkra". Artykuł dr *Stefanii Perzanowskiej* z Radomia, więźniarki Majdanka, to nie opowieść o okrutnych przeżyciach obozowych, ale chwytająca za serce opowieść o ofiarnej pomocy społeczeństwa lubelskiego więźniom obozu w Majdanku, opowieść o ludzkiej dobroci.

Osobny, ważny dział — to krótkie biografie pięknych postaci lekarzy, pielęgniarek i innych pracowników służby zdrowia, spisane przez lekarzy i przez nielekarzy, np. przez *Sewerynę Szmaglewską*, *Tadeusza Hołuja*.

Mogłem tutaj przytoczyć jedynie małą część prac opublikowanych w naszych zeszytach.

Zeszyty te mają być także wyrazem głębokiego hołdu złożonego rzeszom lekarzy i pracowników służby zdrowia wszystkich narodów, wymordowanych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych i w czasie walk o wolność. Mają one jednocześnie podkreślić humanistyczne zadania, właściwe naszej nauce i naszemu zawodowi.

Jeśli zeszyty pojawiają się regularnie co roku, to stało się to możliwe dzięki temu, że duży zespół ludzi wkłada swą pracę z całym oddaniem, *con amore*, bez przesady powiedziałbym — z uniesieniem i pasją. Dlatego niech mi będzie wolno złożyć wyrazy gorącego podziękowania autorom i kolegom z zespołu redakcyjnego. Zarówno jedni, jak i drudzy uważają swą pracę za zaszczytną sposobność spłacenia długu za to, że szczęśliwy los pozwolił im przetrwać obóz koncentracyjny lub go w ogóle uniknąć. Pozwala im to przekazywać młodym wiadomości o czasie nieludzkim. Koledzy z zespołu redakcyjnego, a to doc. dr *Antoni Kępiński*, dr *Stanisław Kłodziński* i mgr *Jan Masłowski* nie szczędzili pedantycznej, czasochłonnej pracy nad przygotowaniem tekstów do naszych zeszytów, począwszy od gromadzenia materiału aż do jego drobiazgowej adaptacji do druku. Dziękujemy serdecznie prof. *Giedoszowi*, redaktorowi naczelnemu „Przeglądu Lekarskiego", za pomoc i cenne rady. Osobne podziękowanie należy się prof. *Sehnowi*, który nie tylko jest autorem dwóch cennych artykułów, ale który zawsze wielkodusznie służył nam aktywną pomocą, a była ona nieoceniona dzięki jego erudycji i znajomości przedmiotu.

Z dużą pomocą spotkaliśmy się również ze strony wydawcy, tj. Państwowego Zakładu Wydawnictw Lekarskich. Dziękujemy serdecznie dyrektorowi *Rybickiemu* i pracownikom tej instytucji w Warszawie za czyn-



Rys. 3. *Maria Świętoniowska* podczas odczytywania tekstu rezolucji. Przy stole prezydialnym widoczni (od prawej ku lewej): prof. dr *Olbrycht*, *Tadeusz Hołuj*, literat i sekretarz Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego, prof. dr *J. Bogusz*, prof. dr *J. Sehn*, dr *M. Barczyński*, sekretarz krakowskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego

ne i bardzo życzliwe poparcie i pomoc, w szczególności dziękujemy redaktorom *Dudzińskiemu* oraz *Ciechimskiemu* za czuwanie nad tokiem druku, wreszcie serdecznie dziękujemy dyrekcji Krakowskich Zakładów Graficznych w osobach inż. *Wołkowskiego* i inż. *Sarapaty* oraz Zakładom Graficznym nr 4 w Krakowie, zwłaszcza kierownikowi *Bąkowi*, za to, że z całym oddaniem dopilnowali terminowego ukazania się zeszytu mimo jego wielkiej objętości. Na specjalne podkreślenie zasługuje postawa składaczy, którzy — chyba porwani tematyką — sumiennie i szybko pracowali nad składem zecerskim.

Szczególnie zaś cenne są dla nas poparcie i pomoc najwyższych czynników państwowych i społecznych, które zaakceptowały naszą akcję wydawniczą i najwydatniej dopomogły w przezwyciężeniu różnych trudności.

Jest mi szczególnie miło podać do wiadomości, że czterej pracownicy naukowi Kliniki Psychiatrycznej w Krakowie otrzymali za prace dotyczące byłych więźniów Oświęcimia nagrodę naukową I stopnia Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej. Prócz tego Prezes Rady Ministrów i Rady Naczelnej ZBoWiD, *Józef Cyrankiewicz*, przyznał nagrody dla 26 autorów i członków redakcji, a Minister Zdrowia i Opieki Społecznej, dr *Jerzy Sztachelski* — dla czterech wydawców omawianych zeszytów. Te wysokie wyróżnienia są nie tylko podstawą do największej satysfakcji, ale świadczą także o tym, że została nadana właściwa ranga pracom lekarskim dotyczącym tematyki okupacyjnej.

Podczas akademii wpłynął tekst rezolucji, którą zebrani jednogłośnie przyjęli. Oto rezolucja, odczytana przez p. *Marię Świętoniowską*, artystkę dramatyczną (ryc. 3), przesłana następnie do odpowiednich władz:

Rezolucja

Zebrani na uroczystej akademii z okazji dwudziestej rocznicy wyzwolenia obozu zagłady Oświęcim-Brzezinka stwierdzamy z całą powagą i stanowczością, że stanowisko rządu bońskiego w sprawie przedawnienia zbrodni hitlerowskich jest konsekwencją kontynuowania polityki hitleryzmu, polityki militaryzmu i rewanżu. Stanowisko to jest profanacją poległych i prowokacją pozostałych przy życiu ofiar antyludzkiej ideologii i ludobójczej praktyki hitleryzmu.

My — którym los także nie oszczędził bezmiaru cierpień poległych i głębokiej żałoby po nich, a w dniu wyzwolenia zachował nam tylko nagie życie — musimy w dwadzieścia lat od tego dnia stwierdzić z ubolewaniem, że nieprzezwyciężona przeszłość hitlerowska staje się bońską teraźniejszością i uparcie zmierza do zbrojnej w atomy przyszłości atlantyckiej.

Świadomi hitlerowskich źródeł i niebezpieczeństw tego rozwoju podnosimy uroczysty protest przeciwko wszelkim przejawom neohitleryzmu, a jakiekolwiek kroki zmierzające do zapewnienia bezkarności zbrodniarzom hitlerowskim przez uznanie ich zbrodni za przedawnone — potępiamy jako jeden z jego najistotniejszych przejawów.

Czynimy to w imię i w interesie zawodów lekarskiego i prawniczego, które — jak żadne inne — zostały pokrzywdzone, sponiewierane i poniżone: u nas jako ofiary, a tam, gdzie dziś jest państwo bońskie, jako zbrodnicze narzędzie hitleryzmu. Ofiarom należy się cześć, zbrodniarzom słuszna kara, a nam i naszym dzieciom p e w n o ś ć, że przeszłość hitlerowska została wszędzie i ostatecznie przezwyciężona, że nadeszły czasy, w których Oświęcim powtórzyć się nie może i nie powtórzy.

(Podpisy:) Zarządy i członkowie krakowskich oddziałów Polskiego Towarzystwa Lekarskiego i innych lekarskich towarzystw specjalistycznych, polskich towarzystw stomatologicznego, farmaceutycznego, medycyny sądowej i kryminologii, Koła Zrzeszenia Prawników Polskich, Okręgu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, Okręgowej Sekcji Lekarskiej Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia, Polskiego Towarzystwa Pielęgniarskiego.



Ryc. 4. *Halina Czerny-Stefańska*, wykonawczyni utworów chopinowskich, w czasie artystycznej części akademii

Podniosły nastrój akademii dopełniła część artystyczna, postawiona na wysokim poziomie. Znana śpiewaczka, *Jadwiga Romańska*, wykonała pieśni obozowe skomponowane przez *Edwarda Burego* do słów *Władysława Królikowskiego* i *Włodzimierza Wnuka*. Wszyscy trzej autorzy byli więźniami obozów koncentracyjnych. Tekst pieśni „A kiedy przyjdzie taka chwila święta", pióra *W. Wnuka*, powstał w obozie koncentracyjnym w Gusen w lecie 1941 roku. Po uwolnieniu Gusen w maju 1945 r. tekst ten wydrukowano w gazecie „Wspólny Front", wydawanej przez więźniów polskich. Otrzymał on pierwszą nagrodę w konkursie poetyckim, konspiracyjnie zorganizowanym w tym obozie. Podobnie z innymi pieśniami, wykonanymi przez *Jadwigę Romańską*, łączy się cała historia. Pani *Romańskiej* akompaniował kompozytor.

Następnie *Maria Świętoniowska* zadeklamowała „Pieśń Wajdeloty" z Konrada Wallenroda *Adama Mickiewicza*.

W programie artystycznym znalazła się również muzyka Chopina. Ten wielki twórca, z pięknego folkloru polskiego czerpiący swe natchnienie, umiejący w swych kompozycjach nadać najdoskonalszy kształt muzyczny kulturze polskiej, a w etiudzie rewolucyjnej objawić całą potęgę rewolucji, nie mógł pomyśleć, że po upływie wieku jego muzyka krzepić będzie ducha uciemiężonego narodu. Zakazane przez Niemców tony utworów Chopina rozlegały się na zakonspirowanych wieczorkach muzycznych, umacniały chęć życia i walki, gdy nie starczało chleba i brakowało broni. Przyciszone dźwięki chopinowskich melodii ożywiały serca polskie w okresie okupacji niemieckiej. 27 stycznia 1965 r., w doskonałym wykonaniu *Haliny Czerny-Stefańskiej* (ryc. 4), rozległy się z całą mocą na akademii oświęcimskiej, przywodząc na myśl tamten czas ponury i przypominając o obowiązkach, nakładanych przez teraźniejszość. Wykonany został nokturn c-moll op. 48 nr 1, polonez fis-moll op. 44, cztery preludia, andante spianato i polonez Es-dur op. 22 oraz scherzo h-moll.

Akademia ta stała się jednym z najgłębszych przeżyć pośród wszystkich uroczystości obchodzonych na ziemi krakowskiej z okazji 20 rocznicy wyzwolenia obozu oświęcimskiego. Wyrazem tego były szczegółowe i liczne sprawozdania prasowe.

„Nie wolno nikogo torturować ani karać lub traktować w sposób okrutny, nieludzki lub poniżający".

Artykuł 5 Powszechnej deklaracji praw człowieka, uchwalonej jednomyślnie w dniu 10 grudnia 1948 roku w Paryżu na obradującej tam III Sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

SYLWETKI ZASŁUŻONYCH LEKARZY

WITOLD SIENICKI
były więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen nr 35855

Kraków

Dr Stanisław Kelles-Krauz

Dnia 24 stycznia 1965 roku zmarł w Warszawie dr *Stanisław Kelles-Krauz*, wiceprezes Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża, członek Rady Naczelnej i wiceprzewodniczący Komisji Zdrowia i Opieki Społecznej ZBoWiD.

Dr *Kelles-Krauz* urodził się w Radomiu 24 lutego 1883 r. Cała jego rodzina była ożywiona ideą walki o niepodległość i postęp społeczny. Ojciec brał udział w powstaniu styczniowym. Brat, *Kazimierz* — pod pseudonimem *Michała Luśki* — był postępowym socjologiem i znanym teoretykiem Polskiej Partii Socjalistycznej. *Stanisław Kelles-Krauz* poszedł śladami swego ojca i brata.

Już w radomskim gimnazjum brał udział w ruchu socjalistycznym i za organizowanie kółek niepodległościowych został wydalony ze szkoły. Przeniósł się do gimnazjum w Szawlach na Litwie i tam zdał maturę, jednakże bez prawa wstępu na wyższe uczelnie w Cesarstwie Rosyjskim. Zmuszony więc wyjechać na studia za granicę, udał się na studia lekarskie do Wiednia. W roku 1909 ukończył Uniwersytet Jagielloński z dyplomem doktora medycyny.

W celu uzyskania prawa praktyki na terenie Królestwa Kongresowego dr *Stanisław Kelles-Krauz* zdał w 1910 r. egzamin państwowy na uniwersytecie w Kazaniu i odtąd aż do wybuchu wojny w 1939 r. wykonywał praktykę lekarską w rodzinnym Radomiu.

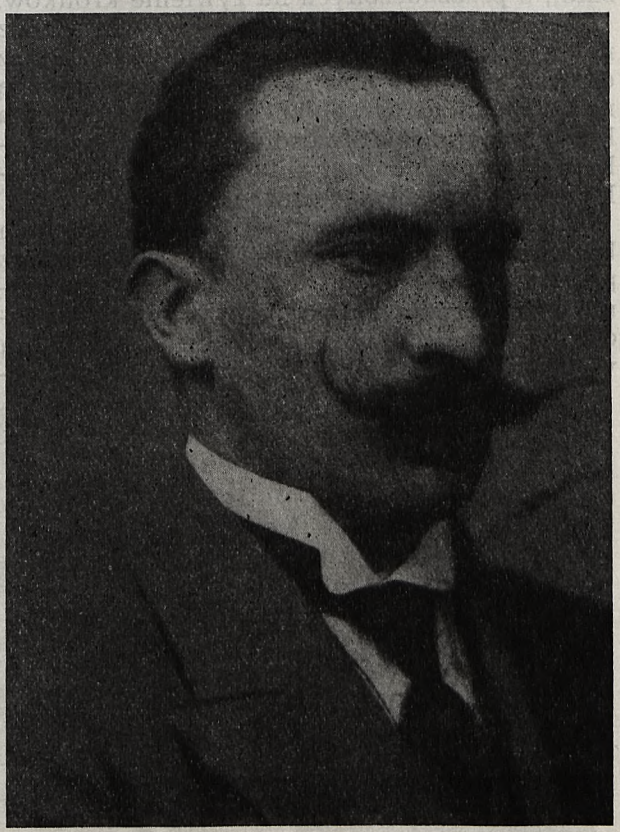
W listopadzie 1918 r. staje w imieniu PPS na czele komisji pięciu stronnictw, która po wypędzeniu okupantów zorganizowała administrację oswobodzonego Radomia oraz ziemi radomskiej i jako przewodniczący komisji przekazuje władzę w ręce komisarza ludowego *Rżewskiego*.

W okresie międzywojennym bierze udział w organizowaniu Kasy Chorych, której był naczelnym lekarzem, przewodniczy radomskiemu oddziałowi TUR, wreszcie na przemian ze swą żoną, *Marią z Nykowskich* jest przewodniczącym Rady Miejskiej w Radomiu. W 1928 r. zostaje z listy PPS wybrany senatorem i funkcję tę pełni do 1930 r., tj. do rozwiązania sejmu przez *Piłsudskiego*.

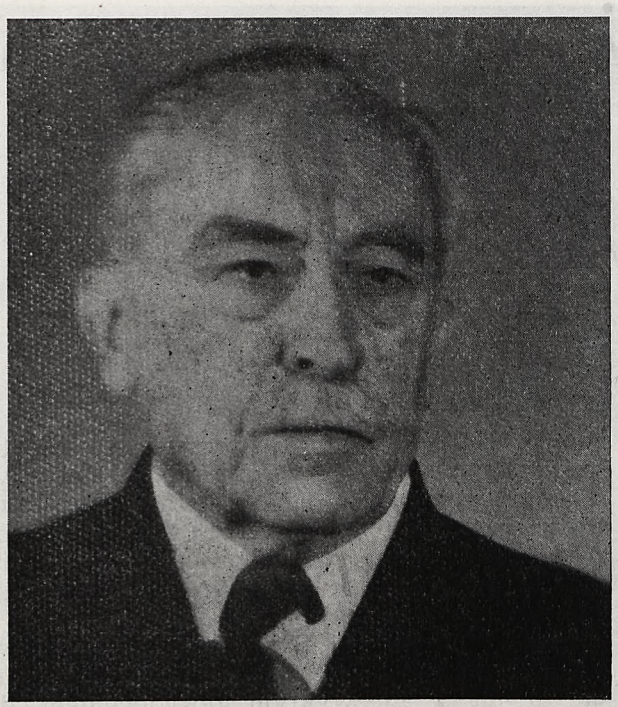
Zmobilizowany w 1939 r., wziął jako lekarz-major udział w kampanii wrześniowej. Dobrnął wraz ze szpitalem wojskowym nr 210 do Łucka, skąd przedarł się do Radomia. Tam wkrótce został przez gestapo uwięziony i razem z działaczami PPS: prezydentem miasta *Władysławem Grzecznarowskim*, wiceprezydentem *Radomskim* i sekretarzem *Antonim Cwiękiem* deportowany w lipcu 1940 r. do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, gdzie przebywał aż do ewakuacji obozu w dniu 21 kwietnia 1945 roku.

Okres pobytu w Sachsenhausen stanowi chlubną kartę w życiu zmarłego. Przez długie 5 lat z niezwykłym poświęceniem dr *Kelles-Krauz* niesie pomoc współtowarzyszom niedoli obozowej. Całą swą wiedzę i ogromne doświadczenie lekarskie poświęca walce o życie i zdrowie współwięźniów. Pomaga każdemu z kolegów, który się do niego zwrócił, stara się go wyleczyć, dostarcza lekarstw, a często nawet oddaje choremu swoją porcję jedzenia.

W pierwszym okresie, kiedy więźniowie-lekarze nie byli dopuszczani do szpitala obozowego, pracuje przy skrobaniu ziemniaków,



Ryc. 1. Dr Stanisław Kelles-Krauz w roku 1932



Ryc. 2. Dr Stanisław Kelles-Krauz po wyzwoleniu

w kolumnie transportowej na *Industriehofie*, wreszcie w fermie króliczej.

Dotąd mam przed oczami postać dr *Kelles-Krauza*, więźnia obozu Sachsenhausen nr 27836, kiedy to z narażeniem życia pełnił funkcję czujki na tej fermie, aby umożliwić osłabłym z głodu kolegom zjedzenie posiłku składającego się z odpadowych ziemniaków, ugotowanych w pomyjach z kuchni esesowskiej, a przeznaczonych na żywienie królików.

W okresie epidemii duru dr *Kelles-Krauz* nadzwyczaj ofiarnie walczy z chorobą. Przez dłuższy czas ma powierzoną opiekę lekarską nad blokami chorych jeńców radzieckich, dla których, narażając się osobiście, wydobywa lekarstwa przeznaczone dla esesmanów. Wyleczonych jeńców zagazowano.

Nie tylko jako lekarz dopomagał kolegom bez różnicy ich narodowości, ale jako działacz postępowy brał udział w rozmowach politycznych zmierzających do podtrzymania na duchu współwięźniów i natchnięcia ich wiarą w zwycięstwo nad hitleryzmem. „Konwentykle" odbywające się podczas specerów na dróżkach między barakami obozowymi przywróciły wielu kolegom odporność psychiczną, bez której nie do pomyślenia było przetrwanie pobytu w obozie koncentracyjnym.

Dr *Stanisław Kelles-Krauz* był wybitnym przedstawicielem idei międzynarodowej solidarności więźniów politycznych.

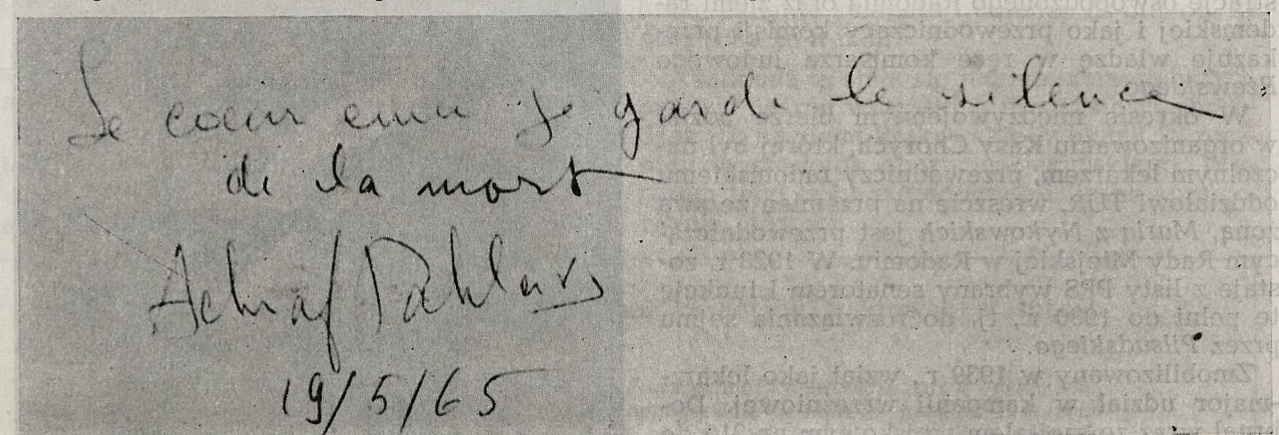
Wreszcie nadszedł dzień 21 kwietnia 1945 roku. Pod wpływem zbliżającej się ofensywy radzieckiej komenda obozu zarządza ewakuację. Obóz wyrusza marszem pieszym w kierunku Lubeki, gdzie ma zostać zlikwidowany przez zagazowanie lub też wytopienie. Dnia 3 maja 1945 r. w okolicach Schwerina dr *Kelles-Krauz* zostaje oswobodzony z całym ewakuowanym obozem przez wojska alianckie i niemal natychmiast staje do pracy w szpitalu w Schwerinie, a następnie w Lubece. W październiku 1945 r. zostaje repatriowany do kraju, a w dniu 9 kwietnia 1946 r. obejmuje funkcję posła i ministra pełnomocnego w Kopenhadze, którą pełni do dnia 9 marca 1954 r. W okresie swej pracy w Danii dr *Kelles-Krauz* kładzie podwaliny pod zbliżenie polsko-duńskie, w czym dopomaga mu jego żona, *Maria Kelles-Krauzowa*, która tłumaczy na język polski szereg książek pisarzy duńskich.

Na kongresie zjednoczeniowym w dniu 15 grudnia 1948 r. dr *Kelles-Krauz* reprezentuje organizację partyjną PPS z Radomia. Od dnia 1 czerwca 1954 r. pracuje w Polskim Czerwonym Krzyżu jako wiceprezes Zarządu Głównego. Był również honorowym wiceprezesem Zarządu Głównego Komitetu Pomocy Społecznej.

Był odznaczony Krzyżem Oficerskim i Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Orderem Sztandaru Pracy I klasy.

Śmierć dr *Stanisława Kelles-Krauza*, który do końca swego życia współdziałał w kierowaniu PCK, opiekował się sprawami współwięźniów politycznych, a w szczególności akcją odszkodowań dla ofiar eksperymentów pseudonaukowych, dotknęła głęboką żałobą szerokie rzesze kolegów.

Cześć pamięci nieodżałowanego kolegi, wielkiego Polaka, wybitnego lekarza i ofiarnego patrioty!



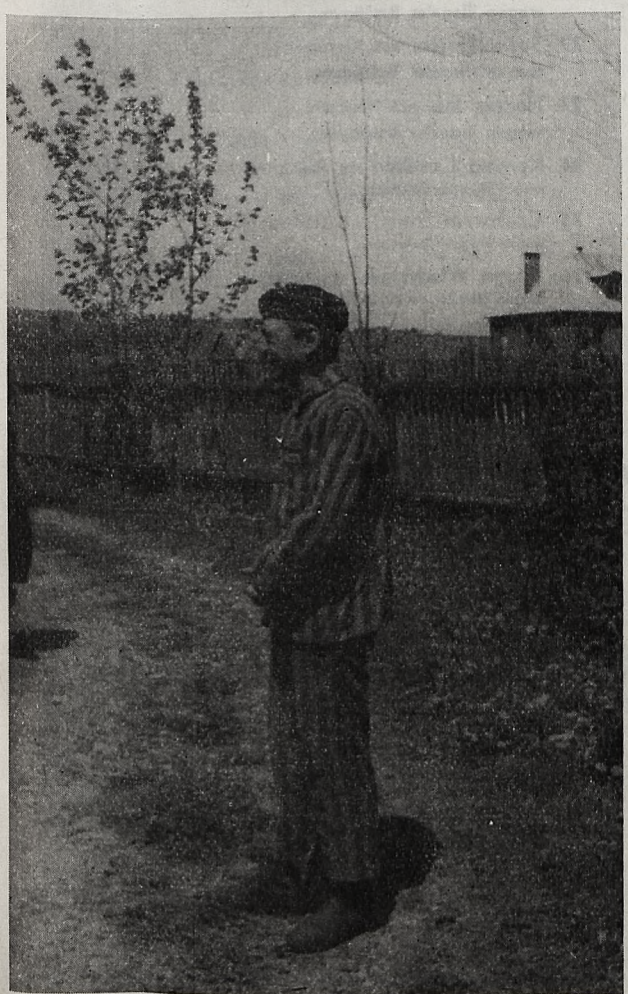
Reprodukcja wpisu siostry szacha Iranu, księżniczki *Aszraf Pahlevi*, do księgi pamiątkowej Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. (Z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

STANISŁAW KŁODZIŃSKI Kraków
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 20019

Dr Ludwik Fischer,
więzień obozu w Gross-Rosen nr 7851

W dniu 8 lipca 1965 roku zakopiańska ziemia Cmentarza Zasłużonych przyjęła zwłoki lekarza, który przez 53 lata wnikał w tajniki procesów chorobowych, niestrudzenie walcząc o ludzkie życie. Był nim dr *Ludwik Fischer*, nestor polskich ftizjatrów. Jego mrówcza, codzienna praca miała trzy zasadnicze kierunki: stałe pogłębianie własnej wiedzy lekarskiej, umiejętne zastosowanie jej w ratowaniu chorych i dzielenie się swymi doświadczeniami z innymi lekarzami.

Cechami charakteru tego lekarza-społecznika były pracowitość, dokładność, młodzieńczy zapał i temperament, nieustępliwość ze słusznie obranej linii postępowania, niezwykła postawa etyczno-moralna. Równocześnie cechowała go skromność, bezpośredniość, dostępność, zdecydowanie, cierpliwość, wyrozumiałość dla innych, krytyka i surowość wobec siebie samego. Zalety te zjednywały mu powszechny szacunek i serca otoczenia.



Ryc. 1. Dr *Ludwik Fischer* w Zakopanem wkrótce po powrocie do tej miejscowości z hitlerowskiej katorgi

Dr *Ludwik Fischer* urodził się 27 grudnia 1886 r. we Lwowie. Tutaj też po ukończeniu nauki w klasycznym gimnazjum w 1906 r. studiował medycynę w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie i uzyskał dyplom doktora medycyny w roku 1912. Ze stanowiska asystenta Kliniki Chorób Wewnętrznych został powołany do wojska. W czasie pierwszej wojny światowej służył w armii austriackiej, a następnie w polskiej (odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych). Po wojnie osiedlił się w Zakopanem. Jego zasługą było przekształcenie sanatorium Polskiego Czerwonego Krzyża na właściwe sanatorium przeciwgruźlicze im. T. Chałubińskiego. Przebywając w Zakopanem, przejął doświadczenia wielkich polskich ftizjatrów. Ściśle współpracował z *Olgierdem Sokołowskim, Stanisławem Meissnerem, Birulą Białynickim, Józefem Żychoniem, Jasińskim, Łotockim* oraz z lekarzami, którzy coraz liczniej napływali do Zakopanego. Wiedzę swoją uzupełniał, wyjeżdżając przez 8 lat z rzędu na pewien czas za granicę do Paryża, Berlina, Danii, Szwajcarii. Przebywał w Davos i Araza, gdzie pogłębiał swoją wiedzę o sanatoryjnym leczeniu gruźlicy płuc.



Ryc. 2. Dr *Ludwik Fischer* w ostatnich latach życia

Fischer wspominał, że w pracy przyświecała mu zawsze naczelna zasada: *„salus aegroti suprema lex esto"* i chęć „pomnożenia skarbca polskiej ftyzjologii i polskiego lecznictwa sanatoryjnego".

Będąc dyrektorem sanatorium nie tylko sam leczył chorych, lecz także w miarę sił i możliwości stwarzał im jak najlepsze warunki bytowe w okresie leczenia. Ze szczególnym zrozumieniem wczuwał się w troski ludzi chorych,

BEKANNTMACHUNG!

Wegen Verbrechens nach §§ 1 und 2 der Verordnung zur Bekämpfung von Angriffen gegen das deutsche Aufbauwerk im Generalgouvernement vom 2. 10. 1943 (Verordnungsblatt für das Generalgouvernement Nr. 82/43) WURDEN VOM STANDGERICHT BEIM KOMMANDEUR DER SICHERHEITSPOLIZEI UND DES SD FÜR DEN DISTRIKT KRAKAU AM 31. 10. 1943 ZUM TODE VERURTEILT:

1. **Wojciechowski Gustav**, aus Zakopane, wegen Bandenzugehörigkeit,
2. **Boron Wladyslaw**, aus Wola Duchacka, wegen Bandenzugehörigkeit,
3. **Polak Alojzy**, aus Nowe Bystre wegen Bandenzugehörigkeit
4. **Dudek Stanislaw**, aus Rdzawka, wegen Bandenzugehörigkeit
5. **Zajac Jan** aus Rdzawka, wegen Bandenzugehörigkeit
6. **Czyszczon Wladyslaw**, aus Rdzawka, wegen Bandenzugehörigkeit,
7. **Gorski Mieczyslaw**, aus Poronin, wegen Waffenbesitzes,
8. **Cychanski Josef**, aus Raba Wyżna, wegen illegaler Betätigung,
9. **Schaflarski Josef**, aus Lesnica, wegen illegaler Betätigung,
10. **Bando Bronislaw**, aus Zakopane, Mitglied einer Terrorgruppe,
11. **Szymanski Jan**, aus Chabowka, wegen illegaler Betätigung,
12. **Dworski Wladyslaw**, aus Neumarkt, wegen illegaler Betätigung,
13. **Kaleta Joseph**, aus Neumarkt, wegen illegaler Betätigung,
14. **Uhacz Roman**, aus Neumarkt, wegen illegaler Betätigung,
15. **Kroczka Jan**, aus Chabowka, wegen illegaler Betätigung,
16. **Dobski Eduard**, aus Chabowka, wegen illegaler Betätigung,
17. **Swiadro Jan**, aus Zakopane, wegen illegaler Betätigung,
18. **Juszczak Jan**, aus Zakopane, wegen illegaler Betätigung,
19. **Kudla Antoni**, aus Neumarkt, wegen illegaler Betätigung,
20. **Bachulski Wlodzimierz**, aus Neumarkt wegen illegaler Betätigung,
21. **Dr. Fischer Ludwig** aus Zakopane, wegen illegaler Betätigung,
22. **Sowinski Jan**, aus Neumarkt, wegen illegaler Betätigung,
23. **Hadala Jan**, aus Neumarkt, wegen illegaler Betätigung,
24. **Korewa Czeslaw**, aus Rabka, wegen illegaler Betätigung,
25. **Czubernat Franz**, aus Neumarkt, wegen illegaler Betätigung,
26. **Budyn Wladyslaw**, aus Neumarkt, wegen illegaler Betätigung,
27. **Wilk Kazimierz**, aus Neumarkt, wegen illegaler Betätigung,

Das Urteil ist an den zu Ziffer 1-5 Genannten bereits vollstreckt worden. Die Verurteilten zu Ziffer 6-27 sind für einen Gnadenerweis in Aussicht genommen.

Sollten jedoch in den nächsten 3 Monaten im Bereich der Kreishauptmannschaft Neumarkt (D) Gewalttaten, insbesondere Überfälle auf Deutsche, Angehörige der mit dem Grossdeutschen Reich verbündeten Staaten oder im Interesse des Aufbauwerkes im General Gouvernement arbeitenden Nichtdeutschen begangen werden, so wird — sofern der Täter nicht sofort ergriffen wird — das Urteil auch an den für einen Gnadenerweis in Aussicht genommenen Verurteilten vollstreckt werden und zwar in der Form, dass für jede Gewalttat an einem der Schutzbefohlenen des Grossdeutschen Reiches der beabsichtigte Gnadenerweis für mindestens **10** der Verurteilten hinfällig wird.

Es liegt deshalb in der Hand der nichtdeutschen Bevölkerung,

durch sofortige Festnahme, oder Veranlassung der Festnahme des oder der Täter, oder durch Einwirkung auf ihnen bekannte, irregeleitete Elemente, oder durch Anzeigen verdächtiger Personen

dafür zu sorgen, dass das Urteil an den für einen Gnadenerweis in Aussicht genommenen Verurteilten nicht vollstreckt wird.

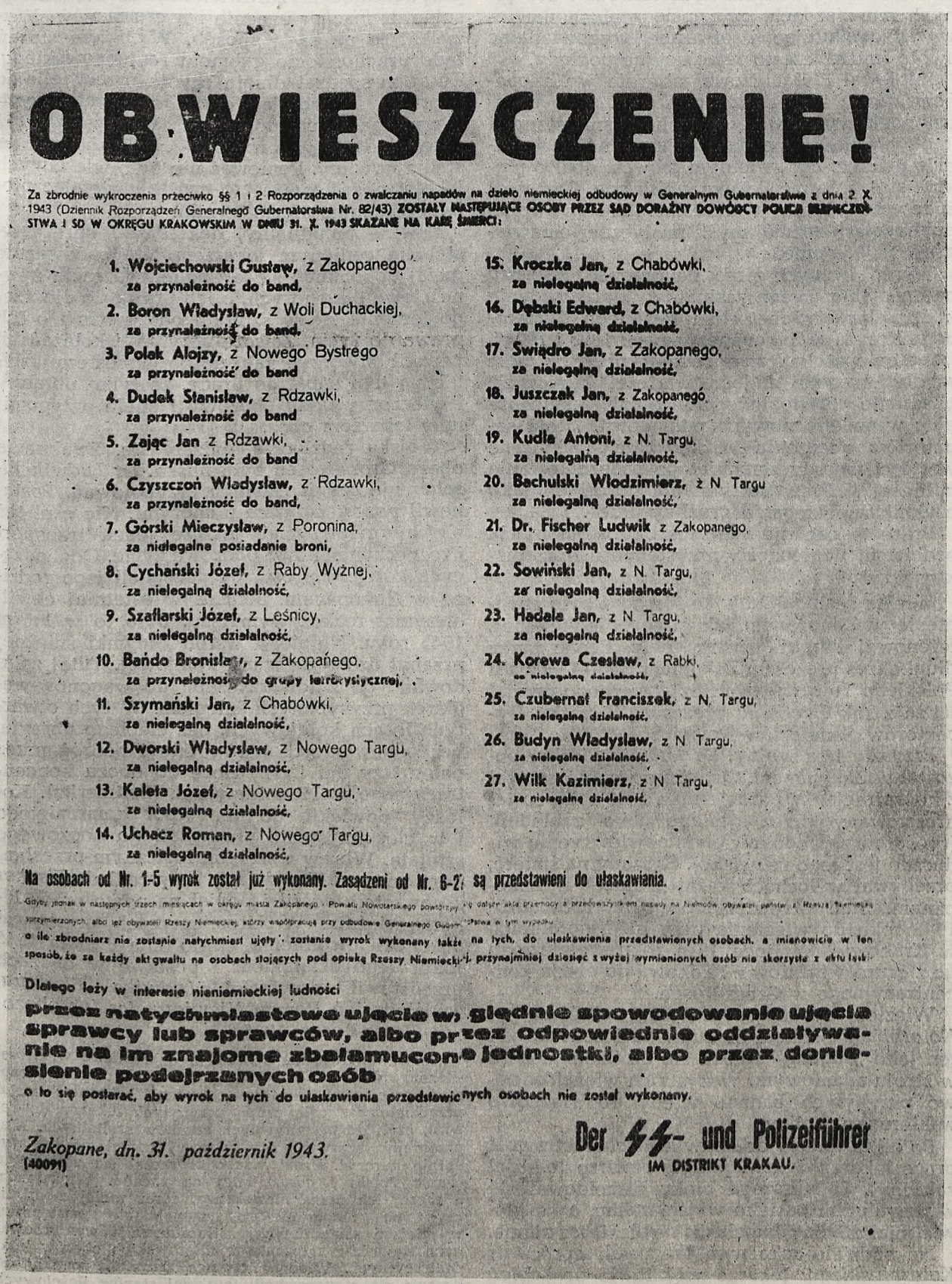
Zakopane, den 31. Oktober 1943.
(40091)

Der SS- und Polizeiführer
IM DISTRIKT KRAKAU.

Ryc. 3. Reprodukcja obwieszczenia niemieckiego. Wśród nazwisk znajduje się dr *Ludwik Fischer*

dając cenne rady i wskazówki. Chorzy kochali go jak ojca i przyjaciela, a nieraz po wielu latach, przyjeżdżając powtórnie już jako zdrowi, wyrażali swoją wdzięczność, często prosząc o radę nie tylko w sprawach zdrowia. Zawsze bezinteresownie znajdował dla nich czas i słowa pociechy, poparte cenną radą i pomocą.

Wiele swych sił poświęcał młodszym kolegom, dyskutując z nimi, ucząc ich, przekazując



OBWIESZCZENIE!

Za zbrodnie wykroczenia przeciwko §§ 1 i 2 Rozporządzenia o zwalczaniu napadów na dzieło niemieckiej odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie z dnia 2. X. 1943 (Dziennik Rozporządzeń Generalnego Gubernatorstwa Nr. 82/43) ZOSTAŁY NASTĘPUJĄCE OSOBY PRZEZ SĄD DORAŹNY DOWÓDCY POLICJI BEZPIECZEŃSTWA I SD W OKRĘGU KRAKOWSKIM W DNIU 31. X. 1943 SKAZANE NA KARĘ ŚMIERCI:

1. **Wojciechowski Gustaw,** z Zakopanego
za przynależność do band,
2. **Boron Władysław,** z Woli Duchackiej,
za przynależność do band,
3. **Polak Alojzy,** z Nowego Bystrego
za przynależność do band
4. **Dudek Stanisław,** z Rdzawki,
za przynależność do band
5. **Zając Jan** z Rdzawki,
za przynależność do band
6. **Czyszczoń Władysław,** z Rdzawki,
za przynależność do band,
7. **Górski Mieczysław,** z Poronina,
za nielegalne posiadanie broni,
8. **Cychański Józef,** z Raby Wyżnej,
za nielegalną działalność,
9. **Szaflarski Józef,** z Leśnicy,
za nielegalną działalność,
10. **Bańdo Bronisław,** z Zakopanego,
za przynależność do grupy terrorystycznej,
11. **Szymański Jan,** z Chabówki,
za nielegalną działalność,
12. **Dworski Władysław,** z Nowego Targu,
za nielegalną działalność,
13. **Kaleta Józef,** z Nowego Targu,
za nielegalną działalność,
14. **Uchacz Roman,** z Nowego Targu,
za nielegalną działalność,
15. **Kroczka Jan,** z Chabówki,
za nielegalną działalność,
16. **Dębski Edward,** z Chabówki,
za nielegalną działalność,
17. **Swiądro Jan,** z Zakopanego,
za nielegalną działalność,
18. **Juszczak Jan,** z Zakopanego,
za nielegalną działalność,
19. **Kudła Antoni,** z N. Targu,
za nielegalną działalność,
20. **Bachulski Włodzimierz,** z N. Targu
za nielegalną działalność,
21. **Dr. Fischer Ludwik** z Zakopanego,
za nielegalną działalność,
22. **Sowiński Jan,** z N. Targu,
za nielegalną działalność,
23. **Hadała Jan,** z N. Targu,
za nielegalną działalność,
24. **Korewa Czesław,** z Rabki,
za nielegalną działalność,
25. **Czubernat Franciszek,** z N. Targu,
za nielegalną działalność,
26. **Budyn Władysław,** z N. Targu,
za nielegalną działalność,
27. **Wilk Kazimierz,** z N. Targu,
za nielegalną działalność,

Na osobach od Nr. 1-5 wyrok został już wykonany. Zasądzeni od Nr. 6-27 są przedstawieni do ułaskawienia.

Gdyby jednak w następnych trzech miesiącach w okręgu miasta Zakopanego - Powiatu Nowotarskiego powtórzyły się dalsze akta przemocy a przedewszystkiem napady na Niemców obywateli państw z Rzeszą Niemiecką sprzymierzonych, albo też obywateli Rzeszy Niemieckiej, którzy współpracują przy odbudowie Generalnego Gubernatorstwa o tym wyroku

o ile zbrodniarz nie zostanie natychmiast ujęty, zostanie wyrok wykonany także na tych, do ułaskawienia przedstawionych osobach, a mianowicie w ten sposób, że za każdy akt gwałtu na osobach stojących pod opieką Rzeszy Niemieckiej przynajmniej dziesięć z wyżej wymienionych osób nie skorzysta z aktu łaski.

Dlatego leży w interesie nieniemieckiej ludności

przez natychmiastowe ujęcie względnie spowodowanie ujęcia sprawcy lub sprawców, albo przez odpowiednie oddziaływanie na im znajome zbłąkane jednostki, albo przez doniesienie podejrzanych osób

o to się postarać, aby wyrok na tych do ułaskawienia przedstawionych osobach nie został wykonany.

Zakopane, dn. 31. październik 1943.
(40091)

Der SS- und Polizeiführer
IM DISTRIKT KRAKAU.

Ryc. 3a. Prawa połowa obwieszczenia

im swą wiedzę i doświadczenie. Szedł zawsze za postępem nauki i był motorem wprowadzania nowych jej osiągnięć. Był jednak daleki od bezkrytycznego przyjmowania tez bez osobistego ostrożnego sprawdzenia ich wartości. Brał udział we wszystkich możliwych i dostępnych mu zjazdach, czy posiedzeniach naukowych, dyskutując i otwarcie wypowiadając swoje śmiałe, często rewolucyjne poglądy.

Inicjował i organizował głównie w Zakopanem zjazdy i spotkania naukowe. Jego dorobek naukowy, utrwalony publikacjami, stanowi istotny wkład w polską ftyzjatrię. Miał doskonałą pamięć, był świetnym mówcą, dbał o piękny styl i formę języka polskiego. Doceniał znaczenie historii, podkreślał stale w swoich publikacjach rozwój myśli medycznej omawianego zagadnienia.

Wśród licznych prac naukowych *Fischera* na specjalną uwagę zasługuje: „Sprawozdanie z działalności Sanatorium Polskiego Czerwonego Krzyża w Zakopanem za rok 1923 i 1924", „Anatomopatologiczny podział gruźlicy płuc szkoły Aschoffa i jego wartości kliniczne", „Leczenie krwiopluć pituitryną", „Suchoty płuc w świetle nowych poglądów", „Rola sanatoriów w leczeniu gruźlicy płuc", „Kliniczne wartości metody zamkniętego wziernikowania opłucnej", „Prewentorium dla dorosłych jako czynnik zapobiegania gruźlicy płuc".

Prace te cechuje zwięzłość, prostota ujęcia problemu, dogłębność, przystępność oraz piękny język.

Wielką zasługą *Ludwika Fischera* było stworzenie w Zakopanem jak gdyby nieoficjalnej, terenowej kliniki gruźlicy płuc. Będąc przez długi okres prezesem Zakopiańskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Ftizjatrycznego przejął także z rąk *Żychonia* prezesurę Związku Dyrektorów Sanatoriów Polskich.

Przyszły lata wojny. Dr *Ludwik Fischer* pozostał w Zakopanem. Ostrożnie współpracował z konspiracją. W październiku 1943 roku został aresztowany przez gestapo jako zakładnik (ryc. 3; na reprodukowanym obwieszczeniu widoczne jest jego nazwisko). Skazany na śmierć, przebywał w lochach kaźni „Palace" w Zakopanem. Stąd przewieziono go w listopadzie 1943 roku do więzienia przy ul. Montelupich w Krakowie. W lipcu 1944 roku wywieziono go z grupą więźniów z Krakowa do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen.

Więzień obozu Gross-Rosen, okulista, dr *Kotarbiński* pamięta dr *Ludwika Fischera*, gdy ten jako *„zugang"* zgłosił się do badania oczu w stroju adamowym. Wszystkich więźniów nowo przybyłych badano wtedy obowiązkowo w kierunku jaglicy.

Po kilku dniach dr *Ludwik Fischer* otrzymał pracę lekarza w tzw. piątym rewirze (oddział zakaźny). U starszego bloku zameldował się w przydługim pasiaku więźniarskim, a na głowie miał zielony kapelusik tyrolski bez ronda.

Na oddziale zakaźnym pracowali oprócz dr *Kotarbińskiego:* lekarze-więźniowie dr *Żegleń* z Makowa Podhalańskiego, dr *Antoni Pieszak* i dr *Romuald Sztaba*. Pomogli *Fischerowi*, tak że szybko „uchwycił rytm" życia obozowego. Posegregował chorych współwięźniów, pozakładał ich historie chorób i rozpoczął leczenie chorych. Cudem zdobył aparat odmowy. Stał się on w jego ręku magicznym instrumentem przywracającym zdrowie. Szybko też zdobył sobie dr *Fischer* uznanie i u esesmanów. Wyzyskał je na swój sposób. Wynikiem starań było uruchomienie gabinetu rentgenowskiego. Tutaj to spędzał długie chwile prześwietlając chorych, kontrolując obraz odm założonych i wymagających dopełnień. Wprowadził też prześwietlanie zdrowych, by wykryć wczesne stadia gruźlicy. Ponieważ nie było właściwych lekarstw, zastosował w gruźlicy ziołolecznictwo, osiągając niezłe wyniki.

Zawsze punktualny, dokładny i sprężysty, stał się cenionym lekarzem, który odważnie umiał dopominać się o dodatkowe racje żywnościowe dla chorych, o ich prawa do dłuższego leczenia się w szpitalu obozowym i o ich prawa do życia. Zawsze uczynny i koleżeński, potrafił stworzyć tak dobrą atmosferę szpitalną i taki zapał do pracy, że tylko poranny i wieczorny gong obozowy i apele przypominały lekarzom obóz.

Wojska radzieckie zbliżały się. Ewakuacja obozu Gross-Rosen była bliska. Dr *Ludwik Fischer* nie czynił żadnych przygotowań. Postanowił pozostać razem z chorymi. Nie czuł też sił, by przetrzymać jeszcze jeden transport i rozpoczynać nowe obozowe życie. Odchodzących kolegów prosił, by pożegnali jego rodzinę w Zakopanem. Jednak w ostatniej chwili otrzymał rozkaz wymarszu. Było to w lutym 1945 roku. Najpierw wśród zadymki śnieżnej przebył drogę do stacji kolejowej. Tutaj załadowano go z towarzyszami do wagonów-węglarek przysypanych śniegiem. W tych otwartych lorach kolejowych, bez ciepłego ubrania, bez odpowiednich butów odbył podróż przez pełne trzy dni i trzy noce do obozu koncentracyjnego w Litomierzycach (Leitmeritz). Koledzy powlekli go na wpół zmarzniętego i w ciężkim stanie przekazali do obozowego szpitala. Wbrew wszelkim logicznym przesłankom już po kilku dniach przyszedł dr *Fischer* z powrotem do sił i podjął na nowo pracę lekarza-więźnia. W Litomierzycach przebywał do chwili uwolnienia, tj. do dnia 8 maja 1945 roku. Jego działalność i postawę w obozach przedstawił przyjaciel *Ludwika Fischera*, współwięzień *Roman Niewiarowicz* (nr obozowy Gross-Rosen 18650):

„Jako współwięzień spotkałem dr *Fischera* w Gross-Rosen, gdzie po „zwykłych" i zwyczajowych okropnych przejściach jako tzw. *„zugang"* obozowy został przydzielony z całą grupą przybyłych lekarzy do rewiru, czyli do prymitywnych baraków szpitalnych. Nieprzebrany rezerwuar siły roboczej począł się już wydatnie kurczyć. Front wschodni zaczął się zbliżać do granic Polski i coraz dalej na zachód. Więźniowie, a raczej ich praca niewolnicza, coraz mniej mogli liczyć na nieograniczone uzupełnianie następcami w miejsce zamęczonych, zatłuczonych i wymordowanych zgodnie z założeniami hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Władze obozowe zmuszone zostały do liczenia się z masowymi ubytkami stanów ilościowych więźniów dla umożliwienia sobie nakazanych prac dla III Rzeszy. Polskim więźniom-lekarzom pozwolono ra-

towac topniejące niedobitki wpół żywych nędzarzy. W rewirach lekarze polscy uzyskali prawo niesienia pomocy swoim towarzyszom niedoli. Najczęściej kilkudniowa przerwa w morderczej pracy, dobre słowo otuchy i ludzki odruch najserdeczniejszej troski były jedynymi dostępnymi środkami lekarskimi, jakimi dysponowali. Ale właśnie w tej rozpaczliwej bezradności wobec tego ogromu nieszczęścia, epidemii, wszelkich najgroźniejszych chorób i ogólnego zadręczenia, nasi polscy lekarze potrafili działać cuda.

Jak leczyć ślepnących, którym ropa jaglicy wyżerała już oczy? Przecież jedynym instrumentem okulisty była, w samochodowym warsztacie zrobiona, blaszka do wydrapywania „jagieł" spod powiek. Pacjenta trzymało czterech kolegów, a lekarz wyskrobywał na żywo gruzełki jaglicze. Wyjącego z bólu, z zalanymi krwią oczami kolegę zmieniał następny. Jak ratować rozpadające się i wypluwane resztki płuc w beznadziejnych w obozie stadiach gruźlicy? Jak i czym pomóc i podtrzymać nieprzytomne kościotrupy w zapadach kryzysowych duru wysypkowego, kiedy powszechnym i z musu stosowanym środkiem i najczęstszym lekiem-opatrunkiem przy ropiejących wrzodach po awitaminozach i flegmonach był... kradziony papier z worków po cemencie? W tych warunkach pozwolono naszym lekarzom „leczyć i ratować", byle tylko zmniejszyć śmiertelność nas — zwierząt roboczych. Kto sam tego nie widział, ten chyba nigdy nie da wiary. Była tych polskich lekarzy niewielka gromadka, dosłownie kropla w morzu bezgranicznej nędzy i zatraty. Bito ich za byle co, poniewierano i karano, tak samo jak i innych więźniów. Ale w tym piekle dali nam, oprócz swej najlepszej wiedzy lekarskiej, rzecz najdrogocenniejszą i jedyną: dali nam swoją braterską ofiarność i poświęcenie, ratunek i serca nie do odpłacenia. Podtrzymywali nas w najstraszniejszych chwilach załamań fizycznych i psychicznych.

Jednym z tych lekarzy polskich, którym tak wielu zawdzięcza życie, zdrowie, ocalenie i powrót z tego dna upodlenia człowieka, z koszmaru obozowego — był znakomity specjalista chorób płucnych, b. dyrektor Sanatorium Czerwonego Krzyża w Zakopanem dr *Ludwik Fischer*. Obserwowałem go przez cały czas naszego pobytu w obozie Gross-Rosen, a potem w Litomierzycach. Jego niebywała siła moralna i promieniująca dobroć była tej samej próby, co jego wielka wiedza i talent lekarza. Dla każdego z nas był zawsze najdroższym kolegą i źródłem niespożytej energii w niesieniu pomocy. Jego rady, przestrogi i nauki ratowały setki kolegów. On nas uczył, jak przetrwać, jak nieraz resztkami płuc gospodarować, byle przeżyć i dotrwać. A to nie było sanatorium w normalnym świecie, ale jedno poruszające się pod batem esesmańskim „*castrum* zadżumionych".

I w tych Litomierzycach byłem naocznym świadkiem, jak kiedyś po wezwaniu kilku naszych lekarzy do chorujących esesmanów (zawsze bardziej ufali wiedzy lekarzy polskich w poważniejszych wypadkach) dr *Fischer*, jako honorarium, przyniósł ze szpitala esesmańskiego ukradzione („zorganizowane" — w języku „lagrowym") jakieś resztki pogruchotanych rupieci. Jakieś stare, zleżałe rurki gumowe, jakieś słoiki po konserwach, połamane kawałki tłoczka po pompce rowerowej itp. I zaczął nocami, oczywiście w tajemnicy przed esesmanami, coś przy nikłej, osłoniętej żaróweczce majstrować, łączyć, kleić, uszczelniać, aż po kilku dniach pokazał nam coś, co dosłownie mogło być wszystkim, zwłaszcza dla nas, laików. Potem sporządził tak „na oko" jakąś skalę i zaczęło się. Nikt z nas nawet nie domyślał się, że z tych na śmietniku pozbieranych odpadków powstał aparat, któremu tylu z nas zawdzięcza życie i powrót do kraju oraz możność dalszej, już normalnej kuracji. Był to chyba jedyny i pierwszy w dziejach obozów koncentracyjnych aparat do zakładania odmy, wykonany w takich warunkach i z tak nieprawdopodobnych elementów. Pamiętam pierwszy zabieg założenia odmy koledze W. W., któremu wprost rozpadało się już płuco. Byłem wtedy pacjentem na rewirze dr *Fischera*. W nocy, na stole ułożono pacjenta na boku, przy drzwiach stali koledzy, pilnujący, czy któryś z esesmanów nie nadchodzi. Takich zabiegów nie wolno było robić, bo i po co? Jak już taki „muzułman", to droga przez komin krematoryjny o wiele prostsza i szybsza! Pamiętam opanowanie i spokój dr *Fischera*, a nasze ogólne podniecenie. Słuchawka — jeszcze ucho dla lepszej kontroli — palce lekarza badające i oczy pełne wiary i nadziei. Wreszcie wbicie igły, wygotowanej w misce po kawie, i... po chwili odma była założona. Pierwsza odma w obozie koncentracyjnym! A potem następowały i dalsze. Następowały również dopełnienia odmy w razie potrzeby, byle tylko dotrwać. Te odmy dr *Fischera*, potem w kraju i w prawdziwych szpitalach, pod aparatami Roentgena kontrolowane i sprawdzane, wykazywały pełne, bezbłędne i najzupełniej skuteczne uciśnienia i unieruchomienia chorej części tkanki płucnej. Ci ludzie żyją! Pracują, wrócili do swoich, cieszą się życiem. Nie znam rozpiętości, ani stopnia wdzięczności ludzkiej, a zwłaszcza odwdzięczenia się za ocalenie życia w beznadziejnych zupełnie warunkach obozowych, ale najserdeczniejsze i najgłębiej sercem odczute słowa podzięki zawsze będą towarzyszyły znakomitemu lekarzowi i naszemu najdroższemu koledze z czasu tej najcięższej proby serc i charakterów, kochanemu doktorowi *Ludwikowi Fischerowi*!" [1]

Z obozu dr *Ludwik Fischer* wrócił pieszo do swego ukochanego Zakopanego. Nie czekał na regenerację sił. Wynędzniały, w pasiaku, z bruzdą wystrzyżoną przez środek głowy (znakiem rozpoznawczym więźnia hitlerowskich obozów) dowlókł się do ukochanych Tatr (ryc. 1). Wiodła go siła woli i chęć niesienia pomocy chorym. Wrócił do pracy i bez wytchnienia wprzągł się w jej rydwan. Zapomniał o sobie. Na jego „złote ręce", światły umysł i wielkie serce czekały rzesze chorych. W czasie okupacji rozpowszechniła się gruźlica płuc, grożąc wycieńczonemu narodowi biologiczną zagładą. Dr *Fischer*, sterany, 60-letni lekarz odmładniał. Z niesłychanym zapałem organizował na swym terenie walkę z gruźlicą dla licznych chorych z całej Polski. Dwoił się i troił. Przyjeżdżali do niego przede wszystkim byli więźniowie z hitlerowskich obozów koncentracyjnych. On ich najlepiej rozumiał i najlepiej umiał leczyć. Był ich najczulszym przyjacielem i oddanym lekarzem. Dla wszystkich znajdował miejsce. O każde tlejące jeszcze życie walczył. Wielu pożegnał, gdyż nieubłagana choroba łatwo zwyciężała wycieńczone organizmy. Bardzo licznych jednak uratował. Ci z rozrzewnieniem pamiętają jego dobroć, wiedzę, umiejętność i szlachetność.

Ale i w tym, tak pełnym usługowej pracy okresie, nie zapomniał dr *Ludwik Fischer* o pracy naukowej. Brał udział w zjazdach naukowych, wygłaszał referaty, pilnie obserwował i wprowadzał w czyn postępy wiedzy medycznej. W 1949 roku otworzył swym wspaniałym przemówieniem pierwszy powojenny zjazd ftyzjatryczny we Wrocławiu. Z optymizmem przewidział wówczas zwycięstwo w walce z gruźlicą, choć ówczesna rzeczywistość musiała nastrajać pesymistycznie. Jednak stan jego, jak dotychczas, „żelaznego" zdrowia zmusił go do zaniechania uciążliwych obowiązków dyrektora Sanatorium PCK. Jako skromny lekarz przyjął ordynaturę w Sanatorium Bojowników o Wolność i Demokrację w budynku „Palace", w którym przed kilkoma laty był dręczony jako więzień. Nie opuścił swych najbliższych przyjaciół obozowych, którzy nadal do niego trafiali.

[1] Fragment nie opublikowanego listu.

W 1956 roku w uznaniu zasług otrzymał dr *Ludwik Fischer* jako pierwszy po wojnie lekarz ftyzjatra dyplom honorowego członka Polskiego Towarzystwa Ftizjatrycznego. Jego postępowanie z chorymi i kolegami spowodowało, iż stał się autorytetem w dziedzinie deontologii lekarskiej, czego wyrazem był wybór dr *Fischera* na prezesa Sądu Honorowego Polskiego Towarzystwa Ftizjopneumonologicznego.

Znękany ciężką, długotrwałą chorobą walczył z nią, zachowując do ostatnich chwil pogodę ducha i postawę Rzymianina (pasjonował się historią starożytnych Greków i Rzymian), maskował wszelkie objawy niewypowiedzianych cierpień. Był do końca twardy dla siebie, skromny, wyrozumiały dla otoczenia, stale myślał o innych. Był głęboko wierzącym i praktykującym katolikiem. W pamięci chorych, a w szczególności w pamięci chorych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych pozostanie zawsze świetlaną postacią.

Nadane mu odznaczenia wojskowe i państwowe Krzyża Walecznych, Krzyża Oficerskiego Orderu „Polonia Restituta", Krzyża Komandorskiego Orderu „Polonia Restituta", Medalu 10-lecia PRL i Odznaki za „Wzorową Pracę w Służbie Zdrowia" są wyrazem jego zasług za odwagę, pracę społeczno-lekarską i naukową. Nie odzwierciedlają one jednak w pełni indywidualnej wdzięczności wielu pacjentów, którym *Ludwik Fischer* uratował życie.

Jego wielka postać wymaga szerszego, biograficznego opracowania.

ALINA PRZERWA-TETMAJER Warszawa
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 64503

Lekarki z organizacji młodzieżowej „Życie"

Helena Wolf („Anka") i Janina Zachariasz-Krajewska

Walka o wolną, sprawiedliwą Polskę ludu pracującego była treścią życia *Heleny Wolf („Anki")* i *Janiny Zachariasz-Krajewskiej*. Można by o każdej z nich napisać książkę, gdyż tak bogate, pełne głębokich przeżyć i wpisane w pamiętne dni przemian historycznych było ich życie. Obie związały się najbliższą przyjaźnią i dlatego poświęcono im jeden artykuł. Tworzyły razem siłę, która przekonywała mocą uczucia, logiką argumentu i wolą walki o postęp. Pochodziły z różnych środowisk i różne były drogi dojścia ich do idei socjalizmu, ale finał był ten sam: całkowite poświęcenie sprawie.

* * *

Helena Wolf[1] urodziła się w Warszawie w 1915 roku, w zamożnej rodzinie mieszczańskiej pochodzenia niemieckiego, od dawna związanej z kulturą polską. Już w wieku dziecięcym wykazywała szczególną wrażliwość na niedolę i niesprawiedliwość, starając się dzielić z dziećmi z podwórka wszystkim, czym rozporządzała: zabawkami, śniadaniem, słodyczami. W okresie studiów lekarskich na Uniwersytecie Warszawskim brała żywy udział w życiu społecznym i szybko znalazła kontakty z najbardziej lewicowymi organizacjami studenckimi. Po licznych dyskusjach nad programem reform społecznych i metodami walki wybrała najbardziej radykalną grupę młodzieży „Życie", której programem była zdecydowana walka o prawa dla uciemiężonych warstw społeczeństwa.



Ryc. 1. Dr Helena Wolf („Anka")

[1] Zob. też: Doktor *Anka* — lekarz, żołnierz, bohater. „Służba Zdrowia" R. 5: 1953, nr 9, str. 4. — Pogrzeb majora *„Anki"* w Iłży. „W służbie zdrowia" 1946, nr 3, str. 22. — *Wiślicz-Iwańczyk*: Pamięci „dr *Anki*". „Polska Niepodległa" 1946, nr 2 (przyp. red.).

W tamtych latach, jak wiadomo, głoszenie haseł lewicowych, a co gorsza, czynne działanie w obronie zasad sprawiedliwości społecznej było uznawane za akcję antypaństwową i ostro karane. Po uczestnictwie w jednym z obozów społecznych Koła Medyków, gdzie w ramach akcji niesienia pomocy lekarskiej ludności wiejskiej został nawiązany kontakt z miejscową nauczycielką-społeczniczką, *Helenę Wolf*, podejrzaną o działalność komunistyczną, aresztowano. Wzięła „winę" całkowicie na siebie, nie obciążając nikogo z kolegów. Groziło jej usunięcie z uczelni z „wilczym biletem", bez prawa studiowania na terenie Polski. Na szczęście pomogły wysokie łapówki, na które mogli się zdobyć zamożni rodzice.

Helena Wolf wróciła z aresztu pełna zapału do dalszej walki, jeszcze bardziej przekonana o słuszności sprawy. Narażając się już teraz bardziej i częściej, uczestniczyła w różnych akcjach, np. w walce o obniżkę czesnego dla niezamożnych kolegów, w protestach przeciwko gettom ławkowym, w pomocy dla wsi.

Rok 1939 zastał ją w Warszawie, której oblężenie przeżyła bardzo silnie, przez cały czas niosąc pomoc rannym w ambulatorium Szpitala św. Ducha. Gdy tylko pojawiła się możliwość zdawania egzaminów dyplomowych, *Wolfówna* uzyskała dyplom w pierwszym terminie i postanowiła zostać ginekologiem. Odbywając staż, wyróżniła się szczególnymi zdolnościami. Rwała się do pracy lekarskiej, którą



Ryc. 2. Dr Janina Zachariasz-Krajewska

rozpoczęła w Instytucie Radowym przy ul. Wawelskiej. Równocześnie pracowała w podziemiu, będąc najaktywniejszym członkiem sanitariatu „Gwardii Ludowej" i tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności należy przypisać, że nie została schwytana w czasie przenoszenia materiałów opatrunkowych, leków, broni, gazetek konspiracyjnych. Jak pamiętam, zawsze była grubo opakowana „bibułą" i nawet często nie przestrzegała podstawowych zasad tajnej działalności. Jej wesołe oczy, jasna czupryna i elegancki wygląd „panny z dobrego domu" nie budziły podejrzeń gestapowców.

Przypominam sobie epizod, jak *Wolfówna* któregoś dnia przyszła do nas zdyszana i zaczęła czym prędzej zdejmować ubranie, mówiąc: „Duszę się, szybko rozwiązujcie pas!" Okazało się, że jej talię opasywały trzy warstwy gazetek.

„Jadę na urlop" — oświadczyła po aresztowaniu dr *Jerzego Gromkowskiego* i moim[2]. Wszyscy byliśmy nieco zdziwieni, znając jej pracę. Okazało się, że tym razem grunt zaczął się jej palić pod nogami i musiała szybko zniknąć z Warszawy, oczywiście do partyzantki. I tu nastąpił, jak mówiła, najwspanialszy okres jej życia. Była niezastąpiona. Dwoiła się i troiła w niesieniu pomocy rannym, w prowadzeniu kursów dla sanitariuszy, w organizowaniu polowych ambulansów. Towarzysze broni wspominają ją jako wspaniałego kolegę, który nie tylko był lekarzem, ale i uczestnikiem akcji bojowych, nie znającym strachu, podtrzymującym na duchu w trudnych sytuacjach. Ludność Kielecczyzny zna ją jako lekarza, który zawsze służył pomocą każdemu potrzebującemu, co więcej, uważano ją za „swoją", bliską i darzono najszczerszym uczuciem.

W dokumentach Wojska Polskiego znajduje się szereg historycznych raportów z pola walki, w której szef sanitarnego okręgu partyzantki AL w Kielecczyźnie, major dr *Helena Wolf* melduje o wykonanych akcjach, o sytuacji sanitarnej, o stanie zdrowia rannych i zaopatrzeniu w leki. Wszystkie te raporty są pełne optymizmu i głębokiej wiary w zwycięstwo, wykazują siłę charakteru i entuzjazm walki u *Wolfówny*.

Nadszedł rok 1944, czas klęski hitlerowców, a jednocześnie ich rozpaczliwej, wściekłej obrony. *Helena* zginęła jak żołnierz na polu walki w przededniu wyzwolenia. Pochowana jest w Iłży, gdzie powstał szpital jej imienia.

W pamięci nas wszystkich pozostanie na zawsze symbolem bohaterskiej walki o postęp i wyzwolenie ojczyzny.

* * *

Janina Zachariasz-Krajewska, urodzona w Chełmie Lubelskim w 1916 roku, w niezamożnej rodzinie, ukończyła gimnazjum im. Stefana Czarnieckiego, następnie zaś studia lekar-

[2] Zob. *A. Przerwa-Tetmajer*: Dr *Jerzy Gromkowski-„Grzela"*. „Przegl. Lek." 1965, nr 1, str. 168—170. — Zob. też tamże str. 12 (przyp. red.).

skie w Uniwersytecie Warszawskim. Zginęła zamordowana przez gestapo w zamku lubelskim w 1944 r.

Postać *Janki* jest jak gdyby kontrastem przyjaciółki, *Heleny Wolfówny*. Ciemna szatynka, o bujnych włosach, związanych w gruby węzeł, miała wyraziste, piwne oczy, nad którymi silnie rysowały się brwi, zawsze ściągnięte jakby w zadumie, marzeniu czy tęsknocie. Życie *Janki* od dzieciństwa było bardzo ciężkie. Poznała, co to głód i rozpacz dziecięca. Najstarsza spośród trzech sióstr, często musiała dźwigać ciężar ponad siły. Pamiętam nasze rozmowy z tamtego okresu. Wiedziałam, że cudze cierpienie zawsze jest do zniesienia, ale starałam się ją zrozumieć. Już wtedy była dla mnie bohaterką. Ukojenie znajdowała w ulubionej przez siebie poezji Słowackiego, również wiele nocnych godzin spędzała przy świecy nad lekturą Żeromskiego.

Drugą naszą rodziną była w tym okresie drużyna harcerska. Prowadząc ją, *Janka* wykazała nieprzeciętne zdolności organizacyjne i wpływ na koleżanki. Był to w jej życiu okres wytężonej pracy nad sobą i kształtowaniem się poglądu na świat. Walka z nędzą, ciemnotą i niesprawiedliwością społeczną już wtedy stała się celem jej życia. Postanowiła zostać lekarką. Jak ciężka była droga *Janki* do medycyny, a potem do dyplomu, mogą zrozumieć tylko ci, którzy pamiętają lata 1935—1939, a więc okres, kiedy to studia bez poparcia finansowego były na ogół nieosiągalne. Dochodziły do tego opory moralne wobec perspektywy pozostawienia matki i młodszych sióstr bez swojej pomocy. Już na egzaminie konkursowym zabłysła *Janka* wybitnym poziomem intelektualnym, dostając jedną z pierwszych lokat.

Tak się złożyło, że w pierwszych latach studiów byłyśmy prawdziwą rodziną: *Helena, Janka, Maria Wiedman* i ja. Mieszkałyśmy razem, dzieląc wszystkie radości i smutki życia studenckiego. Pamiętam niemal każdy dzień tej naszej bujnej młodości, pełnej walki o wiedzę i światopogląd, nie kończące się dyskusje, których wynikiem była wiara w lepszą przyszłość ludzkości, wiara w człowieka. *Janka* była zawsze przeciwniczką frazesu i słomianego zapału; liczył się tylko czyn. Najwięcej ceniła czyn cichy, bezimienny. Był to okres budowy Domu Medyków przy ul. Oczki. Ile ciężko przepracowanych godzin nocnych poświęciła wówczas pracy społecznej, jak wiele „cegiełek" dołożyła do dzieła, na które tak wszyscy czekali, osądzić mogliby tylko koledzy widujący ją wtedy na co dzień.

Rok 1939 zastał ją — już jako absolwentkę Wydziału Lekarskiego — w ambulatorium Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie. Pierwszą rozmowę po wybuchu wojny prowadziłyśmy telefonicznie. *Janka* była przerażona ogromem ofiar bombardowania. Był to jej pierwszy chirurgiczny chrzest bojowy. Jeszcze większym wstrząsem dla niej stało się opatrywanie pierwszych rannych żołnierzy, przybywających z wrześniowych pól bitwy.

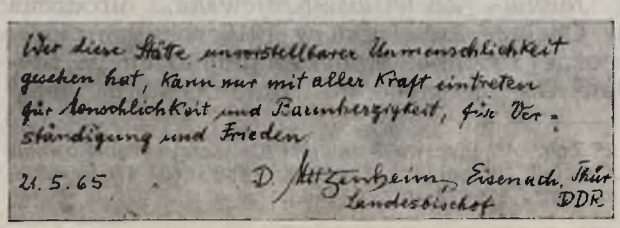
Janka usilnie sprzeciwiała się ewakuacji nas poza Warszawę, do której wróciła przy pierwszej sposobności, przedzierając się przez front. Została tu następnie do roku 1943, uczestnicząc w czołówce podziemnej walki z okupantem. Wraz ze swoim mężem, *Mirosławem Krajewskim*, również żołnierzem-lekarzem, dowódcą grup bojowych Gwardii, a potem Armii Ludowej była ciągle w akcji. Ich mieszkanie przy ul. Wierzbowej 11 stanowiło jeden z głównych lokali konspiracyjnych. Znajdowały się tam składy broni i nielegalnych gazetek. Kilkumiesięczna córeczka *Janki* była otoczona nie tylko wielką miłością matki, lecz także niepokojem posuniętym do ostatnich granic. W razie „wsypy" istniała jedyna możliwość ucieczki przez strychy i dachy sąsiednich kamienic. Jednak nie tu nastąpiła katastrofa. Gestapowcom nie udało się schwytać *Janki*, wzięli więc jako zakładniczkę jej matkę; *Janka* musiała się ukrywać.

Będąc w kontakcie z Batalionami Chłopskimi, miała możność dużego wyboru miejsca zamieszkania. Wybrała najbardziej zapadłą miejscowość, Kąkolewnicę na Podlasiu, ale też natrafiła tam na najcięższe warunki bytu. Tłumaczyła, że wreszcie będzie miała możliwość niesienia pomocy najbardziej potrzebującym, tam, gdzie lekarz nie dociera, natomiast królują zabobony i ciemnota.

Ludność wkrótce odczuła te intencje *Janki* i masowo korzystała z udzielanej przez nią opieki lekarskiej, darząc *Zachariasz-Krajewską* pełnym zaufaniem. Ponieważ był to okres nasilenia się akcji partyzanckich, wchodziło w grę też udzielanie pomocy rannym, a nawet przechowywanie ich czasem.

Nie wiadomo, jaką drogą trafił donos na gestapo, które prawie nigdy nie zapuszczało się w te strony. Plotki wspominają o zawiści zawodowej. Dość, że *Janka* została aresztowana i po ciężkich torturach osadzona na zamku w Lublinie. Planowane odbicie jej przez oddziały partyzanckie nie udało się. Z więzienia pisała do rodziny listy pełne wiary w zwycięstwo sprawy, równocześnie zaś pełne smutku i pewności własnej zagłady.

Janina Zachariasz-Krajewska zginęła jak wielu cichych, bezimiennych, a dzięki temu może bardziej nam bliskich bohaterów wielkiej sprawy postępu.


Wer diese Stätte unvorstellbarer Unmenschlichkeit gesehen hat, kann nur mit aller Kraft eintreten für Menschlichkeit und Barmherzigkeit, für Verständigung und Frieden
21.5.65 D. Mitzenheim Eisenach, Thür. Landesbischof DDR

Reprodukcja wpisu biskupa *D. Mitzenheima* z Eisenach w Turyngii (NRD) do księgi pamiątkowej Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. (Z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu).

WŁADYSŁAWA JASIŃSKA Szczecin
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 63332

Kilka wspomnień o dr Wandzie Starkowskiej

Dr *Wandę Starkowską* poznałam w 1939 roku, lecz bliżej zetknęłam się z nią dopiero kilka lat później w celi więziennej Fortu VII w Poznaniu.

Po aresztowaniu mnie w marcu 1943 r. w niemieckim sanatorium przeciwgruźliczym dla Polaków w Obrze przewieziono mnie do Poznania do „Domu Żołnierza", osławionej siedziby poznańskiego gestapo, a stamtąd do więzienia w Forcie VII. Kilka dni przedtem padła ofiarą fali aresztowań także dr *Wanda Starkowska* i tak spotkałyśmy się obie we wspomnianej celi więziennej. Było nas w celi 16 osób. Tutaj w codziennym współżyciu miałam okazję poznać i ocenić szlachetny charakter dr *Wandy*.

Mimo niewielkiego wzrostu, drobnej raczej budowy i dość słabej konstytucji fizycznej, odznaczała się ona nadzwyczajną żywością umysłu i energią, a przede wszystkim wyróżniała się wśród innych wyjątkową dobrocią i gotowością służenia wszystkim potrzebującym pomocy i opieki. Specjalną troskliwością otaczała najmłodsze, nieletnie więźniarki, a było ich kilka między nami. Było to tym bardziej potrzebne, że nie umiejąc się jeszcze przestawić na więzienne pożywienie, dostałyśmy takiego jadłowstrętu, że nie przyjmowałyśmy przez szereg dni prawie żadnego pokarmu, toteż zaczęto nas podejrzewać, że chcemy się zagłodzić.

Otrząsnąwszy się nieco z pierwszych strasznych wrażeń doznanych po wejściu na Fort VII, który wywarł na nas wrażenie prawdziwej mordowni (musiałyśmy patrzeć na bestialskie obchodzenie się z naszymi współwięźniami-mężczyznami), żyłyśmy kilka dni we względnym spokoju, a czas spędzałyśmy na wspólnych rozmowach. Mimo świadomości grozy naszego położenia potrafiłyśmy snuć miłe obrazy przyszłości. Padały pytania: „Co zrobimy po wojnie?" lub „Gdzie się osiedlimy?" Dr *Wanda* proponowała Wrocław jako ładne miasto, o zdrowym klimacie; nie wątpiła na chwilę, że Wrocław wróci do Polski. Lecz były i chwile poważniejszej zadumy. Wyprowadzano nas nieraz na krótki spacer po podworcu więziennym. Stała tam na uboczu szubienica. Dr *Wanda* idąc obok mnie snuła smutne refleksje: „Zapewne nas powieszą, tyle osób zginęło już tutaj, przyzwyczajajmy się więc do tej myśli, aby gdy nadejdzie ta chwila, nie stracić odwagi i siły". Było coś konspiratorskiego i heroicznego w jej psychice.

Gehenna rozpoczęła się dla nas z nadejściem okresu przesłuchiwań. Codziennie rano między godziną szóstą a siódmą przychodzili gestapowcy do cel i wywoływali nazwiska więźniarek, które zabierano w celu przesłuchiwań do kaźni gestapowskiej w „Domu Żołnierza". Słuchałyśmy z zapartym oddechem, kogo wywołają z naszej celi, a kogo z cel sąsiednich. Cały dzień czekało się w nerwowym napięciu, czy wywołane wrócą wieczorem do cel. Wiedziałyśmy, co oznaczało pozostanie przez noc w „Domu Żołnierza": męczarnie, katusze i wymuszanie zeznań w ten sposób.

Pewnego ranka wywołano również dr *Wandę Starkowską*. Dr *Wanda* tego dnia nie wróciła. Wróciła dnia następnego, cała obolała od bicia, granatowa na ciele i roztrzęsiona nerwowo. Nie załamała się jednak, nie zaszkodziła nikomu. Podczas następnej nocy pilnowały ją współtowarzyszki, śpiące obok niej w obawie, aby się nie targnęła na swoje życie. Dr *Wanda* obawiała się, że po raz wtóry nie wytrzymałaby tych mąk i mogłaby się załamać, gdyby ją jeszcze raz wzięto. Na szczęście pozostawiono ją w spokoju i mogła powrócić trochę do sił i równowagi. Niestety, do swych dawnych sił nigdy już potem nie powróciła.

W połowie września wyjechałam razem z siostrą transportem do obozu w Oświęcimiu, dokąd mniej więcej dwa tygodnie później przyjechała następnym transportem dr *Starkowska*[1]. Ja pracowałam już wtedy w bloku nr 29 dla chorych na gruźlicę. Dr *Wandę* przydzielono do jednego z bloków sąsiednich. Umieszczanie lekarek na funkcje w blokach rewiru było zasługą biura *rewiru*, tzw. *Schreibstuby*. Pracowały tam więźniarki: *Wanda Mende*, dr *Irena Konieczna*, *Witaszkowa*, żona lekarza zamordowanego w Forcie VII i inne. Śledziły one przyjazd więźniarek poprzez znajomości w Oddziale Politycznym i wyciągały z obozu lekarki, aptekarki, słowem — osoby, które można było zatrudnić w „rewirze".

Pamiętam, jak stałam bezradna w łaźni obozowej, tzw. „saunie"; podeszła do mnie nie znana mi wówczas jeszcze dr *Konieczna* z pierwszymi słowami pociechy i obietnicą wyciągnięcia mnie na rewir. Żyło się tam nieco lżej, nie stawało się bowiem na wczesne ranne apele na dworze oraz nie chodziło się do pracy w komandach na zewnątrz obozu.

Po przybyciu na *rewir* dr *Wanda* zabrała się energicznie do swej pracy w bloku, którą zorganizowała jak najbardziej celowo. W swej dbałości o wszystkie chore najwięcej jednak poświęcała uwagi osobom młodym, rozumując słusznie, że były one najmniej przygotowane do obozowego życia. Lecz cóż to było za leczenie — często tylko dobrym słowem. Leków prawdziwych było za mało, jak na taką rze-

[1] Jak wynika ze sporządzonego przez *Antoninę Piątkowską* wykazu obejmującego 10 tysięcy kobiet zmarłych w wyniku deportacji do obozu w Oświęcimiu-Brzezince, dr *Wanda Starkowska* przybyła tam transportem zbiorowym 1. X. 1943 r., została oznaczona numerem 63637, a zmarła 10 lutego 1944 r. (przyp. red.).

szę chorych. Dostarczali ich czasem ukradkiem więźniowie z obozu męskiego. Przemycali je więźniowie przysyłani do naszego obozu w celu wykonania pewnych prac. Czasami przemycano je wozem ambulansowym, który nie podlegał rewizji. Była to jednak przysłowiowa kropla w morzu. W rzeczywistości nie było środków na uporczywe biegunki, które szalały w obozie, wyniszczały organizmy i doprowadzały do zgonu, ani na niespotykane na wolności w podobnym nasileniu schorzenia skórne, spowodowane brakiem odpowiedniego wyżywienia i higieny.

Najcięższy okres przeżywałyśmy, gdy rozszalał się dur. Wszy dręczyły nas wszystkich, nie dziw więc, że rozpanoszył się dur wysypkowy. Bloki przeznaczone na 220 osób mieściły w okresie epidemii przeszło 700 osób, po cztery osoby na wąskich narach-korytkach. Kobiety w gorączce, podobnie do upiorów uciekały w nocy z łóżek, nieraz na dwór. Więźniarki marły jak muchy. Lekarz był bezradny. Dr *Starkowska* stawiała czoło wszystkim tym trudnościom i udrękom. Ratowała jak mogła, przesuwała lżej chorych na inne bloki, zatajała prawdziwe diagnozy z obawy przed niebezpieczeństwem zabrania chorego do gazu. Stosowała wszelkie wybiegi, aby zmniejszyć zło i złagodzić ciosy spadające na chore.

Opowiadała mi kiedyś, jak to w poszukiwaniu Żydówek podczas selekcji wtargnęli do jej bloku esesmani. Ujrzawszy ich, dr *Wanda* zmartwiała z przerażenia, nie mogąc słowa wykrztusić. Na szczęście przyszła jej w pomoc blokowa, Niemka, oświadczając ze spokojem: „My mamy wyłącznie aryjski personel", mimo że w tym bloku znajdowały się również funkcyjne Żydówki.

Pracując, a nie oszczędzając swego zdrowia dr *Wanda* rozchorowała się sama na dur, następnie na paratyfus. Dołączyła się do tego jeszcze choroba nerek i odezwały się stare przypadłości jelitowe, toteż w końcu nie podniosła się już ze swego łóżka. Wychudła, straciła siły, a wreszcie przyszło też zapalenie płuc. Czując swój rychły zgon, nie chciała być ciężarem dla swych współtowarzyszek-lekarek w pokoiku, w którym razem z nimi sypiała. I dr *Wanda* przeniosła się do ogólnego bloku pod pretekstem, że potrzebuje więcej powietrza. Tam też wkrótce zmarła.

Dr *Starkowska* nie miała rodziny. W jej domu, w Poznaniu czekała jednak na nią cierpliwie jej wierna gosposia, od której jeszcze w dniu śmierci otrzymała wiadomość. Zdążyła przeczytać ten list. Gosposia zapewniała ją, że wszyscy czekają na jej powrót. Łzy rozrzewnienia, a może i żalu spłynęły po twarzy na papier. Przecież zdawała sobie sprawę, że nie wróci. W kilka godzin później już nie żyła. Wśród towarzyszek pozostawiła po sobie wspomnienie gorącej Polki, dobrej koleżanki i człowieka na wskroś szlachetnego i ofiarnego w służbie swych bliźnich.

DOKOŃCZENIE SPISU TREŚCI POPRZEDNICH ZESZYTÓW „PRZEGLĄDU LEKARSKIEGO — OŚWIĘCIM" (ZE STR. 248)

cimskimi" (Uwagi ogólne). — V. E. Frankl: Higiena psychiczna w sytuacji przymusowej. Doświadczenia z zakresu psychoterapii w obozie koncentracyjnym. — S. Dąbrowski, H. Schrammowa, T. Dąbrowska-Żakowska: Trwałe zmiany psychiczne powstałe w wyniku pobytu w obozach koncentracyjnych i eksperymentów pseudolekarskich. — S. Kłodziński: Cel i metodyka badań lekarskich byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. — J. Krzywicki: Stan uzębienia u byłych więźniów obozów hitlerowskich. — H. Szwarc: Chorobowość byłych więźniów hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych. — S. Kłodziński: Zbrodnicze doświadczenia farmakologiczne na więźniach obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (preparat 3582, rutenol Bo 1034, periston). — S. Kłodziński: Dur wysypkowy w obozie Oświęcim I. — R. Waitz, M. Ciepielowski: Doświadczalny dur wysypkowy w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. — ZAGADNIENIA ODSZKODOWAŃ I ORZECZNICTWA: I. Domańska: Akcja PCK na rzecz byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych — ofiar zbrodniczych eksperymentów pseudolekarskich. — L. Brzozowski: Uwagi dotyczące uprawnień do świadczeń rentowych byłych więźniów obozów koncentracyjnych. — S. Kłodziński: Uwagi dotyczące stanu zdrowia byłych więźniów obozów koncentracyjnych w związku z orzecznictwem rentalnym. — A. Szymusik: Dotychczasowy stan inwalidzkiego orzecznictwa psychiatrycznego dotyczącego byłych więźniów obozów koncentracyjnych. — DZIAŁ HISTORYCZNO-DOKUMENTARNY: S. Urbańczyk: W Sachsenhausen i Dachau (w 25 rocznicę uwięzienia profesorów uczelni krakowskich). — S. Mahrburg: Karty z okresu terroru hitlerowskiego w Wilnie. — T. Szymański, D. Szymańska, T. Śnieszko: O „szpitalu" w obozie rodzinnym dla Cyganów w Oświęcimiu-Brzezince. — D. Lorska: Blok X w Oświęcimiu. — S. Leszczyńska: Raport położnej z Oświęcimia. — O. Wolken: Gdy myślę o dzieciach. — L. Głogowski: Królik doświadczalny. — L. Głogowski: „Szpital" w Brzezince. — J. Kiwała: „Szpital" w obozie żeńskim w Brzezince na przełomie lat 1942—43. — J. Wolny: O organizowaniu pomocy lekarsko-sanitarnej w obozie kobiecym w Brzezince. — E. Niedojadło: „Szpital" obozowy w Bunie. — WSPOMNIENIA: A. Gawalewicz: Numer wraca do nazwiska. II. Prolog ludzkiego życia. — Z. Mączka-Patkaniowska: Zeznania z bunkra. — J. Olbrycht: Z przeżyć obozowych. — S. Perzanowska: Pomoc lubelskich organizacji społecznych więźniom Majdanka. — J. Markiewicz: Wspomnienia lekarza z Mauthausen-Gusen. — RÓŻNE: K. Żywulska: List do Matki. — A. Kępiński: „Anus mundi". — T. Seweryn: „Wisła" na falach eteru. — SPRAWOZDANIA: J. Nowak: Sprawozdanie z IV kongresu lekarskiego FIR w Bukareszcie. — A. Kępiński, J. Masłowski: Pierwszy zjazd lekarzy ZBoWiD. Dorobek i perspektywy. — S. Kłodziński: III Krajowy Kongres Delegatów ZBoWiD, Warszawa 24—26. IX. 1964 r. Z zagadnień socjalno-medycznych Kongresu. — Zarządzenie Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej w sprawie badań lekarskich stanu zdrowia byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, członków ZBoWiD. — SYLWETKI ZASŁUŻONYCH LEKARZY: W. Kiedrzyńska: Dr Maria Kujawska. — W. Kiedrzyńska: Dr Celina Choynacka. — A. Przerwa-Tetmajer: Dr Jerzy Gromkowski — „Grzela". — J. Bogusz: Dr Mieczysław Owca-Orwicz. — S. Kłodziński: Dr Aleksander Smerek. — BIBLIOGRAFIA: J. Masłowski: Zagadnienia lekarskie okresu okupacji hitlerowskiej. Bibliografia polska 1944—1964.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE

MIECZYSŁAW KIETA
były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka nr 59590
Kraków

Prof. dr Jan Sehn

Prof. dr *Jan Sehn* nie był więźniem Oświęcimia ani innego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego. Znał jednak kompleks rozległych problemów związanych z tym obozem zagłady i całym systemem hitlerowskiego bezprawia i barbarzyństwa lepiej niż wielu długoletnich więźniów tego obozu. Znał go bowiem wszechstronnie.

Był jednym z pierwszych, którzy po wyzwoleniu ziemi krakowskiej dotarli do Oświęcimia. Zabezpieczał tam jako sędzia śledczy ślady zbrodni, gromadził dokumenty, dokonywał oględzin już wtedy, kiedy nie ostygły jeszcze zgliszcza po pożarach, wznieconych dla zatarcia śladów zbrodni przez uciekającą załogę SS.

Oświęcim stał się od początku jego szczerą pasją, pasją sędziego, prawnika, naukowca. Towarzyszyła mu ona do ostatnich godzin pracowitego życia.

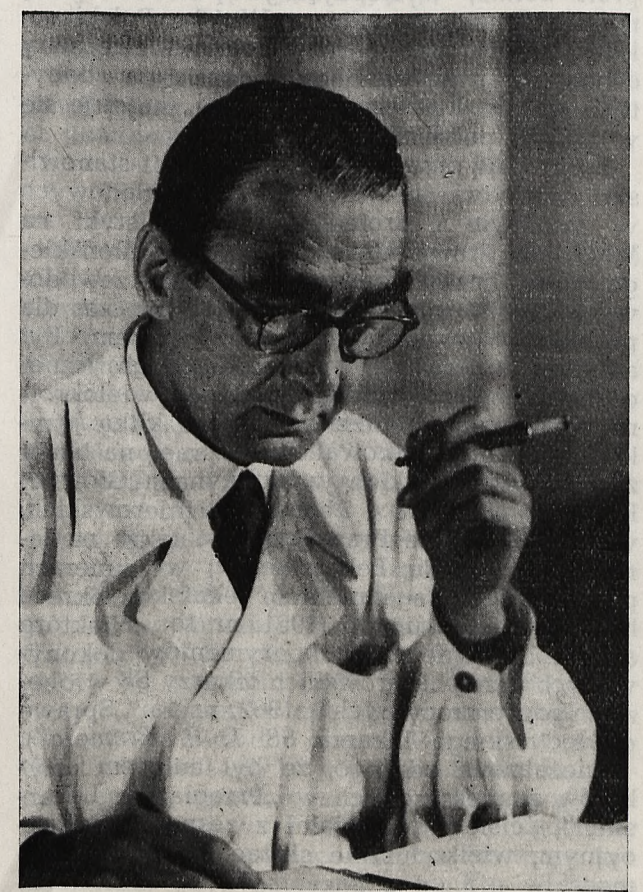
Przed kilkunastu laty spotykałem go często w rozległym gmachu Sądu Wojewódzkiego w Krakowie przy ulicy Grodzkiej. Na parterze, w niewielkim pokoiku mieściła się wtedy Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich, której prof. dr *J. Sehn* był przewodniczącym, jej organizatorem i motorem jej działalności.

Tutaj, w tym pokoju rozgrywał się następny etap historii Oświęcimia. Przed polskim sędzią, doktorem *J. Sehnem* stawały upiory oświęcimskiej przeszłości: byli członkowie załogi *SS* tego obozu. Tylko nieliczni z nich mieli okruch odwagi, aby mówić o zbrodniach obozowych. Większość milczała, inni usiłowali pomniejszyć swoją winę, przesłaniając ją kłamstwem. Wszystkim trzeba było tę winę udowodnić i udokumentować.

Przy biurku sędziowskim trwał dramatyczny pojedynek sprawiedliwości ze zbrodnią, której rozmiary nie mieściły się w ludzkiej wyobraźni. Intelekt sędziego *Sehna*, jego zadziwiająca wiedza, jego znakomita znajomość prawa i psychologii, wsparte doświadczeniem w prowadzeniu śledztwa dobrze służyły sprawiedliwości.

Rezultatem wielomiesięcznej pracy włożonej przez niego w postępowanie przygotowawcze procesu byłego komendanta Oświęcimia, *Rudolfa Hössa*, czy procesu 40 esesmanów z załogi tego obozu jest 12 tysięcy kart zeznań oskarżonych i świadków, a także troskliwie zebranych i opracowanych dokumentów. Wszystko to, oprawione w dziesiątki grubych tomów, stanowi fundamentalny przyczynek do historii oświęcimskiego obozu zagłady.

A przecież nie były to jedyne procesy, w których przygotowanie sędzia *Sehn* włożył całą swoją pasję i wiedzę. Trzeba przypomnieć także procesy byłego komendanta obozu w Płaszowie, *Amona Goetha*, byłego szefa rządu Generalnego Gubernatorstwa, *Josepha Bühlera* i innych zbrodniarzy hitlerowskich.



Prof. dr Jan Sehn

Profesor *Sehn* w pierwszych latach po wyzwoleniu jako członek Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich wielokroć wyjeżdżał z Polską Misją Wojskową do Spraw Ścigania Zbrodni Wojennych do Norymbergi i na inne tereny okupacyjnych stref Niemiec zachodnich. Nigdy z takich podróży nie wracał z pustymi rękoma. Raz były to nowe dokumenty, wyszperane w sądach aliantów, innym razem stenogramy z procesów przestępców hitlerowskich, przez nich sądzonych.

Szczególnym jego sukcesem było przywiezienie z jednego z takich wyjazdów dziennika byłego generalnego gubernatora, *Hansa Franka*. 38 tomów tego dziennika, prowadzonego przez *Franka* od 25 października 1939 r. do

3 kwietnia 1945 r., czyli niemal do końca istnienia hitlerowskiej III Rzeszy — to dokument niezmiernie ważny nie tylko dla faktografii krwawych rządów hitlerowskich na naszej ziemi, lecz także dla wyjaśnienia i ujawnienia wielu istotnych problemów zbrodni ludobójstwa, dokonanej przez Niemcy hitlerowskie na narodzie polskim.

Profesor *Sehn* przywiózł te tomy spakowane częściowo w walizce, a częściowo w tekturowym pudle z *UNRRA*, związane sznurkiem.

Warto przypomnieć, że podróże w owym czasie nie należały do najłatwiejszych. Normalna komunikacja lotnicza jeszcze nie istniała, jazda pociągami trwała o wiele dłużej niż dzisiaj, w nieprawdopodobnym tłoku i przy fatalnych połączeniach. Nigdy nie zapomnę prof. *Sehna*, występującego podczas takiej misji w mundurze oficera Wojska Polskiego, który wrócił po podróży solidnie zmęczony drogą, ale promieniujący radością ze zdobytego skarbu, który od tego czasu znajduje się w rękach polskich.

Sprawując przez wiele ostatnich lat stanowisko dyrektora Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie i profesora kryminalistyki na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, przy licznych swych zajęciach zawodowych i naukowych zawsze znajdował czas dla problemów związanych z Oświęcimiem. Był autorem pierwszej pracy monograficznej o obozie w Oświęcimiu i Brzezince, wielokrotnie wznawianej i przekładanej na kilka języków obcych, publikował liczne prace na temat zbrodni hitlerowskich w biuletynach Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, w Wydawnictwie Prawniczym, a także na łamach „Przeglądu Lekarskiego", w numerach poświęconych zagadnieniom lekarskim okresu hitlerowskiej okupacji (1961, nr 1a: „Niektóre aspekty prawne tzw. ekperymentów dokonywanych przez hitlerowskich lekarzy *SS* w obozach koncentracyjnych"; 1962, nr 1a: „Sprawa oświęcimskiego lekarza *SS J. P. Kremera*").

Niezależnie od tego, że był autorem artykułów zamieszczonych w „Przeglądzie Lekarskim", ściśle współdziałał z zespołem redakcyjnym, wielkodusznie służąc mu radą i pomocą.

Nie opuszczał nigdy zebrań organizowanych corocznie przez Krakowski Oddział Polskiego Towarzystwa Lekarskiego w każdą rocznicę wyzwolenia Oświęcimia w sali wykładowej Zakładu Chemii Fizjologicznej przy ul. Kopernika 7. Na tych zebraniach kilkakrotnie wygłosił referaty na temat prawnego aspektu zbrodni hitlerowskich.

Tylko w roku ubiegłym jego stałe miejsce świeciło pustką. Był w owym czasie we Frankfurcie nad Menem, gdzie jako pełnomocnik Ministerstwa Sprawiedliwości PRL swoim autorytetem, wiedzą i doświadczeniem wspierał oskarżenie prokuratorskie i posiłkowe w procesie 20 zbrodniarzy z oświęcimskiej załogi *SS*. On to doprowadził w tym procesie do wizji lokalnej sądu frankfurckiego na terenie byłego obozu w Oświęcimiu-Brzezince, co miało tak istotne znaczenie nie tylko dla samego procesu, lecz także dla przypomnienia światu, czym w istocie był ten obóz zagłady.

Prof. dr *Jan Sehn* zawsze z dumą podkreślał, że jest sędzią. Do ostatnich godzin pracowitego życia zajmował się ściganiem i ujawnianiem zbrodniarzy hitlerowskich, zwłaszcza z byłego obozu zagłady w Oświęcimiu. Ta pasja zawiodła go ponownie do Frankfurtu nad Menem, gdzie 14 grudnia 1965 r. rozpoczął się nowy proces oświęcimski.

Miał niełatwe zadanie udzielenia pomocy i temu procesowi. Traktował to jako obowiązek, wynikający nie tylko z jego zawodu i zainteresowań, ale przede wszystkim płynący z jego głębokiego patriotyzmu i wielkiego humanizmu, z troski o sprawiedliwość, rozumianą w szerokim ogólnoludzkim i historycznym pojęciu.

„Zbrodnie przeciw ludzkości są nie tylko hańbą dla ich sprawców i policzkiem wymierzonym przeciw rodzajowi ludzkiemu — pisał w ostatniej swej przedmowie do nowej edycji pamiętnika byłego komendanta Oświęcimia, *Rudolfa Hössa* — są one przede wszystkim ostrzeżeniem, do czego ludzkości w jej przyszłych dziejach poniżyć się nie wolno".

Sędzia z powołania, prawnik z zawodu, uczony o bogatej wiedzy, znawca realiów okupacyjnych, prof. dr *Jan Sehn* głęboko w to wierzył, ale całą swą pracą konkretnie walczył o napiętnowanie zbrodni faszyzmu i przeciw jego recydywie.



Siostra szacha Iranu, księżniczka *Aszraf Pahlevi* podczas zwiedzania byłego obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka 19 maja 1965 roku. (Z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu)

ANTONI KĘPIŃSKI, JAN MASŁOWSKI

Kraków

Okupacyjna tematyka lekarska w polskich publikacjach z lat 1964 — 1965

(Z Kliniki Psychiatrycznej AM w Krakowie
Kierownik: Prof. dr *K. Spett*)

Pomimo upływu przeszło 20 lat od chwili zakończenia drugiej wojny światowej i wbrew pojawiającym się poglądom o znużeniu naszego społeczeństwa problematyką wojenną nasilenie publikacji dotyczących zagadnień lekarskich okresu okupacji hitlerowskiej bynajmniej nie słabnie. Prace poświęcone temu tematowi znajdują coraz to nowych odbiorców zarówno wśród starszych pokoleń, jak też wśród ludzi młodych, którzy dowiadują się o wydarzeniach z lat okupacji tylko pośrednio — z relacji ustnych, z książek, z prasy, radia i telewizji. Okupacyjną problematykę lekarską kontynuują druki zwarte (książki, broszury) oraz wydawnictwa ciągłe, zawierające prace naukowe, artykuły, wspomnienia itp. Nadto lekarskich spraw okresu wojennego dotyczą fragmenty i nieraz drobne urywki różnych tekstów, których tytuły odnoszą się zresztą do tematyki innej, szerszej lub pokrewnej. Niektóre prace trudno więc nawet wyszukać. Te wszystkie pozycje ukazują się każdego roku za granicą [1] i w kraju [2].

Kierując się myślą o konieczności realizowania systematycznej informacji bibliograficznej tyczącej się okupacyjnej tematyki lekarskiej [3], warto podjąć tutaj próbę przeglądu ostatnich publikacji krajowych [4]. Ponieważ z założenia odnosi się on tylko do lat 1964 i 1965, poruszone niżej zagadnienia z czasów drugiej wojny światowej nie są opatrzone pełną powojenną bibliografią.

* * *

W omawianym piśmiennictwie najwięcej miejsca zajmują zagadnienia takie, jak obozy koncentracyjne i obozy zagłady, szkody na zdrowiu spowodowane wojną i prześladowaniami, działalność lekarzy w czasie okupacji i straty w ich szeregach, lekarskie aspekty najważniejszych wydarzeń, np. powstania warszawskiego czy ośrodków najsilniejszego oporu w kampanii wrześniowej itd. Do lekarskich aspektów obrony stolicy we wrześniu 1939 r. odnosi się kilka pozycji [5], a mianowicie: „Dziennik lekarza dyżurnego Szpitala Wolskiego z września 1939 r." dr *Zbigniewa Woźniewskiego* [6], „Wspomnienia o działalności Polskiego Czerwonego Krzyża i Biura Informacyjnego (PCK) we wrześniu 1939 r." *Marii Bortnowskiej* [7], „Fragment pamiętnika sanitariuszki, dotyczący ostatnich dni obrony Warszawy" *Aliny G.* [8] i fragment „Relacji o działalności instytucji i agend cywilnej obrony Warszawy" generała dywizji *Juliusza Rómmla*, poświęcony szpitalnictwu [9], a więc pozycja istotna, choć niewielka, gdyż napisana z punktu widzenia dowódcy armii „Warszawa". Do serii publi-

[1] Spośród publikacji zagranicznych wydanych w r. 1964 dwie książki omówił prof. dr *T. Bilikiewicz* w pracy pt. „Z rozważań nad psychologią ludobójstwa", zamieszczonej w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim". Co pewien czas w polskich czasopismach, przeważnie lekarskich, ukazują się tylko oceny pojedynczych wydań; również w niektórych polskich pracach lekarskich, zwłaszcza zamieszczanych w zeszytach „oświęcimskich" „Przeglądu Lekarskiego", autorzy powołują się na wybrane publikacje zagranicznych badaczy. Natomiast brak jest polskiego syntetycznego przeglądu medycznej literatury obcojęzycznej, dotyczącej zagadnień lekarskich drugiej wojny światowej.

[2] Najwięcej prac naukowych, artykułów, wspomnień itp. w zakresie medycyny grupują zeszyty specjalne „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", będące jedynym polskim seryjnym wydawnictwem ciągłym, dotyczącym omawianego kręgu tematycznego. Prace w nich opublikowane w relacjonowanych latach 1964 i 1965 omówił — podobnie jak w zeszytach z lat poprzednich — prof. dr *J. Bogusz*, uwzględniając również dane o autorach, przeważnie byłych więźniach (zob. „Przegl. Lek." 1964, nr 1, str. 3—7 i „Przegl. Lek." 1965, nr 1, str. 3—12). Dlatego pomija się te prace w niniejszym artykule. Uprzednio też omówione zostały (w „Przegl. Lek." 1965, nr 1, str. 161—163) „Materiały informacyjno-sprawozdawcze z I ogólnopolskiego zjazdu lekarzy ZBoWiD 21—23 marca 1964 r.", wydane przez Zarząd Główny ZBoWiD w r. 1964 w formie broszury powielonej.

[3] Spis najważniejszych polskich publikacji z 20-lecia powojennego został ogłoszony w „Przegl. Lek." 1965, nr 1, str. 175—189 (*J. Masłowski:* Zagadnienia lekarskie okresu okupacji hitlerowskiej. Bibliografia polska 1944—1964).

[4] Oczekuje na podobne opracowanie zagraniczna produkcja wydawnicza w języku polskim, w przedstawionym tutaj przeglądzie pominięta całkowicie z powodu trudnego dostępu do niej.

[5] W tomie: Cywilna obrona Warszawy we wrześniu 1939 r. Dokumenty, materiały prasowe, wspomnienia i relacje. PWN, Warszawa 1965. Za kierownictwo naukowe prac nad tym zbiorem oraz zbiorem „Wspomnienia więźniów Pawiaka" (zob. przypis 12) przyznano we wrześniu 1965 r. prof. *Stanisławowi Płoskiemu* nagrodę „Polityki". Nagrodzono też *M. Cabana* (zob. przypis 45).

[6] Cywilna obrona Warszawy..., jw., str. 473—480.

[7] Tamże, str. 145—153.

[8] Tamże, str. 143—145.

[9] Tamże, str. 363—367.

kacji związanych z kampanią wrześniową dochodzi też praca Z. *Kosztyły* [10].

O pierwszych czterech latach okupacji w Warszawie wspomina prof. dr *Hanna Szukiewicz* [11], która przytacza ciekawe fakty z tajnych studiów lekarskich ówczesnej młodzieży.

Okupacyjne dzieje Pawiaka, osławionego warszawskiego więzienia śledczego *Sicherheitspolizei* (niemieckiej policji bezpieczeństwa) przy ul. Dzielnej 24/26, będącego właściwie miejscem zagłady, znajdują swe odbicie w zbiorze 31 prac byłych więźniów tej katowni hitlerowskiej [12]. We wspomnieniach o prześladowaniu uwięzionych w Pawiaku i na tzw. „Serbii" (oddział kobiecy Pawiaka) dużą rolę odgrywa tematyka lekarska, gdyż szpital więzienny, tam się mieszczący, był ogniwem ułatwiającym kontakt z organizacjami tajnymi poza murami. Wśród autorów tej książki znajdują się lekarze, którzy od lat zajmują się tematyką okupacyjną, np. dr *Anna Czuperska-Sliwicka*, dr *Felicjan Loth*, dr *Jarosław Śluzar*.

W 1958 r. tygodnik „Służba Zdrowia" ogłosił konkurs na pamiętniki lekarzy [13]. Pierwsze miejsce w konkursie przyznano wspomnianemu już doktorowi *Felicjanowi Lothowi* za rzeczową, spokojną, lecz wstrząsającą relację pt. „Byłem lekarzem na Pawiaku". W „Pamiętnikach lekarzy", panoramie rozległej i szczególnie ważnej dla dziejów polskiej medycyny, wyróżniają się właśnie wojenne doświadczenia, najtrudniejsze i wyjątkowe; „*Hipokrates* w swej wielkiej mądrości nie przewidział utworzenia gestapo" [14].

Krakowskie Wydawnictwo Literackie przygotowało jeszcze jeden pamiętnik z Pawiaka, napisany w r. 1944, pióra *Adama Grzymały-Siedleckiego* [15], nestora dramaturgii polskiej. Wspomnienie to obejmuje przełom lat 1942 i 1943. Z lekarskiego punktu widzenia interesują opisy koszmaru przeżyć i analiza postawy funkcjonariuszy niemieckich.

O dniach powstania warszawskiego wspomina mgr *Stanisław Bukowski* [16], który prowadził wtedy aptekę przy zbiegu ulic Marszałkowskiej i Piusa i pełnił ponadto funkcję komendanta Polowej Składnicy Sanitarnej przy ul. Kruczej 29. O aptekach w czasie okupacji i o ówczesnej działalności, przeżyciach i zasługach farmaceutów napisano mniej niż o pracownikach z innych dziedzin służby zdrowia. Nawet wznowienia doczekać się nie może wydana przed laty, szczególnie wartościowa i trudno dostępna książka *Tadeusza Pankiewicza* [17]. Praca *Bukowskiego* o działalności aptek w śródmieściu Warszawy w czasie powstania jest więc tym bardziej cenna. Autor kolejno omawia losy poszczególnych dziewiętnastu aptek oraz Polowej Składnicy Sanitarnej i jej pracowników. Przedstawia, jak ryzykując życiem i zdrowiem i nie mając widoków na żadne korzyści i zyski, farmaceuci nieśli ofiarną pomoc cierpiącym. Warto przy okazji zwrócić też uwagę na wspomnienia innego farmaceuty, *H. Bieleckiego* [18].

Do powstania warszawskiego nawiązuje oprócz *Bukowskiego* dr *Józef Hornowski* [19], który 1 sierpnia 1944 r. przejął obowiązki lekarza dyżurnego II Kliniki Chorób Wewnętrznych w Warszawie. Opisuje on, jak klinika ta *cum eximia laude* zdawała swój egzamin w trudnych dniach powstania.

Szpitalnictwa warszawskiego dotyczy ponadto praca dr *Franciszka Chmielewskiego* [20].

Dr *Rudolf Arend*, profesor neurologii we wrocławskiej Akademii Medycznej, ogłosił szczegółową pracę [21], którą w znacznej mie-

[10] *Z. Kosztyła:* Szpital wojenny nr 303 w kampanii wrześniowej 1939 r. „Lekarz Wojskowy" R. 40: 1964, nr 6, str. 466—472.

[11] *H. Szukiewicz:* Tajne prosektorium Szpitala Ujazdowskiego w latach II wojny światowej. „Archiwum Historii Medycyny" R. 27: 1964, nr 3, str. 283—285.

[12] Wspomnienia więźniów Pawiaka. Przewodniczący komitetu redakcyjnego: prof. dr *Stanisław Płoski*. Warszawa 1964, Ludowa Spółdz. Wydawn., ss. 437. (Materiały do tego tomu zebrał Zakład Historii Polski w Drugiej Wojnie Światowej Instytutu Historii PAN). Zob. rec.: *W. Bartoszewski:* Pawiak 1939—1944. „Nowe Książki" 1965, nr 7, str. 302—304. — Warto też zwrócić uwagę, że „Kultura" (R. 3: 1965, nr 33 i 34) opublikowała w odcinkach wybór przemycanych z Pawiaka, rozszyfrowanych i ocalałych raportów komórki więziennej Delegatury Rządu i Międzyorganizacyjnego Porozumienia Więziennego. W dokumencie tym uwydatniona jest rola lekarzy więziennych, którzy współdziałali z podziemiem. Zob. ponadto: *A. Czuperska-Sliwicka:* Cztery lata ostrego dyżuru. Warszawa 1965, Czytelnik, ss. 371 (wspomnienia z Pawiaka, opatrzone listą nazwisk kilkuset współwięźniarek wraz z informacjami o ich losach; rec. m. in. *W. Błachut*, „Życie Literackie" 1965, nr 48, str. 10).

[13] Nadeszło 107 prac, liczących kilka tysięcy stronic maszynopisu; wśród autorów znaleźli się przedstawiciele trzech pokoleń, obejmujący swą obserwacją okres blisko pięćdziesięcioletni. Po dwóch latach sąd konkursowy przyznał pięć nagród i cztery wyróżnienia. Wszystkie teksty zostały złożone w Głównej Bibliotece Lekarskiej w Warszawie, a 16 prac, wśród nich trzy nagrodzone, opublikowano w osobnym tomie, zatytułowanym: Pamiętniki lekarzy. Wybór i redakcja *Kazimierz Bidakowski* i *Tadeusz Wójcik*. Warszawa 1964, Czytelnik, ss. 1030, nlb. 2. Zob. też rec.: *S. Zieliński:* Pamiętniki lekarzy. „Kultura" R. 3: 1965, nr 8, str. 8.

[14] Druga nagroda konkursu dotyczy również wspomnień okupacyjnych, mianowicie „Medycyny za drutami" prof. dr *Władysława Fejkla*, nawiązującego do swych przeżyć z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

[15] *A. Grzymała-Siedlecki:* Sto jedenaście dni letargu. (Wspomnienia z Pawiaka 1942/43). Kraków 1965, ss. 218, nlb. 1.

[16] *S. Bukowski:* Apteki południowego śródmieścia Warszawy w czasie powstania 1944 roku. „Archiwum Historii Medycyny" R. 27: 1964, nr 4, str. 463—480.

[17] *T. Pankiewicz:* Apteka w getcie krakowskim. [Kraków 1947], wyd. Inst. Wydawn. „Świat i wiedza", ss. 150, nlb. 2. — Zob. też pracę *T. Pankiewicza* w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

[18] *H. Bielecki:* Szlakiem wojennym przez fiordy Narwiku. (Wspomnienia farmaceuty z okazji 25-lecia wybuchu II wojny światowej). „Farmacja Polska" R. 20: 1964, nr 21/22, str. 864—866.

[19] *J. Hornowski:* II Klinika Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Warszawskiego w okresie powstania warszawskiego. „Archiwum Historii Medycyny" R. 27: 1964, nr 3, str. 283—285.

[20] *F. Chmielewski:* I oddział chirurgiczny Szpitala Ujazdowskiego. (Wspomnienia z lat 1939—1945). „Archiwum Historii Medycyny" R. 28: 1965, nr 1/2, str. 139—149.

[21] *R. Arend:* Emigracja polska na Węgrzech w latach 1939—1943. „Archiwum Historii Medycyny" R. 27: 1964, nr 4, str. 417—461. Praca wyróżniona I nagrodą w konkursie na temat życia ówczesnej emigracji polskiej na Węgrzech, ogłoszonym przez Sekcję Lekarzy Polskich przy Węgierskim Czerwonym Krzyżu. Autor pracę tę złożył na konkurs pod pseudonimem „Wychodźca"

rze poświęcił lekarskim problemom polskiej emigracji na Węgrzech w latach drugiej wojny światowej. Oprócz zagadnień ogólniejszych oraz socjopsychologicznych, znamiennych dla przeżyć 140 tysięcy Polaków, którzy wskutek wydarzeń wojennych przewinęli się przez Węgry, *Arend* zajął się m. in. „psychicznym profilem emigrantów", „transformacją popędu płciowego" u nich itp. Walor tego wyczerpującego opracowania polega głównie na tym, że autor oparł się na własnych obserwacjach, ponieważ po przekroczeniu we wrześniu 1939 r. granicy polsko-węgierskiej wraz z jednostką wojskową został na Węgrzech internowany jako wojskowy. „Przebywał w kilku obozach, następnie prowadził oddział neurologiczno-psychiatryczny dla Polaków internowanych w Szpitalu Honwedów w Budapeszcie" [22]. To pierwsze wydanie obejmujące całość pracy *Arenda* zwraca uwagę z punktu widzenia psychopatologii ludzi wyrwanych ze swego środowiska, skazanych na życie w sztucznym zbiorowisku i na niemożność działania wtedy, gdy to działanie było naczelnym imperatywem. Autor wnikliwie przedstawia stan psychiczny uchodźców, analizując m. in. takie zjawiska, jak nerwice, „zastępczą miłość", poczucie zbędności, kompensacyjnej chęci znaczenia i pseudologię.

Inny autor, dr *Józef Sohn-Sonecki*, internowany został we wrześniu 1939 r. w Rumunii, po czym wydano go w 1941 r. Niemcom. W Niemczech m. in. prowadził on izbę chorych w obozie dla jeńców radzieckich. Wspomnienia dr *Sohna-Soneckiego* [23] spotkały się z żywym zainteresowaniem. Recenzenci [24] zgodnie podkreślają wzorową postawę moralną autora i jego nieustępliwość w ratowaniu ludzi skazanych na śmierć przez wyniszczającą pracę. *Stanisław Zieliński*, znany literat, pisze o książce dr *Sohna-Soneckiego*, że „przywraca [ona] prawdziwe rysy prawdzie. Może również posłużyć jako podręcznik zachowania godności dla tych, którym ziemia usuwa się spod nóg na widok zmiany tabliczki z nazwą ulicy" [25].

W Rumunii, Francji, Anglii, Iraku, Egipcie i we Włoszech przebywał w latach wojny prof. dr *Tadeusz Sokołowski;* ówczesne przeżycia autora są tematem jego wspomnień [26].

Również lat okupacji dotyczą ostatnie stronice pamiętnika dr *Wincentego Tomaszewicza* oraz fragment wspomnień śląskiego lekarza, *Edwarda Hankego* [27].

W roku 1964 ukazało się drugie, poprawione i poszerzone wydanie książki *Szymona Datnera* [28], poświęconej bardzo istotnemu zagadnieniu, mianowicie zbrodniom niemieckim na jeńcach. W opracowaniu tym znaczne miejsce zajmuje problematyka lekarska. M. in. cały rozdział szósty [29] dotyczy eksperymentów medycznych na jeńcach wojennych. Jest to syntetyczna, sucha informacja o organizacji tych zbrodni, o różnych doświadczeniach prowadzonych w Dachau przez grupę lekarzy *Luftwaffe* z doktorem *Zygmuntem Rascherem* na czele (zamrażanie ofiar, doświadczenia z gazami bojowymi itd.), o eksperymentach w Ravensbrück, o doświadczeniach dietetycznych w Mauthausen, o osławionym zbiorze czaszek prof. *Hirta* itp. W następnym rozdziale [30] opisane są zbrodnie na jeńcach wojennych, rannych i inwalidach, nadto zawarte są tam dane o mordach w szpitalach i lazaretach oraz o mordowaniu personelu lekarskiego. Dodać warto, że zbrodniczych eksperymentów dotyczą również fragmenty materiałów z norymberskiego procesu przeciw lekarzom hitlerowskim, wyrywkowo udostępnione i skomentowane w języku polskim [31]. Okoliczności i treść tej rozprawy pokrótce omówili profesorowie prawa *Tadeusz Cyprian* i *Jerzy Sawicki* [32]. Nadal jednak czeka na opublikowanie choćby polski przekład uzasadnienia wyroku w tym procesie. Również wydanie wyczerpującej, osobnej książki o norymberskim procesie lekarzy należy uznać za pilne zadanie wydawnicze.

Zbrodni wojennych, jak wiadomo, dopuszczali się oprócz hitlerowców sprzymierzeńcy Trzeciej Rzeszy, zwłaszcza Japończycy. Popularna broszura [33] przedstawia sprawę japońskich przygotowań do wojny bakteriologicznej, prowadzonych m. in. w zakonspirowanym laboratorium o nazwie „Jednostka Togo" przez armię kwantuńską, a nadto w Chinach środkowych i południowych (laboratoria „Ej" i „Nami"). Japończycy realizowali próby

w roku 1943 i częściowo opublikował w „Wieściach Polskich", piśmie emigracji polskiej na Węgrzech (zob. przypis do wydania w „Archiwum Historii Medycyny", 1. c., str. 417).

[22] Tamże, str. 417, przypis.

[23] *J. Sohn-Sonecki:* Byłem jeńcem Wehrmachtu. Wspomnienia lekarza obozowego. Warszawa 1965, Czytelnik, ss. 371, nlb. 4.

[24] Spośród recenzji warto wymienić następujące: *A. Garlicki:* Co nowego w historii? „Kultura" R. 3: 1965, nr 33, str. 4. — *J. Bogusz:* „Przeżyłem i oskarżam". Zamiast recenzji. „Dziennik Polski" R. 21: 1965, nr 166, str. 3.

[25] *S. Zieliński:* Tryptyk wojenny. „Nowe Książki" 1965, nr 16, str. 745.

[26] *T. Sokołowski:* Fragment pamiętnika. „Archiwum Historii Medycyny" R. 28: 1965, nr 1/2, str. 131—137.

[27] *W. Tomaszewicz:* Ze wspomnień lekarza. Warszawa 1965, PIW. — *E. Hanke:* Trudy i oczekiwania. Wspomnienia lekarza. Warszawa 1965, Czytelnik.

[28] *S. Datner:* Zbrodnie Wehrmachtu na jeńcach wojennych armii regularnych w II wojnie światowej. Warszawa 1964, wyd. MON, ss. 569, nlb. 3, tabl. 20.

[29] Tamże, str. 419—436.

[30] Tamże, str. 450—472.

[31] Nieludzka medycyna. Dokumenty procesu norymberskiego przeciwko lekarzom. Wydali i opatrzyli komentarzem: *Alexander Mitscherlich, Fred Mielke.* Przedmowa do wydania polskiego: *J. Sawicki.* Tłum. z niem.: *A. Bukowczyk.* PZWL, Warszawa 1963. Zob. też recenzje: *T. Kielanowski,* „Biuletyn Głównej Biblioteki Lekarskiej" R. 13: 1964, nr 2, str. 86—88. *M. E. Jezierska,* „Państwo i Prawo" R. 20: 1965, z. 10, str. 568—570. *I. Wald: Rascher* i inni. „Nowe Książki" 1964, nr 8, str. 370—371.

[32] *T. Cyprian, J. Sawicki:* Nieznana Norymberga. Dwanaście procesów norymberskich. Warszawa 1965, Książka i Wiedza (str. 19—67: sprawa lekarzy). — *T. Cyprian, J. Sawicki:* Nie oszczędzać Polski! Warszawa 1965 (str. 304—328: o eksperymentach lekarskich). — Zob. też: *A. Wieluński:* Wyroki norymberskie. „Nowe Książki" 1965, nr 19, str. 897—898.

[33] *M. Koreywo:* Siewcy czarnej śmierci. Warszawa 1965, wyd. MON.

z bakteriologiczną bronią masowej zagłady, z wyposażeniem dla grup dywersyjnych do zarażania osiedli i zatruwania wody, a także poszukiwali sposobów zabezpieczenia przeciwepidemicznego własnych wojsk. Doświadczeń dokonywano na więźniach.

Podczas głośnego procesu w Chabarowsku z końcem roku 1949 radziecki trybunał wojenny, sądzący 12 Japończyków z naczelnym dowódcą armii kwantuńskiej, generałem-majorem *Yamada Otozoo* na czele, ustalił na podstawie przewodu sądowego, materiałów śledztwa i opinii ekspertów (patologów, mikrobiologów, bakteriologów, chemików, parazytologów, specjalistów od chorób zwierzęcych i odzwierzęcych), że w jednym tylko zbrodniczym laboratorium (w jednostce nr 731) corocznie uśmiercano nie mniej niż 600 więźniów, w tym wiele kobiet. Eksperymentalnie zarażane ofiary umierały wśród straszliwych cierpień, a chorym, zakażonym, poparzonym i rannym więźniom oprawcy japońscy uniemożliwiali opiekę lekarską. Początkiem martyrologii tych dalekowschodnich „królików doświadczalnych" były nieludzkie warunki przewozu w tzw. *„tokui atsukai"*, czyli w „specjalnych transportach". Jak widać, mechanizm zbrodni niemieckich spowodowanych totalizmem faszystowskim był uderzająco podobny do sposobów niszczenia ludzi w warunkach totalizmu japońskiego. Wiadomo też, że armia japońska dopuszczała się zbrodni podobnie jak *Wehrmacht*.

W sierpniu 1965 r. zakończył się 20-miesięczny, prowadzony we Frankfurcie nad Menem przez zachodnioniemieckie władze sądowe, wielki proces oprawców hitlerowskich z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, udokumentowany na 60 tysiącach stron akt. Wydarzenie to — po uprzednich dwóch powojennych procesach przeciw zbrodniarzom oświęcimskim przed polskim Najwyższym Trybunałem Narodowym — stało się kolejnym mocnym przypomnieniem przyczyn i techniki martyrologii i śmierci więźniów Oświęcimia. Spośród ogółem 50 milionów ludzi zabitych wskutek drugiej wojny światowej aż 4 miliony zginęły w tym największym hitlerowskim obozie masowej zagłady. We wrześniu 1965 r. dobiegł końca w Düsseldorfie proces zbrodniarzy niemieckich z obozu w Treblince. Szczególnie proces frankfurcki zainteresował światową opinię publiczną, a urywki relacji z tej monumentalnej rozprawy sądowej były publikowane w licznych dziennikach i czasopismach. Pod koniec przewodu sądowego i po jego zakończeniu zaczęły się ukazywać bardziej ambitne opracowania, których autorzy dążyli do wnikliwszego rozpatrzenia istoty, charakteru i znaczenia procesu [34]. Osobnego studium wymaga tematyka lekarska, która w procesie tym odgrywała znaczną rolę.

Ze względu na materiały dotyczące obozów hitlerowskich szczególną uwagę zwracają „Zeszyty Oświęcimskie", które przyniosły w ostatnich latach — wśród różnych pozycji — cenne prace, mianowicie: pamiętnik *Czesława Ostańkowicza* pt. *„Isolierstation* — Blok Numer Ostatni", studium prof. dr *Władysława Fejkla* pt. „Głód w Oświęcimiu" i relację dr *Alfreda Fiderkiewicza* pt. „Tyfus plamisty i odwszenie w obozie męskim w Brzezince" [35].

„Zeszyty Oświęcimskie" udostępniły ponadto ciekawy z punktu widzenia psychopatologii zbrodniarzy wojennych pamiętnik pt. „KZ Auschwitz", autorstwa *Pery Broada* [36], sądzonego i skazanego w procesie frankfurckim. Jest to niejako dalsze ogniwo po opublikowanych wcześniej wspomnieniach *Hössa* [37]. Polski przekład pamiętnika, którego oryginalny tekst *Broad* wręczył podczas pobytu w angielskiej niewoli oficerom wywiadu Wielkiej Brytanii, jest poprzedzony informacjami o losach autora [38]. Relacja *Broada* stanowi wstrząsającą lekturę nawet dla tych, którzy z tematyką oświęcimską są dobrze obeznani. Opisy tortur (np. „huśtawki"), krwawych masakr, gazowania itp. są tak precyzyjne i plastyczne, że autora można by określić jako „anatoma sadyzmu i zbrodni". Jest to obserwacja robiona „na zimno" i może dlatego pozostawia tak silne wrażenie. Choćby tylko na podstawie tego pamiętnika można wysunąć przypuszczenie, że *Broad* mieści się w typie opisanym przez *Kurta Schneidra* jako *„gemütlose Psychopathen"* [39] (typ ten prof. dr *Karol Spett* określa jako psychopatów bezwzględnych).

Sformułowanie noty redakcyjnej, że „przy tłumaczeniu tego dokumentu tłumacz częstokroć był zmuszony poświęcić jasność i poprawność stylu języka polskiego na rzecz ścisłości tekstu" [40], budzi sprzeciw. Nie krytykując zresztą jakości przekładu pamiętnika *Broada*, podkreślić trzeba, że w sztuce tłumaczenia nie chodzi o mechaniczne kalkowanie obcojęzycznych konstrukcji słownych, lecz o jak najwierniejsze przełożenie treści każdego zdania, co wcale nie jest sprzeczne z możliwością dopracowania się przekładu poprawnego językowo i stylistycznie.

Cytowane „Zeszyty Oświęcimskie" — obok „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim", a także materiałów zawartych w „Biuletynie Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce" — są wśród periodyków podstawowym źródłem w zakresie spraw dotyczących obozów koncentracyjnych, podobnie jak za granicą *„Cahiers Internationaux de la Resistance"*, *„Revue d'Histoire de la II guerre*

[34] Zob. m. in.: *T. Hołuj:* Auschwitz — proces kryminalny. „Polityka" R. 9: 1965, nr 35, str. 1, 10 i 11. — *K. Kąkol:* Kompromis ze zbrodnią. Sąd nierychliwy. „Prawo i Życie" R. 10: 1965, nr 18, str. 1 i 7.

[35] „Zeszyty Oświęcimskie". [Nr] 8. Red. *K. Smoleń*. Oświęcim 1964, wyd. Państwowe Muzeum w Oświęcimiu, ss. 162.

[36] Tamże, nr 9, Oświęcim 1965, str. 8—51.

[37] *R. Höss:* Wspomnienia *Rudolfa Hössa*, komendanta obozu koncentracyjnego. Oprac. *J. Sehn*. Tłum. z niem. zespół. Warszawa 1960. Wyd. III — w roku 1965.

[38] *J. Rawicz:* Wstęp do wspomnień *Pery Broada*. „Zeszyty Oświęcimskie" nr 9, str. 3—5.

[39] *K. Schneider:* Klinische Psychopathologie. Stuttgart 1955, str. 33.

[40] „Zeszyty Oświęcimskie" nr 9, str. 7.

mondiale" czy „*Vierteljahreshefte für Zeitgeschichte*".

Państwowe Muzeum w Oświęcimiu, wydawca „Zeszytów Oświęcimskich", opublikowało tom zawierający osiem wspomnień napisanych przez byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu [41]. W różnych miejscach książki przewija się problematyka lekarska, co dotyczy zwłaszcza relacji *Andrzeja Rablina* o szpitalu obozowym. Wydanie to adresowane jest niewątpliwie do tych czytelników, którzy po raz pierwszy pragną zapoznać się bliżej z tematyką obozową. Ponadto ukazała się znów „Brzezinka" dr *Alfreda Fiderkiewicza* [42]. Treści ważne z punktu widzenia lekarskiego zawiera bardzo istotna w piśmiennictwie „oświęcimskim", wznowiona książka *Seweryny Szmaglewskiej* [43].

Z literatury dotyczącej innych obozów odnotować trzeba dokładnie spisane, nie obarczone żadnymi ubocznymi rozważaniami, wspomnienia *Feliksa Siejwy* [44], który przeżył 30 miesięcy na Pawiaku, w Majdanku, w Gross-Rosen i Litomierzycach. Umiar i spokój cechują również relację wychowanka Szkoły Podoficerskiej Piechoty dla Małoletnich w Koninie, *Mikołaja Cabana* [45] o własnych przeżyciach okupacyjnych. Oprócz działalności partyzanckiej autor opisuje swe uwięzienie na zamku w Lublinie, transport do Majdanka i brawurową ucieczkę stamtąd. Opis tego obozu „dostatecznie dużo mówi o warunkach, w jakich wypadło żyć i ginąć setkom tysięcy ludzi" [46]. Wspomnienia z obozu w Ravensbrück są przedmiotem wznowionej książki dr *Wandy Półtawskiej* [47], psychiatry i działaczki społecznej. Do cennych wznowień należy również relacja prof. dr *Jana Gwiazdomorskiego* [48]. Publikacja ta zawiera wspomnienia z pobytu w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, m. in. dotyczące uwięzionych tam — wśród uczonych z Krakowa — również profesorów, docentów i asystentów medycyny i farmacji. Wyczerpująco opracowali zagadnienie eksterminacji profesorów krakowskich uczelni *Jan Zaborowski* i *Stanisław Poznański* [49].

Jak wynika z zestawienia po raz pierwszy w świecie opracowanego przez *Wandę Kiedrzyńską* [50], światowe piśmiennictwo dotyczące hitlerowskich obozów koncentracyjnych, które w znacznej mierze uwzględnia zresztą także lekarskie aspekty, w przeważnym stopniu dotyczy Buchenwaldu (około 450 pozycji do roku 1962) i Oświęcimia (około 300 pozycji), na kolejnych miejscach pod tym względem mieści się Dachau (około 270 pozycji), Ravensbrück (około 200), Mauthausen, Neuengamme i Sachsenhausen, na odległych miejscach Stutthof (22 pozycje) i Gross-Rosen (21 pozycji). Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że rozkład ten jest podobnie proporcjonalny również w odniesieniu do obozowej literatury polskiej (chodzi zarówno o wspomnienia i powieści, jak i o — stosunkowo nieliczne — monografie naukowe, edycje dokumentów, wydawnictwa graficzne itp.). *Kiedrzyńska* stwierdza, że na pierwszym miejscu pod względem bogactwa literatury obozowej stoi Francja, za nią Niemcy (NRD i NRF łącznie), następnie dopiero Polska i kraje anglosaskie [51]. Choć dorobek polski w tej dziedzinie jest pokaźny, to jednak niewspółmierny do obozowej martyrologii dużego odsetka społeczeństwa polskiego, pomimo że pierwsza polska publikacja na temat obozowy ukazała się (konspiracyjnie) już z początkiem 1942 roku [52]. Tym większą więc wagę należy wiązać z corocznie ukazującymi się polskimi pracami lekarskimi na temat obozów.

Łatwo uchodzą uwagi w poszukiwaniach bibliograficznych te urywki życiorysów zamieszczanych w prasie lekarskiej, które dotyczą okupacyjnych losów osób będących przedmiotem takich biografii. Tego rodzaju wzmianki w sumie tworzą na przestrzeni lat pokaźny zbiór informacji o przeżyciach, działalności i walce pracowników służby zdrowia z okupantem. Na przykład o tajnym nauczaniu medycyny, prowadzonym od r. 1942 przez prof. dr *Adama Opalskiego*, nadmieniła *H. Kistelska-Nielubowiczowa* [53]. Na bohaterską postawę prof. dr *Eugeniusza Brzezickiego* w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen zwrócił ostatnio uwagę prof. dr *Karol Spett* [54].

[41] Wspomnienia. Oświęcim 1965, ss. 185, nlb. 3.

[42] *A. Fiderkiewicz:* Brzezinka. Wspomnienia z obozu. Wyd. 4. Warszawa 1965, Czytelnik, ss. 318, nlb. 2.

[43] *S. Szmaglewska:* Dymy nad Birkenau. Wyd. 8. Warszawa 1964, Czytelnik, ss. 496, nlb. 4. (Seria: Głowy wawelskie).

[44] *F. Siejwa:* Więzień III pola. Przygotowała do druku *Z. Wójcikowska*. Lublin 1964, Wydawn. Lubelskie, ss. 247, nlb. 1.

[45] *M. Caban:* Powrót zza rzeki Styks. Warszawa 1964, „Iskry", ss. 293, nlb. 3.

[46] *S. Wygodzki:* Z czasów okupacji. „Nowe Książki" 1965, nr 18, str. 836.

[47] *W. Półtawska:* I boję się snów... Wyd. 2. Warszawa 1964, Czytelnik, ss. 162, nlb. 2.

[48] *J. Gwiazdomorski:* Wspomnienia z Sachsenhausen. Dzieje uwięzienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (6. XI. 1939—9. II. 1940). Kraków 1964, Wydawn. Liter., ss. 283, nlb. 1, tabl. 29.

[49] *J. Zaborowski, S. Poznański:* Sonderaktion Krakau. W dwudziestą piątą rocznicę 6 listopada 1939. Warszawa 1964, wyd. ZBoWiD, ss. 191, nlb. 1.

[50] *W. Kiedrzyńska:* Materiały do bibliografii hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Literatura międzynarodowa. 1934—1962. Warszawa 1964, PWN, ss. 109, nlb. 3. Wykaz ten, obejmujący 1710 pozycji z 23 państw, nie uwzględnia piśmiennictwa o obozach zagłady (np. Bełżec, Chełmno, Sobibór, Treblinka), jeśli nie spełniały równocześnie roli obozów koncentracyjnych (jak Oświęcim czy Majdanek), pomija ponadto publikacje o obozach pracy przymusowej.

[51] Zob. też: *W. Bartoszewski:* Międzynarodowe piśmiennictwo obozowe. „Nowe Książki" 1965, nr 1, str. 11—13.

[52] Chodzi o „Oświęcim. Pamiętnik więźnia", opracowany przez *Halinę Krahelską* na podstawie bezpośrednich relacji nielicznych osób zwolnionych wtedy z tego obozu.

[53] *H. Kistelska-Nielubowiczowa:* Prof. dr Adam Opalski jako człowiek, lekarz i wychowawca młodzieży. „Neurologia, Neurochirurgia i Psychiatria Polska" R. 15: 1965, nr 1, str. 4. — Ze względu na oszczędność miejsca pominięto tutaj większą liczbę życiorysów, w których znajdują się bardziej lub mniej wyczerpujące urywki dotyczące lat okupacji hitlerowskiej.

[54] *K. Spett:* Pięćdziesięciolecie pracy *Eugeniusza Brzezickiego*. „Neurologia, Neurochirurgia i Psychiatria Polska" R. 15: 1965, nr 4, str. 518—519.

Jubileusz 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego był impulsem do opracowania okupacyjnych dziejów tej uczelni. W 1964 r. ukazała się syntetyczna praca prof. dr *Janusza Supniewskiego*, poświęcona wojennym losom Wydziału Lekarskiego UJ [55]. Autor pokonał trudności wynikające z braku pisanych, wyczerpujących dokumentów i źródeł. Jest to podstawowe opracowanie dotyczące okupacyjnych dziejów krakowskiego wydziału lekarskiego. Warto zwrócić też uwagę na pracę zbiorową o tajnym nauczaniu w UJ podczas okupacji [56].

W różnych książkach na temat wojny natrafić można na urywki o treści lekarskiej. Na przykład w „Fanfarach i werblach" *Ireny Bednarek* i *Stanisława Sokołowskiego* [57] autorzy polemizują z publikacją zachodnioniemieckiego neurologa i psychiatry, dr *Johanna Recktenwalda*, zatytułowaną „Na co cierpiał *Adolf Hitler*", a wydaną w NRF w listopadzie 1963 r. Dr *Recktenwald* — na podstawie analizy pedantycznie zebranych przez siebie opisów i publikacji dotyczących stanu zdrowia *führera* od wczesnego dzieciństwa po ostatnie dni — wyraża pogląd, że *Hitler* cierpiał na „późny parkinsonizm" *(Spätparkinsonismus)* w następstwie przebytego kiedyś zapalenia mózgu *(encephalitis)*. Choroba mózgu, według *Recktenwalda*, miała spowodować zmniejszenie się tzw. „społecznej użyteczności" *(soziale Brauchbarkeit) Hitlera*, występowanie u niego napadów wściekłości i pogłębianie się brutalności. Z parkinsonizmem też u *Hitlera* miała się wiązać jego niebywała siła przekonywania i przymus narzucania innym swojej woli. Polemizujący autorzy [58] słusznie zauważają, że wpływ *Hitlera* na społeczeństwo niemieckie nie wynikał z tego, iż *führer* chorował na „późny parkinsonizm". Pozycję swą i możność zbrodniczej działalności zawdzięczał on, jak wiadomo, sprzyjającym okolicznościom politycznym, poparciu niemieckich potentatów przemysłowych i sfer wojskowych oraz takim cechom, jak spryt i bezwzględność.

* * *

Odmienny rodzaj tekstów stanowi współczesna proza artystyczna, opierająca się na fikcji literackiej. Pomimo że utwory literackie nawiązujące do czasów okupacji nie mają charakteru dokumentu historycznego, to jednak mogą interesować lekarzy ze względu na opisy psychofizycznych reakcji organizmu lub z uwagi na poglądy społeczno-polityczne i etyczne, wyrażane i uzasadniane przez pisarzy za pomocą tworzywa literackiego. Na przykład *Eugeniusz Kabatc*, pisarz, który debiutował w 1957 r., rozważył w swej nowej powieści [59] problem wzajemnych stosunków pomiędzy Polakami i Niemcami i ukazał, jak zagadnienia ideowo-moralne wpływają na psychikę bohaterów.

Młodzi, według *Kabatca*, znają obóz oświęcimski tylko z lektury i opowiadań starszych osób bądź jako muzeum i chcą żyć „jak ludzie normalni w normalnym świecie", natomiast u starszych — pod wpływem konfrontacji z Niemcami — odnawiają się dawne urazy, odżywa strach, budzi się nienawiść, czasem chęć odwetu, szczególnie wtedy, gdy trudno zapomnieć o przeżytych cierpieniach, utracie osób najbliższych itp. Swą literacką analizę psychologiczną autor snuje z myślą o „jedenastym przykazaniu": „miej litość nad sobą samym", czyli „dbaj o swą godność, miej szacunek dla własnych przeżyć i własnej pamięci". Bohaterowie tej książki przeżywają dylemat: czy „porozumieć się" znaczy też „zapomnieć". Autor w swej ambitnej powieści pokazuje porozumienie, ale z zastrzeżeniem: „Moralny niesmak, moralna czujność, to powinno tkwić w nas do końca życia... Z bezmyślnych lepią potem zbrodniarzy". *Kabatc* porusza też aktualny problem, jak u Niemców sprawa odpowiedzialności przybiera subiektywną postać i nie pokrywa się z kwestią odpowiedzialności zbiorowej [60].

Odnotować trzeba nadto powieść *Zyndrama Pławnego* [61], 28-letniego lekarza, wyróżnioną w konkursie literackim Wydawnictwa MON. Tematem są skomplikowane przeżycia psychiczne dwojga ludzi, chłopca i dziewczyny, w czasie okupacji hitlerowskiej. W tej powieści wydarzenia okupacyjne są tylko tłem, a realia z tamtych czasów pojawiają się w niej oszczędnie i niezbyt prawdziwie, nie wychodząc poza sprawy ogólnie znane. Charakterystyczny w okresie okupacji lęk tkwi w samej psychice postaci kreowanych przez autora.

Również lekarz, *Józef Stompor* (urodzony w r. 1922; swą pierwszą powieść pt. „Leśne noce" napisał w r. 1958) jest autorem wznowionej i rozszerzonej powieści pt. „Człowiek z lancetem" [62], którą poświęcił przeżyciom okupacyjnym uczciwego lekarza, posądzonego po wojnie z powodu mylących pozorów o współpracę z Niemcami.

Zajmując się wybranymi utworami literacki-

[55] *J. Supniewski:* Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego w okresie okupacji. W: Sześćsetlecie medycyny krakowskiej. Tom drugi: Historia katedr. Kraków 1964, str. 137—152. (Skrót w „Polskim Tygodniku Lekarskim" R. 19: 1964, nr 13, str. 483). W tymże tomie znajdują się 22 prace poświęcone dziejom poszczególnych katedr Wydziału Lekarskiego UJ (później Akademii Medycznej) w Krakowie, z uwzględnieniem danych dotyczących okresu okupacji.

[56] *Alma Mater* w podziemiu. Kartki z dziejów tajnego nauczania w Uniwersytecie Jagiellońskim 1941—1945. Praca zbiorowa. Zredagowali *Maria* i *Alfred Zarębowie*. Kraków 1964, Wydawn. Liter., ss. XII + 359, nlb. 1, tabl. 10.

[57] *I. Bednarek, S. Sokołowski:* Fanfary i werble. Katowice 1964.

[58] Tamże, str. 517—522.

[59] *E. Kabatc:* Jedenaste przykazanie. Łódź 1965, Wydawnictwo Łódzkie, ss. 177, nlb. 2.

[60] Por. recenzję: *D. Cirlić:* „Jedenaste przykazanie". „Nowe Książki" 1965, nr 13, str. 585—586.

[61] *Z. Pławny:* Kompilacje. Warszawa 1964, wyd. MON, ss. 288. — Psychicznym przeżyciom z lat okupacji poświęciła również sporo uwagi *Seweryna Szmaglewska* w swej ostatnio wydanej powieści pt. „Krzyk wiatru" (Warszawa 1965, PIW, ss. 189), poświęconej historii buntu więźniów w hitlerowskim obozie koncentracyjnym w jesieni 1944 r.

[62] *J. Stompor:* Człowiek z lancetem. Wyd. 2 rozszerzone. MON, Warszawa 1965, ss. 190, nlb. 1.

mi, warto na koniec zauważyć, że do okupacyjnej problematyki lekarskiej nawiązuje też powieść kryminalna *Jerzego Szeligi* [63], który w swej książce podjął temat zbrodniczej działalności lekarza niemieckiego, dokonującego w czasie okupacji doświadczeń „medycznych" na więźniach obozów koncentracyjnych. Akcja utworu wiąże się z dążeniem do zdemaskowania tego przestępcy, ukrywającego się po wojnie w NRF pod zmienionym nazwiskiem i nadal praktykującego, a przy tym cenionego przez niemieckie środowisko.

* * *

Przedstawiony przegląd różnych publikacji [64], nie wyczerpujący zresztą, dowodzi, że autorzy, chcący się wypowiedzieć na temat zagadnień lekarskich bądź psychosocjologicznych okresu okupacji hitlerowskiej, szukają różnych możliwości druku. Stąd rozmaitość źródeł, które zostały przytoczone. Poza tym szczegółowa tematyka podjęta w latach 1964—1965, podobnie jak w latach poprzednich, dotyczy zagadnień wycinkowych o różnej treści, przeważnie jednak, jak wspomniano, skupia się wokół najczęściej poruszanych problemów węzłowych. Nadal pozostaje do opracowania wiele tematów, które proponuje np. dr *Stanisław Kłodziński* [65]. Zakresy zagadnień nie opracowanych jeszcze źródłowo z punktu widzenia lekarskiego są różne; można zarówno poszerzać wiedzę historyczną w dziedzinach już poruszanych (np. pisać w obrębie problematyki obozów koncentracyjnych o tych obozach, które nie znajdują dotychczas odpowiedniego odzwierciedlenia w piśmiennictwie), jak również odkrywać nowe tematy z przeszłości okupacyjnej i opisywać nieznane wydarzenia albo skutki okupacji. Są po temu odpowiednie możliwości, o czym świadczy choćby kontynuowanie edycji „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim".

Tymczasem obficiej niż w latach ubiegłych narasta bibliografia omawianego przedmiotu, a wiele zagadnień pozostaje nie poruszonych. Dowodzi to, że nadal brak jest skutecznej inspiracji wydawniczej, która by sondowała wszystkie możliwe źródła. Wydaje się, że wydawnictwa w Polsce nie umieją jeszcze wyjść poza przypadkowe publikowanie pozycji najłatwiej się nasuwających. Ta pesymistyczna uwaga wynika, niestety, z podjętej tutaj próby syntezy za lata 1964—1965.

Nasuwa się wniosek zasadniczy: należy dążyć do pełnego rozeznania dotychczasowego stanu badań nad lekarskimi problemami okupacji, a w ślad za wyczerpującą informacją bibliograficzną winno nastąpić pełne skoordynowanie pracy autorów, którzy piszą lub mogą pisać o tych sprawach. Planowanie w tej mierze staje się pilnym postulatem, tym bardziej że z upływem lat kurczy się możliwość odtwarzania faktów z oddalających się, tragicznych lat okupacji hitlerowskiej.

Ale nawet w wypadku realizacji tych oczywistych propozycji podjęte wysiłki będą pracą raczej tylko dla przyszłych historyków, jeśli obecnie już nie pomyśli się o sposobach szerszego rozpowszechniania wydawnictw dotyczących lekarskiej problematyki owego okresu. Specjalistyczne prace, a więc i lekarskie, jeśli są historyczne i ciekawe, znajdują chętnych czytelników nawet wśród niefachowców. Należałoby to sprzyjające zjawisko wyzyskać dla celów wychowawczych i politycznych, mianowicie kierować na chłonny rynek czytelniczy pozycje jak najwartościowsze pod względem poznawczym zamiast druków opracowywanych pobieżnie lub zgoła tandetnie. Żałować należy, że starannie opracowywane, a przy tym z reguły przystępnym językiem napisane pozycje literatury dotyczącej okresu wojennego, z każdym rokiem wychodzące w dziedzinie medycyny, kryją się w periodykach docierających tylko do stosunkowo znikomej grupy odbiorców. Jeszcze ciągle szersze rzesze czytelników dowiadują się o wydarzeniach okupacyjnych przeważnie z publicystyki, powieści, opowiadań, z tekstów bądź zbeletryzowanych, bądź opracowywanych niewyczerpująco, pobieżnie i bardzo popularnie. Przykładem takich wydań są egzemplarze tzw. biblioteczki „Tygrysa" (wyd. MON), ukazujące się w nakładach stutysięcznych [66], czy też artykuliki w najpopularniejszych tygodnikach. Trosce o należyty rozwój badań i publikacji lekarskich w dziedzinie tutaj poruszonej winna towarzyszyć również troska o ułatwienie chętnym czytelnikom odpowiedniego dostępu do fachowego piśmiennictwa.

---

[63] *J. Szeliga:* Doktor Schäfer płaci rachunek. Warszawa 1965, Pax, 16°, ss. 126, nlb. 2.

[64] Wiele z nich wymaga osobnej, obszerniejszej analizy. Warto ponadto zwrócić uwagę ewentualnych recenzentów na przekłady polskie dzieł obcych, jak np. na przygotowaną w r. 1965 przez Wydawnictwo Poznańskie książkę *Friedricha Ringa* pt. „*Stabsarzt* dr Lauterbach". Autor ten opisuje — niewątpliwie autobiograficznie — z punktu widzenia niemieckiego lekarza wojskowego wydarzenia wojenne na froncie wschodnim w latach 1943—1945. Tzw. sygnalne egzemplarze tego przekładu pojawiły się co prawda w grudniu 1965 roku, ale nakład powieści *Ringa* zaplanowano do sprzedaży księgarskiej dopiero na ostatnią dekadę stycznia 1966 roku. Podobne pozycje, pomimo że opatrzone są datą wydania „1965", mogą być omówione dopiero wśród książek wydanych później, gdyż ich rozpowszechnienie wśród czytelników nastąpiło po roku 1965. Dotyczy to również recepcji krytycznych, np. recenzji pamiętnika dr *A. Czuperskiej-Śliwickiej* („Cztery lata ostrego dyżuru. Wspomnienia z Pawiaka 1940—1944"), pióra *Haliny Krahelskiej* („...ale ducha naszego nie złamiecie", „Nowe Książki" 1965, nr 24, str. 1124—1125), omówienie to bowiem ukazało się w sprzedaży w połowie stycznia 1966 roku.

[65] W artykule poświęconym konieczności kontynuowania badań naukowych nad zagadnieniem „Oświęcimia" (w niniejszym zeszycie „Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim"). Tamże na str. 53—54 autor wylicza kilka ciekawych zagadnień szczegółowych, które powinny zostać przebadane; mogłyby one być m. in. tematem pożytecznych rozpraw doktorskich, rokujących trwałą, historyczną wartość.

[66] Np. w broszurze *H. Korotyńskiego* i *A. Wysockiego* pt. „Przez druty Oświęcimia" (Warszawa 1964, wyd. 2, nakład 110 tysięcy egzemplarzy) autorzy co prawda trzy strony spośród wszystkich 79 poświęcili bezpośrednio sprawom lekarskim, ale zajęli się tylko wąskim ich odcinkiem, bo eksperymentami sterylizacyjnymi.

TREŚĆ POPRZEDNICH ZESZYTÓW SPECJALNYCH „PRZEGLĄDU LEKARSKIEGO" POŚWIĘCONYCH ZAGADNIENIOM LEKARSKIM OKRESU OKUPACJI HITLEROWSKIEJ

„Przegląd Lekarski" 1961, nr 1a

J. Bogusz: Słowo wstępne. — J. Sehn: Niektóre aspekty prawne tzw. eksperymentów dokonywanych przez hitlerowskich lekarzy SS w obozach koncentracyjnych. — W. Fejkiel: O służbie zdrowia w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. — S. Kłodziński: Wkład polskiej służby zdrowia w ratowanie życia więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim. — J. Kowalczykowa: Choroba głodowa w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. — J. Kościuszkowa: Losy dzieci w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. — M. Nowakowska: „Szpital kobiecy" w obozie w Oświęcimiu-Brzezince. — R. Leśniak, J. Mitarski, M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Niektóre zagadnienia psychiatryczne obozu w Oświęcimiu w świetle własnych badań. — S. Kłodziński: Wyniki badań byłych więźniów Oświęcimia w kierunku gruźlicy płuc, przeprowadzonych w 15 lat po wyzwoleniu. — W. Denikiewicz, J. Kościuszkowa, J. Kowalczykowa, J. Mostowski, E. Opoczyński, D. Pytlik, T. Szymański: Sylwetki niektórych zmarłych polskich lekarzy i pracowników służby zdrowia zasłużonych w niesieniu pomocy więźniom Oświęcimia: M. Bobrzecka, M. Gieszczykiewicz, F. Gralla, S. Kościuszkowa, J. Kowalczyk, H. Krause, W. Kulesza, J. Malinowski, E. Michalikowa, W. Preiss, Z. Szawłowski, W. Türschmiedt, W. Werkenthin. — J. Bogusz: Słowo końcowe.

„Przegląd Lekarski" 1962 nr 1a

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą. — J. Bogusz: Słowo wstępne. — J. Olbrycht: Sprawy zdrowotne w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. — J. Sehn: Sprawa oświęcimskiego lekarza SS J. P. Kremera. — T. Paczuła: Organizacja i administracja szpitala obozowego „KL Auschwitz". — T. Szymański: Noma (rak wodny) w obozie cygańskim Oświęcim-Brzezinka. — S. Kłodziński: Próby biologicznego wyniszczenia narodu polskiego pod pozorem „walki z gruźlicą" w okresie okupacji hitlerowskiej (1939—1945 r.). — S. Kłodziński: Zbrodnicze eksperymenty z zakresu gruźlicy dokonywane w hitlerowskich obozach koncentracyjnych w czasie II wojny światowej. — A. Kępiński: Niektóre zagadnienia psychosocjologiczne masowych zbrodni hitlerowskich II wojny światowej. — A. Kępiński, M. Orwid: Z psychopatologii „nadludzi" (uwagi na marginesie autobiografii Rudolfa Hoessa). — A. Teutsch: Próba analizy procesu przystosowania do warunków obozowych osób osadzonych w czasie II wojny światowej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. — M. Orwid: Uwagi o przystosowaniu do życia poobozowego u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. — S. Kłodziński: Maria Stromberger.

„Przegląd Lekarski" 1963, nr 1a

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą. — J. Bogusz: Słowo wstępne. — R. Waitz: Zmiany chorobowe u byłych więźniarek obozów koncentracyjnych. — T. Paczuła: Obóz i szpital obozowy w Oświęcimiu we wczesnych okresach istnienia. — A. Gawalewicz: Poczekalnia do gazu. Fragmenty wspomnień muzułmana. — S. Kłodziński: Fenol w KL Auschwitz-Birkenau. — J. Bellert: Praca polskich lekarzy i pielęgniarek w szpitalu obozowym PCK w Oświęcimiu po oswobodzeniu obozu. — J. Miodoński: Kilka wspomnień o Sonderaktion Krakau 1939. — E. Brzezicki: Socjopsychopatia a „Kazet-Lager" Sachsenhausen. — S. Skowron: Z pobytu w obozach koncentracyjnych. Refleksje biologa. — S. Kelles-Krauz: Wspomnienia lekarza z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. — W. Półtawska: Operacje doświadczalne w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück. — S. Sterkowicz: Obozowe sprawy życia i śmierci w retrospekcji lekarza. — S. Kłodziński: Niektóre zagadnienia deontologii lekarskiej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. — J. Olbrycht: Sprawy zdrowotne w tzw. Generalnym Gubernatorstwie. Orzeczenie wygłoszone w dniu 20. V. 1948 r. przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Krakowie w sprawie przeciwko dr Józefowi Bühlerowi, byłemu szefowi w tzw. rządzie GG. — S. Kłodziński: „Konferencja krynicka" lekarzy hitlerowskich w październiku 1941 r. — M. Ciećkiewicz: Ubezpieczalnia Społeczna w dobie okupacji w tzw. Generalnej Guberni. — J. Aleksandrowicz: Ludzie służby zdrowia w okupowanym i podziemnym Krakowie. — J. Mostowski: Zakłady prof. Bujwida dla wyrobu surowic i szczepionek w Krakowie i ich współpraca z Ruchem Oporu i obozami koncentracyjnymi.

„Przegląd Lekarski" 1964, nr 1

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą. — J. Bogusz: Słowo wstępne. — A. Kępiński: Oświęcimskie refleksje psychiatry. — M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Cel i metoda badań psychiatrycznych byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. — A. Teutsch: Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stressu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. — M. Orwid: Socjopsychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. — A. Szymusik: Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. — R. Leśniak: Zmiany osobowości u więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. — A. Gawalewicz: Numer wraca do nazwiska. I. Finał „epopei lagrowej". — H. Wieliczański: Spostrzeżenia nad obecnym stanem zdrowia byłych więźniów hitlerowskich. — F. Blaha: W sprawie patogenezy miażdżycy tętnic (na podstawie własnych obserwacji w obozie koncentracyjnym Dachau). — F. Walter: Zmarli podczas wojny profesorowie i docenci Wydziału Lekarskiego UJ. — O staraniach czynionych dla uwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (na podstawie relacji członków rodzin profesorów). — Z. Albert: Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie przez hitlerowców w lipcu 1941 r. — R. Szuszkiewicz: Dentystyka w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. — J. Zielina: Blok 9 szpitala obozu Oświęcim I. — O. Wolken: Komentarz do statystyki chorych i zmarłych w obozie-„kwarantannie" w Brzezince za okres od 20. IX. 1943 do 1. XI. 1944 r. — O. Wolken: Z zagadnień losu Żydów w Oświęcimiu (wymieralność). — S. Kłodziński: Z zagadnień „gospodarczej" eksploatacji zwłok ludzkich w Niemczech hitlerowskich. — S. Kłodziński: Zbiór szkieletów żydowskich dla uniwersytetu III Rzeszy w Strasburgu (z działalności prof. dr Augusta Hirta). — W. Fejkiel: Eksperymenty dokonywane przez personel sanitarny SS w głównym obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. — S. Kłodziński: Z zagadnień ludobójstwa: „sterylizacja" i kastracja promieniami Roentgena w obozie oświęcimskim. Dr Horst Schumann. — A. Kopyciński: Orkiestra w oświęcimskim obozie koncentracyjnym. — S. Szmaglewska: Sylwetki lekarzy — więźniów Oświęcimia. — E. Lingens: Dr Adelajda Hautval. — T. Hołuj: Marian Toliński. — S. Kłodziński: Rola trucizn jako „ultimum refugium" w obozie w Oświęcimiu. Dr Jan Zygmunt Robel. — E. Brzezicki: Prof. dr Jan Miodoński w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Wspomnienie pośmiertne.

„Przegląd Lekarski" 1965, nr 1

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą. — J. Bogusz: Słowo wstępne. — DZIAŁ NAUKOWY: R. Leśniak: Poobozowe zmiany osobowości byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. — W. Półtawska: Z badań nad „dziećmi oświę-

(Ciąg dalszy na str. 238)